



TAD
WILLIAMS

SZCZĘŚLIWA
GODZINA
W PIEKLE



REBIS

Tad Williams

Szczęśliwa godzina w piekle

Cykl: Bobby Dollar #2

*Pierwszą część przygód Bobby'ego Dolara
zadedykowałem serdecznemu przyjacielowi
Davidowi Pierce'owi.
Odkąd nas opuścił,
na tamtą stronę przeszło jeszcze kilkoro drogich mi ludzi:
Jeff Kaye, Peggy Ford, Iain Banks –
by wymienić tylko paru.*

*Cieszę się, że David ma teraz takie dobre towarzystwo,
ale szczerze żałuję, że wszyscy oni
nie zostali z nami choć trochę dłużej.*

Podziękowania

Jak zawsze, w powstawaniu tej książki miało swój udział wiele osób (choć i mój był niepośledni).

Moja żona Deborah Beale zawsze jest obok i wspiera mnie mądrym słowem, spokojną myślą i od czasu do czasu niezbędnym kuksańcem. Prawdziwa z niej partnerka.

Nieocenionym partnerem (minus mizianie, ale i tak w porządku) jest też mój agent Matt Bialer.

Moje ukochane redaktorki, Sheila Gilbert i Betsy Wollheim, włożyły w tę książkę masę pracy i troski. Błogosławieństwa należą się także Mary Lou Capes-Platt, która miała wielki wpływ na ostateczny kształt tekstu. Zresztą wszystkim w DAW – serdeczne dzięki.

Lisa Tveit nieodmiennie jest mą kotwicą w cyberprzestrzeni i pomaga mi na miliony sposobów, za co będę jej zawsze wdzięczny.

Sharon L. James, piękne dzięki za pomoc z greką klasyczną! Pozdrawiam też oczywiście całą bandę Bobby'ego Dolara i w ogóle wszystkich Was, przyjaciele i czytelnicy – zwłaszcza Smarcherów, gości na mojej stronie www.tadwilliams.com i Facebooku (tad.williams oraz AuthorTadWilliams), a także na Twitterze, choć tam widzą mnie głównie już ocenzonego przez mą lepszą połowę (MrsTad), żebym się prezentował mądrzej.

Aha, pokłon składam również pamięci króla Salomona, Hermesa Trismegistosa i autorów *Malleus maleficarum* (*Młot na czarownice*) za wsparcie przy gonitwie za aniołami i zmaganiach z demonami.

Tysięczne wyrazy wdzięczności, przyjaciele.

Prolog

Witamy w Piekle



Na każdego chyba człowieka przychodzi w życiu – nawet pozagrobowym, jak w moim wypadku – taka chwila, kiedy nie może nie zadać sobie pytania: Co ja tutaj, psiakrew, robię? Ja miewam je częściej niż większość z was (średnio ze dwa razy w tygodniu), ale nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się to w bardziej dramatycznych okolicznościach. Bo widzicie... właśnie miałem pójść do Piekła. Dobrowolnie.

Nazywam się Bobby Dolar, a czasami Doloriel, zależnie od towarzystwa, w jakim się znajduję. Dotarłem w to paskudne miejsce windą. Była to długa, dłuuga jazda w dół, o której może wam jeszcze opowiem. Miałem też na sobie nie swoje ciało, a całą wiedzę o tych okolicach zaczerpnąłem od pewnego zbuntowanego anioła stróża, który mi to wyszeptał wprost do mózgu we śnie. Nie było tego wiele; właściwie wszystko mógłbym streścić w jednym zdaniu: „Stary, pojęcia najbledszego nie masz, jak tam jest wrednie”. Tak czy owak stałem oto u bram piekielnych, na przyczółku mostu Nerona – bezkształtnego kamiennego przesła zawieszono nad otchłanią tak głęboką, że gdyby miejscem akcji była stara poczciwa Ziemia, sięgnęłaby ona na wskroś do antypodów albo i jeszcze dalej. Piekło jednak nie znajduje się na Ziemi, a owa przepaść nie była bezdena – o, nie! Bo tam, w dole, w najczarniejszej ciemności, kilometry i kilometry pod moimi stopami, działały się naprawdę paskudne rzeczy. Domyślałem się tego po słabych krzykach, jakie stamtąd dobiegały. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak głośno muszą się ci nieszczęśnicy drzeć, skoro słychać ich aż tutaj... ani też jak straszliwe męki zmuszają ich do takiego wrzasku. Jeszcze nogi na moście nie postawiłem, a już zadawałem sobie pytania, na które nie chciałem znać odpowiedzi.

Na wypadek gdyby jeszcze się wam to wszystko nie wydało dostatecznie dziwaczne, służę inną ciekawą informacją: jestem aniołem. Nie tylko więc zmierzam do najgorszego miejsca, jakie ktokolwiek z was może w życiu (wiecznym) zobaczyć, ale robię to jako wróg i szpieg. Aha, no i pakuję się tam, by ukraść coś jednemu z najpotężniejszych, najokrutniejszych demonów, jakie kiedykolwiek istniały: Eligorowi Jeźdźcowi, arcyksięciu Piekła.

Pytacie: Co? Nie co, tylko kogo. Moją dziewczynę, Caz. To też demonica i najpierw była z nim, a on wciąż ma nad nią władzę.

I jeszcze jedno. Kiedy powiedziałem, że anioł, toście sobie pewnie zaraz wyobrazili dumnego mściciela ze skrzydłami i z płomienistym mieczem w prawicy. Duży błąd. Jestem z tych aniołów, co żyją sobie na Ziemi, udając ludzi, i pracują jako adwokaci ludzkich dusz. Można powiedzieć, obrońcy z urzędu. Tak że jedyną moją bronią w konflikcie była garść informacji – dość, abym wiedział, że mam poważny problem. Ja kontra arcyksiążę Piekła, na jego terenie... Dobrze, nie?

Znajdowałem się w absolutnie największym pomieszczeniu, jakie ktokolwiek widział, jak sądzę. Wszyscy ci średniowieczni artyści malujący to miejsce, choćby obdarzeni najbujniejszą fantazją, nawet się nie zbliżyli do tej skali. Stałem między strzelającymi w górę murami z grubo ciosanego kamienia, po obu stronach niknącymi gdzieś poza zasięgiem wzroku. Miałem wrażenie, że są też lekko zakrzywione, jak gdyby cała ta przestrzeń zamknięta była we wnętrzu cylindra jakiegoś przeogromnego silnika. Gdzieś tam po drugiej stronie mostu wznosiła się zapewne kolejna taka ściana i cel mojej wizyty – stercząca niczym tłok w tym cylindrze

nieskończenie wielka wieża: Piekło. Sam most był węższy niż moje wyciągnięte w bok ramiona, najwyżej półtora metra. Niby niemało, tylko że pod tą kamienną kładką nie było nic poza pustką: przepaść sięgająca głębiej niż moja wyobraźnia, nie mówiąc już o wzroku, gdzieś tam żarząca się ogniem piekielnym, którego słabiutki blask uzmysławiał mi, jak długo bym spadał, gdybym postawił krok nie tam, gdzie trzeba.

Wierzcie mi: jak każda zdrowa na umyśle istota wolałbym w tej chwili być gdziekolwiek indziej, nie tutaj – ale, jak później wyjaśnię, musiałem się nieźle napracować, żeby dotrzeć choć do tego miejsca. Dowiedziałem się, jak tu trafić, odszukałem wejście, którego od dawna nikomu nie przychodziło do głowy strzec, załatwiłem sobie nawet przebranie: nowiutkie diabelskie ciało (bo inaczej nie mógłbym się tam swobodnie poruszać, nie?). Z pewnością byłem nieproszonym gościem, ale i za to zdążyłem już zapłacić całkiem sporo.

Zbliżając się do krawędzi, wziąłem głęboki wdech. Powietrze wydawało się aż szorstkie od siarkowego dymu i słabo, lecz wyraźnie wyczuwalnego odoru palonych ciał. Kamyk wyskoczył mi spod buta i wpadł w przepaść. Nie próbowałem nawet nastawić uszu w oczekiwaniu na odgłos upadku, bo byłoby to bezcelowe. Zwlekać z podjęciem budzącego grozę kroku można tylko do czasu, bo z każdą chwilą wycieka z nas odwaga – a ja wszak wiedziałem, że dalej może być tylko gorzej. Jeśli nawet przedostanę się na drugą stronę mostu i jakoś przeszwaruję przez bramę Piekła, to przecież za nią roi się od stworzeń, które serdecznie nienawidzą aniołów w ogóle, a mnie w szczególności.

Most Nerona jest niemal równie stary jak chrześcijaństwo: zbudowano go specjalnie na przyjęcie tego cesarza, który ponoć grał sobie na lirze, gdy płonął podpalony z jego rozkazu Rzym. Neron nie był może najgorszym z rzymskich imperatorów, ale i tak nieźle sobie nagrabił – ot, choćby przez to, że kazał zamordować własną matkę. Dwukrotnie!

Jego rodzicielka Agrypina była siostrą innego cesarza, jeszcze większego sukinsyna, o którym pewnieście słyszeli: niejakiego Kaliguli. Facet ożenił się z inną ze swych siostrzyczek, ale bzyknął je wszystkie, też zresztą nieźle ziółka. Miarka się w końcu przebrała i Kaligulę zlikwidowała własna straż przyboczna, lecz grzechy Agrypiny poszły w niepamięć; wyszła później za następnego władcę, starego Klaudiusza, i nawet udało się jej namówić go do wydziedziczenia syna z pierwszego małżeństwa i wyznaczenia pasierba – jej Neronka – na następcę tronu. Gdy poczciwina Klaudiusz się zgodził i ogłosił ów fakt *urbi et orbi*, skłoniła go do błyskawicznej, acz mimowolnej abdykacji, podsuwając mu zatrutą potrawkę z grzybów.

Neron okazał się pojętym uczniem i wdzięczność za matczyną pomoc w osiągnięciu pozycji najpotężniejszego człowieka na świecie wyraził przez naśladownictwo. Najpierw zlecił spreparowanie statku, którym miała odbyć morską przejażdżkę, aby się na fali przełamała i zatonała. Fachowcy robotę wykonali solidnie, plan jednak zawiódł, gdyż Agrypina, twarda zawodniczka, spokojnie dopłynęła do brzegu. Synalek rad nierad musiał zrezygnować z finezyjnych rozwiązań i zwyczajnie kazał ją pretorianom zabić w letniej willi pod Neapolem, gdzie wypoczywała po trudach wodnego maratonu. Wartości rodzinne w wydaniu rzymskim.

Neron niejedno jeszcze zrobił w życiu świństwo, ze zgładzeniem tysięcy niewinnych chrześcijan na czele, ale wcale nie dlatego w Piekło podjęto na jego cześć specjalną inwestycję inżynierską. W kronikach tego nie przeczytacie, ale biedak nie miał pojęcia, że małżeństwo mamusi z Klaudiuszem i zmiana personalna na stanowisku następcy tronu były wynikiem drobnej umowy, jaką Agrypina zawarła z jednym z bardziej wpływowych mieszkańców Piekła, niejakim Ignokulim. Oczywiście ani on, ani nikt inny z piekielnej kamaryli nie miał Neronowi za złe stuknięcia mamy – przeciwnie, nawet im się to podobało. Oczekiwali jednak odeń wypełnienia umowy, ponieważ Piekło miało wobec Rzymu wielkie plany. Cesarz jednak ani myślał honorować podpisany przez Agrypinę cyrograf. Przypuszczalnie nie zdawał sobie sprawy,

z jak potężną organizacją zadziera; Rzymianie inaczej widzieli kwestie nadprzyrodzone – Pluton, Hades, Cerbery, Styksy, Pola Elizejskie i takie tam różne. Musiało to wyglądać jak z tym hollywoodzkim producentem z *Ojca chrzestnego*, który sądził, że don Corleone to taki sobie rzezimieszek, któremu można powiedzieć „spadaj”, a na drugi dzień się obudził z urzęniętym końskim łbem w pościeli.

Wkurzyć Piekło to kiepski pomysł. Kariera młodego cesarza błyskawicznie się załamała; ani się obejrzał, jak stracił tron i przyszło mu wiać z miasta w przebraniu, a wkrótce potem popełnił samobójstwo. Ale prawdziwa niespodzianka dopiero go czekała.

Ignokuli, jak większość piekielnych dygnitarzy, jest świetny w chowaniu uraz. Kiedy Neron zjawił się u bram Piekła, odkrył, że specjalnie dla niego zbudowano nowe wejście. Tak jest, ten właśnie most, na który teraz miałem wkroczyć. Tysiąc demonów w galowym rynsztunku rzymskich pretorianów już na niego czekało, aby delikwent miał eleganckie *entrée*, do jakich przywykł za życia. Wspaniały orszak ruszył za nim rzędem przez przepaść z biciem w bębny i dęciem w trąby, ale kiedy już Neron dotarł na drugą stronę, wszyscy zniknęli jak zjawy, zostawiając go sam na sam z jedyną osobą, która czekała nań z otwartymi ramionami i okrutnym uśmiechem: nieświętej pamięci matulą Agrypiną.

Widok musiał być okropny: pokurczone widmo, ociekające morską wodą i broczące krwią z ran od pretoriańskich mieczy. Neron w mig pojął, że to nie triumfalny wjazd do Rzymu, i chciał prysnąć z powrotem za most, ale drogę zagroził mu Ignokuli we własnej straszliwej osobie: wielka, drżąca gniewem bryła oczu i zębów.

„*Caveat imperator*”, rzekł mu ponoć demon na powitanie. Kiepskie kalambury są tam, na dole, uważane za jedną z bardziej wyrafinowanych tortur. Potem Agrypina chwyciła synka krwawymi szponami i z siłą, jakiej nigdy nie miała za życia, powlokła go przez bramę na spotkanie z losem, jaki mu Piekło zgotowało. Z tego, co wiem, siedzi tam do dzisiaj, prawdopodobnie gdzieś na dnie z resztą krzykaczy.

Potem o moście Nerona w zasadzie zapomniano i chyba ja pierwszy miałem znów z niego skorzystać po tych niemal dwóch tysiącach lat – frajer do kwadratu, żywy dowód na to, że nigdy, przenigdy nie należy nadeptywać na odcisk któremuś z dużych chłopców z Piekła. Czy nie sądzicie, że Wszechświat chciał mi w ten sposób coś dać do zrozumienia?

Postawiłem stopę na moście i ruszyłem przed siebie.

Szedłem tak noga za nogą chyba od kilku godzin, kiedy zauważyłem, że dobiegające z dołu wrzaski jakby przybrały na sile. Miałem nadzieję, że to oznaka zbliżania się do środka mostu, choć równie dobrze to diabłom mogła się skończyć przerwa obiadowa. Zerknąłem w otchłań, napinając wszystkie mięśnie, aby zrównoważyć nagły zawrót głowy, nie tyle fizyczny, ile egzystencjalny. Perspektywa zamieniła wydostające się ze szczelin w ścianach płomienie w koncentryczne kręgi ognia niczym na gigantycznej tarczy strzelniczej.

Tuż przy twarzy mignęły mi skórzaste skrzydła jakiegoś stwora i zorientowałem się, jak blisko krawędzi stoję. Cofnąłem się na środek i pomaszerowałem dalej, nadal w kierunku niewłaściwym według wszelkich norm zdrowia psychicznego. Skrzydlate coś znów musnęło mi skórę, ale było za ciemno, żeby to rozpoznać. Nie był to raczej nietoperz, bo te na ogół nie płaczą.

Wiele godzin później rozżarzone kręgi wciąż były prosto pode mną. Kiedy się przekracza piekielną fosę szeroką jak Dakota Południowa, określenie „pośrodku” jest względne, niemniej świadomość oddziaływała dość depresyjnie.

Ale to wszystko dla Caz, powtarzałem sobie w duchu. Dla mojej hrabiny Zimnorękiej, cudnej, nieszczęsnej dziewczyny uwięzionej w nieśmiertelnym ciele i skazanej na wieczność w Piekło. Nie, uzmysłowiłem sobie jednak, to nawet nie dla niej samej. Robię to dla tego, co

razem mieliśmy, dla chwil szczęścia i spokoju, jakie przeżywałem, leżąc z nią w łóżku, podczas gdy piekielne hordy szukały mnie po całym San Judas. Tak, ona też do nich należała i na dobrą sprawę w oczy mi rzuciła, że z incydentalnego seksu między dwoma wrogami robię jakąś idiotyczną, dziecinnie naiwną *love story*... ale, mój Boże, jakaż ona jest piękna! Nic w moim anielskim życiu nie dało mi tego co ona. Powiem więcej: te nasze krótkie spotkania uświadomiły mi, że cała moja dotychczasowa egzystencja była pusta i bezsensowna. Gdyby nie to, może uwierzyłbym, że to tylko demoniczny czar i blichtr; że zostałem zwyczajnie uwiedziony, złapany na najstarszą sztuczkę w podręczniku Przeciwnika. (Był jeszcze inny, bardziej konkretny powód, dla którego miałem pewność, że nie jestem tylko wykorzystanym jeleniem. Chodzi o pewien srebrny medalion, ale o tym kiedy indziej). W każdym razie jeżeli to, co czułem do Caz, było tylko iluzją, to w ogóle nic nie miałoby już żadnego znaczenia.

Miłość. Może to zabrzmiało jak jeden z tych wyświechtanych dowcipasów, ale prawdziwa, wielka miłość ma jedną cechę wspólną z Piekieł: wypala w tobie wszystko inne.

Godziny wlokły się długie, hipnotyczne, pełne nieskończonych, drżących cieni. O wiele za późno się zorientowałem, że majacząca daleko przede mną plama ciemności już nie jest tylko głębią pustki ani mroczkiem w zmęczonym oku, lecz czymś realnym. Otrzeźwiałem w jednej chwili. Zwolniłem kroku i wyteżyłem wzrok. Czy to czeka tam na mnie? Czyżby Eligor zwiedził się o moim zamiarze i wysłał mi naprzeciw komitet powitalny... na przykład w rodzaju tego rogatego babilońskiego monstrum, z którego gorących łap ledwo uszedłem w San Judas? Niepokonanego potwora zmógł dopiero kawałek srebra – właśnie ów medalion, który dostałem od Caz – tym razem jednak nic takiego pod ręką nie miałem. Kompletnie nagi w moim nowym diablím ciele, nie miałem nawet zwykłej spluwy. Ba! Nawet kija.

Podszedłszy bliżej, stwierdziłem, że tajemniczy kształt nie stoi wyprostowany, tylko pełźnie na czworakach jak zwierzę. Jeszcze kilka kroków i zobaczyłem, że sunie w tę samą stronę co ja. Była to pierwsza chwila ulgi, odkąd wszedłem na ten cholerny most. Ale synek mamy Dolar głupi nie jest, w każdym razie nie tak zwyczajnie. Dogoniwszy samotnego stwora, zwolniłem, żeby mu się przyjrzeć.

Był człekokształtny, ale nieprzyjemny z wyglądu, coś jak wielki, niezgrabny, ślepy owad. Ręce miał wałkowate i pozbawione palców, tułów zdeformowany i zdawał się prawie nie odbijać światła (ile go tam było w tej mrocznej przestrzeni). Wyglądał bardziej na rozmazaną plamę na powierzchni rzeczywistości niż namacalny przedmiot. Byłem teraz tuż za nim, ale najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, brnąc przed siebie jak kaleki, obolały pokutnik. Zastanawiałem się, od jak dawna już tak pełźnie przez most z tą ślimaczą prędkością.

Nie chciałem go omijać na tym wąskim prześle. To, że wygląda na powolnego przygłupa, nie znaczy, że się na mnie nie rzuci. Pomyślałem, czyby przez niego nie przeskoczyć, ale bałem się pośliznąć czy potknąć.

– Hej, ty! – krzyknąłem. – Co robisz? Jesteś ranny?

Mój obcy, chrapliwy, demoniczny głos przeraził mnie samego. Pełznący stwór chyba jednak nic nie słyszał. Spróbowałem jeszcze raz.

– Muszę cię ominąć, rozumiesz?

Nic. Albo był głuchy, albo udawał.

Rozeźlony pochyliłem się w końcu i szarpnąłem go za nogę, żeby wyrwać go z transu. Cholernik okazał się kruchy jak beza. Cała łydka aż po kolano rozpadła mi się w palcach na płaskie szczapy. Zdjęty zgrozą upuściłem fragment, który został mi w dłoni. Upadł na kamienną nawierzchnię i roztrzaskał się w drobny mak. Małe kawałki pofrunęły w przepaść i zniknęły w ciemności. Stwór wreszcie przystanął i obejrzał się na mnie. Zobaczyłem szarą twarz z pustymi oczodołami i równie pustą gębą rozwartą w niemym przestraszeniu bądź zaskoczeniu.

Przez chwilę balansował, tak nagle pozbawiony podparcia z jednej strony, po czym z wolna przewrócił się i spadł z mostu, nie wydawszy ani jednego dźwięku.

Wstrząśnięty, przekroczyłem pozostałą po nim kupkę ciemnych drzazg i poszedłem dalej.

Czymkolwiek był, nie mógł narzekać na brak towarzystwa. Wkrótce dogoniłem inne podobne stworzenie, czołgające się ku niewidocznym jeszcze wrotom Piekła. Próbowałem trącić je lekko dla zwrócenia uwagi. Wydawało się delikatne jak morska pianka; sam jego dotyk na opuszkach moich palców przyprawił mnie o mdłości. Jak coś tak pozbawione substancji może w ogóle mieć kształt, nie mówiąc już o zdolności poruszania się ze ślepą, pędzącą determinacją?

Toż to jest Piekło, napomniałem się, a przynajmniej przedpiekle. Tu normalne zasady nie funkcjonują.

Trąciłem go ponownie. Odwrócił się jak poprzedni, ale nie tak bezwolnie: wyciągnął do mnie niezgrabne łapska. Ogarnięty strachem i obrzydzeniem kopnąłem go z woleja, trafiając prosto w biodro. Stwór rozpadł się na kilka sporych kawałków. Przebrnąłem przez nie, choć wciąż się wiły i drgały. Parę strąciłem w otchłań. Nie zatrzymałem się, by popatrzeć, jak spadają.

Mijały godziny, a może sekundy czy lata. Napotykałem coraz więcej identycznych postaci. Już nie próbowałem nawiązać z nimi kontaktu i tylko kopniakami usuwałem je z drogi, depcząc po szarych resztkach. Skruszywszy tak kilka czy kilkanaście sztuk, zacząłem czuć dziwny zapach na skórze, jak słaby odór rozpałki do grillu w ostygniętym popiele. Te... rzeczy były powolne i bezmyślne jak zdychające termyty, a przy tym tak odrażające, że nawet nie wiem, jak to wytłumaczyć słowami. Chciałem je miażdżyć na proszek i strącać. Traciłem resztki zdrowych zmysłów.

Uratowało mnie, paradoksalnie, Piekło. Przedzierając się przez całe ich wijące się stada w obłoku szarego pyłu, nagle zdałem sobie sprawę, że most już nie zwięza się przede mną w nieskończonej perspektywie. Przerazająco długie przesło miało jednak swój koniec – w co dotąd tylko wierzyłem, bo musiałem. Teraz widziałem to w dali: mur z czarnego, spękanego kamienia i tytanicznych rozmiarów żelazną, zardzewiałą bramą wysokości drapacza chmur. Tylko że między mną a murem kłębiły się tysiące owych szarych, bezmózgich potworków.

Załóżę się, że niektórzy z was nie mogą pojąć, co niby jest takiego strasznego w brnięciu przez coś, co nie stawia najmniejszego oporu i rozpada się pod dotknięciem jak słupek popiołu na końcu papierosa. No to sobie pomyślcie: może niewiele z nich zostało ponad toporne cienie, jak ofiary Wezuwiusza w Pompejach, przysypane gorącym popiołem – ale to wszystko byli kiedyś ludzie, nie?

Tak jest. Widzicie, kiedy tak parłem do widocznego już celu, ciągnąc za sobą warkocz pylistej szarości tak gęsty, że nie widziałem własnych stóp, zrozumiałem w końcu, kim oni są. Nie duszami potępionymi (choć już to byłoby wystarczająco fatalne), nie więźniami Piekła: nie starali się z niego uciec, tylko się tam *dostać*. To dusze skazane na Czyściec; esencja niezliczonych ludzkich bytów – upadłych, lecz nie nieodwracalnie złych. Z jakichś powodów zżera je taka nienawiść do samych siebie, że pełzną przez wieczność tam, gdzie według nich jest należne im miejsce.

Powinienem czuć dla nich litość, ale zrozumienie tylko pogorszyło sprawę. Kiedy zbliżałem się do bramy Piekła, stwory tłoczyły się gęsto jak rój owadów krążących wokół gorącej żarówki, gnane autodestrukcyjnym popędem, którego nie rozumieją. Byłem zbyt wyczerpany, by otworzyć usta, ale w duchu darłem się wniebogłose, taplając się w zwartej, kruchej masie jak w bagnie, aż w końcu wszystko wokół mnie rozlało się w szaleństwo ciemnego, woniącego naftą pyłu i już nie wiedziałem, gdzie sam jestem, nie mówiąc już o moście – jedynej stałej rzeczy między mną a niebytem. To, że jakoś nie spadłem, świadczy – innego dowodu mi nie trzeba – że coś czy ktoś większy ode mnie chciał, żebym przetrwał.

Zziębnięty i otępiąły przystanąłem, żeby uspokoić oddech, i nagle sobie uzmysłowiłem, że przede mną nie ma już nic poza masywnymi, rdzawymi wrotami i czarnym murem. Dotarłem w cień pod bramą. Obrzydliwi pęzaczki zostali w tyle, zamknięci na moście jakby przez niewidzialny płot. Ich miejsce wcale nie jest w Piekło – tak się im tylko wydawało. Nie będą wpuszczeni do środka.

Ale Bobby Dolar? Ze mną najwyraźniej było inaczej. Nie widziałem żadnej straży. Nic poza zdrowym rozsądkiem nie broniło mi wstępu. Jak na diabelskie normy, równało się to prawie transparentowi z napisem „Witamy”. Nie zdziwi was chyba jednak moje wyraźne jak film 3D, graniczące z pewnością przeczucie, że wyjść stąd nie będzie tak łatwo, jak wejść.

Jeden

Rozmowy do poduszki



Właściwie to spędziliśmy razem tylko jedną noc. I pamiętam każdą jej chwilę.

– *No to jak tam właściwie u was jest, na Dole?*

– *Jak? Super. Całymi dniami popijamy sobie bezalkoholowe drinki, gramy w bilard, palimy cygara i nigdy, przenigdy nie zamieniamy się w osły.*

– *To brzmi raczej jak opis Krainy Zabawek z Pinokia.*

– *Kurczę, przyłapałeś mnie.*

– *Kobieto, ja cię pytam poważnie.*

– *A ja może nie życzę sobie odpowiadać, Skrzydlaku. Czy to dostatecznie poważne z mojej strony?*

Leżeliśmy nadzy w jej sekretnym mieszkanku, zaraz po naszym pierwszym razie. (Ścisłej mówiąc, po pierwszym, drugim i połowie trzeciego). Jej głowa spoczywała na mej piersi, a nogi zaciskały się wokół mojego uda jak nie przymierzając szczęki bulteriera. Głaskałem jej włosy, złote o tak jasnym odcieniu, że w półmroku wydawały się aż białe.

– *Aż tak źle, co?*

– *Ech, ty mój cudowny głuptasie... Nie masz zielonego pojęcia. – Uniosła się na łokciu, żeby spojrzeć mi w oczy. Była tak oszalamiająco piękna, że natychmiast zapomniałem, o czym rozmawiamy, i leżałem tylko zagapiony, jakby mi padło na mózg. Może i naprawdę padło, bo jak inaczej wytłumaczyć, że funkcjonariusz Nieba do tarzania się w pościeli wybiera akurat diabolicę?*
– *Źle, to mało powiedziane. Tam jest gorzej, niż umiałbyś sobie wyobrazić.*

Nie mogłem pojąć, jak ktokolwiek, nawet sam władca Piekła, może chcieć skrzywdzić tak promienną istotę. Znamca sztuki porównałby ją może do renesansowego anioła, subtelnie pięknego i przepelnionego górnolotnymi myślami; mnie się jednak bardziej kojarzyła z najniewinniej w świecie zepsutą absolwentką ekskluzywnego liceum. Gdybym nie wiedział na pewno, że Caz przyszła na świat, zanim Kolumbowi przyśniła się wyprawa za ocean, miałbym cholerne poczucie winy po tym wszystkim, co właśnie zrobiliśmy. Zaczynałem się chyba zakochiwać w tej kobiecie... tylko że ona właściwie nie jest kobietą, a demonem z piekła rodem. Jak się ociupinkę zastanowicie, zrozumiecie, dlaczego wołałem się nie zagłębiać w charakter naszych relacji.

– *Przepraszam. Nie powinienem był o tym mówić.*

– *Nie! Raczej dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że nie wiesz, Bobby. I niech tak zostanie.*

Nie chcę, żebyś wiedział, jak tam jest.

I nagle przylgnęła do mnie tak mocno, że się przestraszyłem, iż przeniknie przeze mnie na drugą stronę. Jej drobne, jędrne ciało wydawało się zarazem czymś najbardziej realnym i najbardziej kruchym na świecie.

– Nie pozwolę ci tam wrócić – powiedziałem.

Zaśmiała się. Dopiero później uzmysłowiłem sobie, że był to inny, znacznie bardziej złożony dźwięk. Jej nogi jeszcze mocniej oplotły mi udo. Czulem na skórze jej ciepłą wilgotność.

– Oczywiście, że nie pozwolisz – odrzekła. – Jasne. Żadne z nas tam nie wróci. Zostaniemy tu na zawsze i będziemy popijać bezalkoholowe drinki. Więc pocałuj mnie, ty durny aniołku.

Czy zdarzyło się wam kiedykolwiek przeżyć śmierć ukochanej osoby? Czuć to wszystko, co zawsze, i wiedzieć, że jej już nie ma? Nosi się to w sobie w każdej świadomej sekundzie: to, czego jej nie powiedzieliście... jak głupi byliście... jak bardzo i na ile sposobów za nią tęsknicie... To tak, jak podtrzymywać wielką, walącą się ścianę, niczym bohater filmowy czekając, aż wszyscy znajdą się w bezpiecznym miejscu, gdy wiadomo, że on sam już nie zdąży uciec i cała ta masa zaraz się na niego zwali.

A może trafiło się wam, że miłość waszego życia zostawiła was, na pożegnanie mówiąc, iż nigdy tak naprawdę was nie kochała? Że miała was za frajera i niepotrzebnie traciła z wami czas? Z tym też się chodzi długo, ale to już nie przygniatający ciężar, raczej straszna oparzelina, z końcówkami nerwów zapieczonymi w nieustającym stanie alarmowym. Ból z czasem zamienia się w uciążliwy świąd, ale od czasu do czasu bez żadnego ostrzeżenia znów rozpala się w katusze.

No to jeszcze jedno pytanie: Czy ktoś kiedyś odebrał wam coś, co ceniliście nade wszystko, a potem śmiał się wam, dyszącym bezsilną furją, prosto w twarz?

To teraz sobie wyobraźcie wszystkie trzy przypadki naraz, z tą samą kobietą w roli głównej.

Na imię ma Caz, co jest zdrobnieniem od Casimiry, ale znana jest też jako hrabina Zimnoreka. To diabliska wysoko postawiona w piekielnej nomenklaturze i najbardziej hipnotycznie piękne stworzenie, jakie znam. Poznaliśmy się podczas jednej z niezliczonych potyczek wielkiej, starej jak świat wojny między Niebem a Piekłem. Zostaliśmy kochankami, choć oboje dobrze wiedzieliśmy, że to potwornie głupie i skrajnie niebezpieczne. Coś jednak ciągnęło nas ku sobie (nie wiem, jak to inaczej określić, stąd ten płaski banał). Zaiskrzyło... nie, strzeliło żarem i ogniem, który dotąd się we mnie pali, choć jej dawno już nie ma. Bywają dni, myśli i stany, że tylko patrzeć, a rozsypię się w kupkę popiołu.

Caz należy do Eligora, jednego z arcyksiążąt Piekła. Po naszym, nazwijmy to, romansie wróciła do niego. Próbowwała nawet wmówić mi, że nic jej nie obchodzi, ale jakoś w to nie uwierzyłem. Byłem pewien, że i ona coś do mnie czuje, bo jeśli nie, to by znaczyło, że mylę się całkowicie na wszystkich frontach. Wiecie: coś w rodzaju „góra to dół, czarne jest białe, Ziemia jest płaska”.

Możecie mnie nazwać głupcem, ale nie mogłem w to uwierzyć. Miałem zresztą konkretniejszy dowód, że Caz na mnie zależy. Cierpliwości, o tym za chwilę. W każdym razie Eligor mnie nie cierpi właśnie za to, że się dobierałem do jego własności. (No i z jeszcze paru powodów, jak kropnięcie jego sekretarki, wystawienie jego szefa ochrony na pożarcie i ustawiczne mieszanie jego planów). Nierównowaga sił między nami była ekstremalnie

przesunięta na jego korzyść: on piekielny arystokrata z najwyższej sfery, ja podrzędny niebieski wyrobnik, w dodatku podpadnięty przełożonym. Dlaczego więc jeszcze żyję? Otóż dlatego, że mam pióro. Złote pióro ze skrzydła jakiegoś anioła-ważniaka, znak nielegalnego układu zawartego między którymś z piekielnych tuzów (być może samym Eligorem) a kimś w Niebie, którego tożsamości też jeszcze nie znałem. Eligor nie chciał dopuścić do ujawnienia całej afery i dopóki fant był w moim ręku, wiedziałem, że zostawi mnie w spokoju. Sęk w tym, że miał w łapach Caz i zabrał ją do Piekła, czyli daleko poza mój zasięg. Sytuacja patowa; tak w każdym razie myślałem, kiedy to wszystko się zaczęło. Przyszłość pokazała, że zbudowałem sobie domek z kart na bardzo kruchym fundamencie niemądrych założeń.

No, ale za bardzo wybiegam naprzód. Wiele się wydarzyło, zanim w ogóle usłyszałem o moście Nerona, i chyba powinienem zacząć tę opowieść od jakiegoś wprowadzenia.

Ostatni epizod w tym szaleńczym wirze, jakim jest moje życie pozagrobowe, rozpoczął się od czegoś, co normalny człowiek nazwałby ewaluacją zawodową. Tylko że normalni ludzie nie stają przed komisją złożoną z wkurzonych Niebian, którzy jednym słowem mogą unicestwić nawet nieśmiertelną duszę... Z czymś takim nie muszą się mierzyć nawet ci biedacy, którzy pracują dla Donalda Trumpa.

Dwa Pięcioro gniewnych aniołów



Zostałem wezwany do Nieba (my, adwokaci, nazywamy je między sobą Domem), a ściślej mówiąc, do Anaktoronu, wielkiej sali rady – zdumiewającej architektonicznej niemożliwości z sufitem gdzieś w chmurach i rzeką płynącą przez środek, za którą stoi lewitujący stół z czarnego kamienia. Mój przełożony, archanioł Temuel, wprowadził mnie do wnętrza i dyskretnie się ulotnił. Za stołem unosili się w powietrzu – niczym płomyki świec, spod których ktoś wyrwał kandelabr – eforowie, piątka moich inkwizytorów.

– Bóg cię kocha, aniele Doloriel – przywitał mnie biały ogień, anielica Terencja. – Witaj przed obliczem Eforatu.

Tak jak przy poprzednim wezwaniu (raz już miałem zaszczyt tu być), Terencja najwyraźniej przewodniczyła szacownemu gronu, choć wiedziałem, że Karael, stojący obok niej anioł-wojownik, ma najwyższą możliwą rangę w hierarchii Trzeciej Sfery (to ta zajmująca się sprawami Ziemi i jej mieszkańców). Tuż obok, pod postacią rozświetlonego od wewnątrz kłębka mgły, widniał Chamuel, a dalej Anaita, dziecku podobne jestestwo, które jednak potrafi – jak wiedziałem z niemiłego doświadczenia – dorównać Terencji chłodną surowością. Ostatnie miejsce w szeregu zajmowało Razjel, pozbawiona płci podłużna plama czerwonego blasku. Wszyscy oni byli Sędziami żywych i umarłych; wyższej anielskiej funkcji w naszej sferze nie ma.

Odpowiedziałem na pozdrowienie Terencji, usiłując nie wyglądać jak skazaniec czekający na ostatniego papierosa i opaskę na oczy.

– Czym mogę służyć mym panom?

– Prawdą – odrzekł łaskawym tonem Chamuel. – Zaplątałeś się w wielkie sprawy, Dolorielu. Niebezpieczne. Chcemy o tym usłyszeć z twoich własnych ust.

Tak? A co ty możesz wiedzieć o ustach? – pomyślałem, patrząc na bezkształtną chmurę jego postaci. Do reszty jednak jeszcze nie zgłupiałem, skłoniłem więc tylko głowę.

– Oczywiście, panie.

I eforowie pytali, ja odpowiadałem, starając się trzymać jak najbliżej prawdy (w ten sposób kłamstwa wychodzą spójniejsze), ale za dużo było rzeczy, o których wspominać nie śmiałem, i praw niebieskich, które zdeptałem, usiłując rozwikłać cały ten bajzel. Wiedzieli, że Caz oświeciła mnie w pewnych kwestiach, ale na pewno nie dotarło do nich nic innego na nasz temat, z czego mogłem się tylko cieszyć; bratanie się z Przeciwnikiem na mur podlega jakimś srogim paragrafom, a ja wszak posunąłem się znacznie dalej niż do „bratania”. Wiedzieli też, że mój przyjaciel Sam Riley, czyli anioł-adwokat Samariel, potajemnie współpracował z grupą porywającą dusze przynależne Niebu lub Piekłu i oferującą im tak zwaną „Trzecią Drogę” – niszowe miejsce spędzania wieczności, które obie strony za wszelką cenę chciały zniszczyć. Wiedzieli, że Sam uciekł tam przed aresztowaniem, ale na szczęście nikt się dotąd nie zorientował, że to dzięki mnie, bo zwyczajnie go puściłem. (Nie wspomnę nawet, że proponował mi to samo. Do dzisiaj czasem o tym myślę).

Nigdy jeszcze nie kłamałem w obliczu wysokich szarż niebieskich. Owszem, niejedną małą anielską myśl zatrzymałem dla siebie, zawsze jednak mówiłem prawdę o tym, co i z kim robiłem. Wydarzenia ostatnich paru miesięcy sprawiły jednak, że prawda nie wchodziła już w grę. Gdyby

szefostwo dowiedziało się, com wyprawiał, zesłałoby mnie do najgłębszych czeluści Piekiła albo w najlepszym razie miałbym zresetowaną pamięć i zaczynałbym od początku: nieopierzony aniołek uczący się śpiewać *Hosanna* i utrzymywać albę w czystości. Kłamałem więc i nie zamierzałem przestać.

– A co się tyczy tej ostatniej sprawy, wszystko jest w moim raporcie.

– Który też chłonęliśmy z zainteresowaniem – oznajmiła Terencja. – Wezwaliśmy cię tu jednak po to, abyś raz jeszcze podzielił się swymi przeżyciami i być może... z naszą pomocą... odkrył w pamięci jakieś nowe szczegóły, które do raportu... przypadkowo... nie trafiły.

Jak można nie ulec takiej troskliwej sugestii?

– Hmm... Jak już mówiłem, kiedy ten potwór zaatakował mnie w opuszczonym lunaparku, anioł Samariel skorzystał z zamieszania i uciekł. Nie zauważyłem, w którą stronę. Kiedy ghallu w końcu zdechł, po Samarielu nie było ani śladu.

(Walka ze straszliwym, przedwiecznym demonem – omal nie zakończona połknięciem mnie w całości – odbyła się naprawdę, w przeciwieństwie do „niewyjaśnionego” zniknięcia Sama).

– Ale obaj z aniołem Haraheliem byliście na miejscu, kiedy ów piekielny potwór w końcu zdechł, czy raczej prawie zdechł. – Ciemne światło Razjela przygasło na moment. – On twierdzi, że został silnie uderzony, kiedy ghallu wstrząsnęły ostatnie konwulsje, ale zanim stracił przytomność, próbował zatrzymać Samariela. Nie bardzo rozumiemy, skąd ta sprzeczność.

Zapadła cisza. Miałem niejasne poczucie, że coś fruwa w powietrzu wokół czarnego stołu: toczy się niesłyszalna dla mnie rozmowa, w której ważą się moje losy. Harahiel, o którym wspomniał Razjel, to kolega anioł, początkujący adwokat (i szpieg Domu) zwany przez nas Clarence'em. Próby dopasowania jego raportu do moich wymyślonych wspomnień były dla mnie nielichym wyzwaniem.

– Wybacz mi, panie – rzekłem pospiesznie. – Oczywiście masz rację. Mówiąc, że zostałem zaatakowany, miałem na myśli śmiertelne drgawki tego monstrum. Byłem pewien, że już nie żyje. Długo leżało bez ruchu, ale nagle powaliło Haraheliela i usiłowało się dźwignąć na nogi. Wystrzelałem w nie ostatnie naboje i ghallu w końcu skonał. – Miałem nadzieję, że dobrze zapamiętałem szczegóły wersji przedłożonej niebieskim audytorom. Całymi dniami studiowałem raporty swój i Clarence'a niczym spanikowany student przed pierwszą sesją. Pamięć mam dobrą, ale przesłuchanie w Anaktoronie nawet Einsteina przyprawiłoby o chwilową demencję. – I kiedy wreszcie oderwałem od niego wzrok, Harahiel leżał nieprzytomny, a Sama... znaczy anioła Samariela już tam nie było.

Korciło mnie, żeby paplać dalej, podkreślać co ważniejsze punkty, ale zmusiłem się do zamknięcia jadaczki i czekałem na następny ruch.

– Jest jeszcze coś, co mnie zastanawia, aniele Doloriel – odezwała się słodkim, dziecięcym głosikiem Anaita. – Jakim to cudem udało ci się pokonać prastarego demona Czasu Nocy tylko za pomocą srebrnych kul? Wydaje się dziwne, że tak potężny wróg dał się ukatrupić jak zwykły szeregowy diabełek.

Ano, takim cudem, że ten ostatni kawałek srebra, jaki wpakowałem w ghallu, nie był zwyčajnym pociskiem. Dzieła dokonał dar od Caz, mały otwierany medalion; jedyna pamiątka po niej jako żywej kobiecie. Dar miłości – nikt mi tego przekonania nie odbierze. Czarne bydlę z otchłani czasu śmiało się ze wszystkich kul, srebrnych czy ołowianych, jakie w nie pakowałem, a szeszło dopiero od tego skromnego wisiora, więc nie dam sobie wmówić, że to, co zaszło między mną i Caz, było tylko zwykłą diablą uwodzicielską sztuczką. Tego jednak opowiedzieć moim eforom nie mogłem. Już prędzej zełgałbym, że sam Najwyższy zjechał z Nieba ognistym rydwanem i ghallu zginął pod jego kołami.

– I ja nie mogę się w tym połapać, pani – bąknąłem jak najpokorniej. – W ciągu ostatnich

dwóch godzin akcji strzelałem do niego wielokrotnie i pod koniec... to chyba go męczyło. – Wierutne kłamstwo. Póki nie wstrzeliłem mu w cielsko medalionu, łykał srebro jak miętowe dropsy. Gdybym był teraz w ludzkim ciele, umilkłbym dla nabrania oddechu i zyskania na czasie, bo nie miałem na to dobrej odpowiedzi. – Być może... Ja... Właściwie to nie mam pojęcia, jak to się stało.

– Nie należy lekceważyć umiejętności anioła Pańskiego – wtrącił niespodziewanie Karael. Mówił słowami, żebym i ja go słyszał, ale ewidentnie zwracał się do Eforatu. – Anioł Doloriel przeszedł szkolenie i staż bojowy w Jednostce Kontraktaku „Lira” na froncie walki z Przeciwnikiem, a to jedna z naszych najdzielniejszych i najtwardszych grup. Nieraz walczyłem razem z nimi. Jeżeli ktokolwiek może dać sobie radę z tak wiekowym, potężnym demonem, to właśnie weteran Kontraktaku. Prawda, aniele Doloriel?

Najchętniej wyściskałbym go i wycalował, powiadam wam.

– Robimy... co w naszej mocy, panie – wydukałem.

– No właśnie. Doloriel był w Harfie – powtórzył Karael, używając tym razem nieformalnego kryptonimu mojej byłej jednostki. Jego głos zdawał się toczyć przez salę jak fala. – Jest jedną z tych dzielnych dusz, które bronią samych murów Nieba... choć ci, których strzegą, nie zawsze o tym pamiętają. A to coś znaczy.

Nie wiedziałem, jak to ocenić. Czy Karael stara się mnie wesprzeć tylko dlatego, że nie podoba mu się, iż biurokraci gnoją byłego żołnierza, czy też działają tu jakieś inne motywy? Kurde, komu ja chcę tu ściemniać? W Niebie zawsze są jakieś inne motywy.

– Oczywiście, szlachetny Karaelu – odparła Terencja, także w słyszalny dla mnie sposób. – Ale ten anioł od dawna nie jest w „Lirze”, prawda?

Teraz już byłem kompletnie skołowany. Dlaczego najwyższe szarże spierają się w obecności szarego adwokaciny? To nie miało najmniejszego sensu.

– Doloriel przeszedł do cywila, gdyż odniósł poważne rany w bitwie z siłami Piekła. – Teraz Karael zdawał się być w defensywie.

– A teraz służy woli Najwyższego w szeregach Jego Świętej Adwokatury – rzuciło Razjel cichym, melodyjnym głosem. – Broni dusz sprawiedliwych przed kłamstwami i przebiegłością Przeciwnika.

– Może i tak – powiedziała Anaita. – Ale nie zapominajmy, że to jeden z tych świętych adwokatów spiskował z wrogiem w celu stworzenia tej nędznej Trzeciej Drogi, z czego w ogóle wzięły się wszystkie problemy. I choć nie ma wątpliwości, że anioł Doloriel był mężnym wojownikiem, a teraz jest doświadczonym obrońcą dusz, nikt chyba nie zaprzeczy, że... trzymają się go kłopoty.

– To prawda – wycedziło Razjel – że odkąd utworzyłem Adwokaturę, zdarzało mi się zastanawiać, czy nie za wiele się wymaga od wybranych, każąc im znowu przywdziewać ludzkie ciała, wystawiać na wszelkie ziemskie pokusy i niedole nekające żywych każdego doczesnego dnia.

Znów potoczyła się bezgłośna rozmowa – ku mej uldze, gdyż zapewne stałem tam z rozdziawioną gębą, jakby mnie kto zdzielił flaszka przez łeb. Adwokatura jest tworem Razjela? Nigdy o tym nie słyszałem. Nic nie wskazywało, że nasz wydział nie powstał z rozkazu samego Najwyższego. Jak ważnymi figurami są ci moi inkwizytorzy? I dlaczego marnują tyle czasu na małego Boba Dolara?

I wtedy naszła mnie myśl, skradająca się jak przygruntowa mgła, od której dreszcze przeszły moją bezcielesną formę. Tu się dzieje coś znacznie ważniejszego niż postępowanie wyjaśniające czy nawet śledztwo w sprawie renegatów z Trzeciej Drogi. Sam powiedział mi, że do gry wciągnął go jakiś wysoko postawiony anioł incognito, który przedstawił się imieniem Kefasa,

roztaczający jednak aurę mocy niedostępnej zwykłym archaniołom. Weźmy choćby tę boską rękawicę, którą dał Samowi: urządzenie, siłę, czy cokolwiek to było, za pomocą czego mój kumpel mógł dokonywać wręcz niezwykłych rzeczy. Czy ten Kefas, rewolucjonista z Trzeciej Drogi, mógł być kimś takim jak piątka moich eforów? A może...? Wcale bym się nie zdziwił, gdyby był właśnie którymś z nich – ale spokoju by mi to nie przydało.

Intrygi niebieskie są niewiarygodnie subtelne, lecz wcale nie mniej przez to groźne, stawką jest bowiem wieczność, którą przegrany spędzi w ogniu piekielnym. Jeżeli zostałem wciągnięty w tryby takiej machinacji, to co mam robić, żeby nie skończyć jako plamka smaru w kolorze Bobby'ego Dolara na jednej z zębatek?

– Aniele Doloriel! – Głos Terencji wyrwał mnie z zamyślenia tak niespodziewanie, że omal nie pisałem ze strachu.

– Słucham, pani.

– Musimy rozważyć wszystko, co nam powiedziałaś. Przemówimy do ciebie znowu. Bądź gotowy na wezwanie.

Ledwo przebrzmiały jej słowa, a wszystko zniknęło: pięć ognistych postaci, lśniąca wspaniałość Anaktoronu. Znowu byłem w łóżku w swoim lichym mieszkanku i w swoim zbolałym, rozdygotanym ludzkim ciele. Na dworze wciąż królowała noc, ale byłem pewien, że już do rana oka nie zmruję.

Trzy Powrót



Patrzeć na cztery ściany mogę tylko jakiś czas, a potem zaczynam lekko wariować. Tego ranka po maglowaniu przez Eforat było gorzej niż zwykle, bo niemal cały mój dobytek spoczywał wciąż w kartonach rozrzuconych po podłodze mojego nowego apartamentu, a ich śmiesznie mała ilość dała mi do myślenia na temat jakości mego ziemskiego życia. Cóż, sługa Boży pewnie powinien być dumny z takiej spartańskiej, mniszej egzystencji (jeśli karton płyt z jazzem i bluesem i kilkuletnią kolekcję magazynów hard porno, z rzadka przeplatana numerami „Playboya” i „Penthouse’a”, można kojarzyć z mnichem), mnie to jednak tylko dołowało. Może gdybym był grzecznym, zadowolonym z siebie i zbożnej pracy aniołkiem, czułbym się inaczej – ale zawsze uważałem, że życie, zwłaszcza pozagrobowe, musi znaczyć coś więcej. Teraz, gdy co rano budziłem się z dziurą w kształcie Caz w duszy, wiedziałem już, czego w nim brakuje. Miałem też jednak świadomość, że to nie znaczy, iż kiedykolwiek ten brak uzupełnię.

Poprzysiągłem sobie ją odzyskać i naprawdę tego chciałem. Nadal chcę, ale mój gniew nie jest już taki palący jak przed kilkoma tygodniami i zacząłem pojmować, jak mało prawdopodobna jest realizacja tego planu. Caz była w Piekło, a tam – tak samo jak do Nieba – nie wchodzi się bez rezerwacji. Miałbym większe szanse wtoczyć się z wózkiem na zakupy do Fortu Knox i poczęstować się kilkoma sztabami złota. Piekło i Niebo są bardzo, bardzo daleko. Nie na naszej starej, okrągłej, realnej planecie. Nawet gdyby mi się udało jakoś tam wśliznąć, to pozostaje jeszcze drobny problem, że jestem aniołem, a to się w tamtych stronach deczko rzuca w oczy. Nie wspomnę już o oczywistym fakcie, że Caz aktualnie jest w niewoli u arcyksięcia Eligora, który już dobitnie wyraził zamiar torturowania mnie co najmniej przez wieczność czy dwie, gdy tylko upora się z paroma pilniejszymi sprawami. Nie wiem, czy i sam Karael na czele całego legionu niebieskiego zdołałby mu ją wydrzeć. Zaczynacie już rozumieć, jakie szanse miałaby moja samotna akcja? Cały ten pomysł był właściwie receptą na skomplikowane, powolne i bolesne samobójstwo duszy.

Ale, dobry Boże, czy teraz było mi lepiej? Każdego ranka, gdy się budzę bez Caz, przeszywa mnie niemal fizyczny ból. Każdej bezsennej nocy leżę w tym podławym pokoiku przy Beech Street i obmyślam najróżniejsze sposoby jej wydostania. Jednego tylko nie umiem sobie wyobrazić: tego dnia, kiedy któryś z nich zadziała i znów będziemy razem, szczęśliwi i zdrowi na umyśle.

Jak znam Niebo, moi eforowie nie odezwią się przez najbliższe kilka dni. Jeśli czegoś tam mają pod dostatkiem, to czasu. Nie zdziwiłbym się, gdyby wciąż tam sobie migotali w tym wielkim gmaszysku, przerzucając się uszczypliwymi aluzjami, i nawet się nie zabrali do dyskusji o moim losie. Siedzenie w domu i czekanie na telefon z Nieba byłoby teraz najgorszą rzeczą, jaką mógłbym zrobić, wymyśliłem więc sobie parę naglających spraw, żeby mieć powód do ubrania się. Wziąłem taksówkę i pojechałem do rusznikarza Orbana. To gość, który przed kilkuset laty odlał działa dla sultana podczas oblężenia Konstantynopola. Turcy zwyciężyli, Bizancjum upadło, a uczynny ludwisarz mocno podpadł chrześcijaństwu. Wiedząc, że ma przechłapanie i do Nieba go nie przyjmą, Orban postanowił nie umierać, no i do dzisiaj kręci się po tym świecie. Tak w każdym razie opowiada, a ja nie zamierzam z nim polemizować – tym bardziej że jego wytwory już nie raz uratowały mi skórę i duszę.

Jedną z jego specjalności jest opancerzanie samochodów. Mój podrasowany matador wciąż tkwi u niego w garażu, ale choć miałem teraz dość forsy, żeby go wykupić z zastawu, zaczynało mi świtać, że błyszczący sportowy wóz w kolorze topazu nie bardzo się nadaje jako podstawowy środek transportu faceta z tak imponującą kolekcją wrogów. Jaki sens miałyby ciągle zmienianie mieszkania, jeśli pod każdym parkowałbym taką kłującą w oczy gablotę? Oczywiście nie zamierzałem rezygnować z matadora – za dużo włożyłem w niego kasy, potu i czasu – musiałem jednak znaleźć sobie coś zwyczajnego na codzienny użytek. W moim fachu jeździ się sporo, i to o najróżniejszych porach, świątek czy piątek. Nie zamierzałem wysiadywać o trzeciej nad ranem na przystanku w nadziei, że nocną jedenastką dojadę na czas, kiedy zadzwonią, iż ktoś właśnie kopnął w kalendarz i mam kolejnego klienta. Orban nie było w warsztacie, kiedy się zjawiłem, ale jeden z jego pomocników, brodac z urodzie pirata, któremu brakowało tylko papugi na ramieniu i kogoś do przeciągnięcia pod stępką, poznał mnie i otworzył garaż – długi budynek na sąsiednim pirsie (nie wspominałem jeszcze, że fabryczka wiekowego Madziara mieści się w starym porcie na dalekim przedmieściu Jude). Większość stojących w nim pojazdów trafiła tam do jakiejś przeróbki (zazwyczaj związanej z odpornością na ostrzał z broni ręcznej), lecz ich właściciele albo zbankrutowali, albo za późno pomyśleli o takiej modyfikacji i Orban został na lodzie z niedokończoną robotą, za którą już nie miał kto zapłacić. Co jakiś czas kilka sztuk sprzedawał, zwłaszcza tych już gotowych, a resztę trzymał na części.

Pirat wpuścił mnie do środka i wrócił do swoich zajęć. Przeszedłem się wzdłuż rzędu mniej lub bardziej egzotycznych maszyn. Moje kroki dudniły echem w pustym nadmetrażu pod aluminiowym dachem magazynu. W większości były to wielkie landary: limuzyny i stare luksusowe krążowniki szos, które Orbanowi trudniej było zbyć niż hummery i wypasione SUV-y, jakimi lubią się wozić dzisiejsi alfonsi i dilerzy narkotyków. Właśnie jeden z takich klasyków, pożyczony przeze mnie pontiac bonneville, padł ofiarą gorących szponów ghallu, który rozdarł mu dach i pokrywę bagażnika jak cynfolię, a ja zostałem bez czterech kółek. Spędziłem kilka tantalowych minut przy porysowanym, ale zdrowym biscaynie z 1958 roku, który po drobnym przeszlifowaniu i polakierowaniu uczyniłby mnie szczęśliwym mężczyzną, ale maszyna była zbyt interesująca jak na moje obecne potrzeby. Gdybym chciał się pokazywać w ciekawym wozie, nie musiałbym chować matadora u Orbana. Musiałem znaleźć coś pospolitego, choć to absolutnie wbrew mojemu charakterowi.

Na końcu szpaleru stał, niczym najślabszy szczeniak w miocie, chevrolet nova super sport rocznik 1969, ongiś jaskrawoczerwony, dziś lekko wyblakły, ale mogłem go przemaalować na jakiś mniej widoczny kolor. Za młodu musiał być niezłą rakieta – ten model był wyposażony w widlastą ósemkę o pojemności pięć i siedem dziesiątych litra. Podwozie było w nie najgorszym stanie, ale ogólnie wóz wyglądał, jakby jego miejsce było na klockach przed równie zapuszczoną przyczepą mieszkalną. Doskonały dla moich celów.

Zostawiłem Orbanowi kartkę z zapytaniem o cenę super sporta i ruszyłem pieszo poboczem autostrady. Do „Oyster Billa” był kawał drogi, zdążyłem więc porządnie zgłodnieć (i zabić całą godzinę). Jak zwykle ogarnęło mnie dziwne uczucie na myśl, że może już nigdy nie zjem tu lunchu z Samem – a często tu wpadaliśmy – ale zarazem było to jak uczczenie jego pamięci.

Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co sądzić o moim najlepszym kumplu i całej tej aferze. Kiedy się kogoś znało tak długo jak ja Sama, piło się z nim, biło ramię w ramię i razem patrzyło na śmierć wielu ludzi, to się człowiekowi wydaje, że wie o tym drugim już wszystko. Kiedy więc odkryłem, że pracuje dla tajemniczego Kefasa i jego Trzeciej Drogi, uprawiając własną grę praktycznie na terenie Nieba, pod moim i przełożonych nosem... sami wiecie, jak się można poczuć w takiej sytuacji. Wciąż nie byłem pewien, jak to wszystko poukładać. Gdy ostatni raz rozmawialiśmy, zanim przeszedł przez błyszczący właz do miejsca, którego nigdy przedtem

nie widziałem, wydawał mi się taki sam jak zawsze, gdy zwykliśmy siadywać w tej właśnie restauracji na późnych i często zakrapianych śniadaniach, przypatrując się przez okno, jak miejscowi bardziej lub mniej legalnie wyciągają turystom forszę. I nagle się dowiaduję, że on przynajmniej przez ostatnie parę lat ukrywał przede mną coś takiego. To daje do myślenia, nie? Tylko że ja wolałem za wiele na ten temat nie myśleć. Brakowało mi Sama i tej jego kowbojskiej gęby. Ciągle chodziło za mną pytanie, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy, a jeśli tak, to jak by takie spotkanie wyglądało.

Po obiedzie załatwiłem jeszcze parę spraw, podrzuciłem cały kosz brudów do pralni Lavanderia Michoacan, w Radio Shack kupiłem parę złączek, żeby móc wreszcie podłączyć telewizor, i połażem do domu, po drodze biorąc na wynos parę *burritos* do odgrzania w mikrofalówce, gdy znowu zgłodnieję. Z telewizorem nie poszło tak gładko; gniazdko antenowe było tak idiotycznie umieszczone, że korzystając z typowego kabla, musiałbym go ustawić na środku łóżka – musiałem więc wrócić do sklepu po przedłużacz. Po powrocie zrobiłem sobie drinka. No dobra, może dwa. Kiedy się ocknąłem z zamyślenia (albo i drzemki), słońce już zaszło i pokój rozświetlała tylko poświata od ekranu. Podgrzałem *burrito* i obejrzałem mecz Gigantów (grali z Piratami z Pittsburgha), aż w końcu woda przestała mi szumieć w głowie i zacząłem się rozglądać po moich czterech ścianach. Wydały mi się bliższe niż powinny. Często miewam to uczucie, i to wcale nie dlatego, że nowe mieszkanie jest jeszcze mniejsze od starego. Po jakimś czasie zachciało mi się znowu pić, ale zamiast nalać sobie jeszcze raz, wstałem, ubrałem się i poszedłem do „Cyrkla”, wiedząc, że tam przynajmniej nie będę pił do lustra – stara wymówka, mająca świadczyć, że się nie jest alkoholikiem. Tak naprawdę nie chciałem tam iść, spodziewałem się bowiem, że wszyscy moi kolesie z roboty będą mnie wypytywać o sesję z Eforatem, ale z drugiej strony myśl o zaszcyciu się w jakimś innym barze wśród nieznajomych wydała mi się jeszcze bardziej przygnębiająca. Byłem zaś pewien, że jak się nie ruszę z chałupy, to się rano obudzę w butach, marynarce i z potężnym kacem, przed włączonym telewizorem, z którego będzie się wydobywał przeraźliwy jazgot jakichś okropnych ludzi przekrzykujących się radośnie w porannym talk show. Jestem przekonany, że takie programy figurują na liście tortur dla potępieńców w Piekło. Za dużo już było takich przebudzeń, odkąd Caz wsiadła do samochodu Eligora.

No więc poszedłem do „Cyrkla”.

To nasz anielski bar w centrum San Judas. Mieści się w budynku dawnego teatru Alhambra przy Beeger Square, gdzie kiedyś była loża masońska. Wolnomularskie symbole – wyryte w kamieniu cyrkiel i węgielnica – do dzisiaj wiszą nad wejściem. Lokal niedawno został zdemolowany przez ścigającego mnie sumeryjskiego prademonia, ale choć nadal widać było oznaki trwającego remontu, wyglądał już prawie normalnie.

W barze panował zwyczajny o tej porze gwar. Stała klientela była prawie w komplecie – Cały Pokręcony Chór, jak się sami nazwaliśmy. Barman Chico – skrzyżowanie meksykańskiego harleyowca z medytującym konfucjańskim uczonym – stał jak zwykle na posterunku za ladą, kręcąc wosą i ważąc w myślach decyzję, którego z fałszywie śpiewających gości ma uciszyć najpierw. Rewelersom przewodził Jimmy Stół, tęgawy jegomość ze słabością do staromodnych garniturów w stylu gangsterskim, wyglądający, jakby wpadł tu w przerwie między rundą pokera a ustawianiem nielegalnej walki *full contact*. Pomachał do mnie, gdy go mijałem, ale nie przerwał występu; był mniej więcej w połowie *Roll Me Over*, piosenki, którą zawsze przyjemniej jest śpiewać niż słuchać. Nie zamierzałem robić ani jednego, ani drugiego. Kiwnąłem na Chica, żeby mi nalał Stolicznej, i przemknąłem do jednego z boksów na końcu sali. Przez jakieś dziesięć minut nikt nie zwracał na mnie uwagi, siedziałem więc w milczeniu i przyglądałem się rycerzom Bożym w czasie wolnym od służby. Dość przerażający widok, przyznam szczerze, ale można się

tu rozerwać.

Naturalnie szczęście nie może trwać wiecznie. W końcu zoczył mnie Miły – potężny tyson o zdumiewająco anielskich rysach – i przyzełował do mojego stolika, żeby zdać mi nużąco szczegółową relację z zesłonocnej wizyty w klubie pełnym niedożywionych punków i przesadnie wystrojonych pozerów, a potem nagabywać mnie o wrażenia z ostatniej podróży za Perłowe Wrota. Oczywiście po paru minutach dołączył do nas Młody Elvis i musiałem zaczynać opowiadanie od początku, trzymając się okrojonej i zdezynfekowanej wersji na użytek publiczny. Większość Chóru nawet nie wiedziała, że Sam odszedł. Oficjalnie przebywał na urlopie bezpłatnym i choć nie obyło się bez rozmaitych plotek, tylko ja i Clarence wiedzieliśmy, co naprawdę zaszło.

Trochę później w barze zjawiała się Monica z Teddym Nebraską u boku, aniołem mało mi znanym, gdyż pracuje w innej części miasta i tam też zwykle przesiaduje w wolnych chwilach. Monisia była jeszcze dość trzeźwa, przynajmniej na tyle, by pamiętać, jaki ostatnio byłem dla niej wredny, więc wysłuchawszy trzeciej odsłony mojej relacji, odpłynęła na poszukiwanie przyjemniejszego towarzystwa. Przyjąłem to z niezmierną ulgą, mimo że w ten sposób zostałem oko w oko z Teddym, zmuszony prowadzić z nim krepującą pogawędkę o niczym, dopóki nie wymyślił wykrętu, by mnie zostawić i podążyć za nią czy po prostu wyrwać się z posępnej atmosfery, jaką roztaczałem.

Z Monicą Naber mieliśmy się kiedyś ku sobie. To cudowna kobieta (a raczej anielica), ale od czasu Caz nie odważyłem się z nią rozmawiać. Nie chodzi o żadne tam poczucie winy, że ją zdradziłem – nasz związek był na to zbyt luźny – ale Monia zna mnie na wylot i bałem się jak cholera, że w jakiś metafizyczny sposób wyczuje na mnie zapach innej kobiety. Normalnie bym się tym nie przejął; podczas naszego okresowo kwitnącego romansu miewałem niejednego skok w bok. Gdyby jednak ktokolwiek w Niebie zwiedził się o Caz, zostałyby po mnie tylko osmalona dziura w trotuarze i rozplywający się obłoczek ozonu.

Poniewczasie stwierdziłem, że przyjscie do „Cyrkla” było błędem i że należało wybrać inną knajpę. Moi anielscy druhowie byli w nastroju nader towarzyskim, podczas gdy ja chciałem zwyczajnie posiedzieć w ciszy i poużalać się nad sobą, aż mi się w głowie zakręci, ale tylko na tyle, bym jeszcze jakoś zdołał doczłapać do domu. Przez długie lata przeklinałem swój fach i to zrywanie się w środku nocy, żeby zasuwać przez całe Jude do boju o czyjąś nieśmiertelną duszę, teraz jednak wyraźnie zaczynało mi tego wszystkiego brakować. Zbijanie bąków na urlopie, w zawieszeniu czy jak to tam biurokraci nazwali, równało się więzieniu we własnym umyśle. Potrzebowałem zajęcia, niezwiązanego jednak z cudzymi problemami. Nie zrozumcie mnie źle; ja naprawdę lubię ludzi, ale szczerze mówiąc, wołałem teraz za wiele o nich nie słyszeć.

Chyba już się domyślacie, dlaczego nie nadają się na wzór anioła.

Zapłaciłem rachunek i już miałem ruszyć do wyjścia, kiedy do baru wszedł Walter Sanders. Wyglądał, jakby już zdążył gdzieś wlać w siebie ze dwa, trzy drinki – co nie było u niego normalne. Widywałem go niańczącego jedno piwo przez cały wieczór, podczas gdy wszyscy wokoło żłopali je wiadrami. Lubię go; gość umie zachować rezerwę i ma bystry, trochę gorzkawy dowcip. Założyłbym się, że za życia był Anglikiem.

Spostrzegł mnie od razu i zatrzymał się w progu, ledwo dostrzegalnie kołyszając się w przód i w tył.

– Bobby! Hej, Bobby Dolar. Miałem nadzieję cię tu zastać. Chcę pogadać. Mogę ci postawić drinka?

– Raczej nie, mam już chyba dosyć. Właśnie wychodziłem.

– Dobra, nie ma sprawy. – Pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo. – Mnie już pewnie też wystarczy, a zresztą wolę rozmawiać gdzie indziej. – Rozejrzał się po sali. – Za dużo tu uszu.

Odprowadzę cię do samochodu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, możemy chwilę pogawędzić na parkingu.

– Jestem bez wozu – odrzekłem. – Wracam piechotą.

– No to pójdę z tobą, chociaż ze dwie przecznice – nalegał z przepaszającym uśmiechem. – Powietrze dobrze mi zrobi.

Wyszliśmy, nie zwracając uwagi na Jimmy'ego i innych przy barze, zszokowanych na samą myśl, że ktoś może chcieć porzucić nasz przybytek przed północą. Kilkoro ludzi akurat opuszczało pizzerię po sąsiedzku; było trochę przepychania, ale w końcu skręcili na parking, a my poszliśmy w drugą stronę, na Walnut Street, cichą i pustą o tej porze, jeśli nie liczyć jakiegoś bezdomnego, który spał na siedząco, skulony pod ścianą w połowie uliczki, z kapturem naciągniętym na głowę.

– No to o co chodzi? – spytałem.

– Ja tylko... – Walter urwał i przez kilka kroków nad czymś rozmyślał. – Sorki, stary. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, a ty pewnie masz dość swoich problemów, ale to mi się wydało naprawdę dziwne... – Umilkł znowu, tym razem aby przestąpić nad wyciągniętymi na pół chodnika nogami bezdomnego. Facet był bosy; chude stopy odcinały się matową bielą od betonowych płyt. Była już wiosna, ale i tak nie zazdrościłem mu noclegu pod chmurką bez obuwia.

Zaczynałem się odrobinę niecierpliwić. Czyżby Sanders zamierzał ciągnąć się ze mną aż pod mój dom, zanim cokolwiek z siebie wydusi?

– No więc? – ponagliłem go.

– A, tak. – Zaśmiał się sztucznie. – Dobra, chyba najlepiej będzie, jeśli...

Czy to pod wpływem alkoholu, czy też potknąwszy się o coś, Walter zakołysał się i wpadł na mnie na tyle ciężko, że obaj się zatoczyliśmy w stronę krawężnika. Położył mi dłoń na ramieniu, żeby złapać równowagę, i w tym samym momencie wydał dziwny dźwięk, takie „czhaaaa”, jakby kot usiłował zwymiotować kłębek sierści. A potem upadł bezwładnie u mych stóp, omal mnie nie przewracając. Odskokczyłem w półobrocie, żeby utrzymać się w pionie, i wtedy ponad jego nieruchomym ciałem zobaczyłem bezdomnego. Stał tuż za nami, na nogach ugiętych jak u owada, ściskając w dłoni coś długiego, lśniącego i ostrego.

– Czekają i czekają – odezwał się dziwnym, skrzeczącym głosikiem.

Przez okamgnienie widziałem pod kapturem jego twarz. Na skrzyżowanie wjechał samochód, omiatając go światłem reflektorów. Nieznajomy zmrużył oczy i odsunął się w bok, a w następnej chwili biegł już wzdłuż Marshall Street, cicho tupiąc bosymi nogami. Zerwałem się, by go ścigać, ale był nadzwyczaj szybki i w parę sekund zniknął za rogiem, kierując się ku Beeger Square. Opadłem na kolana, by pomóc Walterowi wstać, on jednak leżał zwiotczają i nie odpowiedział, gdy spytałem, czy jest ranny.

Obróciłem go na plecy. Koszula i marynarka były przesiąknięte krwią, purpurową w świetle jarzeniówek, która zdążyła też się rozlać w małą kałużę na chodniku i strużką ściekała już z krawężnika do rynsztoku. Twarz miał kredowobiałą, wargi zsiniałe. Samochód zatrzymał się przy nas, krzyknąłem więc, żeby ktoś zadzwonił po pogotowie, sam zaś pobiegłem do „Cyrkla” po pomoc. Kiedy wróciłem do Waltera, na miejsce dojeżdżał już pierwszy radiowóz policyjny, a chwilę potem zmaterializował się furgon straży pożarnej z odległej zaledwie o parę przecznic nowej remizy. Było jednak za późno. Sanders nie oddychał, a choć ratownicy uwijali się, żeby opatrzyć mu ranę i jak najszybciej odwieźć do szpitala „Sekwoja”, nikt mu już nie mógł pomóc. Walter Sanders, a w każdym razie przydzielone mu ciało, był martwy jak wodewil.

Gdy jednak tak stałem otępiały, nie reagując na oblewający mnie strumień pytań Pokręconego Chóru, wcale nie myślałem o Walterze. Zakładałem, że wkrótce wróci – kto wie,

czy nie już nazajutrz – wyposażony przez fachowców z Domu w nową doczesną powłokę i gotów fascynować barwną opowieścią każdego, kto tego wieczoru nie był obecny. Byłem w błędzie, ale o tym miałem się przekonać dopiero za jakiś czas.

Przyczyna mojego osłupienia była całkiem inna: znałem zabójcę Waltera! Rozpoznałem jego dziwny głos i widoczne przez chwilę drobne, niekształtne zęby. Bez patrzenia na zwłoki wiedziałem też, jak musi wyglądać rana: czteroramienna gwiazdka jak od pchnięcia starym wojskowym bagnetem. Ale nie to mnie tak poruszyło. Ja tego osobnika nie tylko już kiedyś widziałem; byłem obecny przy jego śmierci. Takiej prawdziwej, ostatecznej, bezpowrotnej, jakiej się boją tylko nieśmiertelni. A mimo to on powrócił.

Mimo to powrócił!

Cztery Płaszcz i sztylet



Nie obraż się... ale czy to trochę nie za wcześnie na alkohol?

Parsknąłbym śmiechem, gdybym mógł, a że nie mogłem, wypilem tylko kolejny łyk.

– To Krwawa Mary, synku. Zawiera sok pomidorowy, a zatem kwalifikuje się jako śniadanie.

Na widok zatroskanej miny Clarence'a od razu miałem ochotę zamówić jeszcze ze dwa drinki, ale jedno spojrzenie na pozostały na ścianie szklanki czerwony osad przyprawiło mnie o lekkie mdłości, budząc niemiłe reminiscencje z poprzedniego wieczoru.

– Ciekawe miejsce... – Młody omiół salę wzrokiem i zatrzymał spojrzenie na mężczyźnie zgarbionym nad porcją *huevos rancheros* i niedopitym kuflem piwa. Gość miał na głowie fedorę z nierówno odciętym deklek; przez dziurę jak chwasty w zaniedbanym gazonie sterczały przetłuszczone włosy. – I klientela interesująca.

– To jest Jowisz – wyjaśniłem. – Zasilany słonecznie.

– Że jak? – Clarence uniósł brwi i zamrugał zaskoczony. – Słonecznie co...?

– Tak w każdym razie sam twierdzi. Wycina dziury w każdym nakryciu głowy, żeby czerpać energię ze słońca. – Wzruszyłem ramionami. – Jest nieszkodliwy.

Restauracja „Oyster Bill” faktycznie na miejsce u Michelina nie zasługiwała nawet w najlepszych czasach, choćby z uwagi na kręcących się tu wiecznie pijaków i zaschnięte smużki mewiego łajna na szybach, ale wczesnym przedpołudniem rzeczywiście wyglądało to fatalnie. Między innymi dlatego nie znoszę poranków. Ukazują życie bez miłosiernych cieni, tej błogosławionej mglistości, jaka pozwala nam nie zwracać uwagi na co bardziej dołujące widoki. Nie spałem jednak dobrze tej nocy, a kiedy słońce przecisnęło się przez szpary między zasłonami i zdzieliło mnie w pysk, wybudziłem się na dobre. O tej porze normalni goście śniadaniowi już się przez „Billa” przewinęli; zostały tylko takie egzemplarze jak Jowisz i ja, szukające w paru łyżkach jajeczniczy pretekstu do wypicia klina lub dwóch.

– Mówiłeś, że chcesz porozmawiać.

Chciałem, to fakt, a odkąd Sam się zdematerializował, wybór miałem ograniczony. Mógłbym wprawdzie wyciągnąć na pogaduszki Monicę, ale już wiecie, że nie bardzo mi to teraz odpowiadało, więc padło na nowicjusza Clarence'a. Zwłaszcza że zamierzałem naciągnąć go na przysługę, miał bowiem chody w niebieskim Wydziale Kartotek. Teraz jednak, gdy tak patrzyłem znad talerza na jego czujną, do czysta wyszorowaną buźkę, straciłem pewność. Rozmowa z Młodym o czymkolwiek choć trochę skomplikowanym była jak próba porównywania odczuć na kacu z mormońskim misjonarzem: otrzymywało się kombinację ignorancji z dezaprobatą. Poza tym, choć chłopak bez wątpienia był przekonany, że dobrze robi, nie mogłem mu wybaczyć fuchy kapusia i próby aresztowania Sama. Możliwe, że też zaczynał mieć wątpliwości co do całej afery, ale nie wiedziałem, czy kiedykolwiek będę mógł mu to zapomnieć.

– Czy to ma związek z zasztyletowaniami Walta Sandersa? – Młody starał się nawiązać konwersację, do której go zaprosiłem. – Niezły numer, co? I to prawie pod samym „Cyrklem”! Podobno byłeś przy tym?

– Taak, byłem.

– Przerażające. Ale nic mu przecież nie będzie. Wydadzą mu nowe ciało i wróci cały i zdrowy. Wiesz to równie dobrze jak wszyscy, Bobby.

Wiedziałem, bo i mnie się to zdarzyło. Wiedziałem też jednak, że śmierć i transfer do nowego ciała to nie piknik w parku, jak się chyba smarkaczowi wydaje.

– Szczerze mówiąc, drogi Clarence, nie przejmuję się losem Waltera, tylko moim.

Młody odruchowo się skrzywił, słysząc nielubiane przezwisko. Naprawdę nazywa się Haraheliel, a na czas służby w Adwokaturze przydzielono mu ziemską tożsamość Harrisona Ely, ale Sam od razu ubrał go w tego Clarence'a, od imienia anioła ze starego filmu, i teraz nikt w Całym Pokręconym Chórze nie zwraca się do niego inaczej.

– Nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że to ciebie napastnik chciał dopaść?

– Jak amen w pacierzu. Poznałem go, kapujesz?

– Ktoś, komu nadepnałeś na odcisk?

– Możliwe. Ale on raczej nie dlatego na mnie poluje. – Pociągnąłem kolejny łyk, ale Krwawa Mary miała teraz jakiś metaliczny posmak, więc zniechęcony odstawiłem szkło. I tak przyjdzie mi złożyć raport w tej sprawie, czułem jednak potrzebę podzielenia się odkryciem z kimś lub czymś innym niż jaskrawe, wyzute z emocji światło skrzynki kontaktowej z Domem. Oczywiście wolałbym, żeby to był Sam, ale te czasy się już dla mnie skończyły. Jasna cholera, ale mi skurczybyka brakuje! – No to słuchaj... – Odchrząknąłem. – Zaczęło się to w latach siedemdziesiątych...

– Chwila! – Clarence rzucił mi to charakterystyczne spojrzenie poważnego anioła niskiej rangi, za które zawsze chciało mi się go trzepnąć w łeb. – Jesteś aniołem dopiero od dziewięćdziesiątych, Bobby. Sam mi mówiłeś.

– Przymknij się, Młody, i słuchaj.

Zaczęło się to w latach siedemdziesiątych. Nie, wtedy jeszcze mnie tu nie było, a jeśli byłem, to jako śmiertelnik i nic z tego nie pamiętam. Zwłoki zaczęły się pojawiać w odludnych miejscach w górach Santa Cruz, oddzielających San Judas od Pacyfiku, zazwyczaj podrzucone przy rozjazdach autostrady i zawsze z tak samo wyglądającą raną od bagnetu o czworokątnym przekroju. Po trzecim przypadku z tym samym modus operandi ktoś zauważył, że za każdym razem na zdjęciach widać to samo graffiti. Dwa słowa: „Uśmiechnij się”. Nigdy przedtem podobnego nie widywano; nie znali go nawet spece od podmiejskich gangów młodzieżowych z Los Angeles, nie kojarzyło się też z ksywą żadnego z notowanych przestępców. Pewien reporter wydobyl z pamięci wykłady z literatury w college'u i rzucił hipotezę, że może to mieć coś wspólnego z opisem mordercy z poematu Chaucera: „Uśmiechnięty z nożem w fałdach płaszcza skrytym”. Przez parę tygodni prasa się zachłystywała wariacjami na ten temat, ale nawet po zamknięciu sprawy nikt tego wątku nie potwierdził.

Morderstwa się tymczasem powtarzały; w sumie doszło chyba do sześciu, jeśli dobrze pamiętam. Po jakimś czasie policja zaczęła kojarzyć pewne fakty. Zbrodniarz musiał mieć samochód, a ofiar szukał nocami. Za każdym razem byli to młodzi ludzie z nadbrzeżnych miasteczek i robocza teoria zakładała, że zabiera ich prosto z chodnika – albo oferując podwiezienie, albo nawet wciągając ich do wozu siłą. Policjanci z komisariatów Santa Cruz, Monterey i innych objęli obserwacją lokalne uczelnie i szkoły pomaturalne i którejś nocy jednemu z nich wpadł w oko podejrzany facet w zdezelowanym furgonie marki Volkswagen, jeżdżący tam i z powrotem wzdłuż kampusu Cabrillo College. Gość się połapał i dał nogę. Policjant wezwał posiłki i zaczął się regularny pościg. Długo to nie trwało – starym VW transporterem nie da się uciec podrasowanym radiowozom. Ścigany stracił panowanie nad kierownicą i wyrznął w uliczną latarnię. Szyba po stronie kierowcy była stłuczona, ale w furgonie nikogo nie było widać. Gliniarze wyczuli benzynę, podchodzili więc ostrożnie. Byli już blisko, kiedy nastąpiła zaskakująco silna eksplozja, od której w całej okolicy zatrzęsły się szyby. Dwóch funkcjonariuszy doznało oparzeń, ale niezbyt poważnych.

Ciało kierowcy znaleziono; w każdym razie śledczy byli prawie pewni, że to on. Było zbyt zwęglone, żeby je zidentyfikować – nawet po użębieniu, w kartotekach miejscowych dentystów nie znaleziono bowiem nikogo pasującego. Wszyscy policjanci biorący udział w akcji zgodnie jednak twierdzili, że nikt z wozu nie wysiadał. W wypalonym wraku znaleźli też narzędzie zbrodni, nadtopione i poskręcane od żaru, lecz pasujące do wyników obdukcji: paskudnie wyglądającą samoróbkę o długości prawie pół metra i tak zaprojektowaną, by rana nie mogła się zasklepić. Innymi słowy, sprawca lubił patrzeć, jak ofiary się wykrwawiają. W popiele było też kilka niedopalonych rzeczy świadczących, że furgon był dla mordercy także mieszkaniem. Trzymał w nim ponadto kilka kanistrów benzyny; przyparty do muru wołał śmierć w eksplozji niż więzienie. Po tym incydencie morderstwa się już nie powtórzyły. Koniec historii, nie?

Dwadzieścia dwa lata później seria zaczęła się znowu. Ten sam sposób działania, tylko że tym razem zbrodniarz palił zwłoki. Któraś z kolei ofiara została odkryta przez przypadkowego kierowcę, który miał w wozie gaśnicę. Patolog sądowy bez trudu stwierdził, że przyczyną śmierci była rana kluta w kształcie czteroramiennej gwiazdki. Napisy „UŚMICHNIJ SIĘ” w pobliżu ciała też były, a jakże – tylko mniejsze i trudniej zauważalne, malowane sprayem w dziwnych miejscach. Przy czwartym przypadku policja uznała, że ma do czynienia z naśladowcą. Czas, jaki upłynął od poprzedniej serii, a przede wszystkim pewność, że sprawca zginął w płomieniach, wykluczały inne wnioski.

Policjanci się jednak mylili. To był ten sam facet. Rację mieli tylko w jednym: on faktycznie był martwy.

W tamtym czasie służyłem w Kontrataku, paramilitarnej jednostce, która była moim pierwszym przydziałem po wstępnym stażu anielskim. Dotarła do nas wiadomość z Domu, że szefostwo widzi w tych zbrodniach kosmatą łapę Przeciwnika. Jeżeli Śmiszek, jak go zaczęliśmy nazywać, powstał z martwych, innego wyjaśnienia być nie mogło. Z drugiej strony, bardzo by to dziwnie wyglądało, ponieważ charakter morderstw był dokładnie taki sam jak przed z górą dwudziestu laty: identyczne modus operandi i profil ofiar. Normalnie, kiedy Piekłu trafia się dobry agent, zleca mu zadania bardziej użyteczne z własnego punktu widzenia niż jakieś tam pospolite zbrodnie. Nasz dowódca Leo był zdania, że to może być dywersja mająca wstrząsnąć społeczeństwem i przygotować grunt dla innych operacji. Tego uczył już na stażu anielskim – Przeciwnik karmi się chaosem, a poczynania Śmiszka do tego właśnie zmierzały. Dziennikarze wydebili od kogoś z policji komentarz na temat tajemniczych napisów i wkrótce gazety eksplodowały nagłówkami w rodzaju „Grafciarz morduje znowu!”, „Duch czy naśladowca?” i temu podobnymi. Strach ogarnął Jude na ładnych parę miesięcy. Kilku bulwarowych podrywaczy zostało ostrzelanych przez spanikowane studentki nie rozstające się z tatusiowymi spluwami, a ruch w turystycznym interesie niemal ustał.

Nie będę was zanudzał szczegółami operacji, ale w końcu sukinsyna wytropiliśmy. Jednostka Kontrataku „Lira” ma do dyspozycji metody i środki, o jakich policji się nawet nie śniło – a takich właśnie potrzebowaliśmy, gdyż Śmiszek nie był już żywym człowiekiem. Nawet nam nie było łatwo go wyśledzić. Jego umysł psychopaty został nieźle podrasowany w Piekło, a na dodatek w miejskiej dżungli San Judas o wiele łatwiej jest się ukryć niż w małych nadmorskich miasteczkach, w których grasował w latach siedemdziesiątych. Już po naszym włączeniu się do śledztwa zabił kolejną ofiarę, chłopca rozwożącego rankami gazety – a to nas w Harfie szczególnie mocno poruszyło. Znaczyło to też, że zaczął szerzej zarzucać sieci, co oczywiście nie uszło uwagi pismaków. W Jude wprost wrzało. Musieliśmy go jak najszybciej zneutralizować, w czym pomógł nam łut szczęścia: cynk od informatora naprowadził nas prosto na poszukiwanego.

Okazało się, że morderca nie mieszka w mieście, lecz w opuszczonej składnicy złomu

w Alviso, zamkniętej przez urząd ochrony środowiska z powodu skażenia toksycznego. Dla nieumarłego, który zatrucia nie musi się już obawiać, była to wymarzona kryjówka. Na mieszkanie nie wybrał sobie nawet baraku biurowego, tylko urządził sobie norę w stosie sprasowanych samochodów i gnieździł się w niej jak szczur.

Harfa była na miejscu pierwsza, co nam bardzo odpowiadało. Może to i trąci grzechem pychy, ale nie było jednostki, która by nie pragnęła takiej szansy. Otoczyliśmy jego górę złomu szczelnym pierścieniem, ale Śmiszek nie zamierzał się poddać; dopiero parę granatów zapalających wykurzyło go z dziury. Może nie chciał umierać drugi raz w ten sam sposób?

Porównałem go do szczura, ale właściwie to on był jak pajak – przynajmniej kiedy wyprysnął spod dymiącego żelastwa i zeskoczył na ziemię, zanim zdążyliśmy choćby unieść lufy i wycelować. Miał na sobie workowaty czarny dres z kapturem, a w ręku swój długi bagnet. Paroma susami dopadł jednego z naszych, Zoniela. Był tak szybki, że zdążył zadać mu trzy pchnięcia, zanim najbliższy stojący Sam rozłożył go ciosem kolbą w łeb. Rany były tak paskudne, że Zoniel musiał dostać nowe ciało – ale Rehebotowi dostało się jeszcze gorzej: bagnet wbił mu się przez oko w mózg. On też poszedł do odnowy, ale krótko potem zrezygnował ze służby i objął cywilne stanowisko w Domu. Powiedział nam, że samą śmierć jakoś by zniósł, ale dobił go widok twarzy tamtego, kiedy sztylet już wbijał mu się w oko. W życiu nie widział bardziej szczęśliwej miny.

Bóg jeden wie, ilu jeszcze naszych by poranił albo i sami byśmy się postrzelali, bo gnojek miał naprawdę błyskawiczne ruchy i waliliśmy do niego trochę na oślep. Ktoś jednak w końcu trafił go serią srebrnych kul i omal nie odciął mu nogi w kolanie. Śmiszek upadł i zaczął się czółgać, zostawiając na ziemi krwawą smugę. W pierwszej chwili myślałem, że odgłos, jaki wydaje, to przedśmiertne rżenie, ale wnet do mnie dotarło, że drań się normalnie zanosি rechotem. Śmiał się, kapujecie?

Byłem na tyle blisko, by wpakować mu kilka kul w głowę, i już nawet wycelowałem, powstrzymał mnie jednak Leo.

– Nie! – krzyknął. – Tego im tak zwyczajnie nie odeślemy.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, a już zupełnie zgłupiałem, kiedy dowódca mnie minął i opróżnił cały magazynek, strzelając Śmiszkowi w nogi. Krew, kawałki kości i ciała fruwały na wszystkie strony, ale bydlę nie przestawało się śmiać. Leo podszedł tuż do niego, kopnięciem odrzucił bagnet na bezpieczną odległość, a potem wsunął mu but pod brzuch i odwrócił twarzą do góry.

– Boże Ojczy Wszchemogący! – wyrwało się Samowi.

Ja pewnie zareagowałem w podobnym stylu.

Obydwaj niejedno paskudztwo w życiu widzieliśmy, Śmiszek przedstawiał jednak zdecydowanie najszkaradniejszy widok. Szara skóra w purpurowo-sine cętki opinała szkielet ciasno jak u zasuszonego trupa. Żuchwę miał wysuniętą do przodu niczym pirania i nawet przy zamkniętych ustach widać mu było dolne zęby: drobne, o nieregularnym kształcie, ustawione w linii prostej. Najgorsze były jednak oczy – całe czarne, z wąskim półksiężycem przekrwionego białka widocznym tylko wtedy, gdy zerkał na boki. Cały oddział (poza tymi, którzy opatrywali rany Zonielowi i Rebowi) zebrał się wokół niego, a on potoczył po nas ślepiami, rozchylił usta i znów zaczął chichotać, ukazując czarne, oślisłe podniebienie.

– Anioły! – zaskrzeczał. – Kocham was! Wszystko dla was! Wszystko dla was!

Sam gotów był go zastrzelić, ale Leo osadził go na miejscu.

– Nie! Opuścić broń, żołnierzu! – Pomachał telefonem komórkowym (były wtedy ogromne).

– Już wezwałem sprzątaczy.

Nigdy jeszcze nie słyszałem tego określenia i sądziłem, że chodzi o sanitariuszy. Ich też

sprowadził, żeby zajęli się rannymi, ale to nie o to chodziło.

– Pilnujcie go, ale nie ruszajcie – Leo zwrócił się do wszystkich. – Nie odeślemy go.

– Ale, szefie... – szepnął Sam. – Konwencja!

– Pieprzyć konwencję.

I nagle zrozumiałem, przynajmniej częściowo, w czym rzecz. Trzeba wam wiedzieć, że zgodnie z Konwencją Tartareńską możemy w czasie potyczek na Ziemi robić z ciałami demonów, co nam się żywnie podoba, tak samo jak oni z naszymi, ale kiedy już któryś umrze, koniec pieśni, wszystko wraca do stanu wyjściowego. Dusza wraca, skąd przyszła – do Nieba albo Piekła – i co się z nią dzieje potem, to już zależy od decyzji odpowiednich władz. Innymi słowy, można ubić diabła i odesłać go na Dół, ale nic jego zwierzchnikom nie przeszkodzi, jeżeli zechcą mu przywrócić formę cielesną. Według mojej ówczesnej wiedzy nie był to tylko paragraf konwencji, ale sama rzeczywistość: duszy zabić się nie da i szlus.

Dopiero później się przekonałem, że bywa z tym różnie.

Sprzątacze zjawili się jeszcze przed medykami. W powietrzu zaśniła iskrząca linia podobna do Zamka Błyskawicznego, którym otwieramy sobie przejście na Zewnątrz, żeby wyjść na spotkanie duszom nowo zmarłych. Weszło przez nią trzech facetów. Aniołów, znaczy... jak sądzę, choć pewności nie mam, gdyż odziani byli w coś w rodzaju kombinezonów przeciwchemicznych, ale innych niż można spotkać na Ziemi. Zamiast twarzy przez maski prześwitywały migotliwe niebieskie plamy. Nie odezwali się ani słowem, tylko podeszli do Leo, a on w milczeniu wskazał im Śmiszka.

Drań wciąż charczał i chichotał cicho, ale widać było, że słabnie z upływu krwi. Jeden z nowo przybyłych wyciągnął z powietrza – tak to w każdym razie wyglądało – coś jakby kawał wiotkiej tkaniny z pulsującego światła, strzepnął, żeby ją rozprostować, i płynnym ruchem narzucił na leżącego mordercę. Najpierw leżała na nim jak całun, ale zaraz zaczęła się obkurczać wokół niego, aż wreszcie ze Śmiszka zrobiła się tylko połyskująca, ciasno omotana, nieruchoma mumia.

– Odsunąć się, proszę – rzekł sprzątac.

Cała trójka wyciągnęła przedziwnej konstrukcji broń. Wielkością zbliżone to było do maca-11, ale zamiast lufy miało lejek jak w trąbce. Gdy nacisnęli spusty, z lejków wytrysnęły płomienie tak białe i gorące, jakby lało się przez nie jądro gwiazdy. Oskoczyliśmy daleko, ale i tak brwi mi się lekko przysmażyły.

Przysiągłbym, że przez te kilka sekund, zanim mumia obróciła się w kupkę dymiącego popiołu, wciąż słychać było ten sam upiorny rechot. A potem nastała cisza. Popiół się żarzył, kilka pasemek ciemnego dymu wzniosło się w górę cienką pajęczyną i rozpląnęło na wietrze.

Sprzątacze bez pożegnania otworzyli swój Zamek i zniknęli. Leo zabrał bagnet Śmiszka – może na pamiątkę, a może z innej, do dziś dla mnie niezrozumiałej przyczyny – i wszyscy wróciliśmy do koszar.

– Nie kapuję – rzekł Clarence. Wyglądał tak, jak ja się czułem: rozstrój żołądka i umysłu. – To co oni właściwie z nim zrobili?

– Ze Śmiszkiem? Nie mam pojęcia. Leo nie chciał o tym gadać. Na mój anielski rozum zapakowali go w coś, o czym tacy jak my nic nie wiemy, ale co zapewne nie pozwoliło jego duszy wrócić do Piekła. No i spalili go żywcem.

– Okropieństwo!

– Nie myślałbyś tak, gdybyś go zobaczył. Sęk w tym, że ostatniej nocy to właśnie jego widziałem. Walta Sandersa zasztyletował Śmiszek. Jestem jednak przekonany, że chodziło mu o mnie.

– Ale jak to możliwe? Powiedziałeś, że dusza tego demona spłonęła razem z ciałem.

– Nie wiem, powtarzam. Za to wiem coś innego i to mnie przeraża. Po czymś takim przywrócić go do życia nie mógłby jakiś zwykły diabeł. Leo twierdził, że już po jego duszy, i sam w to mocno wierzył. Według mnie to musi być sprawka Eligora. – Urwałem. Clarence wie o arcyksięciu i o nasłanym przez niego ghallu, nie zna jednak prawdy o Caz ani o tym, jak osobiste są moje porachunki z tym oberdiabłem. – Powiedzmy, że on mnie bardzo nie lubi. Domyślam się zaś, że tylko ktoś tak potężny jak on mógłby po raz drugi ożywić tego paskudnego stwora.

– Co więc zamierzasz robić?

Sięgnąłem po szklanę z resztką mojej krwawej mary; niesmak przemogły inne potrzeby. Wychyliłem ją jednym haustem i otarłem usta wierzchem dłoni.

– Sam chciałbym to wiedzieć, Młody.

Pięć Świński telefon



Prawdę mówiąc, miałem pewien pomysł, ale z realizacją musiałem odczekać do północy. Żeby utrzymać jasność myśli, przesiedziałem wieczorne godziny, słuchając na okrągło koncertu kwartetu Theloniousa Monka w Carnegie Hall. Niewiele mi to pomogło, gdyż myślałem wprawdzie jasno, ale głównie o tym, jak taka wspaniała muzyka mogła powstać w tak popieprzonym wszechświecie. Kiedy wreszcie wybiła dwunasta, ściszyłem odtwarzacz w połowie solówki Coltrane'a i zadzwoniłem do mojej ulubionej świni.

Tak naprawdę mój przyjaciel Tłuscioch (nigdy go tak w oczy nie nazywam), czyli George Noceda, świnia jest tylko w połowie. To świniolak: za dnia człowiek z mózgiem knura, od północy do świtu knur z ludzkim mózgiem. Wyjaśnienie dla feministek: Nie, miłe panie, to wcale nie znaczy, że jest typowym mężczyzną. Opis należy brać dosłownie.

– Bobby! – Głos Tłusciocha był jeszcze chrapliwy po transformacji. Powinienem być dać mu jeszcze kilka minut, ale spieszyło mi się jak diabli. – W co mogę cię zrobić?

– George, potrzebuję informacji, i to jak najszybciej. To może mnie uratować przed przemienieniem na ludzki kebab.

– Taa, jasne. A czegoś nowego nie mógłbyś mi raz powiedzieć? Jak kiedyś zobaczę na wyświetlaczu twój numer i usłyszę w słuchawce: „Spoko, George, nie ma pośpiechu”, to będę wiedział, że nadszedł prawdziwy koniec świata.

– Bez żartów, stary. Nie dzisiaj.

Kiedy wszystko zaczyna się sypać – a wszystko, co w moim życiu ważne, gnało już w dół jak śnieżna lawina – świat Bobby'ego D. może się w każdej chwili przeobrazić w kiepski horror ze scenami, od których nawet świniolak by zemdlał.

– George, muszę zdobyć wszystko, co się da, o jednym umarlaku, a raczej nieumarlaku. – Zreferowałem mu, co sam już wiedziałem o moim najświeższym problemie: o czarującym pierwowzorze i Śmiszku 2 oraz garstkę spostrzeżeń i spekulacji na temat Śmiszka 3.0 w wersji beta. – Dasz radę wyniucać coś na wczoraj?

Z parsknięcia, jakie usłyszałem w odpowiedzi, można by wnosić, że to już świt i Tłuscioch wraca do dziennej postaci (w rzeczywistości odgłosy są wtedy głośniejsze i mniej przyjemne).

– Oczywiście, panie Flegmatyk. Niech tylko coś sobie pochłepczę z koryta. Głodny jestem jak świnia.

– Czy ta... twoja inna postać się nie najada?

– Coś tam skubnie, ale nie tyle, żeby starczyło dla trzystu sześćdziesięciu kilo żywej wieprzowiny. Ale najpóźniej za pół godziny się do tego wezmę, Bob.

Zawsze jest dziwnie w środku nocy gadać ze świnia, ale jak na knura, George jest zdecydowanie najlepszym rozmówcą.

– Dzięki, stary. Wyślij mi to na komórkę, ale gdyby trafiło się coś ciekawego, to dzwoń o każdej porze.

– Nie ma sprawy, Dolar. Ale jeśli szukasz umarlaka, to może warto by pogadać z jakimś innym umarlakiem? Znasz ich paru, nie?

– Paru? Są moim chlebem powszednim. Ale najpierw muszę się trochę przekimać. Czuję się gównianie.

– Zawsze trzeba widzieć dobrą stronę. Ja w czymś takim sypiam.

Następnego dnia, kiedy słońce stało już na tyle wysoko, by nie świdrować mi mózgu, posłuchałem dobrej rady i udałem się z wizytą do siostr Sollyhull. To dwie Angielki w wieku balzakowskim – przed pięćdziesięciu laty zginęły w pożarze, który prawie na pewno same wywołały w celu pozbycia się rodziców. Z tego powodu oczywiście nie dostały się do Nieba, ale z jakichś innych względów ominęło je też Piekło. Damulki są trochę szurnięte, ale całkiem miłe, staram się więc nie myśleć za wiele o początku ich kariery. Zdobycie informacji, jakim cudem Śmiszek mógł tu wrócić, było dla mnie kwestią życia i śmierci, a one mnie lubią i zawsze są skore do pogawędki. Mój świat pełen jest takich postaci zawieszonych między jedną stroną a drugą (mój ryjący przyjaciel się do takich nie zalicza, gdyż nienawidzi Piekła tak bardzo, że każdą świadomą minutę poświęca szukaniu wszystkiego, co mogłoby mu zaszkodzić).

Siostrunie zastałem w restauracji, którą ostatnio nawiedzają. Wolałyby herbaciarnię, ale w San Judas widać brakuje tego typu lokali. Zająłem stolik w najdalszym kącie, gdzie nie rzucano się tak w oczy, że rozmawiam z ludźmi niewidzialnymi dla wszystkich poza mną. Jak zawsze przyniosłem im prezencik i po wymianie grzeczności oraz wesołej opowieści, jak Doris i Betty robiły kawały paru badaczom zjawisk paranormalnych, którzy zaczęli przesiadywać w ich ostatniej knajpie, postawiłem na stole przewiązaną kokardką puszczkę i uchyliłem wieczko.

– Mam coś dla was, drogie panie.

– A co takiego? – Doris nachyliła się z ciekawością. – Och, Bobby kochanie, pastylki! Betty, to pastylki fiołkowe!

– Mmm... cudownie! – Druga z siostr prawie wetknęła nos do puszek. – Francuskie! Ooch, jak one mi zawsze smakowały! Znacznie lepsze niż te od Braci Jakimtam, które dostawałyśmy od babci.

Pozwoliłem rozmówczyniom chwilę podelektować się aromatem. Tyle tylko mogły zrobić z moim prezentem, ale sądząc po odgłosach zadowolenia, było to i tak dużo. Zapytałem potem, czy wiedzą cokolwiek o zmartwychwstańcu zwanym Śmiszkiem, i podzieliłem się z nimi już posiadanymi informacjami na temat jego dwóch śmierci.

– Raczej nie, mój drogi – odrzekła Betty po namyśle. – Był taki jeden o ksywce Śmieszek, ale to wieki temu i w Anglii. Poza tym był bardzo wysoki i miał śliczne zęby. Jak perełki, można by przy nich czytać w ciemności. Wszyscy mówili, że umarł za królowej Wiktorii. No i on załatwiał swoje ofiary arsenikiem, prawda, Doris?

– Cyjankiem, kotku.

– A tak, masz rację! Cyjankiem. To chyba nie o niego ci chodzi, co?

– Raczej nie – przytaknałem.

– Była jeszcze Jęcząca Sally, ale to dziewczyna. Zasztyletowała kochanka i parę osób z jego rodziny bagnetem. Ponoć niezłą jatkę urządziła. Słyszałam, że zabiła się w więzieniu, a potem wróciła i włóczyła się po zaułkach koło kościoła Świętego Chada w Birmingham... ale dziś tamtędy biegnie ta okropna obwodnica, nie?

– Droga Królewska – potwierdziła Doris. – Naprawdę okropna.

– Właśnie. Czyli to też chyba nie ona. Nie ciągnęłaby się aż tu, do Ameryki. Ty zresztą szukasz faceta, zdaje się?

Było oczywiste, że niewiele mogą mi pomóc w kwestii samego Śmiszka, spróbowałem więc bardziej ogólnego pytania.

– Ale jak coś podobnego w ogóle jest możliwe? Słyszałyście kiedykolwiek, żeby ktoś raz umarł, wrócił, potem został wyegzorcyzmowany, czy jak to się tam u was nazywa...

– Proszę bez wulgaryzmów, mój drogi – przerwała mi Doris z godnością. – My też mamy uczucia, wiesz?

– Przepraszam. Więc... odesłany po raz drugi i potem znowu wrócił? Jak coś takiego może się zdarzyć?

– Szczerze mówiąc, nigdy mi się nic podobnego nie obilo o uszy, a tobie, Betty?

– Nie, kotku. I tak mi głupio, Bobby... kupiłeś nam takie pyszne pastylki i tak miło się z tobą gawędzi... Ale niestety, odpowiedzi będziesz musiał poszukać u kogoś bardziej kompetentnego. Próbowaleś już rozmawiać z Połamańcem?

Nie próbowałem i specjalnie mi się to nie uśmiechało, ale czułem, że innego wyjścia nie znajdę. Tak to już jest z duchami. Czasem są bardzo pomocne, czasem kompletnie bezużyteczne, ale zawsze mija dużo czasu, zanim się człowiek w tym zorientuje, wszystkie bowiem uwielbiają mleć ozorem i z reguły się powtarzają.

Podziękowałem damom wylewnie i wyszedłem, mijając nielicznych innych gości i kelnerki, z których żadna się nawet do mnie nie zbliżyła – by na przykład zapytać, czy coś zamówię. Najwyraźniej siostry Sollyhull zdążyły się już dać we znaki regularnej klienteli i było kwestią czasu, kiedy zaczną tu węszyć domorośle media i pogromcy duchów. Zaczynałem podejrzewać, że siostrzyczki się rozsmakowały w starym, dobrym straszaniu.

Jednym z licznych problemów w kontaktach z Połamańcem było to, że w przeciwieństwie do siostr Sollyhull nie udzielał informacji w zamian za pudełko tanich landrynek. Z tego, co wiedziałem, łobuz bierze ostatnio po dwa koła za sesję, a moje konto było prawie puste. Niebo nie płaci nam zbyt hojnie; no, ale przynajmniej nie musimy odkładać na emeryturę.

To był żart, ludziska. Jak przyszlście tu, żeby się pośmiać, można już zacząć.

Jeżeli miałem odwiedzić Połamańca, musiałem zebrać trochę kasy – a lista opcji w tym zakresie była nader krótka. Pamiętacie, że planowałem trzymać matadora w garażu u Orbana i jakoś uskrobać forszę na zakup tego chevroleta super sport, ale w lotto nie grywam i trudno mi było wymyślić scenariusz, w którym byłoby to możliwe bez niespodziewanej wizyty świętego Mikołaja. Teraz zaś wyglądało na to, że będę zmuszony po prostu sprzedać brykę. Kochałem ten wóz; kompletowanie oryginalnych części i remont zajęły mi kilka lat, że już nie wspomnę o znoszeniu nieustannych docinków Sama, Moniki i całej reszty z jego powodu. Musiał być wart co najmniej dwadzieścia tysięcy; niewiele tych modeli się zachowało. Ale skoro te pieniądze mogą uratować mą nieśmiertelną duszę, do której też w końcu jestem przywiązany... Trudna decyzja.

Ruszyłem pieszo wzdłuż zatoki, żeby to sobie przemyśleć, i doszedłem do postanowienia w tym samym czasie co do Przystani Solnych, gdzie stoi fabryczka Orbana. Znalazłem go w garażu, jak pykając z fajeczki, przyglądał się swoim napakowanym, wytatuowanym goryłom opuszczającym za pomocą podnośnika łańcuchowego solidną płytę stalową do kabiny cadillaca escalade – zapewne po to, żeby zapobiec przypadkowemu postrzeleniu kierowcy przez dupków wożących się na tylnym siedzeniu.

Węgier spojrzał na mnie spode łba.

– Czego chcesz, Dolar? – warknął tym swoim chrapliwym akcentem, którego przez te wszystkie lata nie zdołał się pozbyć. – Przyszedłeś mi wreszcie zapłacić za przechowywanie twojego gównianego autka?

Orban nie należy do osiłków, ale ma w sobie coś takiego, że jestem bardzo rad, iż jakoś się dogadujemy.

– Musimy porozmawiać – oznajmiłem.

Przy szklance żrącego odrdzewiacza, który rusznikarz nazywa swoim ulubionym gatunkiem czerwonego wina, zareklamowałem mu matadora. Krzaczaste brwi mego rozmówcy uniosły się ku łysinie. Dobrze wiedział, czym jest dla mnie ten wóz.

– No dobra. – Odchrząknął. – Dam ci za niego dziesięć...

– Dziesięć! – Propozycja tak mną wstrząsnęła, że poplamilem sobie spodnie egri bikaverem.
– On jest wart dwa razy tyle! A nawet więcej!

– Nie drzyj się. Nie dałeś mi dokończyć. Dam ci dychę i obiecuję nie wystawiać go na sprzedaż przez trzy miesiące. Oddasz forszę, bryka do ciebie wraca. Nie dasz rady, sprzedaję ją i dorzucam ci jeszcze dziesięć kół.

Innymi słowy, gość proponował mi trzymiesięczną nieoprocentowaną pożyczkę pod zastaw matadora. Równiacha z niego, trzeba przyznać. Naturalnie nie powiedziałem tego na głos, bo tylko bym go wkurzył, a nawet się trochę potargowałem, inaczej obraziłby się na mnie za zniewagę. Nie dał mi ani grosza więcej z góry, ale drugą ratę podniósł o dwa tysiące, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że samochód wart jest ze trzydzieści. Madziar głupi nie jest i patrzy swego, nawet gdy robi komuś przysługę. Dorzucił mi jeszcze „gratis” parędziesiąt srebrnych nabożów do mojej belgijskiej efenki. Woląłem być przygotowany na wypadek, gdybym się znów natknął na Śmiszka.

Z wypłaconych dziesięciu tysięcy dwa od razu mu oddałem za nieopancerzone brzydactwo, prastarego datsuna 510 z taką ilością zeschniętej trawy za zderzakami, że wyglądał, jakby mu domontowano złób. (Super sport, jak się okazało, miał pod maską nowiutki silnik L78, co uplasowało go powyżej moich możliwości finansowych). Ale te antyczne pięćsetdziesiątki też mają niezłego kopa, a Orban zapewniał mnie, że silnik jest w porządku. Podpisałem papiery, wyszedłem z biura, gdy otwierał sejf, i wziąłem resztę w gotówce. Węgier zbytnio nie dowierza bankom. Osiemdziesiąt franklinów to plik za gruby, by go trzymać w portfelu, zresztą portfel łatwo można zgubić, a kieszonkowcy też nie próżnują – włożyłem więc szmal w gatki. Zawsze tak robię i nic wam do tego.

Kanciasty wozik nad podziw dobrze trzymał się jezdnii. Ludzie kiedyś tuningowali ten model na wyścigi, choć z moim akuratem nikt się w takie rzeczy nie bawił. Po drodze przystanąłem przy fast foodzie w mojej dzielnicy i wziąłem parę hamburgerów na wynos, a potem zaparkowałem w bocznej uliczce kilkadziesiąt metrów od domu, tuż pod jedną z latarni, które właśnie się zapalały. Zamykałem drzwi kluczykiem, kiedy nagle coś na mnie wpadło od tyłu. Wyrzuciłem głowę w karoserię, aż mi gwiazdy zawirowały przed oczyma i przez parę sekund nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. A potem się zorientowałem, że leżę na wznak na chodniku i coś klęczy mi na klatce.

– Gdzie pióro? – szepnął napastnik. – No gdzie? Schowane gdzieś?

Światło jarzeniówki biło mnie prosto w oczy, nie widziałem więc twarzy osłoniętej cieniem od kaptura, ale poczułem smrodliwy oddech tamtego. Delikatnie przesunąłem nogi, żeby mieć lepsze oparcie, ale w tej samej chwili poczułem dotyk czegoś zimnego i ostrego jak igła strzykawki na lewej dolnej powiece.

– Dowie się wszystkiego – wycedził Śmiszek. – Tak, tak. Wszystkiego się dowie.

Sześć Połamany



Znieruchomiałem. Gdzieś niedaleko otworzyły się drzwi i mój przeciwnik zaalarmowany podniósł głowę. Klinga błysnęła odbiciem światła latarni; jej ostry czubek dzieliła od mego oka i mózgu tylko cieniutka warstewka skóry powieki. Drzwi zatrzasnęły się i ulicę znów spowiła cisza. Przekląłem się w duchu za zaparkowanie w odludnej o tej porze uliczce, zamiast stanąć na bardziej ruchliwej ulicy przed domem; cóż, wydawało mi się, że tak będzie ostrożniej... Jak ten sukinsyn wypatrzył mnie w samochodzie, którym jechałem pierwszy raz w życiu?

– Pióro. – Śmiszek wrócił do tematu. – Powiedz mu.

– Jakie pióro?

Ostrze nacisnęło mocniej, aż poczułem, że przebija naskórek. Wstrzymałem oddech.

– To zadaje pytania. Ty odpowiadasz.

– Nie mam go przy sobie.

Było to w zasadzie kłamstwo – w końcu nie zostawiłbym tak ważnego przedmiotu w jakimś niechronionym miejscu – ale nie do końca. Złote pióro spoczywało nieprzerwanie w kieszeni mojej marynarki, odkąd włożył je tam mój kumpel Sam – ale ponieważ użył w tym celu szczególnej anielskiej mocy, sam nie mogłem fantu nawet dotknąć. Nie wiem, ile z tego zrozumiecie, ale na dodatek była to ta wersja kieszeni, która istniała przed kilkoma tygodniami. Wiem, że to brzmi nonsensownie, więc przyjmijcie po prostu do wiadomości: jest pióro, jest kieszeń, ale nie można tam wsadzić łapy żadną ziemską metodą.

– Jest ukryte daleko stąd – powiedziałem. – Musiałbym po nie pojechać.

Zombi zachichotał. Ledwo się powstrzymałem, by nie zwymiotować. Kiedy coś, co powinno być martwe, siedzi ci na brzuchu, to już jest traumatyczne doświadczenie, ale ten okropny, papierowy śmiech był nie do zniesienia. Na Boga w niebiesiech, przecież na własne oczy widziałem, jak on płonie!

– Jechać? Ty nie jechać. Tylko powiedzieć, a to wtedy sobie samo znajdzie.

To. Śmiszek mówił o sobie „to”.

– Dlaczego miałbym ci powiedzieć? I tak mnie zabijesz.

Znów ten szeleszczący chichot.

– Bo to zna twoich przyjaciół. Widzi, kogo lubisz. Ma swój rozum.

Chciałem wierzyć, że to zwykła groźba. Znaczy, że jeśli mu nie zdradzę miejsca ukrycia fantu, zrobi krzywdę Monice, Clarence’owi i innym. Zwyczajnie, fizycznie, jak Sandersowi. Tylko że Walter jakoś nie wraca. Potwora, który mnie zaatakował, najwyraźniej nie da się uśmiercić; czy to możliwe, że zna też sposób, jak kogoś sprzątnąć na dobre, bez powrotu? Poza tym, skoro nagabuje mnie o pióro, to musi pracować dla Eligora – a tylko jeden Bóg i Jego najbliżsi współpracownicy wiedzą, na co stać arcyksięcia Piekła. Nie, takiego ryzyka podjąć nie mogłem.

– Dobra – powiedziałem. – Powiem ci, jak przyrzekniesz, że nikomu innemu nic nie zrobisz.

To mówiąc, uniosłem lewą rękę niby w geście kapitulacji. Miałem nadzieję, że on to tak odbierze, w prawym rękawie miałem bowiem ukrytą wypełnioną ołowiem pałkę. Nie było szans, żebym zdążył ją wyjąć, ale kiedy na moment obrócił uwagę na mą lewicę, z całej siły grzmotnąłem go w skroń. Liczyłem na to, że rozwalę mu czaszkę albo chociaż pozbawię

przytomności, ale nie wyszło. Głowa mu tylko odskoczyła w bok, lecz ta chwila zaskoczenia pozwoliła mi się wyswobodzić podrzutem tułowia. Otrząsnął się jednak błyskawicznie i zanim zdołałem się podnieść, znów się na mnie rzucił. Przetoczyliśmy się parę razy. Śmiszek nie wypuścił z dłoni majchra, czy co to tam było, i starał się dźgnąć mnie między żebra. Zastawiłem się prawym przedramieniem, żeby sparować cios pałką wciąż tkwiącą w rękawie, było to jednak pchnięcie, nie cięcie; ostrze prześliznęło się po niej bokiem, rozcięło tkaninę i przejechało mi po brzuchu. Poczułem ból, jak gdyby ktoś chciał mnie wytatuować lutownicą. Cudem udało mi się spod niego wywinąć i przeturlać kawałek dalej. Zdażyłem wsunąć dłoń do kieszeni, ale on już był znów przy mnie; wyjąć pistoletu nie miałem czasu, wystrzeliłem więc przez materiał, pakując mu trzy kule w tułów. Gdybym się bardziej interesował własnym bezpieczeństwem niż nową bryczką, byłyby srebrne – niestety, w magazynku spoczywały tylko zwyczajne naboje, a nowy zapas od Orbana bez sensu zostawiłem w schowku datsuna. No, ale w końcu Śmiszek miał jakąś doczesną powłokę, więc rany powinny go przynajmniej unieszkodliwić, jeśli nie wykończyć.

Już się domyślacie? Założenie okazało się błędne. Mały sukinsyn wprawdzie się zachwiał i omal nie opadł na kolana – wykorzystałem to, by się odsunąć dalej – ale trzy kawałki ołowiu w bebechach nie wywarły na nim większego wrażenia. Wydobyłem w końcu spluwę z kieszeni i próbowałem powtórzyć serię, ale równie dobrze mógłbym ciskać piłeczkami tenisowymi w przerażonego kota. Kiedy naciskałem spust, puścił się skokami w taki zygzak, że ani przez mikrosekundę nie miałem go na muszce, i zanim się połapałem, już byliśmy w zwarciu. Walnąłem go kolbą w łeb w tej samej chwili, gdy długie ostrze przechodziło mi pod pachą, kalecząc bok. Dotarło do mnie, że na razie chce mnie tylko obezwładnić, nie zabić – nadal wszak nie wiedział, gdzie jest pióro. Jeśli jednak tak wygląda w wydaniu powściągliwym, to mam przekichane: równie szybkiego drania w życiu nie widziałem. Zrozumiałem też, że moim jedynym atutem jest przewaga masy i wzrostu, a jemu przeszkadza niezwykle duża długość majchra – żeby zadać pchnięcie, musiał odchylić ramię daleko w tył.

Przy kolejnym ataku zrobiłem unik, pozwalając, by poniósł go impet, i pochyliwszy głowę, rąbnąłem go z całej siły bykiem w twarz, oplótłem ramionami i pchnąłem do tyłu.

Unik nie wyszedł mi tak, jak planowałem; bagnet rozorał mi ramię, co zabolalo bardziej, niż sobie wyobrażacie. Krwawiłem już z kilku ran jak zarzynane prosię. Wiedziałem, że jeśli przeżyję tę walkę, nieźle się nacierpię; na razie jednak jechałem na czystej adrenalinie wzmocnionej nadzieją, że tym ruchem sprowadzę go do parteru i może coś w nim pęknie przy uderzeniu o beton.

Sukinsyn mógłby wygrać w zapasach z ośmiornicą. Owinął mnie nogami i ścisnął tak mocno, że to mi pękło żebro. Mogłem tylko zacisnąć zęby i zignorować kłujący ból, bo gdybym go puścił czy choćby zmniejszył siłę uścisku, wywinąłby mi się i natychmiast dźgnął tym swoim rożnem na przykład w kark, a potem spokojnie odholował sparaliżowanego w jakieś ustronne miejsce, gdzie mógłby mnie swobodnie przesłuchiwać.

Śmiszek zdołał uwolnić nieuzbrojoną rękę i oplótłszy nią moją czaszkę, ścisnął tak potężnie, że omal mi krew nie strzeliła fontanną z czubka głowy. Jak przez watę dotarło do mnie wycie syreny; jakże pragnąłem, żeby się przybliżało! – nie mogłem jednak tego ocenić, kiedy czerep wypełniały mi grzmoty i czerwona luna. Pistolet dawno wypadł mi z dłoni, pamiętałem jednak, że w rękawie wciąż mam pałkę, zacząłem więc tłuc przedramieniem po chudych plecach, licząc desperacko na to, że roztrzaskam mu kręgosłup albo chociaż odbiję nerę.

Bydłę parsknęło śmiechem. Ta straszna, trupia gęba była o centymetry od mojej i gdybym nie walczył o życie, z pewnością bym się porzygał od smrodu z jego czarnej gardzieli. Oczy mnie piekły, i to nie tylko od zalewającego je potu. Namacalnie czułem siłę jego żyłastego karku i zdawałem sobie sprawę z własnej bezsilności. Ledwo mogłem utrzymać głowę poza zasięgiem

tej rybiej szczęki, usiłującej dopaść mego ucha, nosa, policzka – czegokolwiek, co mogłaby odgryźć czy oderwać – wałać go zapamiętała po plecach.

– To lubi tańczyć! – zionął mi prosto w ucho. – O, tak! Bardzo lubi potańczyć.

Dźwięk syreny policyjnej był już jednak zbyt głośny, by go dalej ignorować. Co najmniej jeden radiowóz pędził ku nam ulicą, podskakując na garbach ograniczających prędkość. Poczułem, że Śmiszek na chwilę zwalnia uścisk, i zaryzykowałem rozluźnienie prawej ręki na tyle, by lewą wziąć solidny zamach i przyłożyć mu ołowiem w potylicę. Jestem silniejszy niż przeciętny normalny mężczyzna i taki cios zwałiby z nóg – jeśli nie zabił – każdego zwyczajnego napastnika. Mój sparingpartner potrząsnął jednak tylko głową, jakby mu w uszach strzyknęło przy zjeździe górską drogą, po czym silnym pchnięciem rąbnął mi głową o chodnik. Napiąłem wszystkie mięśnie, czekając na nieuchronny cios bagnetem.

– To na razie, Bobby, niedobry aniołku – usłyszałem świszczący szept. – Już niedługo!

W następnej sekundzie już go nie było: jednym susem przesadził czyjś żywopłot i zniknął w ciemności. Usiłowałem się podnieść do siadu, ale nie mogłem. Na ulicę padało światło z kilku otwartych drzwi, w oknach widziałem sylwetki mieszkańców. A potem padł na mnie snop światła z policyjnego szperacza, wypełniając mój świat boleśnie jaskrawą bielą. Nie pamiętam, co się działo dalej.

Interludium



Leżałem na brzuchu, na przemian przysypiając i budząc się. Caz tuliła się do mych pleców, biorąc mnie w łóżeczkę. Z początku myślałem, że to przypadkowe dotknięcia, potem jednak zdałem sobie sprawę, że powoli ociera łonem o mą kość ogonową, okrężnymi, ledwo wyczuwalnymi ruchami. Nawet nie wiem, czy robiła to na jawie.

Wysiliłem się na rubaszny dowcip, za co potem plulem sobie w brodę.

– Co to, bawimy się w dominę? Teraz to ty mnie posuwasz?

Zastygła w bezruchu. Mówię poważnie: zeszywniała na drewno, jak zapędzone w pułapkę zwierzę nieruchomiejące, by nie być zauważonym. Po wszystkim, cośmy już razem wyprawiali, zdołałem ją jednak zaskoczyć. Zupełnie jakbym nagle otworzył okno z widokiem daleko, pięćset lat w przeszłość, kiedy była zawstydzoną średniowieczną dziewczyną, katolicką szlachcianką z uczuciami, których mieć nie powinna.

– Ja... Ja nie...

– Hej! – powiedziałem szybko, odwracając się do niej przodem. – Hej, nie przejmuj się. Przepraszam cię, to tylko taki durny żarcik. Może jeszcze nie zauważyłaś, ale często mi się to zdarza.

– Ja tylko... Wąchałam cię. No i mnie to... wiesz.

– No i jak pachnę? Napalm o poranku? Milusi aniołek?

– Zamknij się. Pachniesz jak Bobby. Muszę zapamiętać.

Teraz to ja byłem zaskoczony. Wiedziałem, że Caz boi się wspomnień i jakie ma powody, ale wolalem o tym nie myśleć. A teraz chce zapamiętać mój zapach? Wycofałem się za tarczę głupiego humorku w nadziei, że zdołam jeszcze przywrócić tę chwilę, kiedy byliśmy tylko we dwoje w rajskim ogrodzie.

– Więc mówisz, że to nie była gra w dominację...

– Do tego nie muszę cię posuwać, aniołku, to się rozumie samo przez się. Nie zapominaj, że jestem diabolicą bardzo wysokiej rangi.

– Aha... Dobrze mi to wbiłaś w pamięć na samym początku tego wieczoru. Omal mnie nie zabiłaś.

– No widzisz? Już wtedy ci pokazałam, kto tu jest górą.

– Górą, akurat. Zdaje się, że to ja wylądowałam na tobie, nie na odwrót.

– Tylko dlatego, że ci pozwoliłam. My, kobiety, używamy tej sztuczki od tysięcy lat. Och, jaki jesteś duży i silny, obezwładniasz mnie! A wy zawsze się na to nabieracie, tępaki.

– Jak mawiał pewien mędrzec, tępak tępakiem, a wacek wackiem.

Przez chwilę patrzyła na mnie, nie rozumiejąc.

– Gadasz bez sensu.

– Tak, chyba coś pokręciłem. Może to miało być: mój wacek moją basztą.

– Nic dziwnego, że nie mogę zasnąć. – Uderzyła mnie pięścią w ramię. Nie za mocno. –
Dzielę łóżko z niebezpiecznym skrzydlatym idiotą.

Siedem Skazany na wolność



Myślałby kto, że walka z dwukrotnie zmarłym zabójcą, liczne rany klute i złamane żebro to dość rozrywki jak na jeden dzień, ale mój się jeszcze nie skończył.

Po sparingu ze Śmiszkiem odzyskałem przytomność tylko na chwilę, co jednak wystarczyło, bym się zorientował w stanie mojej doczesnej powłoki – miałem wrażenie, że jestem workiem potłuczonego fajansu owiniętym w poparzone nerwy – oraz najbliższym otoczeniu (białe ściany, sprzęt medyczny, ostre światło), po czym nagle znalazłem się zupełnie gdzie indziej.

W Niebie.

Takie raptowne przeniesienie z obolałej ziemskości do bezcielesnej i wzniosłej formy niebieskiej podziałało lepiej niż końska dawka ketonalu, ale uczucie ulgi osłabił nieco widok mojego szefa, archanioła Temuela, oraz wyrazu jego nie-całkiem-twarzy.

Im wyżej się stoi w niebiańskiej hierarchii, tym mniej się przypomina zwykłą osobę. O ile wiem, podczas wizyt w Domu wyglądam jak połyskliwa, nieco rozmyta wersja mojego ziemskiego „ja”, ale trudno tu o pewność, gdyż jeśli czegoś w Niebie brakuje, to powierzchni lustrzanych. Temuel (alias Muł, jak go zwiemy między sobą) zawsze jest jeszcze bardziej mglisty i mniej człekokształtny, a już wyższej rangi aniołowie tylko z rzadka sprawiają wrażenie, jakby pod tą ich całą świetlistością kryła się jakaś realna postać. Wiecie, taka na obraz i podobieństwo. Prędzej bym powiedział, że gdzieś w środku ich zewnętrznego światła jest inne, wewnętrzne. Trudno to ubrać w słowa; jak tu kiedyś traficie, sami się przekonacie.

– Aniele Doloriel, Bóg cię kocha – przywitał mnie Muł. – Dobrze się czujesz?

– Teraz i owszem. Ale ktoś wyciął mi niezły numer tam na dole i powrót do ciała nie będzie zabawny.

– Oczywiście, oczywiście... – Szef zamilkł na długą chwilę. Nie bardzo mi się podobała niewypowiedziana implikacja, że ów powrót wcale nie jest taki pewny. – Chcą nas widzieć w Izbie Sądu – powiedział w końcu. – Idziemy.

Gdybym teraz miał ciało, przeszłyby mnie ciarki, mówię wam. Przy złamaniu żebra pewnie byłoby to jeszcze mniej miłe uczucie. W Izbie byłem wcześniej tylko raz i wiem, że to, co się tam dzieje, ogólnie można zaliczyć do Sakramencko Poważnych Spraw.

Temuel ujął mnie pod ramię i nagle byliśmy w drodze. Powiem inaczej: z punktu A przemieściliśmy się bezpośrednio do B. Tak się podróżuje po Niebieskim Mieście, chyba że ktoś woli się włóczyć po jego przestronnych, lśniących alejach. Nie zdążyłem zadać Mułowi ani jednego pytania – i może o to mu właśnie chodziło. Z pewnością nie wyglądał na uszczęśliwionego, a więc i ja nie miałem się z czego cieszyć.

Izba Sądu wywiera sto razy większe wrażenie, niżbyście się spodziewali. Ważniejsze budowle w Domu zawsze z lekka trącą stylem socrealistycznym, jak gdyby głównym ich zadaniem było uświadamianie indywidualnym duszom, jak są małe i bez znaczenia. I wiecie co? To działa. Jak cholera.

Izba przypomina nieco katedry gotyckie, ale jej gigantyczne proporcje nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że architekt nie musiał się przejmować ziemskimi problemami w rodzaju grawitacji, masy czy wytrzymałości konstrukcji. Wzniesiona jest niemal w całości z czystego światła i tylko cienka jak pajęczyna struktura nośna pozwala się zorientować, że się do czegoś

weszło. Pośrodku sali dość wielkiej, by nawet w ludzkich kategoriach mogła pomieścić setki tysięcy osób, stoi ogromny obelisk z płynnego kryształu. Mówię: płynny, ponieważ jest wewnątrz ruchomy, kryształ zaś, bo ruch jest ledwo dostrzegalny. Wiem, gadam jak na haju, ale trzeba tu być, żeby to zrozumieć. Ów brylantowy wodospad z milionami szlifów nazywa się Paslogionem i jest chyba czymś w rodzaju zegara, albo może wyobrażeniem idei podobnej do czasu. Nawet nie pytajcie, jak go odczytywać, nie mówiąc o zasadzie działania. Nie wiem nawet, czy to rzeczywiście jakieś urządzenie, czy tylko dekoracja jak wieża Eiffla czy Statua Wolności. Mogę tylko powiedzieć, że to jedna z najbardziej niesamowitych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Już tylko patrząc na Paslogion, ma się odczucie, że gdyby pojąć, o co w nim chodzi, zrozumiałoby się właściwie całą istotę wszechświata, i że nieskończoność musi brzmieć jak dzieła wszystkie Jana Sebastiana Bacha grane jednocześnie, a mimo to w pełnej harmonii. Cały ten splendor byłby może mniej przytłaczający, gdyby w chwili naszego wejścia w Izbę coś się już działo. Poza nami dwoma i Paslogionem nie było tam jednak nikogo.

– Tu cię zostawię – powiedział Temuel i po prostu zniknął.

Nie mogłem się oprzeć pytaniu, czemu tak mu się spieszy, by stąd wyjść – a żadna z nasuwających się odpowiedzi nie dodała mi ducha.

W Niebie trudno myśleć negatywnie. Przez większość spędzanego tam czasu czuję się jak mała foczka brutalnie spalowana skondensowanym szczęściem, ale tym razem, przyznam szczerze, moje myśli na temat szefa, jego nagłego odejścia i zostawienia mnie własnemu losowi były nie do końca pozytywne. A gdzie prawo skazańca do pociechy religijnej? Czy ktoś nie powinien chociaż potrzymać mnie za rękę, gdy będę czekał na egzekucję? Ale z drugiej strony... Jeżeli jednak moi przełożeni zdecydowali się w końcu posprzątać ten bałagan, który zawsze uosabiałem, to czy musieliby się bawić w ściąganie mnie tutaj, żeby mnie załatwić, i to nawet bez widowni? Przecież mogą mnie w każdej chwili zwyczajnie wyłączyć jak groźący zwarem grzejnik. Dla Nieba to pestka. A może chcą w ten sposób przypomnieć, jak marnym jestem robaczkiem, zanim mnie rozdepczą?

Tuż pod powierzchnią świadomości tłukła się we mnie myśl, że nie powinienem był kłamać przed wysokim Eforatem. Starożytni Grecy nazywali taką zadufaną postawę *hybris*; po naszymu coś jak „wybór kretyna”.

I nagle już nie byłem sam.

– Aniele Doloriel, Bóg cię kocha – odezwał się strumień światła słodkim głosem dziecka. Zajęło mi dobrą chwilę, zanim w tej cudnej poświacie rozpoznałem Anaite, jedną z piątki anielskich bytów, którym przydzielono zadanie trzymania mnie w ryzach, albo też przygotowania mojego unicestwienia. – Przysłano mnie, abym ci przekazała werdykt Eforatu.

Zebrałem się w sobie, gotów na najgorsze.

– Ale zanim... – Zawahała się, a jej blask lekko przygasł i zafilował jak świeca w słabym przeciągu.

Chyba trudno jej było dobrać słowa. W życiu nie widziałem, żeby anioł z wyższej sfery okazał jakkolwiek niepewność – ale nie dane mi było dłużej się nad tym zastanowić.

– Ale zanim zaczęłaś, przypomniłaś sobie, że powinnaś poczekać na resztę delegacji – odezwał się inny głos.

W eksplozji złotych promieni objawił się nam Karael.

Teraz już Anaiteomal nie zgasła. Zinterpretowałem to jako krańcowe zaskoczenie – reakcja, jakiej też nie należy się spodziewać po ich świetlistościach.

– To ty, Karaelu?

– Eforat zdecydował, że werdykt mamy przedstawić we dwójkę – powiedział anioł-wojownik, blaknąc nieco i przybierając bardziej ludzki kształt. – Ty jednak wyszłaś, zanim

dokończyliśmy dyskusję.

– Ja... nie wiedziałam.

Anaita była wyraźnie zaszokowana; tak to oceniłem, choć równie dobrze mógłbym starać się odczytać mowę ciała czerwonego karła dwie galaktyki stąd. Co się dzieje między tą dwójką? Czyżbym był świadkiem waśni? Albo czegoś jeszcze dziwniejszego? Byłem pewien, że archaniela chce mi coś dać do zrozumienia, tylko co?

– To bez znaczenia. – Karael zwrócił się do mnie, pusząc swą pozłocistą aurę. – Eforat wciąż jest zaniepokojony wydarzeniami, w które jesteś zamieszany, aniele Doloriel, ale oczywiście Najwyższy chce tylko sprawiedliwości. Dlatego odkładamy werdykt w twojej sprawie.

– To znaczy, że co? – spytałem, nie wiedząc, czy się cieszyć, czy wkurzyć.

– To znaczy, że nadal to nas martwi, ale inne sprawy wymagają naszej uwagi – wyjaśniła wyraźnie skwaszonym tonem Anaita.

Zazwyczaj w Domu staram się trzymać dziób na kłódkę, co ułatwia mi panująca tam deczko narkotyczna atmosfera. Ale zazwyczaj nie bywam świeżo podziurawiony w kilku miejscach przez krwiożerczego zombi, a zaraz potem wyrwany do Nieba na ochrzan.

– Hej, mnie też coś martwi – palnąłem. – To mianowicie, dlaczego niby to ma być moja wina, że przydarzają mi się te wszystkie historie?

Mówi się, że najlepszą obroną jest atak i takie tam różne. Cóż, zawsze można próbować. Jeżeli nie zamierzają wypowiedzieć mi pracy, to chyba drobnym pyskowankiem nie przeciągnę struny. Jeśli zaś tak, to... trudno, ale wolę odejść z boskiego planu na własnych nogach, a nie na kolanach.

– Rozumiem cię – odrzekł Karael. – I właśnie dlatego ta sprawa trafiła przed Eforat do rozsądzenia, Dolorielu, abyś na pewno został sprawiedliwie potraktowany. Wiem, że chcesz wracać do pracy.

Chciałem przede wszystkim mieć trochę spokoju i móc się zastanowić, w jakie szambo się tym razem wpakowałem, ale z ust wyplęło mi tylko pokorne:

– Tak jest, panie. Tego właśnie pragnę.

– Ale na to akurat Eforat nie może ci pozwolić – poinformowała mnie Anaita. – Przynajmniej chwilowo, dopóki nie znajdziemy czasu, żeby rozważyć wszystkie implikacje tej sprawy... tej *sytuacji*. – Bez wątplenia był w tym jakiś ukryty podtekst, nie wiedziałem jednak, czy na mój użytek, czy Karaela. – Charakter twojej pracy wymaga zaangażowania w zbyt wiele obszarów będących wciąż przedmiotem naszego dochodzenia, Dolorielu.

– No dobrze, ale co to znaczy, że werdykt jest odłożony? – nalegałem. – Do kiedy?

– Aż nadejdzie właściwy moment – osadził mnie Karael denerwującym tonem z gatunku „nie musisz tego wiedzieć”. A potem jego głos nabrał twardości stali. – Do tego czasu, aniele Doloriel, jesteś zawieszony w czynnościach adwokata. Możesz pozostać tutaj albo wracać na Ziemię.

Byłem bardziej niż wstrząśnięty, ale wiedziałem, że dalej nie ma co brnąć. Mogło być w końcu znacznie gorzej, a tak przynajmniej będę miał czas na przemyślenie następnego ruchu. Uznałem jednak, że nie mogę teraz tak raptownie zmienić frontu.

– I to wszystko? Zawieszony i szlus? Do nie wiadomo kiedy w mglistej przyszłości?

– Za bardzo przesiąknięś ziemskim życiem, Dolorielu – skarciła mnie Anaita. – Poza śmiertelnością czas nie ma znaczenia.

– No tak... – Trudno, trzeba pogodzić się z rzeczywistością. – To może...

– Tu nie ma żadnego „może” – przerwał mi Karael. – Eforat tak postanowił. Wezwiemy cię w odpowiednim czasie. Ty zaś czekaj w pewności, że Bóg cię kocha. Żegnaj.

I w jednej chwili wszystko zniknęło: eforowie, olśniewający Paslogion, Izba Sądu. Wasz

ulubiony narrator znów był w swym ułomnym ziemskim wcieleniu, aktualnie hospitalizowanym na okoliczność ostrej postaci skopania tyłka przez Śmieszka.

Zostałem skazany na wolność. W zawieszeniu.

Osiem Starzy przyjaciele



W szpitalu nie poleżałem długo. W „Sekwoi” ciągle brakuje łóżek, a na aniołach rany się goją jak na psie, więc lekarze, widząc szybką poprawę stanu pacjenta, nie próbowali mnie zatrzymać, gdy zgłosiłem chęć wyjścia na własne żądanie. Wysłuchałem tylko przestrog młodej pani doktor, że muszę przez jakiś czas unikać intensywnych ćwiczeń i nadmiernego wysiłku. Nie zwróciłem jej uwagi, że adresatem wykładu powinien być pewien gość z gębą piranii i bardzo niewłaściwym podejściem do bliźniego.

Policja przesłuchiwała mnie w sprawie napadu, ale że brano mnie za prywatnego detektywa rozpracowującego poważne oszustwo ubezpieczeniowe, nikt się za bardzo nie dziwił i nie doszukiwał Bóg wie czego. Niebo umie sobie radzić z biurokracją, a ja nie zaniedbywałem aktualizacji pozwolenia na noszenie ukrytej broni, wydanego mi jeszcze za czasów Harfy, więc nawet pistolet mi oddano. Gdy tylko dostałem się do datsuna, natychmiast wymieniałem naboje w magazynku na srebrne. Do mieszkania nie było po co wracać, skoro Śmiszek najwyraźniej znał mój adres, wyrzuciłem więc tylko skamielinę, w jaką zamieniły się kupione tamtego wieczoru frytki i hamburger, i pojechałem przed siebie wzdłuż Bayshore.

Zaparkowałem w Southport i pokuśtykałem ku ruinom lunaparku Shoreline, nie wiedziałem bowiem, jak inaczej się skontaktować z Samem, a pilno mi już było z nim pogadać. Pokluczyłem trochę po mieście dla upewnienia się, czy nikt mnie nie śledzi, no i czujnie się rozglądałem dookoła przez całą drogę pośród rdzewiejącego żelastwa i na pół przegniłych pawilonów ze sklejki. Dotarłem do beczki śmiechu i zostawiłem wiadomość na lustrze, które mi wtedy wskazał – oczywiście nic zbyt dosłownego, zwyczajne „Tam, gdzie jedliśmy obiad, o 19.00”. Sam na pewno pamięta tę azjatycką knajpkę i jego w tym głowa, by dostać się tam niepostrzeżenie. Pytanie tylko, czy i kiedy znajdzie mój napis? Przygotowałem się duchowo na korzystanie z birmańskiej kuchni przez co najmniej kilka kolejnych wieczorów, ale są przecież gorsze sposoby spędzania czasu.

Jak się okazało, kulinarna podróż nie miała być długa. Już pierwszego dnia, gdy tylko złożyłem zamówienie, w drzwiach stanął Sam we własnej osobie à la Robert Mitchum, w typowym wygniecionym płaszczu i z tą swoją dużą, workowatą gębą.

– Wzięłeś dla mnie placki? – spytał zamiast powitania.

– Jak chcesz placków, to sam je sobie zamów, leniwy skunksie.

Jak dobrze było znów go zobaczyć! Wyglądał na zrelaksowanego i uśmiechał się szeroko. Wsunął się do boksu, przywołał kelnerkę, zamówił swój klasyczny zestaw, po czym omiół mnie spojrzeniem.

– Trochę nowych siniaków, jak widzę. Czyżby Karael ze swoją drużyną wzięli cię w obroty?

– Chciałbym, żeby tak było – burknąłem i opowiedziałem mu, komu zawdzięczam tę kosmetykę.

– Pieprzysz!

Kelnerka postawiła przed nim piwo imbirowe i mój kumpel wyłopał prawie całą szklanę, jakby długa podróż z Trzeciodrogowa wysuszyła mu gardło.

– Przecież Leo go zapakował w worek i spalił!

Dziwne, jak szybko wszystko zdawało się wracać do normy. Zupełnie jak gdybyśmy nie

przeszli razem przez cały ten zwariowany cyrk, a on nigdy mnie nie okłamał. Czuję jednak zarazem, że jest we mnie małe puste miejsce po czymś nie do odzyskania, choć starałem się nie zwracać na to uwagi.

– Nie musisz mi o tym mówić, Sam. Ale to był Śmiszek. Poprawka: to jest Śmiszek i wciąż gdzieś tam się na mnie czai. Myślę, że nastał go Eligor.

– Eligor? – Sam uniósł brwi. – A czemu miałby to robić? Chyba masz jeszcze to jego pióro, nie?

To właśnie mój druh mi je podrzucił, ratując w ten sposób przed piekielną intrygą. Szkoda tylko, że zapomniał mi o tym powiedzieć od razu, zamiast po tygodniach; między innymi przez to omal nie zginąłem na jakieś parę tysięcy bardzo, bardzo ciekawych sposobów.

– Tak, mam je – odrzekłem. – A przynajmniej tak sądzę, bo przecież nie mogę tego sprawdzić. I zgadzam się z tobą, że gdyby Eligor miał trochę oleju w głowie, zostawiłby mnie w spokoju. Tylko widzisz... – Odetchnąłem głęboko. – Ta cała afera ciut wykracza poza ramy zdrowego rozsądku. Muszę ci coś powiedzieć.

Streściłem mu całą historię z hrabiną Zimnoręką: dziwaczną, nadającą się wprost do bulwarówek: „Anioł kocha diablicę!”... „Sprzedałem Niebo za piekielne bara-bara”. Chwytniwe, pikantne, szokujące – tylko nikomu by nie przyszło do głowy, że jeśli komukolwiek ten romans zaszkodził, to tylko nam obojemu. Aha, i jeszcze Eligorowi. Arcyksiążę z pewnością uważał się za poszkodowanego.

Sam milczał długo, kiedy skończyłem. Poprosił kelnerkę o drugą butelkę, a gdy ją przyniosła, poruszając się z wdziękiem wielbłąda brnącego przez burzę piaskową, nalał sobie powolutku, podniósł szklanekę, obejrzał pod światło i obrócił pierwszy łyk w ustach niczym degustator zastanawiający się nad oceną tegorocznego beaujolais nouveau.

– No, Bob – mruknął w końcu. – Muszę przyznać, że wysoko podniosłeś poprzeczkę wszystkim popieprzeńcom tego świata.

– Fakt. – Na przekór sytuacji musiałem się roześmiać.

– Nie mam ci specjalnie za złe, żeś przeleciał dybuka. – Sam lubił od czasu do czasu wtrącić w rozmowie jakieś żydowskie słowo. Może uważał, że to brzmi bardziej intelektualnie, a może po prostu dla kawału, że niby taki na oko typowy bostoński Irlandczyk, a zasuwa brooklińskim jidysz. – Ale zdecydowanie mógłbyś lepiej wybrać sobie mroczny przedmiot pożądania niż akurat naczelną flamę Eligora! Co więc zamierzasz robić?

Ba. Tego to ja sam nie wiedziałem. Rozumiałem tylko, że arcyksiążę musiał zdecydować, że nie będzie czekał, aż trafię do Pieła normalną drogą, i wysłał mi specjalne zaproszenie.

– Nie widzę innego wyjaśnienia – odrzekłem. – To musi być jego sprawka, nie? Obaj na własne oczy widzieliśmy, jak sprzątacze pakują Śmiszka w worek. Leo kazał go spalić. To jak inaczej gość może teraz deptać mi po piętach?

– Tak, na to wychodzi, że podpadłeś komuś z dużymi możliwościami. A skoro już o Śmiszku mowa, co się stało z Waltem Sandersem?

– Jeszcze nie wrócił. Ani słycho. I powiem ci, że to zaczyna dziwnie wyglądać.

Sam dokończył ostatni placek *pratha*, nabierając nim sosu curry jak warząchwia, a potem wychylił do dna swoje piwo.

– Chodźmy stąd, Bob.

Przenieśliśmy się do parku Peers i usiedliśmy na ławce. Latarnie już się paliły, po alejkach spacerowały rodziny z dziećmi, ciesząc się ciepłem wiosennego wieczoru, co trochę przygasiło we mnie poczucie zagrożenia atakiem ze strony dwukrotnie zmarłego zombi z bagnetem, ale mój towarzysz figurował na liście poszukiwanych przez samo Niebo, więc do pełnego relaksu było mi daleko.

– No dobra – zaczął Sam, gdy się przyglądaliśmy, jak jakiś facet usiłuje nauczyć swego ewidentnie upośledzonego umysłowo psa aportowania piłeczki tenisowej. – Złota myśl numer jeden. Tylko debil może powiedzieć: wróg chce mnie zabić, więc mu to ułatwię, pakując się na jego teren. Próba zakradnięcia się do Piekła to najdurniejszy z twoich zadziwiająco durnych pomysłów w całej karierze. Wiesz o tym, prawda?

– Nie wiem, co innego mógłbym zrobić, Sam. Nie mogę jej po prostu tam zostawić. Eligor też nie da mi spokoju, jak widać.

– Wiedziałem, że powiesz coś w tym stylu. – Samariel wydał pomruk irytacji i zniecierpliwienia. – Tylko jak się tam dostaniesz? A jeszcze lepiej, jak ją stamtąd wyprowadzisz? Cholera, nawet gdyby cała masa cudów ułożyła ci się jeden na drugim i obie te rzeczy by ci wypaliły, to gdzie chcesz ją tu przed nim schować, co?

– Zgadza się, mam tonę problemów. Miałem nadzieję, że ty mi pomożesz niektóre rozwiązać. Znów skwitował to gniewnym prychnięciem godnym hipopotama.

– Człowieku, to dalece wykracza poza moje kompetencje! Ale zgadzamy się, że pomysł wkroczenia Bobby’ego Dolara do Piekła można zaliczyć do poronionych, nie? Bo nie przetrwałbyś tam dziesięciu sekund.

– A co z ciałami, które macie do dyspozycji? Znaczy, wy tam w Trzeciej Drodze.

– Brachu, Kefas dał mi dostęp tylko do jednego i w konkretnym celu: żeby jakoś uwiarygodnić tę całą historię z Magami. – Sam mówił o Stowarzyszeniu Magów, grupie zbuntowanych aniołów, którzy werbowali dusze do Trzeciej Drogi, alternatywnego wobec tandemu Niebo–Piekło stylu życia pozagrobowego. – Z przebrania za wielbego doktora Habariego nie miałbyś więcej pożytku niż z własnej zakazanej gęby. Zresztą gdybyś nawet skombinował jakieś ciało do narzucenia na grzbiet, to niby jak chcesz tam wejść? Bram ci u nich dostatek, ale jeszcze więcej przy nich strażników. Znużonych, wrednych cerberków, którzy za życia byli psychopatycznymi mordercami, a teraz na dodatek nie muszą się obawiać Piekła, bo już w nim są, nie? I to jako funkcyjni!

– Tak, tak, kapuję. Nie musisz mi tym nacierać mózgu, stary. Coś tam wymyślę.

– Wiele paskudnych sytuacji zaczęło się od tych właśnie trzech słów, Bob, ale podejrzewam, że ta pobije na głowę nawet twój bajecznie popieprzony rekord.

Sam wstał, dał mi numer telefonu, pod którym mogę go zastać bez potrzeby tłuczenia się przez całe miasto do Shoreline, i sobie poszedł. Zostałem jeszcze w „Gwieździe Rangu” jakiś czas, sącząc piwo i rozmyślając.

Szukając pomocy, zawiodłem się i na Samie, i na siostrach Sollyhull. Musiałem poszukać innej drogi. Być może rozwiązanie znajdę u Połamańca, ale i z tym był problem: miałem już do niego jedno kosztowne i priorytetowe pytanie o Śmiszka, gdyż wiele wskazywało na to, że prędzej zginę z jego bagnetem w oczodole niż z rąk psychopatycznych pograniczników Piekła. Na drugie zwyczajnie nie było mnie teraz stać.

Innego wyjścia jednak nie widziałem.

Dziewięć Taniec-wywijaniec



Lubię prowadzić wóz. Związane z tym czynności wykonuje się praktycznie odruchowo, umysł więc ma wtedy sporo wolnych mocy przerobowych na głębokie rozważania. Gdyby ktoś kazał mi usiąść i dumać, już wkrótce mógłbym myśleć tylko o tym, jak męczy mnie beczynne siedzenie; za kierownicą natomiast mogę to robić godzinami. No i podczas jazdy, jeśli akurat nie szukają mnie szefowie albo jakaś bestia z Piekła rodem, nikt mi przynajmniej nie przeszkadza. Wiedziałem, że telefon nie zadzwoni, skoro jestem zawieszony, a jeśli Śmiszek nie skombinuje sobie szybszej fury niż stary furgon VW, to na autostradzie mnie nie dopadnie. Jechałem więc sobie na północ, zatopiony w myślach.

Sam naturalnie miał rację: cały ten pomysł z wypadem do Piekła jest tak kretyński, że nikomu przy zdrowych zmysłach nawet by do głowy nie przyszedł. Nie bez powodu walczyliśmy z tymi facetami od jakiegoś miliona lat lub dłużej – i nie chodzi o to, że nie podoba się nam ich hymn narodowy. Chcą nas zniszczyć i dążą do tego konsekwentnie dzień za dniem. Ale włamać się tam do nich...? To tak, jak gdyby Żyd koniecznie chciał się dostać do Buchenwaldu. Może się jakoś uda – ale co potem?

Wyboru jednak nie miałem. Zresztą nawet gdybym zrezygnował, wciąż musiałbym szukać sposobów uporania się ze Śmiszkiem, który pomimo mikrej postury i preferowanej broni wymagającej bezpośredniego zwarcia okazał się cholernie groźnym przeciwnikiem. Jak niby ukatrupić kogoś, kto już drugi raz powstał z martwych?

Z głową pełną takich i innych równie wesołych myśli, przy akompaniamencie genialnych solówek Elmore'a Jamesa sunąłem przez ziemię niczyją drobnych osiedli rozciągniętych wzdłuż półwyspu od San Judas ku północy, aż dotarłem do opuszczonej strefy przemysłowej na skraju Bayview, południowej dzielnicy San Francisco. Nie znałem dokładnego adresu Połamańca, wiedziałem jednak, że znajdę go gdzieś w betonowych trzewiach tego uroczego zakątka. Bayview zamieszkują czarnoskórzy dawniej zatrudnieni w tutejszych stocznicach; dziś, gdy pracy już nie ma, trzyma ich tam tylko twarda rzeczywistość ekonomiczna do spółki z uprzedzeniami rasowymi. To biedna społeczność, określona bardziej przez to, co inni o niej myślą, niż przez cokolwiek innego, przytułek starych i słabych. I pewnie dlatego Połamaniec nigdy się stąd nie wyprowadził.

Pierwszy znak, charakterystyczne graffiti, spostrzegłem na betonowym wsporniku. Wyglądało to jak kolumna drukowanych „D”, albo, jeśli kto woli, jak widok z lotu ptaka na rządęk ciężarnych chórzystek:



Wtajemniczeni wiedzą, że to dwie litery B, od ksywy „Broken Boy” – Chłopiec Połamaniec. Znaczy dobrze trafiłem. On się w ten enigmatyczny sposób reklamuje. Nie ma wielu klientów i nie zależy mu na podbijaniu rynku, ale jeśli już ktoś potrzebuje jego usług, to z reguły jest to pilna potrzeba, szyld więc się przydaje. Zaparkowałem i zamknąłem wóz, starannie sprawdziłem, czy na pewno wszystkie drzwi i bagażnik są zablokowane, po czym ruszyłem szukać miejsca z większą ilością BB. Trochę to potrwało, ale w końcu gdzieś na północ od Bayview Park znalazłem trzy takie bazgroły na tym samym filarze estakady drogowej, a co ważniejsze, na żelbetowym bloku siedział tam sobie murzyński dzieciak, może dziesięcioletni, i zabawiał się rzucaniem monet o słup. Gdy się zbliżałem, obserwował mnie kątem oka, najwyraźniej starając się ocenić stopień potencjalnego zagrożenia.

– Hej, mały! – zawołałem, podszedłszy doń na trzy metry. – Szukam Połamańca.

Smarkacz obrzucił mnie szybkim, ale zdecydowanie pogardliwym spojrzeniem i wrócił do przerwanej zajęcia.

– Zarobisz piąta, jeśli mnie do niego zaprowadzisz. Jesteśmy starymi kumplami.

– Aż tak starych kumpli to on nie ma – mruknął do słupa.

– Dobra, w takim razie skocz sam do niego i zapytaj. Powiedz mu, że Bobby Dolar chce się z nim widzieć. Będzie wiedział, o kogo chodzi.

Mały przyjrzał mi się uważnie, po czym zebrał moniaki i stanął przede mną z rękami wbitymi w kieszenie, kuląc ramiona przed dokuczliwym zimnym wiatrem. Marzec we Frisco bywa jak gdzie indziej grudzień. Chłopak nie ruszał się z miejsca, aż w końcu skumałem, w czym rzecz, i wyjąłem z kieszeni pięciodolarówkę. Nie podszedł, więc położyłem ją na starym wiadrze po farbie i przycisnąłem kamieniem, żeby jej nie zwiało. Cofnąłem się o parę kroków. Ostrożnie podniósł banknot, nie spuszczając mnie z oka niczym kocur przyjmujący jedzenie od obcego. Obrócił się na pięcie i sprintem wspiał na pobliską skarpe, szybko znikając mi z pola widzenia.

Usiadłem na odwróconym wiadrze, gotów na długie oczekiwanie, ale widać u Połamańca słaby był dziś ruch w interesie, bo chłopiec wrócił po niespełna dziesięciu minutach.

– Chodź! – Podrzutem zakapturzonej łepetyny wskazał mi kierunek.

Droga, bardziej przypominająca tor przeszkód, wiodła pod górę między zaspami nawianego piasku i śmieci, przez starą chłodnię zasłaną poszarpanymi opakowaniami i folią ochronną, a potem kanałem burzowym, w którym musiałem się poruszać na czworakach. Naszła mnie myśl, że jestem nader wdzięcznym obiektem napadu rabunkowego – ale cóż, Połamaniec to nie firma konsultingowa z elegancką recepcją; inaczej się do niego dostać nie można.

Brnąłem za zwinnym dzieciakiem przez ten labirynt tak długo, że gdybym chciał zapamiętać

drogę, pewnie już dałbym za wygraną. W końcu wynurzyliśmy się na jeszcze ciemniejsze, bardziej obskurne wywiejewo pod innym odcinkiem estakady, tuż przed zardzewiałymi stalowymi drzwiami. Wyglądały na zapieczone na amen, ale otworzyły się bez problemu, odsłaniając prowadzące w dół schody. Mój przewodnik wydobył z kieszeni latarkę i poprowadził mnie w ciemną czeluść niczym karłowaty Wergiliusz.

Ściany tunelu upstrzone były przerdzewiałymi skrzynkami bezpiecznikowymi ze sterzącymi z nich kikutami kabli. Po kilku zakrętach dzieciak przystanął, odsunął się na bok i dał mi znak, żebym szedł dalej. Gdy go minąłem, zgasił latarkę i wszystko spowiła nieprzenikniona ciemność.

– Kto idzie? – odezwał się inny głos, ewidentnie jeszcze przed mutacją. – Swoj czy wróg?

– Co to jest, u licha, gang Piotrusia Pana? – odpowiedziałem pytaniem. – To ja, Bobby Dolar. Powiedźcie mu, że jestem.

Jedna po drugiej zapłonęły latarki. Każdą trzymał chłopak mniej więcej w tym samym wieku co mój cicerone. Wyglądało to naprawdę jak biwak zuchowy w wieczór opowieści o duchach. Było nawet coś w rodzaju ogniska: przenośny grill z pokrywą, spod której sączył się czerwony blask od rozżarzonych węgli. Jeden z nich podszedł i strącił ją kopnięciem – i nagle wszystko stało się dobrze widoczne. Nie było tam wprawdzie zbyt wiele do oglądania: ot, kilku chłopców w wilgotnym, wstrętnym lochu.

– Mam nadzieję, że wentylacja jest tu wystarczająca na ten ruszt – powiedziałem. – Inaczej wszyscy tu kiedyś padniecie od czadu.

– O nas się nie martw. – Najwyższy z nich wystąpił naprzód. Prawdopodobnie nie miał jednego oka, gdyż przewiązał je bandanką. Tylko patrzeć, jak zjawi się sam kapitan Hak. – Skąd mamy wiedzieć, że to naprawdę ty?

– Poza tym, że wiedziałem, jak was znaleźć? Nie wiem. Spróbujcie zapytać o nazwisko panińskie mojej mamusi.

– Ale my go i tak nie znamy. – Jednooki zmarszczył brew.

– Ja też nie, więc mamy remis. Słuchajcie, mam forszę i spiesz mi się. Czy mogę już się spotkać z Połamańcem?

– Hej – rzucił konwersacyjnym tonem inny z malców. – Skoro ma forszę, to czemu by go normalnie nie oskubać?

– Zamknij się, kurde! – osadził go Jednooki. – Nie wiesz, z kim zadzieras. Zobaczą, czy jest gotowy – dodał, zwracając się do mnie.

Przez pomieszczenie prześliznęła się – nie znajduję lepszego określenia – czyjś szept, cichy i świszczący dźwięk, od którego włosy zjeżyły mi się na głowie. Potrwało chwilę, zanim dotarło do mnie znaczenie słów:

– W porządku, dawajcie go tu.

Był to głos ducha, i to nie tak zdrowego i pełnego życia jak siostry Sollyhull.

Siedział w rogu niewielkiej kanciapy przy głównym odcinku tunelu. Uzmysłowiłem sobie, że mijałem po drodze jej drzwi. Jedynym źródłem światła była stojąca przy nim na posadzce samochodowa latarka awaryjna, rzucająca na ścianę jego wielki cień. Chłopiec ledwo wypełniał wózek inwalidzki. Schudł, odkąd go ostatnio widziałem, i jakby zmałał, choć w przedziale wiekowym od dziewięciu do czternastu lat – tylko tyle o nim wiedziałem – raczej się rośnie.

Połamaniec przekręcił głowę, aby lepiej mnie widzieć. Od samego patrzenia na nienaturalne wygięcie jego szyi poczułem ból w karku. Jeżeli umiecie sobie wyobrazić skrzyżowanie Stephena Hawkinga z poparzoną pająkiem, to tak to mniej więcej wyglądało – tylko że jego skóra miała zdrowy, różowy odcień jak u nowo narodzonej myszki, a z błyszczących oczu biła inteligencja i przenikliwość.

– Cześć, Bobby, miło cię znów widzieć. – Głos miał bardziej miękki, niż pamiętałem, mniej

dźwięczny. – Dawno cię tu nie było.

– Fakt. Bo widzisz, ja już od lat nie jestem w Harfie.

– Ostatnim razem ci to nie przeszkodziło.

Wolałbym nie rozwijać tego tematu. Może kiedy indziej wam opowiem.

– Możesz mi pomóc, BB? – Nagle zrobiło mi się głupio. – Dasz radę?

– Ja? – Głowa mu się zachwiała, pierś zafalowała. Połamaniec się śmiał, ale mimo panującej w tunelu grobowej ciszy nie było tego słychać. – Jeszcze nie byłem w tak dobrej formie. Biegam szybciej, skaczę wyżej. Satisfakcja gwarantowana. – Zmierzył mnie tymi lśniącościami oczyskami. – Ty się o mnie nie martw, Bobby.

Zabrzmiało to jak pierwszy człon zdania złożonego, zakończonego zwrotem: „bo i tak nic to nie da”. I taka jest prawda: szara strefa między nami, tamtymi z Dołu i zwykłymi ludźmi pełna jest indywiduów w rodzaju Chłopca Połamańca, wyrastających i więdnących jak chwasty w szparach trotnaru.

– W porządku, ale najpierw muszę ci coś wyjaśnić... – zacząłem.

– Najpierw szmal.

– Pamiętam zasady. – Wyciągnąłem z kieszeni przygotowany zwitek banknotów i zdjąłem gumkę. – Nominały do dwudziestki. Są wprawdzie nowe, ale twoi pomagierzy będą umieli je trochę spatynować.

Przez chwilę miałem wrażenie, że jego spastyczna ręka się wyciągnie po pieniądze w dawnym odruchu, ale Połamaniec zawołał Jednookiego (na imię miał, jak się okazało, Tico), polecił mu je wziąć ode mnie i włożyć do schowka, a potem śledził odchodzącego wzrokiem.

– To dobre dzieciaki – mruknął protekcyjnym tonem kogoś starszego od nich o całe dwa czy trzy lata. – Opiekują się mną.

Przez okamgnienie usłyszałem w nim dziecko, jakim mógłby być, gdyby nie jego dary i przeszłość: samotne i chore, marzące o tym, by móc wyjść się pobawić z rówieśnikami. To było trochę jak nagły cios w dołek.

Po chwili Tico wrócił z dwoma kolegami i zaczęli przygotowywać szefa do pracy. Gdy przywiązywali go do aparatury (było to właściwie zwykłe urządzenie do ćwiczeń siłowych, które musieli kiedyś przytargać tu z normalnego świata), przyłapałem się na myśleniu o tym, skąd się oni wszyscy tu wzięli i jakie pokręcone historie splotły ich drogi. Połamaniec był z nich najdziwaczniejszy, ale i o nim nie wiedziałem dużo więcej niż o reszcie. Nawet Tłuścioch nie potrafił odgrzebać jego prawdziwego imienia i nazwiska. Kiedy ktokolwiek z nas o nim w ogóle usłyszał, już był tym drobnym, pokręconym dzieciakiem obdarzonym nadnaturalnymi umiejętnościami, które sprzedawał, by utrzymać siebie i swój gang małałatów.

Oczywiście każdy dar ma swoją cenę. Połamańcowi przyszło zapłacić dość słono.

Pomocnicy najpierw omotali mu tors i kończyny bandażem elastycznym, jaki stosuje się na zwichnięcia, aż w końcu zaczął przypominać pacjenta z dowcipów rysunkowych. Potem przytroczyli go do maszyny wężykami chirurgicznymi. Z przyjemnością patrzyłem na ich delikatne, niemal czułe ruchy podczas tej operacji, niczym u kapłanów szykujących się do magicznego obrzędu. Wszystkie węzły zostawili luźno zawiązane z wyjątkiem tego, który przytrzymał jego czoło. Połamaniec wodził za nimi wzrokiem, łyskając w półmroku białkami oczu, ale widziałem, że jest spokojny. Robił to już w końcu nie raz.

– Hej, Bobby! – odezwał się. – Wiesz, Kayshawn... ten, który cię przyprowadził z czujki... – Mówił tak cicho, że musiałem się nachylić, by dobrze słyszeć. – Przyszedł do mnie, bo chciał się nauczyć tańczyć. Kapujesz? Słyszał o mnie, ale myślał, że tu się uprawia breakdance.

Nie bardzo wiedziałem, co na to odrzec.

Tico przyniósł z przyległego pomieszczenia zapaloną lampę naftową na wyszczerbionym

talerzu.

– Ale ty za dobrze nie tańczysz, co, szefie?

– Mylisz się – odparł Chłopiec. – Tańczę wręcz świetnie, tylko nikt z was nie może tego widzieć.

Tico zmrużył jedyne oko i sychnąwszy w klosz lampy szczyptę jakiegoś proszku, postawił ją na podłodze przed maszyną. W tym migotliwym świetle Połamaniec przypominał pogańskiego bożka. Lampa zaczęła iskrzyć i trochę kopcić, a płomień z pomarańczowego zrobił się niebieski. Chłopak cofnął się i przycupnął pod ścianą z innymi.

– Powiedz, co chcesz wiedzieć, Bobby. Wtedy pokażę ci swój taniec.

Widziałem to już przedtem. Rzecz iście fascynująca. Czy warta dwóch kawałków? To będzie zależało od tego, z czym stąd wyjdę. Opowiedziałem mu więc o Śmiszku, jego zwęgleniu na moich oczach w magicznej anielskiej sieci i o niedawnych atakach na mnie i Sandersa.

– To dziwne... – wycedził. – Bardzo dziwne...

Kanciapa skąpiana w bladoniebieskim świetle wyglądała jak fotos z gangsterskiego filmu z lat czterdziestych. Jedynymi ruchomymi elementami były filowanie płomyka naftówki i krótkie, szarpane drgnięcia głowy Połamańca na ciasnej uwięzi, jakby jego ciało zdecydowało się na próbę ucieczki, gdy mózg zajęty jest mówieniem.

– Ale pomieszanie... Trudno wyczuć... Kto kupuje?... Kto sprzedaje?... – Chwilami ściszał głos, to znów mówił wyraźniej, ale jakby gdzieś z bardzo daleka. Gałki oczne przewracały się pod zamkniętymi powiekami. – Drabina z powyłamywanymi szczeblami. Maskuje... Nie, to on musi... Mastema? Stwórcy i jeszcze więcej drobnych, tygrysiach jasnych światełek. Światło białe jak papier. Białe, kiedy ty... podczas gdy ty...

Chłopiec nagle urwał, głośno wciągnął powietrze i szczęka gwałtownie mu się wykrzywiła, jakby po mocnym ciosie wielkiej, niewidzialnej pięści. Widziałem już, co się z nim dzieje podczas takich seansów, ale tym razem wyglądało to jakoś inaczej. Przez chwilę zwisał bezwładnie na krępujących go więzach. Nasunęło mi się skojarzenie z wyczerpanym motylem do połowy wydobytym z kokona. Tico i któryś z kolegów nawet poderwali się, by doń doskoczyć, ale Połamaniec cichym, acz dobrze słyszalnym syknięciem osadził ich na miejscu. Niebieski płomyk zachybotał się od ich nagłego ruchu, a gdy się uspokoił, Połamaniec odzyskał głos.

– Sorki, Bobby – wychrypiał. – Nic z tego nie będzie. Coś... – Przez chwilę łapał oddech. – Coś mi nie pozwala. Coś silniejszego... znacznie silniejszego ode mnie.

Niech to szlag. Dla mnie był to kolejny dowód, że wziął mnie na celownik Eligora albo ktoś równie blisko szczytu łańcucha pokarmowego. Czy może to być ktoś, kogo o to w ogóle nie podejrzewałem? Na przykład ten tłusty sukinsyn, arcyksiążę Sitri, który z taką satysfakcją skorzystał z możliwości dołożenia jednocześnie mi i Eligorowi? Ale jeżeli to on nasłał na mnie zombi, to sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż mi się dotąd wydawało. Nie, wszystko raczej wskazuje na byłego kochanka i aktualnego porwacza Caz. Skoro zaś Połamaniec nie potrafi zdobyć dla mnie żadnych informacji o Śmiszku, to znaczy, że ten nieumarlak dalej będzie na mnie polował, a ja mogę się bronić tylko ślełą improwizacją. Jak długo może mi się to udawać?

No dobra. Jeśli Śmiszek miał jakiś diabelski immunitet informacyjny, to pozostaje mi tylko trzymać się starej sportowej zasady, że najlepszą obroną jest niezły atak.

– Ale nadal wiesz mi odpowiedź – oznajmiłem mej wyroczeni.

– Tak? Mimo że skopano mi tyłek za mieszanie się w twoje sprawy?

Wyglądał jak oskubany kurczak po obudzeniu z letargu, ale nie miałem wyjścia. Musiałem być twardy.

– Jesteś mi winien informacje, dzieciaku. Nie stać mnie na płacenie dwóch tysięcy baksów

tylko za podziwianie tego majstersztyku architektury wewnątrz.

– Wredny z ciebie typ, Bobby. – Roześmiał się. W kąciку ust pozostała mu kropla śliny. – Co chcesz wiedzieć?

Popatrzyłem na jasne oczy i ciemne twarze jego podwładnych. Zupełnie jak szereg szopów.

– Odeślij swoich kumpli. To rozmowa nie na użytek publiczny.

Musiał wykonać jakiś gest, który przeoczyłem, gdyż Tico i ferajna zmyli się od razu. Muszę przyznać, że dobrze ich wytrenował. Niezłe osiągnięcie jak na trzydziestokilowy kłębek łachmanów niezdolny stanąć o własnych siłach. Kiedy zniknęli, podszedłem bliżej. Nawet w tym betonowym schronie wolałem nie mówić o tym za głośno. Dziwne, bo w beczce śmiechu w Shoreline gadałem z Samem bez żadnych obaw. Teraz jednak nagle poczułem jakiś ciężar – może przesądu, a może zwyczajnie uświadomienia sobie, na co się naprawdę porywam.

– Muszę wiedzieć, jak się dostać do Piekła.

Dziesięć

Łagodny szary człowiek



Trwało to dłużej niż zazwyczaj. Możliwe, że pierwsza próba go wyczerpała albo też informacja okazała się nader trudna do zdobycia – w każdym razie Połamaniec męczył się jak koń pod górkę, a widać było, że jest jeszcze daleko od celu. Najpierw po prostu wyłączył się jak pacjent po podaniu narkozy, płynnie przechodząc od zwykłej rozmowy do bezsensownego słowotoku, ale to była ostatnia w miarę normalna rzecz, jaką widziałem. Bardzo szybko zaczął dygotać i szarpać się w swym fitnessowym przegierzu, a potem zeszytywniał jak w ataku padaczki z zębami odsłoniętymi jak u kościotrupa i tylko policzki wydymały mu się regularnie w rytm wydechów i jęków bólu.

Konwulsje były silniejsze, niż jego wątła konstrukcja mogła wytrzymać. Usłyszałem wyraźnie, jak pęka mu żebro: okropny, przytłumiony trzask, ale jeszcze gorsze było to, że nawet nie krzyknął – jak gdyby brutalne rozerwanie tkanek ledwo dotarło do świadomości – tylko powoli zamknął oczy. Ostatnim razem też było z nim źle, teraz jednak wyglądało to jeszcze gorzej i zupełnie inaczej. Nie wiem, co Połamaniec robi czy dokąd odchodzi podczas tych seansów – jego taniec-wywijaniec pozostaje dla mnie kompletną zagadką – ale możecie mi wierzyć na słowo, że żaden przedzierający się przez dżunglę wędrowiec ani wspinacz atakujący himalajskie szczyty nie męczy się i nie cierpi bardziej od niego. Obserwowałem w bezruchu przez dobre pół godziny, jak z wolna wije się i skręca w potwornych wygibasach, a krępujące go przezroczyste wężyki napinają się i luzują niczym macki jakiegoś kosmicznego stwora. Przez ten czas jeszcze trzykrotnie docierały do mnie odgłosy łamanych kości; może było tego i więcej, ale tyle usłyszałem. Cały czas, w każdej sekundzie czułem się jak oprawca.

Jak zrobiłby każdy porządny człowiek, po naszym pierwszym spotkaniu próbowałem zabrać go z ulicy i umieścić w jakimś odpowiednim ośrodku opieki, on jednak ani chciał o tym słyszeć. Już raz w takim miejscu byłem, powiedział, i nigdy więcej. Dodał też, że jeśli kiedykolwiek wezmą go siłą, ma akurat tyle władzy w rękach, by wepchnąć sobie pięść do gardła i się udławić – i to właśnie wtedy zrobi. Uwierzyłem.

Tyle że nikt normalny nie może patrzeć na to, co się z nim dzieje, i dobrze się z tym czuć. Jak mówiłem, wiele osób bytuje w szarej strefie pomiędzy, i gdy się do niej trafia, trudno się domyślić, jakie tam panują reguły.

Połamaniec w końcu znieruchomiał i zwiotczał. Podeszedłem, by go odwiązać od maszyny, ale pokręcił głową i szepnął coś, czego nie dosłyszałem. Pochyliłem się nad nim nisko. Oddech miał zaskakująco słodkawy, cynamonowy.

– Zawołaj... Tico...

Krzyknąłem do czekających na korytarzu pomocników. Wpadli do pomieszczenia jak zgrany zespół pielęgniarzy, delikatnie rozsupłując więzy i masując mu blad różowe kończyny. Tico wyciągnął strzykawkę, lecz Połamaniec potrząsnął głową.

– Bobby...

Znów musiałem się nachylić, żeby go słyszeć.

– Zbudowali bramę... specjalnie dla cesarza...

Przemknęło mi przez myśl, że majaczy, on jednak mówił dalej i wkrótce zacząłem rozumieć. Wygięty w znak zapytania słuchałem rewelacji o moście Nerona.

Kiedy Tico go uśpił, urwisy ostrożnie przełożyły go na koc, żeby zanieść do łóżka. Jednooki stanął potem tuż za mną z założonymi rękami, dając do zrozumienia, że nie mam tam już czego szukać. Świdrował mnie złym spojrzeniem.

– Kazałeś mu tańczyć dwa razy – powiedział przez zęby. – Nie pokazuj się tu przez długi czas.

Nie bardzo lubię, jak mi pyskuje jedenastoletni smarkacz, ale miał rację. Wzruszyłem ramionami i podażyłem za Kayshawnem do wyjścia na jasny świat.

W drodze powrotnej z Bayview nie byłem w nastroju na żywą muzykę w stylu Jamesa, wrzuciłem więc *Chet in Paris*. Przejmujące dźwięki trąbki Bakera świetnie się nadawały dla kogoś, kto właśnie wydał masę szmalu, żeby poznać skomplikowaną i bardzo bolesną metodę samobójstwa. Podniosłem boczne szyby i oddałem kabinę we władanie bluesowi.

Więc naprawdę się wybieram do Piekła? To już wykracza poza pojęcie samobójstwa. To tak, jakby wysmarować się miodem i wskoczyć do klatki pełnej głodnych i skłóconych niedźwiedzi. Nawet zakładając, że znajdę sposób, by się zakraść na Dół, czy jakiegokolwiek przebranie wytrzyma próbę, zanim się dostanę w pobliże Eligora... i Caz? Bo z tego, co o Piekło wiem, tamtejsze szychy żyją w stylu, o jakim nawet złota młodzież republikańska z San Judas nawet marzyć nie może: każdy ma swoje udzielne księstwo, fortecę, prywatną armię. Peruka i doklejony wąs mnie przez to nie przeprowadzą.

Gdy dojechałem na przedmieścia Jude, żołądek przypomniał mi dyskretnie, że od rana nic nie jadłem. Wycieczka do Bayview przeciągnęła się do późnego popołudnia, na obiad nie było czasu, a śniadanie też raczej liche – a poza tym wreszcie miałem trochę wolnej kasy. W Piekło mi się raczej nie przyda, pomyślałem, a Orban i tak pewnie zlicytuje mojego matadora; zjechałem więc z autostrady na Redwood Shores, gdzie znam drogą japońską restaurację nad morzem.

Kiedy jednak przyszło zamawiać, stwierdziłem, że właściwie nie jestem bardzo głodny, poprosiłem więc tylko o porcję mieszanej tempury i butelkę piwa Sapporo. Chrupałem kawałek po kawałku z roztargnieniem, pozwalając myślom krążyć swobodnie, wpatrzony w okno, za którym mewy uwijały się nad plażą. Próbowałem jakoś tak sobie to wszystko poukładać, żeby wyszedł deseń inny niż „Masz przerąbane”, ale nie mogłem. Wychodziło na to, że mam dokładnie dwie opcje: nie robić nic i skończyć z wbitym w mózg szpikulcem Śmiszka albo zaskoczyć Eligora na jego własnym terytorium i jak w *Drodze do piekła*, pokreconej komedii z Crosbym i Hope'em, próbować ucieczki z Caz z powrotem na Ziemię. W obu przypadkach nie mogłem liczyć na to, że w razie czego moi szefowie załatwią mi zmartwychwstanie – w końcu jestem zawieszony, podejrzany i w ogóle niewygodny ze mnie typ.

O tej porze lokal był prawie pusty, jadłem więc niespiesznie i łyknąłem jeszcze dwa piwa, zanim zdecydowałem się wracać do chałupy. Było jeszcze jasno, ale słońce coraz wyraźniej ciążyło ku swej nocnej kryjówce za wzgórzami i centrum Jude przykrywały długie cienie. Zmierzch nadchodził tak szybko, że w kilkanaście minut temperatura w kamiennych wąwozach wokół Beeger Square spadła o dobre pięć stopni.

Tym razem oczywiście nie powtórzyłem niedawnego błędu i dojechawszy pod dom, okrążyłem cały kwartał dwa razy, wyteżając wzrok w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak zagrożenia. Po ulicach kręcili się tylko zwykli o tej porze przechodnie: ludzie po pracy z teczkami, torbami zakupów albo już z psami na spacerze. Na wszelki wypadek zaparkowałem po przeciwnej stronie jezdni, a przez hol przeszedłem na tyle ostrożnie, by jeszcze nie wyglądać na idiotę. Skoro Śmiszek najwyraźniej wie, gdzie mieszkam, przypuszczalnie przyjdzie mi znów zwinąć manatki i się przeprowadzić, pomyślałem. Cholerny świat. Nawet nie zdążyłem otworzyć tych paru kartonów z moim nędznym dobytkiem.

Drzwi były zamknięte tak, jak je zostawiłem, co trochę dodało mi ducha. Wchodząc,

wsunąłem pistolet za pasek, żeby mieć wolne ręce na wypadek, gdyby coś się na mnie rzuciło. Nic takiego się jednak nie stało – za to na kanapie siedział nieznajomy facet.

Efenka niemal sama wskoczyła mi z powrotem w dłoń. Błyskawicznie wycelowałem mu między oczy i dopiero wtedy zacząłem rejestrować jego wygląd. Nie był to na szczęście mój nieumarły prześladowca, ale tak czy owak nikogo w gościnę nie zapraszałem, tym bardziej pod moją nieobecność. Nigdy go przedtem nie widziałem: wiek średni, rysy semickie, szpakowata bródka i zaawansowana łysina.

– Coś ty za jeden? – spytałem.

– Proszę we mnie nie mierzyć – odparł z lekką dezaprobatą. – Nie mam złych zamiarów.

– To co tutaj robisz? Nie przypominam sobie, żebym zamawiał tę wizytę.

– To prawda. Ale jestem twoim przyjacielem.

Ręce trzymał złożone na kolanach. Miał na sobie tani brązowy garnitur i stalowoszarą jesionkę – dziwny zestaw jak na wiosnę w Jude. Cały wydawał się wręcz skrojony na miarę, żeby sprawiać wrażenie nieszkodliwego. Są w przyrodzie stworzenia, którym taki właśnie wygląd ułatwia zbliżenie się w celach konsumpcyjnych do niczego nie podejrzewających ofiar. Sam takie napotykałem i póki co tak też zakwalifikowałem tę jego szarą łagodność, nie opuszczałem więc pistoletu.

– Przyjacielem, powiadasz? To trochę za mało, by mnie przekonać, żebym cię nie naszpikował srebrem, zanim się rozsiądę przed telewizorem na „Taniec z gwiazdami”.

Uśmiech miał tylko odrobinę wyrazistszy niż Połamaniec.

– Przejdźmy się trochę, Bobby – zaproponował, a widząc moje wahanie, powoli uniośł ręce.

– Gdybym chciał ci coś zrobić, czy czekałbym tu na ciebie i zapraszał na zewnątrz?

– Tak, gdybyś na ulicy miał zaczajonych kumpli – odparłem, choć to rzeczywiście nie miałyby sensu.

Odsunąłem się na bok i dałem mu znak, by wyszedł. Trzymałem się tuż za nim ze spluwą przyłożoną do jego kręgosłupa, żeby nie zauważył jej nikt nadchodzący z przeciwnika. Wołałem niepotrzebnie nie niepokoić sąsiadów; wystarczy, że raz już mnie widzieli brutalnie pobitego. Kiedy wynurzyliśmy się z holu na ulicę, rozglądałem się na wszystkie strony, wypatrując jego współników, on jednak tylko zmierzył mnie spojrzeniem, w którym rozczarowanie mieszało się z lekkim rozbawieniem.

– Naprawdę mnie nie poznajesz, Bobby?

Gapilem się na niego, ale choć było coś znajomego w jego sposobie mówienia, a nawet w drobnej sylwetce, nie mogłem go z nikim skojarzyć. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może to być mój dawny dowódca z Harfy, Leo Locha w nowym wcieleniu, ale to nie jego mi przypominał. Poza tym Leo nie bawiłby się w takie podchody: gdyby naprawdę wrócił, to najpewniej zastałbym go siedzącego nie na kanapie, ale okrakiem na mej piersi w środku nocy, z pytaniem, czy zamierzam tak się wylegiwać do pieprzonego południa.

Schowawszy efenkę do bocznej kieszeni marynarki (ale wciąż z palcem na spuście), poszedłem z nim do Main Street, gdzie skręciliśmy ku Beeger Square. Fontanna pośrodku placu (miejscowi zwą ją „Rakietowym Judą”, gdyż jej centralnym elementem jest statua naszego patrona dłuta Bufano, poniekąd przypominająca pocisk balistyczny) to ulubione miejsce spotkań; wiedziałem, że nikt nie zwróci tam na nas uwagi, ale wołałem mieć ludzi wokoło, dopóki się nie przekonam, o co chodzi mojemu gościowi.

Przysiedliśmy na wolnej ławce. Zająłem miejsce pół metra od niego, żeby mu utrudnić ewentualny atak. Musiał to dostrzec, gdyż pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– Nadal nic, Bobby? A tak często ze sobą rozmawiamy...

Patrzyłem nań z rosnącą irytacją (i nie bez strachu), gdy nagle do mnie dotarło, z kim mam

do czynienia.

– Archanioł Temuel?

– Ciiiicho! – Podniósł palec do ust. – Nie musisz tego wszystkim ogłaszać.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Byłem więcej niż oszołomiony. Wyżsi aniołowie pojawiają się na Ziemi tylko w wyjątkowo ważnych sprawach, a i wtedy wygląda to tak, jakby na twoje urodziny wparowała nagle któraś z gwiazd Hollywood. Temuel nie należał wprawdzie do uzależnionych od chwały, glorii i feerii – ale rzecz w tym, że w ogóle nie przepadał za odwiedzinami na tym naszym padole, nie mówiąc już o moim ponurym zakątku Kłapouchego.

– Co pan tu robi, szefie? – wydusiłem wreszcie. – Czy to... oficjalna wizyta?

– A jak myślisz?

Przełknąłem ślinę. Zazwyczaj nie zapominam języka w gębie, ale teraz naprawdę byłem w kropce. Czy to znaczy, że ktoś doniósł im o mnie i Caz? A może chodzi o pióro? Czyżby Muł zjawił się tu po to, by dyskretnie unieważnić mój kontrakt? Palec drgnął mi na spuście, ale to był tylko odruch. Jeżeli szefostwo zdecydowało o skreśleniu mnie z listy płac, to parę srebrnych kul i tak mi nie pomoże.

– Czego ode mnie chcecie? – spytałem w końcu z braku lepszego pomysłu.

– Podobno interesuje cię wycieczka do Piekła. Jestem gotów ci pomóc.

Poczułem się, jakbym dostał niewidzialną łopatą w pysk.

– He? Że jak? Znaczy, dlaczego? – Trudno prowadzić inteligentną konwersację, kiedy nagle się okazuje, że nawet to blade pojęcie, jakie się miało o mechanizmach życia, nie było warte funta kłaków. – Czemu miałby szef mi w tym pomagać?

– Jak to czemu? Żebyś i ty mi pomógł.

Temuel wyjaśnił pokrótce, czego chce i co mi da w zamian. Nic z tego nie miało sensu (wtedy mi się tak wydawało). Z trudem się powstrzymałem, żeby nie chwycić go za kłapy tego szarego płaszczyka, potrząsnąć i wykrzyknąć: „Co tu się, cholera, dzieje? Co mój boss robi na Ziemi incognito i po co ściemnia, że ułatwi mi wyprawę do Piekła po ukochaną diablicę?”. (On oczywiście nie wspomniał ani słówkiem o Caz). Propozycja brzmiała jednak prawdziwie, a gdy wyjął, czego ode mnie oczekuje – spodziewałem się, że zażąda czegoś na miarę wyczerpania łyżeczką wody z oceanu – rzecz okazała się całkiem zwyczajna, żeby nie powiedzieć: idiotycznie prosta.

– I to wszystko? – spytałem z niedowierzaniem. – Mam tylko odszukać jakiegoś faceta i mu to powiedzieć?

– Masz go odszukać w Piekło, Bobby. To wcale nie takie łatwe.

– Ale jak... – Ugryzłem się w język.

Pytania są dobre, dzięki nim mogę przetrwać – ale jeśli będę zadawał ich zbyt wiele, mogę stracić tę nieoczekiwaną szansę. Jasne, że instynkt samozachowawczy darł się we mnie: „Pułapka!”, i dzwonił w czasce na trwogę, ale z drugiej strony byłoby to kompletnie nieprawdopodobne. Gdyby reszta szefostwa wiedziała na mój temat tyle, ile najwyraźniej wie Muł, to starczyłoby tego na sznur szubieniczny nie tylko dla mnie, ale i całej zgrai potępieńców. Nie, on naprawdę musi działać na własną rękę – żadne inne wytłumaczenie nie trzymałoby się kupy.

– Powiedz mi tylko, jak się dowiedziałeś – dokończyłem. – Znaczy z tym Piekłem. – I wtedy doznałem olśnienia. – Mój telefon! Clarence mówił, że założył mi podsłuch, kiedy tropił Sama. Pluskwa jest w nim do dzisiaj, tak?

Temuel pokręcił głową, ale słownie nie zaprzeczył.

– No to powiedz, że tylko ty jeden to wiesz w całym Niebie.

– Tak, Bobby, tylko ja. Na razie. Nie mogę ci jednak zagwarantować, że wiecznie będzie ci

się tak udawało.

Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas. Muł przekazał mi resztę szczegółów – poznać je, ale jeszcze nie teraz – po czym wstał. Koniec randki przy fontannie. Wracając przez plac, nie ścisnąłem już w dłoni kolby efenki, ale wcale nie czułem się bardziej bezpieczny niż przedtem. Nie ulegało wątpliwości, że pakuję się w coś dużego, co dalece przekracza moje możliwości przeżycia bez czyjejs pomocy, a jedyną osobą, która może mnie wesprzeć, jest ktoś, kto w każdej chwili może mnie też zdegradować do rangi niezidentyfikowanej plamy po aniele.

Zmierzch przerodził się w wieczór. Chodniki opustoszały, lecz jezdniami w obie strony płynęły jeszcze potoki aut: jedni wciąż wracali z pracy, inni zmierzali już z powrotem do centrum na kolację w lokalu, seans kinowy czy po inne rozrywki. Powietrzem zawładnęła lekka mżawka – ot, tyle by okryć mi drobniutką rosą ubranie i dobrze nawilżyć twarz.

Gdy się zbliżaliśmy do rogu Main Street, pomiędzy dwóch pojemników na śmieci wysunął się nagle jakiś kanciasty, skulony cień i zagroził nam drogę. Miejsce było ciemne, ale dobrze wiedziałem, kto zacz.

– Aha, jakie to sprytne, nie? – zaświszczał mi w uszach głos Śmieszka. – Bardzo sprytne. Czekało i czekało.

– O, ku... – Zmełłem w ustach przekleństwo i gorączkowo wyrwałem z kieszeni gnata.

Mój boss stanął jak wryty, gapiąc się na żylastą zjawę. Wyglądał na wystraszonego, co mi się wcale a wcale nie podobało.

– Ani kroku! – powiedziałem, starając się przybrać ton nieznoszący sprzeciwu. – Nie chcę cię zastrzelić. Wolałbym raczej z tobą porozmawiać, ale rozwalę ci łeb, jeśli choć drgnie ci noga.

– Nie mogę tu być! – wydyszał Temuel. – Nie mogę ryzykować...

I już go nie było. Zniknął, jakby nigdy nie stał tuż obok. Kiedy po sekundzie osłupienia znów spojrzałem przed siebie, morderca o szczęce piranii i z bagnetem w dłoni skradał się już ku mnie, wybałuszając lśniąco podnieceniem oczy szalonego dziecka.

Jedenaście

Prawdziwe imiona



Tym razem miałem w ręku pistolet, a w magazynku srebrne naboje. Nie było co się łudzić, że zdążymy omówić problem nieumarlackiej wendety albo zastanowić się, z czyjego działa zlecenia, więc wymierzyłem w jego środek ciężkości i otworzyłem ogień. Przedziurawiłem drania trzema kulami.

Mówię dosłownie: po każdym podskoku efenki w mej dłoni na jego tułowiu pojawiała się jasna plamka światła, jakby ten mały sukinsyn był zrobiony z gwiazd. Potem dziury nagle zniknęły – może zmienił się kąt widzenia? – a Śmiszek nagle wskoczył na ścianę, przytrzymał się jej jak mucha obunóż i jedną ręką i ruszył ku mnie, celując tym swoim różnem prosto w moją twarz.

Rzuciłem się na ziemię. Nie trafił, ale mało brakowało: ostrze rozcięło mi kołnierzyk. Wciąż nie wiedziałem, czy on chce mnie zabić, czy tylko ranić. No i jak, u diabła, może łyknąć trzy srebrne pociski i nawet się nie zachwiać?

Zrobiłem, co mogłem, żeby zamienić energię kinetyczną rąbnięcia o glebę w pracę niezbędną do stanięcia z powrotem na nogi. W mroku alejki trudno było bydlaka dobrze namierzyć. Przez chwilę myślałem, że zwiął, ale wnet dostrzegłem, jak znów śmiga po ścianie jak pajak. Czym to, do cholery, jest? Albo raczej, w co zamienili go moi wrogowie? Gość wyraźnie olewał przyciąganie ziemskie. W walce z nim miałem nie więcej szans niż napruta kobra z lumbago przeciwko Rikki Tikki Tavi przeszkolonemu w manguścich siłach specjalnych. Nie było sensu marnować na niego kul, dopóki nie zdołam wypalić mu z bliska w łeb. W rękawie nadal miałem pałkę, ale ostatnim razem też niewiele było z niej pożytku, złapałem więc pokrywę z najbliższego pojemnika na śmieci i odwróciłem się frontem do przeciwnika akurat w chwili, gdy odbijał się od muru i rzucał na mnie. Zdążyłem tylko zastawić się moją improwizowaną tarczą, ale bagnet przeszył ją na wylot jak papier, zatrzymując się o centymetry od mojego prawego oka.

Przekręciłem pokrywę mocno w bok, starając się wyrwać mu broń z ręki. Nie udało mi się, ale przynajmniej zmusiłem go do zmiany pozycji. Wykonałem kontrolowany pad na plecy, pociągając go za sobą w pełnym zwarciu, aż usłyszałem, jak uderza głową o beton. Przyjemny dźwięk, mówię wam. Poczulem przyływ adrenaliny i tym razem nie było to związane ze strachem.

Wiedziałem, że nie dorównam nieumarlakowi odpornością i wytrzymałością, więc pozostawało mi tylko iść na całość. Jeszcze się dobrze nie pozbierał, gdy rzuciłem się na niego z pokrywą trzymaną jak taran i przyparłszy go do ziemi, zacząłem grzmocić go z całej siły po twarzy. Po kilkunastu uderzeniach odrzuciłem pogięte narzędzie na bok wraz z tkwiącym w nim wciąż bagnetem i jałem okładać go na przemian pięścią i kawałkiem gruzu, który nawinął mi się pod rękę. Biłem tak mocno, że rozkrwawiłem sobie kłykcie, a ciosy dudniły głuchym echem w wąskiej alejce. Wrywał się i drapał, ale niewiele mógł wskórać. Podskokiem zmieniłem pozycję; wbiłem mu kolano w brzuch, poderwałem się na nogi i dalejze go kopać. Z daleka dobiegł mnie ryk syreny – widać ktoś w końcu zawiadomił policję.

Właściwie nie bardzo umiem wyjaśnić, co się stało potem. Musiał mnie ogarnąć jakiś szal, czerwona mgła jak z wikińskiej sagi. Wszystko, co się ze mną ostatnio działo, sączyło w moje życie jak kwas i zżerało od środka, cała frustracja, gniew i przede wszystkim groza – wszystko to

wylazło teraz na wierzch i zamieniło mnie w bestię. Kopałem, deptałem tę wstrętną rzecz, póki nie połamałem w niej wszystkich kości, kręgosłupa, czaszki. Wzbijałem fontanny krwi. Nie przestawałem, aż w końcu stopa zaczęła mi grzęznąć w nim jak w mokrym, sflaczałym worku. Oparłem się bezsilnie o mur, ledwo chwytając powietrze, rżąc i całą siłą woli powstrzymując się od płaczu. Nawet po tym, co mu zrobiłem, sam się czułem jak ofiara więziennego gwałtu.

Kątem oka zauważyłem, że strzaskana, zniekształcona głowa Śmiszka unosi się na połamanej szyi. Zadrzała, zakołysała się i sprawiała wrażenie, jakby chciała przyciągnąć do siebie całe ciało. A potem na moich oczach bezkształtna masa zaczęła wracać do pierwotnego stanu. Kości się zrastały, skóra wygladzała – stwór błyskawicznie się odradzał. Trwało to zaledwie kilkanaście sekund i wstrząsnęło mną tak, że stałem tylko z rozdziawioną gębą, niezdolny wykrztusić słowa ani ruszyć ręką. Nie próbowałem sobie nawet wyobrazić, ile energii Eligor musiał zużyć na taki numer. I tylko po to, żeby mnie dostać? Pieprzonego Boba Dolara, maciupęńki kolec w jego potężnym boku? To tak, jakby przemycić bombę atomową, żeby zlikwidować drobnego kapusia.

Mój przeciwnik, już prawie jak nowy, wbił we mnie wzrok. Kapturem miał przesiąknięty krwią, ale okolona nim twarz była zdrowa – jeśli tak można powiedzieć o trupio szarej skórze obciążonej ciasno na czaszce. Uśmiechał się.

– O, jak mu dobrze, panie Dolar! To słyszało, że Bobby się łatwo nie poddaje. Tak! Świetnie! To chce więcej. Teraz weźmie twoje serce.

Wyrwał majcher z pokrywy i skoczywszy jednym susem na ścianę, przywarł do niej jak gekon wygrzewający się na słońcu.

Podczas walki zgubiłem gdzieś pistolet, ale nie miało to znaczenia. Drań był nie do pokonania. Jeżeli Eligor czy ktokolwiek inny będzie nadal wlewał tyle mocy w jego funkcjonowanie na Ziemi, to w końcu przegram – czy będę się bronił dynamitem, czy tym krwawym kawałkiem betonu. Wycofałem się wzdłuż muru do bramy, gdzie miałem jako taką osłonę, ale moje rany nie wyleczą się magicznie tak jak jego; zresztą on chyba na razie nie zamierzał mnie zabijać. Chciał wiedzieć, gdzie jest złote pióro – i bez wątpienia z radością by się zabrał do wyciągania ze mnie tej informacji.

Syrena wyła już naprawdę głośno.

Zniknął mi z oczu w cieniu, ale zauważyłem jakiś ruch i zorientowałem się, że zsunął się na ziemię, gdzie trudniej go było wypatrzeć. Spiałem się, zgadując, że nie będę musiał długo czekać na atak. I nie pomyliłem się.

Śmiszek ruszył naprzód krabim ruchem, sunąc przez alejkę szalonymi zygzakami. Napotkałem jego spojrzenie, gdy oczy załśniły mu w świetle latarni, a potem ujrzałem błysk stali. Uchyliłem się instynktownie i bagnet śmignął mi koło ucha, co poznałem dopiero po bólu, gdy skaleczył mi szyję, wracając.

– Bobby, zamknij oczy! – usłyszałem czyjś krzyk.

Zacisnąłem powieki o moment za późno – akurat o tyle, by ujrzyć pierwszy snop ognistego światła. Na siatkówce został mi wypalony obraz nieruchomej twarzy Śmiszka z szeroko otwartymi oczami i źrenicami nagle nie większymi niż łebek mrówki.

Światło rozpalało się coraz jaśniej, przenikało przez powieki i paliło tak intensywnie, że miałem wrażenie, jakby wszystko mi w czaszce zbieleło. Śmiszek wrzasnął z bólu. Pierwszy raz, mimo że przed niespełną minutą był cały połamany. A potem bieli zrobiło się za dużo i upadłem, pograżając się w zbawczą ciemność.

Kiedy znów wróciła mi zdolność myślenia, stwierdziłem, że jestem na czworakach, z czołem przyciśniętym do chłodnego betonu. Z trudem się pozbierałem na nogi. Śmiszka nie było, a obok mnie stał Temuel w swojej ziemskiej postaci. Jego prawa dłoń wyglądała jak własne zdjęcie rentgenowskie: skóra jeszcze lśniła różowo-pomarańczową poświatą i widać było przez nią

wszystkie kości. Wyciągnął rękę, by pomóc mi złapać równowagę; uścisk czuło się zwyczajnie.

– Gdzie on jest? – spytałem.

– To coś? – Temuel sprawiał wrażenie zakłopotanego. – Uciekło przed światłem. Jest silniejsze niż wygląda. Powinieneś stąd zniknąć, Bobby. Skierowałem policję gdzie indziej, ale tu wróca.

Powinienem mu podziękować, lecz do głowy przyszło mi tylko pytanie:

– Czy szef cokolwiek wie o tej rzeczy, jak go szef nazwał?

– Nie mogę tu przebywać, ale też nie mogłem cię zostawić samego w tej sytuacji. – Muł rzucił mi spojrzenie niewyrażające absolutnie niczego. – Muszę już iść.

– Coś mi się zdaje, że mamy wiele do omówienia.

– Wiesz, gdzie jest Muzeum Przemysłu?

– Pytanie! Znają je nawet turyści, a ja w końcu już tyle lat mieszkam w Jude.

– To dobrze. Spotkajmy się tam jutro. O dziesiątej, przed wejściem koło fontanny. – Zawahał się i chwilę patrzył na mnie milcząco. – To uważaj na siebie, Bobby – dodał w końcu i odszedł.

Patrzyłem za nim, póki nie zniknął mi z pola widzenia. Byłem tak zmęczony i poobijany, że ledwo się trzymałem w pionie, pamiętałem jednak, żeby odszukać pistolet. Jedna rzecz mnie jednak uderzyła i w drodze powrotnej obracałem ją w myślach na wszystkie strony: Muł przez cały pobyt ani razu nie nazwał mnie moim prawdziwym, anielskim imieniem Doloriel.

Do domu dotarłem z paroma przystankami na odpoczynek, puszczać mimo uszu komentarze przechodniów biorących mnie za pijaka. Mimo ran do opatrzenia i całego tego szaleństwa do przemyślenia nie mogłem nawet wziąć sobie wolnego na resztę wieczoru. Śmiszek tym razem dostał nieźle po uszach. Możliwe, iż świetlny show Temuela tak mu dopiekł, że długo się nie pokaże; nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby tak zareagował na ból – a przecież widziałem go już spalonego na węgiel. Za pewnik jednak przyjąć tego nie mogłem. Sukinsyn pobił mnie całkowicie i gdyby nie interwencja Temuela, straciłbym życie, a może i duszę. Stawka była za wysoka, żeby sobie pozwalać na optymistyczne założenia.

Wrzuciłem trochę kosmetyków i parę zmian odzieży do starej walizki z brakującym jednym zapięciem. Prawdziwy bagaż zostawiłem w szafie w przedpokoju, nie chciałem bowiem, by to wyglądało na wyprowadzkę, gdyby ktokolwiek – nawet nasi – próbował mnie tu szukać.

Musiałem teraz znaleźć jakiś tymczasowy dach nad głową. Dla przełamania schematu pojechałem autostradą Woodside kilka mil na południe i skręciłem na wschód, do dzielnicy, której prawie nigdy nie odwiedzałem. Tak zwany korytarz Sand Hill należał do głównych wskaźników kondycji San Judas: ceny nieruchomości można tam śledzić jak notowania giełdowe lokalnej spółki. Jest to, można powiedzieć, gniazdo kapitału inwestycyjnego, dlatego też tam właśnie ulokowano sporo drogich hoteli ze wspaniałym widokiem na wzgórze, które właśnie ozłociły się jesiennymi barwami. Miałem jeszcze w kieszeni forszę od Orbana i postanowiłem zafundować sobie odrobinę luksusu przed wyprawą do Piekła.

Wybrałem bardzo elegancki hotelik dla biznesmenów, a że na panoramie mi specjalnie nie zależało, za moje kilkaset dolców dostałem całkiem ekstra apartament. Chodziło mi przede wszystkim o bezpieczeństwo, a w takich przybytkach można na to liczyć. Zatrzymałem się na stacji benzynowej, żeby się trochę doprowadzić do porządku, ale i tak musiałem wyglądać na ofiarę napadu rabunkowego. Młodej recepcjonistce jednak nawet powieka nie drgnęła, kiedy wypełniałem kartę meldunkową, i z uśmiechem wydała mi resztę. Znalazłszy się w numerze, najpierw ogołociłem minibar, a potem zrobiłem sobie najdłuższą, najgorętszą kąpiel za mej pamięci. Obolałe mięśnie i nerwy powoli się rozluźniały, lecz choć moczyłem się w pachnącym, pianistym ukropie wystarczająco długo, by móc uchodzić za rosół, nie mogłem się całkowicie pozbyć dreszczy.

Wylazłem w końcu z wanny, owinąłem się w hotelowy szlafrok z mięsistego frotté i nalałem kolejnego drinka. Wierzcie lub nie, ale przede wszystkim jako środek przeciwbólowy, zaczynało bowiem do mnie docierać, że wpadam w dobrze mi znany czarny, fatalny nastrój, na który żadna gorzka nie pomaga. Zgadza się, to takie nieamerykańskie – ale nic na to nie poradzę. Znam siebie i wiem, jak funkcjonują noszone przeze mnie ciała.

Nie miałem wątpliwości, kto za tym wszystkim stoi – i ta świadomość przyprawiała mnie o uczucie, jakby coś twardego utkwiło mi między mózgiem a czaszką. Albo jakby leżała mi na żołądku porcja niedogotowanego żwiru z tłuczonym szkłem. Tysiąc razy wolałbym zresztą, żeby chodziło o taką czy podobną dolegliwość fizyczną; takiego ostrego niezytu myśli nie życzyłbym nawet wrogowi. No, może poza jednym.

Eligor. Najpierw, na długo zanim w ogóle dotknąłem jego byleż, nasłał na mnie rogatego sumeryjskiego potwora – tylko dlatego, że niby miałem to cholerne złote anielskie pióro. Potem odebrał mi Caz, ale wcześniej zdążył ją zmusić, by mi powiedziała, że mnie nie kocha. Teraz rzucił do akcji tego nieumarłego psychologa, który poluje na mnie jak kot na szczura i przez to muszę się ukrywać nawet przed własną firmą i przyjaciółmi. No i ma Caz! Innymi słowy, trzyma w ręku nie tylko atuty, ale w ogóle całą talię – a mimo to i tak chce mnie wdeptać w beton, żeby pokazać, jaki jest wielki i silny, a ja mały i nic nieznaczący. Czy w tej sytuacji w Piekło może być gorzej? (Wiem, wiem... głupie pytanie, a jak bardzo, miałem się przekonać już niebawem. Wtedy jednak ledwo żyłem z bólu i bezsilności).

Jeżeli się w ogóle kiedyś wahałem w tej kwestii, to w owej chwili etap wątpliwości miałem już jednak za sobą. Nie będę siedział na tyłku i czekał, aż ktoś mnie ukatrupi, w coś wrobi albo Bóg wie co jeszcze wymyśli. Skoro arcyksiążę życzy sobie zagrać o taką stawkę, to zrobię wszystko, żeby przenieść grę na jego połowę boiska.

Mimo wyczerpania długo nie mogłem zasnąć. Leżałem z rękami pod głową i patrząc na igraszki światła i cienia na suficie malowanym poświata od telewizora, przeżuwałem w myślach nienawiść do Eligora i smakowałem wizje w rodzaju „wyrywam mu to osmalone kamienne serce i trzymam mu przed ślepiami, póki nie zdechnie”. Kiedy w końcu usnąłem, sen pociągnął mnie jeszcze głębiej w tę ciemność.

Obudziłem się z mdłym posmakiem krwi w ustach.

Dwanaście

Anielskie podszepty



Kiedy się w końcu zwlokłem z łóżka, było już po południu. Wydarzenia minionego wieczoru wydawały mi się wręcz nierealne. Przecież to było jak pokrętny sen: mój szef, było nie było archanioł, ofiarował mi pomoc w przedostaniu się do Piekła na ratunek mojej ukochanej diablicy. Ale znacie mnie – Bobby Dolar nigdy nie dopuszcza, żeby suche fakty albo zdrowy rozsądek stanęły na przeszkodzie jego samobójczo głupim zamiarom, gdy tylko więc podniosłem poziom kofeiny w krwiobiegu do wartości rozruchowej, wziąłem się do pracy nad programem działania.

W firmie byłem kryty: odesłano mnie na bezterminowy urlop, więc nie musiałem się nikomu odmeldowywać. Poza tym Temuel z pewnością wszystkiego dopilnuje; w końcu lepiej ode mnie się zna na mechanizmach niebieskiej biurokracji. Woląłem też, żeby wiara z „Cyrkla” nie zadawała zbyt wiele pytań, zadzwoniłem więc do Moniki i do Clarence’a, by uprzedzić oboje, że na jakiś czas wyjeżdżam z miasta. Dałem im do zrozumienia, że chcę się gdzieś zaszyć i przemyśleć pewne sprawy i że się odezwę po powrocie.

Podczas rozmowy przeglądałem też najświeższy towar od Tłusciocha, ale na ogół były to tylko wariacje na tematy już mi znane: pierwsza seria morderstw z lat siedemdziesiątych, a potem wielki come back Śmieszka i jego ostateczne – jak się nam wtedy wydawało – zlikwidowanie. Ostatnie wiadomości o nim pochodziły sprzed roku, a i starsze były tylko odbiciem pogłosek o jego powrocie, wyłowionych z różnych mrocznych zakątków Internetu. Ani trochę nie przybliżyły mnie do wyjaśnienia, dlaczego nagle się zawziął, by dziurawić mi skórę, a przede wszystkim, czemu nie pozostał martwym zamiast żywym trupem.

Na wyprawę do Piekła nie musiałem niczego pakować, gdyż i tak nie mógłbym zabrać żadnego normalnego bagażu. W drogę wybierała się tylko moja dusza, a nie ziemskie ciało; a swoją drogą musiałem coś z nim zrobić na czas, kiedy nie będę go używał. Najchętniej zwyczajnie zostawiłbym je w mieszkaniu, ale moim gospodarzem jest wścibski starszy pan i woląłem nawet nie myśleć, co by było, gdyby tak wpadł sobie niby to sprawdzić, czy wszystko w porządku, znalazł „mnie” leżącego bez życia i zawiadomił gliny. Nawet gdybym zdążył wrócić, zanimby zrobili sekcję i skremowali „zwłoki”, bardzo trudno byłoby mi podać jakieś wiarygodne wytłumaczenie. Potrzebowałem bezpiecznego miejsca na przechowanie mojej doczesnej powłoki.

Bieda w tym, że wybór miałem bardzo ograniczony. Nie chodzi o to, że puste ciało wymaga jakiegokolwiek opieki. To jeden z popisowych numerów Nieba; pozostanie żywe, nieruchome i w jak najlepszej kondycji dopóty, dopóki będę poza nim. Problem tylko w tym, gdzie miałoby na mnie czekać: nie będę wiedział, co się z nim dzieje, a jeśli nawet, to i tak w razie konieczności nie mógłbym szybko do niego wrócić. Musiałem mu znaleźć stróża – kogoś, kto by je ochraniał podczas mojej nieobecności.

Po długich rozważaniach wybrałem wreszcie kandydata. Jak większość moich pomysłów w ostatnich tygodniach, i ten był tak okropnie głupi, że gdybym mógł, sam bym siebie za niego kopnął w tyłek; jednakże choć zmagalem się z tą kwestią całe popołudnie, nikogo lepszego nie znalazłem. Sami widzicie, w jak beznadziejnej byłem sytuacji.

Mój wybraniec podniósł słuchawkę i dwa razy ją upuścił, zanim usłyszałem bełkotliwe:

– Heja, tu G-Man.

Wziąłem głęboki oddech, wciąż jeszcze się zastanawiając, czy nie lepiej po prostu porzucić moją ziemską formę gdzieś na środku ulicy – z pewnością byłaby tam bezpieczniejsza, gdyż jeśli na tej pięknej planecie egzystuje osoba bardziej denerwująca i mniej kompetentna niż Garcia „G-Man” Windhover, to ja jej jeszcze nie miałem okazji spotkać. Poznałem go nie tak dawno, gdy usiłowałem dojść, w jaki sposób nieboszczyk dziadek jego dziewczyny wszedł w konszachty z Trzecią Drogą Sama (wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mój przyjaciel jest w to zamieszany). Niestety, odczepić się potem od smarkacza było trudniej, niż gdyby się wysmarował smołą i przypiął do mnie na rzepy. Wierzcie mi, to był ostatni facet, którego chciałbym wtajemniczyć choćby w ułamek mojego planu, ale miłość i desperacja często wymuszają na człowieku przedziwne decyzje.

– Heja, G-Man – odrzekłem w tym samym stylu. – Tu Bobby Dolar.

– Bobby! Kopę lat, brachu! Co tam u ciebie?

Garcii się roilo, że jest moim kierowcą, partnerem, agentem czy czymś w tym rodzaju. Usilnie starałem się wybić mu to z głowy, ale to było jak przekonywanie maniaka, że nie ma racji. Tylko że G-Man dysponował prawie pustym domem, więc przyszło mi schować dumę i rozsądek do kieszeni.

Umówiłem się, że wpadnę do willi dziadka Posie jeszcze przed wieczorem, i upewniłem się, że jej nie będzie. Dziewczyna nie była głupsza od swego absztyfikanta (to chyba byłoby fizycznie niemożliwe), wiązałyby się z nią jednak niepotrzebne ryzyko. Na G-Mana byłem skazany, ale nie było sensu dorzucać jeszcze kogoś do tego popieprzonego układu.

Załatwiłem jeszcze parę rzeczy, po czym zadzwoniłem do Sama na komórkę i zostawiłem mu wiadomość z wyjaśnieniem, co robię. Nie zaszkodzi, jeżeli ktoś mądry będzie wiedział, co się dzieje, a nikogo lepszego nie znałem. Nie potrzebowałem od niego żadnej konkretnej pomocy; po prostu tkwiłem tak głęboko w kłamstwach, komplikacjach i cudzych sprawach, że chciałem mieć kogoś, kto stanie przy mnie, gdy to wszystko się w końcu rypnie. Sam mnie wprawdzie okłamał w paru kwestiach, ale wierzyłem, że wciąż jesteśmy kumplami.

Pojechałem potem do Palo Alto, gdzie w willi Edwarda Walkera koczowała wnuczka zmarłego gospodarza ze swym niewydarzonym narzeczonym. G-Man otworzył mi drzwi natychmiast po pierwszym dzwonku, ubrany jak koszar hiphopowca. Nie mam nic przeciwko białym młodzieńcom, którzy się noszą jak czarni młodzieńcy – tak już jest z uliczną subkulturą, że pociąga dzianych snobów – ale Garcie Windhovera cechował naprawdę uderzający brak dobrego smaku. Obwieszony był tyłoma zbyt dużymi łańcuchami, jakby je zamówił hurtem dla uzyskania rabatu, na głowie miał bejsbolówkę z logo młodzieżowej drużyny Pумы San Judas obróconą daszkiem na bok, a workowate spodnie nosił opuszczone niemal na uda.

Zignorowałem jego wyciągniętą do „żółwika” pięść i wszedłem do holu.

– Macie tu na górze jakiś pokój gościnny? – spytałem.

– O kurczę, potrzebujesz tajnej kryjówki? – Chłopak omal się nie zachłysnął.

– Mniej więcej. To jak, znajdzie się coś takiego?

Okazało się, że G-Man niewiele wie o domu, w którym zamieszkał. Obracał się wyłącznie między kuchnią, salonem (gdzie stoi telewizor) i pokojem na parterze, gdzie spali z Posie. Znaleźliśmy w końcu odpowiednią sypialenkę na górze, urządzoną, lecz ewidentnie od dawna nieużywaną, która nadawała się dla moich celów. Oczywiście nie mogłem poinformować młodego, że chcę tu zaparkować przydziałowe ciało i udać się z wizytą do Pieła, wymyśliłem więc idiotyczną historyjkę o testowaniu supertajnego narkotyku, czego nie mogę zrobić w rządowym laboratorium, gdyż moi mocodawcy podejrzewają, że działa tam zakamuflowany szpieg. Garcia nie mógł się zdecydować, czy ma mnie uważać za prywatnego detektywa, czy raczej agenta tajnych służb, ale ta legenda najwyraźniej nie wydała mu się niewiarygodna –

wiecie już zatem, jak przerażająca jest jego ignorancja. Czy wy na jego miejscu nie zażądaliście przynajmniej lepszego wytłumaczenia, dlaczego ktoś zamierza się zaszyć w waszym domu i pograć w śpiączce? Oczywiście, że tak – i dlatego właśnie mój G-Man jest tak wyjątkową jednostką.

Miał tylko jedno zastrzeżenie, a mianowicie że jego dziewczyna może tu wejść i mnie znaleźć.

– Posie jest w porzo, ale to w końcu laska, nie? Przy takich niebezpiecznych numerach zwyczajnie wymięka. Gdyby mnie jak raz nie było, mogłaby... ja wiem?... zadzwonić po gliny albo co?

Musiałem przyznać mu rację.

– Nie przejmuj się, G-Man – uspokoiłem go. – Wsunę się pod łóżko. Nakryję się prześcieradłem, żeby mnie kurz nie oblaźł i pająki, i będzie dobrze.

– Zaraz, zaraz! Chcesz powiedzieć, że przeleżysz tak pod wyrem parę tygodni i nic? Ale heca... No dobra, Bobby, już ja przypilnuję, żeby ci nikt nie przeszkadzał.

– Z tobą włącznie. – Wycelowalem w niego palec. – Pamiętaj, to rządowy eksperyment medyczny z najwyższej półki. Gdybyś coś tu ze mną zmalował albo komukolwiek o tym powiedział, naraziłbyś moje życie i swoje... o bezpieczeństwie wolnego świata nie wspominając.

Wybaczenie, ale po prostu nie mogłem się powstrzymać, żeby go trochę nie wkrećić. Na moim miejscu pewnie też byście tak zrobili.

Oczy mu zaśniły.

– Tajest, stary! – palnął i zasalutował tak zamaszycie, że stracił sobie czapkę z głowy.

Muzeum Przemysłu mieści się w wielkiej starej willi w dzielnicy Belmont. To północna strona miasta, na zachód od arterii Camino Real. Należała kiedyś do rodziny Phaganów. Dawno temu, kiedy była to jeszcze osada podmiejska, tacy ludzie robili tak wielkie pieniądze, że ledwo nadążali z ich wydawaniem, by się w nich nie utopić. Jednym ze sposobów było stawianie sobie rezydencji w Belmont. Któreś z późniejszych pokoleń zdało sobie zapewne sprawę, że posiadłość przyniesie im większą korzyść jako dar dla miasta, który można by odliczyć od podatku. Muzeum urządzono w głównym budynku, trzypiętrowym domiszczu, w którym pewnie łatwo było się zgubić nawet gospodarzom, oraz w dobudowanych później dwóch skrzydłach. Każda z części poświęcona była innym aspektom historii San Judas i całej Kalifornii: rdzennym mieszkańcom regionu i najwcześniejszym europejskim kolonizatorom; rozwojowi miasta w XIX i XX wieku; tudzież współczesności spod znaku Doliny Krzemowej.

Fontannę zdobiącą dziedziniec można by nazwać drugim wcieleniem rozebranego budynku administracyjnego z początku XX wieku, który kiedyś stał na tyłach posiadłości. Pewien lokalny artysta powybierał z rumowiska rurki miedziane z systemu zraszaczy przeciwpożarowych i częściowo go odtworzył na otwartym placu przed muzeum. Wygląda to tak, jakby budynek wciąż stał, tylko ściany stały się niewidzialne; rury tworzą przestrzenne formy geometryczne, a woda tryska z wylotów na wszystkich poziomach. (Przypomina mi to zawsze modele Widzialnego Człowieka, w których przez przezroczystą plastikową skórę widać układ krążenia).

Przyglądałem się fontannie z bliska, kiedy ktoś podszedł do mnie od tyłu. Po ostatnich przypadkach ze Śmiszkiem stałem się nieco nerwowy; musiałem się odwrócić błyskawicznie, gdyż młody Afroamerykanin spiesznie uniósł ręce i powiedział zmieszany:

– Przepraszam, nie chciałem tak pana przestraszyć. Może mi pan powiedzieć, która godzina? Spojrzałem na zegarek.

– Punktualnie dziesiąta – odrzekłem, ale gdy znów nań spojrzałem, uśmiechał się dziwnie. – Czy coś nie tak?

– To ja, Bobby. Temuel.

Przewróciłem oczami z dezaprobatą.

– Szef to się nieczęsto może wyrwać z Nieba, nie?

– Z czego to wnioskujesz?

– Za dobrze się szef bawi przebierankami.

– Zachowuję tylko ostrożność – odparł z godnością. – To chyba dobrze, co? Nie chciałbyś, żeby wszyscy wiedzieli, co tu robimy, nie?

Czemu niemal wszyscy moi znajomi są tacy drażliwi?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniłem.

– No.

Rozejrzał się wokoło. Wyglądało na to, że prócz nas nie ma w tej okolicy nikogo. Muł wyciągnął przed siebie dłoń i otworzył w powietrzu Zamek Błyskawiczny. (Jeżeli jeszcze o tym nie było mowy, to wyjaśniam, że za pomocą tych stworzonych ad hoc wichajstrów możemy wychodzić na Zewnątrz, to znaczy poza Czas. Tam właśnie jest nasze miejsce pracy, czyli obrony dusz świeżo zmarłych ludzi przed knowaniami i zakusami Piekła). Przeszedł na drugą stronę, dając mi znak, bym do niego dołączył.

Inaczej niż przy zwykłych okazjach (gdyż zazwyczaj staję tam przy czyimś łożu śmierci lub na miejscu wypadku), sceneria Zewnętrzza była prawie taka sama jak normalnie. Obaj nadal byliśmy sami, muzeum zamknięte, trwała ta sama noc. Jedynym szczegółem różniącym ją od ziemskiej była fontanna: strużki i rozpylone kropelki wody zastygły w bezruchu jak zamarznęte. Aż się prosiło, żeby obejrzeć to dziwo z bliska, ale Muł miał inny pomysł na wspólne spędzenie miłych chwil.

Znów uniósł rękę i wyciągnął coś nie wiadomo skąd. Kiedy mi to podał na otwartej dłoni, zobaczyłem tylko małą iskierkę.

– To jest Lameh – przedstawił mi ją. – Jest aniołem stróżem.

Wszyscy o takich słyszeliście: to byt anielski, który pozostaje przy przydzielonym mu człowieku od jego narodzin do śmierci. Mało kto jednak wie, że pełni zarazem funkcję czegoś w rodzaju czarnej skrzynki: zapisuje każdy jego czyn, każde wypowiedziane słowo, każdą niewysłowioną myśl, a potem my, adwokaci, wykorzystujemy te informacje w argumentacji obrończej, gdy już jego dusza stanie przed sądem.

– Cześć, Lameh – powiedziałem uprzejmie.

– Ona już właściwie nie mówi – wyjaśnił Temuel. – W każdym razie nie na głos. Jest bardzo stara.

Zaskoczył mnie. Nigdy dotąd nie słyszałem, aby ktoś wspominał o wieku anioła.

– Ale ci pomoże – dodał. – Dużo wie i podzieli się z tobą tą wiedzą.

– Dużo wie o czym?

– O Piekle, rzecz jasna. – Wykonał nieznaczny gest i iskierka nagle rozjarzyła się jaśniej na opuszcze jego palca. – Potrzebne są ci informacje. O wiele więcej, niż do tej pory zebrałeś, inaczej zdemaskują cię tam w jednej chwili. – Twarz mu stężała w surowym grymasie. – To nie zabawa, Bobby.

– Przecież wiem – odburknąłem.

Zaciekawił mnie jednak niezmiernie. Skąd u tej Lameh tyle tak specyficznego materiału? Takich rzeczy w szkole stróżów raczej nie wykładają. Zanim zdążyłem wymyślić stosowne dyskretne pytanie, archanioł nachylił się ku mnie i przyłożył mi palec do ucha. Poczułem, że coś wskoczyło mi do głowy – inaczej nie umiem tego wyrazić. Wrażenie było tak dziwne jak ten opis. Potem wziął mnie pod rękę i delikatnie popchnął w stronę Zamka.

– Wracaj do domu, Bobby – polecił. – Prześpij się, a resztę Lameh zrobi sama. Powie ci wszystko, czego potrzebujesz, a potem zabierze tam, gdzie powinieneś być.

Wymiana informacji ze stróżami to mój chleb powszedni, nie przeszkadzała mi więc perspektywa, że ktoś wedrze mi się w myśli, miałem za to jeszcze sporo pytań do Temuela. Dla niego rozmowa najwyraźniej była jednak skończona, gdyż bez słowa pożegnania odszedł i po chwili wspinał się już po stopniach prowadzących z placu na ulicę. Zawołałem za nim, lecz się nie odwrócił. W połowie schodów ruszył truchtem, a potem biegiem – jakby naprawdę był dwunastolatkiem, za którego się przebrał.

– Zadzwoń, gdy wrócisz! – krzyknął jeszcze, zanim rozplynął się w cieniu okolicznych budynków.

Wróciwszy do domu Walkera, nie fatygowałem G-Mana, tylko wlałem przez otwarte okno i od razu poszedłem na górę. Prześcieradło leżało gotowe, tak jak je wcześniej zostawiłem. Wsunąłem się z nim pod łóżko i owinałem ciasno od stóp do głów. Męczyła mnie myśl, że leżę jak w całunie. Lameh siedziała w mej głowie, mamrocząc ledwo słyszalne słowa – bardziej jak śpiewne modły niż użyteczne fakty – które wchodziły we mnie nie jak wykład, lecz raczej transfuzja czy zastrzyk. Starąłem się maksymalnie rozluźnić i pozwolić im płynąć własnym rytmem. Normalnie i tak zresztą jej nie rozumiałem. Nie zapoznawała mnie z diabelską nomenklaturą ani głównymi towarami eksportowymi różnych regionów Piekła. Wszystko, co mówiła, odbierałem jak odczucie, ale od czasu do czasu docierały do mej świadomości rzeczy, których tam wcześniej nie było, jak gdybym zasnął podczas dżdżu i przez sen czuł spływające po skórze strużki wody.

W końcu osunąłem się w półprzytomną ciemność. Ów cichy głos odprowadzał mnie jeszcze chwilę, gdy tak spływałem gdzieś w dół. Przyśniło mi się, że stoję przed drzwiami i wiem, że po jednej ich stronie kryje się najsmutniejsza rzecz na świecie, nie mam jednak pojęcia po której. Potem i senna mara się rozwiązała. Zostałem sam, z wolna tonąc w nicości.

Byłem w drodze.

W dół.

Na samo dno.

Interludium



Podziwiałem uroczą myszkę na jej plecach: gładką, brązową wypukłość tuż pod łopatką, jak jedyna grudka ciemnego bursztynu na śnieżnobiałej plaży.

– Kto tam u was był taki cwany, że pomyślał o jej umieszczeniu na twym doskonałym ciele, żeby mnie tym pewniej w tobie rozkochać?

– Tak, jasne – prychnęła. – Bo Piekło nie ma nic lepszego do roboty niż snuć plany usidlenia ciebie, Dolar. Tak się składa, że to moje własne znamię, oryginał prosto z piętnastego wieku.

Nachyliłem się i złożyłem na lodowatym szacownym autentyku pocałunek pełen... nie czci bynajmniej, a potem przesunąłem wargami po jedwabistej skórze w górę, do linii pierwszych platynowo jasnych włosów. Zatrzymałem się tam na dłużej, obsypując miękkim staccato pocałunków jej długą, smukłą szyję i uszy, chłonąc przy tym łapczywie jej zapach. W żaden sposób nie zdołałem go opisać w całej aromatycznej gamie – nigdy go za to nie zapomnę, nawet jeśli wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wyjdę z tego szaleństwa cało i dożyję późnej anielskiej starości. A to naprawdę bardzo długo.

Albo jej pośladki. Któryś z tych greckich mądrali – Platon, Arystoteles czy inny Onassis – twierdził, że pięć jest brył doskonałych w geometrii. Ja bym dodał do tego jeszcze kształt jej pupy, bo jeśli kto szuka doskonałości, to lepszego przykładu nie trzeba. Właściwie to chyba dobrze świadczy o mojej dojrzałości, że zakochałem się w Caz, jeszcze zanim ujrzałem w pełnym blasku i chwale tę suitę na alabastrową biel, jędrne ciało i jedwabistą skórę.

Jej smukłe plecy spoczywały przede mną jak marmurowa statua wygładzona nieustanną pieszczotą oceanu. Przywarłem do niej zachłannie. Gdy w nią wszedłem, wydała krótki jęk; poczułem, że zaciska mięśnie, a potem sztywnieje jak przerażone zwierzątko.

Wstrzymałem się w pół ruchu.

– Zabolalo cię? – spytałem zaniepokojony, wodząc delikatnie dłonią po jej cudnie sklepionym biodrze. – Mam przestać?

– Tak. Nie wiem... Nie. – Próbowała się na mnie obejrzeć, ale było jej niewygodnie. – To tylko... Czuję się taka bezbronna. Nie chcę... – Głos jej uwiązł w gardle. – Przepraszam cię, ale nie chcę. Możesz mnie tylko przytulić?

– Oczywiście. – Wycofałem się najdelikatniej jak mogłem, wiedząc, że ten moment jest dla niej nieprzyjemny. Wsunąłem lewą rękę pod jej szyję, ułożyłem przedramię między jej piersiami i mocno, mocno objąłem. – Właściwie to ja też już więcej nie chcę. Wiem, że ludziom się to podoba, ale myślę, że cały ten seks jest trochę przereklamowany.

Jeszcze mówiąc te bzdety, zorientowałem się, że Caz drży. Czyżby się śmiała? Aż tak dowcipne to nie było.

Minęła minuta, a ona nie przestawała się trząść.

– Caz, ty płaczesz?

– Nie!

Czułem jednak na ramieniu wilgoć, a gdy się odchyliłem do tyłu i spróbowałem obrócić ją przodem do mnie, nie pozwoliła; gniewnym ruchem przetarła oczy i dopiero wtedy mi się pokazała.

– Odpięprz się, Dolar. Nic nie mów.

– Co się stało? Zrobiłem coś nie tak?

– Nie, ty nie. Nie wszystko się kręci wokół ciebie, wiesz?

– No to o co chodzi?

– Ja po prostu... – Zamrugła nerwowo i skrzywiła się. – Nie jestem dobra w tych czułościach. – Zerknęła na mnie przelotnie i schowała twarz na mym torsie. – Jak będziesz mnie, dupku jeden, wpędzał w zakłopotanie, to wstanę, wezmę nóż i urnę ci malego.

Nie ma to jak romantyzm z dreszczykiem.

Tuliłem ją do siebie w milczeniu, póki nie poczuła się lepiej. Pocałowaliśmy się i chwilę rozmawialiśmy szeptem, zanim zmorzyła nas drzemka. Wiedziałem, że w perfekcyjnym ciele hrabiny Zimnorekiej kryje się bardzo poraniona, sponiewierana psyche, sam się jednak nadziwić nie mogłem, jak bardzo mnie to poruszyło. Jak mocno zapragnąłem zrobić coś, żeby jej ulżyć. To zaś, powiadam wam, było najbardziej przerażającą rzeczą, jaka mi się dotychczas przytrafiła.

Caz, wysoka szyszka w piekielnej hierarchii, jest naszym zaprzysięgłym, śmiertelnym wrogiem... i ma poważne problemy emocjonalne. Na moim miejscu każdy choć trochę rozgarnięty anioł, nawet na tym zaawansowanym etapie znajomości, zerwałby się w tej chwili na równe nogi, na golasa wypadł na ulicę i zwiewał jak na, nomen omen, skrzydłach, ani się obejrzawszy. Tylko że ja, oczywiście, nigdy taki nie byłem.

Trzynaćcie Gob



To było tak: w jednej chwili leżałem pod cudzym zapasowym łóżkiem jak przeceniona mumia z wyprzedzący garażowej, a w następnej wszystko zniknęło i została tylko nieprzenikniona ciemność. Potem zrobiło się jeszcze dziwniej, bo owa ciemność okazała się nierówna.

Nie mówię tu o wrażeniach wzrokowych ani dotykowych. Chcę powiedzieć, że czułem, jak mną dosłownie zarzuca w drodze na dół, jak gdyby podawali mnie sobie z rąk do rąk jacyś niezgrabiasze. Sądziłem wcześniej, że znalazłem się chyba w jakimś schowku albo miniaturowej izdebce. Dopiero gdy zdałem sobie sprawę, że całe to pomieszczonek podryguje i ciska mnie to na jedną, to na drugą ścianę, zrozumiałem, iż jestem w windzie. Zjeżdżałem do Piekła rozklekotaną windą, sunącą na piszczącej linii ku absolutnemu parterowi świata. Zastanowiło mnie, czy dla legalnych przybyszów mają tu jakieś inne środki transportu, na przykład dźwig z koszem albo w ogóle zwykły zsyp.

Wkrótce dotarło do mnie, że czuję się nie tak jak zwykle. I nie chodzi mi o nagłą nieobecność Lameh w mojej głowie (najwyraźniej towarzyszenie mi w podróży nie wchodziło w zakres jej misji) ani o jej informacje wszczępione do mej pamięci. Całe ciało odczuwałem inaczej, w niezrozumiały dla mnie sposób. Było to tak przedziwne uczucie, że nie od razu do mnie dotarło, iż ktoś – Lameh czy inny wysłannik Temuela – przyoblekł mnie w zupełnie nową powłokę, bardziej odpowiednią na paradowanie po Piekło. Nowe ciało i nowe myśli, ale wciąż ta sama beznadziejna sytuacja.

Z początku wydawało mi się to wszystko niesamowite, ale w miarę jednostajnego, chybotliwego zjazdu stało się zwyczajnie nudne. Potem sama przewlekłość i ogłupiająca monotonia podróży znów zaczęły mnie przyprawiać o irracjonalny niepokój. Gdyby nie wstrząsy kabiny i z rzadka pojawiające się za okienkiem mdłe światełka, miałbym wrażenie, że zostałem zamknięty w zapętłonym odcinku nagrania wideo, w tych samych pięciu sekundach powtarzających się w nieskończonym, upiornym cyklu. Nie miałem wątpliwości, że piekielni luminarze znają jakiś inny sposób przedostawania się z dołu na górę i z powrotem – zabrakłoby im cierpliwości na taką wielogodzinną uciążliwą jazdę.

Z drugiej strony dawało mi to sporo czasu na zebranie myśli. Uniosłem dłonie na wysokość oczu, żeby zobaczyć, jak też wyglądam w wersji demonicznej. Wydały mi się ciemniejsze, a paznokcie przypominały szpony, jednak ogólnie nie było najgorzej. W windzie było zbyt ciemno, żebym mógł ocenić całość, zacząłem jednak badać się dotykowo, sprawdzać funkcjonalność mięśni i zakres ruchomości kończyn, palców i stawów. Wszystko wydawało się w miarę normalne, choć skórę z pewnością miałem teraz grubszą i gumowatą, coś jak u delfinów i orek.

W końcu winda stanęła z metalicznym zgrzytem i drzwi rozsunęły się hałaśliwie. Przez głowę przemknęła mi groteskowa myśl, że gdy się z niej wynurzę, znajdę się w dziale gospodarstwa domowego albo odzieży dziecięcej w jakimś zapuszczonym domu towarowym. Rzeczywistość naturalnie okazała się inna: stałem na skraju wąskiego pasa żółtego piachu, a wszystko wokoło ginęło w cieniu. Wiedziałem jednak, że to jakaś niewyobrażalnie ogromna przestrzeń. Przedem widniał most Nerona, łagodną krzywizną wznoszący się nad bezdenną, czarną otchłanią i niknący w odległej perspektywie, podświetlony tylko czerwoną poświatą

ognia, drobnymi języczkami wydobywającego się przez szczeliny w ścianie przepaści.

Było tu dość jasno, bym mógł się sobie lepiej przyjrzeć. Tak, ręce miałem z grubsza ludzkie, ale kolorem (a właściwie kolorami) nie przypominały niczego znanego. W tym świetle mogłem tylko stwierdzić, że są popielate w czarne i pomarańczowe pręgi. Na łokciach i kolanach skóra była zrogowaciała i luskowata, a gdy wykręcałem rękę lub nogę, mogłem dostrzec jasną czerwień mięśni widoczną przez szpary między poszczególnymi płytkami. Wyglądało to, przynajmniej, niezbyt przyjemnie, więc zaprzestałem tych prób. Obmacałem głowę; wydawała się normalna, tylko zamiast włosów rosła na niej jakaś szczecina albo nawet kolce, jak u jeża. Rogów nie było. Stopy miałem czarne, skórzaste i tylko z dużym paluchem – pozostałe były zrosnięte w monolit. Jeżeli to typowe u demonów, to przynajmniej wiadomo, skąd się wzięła ludowa wizja diabelskich kopyt. Ogoną też nie stwierdziłem (z niejaką ulgą). Na dobrą sprawę – jeśli nie liczyć ciekawej karnacji – wciąż byłem stworzony na obraz i (jako takie) podobieństwo człowieka. Mogło być dużo gorzej.

Wewnętrznie też się czułem dziwnie, ale nie umiałem określić, czy to z powodu nowej cielesności, czy raczej samego pobytu w Piekle. W końcu ciało jak ciało, może nieco dziwne, a karnacja taka więcej ropusza, ale dla mnie było jak kombinezon dla astronauty: miało zapewnić mi bezpieczeństwo w tym bardzo niezdrowym środowisku.

Wicie już, co się działo na moście Nerona. Pora opowiedzieć, jak to wyglądało, gdy już z niego zszedłem w gorącą, gęstą mgłę na skraj Piekla.

Spodziewałem się czegoś dramatycznego, jak na dawnym przejściu granicznym z Berlina Zachodniego do Wschodniego, albo nawet Czarnej Bramy do Mordoru, tymczasem okazało się, że wejść tam nie jest trudniej niż wysiąść z taksówki – przynajmniej na początku.

Z tego, co stróżycy Lameh przeffancowała mi do pamięci, wiedziałem, że muszę się znajdować w kręgach Abadonu – gdzieś w górnej połowie Piekla. Brzmi nieźle, nie? Ale jeżeli tak to wygląda na gorze, to z całą pewnością wolałem się nie zapuszczać niżej. Nie widziałem jeszcze, jak tam jest, ale czuć czułem. Cały Abadon śmierdzał. Nie mówię tu o jakimś prostym, zwykłym odorze, jak łajna czy gnijącego mięsa. To była mieszanina wszystkich paskudnych smrodów, jakie tylko mogła wytworzyć biologia pospołu z geologią, zmiksowana w jeden bijący w zmysły antybukiet, w którym przewijały się też normalniejsze wonie, na przykład rozgrzanej miedzi czy palonego siana. Nie mogłem się do niego przyzwyczaić przez cały pobyt na Dole. Architekci Piekla urządzili to diabelnie (bo jakżeby inaczej?) sprytnie: wiedzieli, że do normalnego smrodu, choćby i złożonego z milionów niezmiennych zapachów, prędzej czy później można przywyknąć. Jednakże wystarczy od czasu do czasu drobna zmiana, by otumanione powonienie znów zaczęło odbierać bodźce na świeżo.

Gdy zostawiłem za sobą most i zanurzyłem się w kłęby żrącej, kwaśnej mgły, zacząłem słyszeć głosy: ludzkie, zwierzęce i jakieś bliżej nieokreślone a straszne. Wrzaski, jęki, pomruki, odgłosy kłótni, a nawet śmiech, który brzmiał, jakby go komuś po kawałku wrywano z obolałego gardła. Głosy potępieńców. Nic specjalnie zaskakującego. Powietrze było okropnie gorące i niemal oślizłe od wilgoci, jak w tunelu nowojorskiego metra podczas najgorszych sierpniowych upałów, tylko tysiackroć gorzej. Czułem już pierwsze oznaki konfliktu między tym, czego w tych warunkach oczekiwał od ciała mój umysł – jak najszybszego przepompowania przez pory litrów potu – a tym, co ciało faktycznie robiło (to znaczy nic). Logiczne: taka tu jest norma i moja aktualna powłoka fizyczna tak to właśnie traktowała. Sześćdziesiąt stopni i mokro jak na florydzkich bagnach? Żaden problem! Ładny dzionek, panie i panowie, ale lepiej zabrać parasol, bo potem mają być przelotne deszcze biegunkowe.

Mgła w końcu się przerzedziła i wreszcie zacząłem widzieć, gdzie jestem.

Według informacji od Lameh, tkwiących teraz w moim umyśle niczym na pół zapomniany

przedmiot ze studiów, Piekło jest potwornie wielkim cylindrem, szerokim jak niejeden kraj i ciągnącym się w górę i w dół niemal bez końca, z niezliczonymi kręgami ułożonymi jeden na drugim jak niewyobrażalnie gigantyczna próbka geologiczna z odwiertu poprowadzonego na wskroś przez cały świat. Abadon to coś w rodzaju samodzielnego państwa zajmującego kilka poziomów, z miastami zbudowanymi prawie całkowicie z gruzów innych miast.

To, co widziałem przed sobą, też wyglądało jak jedna wielka prowizorka z kamieni i błota ułożonych w tysiące nowych kształtów, stłoczonych w ogromną termitierę z wąskimi, pokrętnymi przejściami, w których ledwo mogliby się minąć dwaj przechodnie. Całość tętniła piekielnym życiem, zaskakującym mnogością i różnorodnością wersji cielesnych. Niektóre trudno by nawet nazwać ciałami w normalnym znaczeniu: wyglądały po prostu jak kopczyki glutów, często wyposażone w niepokojąco dużą liczbę oczu. Dość liczne były wszelkiego rodzaju krzyżówki form humanoidalnych ze zwierzęcymi, również twory zupełnie fantastyczne. Po oślizłej, pełnej dziur fasadzie najbliższej budowli wspinało się coś przypominającego te wielkie kraby japońskie z niewiarygodnie długimi odnóżami, z tym że z każdego wyrastał rząd ludzkich dłoni. Umieszczona na środku skorupy głowa też była jak najbardziej ludzka; wyglądało na to, że stwór gwizdże jakąś niesłyszalną melodię.

Wkrótce jednak zauważyłem rzecz jeszcze dziwniejszą. Zaledwie kilka metrów za mną krył się we mgle most Nerona – droga do Piekle z zewnątrz, ale i na odwrót. Najwyraźniej nikt jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. Widziałem, jak potępieńcy wchodzą w tuman i mijają przyczółek mostu, jak gdyby był dla nich niewidzialny. Może zresztą tak właśnie było. Tyle nieszczęsnych, cierpiących dusz krąży o krok od bramy na wolność i nie ma o tym pojęcia! Poczulem narastającą falę mdłości. Zaczynałem naprawdę rozumieć, gdzie jestem i jak tu jest źle.

Widoku nieba naturalnie próżno by tutaj szukać. Budowniczych Piekle, podobnie jak architektów niebiańskich, nie ograniczały ramy praw fizyki. Sam kształt tego miejsca był pomyślany jako ciągle przypomnienie o karze i więzieniu. Nie znaczy to, że przytłaczało ciasnotą; przeciwnie, oblepione prymitywnymi rusztowaniami ściany Abadonu wznosiły się bardzo wysoko, lecz gdzieś nad tym wszystkim rysował się wielki strop z poszarpanej skały. Zadarłszy głowę, nie widziało się nieba, lecz dno wyższego kręgu.

Dziwaczne to było i nieznane, nie miałem jednak za wiele czasu na oswojenie się ze środowiskiem, gdyż po wyjściu z mgły natychmiast ogarnął mnie ów zgiełk i smród. Znalazłem się w tłumie, potrącany i popychany przez najpaskudniejsze osobniki, jakie można ujrzeć w koszmarnych snach.

– Rrrrobaki pieczone, rrrrobaki! – wydarł się żabowaty stwór bez tylnych łap, wymachując mi przed nosem pęczkiem czarniawych patyków. – Chrrrupiące jak lubisz!

– Dżin na flaszki i porcje! – krzyknął facet wyglądający, jakby go w paru miejscach przepiłował bardzo kiepski magik, a pozszywał równie niedouczony chirurg amator. Jego zezowate oczy napotkały moje spojrzenie. – Hej, ty tam! Widzę, że przydałby ci się jeden głębszy. Mój towar prima sort, z gwarancją! Ani jedna jasna myśl ci we łbie nie postanie aż do ostatniej lampy. Szklaneczka tylko żelaźniaka, tanio jak smoła!

Ostatnia lampa? Implanty Lameh w mej pamięci zaskoczyły jak stary silnik. W Piekle nie ma światła dziennego ani księżycowego, poranki znaczy więc zapalenie jednej lampy, w południe włącza się następna, zmierzch sygnalizuje zgaszenie jednej z nich, a noc drugiej. Ogniste płomyki ze szczelin – jedyne światło w porze nocnej – nazywa się tu poświatłami. Żelaźniak zaś to miejscowa moneta. Bimber z pewnością pędzą z czegoś wyjątkowo paskudnego i choć chętnie bym sobie teraz dziabnął pięćdziesiątkę uczciwej gorzały, zachwalany przez tego kubistycznego mutantą „dżin” wcale mnie nie pociągał. Tak, w porównaniu z Niebem Piekło jest niebywale realistyczne. Jest w tym jakiś sens: wszystko tu prawdziwe, nagość, żarcie, woda, gówno, forsa –

co tylko chcecie. Bajeczne światłości i dyskretne pastele Miasta Niebieskiego z każdym uderzeniem serca wydawały mi się coraz piękniejsze w retrospekcji, a byłem tu przecież zaledwie od paru minut.

Cwaniak od dżinu przysunął się bliżej, oferując mi do połowy napełniony metalowy kubek uwiązany na rzemieniu tak długim, że przed chwilą walał się w mokrej ziemi. Pragnienie dokuczało mi nie na żarty, ale choćby gość podsuwał mi chińską podróbkę świętego Graala prosto ze sterylizatora, nie wziąłbym tego paskudztwa do ust – buchający z naczynia odór przebijał nawet całą tę smrodliwą kakofonię, którą już opisywałem. Nawet najlepsze otępienie nie jest warte takiej ceny dla zmysłów. (Tak wtedy naprawdę myślałem. Później zmieniłem zdanie. Pobywszy na Dole jakiś czas, złopałem już wszystko, co mi wpadało w ręce. Na Ziemi też za kołnierz nie wylewałem, ale przynajmniej był to porządny alkohol. Wierzcie mi, w całym wszechświecie nie ma drugiego miejsca, gdzie człowiek tak musi się zalać jak w Piekło. No, może jeszcze w paru zakątkach Oklahomy).

Handlarzowi nie dane było jednak dokończyć akcji reklamowej, gdyż został brutalnie odepchnięty przez kogoś, kto nagle wyrósł przy nas wielki jak autobus. Ów ktoś był płci żeńskiej w typie Królowej z *Alicji w krainie czarów*; w piekielnej rzeczywistości przypominało to zgorzkniałą krowę morską w pudrowanej peruce.

– Spadaj, Git – warknęła do wędrownego barmana. – Nie widzisz, że ten dżentelmen nie życzy sobie twojego szajsu? On woli inne przyjemności, prawda, panie ładny? – zwróciła się do mnie, wprawiając w ruch falowy swoje dorodne piersi. Wyglądały jak zapakowane w plastikowe worki niebieskawe spaghetti w bladym sosie. – U niego nie dostaniesz za żelaźniaka tyle wrażeń, co u mnie. Przechyśnię ci maszynkę, przystojniaczkę, jak nikt. Tak ci przedmucham komin, że będziesz jak nowy.

Na poparcie tych twierdzeń uniosła podartą spódnicę, by się pochwalić wdziękami. Do czego by to porównać?... Wyobraźcie sobie łysą kobyłę z ośmioma pajęczymi nogami, na końcu każdej prymitywną karykaturę damskiej... Nie, ta informacja niczego istotnego nie wniesie, więc wam oszczędzę szczegółów. Sam się ledwo powstrzymałem od wymiotów.

– Nooo, jaki śliczniusi! – Gwizdnęła z podziwem, sięgając włochatą łapą do mego krocza.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem nagi. Odwróciłem się i dałem nura w tłum, chwilowo nie dbając nawet, o jakie inne paskudztwa się ocieram.

– Dupek! Ładniejszej nie znajdziesz nawet w górnych kręgach! – gonił mnie jej chrapliwy wrzask. – Za kogo się masz, pętaku? Zgrywasz waźniaka, co? Idź, idź, zobaczysz, co z tobą zrobią, ty cioto gówniana!

Pojałem, że tu trzeba zawsze być w ruchu, bo inaczej zaraz człowieka coś oblezie. Brnąłem więc przez gęsty tłum, przez brud i niekończące się krzyki tej menażerii z horroru, wśród stworzeń, które albo przede mną uciekały, albo kłapały na mnie zębiskami. Lawirowałem między wyciągającymi mnogie ręce żebrakami płaczącymi krwawymi łzami. Wszyscy tu nosili straszne blizny i okaleczenia zadane celowo – za karę. Można by przypuszczać, że z czasem będzie łatwiej to znosić; że można się uodpornić na ten stały nurt poturbowanych, wyzutych z nadziei, nieludzkich istot – ale ten stan jakoś nie chciał nadejść i miałem na to jeszcze długo poczekać. Na wszelki wypadek podniosłem spory kamień, żeby mieć coś do obrony.

Przedzierając się tak przez ciżbę w poszukiwaniu wyjścia z tego poziomu, albo chociaż nieco spokojniejszego miejsca, zauważyłem jednak, że w labiryncie Abadonu dzieją się też rzeczy bardziej normalne. Widziałem prymitywne warsztaty i zajętych pracą ludzi, tawerny, domy i inne przejawy cywilizacji, choć tak groteskowej. Przyznaję, że byłem tym zaskoczony. Więc w Piekło też się żyje! Sprzedaje się i kupuje, walczy o byt, troszczy o strawę i bezpieczne spanie. A gdzie te osławione męki? Nie ból egzystencji w tej nienawistnej, wszechogarniającej nędzy, ale

prawdziwe piekielne tortury?

A potem do mnie dotarło, uderzyło mocniej niż wszystkie te okropieństwa widziane i odczuwane, odkąd postawiłem stopę po tej stronie mostu Nerona. Bijąca z otoczenia zgroza nie ma nic, ale to nic wspólnego z prawdziwym Piekłem. Lameh mówiła, że Abadon leży w jego górnych kręgach; nie tych najwyższych, w których mają swoje pałace tacy arystokraci jak Eligor czy Sitri, ale też nie w otchłani. To tam, w głębi, w największym żarze – przy którym upał Abadonu jest jak balsamiczne ciepło pierwszych słonecznych dni na wiosnę – gdzie coś zmusza karane dusze do tak przeraźliwego krzyku słyszalnego, mieści się *prawdziwe* Piekło. Tu, mimo całej okropności otoczenia dla wszystkich zmysłów i myśli, żyje się jak na spokojnym, miłym przedmieściu. Wiedziałem, że jeżeli mnie złapią, nigdy już nie ujrzę równie czarującej okolicy.

W tej chwili byłem o włos od rezygnacji.

Anielskie podszepty dały mi taką orientację w geografii piekielnej, ale daleki byłem od zrozumienia, jak to wszystko się zazębia i współdziała, nie mówiąc już o dokładnej mapie całości. Wątpię zresztą, czy takie coś w ogóle byłoby możliwe do utrzymania na bieżąco; już przez ten krótki czas spędzony w Abadonie widziałem kilka alejek zamykanych i otwieranych. Tu się wszystko ciągle rozrasta i zmienia jak żywy organizm, rafa koralowa czy coś w tym rodzaju, choć dzieje się to za sprawą demonów i potępieńców. Między jedną a drugą lampą może zniknąć parę zasypanych uliczek, nowy dom staje okrakiem na dachach dwóch starych i rośnie tak długo, póki wszystkie trzy nie runą pod nadmiernym ciężarem, a wtedy na rumowisku zaczyna się następna budowa. Całe dzielnice stawały w ogniu albo obracały się w perzynę wskutek nieustannych wstrząsów podłoża i natychmiast wyrastały na nowo dla kolejnych mieszkańców, nierzadko wprost na pogrzebanych pod gruzem, wyjących z bólu i przerażenia duszach. Ich wrzaski mogą się tak nieść w nieskończoność, gdyż nie znajdzie wybawienia w śmierci ten, kto i tak już nie żyje. Było kilka miejsc, które musiałem odwiedzić, wszystkie jednak znajdowały się gdzieś nade mną, na wyższych piętrach. Nie ma na Ziemi miasta, gdzie trudniej byłoby odnaleźć właściwą drogę niż w Piekło. Nie mogą się z nim równać nawet slumsy Szanghaju czy fawele wokół São Paulo.

Ani mapy, ani drogowskazów, ani przewodnika. Jak mam zrobić to, co muszę?

Jak się okazało, Abadon miał dla mnie gotową odpowiedź.

Stałem akurat w rynsztoku na skraju jednego z osiedli, gapiąc się na rozpaczliwie znajomy fragment muru zewnętrznego. Byłem wyczerpany fizycznie i psychicznie, zdałem sobie bowiem sprawę, że to miejsce już sprawdzałem poprzedniego dnia. Innymi słowy, znów zabłądziłem. Wyglądało na to, że przyjdzie mi obejść cały obwód muru, zanim znajdę wyjście – to zaś może oznaczać nawet kilka lat w tym jednym tylko kręgu.

Coś otarło się o mnie i zatrzymało na dłużej, niż powinno. Nie zastanawiając się, czy to zapowiedź ataku, czy natrętnej propozycji handlowej, uderzyłem na odlew. Usłyszałem jęk i coś się osunęło na grunt u mych stóp. Zwycięstwo było o wiele łatwiejsze, niż się mogłem spodziewać.

Spojrzałem pod nogi i zobaczyłem zwinięte w kłębek czyjeś drobne ciało, unurzane w cuchnącym bloku; stworzenie było nie większe od kapucynki, ledwo widoczne na czarnym tle. Przechodnie deptali po nim obojętnie; bywało, że twardymi kopytami. Słyszałem jego słabe popiskiwanie – nie jak z bólu, ale jak przy desperackim łapaniu powietrza. Zebrałem się w sobie, sięgnąłem w dół i jednym ruchem podniosłem je na nogi. Dopiero gdy się odwracałem, by ruszyć w swoją stronę po tym akcie miłosierdzia, stwierdziłem, że mały sukinsyn trzyma w długich palcach mój kamień. Skubany kieszonkowiec! Obrobił mnie jak frajera, a przecież nawet nie miałem kieszeni.

Wyrwałem mu zdobycz i pociągnąłem ku małemu zawirowaniu w ludzkim nurcie, gdzie

mogłem mu się spokojniej przyjrzeć. Miał duże, okrągłe oczy, ale pod nimi zamiast nosa tylko niewielką wypustkę; kończyny pokurczone i wykręcone jak po szkorbutcie; a całe ciało pokrywało mu jasne włosie. Mimo tak mikrej postury okazał się zadziwiająco silny – musiałem ścisnąć mu ramię z całych sił, żeby się nie wymknął. Szerokousta małpia twarz zdradzała inteligencję na tyle zbliżoną do mojej, że pożyczone serce zamarło mi w nie swojej piersi.

– Ukradłeś mi kamień – powiedziałem.

Starał się przybrać niewinną minę, przez co tym bardziej sprawiał wrażenie, że nasika ci na dywan, gdy tylko się odwrócisz.

– A nieprawda – odparł piskliwie, po dziecinnemu. – Puszczaj, Szlamiak mnie woła.

– Co to za jeden, ten Szlamiak?

– Nie wiesz? – Ciemne oczy stwora rozszerzyły się jeszcze bardziej na ten dowód ignorancji.

– To strażnik. Duży, z ciężką ręką i ważny, w każdym razie w naszym fyrtku, przy Squitters Row. Jak nie wrócę do roboty na poświata, da mi popalić.

Po sposobie mówienia upewniłem się, że to rzeczywiście dzieciak. Strzelał oczyma na wszystkie strony i choć przestał się szarpać, mięśnie miał wciąż napięte. Jeżeli mnie nie przekona, bym go sam puścił, pewnie mnie ugryzie albo co; na razie jednak próbował się wykręcić sianem. Podobało mi się to.

– Jak ci na imię?

– Nie mam żadnego. – Zmrużył powieki, jakbym mu zaświecił latarką w ślepią.

– Czym się zajmujesz? Gdzie mieszkasz? Masz jakąś rodzinę?

Oczy okrągłały mu coraz bardziej w obliczu takich najwyraźniej bardzo dziwnych pytań.

– Nie mam. Mieszkam w warsztacie. – Oblizwał wargi i spytał nerwowo: – Ty ze Zbrodniów?

Nie od razu zrozumiałem, że ma na myśli Sektę Zbrodniarzy, zbrojną gwardię demonów działających jak najemnicy. W bardziej zabudowanych rejonach pełni ona rolę policji piekielnej.

– Nie. Jestem całkiem zwyczajny.

– No puść mnie, dobra? – spróbował innego podejścia. – Masz w końcu swój kamień z powrotem, nie? A ja gryzę! – Wyszczrzył rządkiem małych, równych i zaskakująco czystych ząbków jak u ryby.

Nie zamierzałem tak łatwo go wypuścić.

– Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi się stąd wydostać. – Obdarzenie kogokolwiek choćby małą dozą zaufania było ryzykowne, ale kończyły mi się już pomysły. – Zgubiłem się.

Mały małpizson znieruchomiał. Widziałem, że naprawdę się zastanawia, choć jeszcze nie zrezygnował z próby ucieczki. Jak się nauczy lepiej ukrywać myśli, będą z niego ludzie, pomyślałem. Zaraz jednak przyszła smutna refleksja: Ludzie, tutaj? i: W porównaniu z kim?

– Trzy żelazniaki – powiedział w końcu.

Gdy raz wdał się w negocjacje handlowe, wiedziałem, że go mam. Dobiliśmy targu: dopóki będzie ze mną, zapewnię mu wikt, a gdy znajdę wyjście z Abadonu, dostanie jedną monetę. Żadnej forsy oczywiście nie miałem, ale to mnie nie martwiło. Jakoś sobie poradzę.

– Tędy – rzucił rozkazująco i ruszył przed siebie, nie sprawdzając, czy za nim idę.

Szedłem czujnie na wypadek, gdyby sobie umyślił podprowadzić mnie swojemu dużemu kumpłowi Szlamiakowi, który zatłukłby mnie na śmierć, he he, i ograbił z najwyraźniej cennego kamienia. Ale... dziecko w Piekło? To przecież nie ma sensu, nie? Ogarniała mnie ponura pewność, że niejedno mnie tu jeszcze niemile zaskoczy.

Nie zamieniliśmy już ani słowa. Jemu to chyba odpowiadało, choć co rusz zerkał na mnie z ukosa, jakby nie mógł mnie rozgryźć. Drapieźniki (w tym niektórzy ludzie) też nie lubią kontaktu wzrokowego, patrzyłem więc przed siebie, w niekończący się tłum zniekształconych ciał i nieznośnie odmieńczych twarzy.

– Mam jedno – powiedział naraz.

Już na mnie nie popatrywał; trzymał głowę prosto jak ja.

– Znaczy co?

– Imię.

Odczekałem chwilę, a gdy milczał, spytałem:

– I jak ono brzmi?

– Gob.

Skinąłem głową. Omal nie powiedziałem odruchowo czegoś w rodzaju „Miło cię poznać”, uznałem jednak, że w tych stronach to rzadki zwrot. Ulica nadal była odrażająco, smrodliwie zatłoczona i hałaśliwa, nasze milczenie nabrało jednak nowego znaczenia. Coś było ustalone, przynajmniej na razie.

Znalazłem pierwszego przyjaciela w Piekło.

Czternaście Grzesznicy na sprzedaż



Oczy mnie piekły, w ustach miałem pełno ohydny pyłu. Od kilku godzin wspinaliśmy się przez przedmiejskie mrowiska Abadonu – całe mile stert błota, śmieci i gruzu – ale jeszcze nie znaleźliśmy drogi na wyższy poziom. Zarządziłem postój i przysiadłem na kamieniu.

– Jak to jeszcze daleko do wyjścia? – spytałem, splunąwszy szarą mazią.

– Z Badonu? Nie wiem. – Gob wykrzywił mordkę na znak wysiłku umysłowego. – Nigdy nie byłem tam najwyżej. Daleko.

Zakląłem szpetnie. Znaczy według starych kryteriów, bo tu w Piekło przekleństwa są, by tak rzec, w bon tonie.

– A wiesz, co tam jest poza Abadonem?

– Niby u góry?

– U góry i pod spodem.

Gob chyba uznał mnie w końcu za nieszkodliwego wariata. Słaby to fundament dla lojalności, ale byłem przekonany, że jak większość samotnych dzieciaków, nawet tych nieśmiertelnych, będzie się trzymał nowego znajomka, dopóki mu się nie znudzi – a to już coś.

– W dole pod Badonem jest Rebus. Wszystko w nim czarne. Lepiej tam nie zaglądać.

Erebus. Najwyższy z Kręgów Cienia. Wiedziałem od Lameh wystarczająco dużo o tej krainie, żeby omijać ją z daleka. To tam zaczynało się poważne Piekło mąk i rozpaczy.

– A nad nami?

– Nie mam pojęcia. Chyba Łąki Asfaltowe, tam gdzie jest Targ Grzeszników.

Nastawiłem uszu. Na Targu Grzeszników pracował niejaki Riprash, dla którego miałem wiadomość od Temuela. Znaczyłoby to, że Gob ma na myśli Łąki Asfodelowe (choć na podstawie dotychczasowych doświadczeń mogłem przypuszczać, że jego przekręcona nazwa jest bardziej adekwatna). Był to pierwszy promyk nadziei, że mogę rzeczywiście zdziałać coś użytecznego. Caz niemal na pewno przebywa z Eligorem w którymś z najwyższych kręgów, daleko nad nami, w piekielnym odpowiedniku Park Avenue. Jeśli jednak odnajdę Riprasha, wywiążę się z narzuconego mi zadania i może nawet uzyskam jakąś pomoc.

– A znasz drogę na ten targ, Gob?

– Może i znam. – Mały zmierzył mnie badawczym spojrzeniem. – To cię będzie kosztowało jeszcze żelaźniaka.

– Nie ma sprawy. – Nie mając grosza przy duszy (jak śmiesznie tu brzmią niektóre ziemskie zwroty, nie?), mogłem sobie pozwolić na szczodrość.

– No to pomyślę.

Podniosłem się ociężale na nogi. Mały, zimny twardziel z tego mojego cicerone. Podczas wędrówki krętym labiryntem Abadonu wyciągałem z niego skrawki informacji. Okazuje się, że w przeciwieństwie do większości tutejszych chłopak naprawdę się tu urodził. Mieszkańcy Piekła dzielą się na trzy główne grupy: Nienarodzonych, czyli anioły i inne wyższe istoty wtrącone tu z rozkazu Boga; normalnych Potępieńców; i tak zwany Balast, czyli nieliczną resztę niemieszczącą się w dwóch pierwszych kategoriach. Gob należał do tej ostatniej grupy: jego matkę skazano na wieczne potępienie, gdy był jeszcze w jej łonie. Urodziła go już na miejscu i zostawiła własnemu losowi. Balast. Dodatkowy ciężar w ładowni, którego nikomu nie przyjdzie

do głowy ratować, gdy statek tonie. To właśnie był Gob. Rósł bez matki w brudzie i anarchii Abadonu, zamiast rodziny mając brutalnego nadzorcę, który znęcał się nad nim i jemu podobnymi. Zaczynałem jednak rozumieć, że w małym małpiszonie było coś szczególnego, czego próżno by szukać u innych. Nie była to dobroć ani nawet zainteresowanie bliźnimi – tego w Piekle nie uświadczysz – ale coś bliższego ciekawości świata.

Dziwny był z niego stwór, bez dwóch zdań. Co wieczór, kiedy już uznaliśmy, że pora na spoczynek, mościł sobie spanie jak zwierzątko, wprost na ziemi czy w chwastach – nawet gdy przeważały wśród nich kolące osty, których zdawał się nie zauważać. Najpierw zawsze starannie obwąchiwał wybrane miejsce (nie umiał wytłumaczyć dlaczego; musiało po prostu pachnieć „jak należy”), potem kładł się na boku w pozycji embrionalnej i kołyszac się na wszystkie strony, wygniatał w podłożu płytką jamkę. Na koniec wracał do pierwotnego ułożenia, zamykał oczy i odpływał w niebyt szybciej, niż zajmuje mi napisanie tego zdania. Czasem wydawał przez sen ciche zwierzęce pomruki, jęki bez słów i zduszone piski, które w jego snach czy wspomnieniach mogły być wrzaskiem na całe gardło. Wolałem sobie nie wyobrażać, jakie zmory go wtedy ścigają.

Na jawie też się bał, wiecznie czujny i spięty tak, że śmieszyłoby mnie to, gdyby nie było takie żalosne. Na każdy hałas podskakiwał, jakby do niego strzelano. Gdy się zatrzymywaliśmy dla odpoczynku za dnia (jeśli tą szlachetną nazwą można określić owo ponure czerwone światło), Gob nigdy się nie rozluźniał, tylko przysiadł na czymś albo i stał, niecierpliwie czekając, aż znowu ruszymy. Nie usiłował mi odradzać tych postojów, ale ich nie lubił. Zawsze świadomy otoczenia, co rusz nieznacznie zmieniał pozycję, by mieć wszystko na oku i w każdej chwili być gotowym do ucieczki lub walki. Przypominał mi afrykańskich nieletnich żołnierzy, których widywałem w telewizyjnych reportażach: małych chłopców, którzy niemal prosto od matczynej piersi przeszli do beznamiętnego zabijania.

Tak, życie w Piekle musi przypominać los narodzonych w ogniu wojny: tu i tam nie ma szans, żeby w człowieku rozwinęło się cokolwiek dobrego. Nietrudno mi było wyobrazić sobie Goba jako maszynkę do przetrwania, zdolną przeżyć tak długo tylko dzięki umiejętności robienia i mówienia właściwych rzeczy we właściwym czasie, która tak samo zachowywałaby się w każdym innym wrogim środowisku, jak choćby czarne przedmieścia Jude. Znałem wielu takich małych uliczników, ale prawie wszyscy z nich mieli przynajmniej jakąś cechę świadcząca o ich człowieczeństwie, choćby tylko płytką wzajemną lojalność. Piekło musi wypalać takie rzeczy do cna; jakież uczucie mogłoby przetrwać tysiąclecia tortur wielkich i małych?

Piekło jest gigantycznym cylindrem złożonym z niezliczonych kręgów. Wiem, powtarzam się, ale to naprawdę robi niesamowite wrażenie. Na każdym poziomie są miasta, ale też rozległe pustkowia, na których grasują bandyci, potwory i jeszcze gorsze rzeczy. Wszystko zaprojektowane jest z rozmachem, ale nie z czystej gigantomanii; nawet przy znacznie złagodzonych przez ostatnie sto lat kryteriach wiecznego potępienia musi przecież pomieścić wielomiliardowe tłumy.

A ja musiałem się przedostać gdzieś pod sam szczyt tej potworności, żeby dotrzeć do Caz. Wiedziałem, że gdzieś pośrodku całego systemu jest coś w rodzaju windy biegnącej przez wszystkie kręgi jak nitka przez korale, ale to tak, jakbym w San Judas chwalił się znajomością mapy nowojorskiego metra: wiedza sobie a muzom. Po Piekło można też podróżować rzekami: Styksem, Acheronem i kilkoma mniej znanymi – ale najpierw trzeba by je znaleźć. Wychodziło na to, że przynajmniej dopóki nie zrealizuję zlecenia Muła, będę musiał piąć się w górę krąg po kręgu – a to wymagało czasu. Nawet z pomocą Goba przedostanie się raptem na następny poziom Abadonu zajęło mi kilka dni.

Ku memu zaskoczeniu chłopak postanowił zostać ze mną, gdy tam dotarliśmy. Przed nami

rozpościerała się przerażająca pusta, na którą mało kto się zapuszczał: same skały i błota zasnutę siarkowymi oparami. Były tam też oczywiście osady, ale przywodziły na myśl najmniejsze, najbiedniejsze rancza w głuszy spalonego słońcem australijskiego Outbacku (gdyby ktoś je przez tydzień tłukł pięćdziesięcotonowym młotem ze sprasowanych muszych odchodów).

Nie zrozumcie mnie źle; w Abadonie jest lepiej niż w większości kręgów piekielnych, niemniej to jedna pieprzona ohyda i nędza. Nie wiem, jak długo brnęliśmy przez kolejne jego poziomy, z jednej spieczonej powierzchni na drugą, wśród takich okropieństw i cierpień, że w końcu przestałem na nie zwracać uwagę – ale musiał minąć co najmniej tydzień, zanim znaleźliśmy się w nieco odmiennej okolicy.

Łąki Asfodelowe wydawały mi się bardziej otwartą przestrzenią niż Abadon – może dlatego, że ich skalny sufit leżał stosunkowo wysoko – i z pewnością teren nie był tu tak suchy. Niewielka to jednak pociecha: zamiast pustyni mieliśmy teraz do pokonania wrzące moczary; dawało się przez nie iść tylko po unoszących się na powierzchni wielkich, skórzastych liściach, z których część wyglądała (i nie bez kozery) raczej na mięsożerne. Kilka dni zeszło nam na brodzeniu w lepkiem mule, przedzieraniu się przez kolczaste zarośla i opędzaniu przed morderczą fauną i florą, w chmarach buczących owadów wielkości wróbli. Czarującego obrazu dopełniały słonawe stawy otoczone wieńcami ciał potępieńców, spuchniętych i sinych, lecz wciąż wstrząsanych konwulsjami. W Piekło trucizna nie zabija; przynosi tylko niekończącą się mękę.

Jakież straszliwe pragnienie zmusiło ich do napicia się z tych ewidentnie niebezpiecznych źródeł? Poklepałem bukłak, który Gob ukradł gdzieś w Abadonie, napełniony jeszcze na skraju Łąk czystą, choć nieprzyjemną w smaku wodą. Teraz tylko ten niewielki zapas chronił nas przed dołączeniem na zawsze do tych żywych trupów.

Coraz lepiej pojmowałem, czym jest Piekło.

Płaskie liście wodnych roślin dawały nie lepsze oparcie dla stóp niż pływający arkusz sklejki (może z tą różnicą, że sklejka nie próbuje ci niczego odgryźć), ale dzięki nim przynajmniej unikaliśmy kontaktu z pienistą, toksyczną cieczą. Te owadożerne na ogół zostawiały nas w spokoju – zapewne byliśmy dla nich za duży – ale co śmielsze próbowały szczęścia. Wyciągnąłem Goba z jednej takiej pułapki w samą porę, bo ostre kolce wielkości ołówków wbijały mu się już w skórę. Dzieciak całą nogę miał pokrytą syczącym śluzem. Kilka kropeł spadło i na mnie; parzyły jak kwas siarkowy. Kiedy minutę później zeskoczyliśmy z ostatniego liścia na w miarę twardy ład, obaj rzuciliśmy się na ziemię i zaczęliśmy tarzać jak błotne bawoły, usiłując zagłuszyć ból. Wycieranie się ze żrącej mazi trwało długo, ale Gob ku memu zdumieniu nawet nie pisnął, mimo że poparzona skóra schodziła mu z nogi płatami. Tak, tu na Dole szybko wybijają z głów mazgajstwo.

Bagna mieliśmy już jednak za sobą. Dalsza droga wiodła przez pokryte igielkami solnych kryształów wzgórze; raz brnęliśmy też przez martwy las podczas śnieżnej zawiei. A tak, w Piekło też pada śnieg – tyle że nie jest to jeden ze stanów skupienia wody. Nie będę się nad tym rozwodził, bo temat jest niesmaczny, ale przeżyłem tam niejedną śnieżycę. Niektóre były kwaśne, zdarzały się i zamrożone grudki moczu, a nawet substancje z natury stałe, nie mające nic wspólnego z żadną cieczą. Wszystkie jednak parzyły jak wściekła pokrzywa.

Po trzech czy czterech dniach pustkowia Łąk Asfodelowych zaczęły wreszcie zasługiwać na swoje miano: na ciemnej bagnistej płaszczyźnie pojawiły się blade kwiaty złocieni. Wkrótce mgła skryła całą przestrzeń, okrawając widnokrąg do kilkunastu metrów wokół nas. W mlecznym tumanie majaczyły jakieś ciemne, ruchome kształty, często pionowe, lecz jeśli nas widziały, to nie dawały tego po sobie poznać. Snuły się po łące, zrywały szarawe kwiecie i pakowały sobie do gąb. Od Goba dowiedziałem się, że złocieniami, zwanymi tu asfodelami, żywią się praktycznie wszyscy mieszkańcy Piekła. Spożywa się je przede wszystkim zapieczone w chlebie lub

podpłomykach (sam ich kosztowałem; są nijakie w smaku, z lekką goryczką), ale ci, którzy jedzą je na surowo, przeżywają wciąż na nowo grzechy swego życia, jak na kiepskim hajcu. Najgorsze jest jednak to, że im więcej ćpają tego ziela i głębiej się taplają we własnych strasznych błędach i uczynkach, tym więcej go pragną. Tych paru złocieniożerców, których widziałem z bliska, miało wytrzeszczone, zażawione oczy i rozedrgane dłonie jak postacie Hieronima Boscha. Aż trudno było uwierzyć, że w porównaniu z tak wieloma innymi, ci potępienci zaliczają się do niewielu szczęśliwców, którym udaje się znaleźć stosunkowo spokojne miejsce i sporo swobody w zawieszeniu pomiędzy wiecznością w ognistej otchłani a wiecznością na niewolniczej katordze u demonów.

Wieczność. Miewałem z tą koncepcją problemy już wcześniej jako adwokat dusz, tutaj zaś tym mocniej tkwiła mi w gardle jak ość. Wiem, że niektórzy z nich musieli za życia być najgorszymi szumowinami, mordercami, gwałcicielami, deprawatorami dzieci. Tacy jak oni muszą oczywiście ponieść odpowiednią karę po śmierci i sam bym każdemu wlepił po kilka wieków smażenia w dziegciu... ale wieczność? Nawet gdyby potępieni pamiętali, kim byli na Ziemi (w przeciwieństwie do mnie i całej wiary z „Cyrkla”) i czym sobie zasłużyli na zesłanie do Piekła, to jakie znaczenie ma jakakolwiek kara po milionie lat? Ile z tych chodzących widm w ogóle jeszcze kojarzy, czym zawiniło? A co z takimi jak moja Caz, których do zbrodniczych czynów doprowadzili inni? Zabiła męża, to prawda, ale jeśli ktokolwiek zasługiwał na podziabanie sztyletem w drobne carpaccio, to właśnie ten drań.

Takie i podobne myśli nie dawały mi spokoju, gdy tak szliśmy we mgle przez zdradliwe łąki pełne melancholijnie kiwających się trupio szarych kielichów asfodeli. Mój mały Balaścik ciągnął się za mną jak nie do końca oswojony lis, być może mając największy ubaw w swym żalonym, nędznym, wiecznym życiu. Bóg mi świadkiem, że starałem się odsuwać od siebie całą zgrozę tej sytuacji, ale niechciane myśli wciąż powracały.

Wieczność? Dajcie spokój...

Powoli zaczynaliśmy dostrzegać oznaki normalniejszego życia poza samotnymi złocieniożercami. Najpierw ledwo widoczna ścieżka, którą podążaliśmy, przeobraziła się w wyraźniejszy trakt wydeptany na podmokłej łące, która też z wolna przeszła w kamienisty suchy grunt. Zaczęły się pojawiać pierwsze zabudowania, jeśli tak można nazwać liche sterty kamieni i trzciny. Pomyślałem, że może ich mieszkańcy żyją z kwiatojadów: okradają ich albo coś im sprzedają. Możliwe też, że sami zbierali asfodele i wysyłali gdzieś łodziami w górę coraz częściej napotykanych żółto-brunatnych rzeczek. Szybko przestało mnie to zresztą obchodzić, gdyż w oddali zamajaczyły mury jakiegoś miasta. Musiała to być Przystań Kokytos – i tam miała się zacząć najtrudniejsza część mej wędrówki.

Dotychczas musiałem tylko posuwać się naprzód i unikać oczywistych błędów, teraz jednak przyszła pora na nawiązanie kontaktu z demonem Riprashem, adresatem wiadomości od Temuela. Wolałbym raczej ruszyć prosto do Caz, nie ośmieliłbym się jednak odłożyć archanielskiego zlecenia na później – przeczuwałem, że może mi na to nie starczyć czasu, bo gdy przyjdzie pora stąd odejść, najprawdopodobniej będę musiał wiać ile sił w nogach. A zatem: kierunek Targ Grzeszników, a jeżeli przeżyję, to dalej, ku Pandemonium, stolicy Piekła – wszystkiego z kilkaset kręgów w górę, między coraz gęstszy tłum diabłów, potworów i najróżniejszej maści dziwactw.

Pół dnia zajęło nam znalezienie przeprawy przez dopływ Kokytosu. W przewężeniu koryta grupa demonów w owadzich pancerzach obsługiwała stary prom linowy. Dowiedziawszy się, że nie mam pieniędzy na bilety, jeden z nich uprzejmie zaoferował, że przyjmie w rozliczeniu Goba, ostatecznie jednak ustaliliśmy cenę na mały kubek mojej krwi, którą szybko i sprawnie utoczył szybkim cięciem brudnego noża. Miała ciemniejszy kolor niż ludzka, ale może tylko tak mi się

wydawało w tym dziwnym świetle.

Jeśli Abadon nazwałem szpetnym, to dla Przystani Kokytos musiałbym chyba wymyślić jakieś nowe określenie. Miasto wyglądało, jakby je cisnął tu z odrazą wkurzony lodowiec. Słyszeliście o miejskich slumsach, nie? No to tu był jeden wielki slums, zbudowany równie tanio i z pogardą dla bezpieczeństwa jak w Abadonie, ale na skalę Manhattanu.

Pierwszą różnicą między obu miastami, jaka rzuciła mi się w oczy, była praca. Oczywiście nie każdy parał się jakimś zajęciem, ale większa część populacji coś robiła: jedni sami pchali wózki wyładowane cienkimi kłodami drewna, inni batem zagrzewali do wysiłku ciągnących je niewolników lub zwierzaki, albo przeladowywali towar z nabrzeża na kołyszące się na wodzie dziwaczne stateczki lub na odwrót. Jakże to inaczej wyglądało niż w Niebie! Tam jest jak na wiecznym pikniku – wszyscy się radują, śpiewają i tańczą, o nic się nie troszcząc ani nic nie pamiętając. W Piekło jest brudno i szaro, ale wszystko tu *funkcjonuje*. Potępieńcy coś produkują, walczą o utrzymanie, zmagają się z bólem. Jedzą, defekują, pieprzą się jak zwykli ludzie – tylko że cierpią przy tym i zawsze będą cierpieć.

Idąc brzegiem ku miastu, przyglądałem się oszalamiająco różnorodnym statkom płynącym w górę i w dół rzeki. Wiele z nich wyglądało, jakby ktoś je przerobił na łodzie z czegoś innego: przedziwne kompozycje z płótna, drewna i chyba kości, które w zasadzie nie miały prawa utrzymywać się na wodzie. Nagle zdałem sobie sprawę, że do tej pory nie napotkałem żadnej technologii bardziej zaawansowanej, niż mógłbym znaleźć w europejskim mieście z wczesnego średniowiecza. Cała praca polegała na prymitywnym wykorzystaniu siły mięśni, z rzadka wspomaganej mocą wody lub ognia. Widziałem koła wodne wirujące nad kilkoma strumieniami; przypuszczalnie napędzały kamienie młyńskie, mechaniczne młoty w kuźniach albo inne proste maszyny. Ciekaw byłem, czy to techniczne embargo wynikało z rozkazu Najwyższego, czy było własną cechą Piekła.

U bramy wmieszaliśmy się w tłum przesuwający się w obie strony pod okiem kilku kanciastych, muskularnych demonów z Sekty Zbrodniarzy. Żołnierze bystro przypatrywali się przechodniom, pociągnąłem więc Goba w cień wozu jakiegoś handlarza i tak weszliśmy za mury, niewidoczni dla woźnicy, skrupulatnie podnosząc spadające przedmioty i wrzucając je z powrotem na wóz, jakby towar był nasz.

Ulice Kokytos były tak samo wąskie jak peryferyjne zaułki Abadonu, ale wielokrotnie bardziej zatłoczone – roilo się tam nie tylko od posepnych niewolników i ich demonicznych nadzorców. Wiele mijanych stworów zdawało się wieść żywot wprost na widoku publicznym: pożywiali się, spali, kopulowali i się bili, czasem w największej ciżbie, która opływała ich obojętnie, jak rzeka omywa głąz. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, że częściej tak się zachowują demony niż potępieńcy, chociaż nie zawsze można było jednych od drugich odróżnić.

Parliśmy naprzód przez tę odrażającą piekielną menażerię, przeciskając się między stworami o twarzach smutnych żółwi i zdumionych owadów, ciałach okaleczonych bądź powykręcanych w dziwaczne kształty, ze skórą w ranach, bliznach i wrzodach. W powietrzu niczym klaksony w godzinie szczytu krzyżowały się krzyki i jęki. Nabierałem już przekonania, że dłużej tego wszystkiego nie zniosę, gdy przed nami zajaśniał wielki krąg światła od pochodni, skąd niosły się najgłośniejsze wrzaski. Domyśliłem się, że to nasz cel: Targ Grzeszników.

Nie zwracaj na nic uwagi, tylko szybko znajdź Riprasha, napomniałem się w duchu, jakbym uspokajał rozhisteryzowane dziecko. Potem już będziesz mógł zająć się sprawą Caz. Krok po kroku, staruszku.

Stała mi przed oczyma jak żywa – moja mała iskierka jasności pośród mroku – i przez chwilę poczułem nadzwyczajny spokój. Tak, mam cel do zrealizowania. Cały ten horror jest temu podporządkowany i nie wolno mi o tym zapominać.

W tym samym momencie dotarł do mnie dźwięk inny niż wszystkie, wznoszący się ponad jazgot tłumu, powolny i smutny. Był to głos kobiety, w każdym razie czegoś płci żeńskiej, a pozbawiona słów melodia tak organiczna, prosta i chwytająca za serce, że musiano ją śpiewać na Ziemi już przed tysiącami lat i prawdopodobnie nadal można ją usłyszeć gdzieś nad brzegiem jakiejś wielkiej tropikalnej rzeki – ponadczasowe zawołanie praczek klęczących w mule Indusu, Eufratu czy Nilu i zajętych swą codzienną pracą. Tu zapewne wydobywała się z ust jakiejś ropuchopodobnej istoty od tak dawna bytującej w Piekło, że nie pamięta już, kim była, ale została jej ta pieśń, którą chrapliwie nuci, uklepując bryłki odchodów do wysuszenia na opał czy coś w tym rodzaju.

Przeszył mnie dreszcz. Był to najbardziej ludzki dźwięk, jaki dotąd słyszałem czy to w Piekło, czy nawet w Niebie, i na chwilę kompletnie zapomniałem, gdzie jestem. Wtem ktoś tuż obok wpadł w gniew i brutalnym ruchem wydłubał komuś oko. Wróciłem do rzeczywistości.

Targ Grzeszników jest miejscem tak miłym, jak sugeruje jego nazwa. Większość transakcji odbywa się tam w zadaszonej przestrzeni wzdłuż wewnętrznego obwodu zapuszczonego kamiennego koloseum, ale teraz w użyciu była też wielka otwarta arena. Przedmiotem handlu byli niewolnicy.

Większość skutych łańcuchami potępieńców była już wcześniej niewolnikami i tylko miała trafić do nowej roboty. Przedstawiali niemalą wartość – wielu wyszkolono, a nawet fizycznie przekonstruowano do specjalistycznych prac – co jednak nie znaczyło, że byli dobrze traktowani. Widziałem już, jak się do siebie odnoszą zwykli mieszkańcy Piekła, i było to naprawdę okropne; teraz jednak ujrzałem prawdziwe, zinstytucjonalizowane okrucieństwo. Miałem jeszcze zobaczyć i samemu przeżyć gorsze rzeczy, ale nic nie zdeptało mi duszy tak bezlitośnie, jak te pierwsze minuty wśród szczęku żelaza, błagań o litość, jęków, wycia i zgiełku na Targu Grzeszników. Mój kolejny stopień edukacji piekielnej. Zupełnie jakbym przebrnął przez treść jakiegoś bardzo długiego, zawilego artykułu naukowego i przeczytał wniosek końcowy: „Wszechświat jest do dupy”.

Rozpytywałem w tłumie o Riprasha i w końcu dostałem wskazówkę od zimnej, kociookiej demonicy, która miała na sprzedaż wyłącznie dzieci lub też inne małe, niewinne, zapłakane stworzenia; słuchając jej wyjaśnień, jak mam go odszukać, zauważyłem, że Gob wyjątkowo nie rozgląda się na boki, tylko wbija wzrok we mnie. Może widok tych biednych, poturbowanych i zakrwawionych istotek nazbyt przypominał jego własny los?

W połowie obwodu stadionu znaleźliśmy duży stragan opisany przez demonicę. Nabazgrany na desce szyld głosił: „Bracia Gagsnatch – handel niewolnikami i podrobami”. Domyśliłem się, że pryncypałem, lub raczej pryncypałami, jest tu otyłe cielsko o dwóch głowach nieustannie się sprzecających ze sobą i kilkoma demonami na zapleczu. Nie jego (czy też ich) jednak szukałem, tylko jednego z pracowników, przeciskałem się więc dalej przez smrodliwą ciżbę, udając, że nic mnie nie obchodzi obserwowany obiekt. Istny ze mnie James Bond w stercie gnoju.

Wypatrzyłem w końcu swojego demona w otoczeniu kilku mniejszych diabłów, gdy dokonywali przeglądu nowego transportu niewolników, tak już wyzutych z resztek człowieczeństwa, że bez najmniejszej skargi siedzieli skuleni na ziemi, z trudem chwytając powietrze. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że gdyby nawet w tej sekundzie Przeciwnik podpisał bezwarunkową kapitulację i poddał się Niebu, to i tak milion aniołów miałby tu robotę przez milion lat, żeby naprawiać tylko najgorsze szkody. Wyglądało jednak na to, że albo Najwyższy nie jest w nastroju na miłosierdzie, albo też Szatan na nie absolutnie nie zasługuje – i nic się tu nie zmieni aż po kres Czasu.

Riprash okazał się masywnym ogrem dwukrotnie większym ode mnie, z wielkimi płaskimi stopami i ryjem, który byłby paskudny nawet bez blizny (o niej opowiem za chwilę). Jedyнным

widocznym owłosieniem były u niego krzaczaste brwi; nos miał jak rozkwaszona tykwa, a zęby takie, że mógł chyba w nich kruszyć kamienie. Ów nabyty znak szczególny był jednak jedyny w swoim rodzaju. Właściwie to trudno nawet nazwać go blizną – była to raczej sucha otwarta rana. Ktoś wyrąbał Riprashowi we łbie sporą rozpadlinę od ciemienia po nos, przechodzącą przez pusty, zarośnięty już ziarniną oczodół. Mówię: wyrąbał, gdyż narzędzie, którym zadano tę ranę, wciąż w niej tkwiło: z lekka zardzewiałe ostrze topora, wbite wprost w białe zwoje mózgu widoczne przez niezrośniętą szczelinę w czaszce. Obrazek do sielskich nie należał.

Odczekałem, aż skończył powarkiwać na swych podkomendnych. Dwa diabły odwróciły się i czmychnęły gdzieś, trzeci jednak się wahał. Przypominał mi gruszkowatego kocura z nieprzyjemną, niemal ludzką twarzą i patrzył, a właściwie nawet gapił się wprost na mnie. Nie wiem, co go tak zainteresowało, ale miałem wiele powodów, by unikać zwracania na siebie uwagi, wbiłem więc w delikwenta spojrzenie typowe (miałem nadzieję) dla urażonego demona z wyższych sfer, aż wreszcie odwrócił wzrok i jak niepyszny pospieszył za kolegami.

Ta drobna wymiana nie uszła uwagi Riprasha.

– Czego tu chcesz? – spytał opryskliwie.

Odzywka była nieprzyjazna, lecz bez większego zaangażowania. Zastanawiałem się, jak zareagować, ale uznałem, że lepiej go nie drażnić. Z danych od Lameh wynikało, że wyglądam czy też pachnę jak średniego szczebla szlachcic lub urzędnik piekielny, zapewne więc przewyższając go rangą. Może w teorii; facet był jednak prawą ręką ważnego i bogatego handlarza niewolników, a w dodatku wielki jak bagażówka. Zagroda Gagsnatchów wyróżniała się wśród innych, długa jak stadion piłkarski i zatłoczona jak arabski bazar. Riprash najwyraźniej nie czuł się w obowiązku okazywać mi szacunku – i potraktowałem to jak wskazówkę.

– No, gadaj szybciej – ponaglił mnie. – Dziś sporo roboty.

– Owszem, mam z tobą do pogadania, jeżeli nazywasz się Riprash – zagailem.

– No to wal. – Rzucił mi spojrzenie pełne wystudiowanej irytacji, nie zmiażdżył mnie jednak w łapskach jak brudną chusteczkę (na co wyraźnie miał ochotę).

– Myślę, że... – Rozejrzałem się. Nikt nie zwracał na nas uwagi, jeżeli jednak wiadomość od Temuela miałyby się okazać nie tak niewinna, jak mi się wydawało, wolałem nie ryzykować. – Wolałbym porozmawiać gdzieś na osobności.

– Olewam to, panie dyskretny – odparł, krzywiąc się pogardliwie. – Jak chcesz dać łapówkę, to gadaj z moim szefem, nie ze mną. Ja go kiwać nie zamierzam, choćbyś mi dawał wszystkie skarby i całą gorzałę Pandemonium.

– Nic z tych rzeczy – uspokoilem go. – Mam wiadomość dla ciebie, nie dla Gagsnatcha.

Pomyślałem, że bezpieczniej będzie...

Przerwał mi nagły hałas za plecami. Odwróciliśmy się obydwaj. Chudy demon z uszami jak nietoperz biegł ku nam od najbliższej grupy pracujących niewolników, wyraźnie czymś zaniepokojony.

– Boss mówi, czuj duch, panie Riprash! Żeby wszystko tu grało!

– Bo co? – Zestaw min mojego nowego znajomka najwyraźniej zawierał tylko te z zakresu od Wkurzonego do Groźnego.

– Komisarz się nam zwałił na głowę. Łazi po targu ze swoją brygadą i wszędzie wściubia nochal. Idą od straganu do straganu i kogoś szukają.

– Komisarz Niloch? – Ogr nie wyglądał na uradowanego nowiną, a i mnie ona zaniepokoiła. Gackowaty pomknął dalej z ostrzeżeniem. – Czego on tu chce, na obwisłe wymiona Astarota? Stary pierdoła zazwyczaj nie pokazuje się na targu przed końcem sezonu, kiedy czas na zbieranie haraczu.

Poruszenie narastało. Na końcu zagrody pojawiło się kilku zbrojnych z Sekty Zbrodniarzy.

Kiedy znów się odwróciłem do rozmówcy, napotkałem jego badawcze spojrzenie. Musiał dostrzec panikę w moich oczach.

– Nie chcesz, żeby was tu zobaczyli, co? – Zdrowe oko Riprasha zerknęło na Goba i wróciło do mnie. – Rozumiem, że nie kumplujecie się z komisarzem?

Nie śmiałem się odezwać ani słowem, bojąc się, że cokolwiek powiem, będzie źle odebrane. Uzbrojeni po zęby żołnierze pakowali się do zagrody całym plutonem. Nadzorcy, a nawet niewolnicy zamarli w bezruchu. Nikt nie chciał zwrócić na siebie uwagi. Teraz już nie było mowy, żeby udało mi się jakoś niepostrzeżenie wymknąć. Moja dusza była w rękach olbrzyma z rozszczępionym czerepem i nic na to nie mogłem poradzić.

– No to chodu stąd.

Riprash położył mi ciężką łapę na ramieniu i pchnął ku krańcowi zagrody, gdzie jedna przy drugiej stały większe i mniejsze klatki. Większość była pusta, ale w jednej tłoczyło się tylu niewolników, że spomiędzy krat wystawało kilkanaście rąk i nóg. Nawet rosnące poczucie grozy sytuacji, jakie z wolna ogarnęło cały przybytek, nie uciszyło ich słabych jęków bólu.

– Ci są jeszcze przed myciem – wyjaśnił ogr. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce cię szukać wśród tego bydła.

Wyciągnął z kieszeni wielki klucz i otworzył drzwi klatki. Przygrzmocił kułakiem paru nieszczęśnikom na tyle głupim, że próbowali skorzystać z okazji i umknąć, po czym wepchnął mnie do środka. Gob szybciotko wlaź mi na plecy – dosłownie, gdyż wolnego miejsca nie było tam ani trochę. Klatkę, niewiele większą niż staromodna budka telefoniczna, szczelnie wypełniały ohydne ciała grzeszników. Byli tak zrezygnowani, że usłyszałem tylko parę niechętnych warknięć, gdy wpychałem się jak najbliżej środka. Tych dwóch czy trzech, za których się wcisnąłem, przyjęło nawet zmianę z zadowoleniem: przy samej kracie mogli złapać choć trochę świeższego powietrza.

Wygiąłem się w niewygodny łuk, by maksymalnie wykorzystać dostępne resztki przestrzeni, a przy tym mieć jakiś widok na zewnątrz. Demony z Sekty, w większości rozmiarów naszego gospodarza, były już blisko. Poruszały się z gracją błotnych bawołów z zapaleniem podogonia; przewracały wszystko, co nie było wbite w ziemię, deptały całą resztę, szarpały za łańcuchy na szyjach niewolników, aż trzeszczały pękające kręgi. Jednakże nawet te nieludzkie potwory kręciły z obrzydzeniem nosami na naszą klatkę i poprzestały na paru dźgnięciach włóczniami w wystające ramiona uwięzionych – ot tak, dla zabawy.

Wkrótce demonom znudziło się rozrabianie i z wolna zaczęły opuszczać zagrodę. Już ogarniała mnie błoga myśl, że jednak przeżyję to popołudnie, gdy u wejścia pojawiła się nowa grupa, równie paskudna i jeszcze groźniejsza z wyglądu od pierwszej, i od razu wzięła się do ciskania na ziemię zarówno niewolników, jak i ich panów. Na koniec wszedł sam komisarz.

Przysięgam, że zanim jeszcze go zobaczyłem, poczułem nagły powiew zimna, a zaraz potem słaby zapach octu i czegoś gnijącego. Szedł jednostajnym, pewnym krokiem i zatrzymał się przed jedynym jeszcze stojącym na nogach pracownikiem firmy Gagsnatch, czyli moim Riprashem.

Nowo przybyły należał do tych diabłów, które nie tracą energii na człekokształtność. Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka nie bardzo wiedziałem, gdzie kończy się komisarz Niloch, a zaczyna cokolwiek innego, ponieważ cały był pokryty białymi, grzechoczącymi mackami wyrastającymi z czarnej skorupy jak niesforne loki. Trochę przypominał te dziwaczne strzępiaste koniki morskie, jakie widuje się tylko w oceanariach. Twarz też miał końską: długą, kościstą i kanciastą; ale żaden konik, lądowy czy morski, nie ma tak okrutnych, przekrwionych ślepiów.

– Och, na moje dobre serce, cóż my tu widzimy? – Niloch niemal dorównywał wzrostem Riprashowi, lecz mimo zbroi i hełmu sprawiał wrażenie kruchego jak najsmuklejsze gałązki koralowca. Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek mógł spojrzeć na tę okropną mordę i dojść do

wniosku, że można jej właściciela pokonać zwykłą siłą fizyczną. – Cóż to takiego? Jakiś denny robak, śmierdzący gównojad, co nie kłania się komisarzowi Skrzydeł i Szponów, panu całych Łak i nie tylko! I czemuż to taki despekt spotyka mnie, który wszystkim tylko łaskawość okazuję? – Wysunął przed siebie owadzie ramię zwieńczone rzędem rogowych kolców. – Dlaczego mnie znieważasz, nędzny demonie? Skąd u ciebie taka nienawiść do prawowitego pana?

Od samego dźwięku jego modulowanego głosu zrobiło mi się niedobrze. Spróbuję go opisać: wyobraźcie sobie, że ktoś zdarł skórę z waszego ukochanego dziadka, nadmuchał ją jak balon i wypuszczał z niej ze świstem powietrze przez malutką szczelinę. Z chęcią zagrzebałbym się w końskim nawozie i został tam na zawsze, byle tylko ta grzechocząca kościanymi wypustkami stwora mnie nie zauważyła.

Riprash, trzeba przyznać, był z twardszej gliny ulepiony.

– Czekałem, aż ekscelencja komisarz podejdzie bliżej, abym mógł lepiej wyrazić mój szacunek – odrzekł, przyklękając na jedno kolano, choć widać było, że nie darzy Nilocha sympatią.

– Pewnie, pewnie. Któryż sługa nie zaryzykowałby gniewu Pana Skrzydeł i Szponów, byle tylko nie zakłócono spokoju niewolnikom jego chlebobawcy? I czegoż to tak srogo tutaj pilnujesz, co? – Szczeka Nilocha opadła w szyderyczym grymasie, ukazując rząd zębów zbyt nierównych i długich nawet jak na tak dziwny pysk. Postąpił krok naprzód, skrzypiąc i klekocząc ocierającymi się o siebie mackami. – Co to za towar, który warto próbować ukryć nawet przed własnym umiłowanym komisarzem? – Riprash chciał wstać, ale Niloch przygwoździł go spojrzeniem i ruchem oskarżycielsko wycelowanego palca. – Masz coś przeciwko mojej inspekcji? To poważne wykroczenie, służusie. Za mniejsze przewiny dusze trafiają do dziur między gwiazdami. Ośmielisz się przeszkodzić komisarzowi w wykonywaniu obowiązków?

Przez moment, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, miałem gorącą nadzieję, że Riprash zrobi coś szalonego: rzuci się do ucieczki, strzeli komisarza w ryło czy cokolwiek innego, co narobiłoby dość zamieszania, abyśmy zdołali z Gobem zwiać. Potem uzmysłowiłem sobie, że tkwimy zamknięci w klatce. Nawet gdyby Zbrodniarze spalili zagrodę do gołej ziemi, nigdzie się stąd nie ruszymy.

Riprashowi coś zabulgotało w ogromnej piersi, nie odezwał się jednak. Po chwili skłonił łeb i cicho powiedział:

– Ależ nie, czcigodny panie. Nasza zagroda należy do was.

– No to cudownie. – Niloch strzyknął śliną przez zęby. – W takim razie podejść i obejrzeć ich sobie z bliska.

Zimna aura śmierci i woń octu spotęgniały.

Interludium



Nigdy mi nie mówiłaś, co tam u siebie robicie dla rozrywki.

– I wątpię, byś to kiedykolwiek ode mnie usłyszała. – Caz przetoczyła się na drugi bok i zapaliła papierosa. – To cię zresztą nie obchodzi na serio, chcesz tylko ponurych szczegółów. A to nie tak, w każdym razie nie zawsze i nie wszystko.

– No, nie unoś się, milady. Zwyczajnie, chcę wiedzieć. Potraktuj to jako ciekawość świata i obyczajów.

Obejrzała się na mnie przez ramię. Nie mogłem się zorientować, czy znów będzie miła, czy zacznie się bocyć. Tak już z nią jest. Pod tą doskonałą, zimną powierzchnią pełno w niej miejsc ciemnych, okaleczonych. Z takiego powodu łatwo u kotów o czyraki: skóra goi się na nich tak szybko, że pokrywa zainfekowane rany. Pod tym względem Caz miała coś z kociej natury.

Nie brakowało jej i kociego wdzięku. Była tak piękna, gdy przeżyła ciało, aby dosięgnąć wyciągniętą ręką popielniczki, że na sam widok zapragnąłem natychmiast ją znowu osiąść. Jednak nawet anioł potrzebuje trochę czasu na regenerację sił, położyłem więc tylko dłoń na jej wspaniałym biodrze i powoli przesunąłem ku delikatnej kibici, a potem nachyliłem się i jąłem całować zimne jak lód plecy.

– W takim razie najpierw ty zaspokój moją ciekawość – powiedziała sennie. – Jak wy się zabawiacie w Niebie?

Roześmiałem się, ale... gdy się zastanowić, to niewiele jest na ten temat do powiedzenia. W Niebie robi się różne rzeczy, tyle że właściwie pojęcie rozrywki tam nie istnieje.

– Trudno to wyjaśnić. Wszyscy są tam szczęśliwi, ale raczej nie z wyboru.

– A jak, pod przymusem?

– Coś w tym rodzaju. Nie wiem, jak to opisać. To trochę tak, jakby się mieszkało koło dobrej restauracji z grillem. Od samego zapachu pieczystego ślinka ciągle ci napływa do ust.

– No, w Piekle to by nie podziałało. – Wypuściła pod sufit obłoczek dymu i patrzyła, jak go miele wentylator. – Jesteśmy tam przyzwyczajeni do woni wszelkiej smażeniny.

Auu. Trafiony, zatopiony.

– Jasne. Ale rozumiesz, co mam na myśli? Nie chcę przez to powiedzieć, że w Niebie zamieniasz się w jakieś bezmyślne zombi... Pobył tam daje takie, no, nieustanne uniesienie.

– Nie brzmi to zachęcająco, Skrzydlaku. Uniesienie? Takie coś to prostaczkowie przeżywają na mszy gospel, nie?

– Nie zmuszaj mnie, żebym się bawił w adwokata Nieba. Zwłaszcza że nie jestem żadnym ich pupilkiem. – Przysunąłem się bliżej i objąwszy ją w talii, sięgnąłem palcami do brodawki jej sutka, wywołując jakże słodkie westchnienie. – Tak w ogóle to chodzi mi o coś innego. Nie sądzisz chyba, że twój by to zaakceptowali, co? Znaczą nas.

– Nie zmieniaj tematu. – Cóż trzepnęła mnie po ręce. – Mieliliśmy rozmawiać o niebieskich i piekielnych rozrywkach. To co tam robicie w tej dziedzinie?

– Jeśli o mnie chodzi, to staram się jak najszybciej stamtąd wiać.

– Nie wykręcaj się. Widziałam, jak pijesz. Nie masz nic przeciwko drobnym przypiływom bezmyślnego uniesienia. To jaka to różnica?

– Ano taka, że jak się ubzdryngolę w barze, to z własnego wyboru. Glorią Nieba upajam się tylko wtedy, gdy mnie tam wezwą. I w tym cały wic.

– I to ma być problem? – Zmarszczyła brwi. – Jakoś nie potrafię ci współczuć, że ktoś tam na siłę cię uszczęśliwia. W porównaniu z tym, co się widuje na Dole... na przykład z ludźmi zżeranymi od środka przez zębate robactwo tylko dlatego, że nie dość szybko się komuś uklonili... nie wygląda to najgorzej. Jasny gwint, gorsze rzeczy zdarzało mi się zobaczyć w średniowiecznej Polsce. Podczas sumy w niedzielę!

Musiałem przyznać, że w tej debacie nie zwyciężę. Oczywiście, że nie zdołam jej wytłumaczyć, co mi się nie podoba w Domu. Na tej samej zasadzie zarabiający dwa dolary dziennie hinduski wyrobnik za nic nie pojmie, o co chodzi amerykańskiemu związkowcowi, który dostaje stówę za godzinę i strajkuje, gdy pracodawca chce mu nieco przykroić pakiet medyczny.

– Dam ci przykład – powiedziała i zaczęła od niechcenia wodzić mi palcami po mosznie. – Widzisz? Robię ci dobrze, choć mnie wcale o to nie prosiłeś. Czy na to też będziesz narzekać? Staniesz... hi hi... w obronie swego prawa wyboru? No proszę, jaki z ciebie buntownik, Bobby!

Zwinęła się właśnie jak kotka i wzięła mój penis powoli i głęboko w usta. Najpierw bardzo zimno, a potem nagle gorąco.

Zazwyczaj nie lubię, gdy ktoś się ze mnie nabija. Wolę sam się bawić czyimś kosztem, pewnie dlatego, że taki już ze mnie dupek jeden. Nie zajęło mi jednak wiele czasu dojście do wniosku, że tym razem pozwolę się wykorzystać.

Piętnaście Riprash



Mogłem tylko bezsilnie patrzeć, jak komisarz Niloch zbliża się do klatki i taksuje stłoczonych w niej potępieńców oczyma nieczułymi jak dwa czerwone guziki. Możecie sobie wyobrazić, jak przemożny odór wydzielał, skoro wyczuwałem go z daleka nawet przez całą tę mieszaninę piekielnych zapachów spotęgowaną jeszcze naporem obmierzłych, niemytych, targanych strachem ciał. Z trudem wstrzymywałem odruch wymiotny i chyba dało się to słyszeć; może właśnie to przyciągnęło jego uwagę. Byłem wprawdzie schowany za niewolnikami przyciśniętymi do krat, ale nagle nasze spojrzenia się skrzyżowały i Niloch podszedł jeszcze bliżej. Obezwładniający smród ogarnął mnie gęstą falą, a potem diabeł otworzył usta i zrobiło się jeszcze gorzej.

Dwie części jego dolnej szczęki klasnęły głośno, co zabrzmiało, jakby krab bił brawo szczypcami. Miałem nadzieję, że to nie oznaka głodu, bo gapił się prosto na mnie. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe.

– Czy jesteś, panie, zainteresowany kupnem nowych niewolników? – Riprash starał się odwrócić jego uwagę od klatki. – Z radością wyszukam ci kilku zdrowych i silnych. Tych tutaj jeszcze nie posortowałem. – Niloch odwrócił ku niemu głowę; nic nie powiedział, lecz gdy Riprash odezwał się znowu, głos mu wyraźnie drżał. – Albo, jeśli taka twoja wola, mogę ich raz-dwa umyć, żebyś ich sobie lepiej obejrzał.

– Takiś uprzejmy? – Komisarz zaśmiał się (czego się domyśliłem, bo ten cienki gwizd normalnego śmiechu nie przypominał). – Może ich jeszcze poprzebierasz za damy i džentelmenów? To by był ubaw! – Znów spojrzał na klatkę i jakby specjalnie po to, żeby mi serce przypadkiem nie zwolniło rytmu, odszukał mnie wzrokiem. – Ale przyznam, że...

– A co się tu dzieje? – przerwał mu jakiś gromki bas. – Och, panie komisarzu, więc to prawda, że zaszczycił nas pan wizytą!

– Czegoś od nas chce – dorzucił niemal natychmiast inny głos.

– Zamknij się, bo każę cię usunąć! – skarcił go teatralnym szeptem pierwszy, głośno zaś dodał: – Dzięki ci, o panie, to prawdziwy dla nas honor!

Kragła, dwugłowa postać Gagsnatcha potoczyła się ku Nilochowi. Jedna z głów jaśniała służalczym uśmiechem; druga patrzyła gdzieś w bok z udawaną obojętnością.

– Czymże sobie zasłużyliśmy na tak wielką łaskę? – Usłużna Głowa rozplýwała się w uprzejmości.

– Tak, zdecydowanie zbyt wielką – rzuciła ponuro Głowa Gderliwa.

– Ha, wreszcie się doczekałem twojej uwagi, handlarzu – burknął pod nosem Niloch.

– Nie wiedziałem, że to ty, panie – sumitowała się Usłużna z wymalowaną na twarzy skruchą. – Bądź pewny, że gdybym tylko...

– Zamknijcie się obaj! – osadził Gagsnatcha dygnitarz. – Tak się składa, że możecie coś dla mnie zrobić. Faktycznie przydałoby mi się trochę niewolników. Przyślijcie mi tę klatkę, tak jak stoi. – Obejrzał się przez ramię, ale tym razem nie zatrzymał na mnie wzroku, tylko omiół spojrzeniem wszystkich nieszczęśników. – Tak, to powinno wystarczyć. I nie kłopotcie się ich myciem. Do tego, co im przeznaczone, nadadzą się i w tym stanie. O, widzę, że moi ludzie już skończyli zadanie, a droga przede mną długa. Wystawcie rachunek i natychmiast wyekspedujcie

tę partię do mej kwatery w Grobogradzie. Czy muszę podawać adres?

– Gdzieżby zaś, ekscelencjo! – zakrzyknęła Usłużna Głowa. – Dzięki stokrotne, to zamówienie jest dla mnie najcenniejszym darem. Jesteś najlepszym z panów!

– A mówiłeś, że najgorszym – wtrąciła Gderliwa. – Paplałeś, że jest głupszy od łajna, a śmierdzi jak...

Pierwszy raz widziałem, jak ktoś wali się w jedną z własnych twarzy na tyle mocno, że rozkrwawił sobie wargę. Wymierzywszy karę i przynajmniej chwilowo uciszywszy Gderliwą Głowę, Gagsnatch pospieszył za komisarzem, syjąc pochlebstwami i wyrazami wdzięczności.

Tętno w końcu spadło mi do poziomu zwykłej paniki, kiedy nagle drzwi klatki się otworzyły i usłyszałem głos Riprasha.

– Hej, ty! Wyłaż!

Niewolnicy nie mieli jak zrobić mi przejścia, wyrwał więc paru na zewnątrz, powodując z pewnością co najmniej dwa poważne obrażenia. Przecisnąłem się do wyjścia i dopiero w drzwiach przypomniałem sobie, że przecież jest tam jeszcze Gob; gdy się jednak obejrzałem, włochaty dzieciak już się prześlizgiwał moim śladem między kończynami pozostałych.

Zanim zdążyłem zadać demonowi choćby jedno pytanie, podniósł mnie i przeniósł jak szczenię na tył zagrody, za parawan z niewyprawionej skóry, i tam postawił na ziemi. Gob skulił się tuż za moimi nogami i obserwował Riprasha z podziwu godnym skupieniem, zapewne obracając w głowie kilka wariantów planu ucieczki na wypadek, gdyby zrobiło się nieprzyjemnie. Mistrz przetrwania z tego chłopaka. Sam kiedyś tak o sobie myślałem, ale dopiero poznawszy go, zrozumiałem, jak lekko, łatwo i przyjemnie mi się żyło w porównaniu z nim.

– Nie ruszajcie się stąd. – Riprash spoglądał na nas znad parawanu, czego ja nie dokazałbym bez jakiejś skrzynki czy taboretu. W ciemności jego twarz wyglądała jak wyciosana z kamienia. – I ani mru-mru!

Odszedł. Po paru stosunkowo cichych minutach usłyszałem, jak rozmawia z obiema głowami swego pryncypała. Gderliwej Głowie wrócił już zwykły tupet i kwitowała uszczypliwymi komentarzami każdą wypowiedź brata. W końcu trójstronna konwersacja dobiegła końca i po chwili rozległy się ciężkie kroki naszego znajomka.

– Teraz muszę znaleźć jeszcze dwóch niewolników, bo Niloch policzył, ilu jest w klatce, i tyłu się będzie spodziewał dostać – powiedział zrzędliwie i wygarnął mnie zza przesłony. Przyjrzał mi się dokładnie, po czym przysunął sobie spory głąz i usiadł na nim. – No więc?

– Co więc? – Patrzyłem na niego tępo, z mózgiem chwilowo wyjałowionym przez rozmaite gatunki przerażenia, jakie dopiero co mną władały.

– Mówiłeś, że masz mi coś do powiedzenia, to słucham. Jesteśmy sami, odprawiłem resztę z transportem niewolników do portu. Możesz gadać.

Zamknąłem oczy i zmówiłem w duchu modlitwę dziękczynną. Teraz pozostało mi jeszcze tylko mieć nadzieję, że pozornie niewinna wiadomość od Temuela nie zawiera zaszyfrowanego polecenia w rodzaju „zabij frajera, który ci ją przyniósł”. Chciałem spojrzeć Riprashowi w oczy dla podkreślenia szczerości intencji, ale nie mogłem się przemóc. Ta szrama, prześwitujący mózg, siekiera we łbie...

– Nie jestem stąd – zacząłem, przyglądając się z uwagą jego wielkim stopom. – Przybywam... z innego miejsca. Wiesz, o czym mówię?

Demon wpatrywał się we mnie bez słowa.

– Może i wiem – odezwał się w końcu. – A może nie. Mów, co masz powiedzieć.

– Przyjaciół poprosił mnie, żebym cię odszukał i przekazał te słowa. Powiedział: Nie zapomnieliśmy o was. To wszystko. Tylko tyle.

Zapadła cisza. Nic się nie stało, w każdym razie nie w okolicy tych giczołów rozmiar

sześćdziesiąt trzy. Nie od razu odważyłem się podnieść wzrok.

Demon płakał.

Nie żartuję. Szlochał bezgłośnie, a ze zdrowego oka płynęła mu długa łza, świecąca mdłym czerwonym blaskiem jak strużka lawy.

– Wielkie dzięki – szepnął i pochylił się naprzód jak padająca sekwoja. Ku memu zdumieniu opadł na kolana, wznosił ręce i powtórzył: – Wielkie dzięki. Jestem wzniesiony.

Możecie się domyślić, co z tego zrozumiałem: nic użytecznego. Riprash trwał jakiś czas w bezruchu i tylko łzy ściekały mu po policzku, padały jasnymi krążkami na ziemię i zastygały. Najwyraźniej targały nim wyjątkowo silne uczucia, coś głębokiego i bardzo osobistego. Zacząłem odczuwać bardziej zakłopotanie niż strach. Ponieważ nie stłukł mnie na miazgę po usłyszeniu wiadomości, mogłem go uważać za coś w rodzaju sprzymierzeńca; siedziałem w milczeniu, czekając, aż dojdzie do siebie. Wreszcie podniósł głowę, przetarł oko wierzchem dłoni i znów się usadowił na kamieniu.

– Ach, dobrze było to usłyszeć – powiedział. – Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, panie... Ale nie znam twego imienia.

– Nazywam się Wężowij.

Po raz pierwszy przedstawiłem się komukolwiek w Piekło (nie licząc Goba). Obserwowałem demona bacznie, żeby sprawdzić, czy coś to dla niego znaczy. Miałem tylko słowo Muła (i ciche potwierdzenie Lameh), że nikt przedtem tego imienia nie używał. Ogr jednak nie zdradził się z żadną reakcją.

– Zatem dziękuję ci, Wężowiju. Obyś został wzniesiony.

Zabrzmiało to lepiej niż większość przeżytych dotąd sytuacji, skinąłem więc mu głową.

– Dobra, i co teraz? – spytałem.

– Co? – Spojrzał na mnie, jakbym go zbyt wcześnie wyrwał ze snu. – O czym ty mówisz?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chyba już sobie pójdziemy. Dzięki, żeś mnie ukrył przed komisarzem, ale mam jeszcze inne zadania w Pande... w Czerwonym Mieście, a to daleka droga.

– Inne zadania? – Wyglądał na zaciekawionego, ale nie w ten okrutny, żarłoczny sposób typowy dla demonów. – Znaczą takie jak ze mną?

– Nie.

– Szkoda, że musisz iść. Powinieneś poznać innych Oczekujących. Twoja wiadomość wiele by dla nich znaczyła. – Jego przerażająca twarz przybrała niemal pogodny wyraz. – Czekaj! Przecież ja mam zawieźć Nilochowi tych niewolników do Grobogrodu. Jeśli zabierzesz się ze mną *Jędzą*, dotrzesz tam znacznie szybciej, a na miejscu możesz znaleźć wyciąg. To ci nielicho przyspieszy podróż do Czerwonego Miasta.

Wzniesiony, Oczekujący, wyciągi, jędze... nic z tego nie kapowałem, ale darowanemu ogrowi w zęby zaglądać nie zamierzałem.

– Naprawdę pomógłbyś mi?

– Zrobię wszystko, co tylko możliwe! – zapewnił z dziwną powagą. – Czy nie rozumiesz, jakie znaczenie ma twoje przesłanie dla mnie i mych przyjaciół?

Nie rozumiałem, ale najwyraźniej chodziło o coś niezwyklej wagi, byłem więc zdecydowany jechać na tej fali jak najdłużej, oby do samego brzegu.

– Tak, oczywiście.

– W zamian proszę tylko o jedną przysługę.

Cholera, zaczyna się, pomyślałem. Ciekawe, czy chce napić się mojej krwi, a może przekąsić okiem...

– I jakąż to miałaby być przysługa?

– Dziś wieczorem musisz pójść ze mną na zebranie bractwa.

No, to nie zabrzmiało zbyt strasznie.

– Nie ma sprawy – skwitowałem. – Ale nie bardzo rozumiem, jak chcesz przerzucić mnie do Grobogrodu szybciej, niżbym tam zaszedł?

– Jak to jak? – zarechotał. – Statkiem, ma się rozumieć. Moją *Zrzedliwą Jędzą*. Na piechotę musiałbyś posuwać co najmniej ze sto latarni, ale jazda na szerokim grzbiecie Kokytos zajmie nam najwyżej dziewięć.

No to dzięki ci, smrodliwy ścieku, zsalutowałem w myśli piekielnej rzece. Nie tak z tobą źle, jak myślałem.

Wiele jeszcze musiałem się nauczyć...

Zebranie bractwa, jak je nazwał Riprash, odbyło się w miejscu tak obrzydliwym, że cudem tylko jakimś w ogóle zapamiętałem jego przebieg. Byliście kiedyś w kanale ściekowym? Jeśli nawet pracujecie w miejskiej kanalizacji, to zaprawdę powiadam wam, nie dowiecie się, co to znaczy brud i smród, dopóki nie zajrzycie do takiej rury w Piekło. Gdybym nie miał na sobie ciała demona, to moje ludzkie zatoki popelniłyby samobójstwo przy pierwszym niuchu tej palącej nozdrza zabójczej mieszanki.

Koszmarny fetor to jednak nic w porównaniu z dostaniem się w łapy któregoś z patroli Sekty Zbrodniarzy, nieustannie pilnujących nabrzeża, ferajna Riprasha więc na tajne spotkania zawsze wybierała takie sympatyczne zakątki. Staliśmy na wąskiej murowanej półce tuż nad lustrem (ironia zamierzona) kanału, przygarbieni pod krzywizną stropu. Było nas razem dwanaścioro i ścisk panował niesamowity, jako że nawet skazanym na wieczne męki nie jest wszystko jedno i wolą się nie upaprać w tym, co tamtędy płynie.

Byłem naprawdę poruszony: oto dusze potępione ramię w ramię ze swymi diabelskimi ciemniźcielami (co czwarty wśród zebranych był bowiem demonem) poszukują życia wznioślejszego i lepszego niż to, które znają. Największe wrażenie wywarł na mnie sam Riprash – najwyraźniej ich przywódca, przynajmniej tu, w Przystani Kokytos. Kiedy przemówił, nawet najbardziej wystraszony biedny potępieniec, cały w trzęsących się igłach jak jeżozwierz, starał się wyciszyć i słuchać uważnie.

– Dawno, dawno temu żył na świecie człowiek o imieniu Orygen. – Demon wymawiał je z irlandzka, jak O’Riggen. – Stworzył wielką ideę: według niego nikt nie musi być potępiony na całą wieczność. Nikt, powiadam!

Paru zebranych, widocznie nowych w bractwie, patrzyło na niego ze zdumieniem i zaczęło szeptać między sobą.

– Tak jest. – Ogr mówił powoli, jak do przedszkolaków. – Nawet sam Szatan nie musi spędzić wieczności w Piekło. Nawet on może zostać wzniesiony. Wzniesiony! Jako i my możemy.

– Ale co by nam z tego przyszło? – wtrącił stwór z głową łysego osła. – Te sukinsyny anioły od razu by nas zepchnęły tu z powrotem. Nigdy nas stąd nie wypuszczą!

Podniosły się przytakujące pomruki, Riprash jednak okazał się starym wygą w te klocki, tego dnia miał zaś odpowiedź lepszą niż kiedykolwiek.

– Jeżeli to was niepokoi, to bardzo was zaciekawi wiadomość, którą dzisiaj dostałem od tego oto gościa. – Wskazał na mnie i poczułem na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. – Przyniósł mi wieść z... – ściszył głos do scenicznego szeptu, co u ogra i tak brzmiało jak strzały z muszkietu – ...z tego innego miejsca. Tego hen, wysoko, gdzie żyją owe anioły, niby tylko czekające, żeby nas wtrącić, skąd przyszliśmy. I cóż to była za wiadomość? Jakie słowa przyniosłeś nam, panie Wężowiju, *stamtąd*?

Obejrzał się na mnie wyczekująco.

– Nie zapomnieliśmy o was – zacytowałem Temuela.

– Otóż to! Pomyślcie o tym. Nie mówię, że wszystkie te skrzydlate świętoszki nas kochają, bo to nieprawda. Są wśród nich jednak tacy, którzy wiedzą, że potraktowano nas niesprawiedliwie. I jeżeli nie będziemy ustawać w próbach, kiedyś będziemy wzniesieni. Wspomnicie moje słowa! Trzeba tylko czekać.

Riprash perorował w tym stylu jeszcze dobry ziemski kwadrans, po czym rzucił pytanie, czy ktoś z bractwa chciałby dać świadectwo. Sądziłem, że wynudzę się tu setnie, jak z pewnością byłoby na dowolnym spotkaniu religijnym na Ziemi, słuchałem tego jednak z prawdziwą fascynacją. Pierwszy zabrał głos potępieniec, który wyglądał trochę jak Piernikowy Ludzik ulepiony ze spleśniałego papier-mâché. Wyjaśnił, że za życia był złodziejem w Antiochii i chociaż kradł tylko jedzenie dla swej głodującej rodziny, został skazany na śmierć przez rzymskich okupantów i trafił do Pieła.

– To dobra wiadomość, że kiedyś znów możemy być wolni – cedził słowa wolno i z powagą.
– Zaiste dobra wiadomość. I powiadam wam, że uczynię wszystko, żeby żyć godnie i dostąpić wolności. To, co ze mną zrobili, nie było w porządku. I gdy już się uwolnię, odnajdę tego sukinsyna kupca, który napuścił na mnie straż, i moją żonę sekutnicę, która nawet nie zjawiała się na egzekucji, i wszystkich tych drani, którzy przyszli się pogapić, i porzną całą tę zgrają na drobne kawałeczki. – Mówił to monotonnym głosem, jakby czytał listę sprawunków. Musiał bardzo długo nad nią myśleć.

– Nie jestem pewien, czy dobrze mnie pojąłeś, bracie – powiedział łagodnie Riprash, gdy Piernik skończył swą przemowę. – Tu nie chodzi o zemstę, wiesz? Raczej o to, żebyśmy stali się lepszymi, niż byliśmy.

– Będzie mi lepiej, gdy ten śmierdziel straganiarz odwali kite! – burknął tamten, ale nikt go już nie słuchał.

O głos poprosiła dusza kobiety, choć na pierwszy rzut oka trudno ją było zakwalifikować do jakiegokolwiek płci: wyglądała jak człekokształtny zwój rozgotowanego makaronu z oczyma powtykanymi bezładnie między sploty niczym klopsiki. Przez moment wahała się, kręcąc ciastowate włosy równie kluchowatymi palcami.

– Mów śmiało, kochana – zachęcił ją Riprash. – Nazywasz się Dewa, tak?

Skinęła głową i chyba nabrała odwagi, bo na wierzch wychynęło jej jeszcze kilkoro oczu.

– Kiedy żyłam... no, byłam bardzo złą osobą. Na pewno zasługuję, żeby tu być.

– Jakie były twoje winy?

Pewnie nigdy nie widzieliście, jak trzymetrowy potwór z horroru klasy B stara się być miły i delikatny. Wierzcie mi, to niesamowite przeżycie.

– Straciłam moje maleństwa. – Parę oczu schowało się między fałdy ciała. – Nie, to nie tak. Ja je... uśmierciłam.

– Dlaczego to zrobiłaś, Dewo?

– Teraz już nie wiem. Byłam przerażona, a one takie chore i nie miałam pieniędzy, żeby je nakarmić. Ciągłe płakały, wiecie, choć tak bardzo osłabione... – Umilkła na chwilę. Na makaronowej skórze zostało już tylko parę zamglonych ślepiów. – Próbowałam wszystkiego, naprawdę. Sprzedawałam się mężczyznom, ale nie mogłam zarobić, ile było trzeba, a ta kobieta, która pilnowała mi dzieci, gdy wychodziłam... ona nie opiekowała się nimi dobrze. Piła za dużo grogu i któregoś dnia pozwoliła mojej najmłodszej się wymknąć. Córeczka wypadła z okna na podwórze i się zabiła. Wróciłam do domu, jeszcze z zapachem mężczyzny na ciele, i tak ją znalazłam. Ta suka nawet nie wiedziała, że jej brakuje! – Dewa potrząsnęła głową. – Już wtedy wiedziałam, że czeka mnie Pieło. A pozostałe były takie schorowane i głodne... – Urwała. Po długiej ciszy, której nikt nie przerywał, mówiła dalej: – No i jednej nocy, gdy wszyscy spali,

wyprowadziłam je poza wioskę i utopiłam w rzece. Takie to dziwne i smutne, bo nawet już na brzegu, gdy szukałam odpowiedniego miejsca, rozglądałam się, czy nie ma gdzieś krokodyli. Chciałam utopić własne dzieci, ale martwiłam się, że gady mogą je pożreć!

Po tych słowach zamilkła na dobre i długo trwało, zanim zdobyła się na dokończenie. Najbardziej mnie dziwiło, że całe bractwo jak jeden mąż, nawet demony, cierpliwie czekało, aż znów się odezwie. W miejscu, gdzie nikt drugi raz nie spogląda na wijącą się z bólu osobę, którą właśnie zdeptał, ani na dziecko bite czy molestowane seksualnie, te piekielne stwory z szacunkiem, może nawet ze współczuciem pozwalały mówiącej zebrać myśli i wziąć się w garść.

– Ukamienowano mnie za to, oczywiście – wydobyła z siebie w końcu. – Nawet ta baba, która po pijanemu nie dopilnowała mojej małej, rzuciła kamieniem! Jestem tu od bardzo dawna, nawet nie próbuję policzyć, ile to wieków minęło. Może to zabrzmie dziwnie, ale za życia nigdy naprawdę nie wiedziałam, że żyję, dopóki nie usłyszałam dzisiaj słów brata Riprasha o tym, że kiedyś tam możemy być wzniesieni. Odkąd się tu obudziłam, byłam małym kretem żyjącym w ziemi, ryjącym to naprzód, to w tył w ciemności, i niczego więcej nie znałam. O dzieciach nie myślę. Nie mogę. Nawet ich nie pamiętam, bo serce mam do cna wypalone. Kiedy jednak słuchałam, co mówi, zaczęłam znów czuć sama siebie. Wiem, że nic nie wymaże uczynionego zła i że w oczach Boga mój postępek zasługuje na straszliwą klątwę... ale mogę mieć nadzieję, że kiedyś, może gdy nadejdzie kres samego Nieba i Piekła, będzie mi wybaczone. Że któregoś dnia może znów ujrzę moje maleństwa i powiem im, jak bardzo żałuję, że musiały się narodzić z takiej matki... – Pochyliła głowę i zadrżała. – Och, Boże, tak mi żal! Tak żal...

Stałam tak wśród potępionych, słuchałam jej żalnego zawodzenia i oczy miałem zupełnie suche – ale tylko dlatego, że w moim demonicznym ciele nie przewidziano czegoś takiego jak gruczoły łzowe.

Szesnaście Nieczysta tędy płynie rzeka



Czekaliśmy z Gobem w ukryciu w zagrodzie Gagsnatcha, póki nie zapalono drugiej latarni. Nasz nowy przyjaciel zakopał nas wtedy (ostrożnie) na wozie pod ładunkiem zaopatrzenia dla statku i tak ruszyliśmy do portu. Przed oczyma miałem tylko brudne worki wypełnione suszonymi robakami, ale podejrzewam, że widok nie był gorszy niż ulice Przystani Kokytos, jeśli sądzić po zadziwiającej gamie nieprzyjemnych odgłosów i zapachów przedostających się przez kilka warstw zapakowanych diablích delikatesów.

Na kei Riprash osobiście zajął się rozładunkiem wozu, żeby któryś z jego pomocników przypadkiem nas nie uszkodził, po czym szybko wbiegliśmy na statek po opartej o burtę chybotliwej kładce pełniącej rolę trapu.

– Będziecie spać w mojej kabinie – oznajmił, dumnym gestem wskazując niską nadbudówkę.

Kajuta byłaby dla nas w sam raz, gdyby gospodarz do niej nie wchodził. We trójkę było to jak dzielenie wanny z dojrzałym humbakiem.

Kiedy nadszedł wieczór i latarnię zastąpiły poświatła, dokerzy poszli do domów. Dopiero wtedy kapitan Riprash pozwolił nam wyjść na pokład i oprowadził po swym pływającym królestwie z dumą emeryta chwającego się kolekcją rododendronów. *Jędza* przypominała skrzyżowanie kontenera na śmieci z chińską dżonką; długa i niska, z żaglami przypominającymi skrzydła nietoperza. Zbudowano ją z belek na oko nie pasujących do siebie i grubo wysmarowanych smołą. Nie budziła zbytniego zaufania do swej dzielności morskiej – na pierwszy rzut oka widać było, że ma już swoje lata i jest ogólnie zapuszczona, za to z przechwałek Riprasha wynikało, że jej wyposażenie w zakresie klatek, kajdan i narzędzi tortur technicznie jest wręcz awangardowe. Staralem się utrzymać na ustach uśmiech podziwu i akceptacji, ale to trudna sztuka, gdy się patrzy na takie wynalazki, jak zębata żelazna szczeka do zakładania na genitalia w celu zapobiegania ucieczkom.

Demonisko najwyraźniej mnie polubiło, co okazywało częstym poklepywaniem mnie po plecach z taką siłą, że kości mi trzeszczały. Poczęstował mnie też miejscowym rumem; smakowało to jak żółć rozbełtana w benzynie, ale mocą dorównywało porządному ziemskiemu bimbrowi. Na wszelki wypadek nie próbowałem się dopytywać, jak i z czego się tu pędzi tak szlachetny trunek. Riprash miał dużo uciechy, gdy się krztusiłem przy przełykaniu, i płacił mi za tę rozrywkę opowieściami snutymi do późnej nocy, choć wołałbym dobrze się wysypiać. Alkohol jednak pomagał, a historyjki nie były wcale złe: prosty ogr żeglował w nich przez piekielne wody i przeżywał przygody na miarę Sindbada. Jak na tutejsze warunki, całkiem równy był z niego facet. Owszem, zabił w życiu kilka osób (no, powiedzmy, kilkaset) i nie bardzo potrafił myśleć o potępionych inaczej jak o chodzącym mięsie, ale gdyśmy się już bliżej poznali, zupełnie przestałem się go obawiać – a niewielu jest mieszkańców Piekiła, o których mógłbym powiedzieć to samo. Nawet w przypadku mojej dziewczyny.

Cumy rzucono tuż przed zapaleniem pierwszej latarni. Gdy już odbiliśmy od kei, Riprash wypuścił nas na pokład, żebyśmy mogli się porozglądać. *Zrzędliva Jędza* niosła tyle płócien, że z daleka maszty musiały wyglądać jak drzewa oblepione nietoperzami. Ładownię wypełniało tyle klatek z niewolnikami, że statek szedł głęboko zanurzony i bryzgi fal nieustannie przelatywały nad fałszyburtą. Na pokładzie czasem brodziło się po kostki w szlamowatej wodzie, ale nie

przeszkadzało mi to, dopóki mogłem oddychać stosunkowo świeżym powietrzem poza kabiną.

Pierwsza noc na rzece była niesamowita. Gdy oddaliliśmy się od miasta, ciemność zrobiła się nieprzenikniona, a wężowe meandry Kokyty rozplynęły się w niej i zatraciły. Jedyne słabe światło, nierozpraszkające mroku, pochodziło z nocnych lamp zawieszonych na odległym murze Pieła. Miałem wrażenie, że suniemy przez firmament pełen migoczących czerwonych gwiazdek. Poczulem się nagle samotny jak nigdy dotąd, choć Gob stał tuż przy mnie, z otwartymi ustami i okrągłymi z zadziwienia oczami wpatrując się w nieznaną świat. Nigdy mu się pewnie nawet nie śniło, że będzie kiedyś miał takie życie jak w tej chwili. Rozpaczliwie tęskniłem do Caz i tego wyjątkowego uczucia spełnienia, jakie mi dawała; cholernie brakowało mi przyjaciół jak Sam czy Monica i cniło mi się do znajomych zakamarków Jude. Znać takie stany, nie? Tylko że w Piele naprawdę inaczej się to odczuwa. Niewielkie miałem szanse, że jeszcze kiedyś zobaczę kogoś ze starej paczki. Towarzystwo Goba nie było mi wielką pociechą; mały niewiele się odzywał, poza tym zamierzałem się z nim rozstać, zanim sprawy przybiorą prawdziwie niebezpieczny obrót, więc nie było sensu się zbytnio w tę znajomość angażować.

Z zadumy wyrwały mnie kroki nadchodzącego Riprasza. Rozłożył szeroko sękaty ramiona i wziął głęboki oddech.

– To jest wolność, brachu! – rzucił, dyskretnie ignorując dobiegające z ładowni krzyki i jęki niewolników. – Żadnych panów, tylko woda i nurt. Kiedy to pierwszy raz poczułem, doznałem wzniesienia, tylko że wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia. – Położył mi ciężką łapę na ramieniu; nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że gdyby mocniej nacisnął, wgniótłby mnie w deski pokładu niczym gwóźdź. – Może odwiedziłbyś ze mną inną komórkę bractwa Oczekujących w Grobogrodzie, Wężowiju?

Odmruknąłem coś niezobowiązująco. Nie garnę się do żadnych stowarzyszeń, ale z czystej ciekawości spytałem:

– To ilu was w sumie jest, tych Oczekujących?

– O, więcej niż wtedy, gdy twój pan pierwszy raz ze mną rozmawiał. Codziennie przychodzą nowi, choć w sumie to nie tak nas wielu. – Pokiwał głową ze smutkiem. – Ale czujemy się wzniesieni, jeśli nie cieleśnie, to na pewno w sercach i umysłach.

Nie dowiedziałem się, skąd on wziął ten mit o Orygenie, ale zgadzało się to z tłem historycznym. Orygenes z Aleksandrii był chrześcijańskim filozofem z III wieku, który głosił, że jeżeli wolna wola i miłosierdzie Boże nie są fikcją, to nawet sam Szatan ma szansę pojednać się kiedyś z Najwyższym i uzyskać przebaczenie. Nie muszę chyba dodawać, że ówczesny Kościół odsądził go za to od czci i wiary, ponieważ uważano wtedy, iż Pieło bez klauzuli wieczności to koncepcja zbyt słaba i bezżębna. Najwyraźniej nikt z dawnych hierarchów nie popływał sobie pieskiem w rozżarzonej lawie, bo chyba zmieniliby zdanie; parę lat ciągłego agonialnego bólu od oparzeń dałoby do myślenia nawet największym twardzielom.

Szczera wiara Riprasza zrobiła na mnie wrażenie – a mówi to niepoprawny cynik. Gob też okazywał duże zainteresowanie jego słowami.

– Ale władcom Pieła ta idea pewnie się nie podoba, co? – zagadnąłem.

– Oczywiście, że nie.

Pomyślałem, że mój szef Temuel prowadzi ryzykowną grę, podsuwając piekielnym szaraczkom nadzieję zbawienia. Zastanawiało mnie, czy wiedzą o tym w wyższych sferach niebiańskiej polityki. Pomysł był równie rewolucyjny i niebezpieczny jak wymyślona przez tajemniczego anioła Kefasa Trzecia Droga, której dał się uwieść mój kumpel Sam i mnie przy okazji wciągnął w całą aferę. Tajna misja wsparcia dla rebeliantów w Piele nie przysporzy Bobby'emu Dolarowi plusików u Eforatu. Co prawda miałem u nich przechlapane, już zanim się tu wybrałem: moją kartotekę obciążały romans z wysokiej rangi diablicą, udzielenie pomocy

zbuntowanemu aniołowi, atak na innego anioła wykonującego zleczone mu zadanie, no i świadome wprowadzenie w błąd Nieba (czytaj: fura kłamstw) we wszystkich tych sprawach. Wyrok skazujący uzyskałby dla mnie bez trudu nawet laik znający procedury sądowe tylko z paru filmów.

Riprash zaintonował żeglarską pieśń najwyraźniej własnego autorstwa. Głos miał jak leniwa lawina.

Na *Jędzy* dzielnej sobie pływamy
I z bandytami się nie cackamy.
Rumem zalani brudem śmierdzimy
I waszym córkom nie przepuścimy.

I słusznie, pomyślałem. Za późno, żeby się przejmować jeszcze jednym minusem w aktach. A skoro już tu jestem, na Dole, może warto się rozejrzeć za jakimś przytulnym mieszkanckiem? Wszystko wskazywało na to, że wkrótce tu powrócę na zdecydowanie dłuższy pobyt...

Siedemnaście Niloch



Podróż rzeką była straszna i niebezpieczna; wystawieni byliśmy na ataki piratów i zębatych węży wielkości kolejki podmiejskiej. Szczęściem nasza *Zrędliva Jędza* była stateczkiem sporym, mocnym i dobrze uzbrojonym, a wieczorne opowieści kapitana prawie pozwalały zapomnieć o wszechobecnym smrodzie i zagrożeniu.

Riprash zaczął karierę w służbie niejakiego lorda Crabspattera i dochrapał się odpowiedzialnej funkcji w jego gwardii przybocznej. Wszystko było dobrze, dopóki jego pana nie pociął na strzępy inny, groźniejszy demon w bitwie morskiej pod Wsysającym Bagniskiem.

– Stary Crabby poszedł na dno z włócznią w bebechach – mówił Riprash z nutką nostalgii w głosie, jakby opowiadał o dziwactwach dzieciennego wujaszka. – Pewnie tkwi tam do dzisiaj, próbując wykaraskać się z mułu. Kawał był z niego sukinsyna. To wtedy tak oberwałem. – Dotknął wielkiej szramy w głowie. – Gdy się ocknąłem po bitwie, byłem odarty ze wszystkiego, goły i skuty łańcuchem w całym szeregu jeńców. Zwycięzca kilku naszych zatrzymał, pozostałych sprzedał. – Riprash parsknął śmiechem. – Nie dziwota, że mnie nie chciał! Łeb przestał mi krwawić dopiero po paru miesiącach.

Nabywca docenił jednak jego zalety, a może po prostu posturę i siłę, i uczynił go nadzorcą niewolników. Pojęcie wolności nie ma w Piekło większego sensu i Riprash nigdy już jej nie odzyskał, ale stopniowo awansował na coraz ważniejsze stanowiska, aż w końcu został prawą ręką pana. Wieki później interes przejął (niezbyt delikatnie ani legalnie) Gagsnatch, któremu też podobała się jego fachowość, zachował go więc na dotychczasowej posadzie i tak już zostało. Riprash był zaskoczony, gdy spytałem go, przed ilu laty nastąpiła ta zmiana.

– Laty? To słowo nie ma tutaj żadnego znaczenia. Tak, przychodzą czasem różni nowi i ciągle chcą wiedzieć, jak długo coś tam, od kiedy to, do kiedy tamto... Ale my, tubylcy, dawno zrozumieliśmy, że nie ma co sobie podobnymi bzdurami głowy zawracać.

Znów mi to dało do myślenia, od jak dawna Gob żył w tej dziecięcej postaci i przemyczał się zaułkami Abadonu. Wiedział tyle, że się urodził w Piekło, ale pamięcią nie sięgał wstecz dalej niż na parę dni – być może dlatego, że zanim mnie poznał, wszystkie były do siebie bliźniaczo podobne.

Zaczynałem pojmwować, jak sprytnie to wszystko, z beczasowością włącznie, zostało urządzone, aby przysporzyć potępieńcom jak najwięcej nieszczęścia. Dzień w dzień muszą tu szukać jedzenia i schronienia na noc, ale poza tym prawie nic się w ich egzystencji nie zmienia – tyle tylko, by regularnie odmierzane kary były tym silniej odczuwane. Jeżeli wszystko jest zawsze takie samo, człowiek się powoli przyzwyczaja i przestaje świadomie zauważać i odczuwać intensywnie. Jeżeli natomiast pojawia się jakaś najdrobniejsza choćby odmiana – zwłaszcza na lepsze – umysł zostaje wybity ze znajomego rytmu i powrót do okrutnej rutyny jest jeszcze bardziej bolesny. Gdybyście więc nosili się z zamiarem otworzenia jakiegoś prywatnego piekielka, pamiętajcie o tej wypróbowanej zasadzie: regulować natężenie tortur, aby wasze ofiary nie popadały w otępienie. Ukazujcie im od czasu do czasu coś przyjemniejszego, aby każdej minuty wiedzieli, co jest im odebrane.

Naszła mnie refleksja, czy aby całe to bractwo Oczekujących nie jest właśnie częścią szatańskiego planu. W końcu nie ma gorszej tortury niż pomachać potępionemu przed nosem

odrobiną płonnej nadziei na lepsze dni. Riprash wprowadzie zdawał się wierzyć w to, co mówił, a ja nie zamierzałem robić za adwokata diabła. Zacząłem mu ufać, a on nawet na swój demoniczny sposób polubił Goba i chętnie częstował go, wiecznego głodomora, tym i owym; nieodmiennie bawiła go przesadna ostrożność chłopaka, gdy tylko opuszczaliśmy bezpieczną kryjówkę w kajucie.

– Nie wiesz, że jesteś na moim statku, robaczku? – grzmiał ze śmiechem. – Na *Jędzy* nikt nawet wysikać się nie może bez mojego pozwolenia!

Nie dowiedziałem się, czy nasza łajba nosi nazwę dla uhonorowania jakiejś konkretnej osoby, ale Riprash miał kobiety (używam tego terminu dość luźno) w każdym porcie. Oczywiście nie podpytywałem go o tego rodzaju żeglarskie opowieści. Powiem krótko: jeżeli chcecie wyzbyć się zainteresowania seksem, spróbujcie wczasów w Przystani Acheron albo jeszcze lepiej w Penitencji – wiosce typu pięć kurnych chałup na krzyż, gdzie zatrzymaliśmy się drugiego dnia dla uzupełnienia zapasów. Tamtejsze portowe dziwki wyglądały jak statystki z filmu *Atak ludzi-kretów*, a wiem od Riprasha, że prawo do obsługi zawijających tam marynarzy dostają tylko te najatrakcyjniejsze.

Nie będę was zanudzał opisem całego rejsu. Ze środka rzeki wszystkie piekielne osady wyglądają podobnie – to znaczy okropnie. Trzeciego dnia zobaczyliśmy wreszcie w dali mury Grobogrodu majaczące na cyplu z czarnej lawy wrzynającym się jak ostroga w mętny nurt Kokytosu. Przystań urządzono w niewielkiej zatoczce u jego nasady. Nad portem i grodem góruje masywna sylwetka zamku zbudowanego na wyniosłej skale i otoczonego wysokim murem najeżonym czarnymi, ostro zakończonymi basztami. Na najwyższej wieży powiewała ogromna czarna flaga z godłem w postaci białego ptasiego szponu. Nie była to jednak najwyższa budowla w Grobogrodzie: pośrodku miasta wznosiła się potężna kolumna, przy której wszystko inne wydawało się karłowate – wyglądała jak centralny filar podtrzymujący nasze kamienne niebo.

– To flaga Nilocha. Mieszka w tym zamczysku – wyjaśnił mi Riprash. – Nie radzę ci tam się kręcić. Teraz słuchaj, powiem ci, jak masz się stąd wydostać. Widzisz to? – Wskazał na ów gigantyczny słup. Podpłynęliśmy już na tyle blisko, bym mógł stwierdzić, że skonstruowano go z suszonej cegły. Jednakże nawet w lepszym świetle (akurat zapłonął drugi zestaw latarni) nie było widać, jak wysoko sięga; jego szczyt ginął gdzieś w mroku. – Tam właśnie musisz się kierować. To wyciąg. Dojedziesz nim, gdzie chcesz.

Miałem nadzieję, że owa winda dowiezie mnie do samego Pandemonium. Dodało mi to otuchy, wciąż jednak nie mogłem się w tym wszystkim połapać. Widzicie, podróżując rzeką, pokonaliśmy paręnaście poziomów, co przecież nie mogło mieć sensu. Ani razu nie miałem wrażenia, że płyniemy pod górę. Kokytos wydawała się posłuszna prawom fizyki jak każda ziemska rzeka – ale to jednak Piekło i choć wszystko wygląda tu bardziej realistycznie (z braku lepszego słowa) niż w Niebie, to wcale nie jest bardziej realne. Jako anioł przywykłem do płynnych odległości i nieokreślonego czasu w Niebieskim Mieście, więc i tutaj musiałem ostatecznie przyjąć – wbrew wszelkiej logice – że niektóre rzeczy po prostu są, jakie są.

Przetarłem się na sucho kawałkiem płótna żaglowego, żeby się pozbyć choć wierzchniej warstwy brudu. Odmetry rzeki są zbyt niebezpieczne na kąpiel. Zwykle dusze zresztą w ogóle tu nie używają wody do mycia, zbyt rzadki to w Piekło rarytas. Oczekaliśmy z Gobem, aż Riprash da nam sygnał, że możemy bezpiecznie zejść na ląd. Trwało to całe godziny; malec niecierpliwie kręcił się po ciasnej kabinie, aż mnie naszła ochota, by go palnąć w łepetynę. Zastanawiałem się, co mam z nim zrobić. Nie chciałem zabierać go w dalszą podróż, przewidywałem bowiem, że przyjdzie mi brać nogi za pas z jakiegoś paskudnego miejsca. Przeszmuglowanie Cz poza Piekło będzie zadaniem wystarczająco trudnym i bez wprowadzania Goba do równania. Ale z drugiej strony to ja przywlokłem go tu z sobą, nie mając ani żelazniaka, żeby mu zapłacić,

a pozostawienie go w Grobogrodzie własnemu losowi wystawiłoby go na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Zostawiłem chłopaka w kabinie i poszedłem poszukać Riprasha. Powinienem był siedzieć cicho pod pokładem, jak mi kazał, ale ogarnęło mnie podniecenie, że oto mogę zrobić komuś dobrze (takie to już moje anielskie przyzwyczajenie), wylazłem więc na górę.

Zaraz u szczytu schodni natknąłem się na jednego z podwładnych mojego demona – tego kocurowatego, który tak się na mnie zagapił przed zagrodą Gagsnatcha, jakby niespodziewanie spotkał dawno niewidzianego krewniaka. Nie miałem pojęcia, z jakiego powodu byle chmyz może mnie traktować z taką arogancką poufałością (widzicie, jak szybko Piekło odcisnęło na mnie swe piętno?), więc zanim zdołał cokolwiek powiedzieć lub zrobić, z groźną miną zapytałem go o szefa.

– Pan jest na-na-na kei – zająknął się Kocurowaty. – Ale chy-chy-chyba...

Może przypominałem mu surowego dziadka Widłomiota albo jego sierżanta z diabelskiego wojska, a może – co gorsza – wbrew zapewnieniom Temuela i Lameh rozpoznał przydzielone mi ciało. Tak czy owak nie życzyłem sobie dalszej z nim konwersacji, więc bezceremonialnie odepchnąłem go na bok i ruszyłem do trapu. Byłem w połowie kładki, kiedy zorientowałem się, że na nabrzeżu dzieje się coś nienormalnego. Niby zwyczajna portowa krzątanka – toboły z ładunkiem pakowano na grzbiety dziwacznych owadopodobnych zwierząt juczych, nadzorcy trzaskali biczami, przygarbieni niewolnicy taszczyli za ciężkie dla nich worki i skrzynie – ale poza tym kręgiem aktywności Riprash stał otoczony przez zbrojnych z godłem Nilocha na płaszczach, a kawałek dalej zobaczyłem samego komisarza. Siedział w siodle na wysokim, z grubsza tylko przypominającym konia sześciorogim stworzeniu i słuchał, co mówi doń mój kapitan.

Niloch tak szybko spostrzegł moje pojawienie się, że musiał mnie od początku wypatrywać. Przez chwilę przeszła mnie gorącym grotem myśl, że Riprash mnie wydał, i skląłem się za okazywanie demonowi zaufania. Z tego samego powodu przecież tu w ogóle wylądowałem.

– A otóż i on we własnej osobie! Jak miło! – Niloch spał wierzchowca ostrogami i grzechocząc kostnymi wypustkami, podjechał pod sam trap. – Riprash właśnie opowiadał mi o twojej przykrej przygodzie, panie Wężowiju. No, ale dobrze sobie radzisz, to ci się chwali... To godne podziwu, że po tak podłej sztuczce udało ci się tak wysoko przedrzeć z powrotem.

– Sztuczce? – Znieruchomiałem w pół kroku. – Tak, to nie było przyjemne.

Riprash odwrócił się ku mnie i rzucił mi błagalne spojrzenie (tak mi się przynajmniej wydawało; trudno czytać miny kogoś, kto ma tak rozplataną twarz).

– Tak, wszystko opowiedziałem jego ekscelencji – wtrącił pospiesznie. – O tym, jak wrogowie wzięli cię zdradą i porzucili w kręgach Cienia. Wężowij musi tylko dostać się do wyciągu, panie komisarzu, i będzie bezpieczny.

– Tak, jasne. – Niloch parsknął tym swoim świszczącym śmiechem. – Ale najpierw musi przyjąć mą gościnę w kasztelu, odpocząć sobie i uraczyć mnie opowieściami o swych przygodach! – Zabrzmiało to prawie szczerze, ale nawet gdybym mu bezgranicznie zaufał, perspektywa wcale mi się nie uśmiechała. – Musiałeś się stęsknić za porządnym posiłkiem, co, Wężowiju? Za naszymi smakołykami? Dopilnuję też, żeby ci wydano godny przyziewek. Paradowanie na golasa jak jakiś cholerny potępieniec nie ułatwi ci drogi do Pandemonium. Oni tam w stolicy potrafią być okropnymi snobami.

– To bardzo uprzejme z waszej strony, ekscelencjo – wychrypiałem, udając spokój i pewność siebie. Kimkolwiek był Niloch, najwyraźniej przewyższał mnie rangą, nie mogłem więc odmówić wprost. – Proszę jednak nie robić sobie kłopotu.

– Nonsens! A gdzie mieszkasz w Czerwonym Mieście?

– W Zaulku Pęcherzy. To niedaleko placu Dis Pater.

Wdzięczny byłem Lameh za tę informację, ale nie mogłem się oprzeć pytaniu, czy to na pewno autentyczny adres. Może znajdę tam schronienie, gdy już dotrę do Pandemonium? A raczej, jeśli tam dotrę.

– A, to urocza okolica. Z przyjemnością pozwolę ci odpłacić za mą skromną ofertę, kiedy następnym razem przyjdzie mi wybrać się do metropolii. Ale chodźmy, chodźmy, mój dzielny wędrowcze! Rozerwiesz się w moim towarzystwie po tak długim rejsie i trudach marszu przez dolne kręgi.

Miałem tylko sekundy na szybką konferencję z Riprashem. Ubłagałem go, żeby zajął się Gobem, co mi skwapliwie obiecał, choć z zastrzeżeniem, że tylko do czasu, gdy będzie mógł mi go odesłać. Niezupełnie o to mi chodziło, ale cóż było robić?

– Jeszcze się spotkamy, Wężowiju – zagrział na odchodnym. – Tego możesz być pewny.

Jakoś nie mogłem się zdobyć na podobny optymizm. Pożegnałem się z nim utartą formułką, gdyż Niloch nie spuszczał z nas szkarłatnych, paciorkowatych oczu.

– Dzięki za wszystko – dorzuciłem cicho. – Byłeś dla nas dobry. – Demon zmarszczył pęknięte czoło; zdałem sobie sprawę, że użyłem nieznanego mu zwrotu. – Znaczy, nie zaszkodziłeś nam, a nawet pomogłeś. Nie zapomnę tego.

Rad nierad poszedłem za komisarzem. Żołądek miałem tak ściśnięty, że tylko serce, które podeszło mi do gardła, stało na drodze wyrwającemu się na wolność śniadaniu. Gestem polecił mi zająć miejsce na palecie obok klatki z niewolnikami, niesionej przez zespół tragarzy. Biedacy aż jęknęli pod dodatkowym ciężarem. Mała procesja pociągnęła krętą drogą przez rozległe slumsy Grobogrodu ku szczytującej iglice baszt twierdzy na wzgórzu.

Pierwsze wrażenie było takie, jakbym wystrzelił z Piekła i spadł pośrodku parku Shoreline – opuszczonego wesołego miasteczka w San Judas. Zamek komisarza wyrastał ze skały niczym dziwny guz i przypominał raczej stertę wielkich klocków pozostawionych przez znudzone dziecko-olbrzyma. W czerwonym świetle piekielnych latarni mogłem określić jego barwy, ale pochyłe mury i podstawy iglic wydawały się pomalowane w szerokie, różnokolorowe esy-floresy. Podjazd wił się przez wielki, chaotycznie urządzony ogród składający się niemal wyłącznie z porośniętych resztkami ciała szkieletów wkopanych po pas w ziemię i tak ciasno omotanych kolczastymi pnączami, że trudno było odróżnić, gdzie kończą się rośliny, a zaczynają włókna mięśni i lekko połyskujące nerwy. Dopiero gdy jeden ze szkieletów drgnął, a obciążona wysuszoną skórą czaszka wykrzywiła się w bezgłośnym krzyku, przypomniałem sobie, że w Piekło nikt nigdy nie umiera.

– O, widzę, że podoba ci się mój ogródek – rzekł Niloch, obserwując mnie bacznie. – Tu, na prowincji, nie bardzo wiadomo, co robić z niewolnikami, gdy już zbyt zmarnieją, by pracować. Mógłbym ich sprzedać na złom, ale szkoda fatygi za te nędzne grosze. W ten sposób przynajmniej mam z nich jakiś pożytek.

– Pięknie – odmruknąłem, ledwo wstrzymując odruch wymiotny. Najgorsze było to, że wszystkie te postacie usiłowały się odwrócić za nami i przyciągnąć uwagę gospodarza, patrząc nań błagalnie (jeżeli jeszcze miały oczy).

– Ten tutaj był moim kamerdynerem. – Niloch wskazał coś, czego bym nawet nie zauważył, gdyż było jedną z niewielu kompletnie nieruchomych ozdób, z ledwo widocznym zarysem czaszki i kończyn. Nieszczęśnik ugiął się pod ciężarem kamiennej misy wielkości koła od ciężarówki. – Upuścił cały puchar łez dziewczycy, wyobraź sobie. Powiedziałem mu, że kiedy nałapie tyle, ile rozlał, przywrócę go do pracy.

Zerowe prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek w ogóle nawinie się tu dziewczica i do tego

uroni łzę, nie mówiąc już o napełnieniu misy, zdawało się wielce go bawić. Kiedy mijaliśmy porośniętego ostem byłego kamerdynera, przekonałem się, że jestem w błędzie: on się jednak ruszał. Liście drżały jak na lekkim wietrzyku, tylko że powietrze było nieruchome.

Główna brama – żelazna krata podtrzymywana przez dwa kamienne demony – otworzyła się ze zgrzytem w samą porę, abyśmy nie musieli przystawać. W głębi widać było ze trzydzieści metrów dziwnej, wyboistej ścieżki prowadzącej wprost do wielkich czarnych wrót.

– Jesteś boso? – spytał Niloch. Z bramy wybiegło kilku służących, aby pomóc swemu panu zsiąść z jego dziwnego, owadziego wierzchowca. – No tak, przecież wrogowie zostawili cię kompletnie nagiego. Ale to bardzo dobrze. Dom musi wiedzieć, gdzie bywałeś, żeby odpowiednio cię ugościć. – Ruchem dłoni wskazał mi, żebym poszedł pierwszy. – Proszę bardzo, przyjacielu Wężowiju, zapraszam w moje progi. Po ścieżce, z łaski swojej.

Zrobiłem, jak kazał. Dróżka miała szarą barwę nadpsutego mięsa i w dotyku okazała się adekwatna: gąbczasta powierzchnia ugięła się pod moim ciężarem. Nie bardzo mi się to podobało, ale wrażenie nie było nieprzyjemne – przynajmniej do połowy drogi, kiedy poczułem, że podeszwy mam mokre. Jeszcze parę metrów i brodziłem już po kostki w śluzowatym płynie, a ścieżka jakby przyklejała mi się do stóp przy każdym kroku. Coś mi to wszystko przypominało, lecz nie mogłem odnaleźć właściwego skojarzenia, dopóki nie stanąłem wreszcie na szerokim przedprożu.

To był język. Szedłem po wielkim ozorze! Gdy się odwróciłem, zobaczyłem to jak na dłoni: długa bruzda pośrodku, drobne grudki kubków smakowych, połysk śluzu powoli już wchłanianego przez pory ślinianek. Musiałem mocno wziąć się w garść, żeby nie okazać ogarniającej mnie słabości.

Niewolnicy zdjęli Nilochowi buty. Idąc moim śladem, mruzczał czułe słówka.

– O, tak, moja ty głodna bestyjko. Lubisz to, co? Tak, uwielbiasz, wiem! Smakuje ci? Nadepnąłem tam na jednego, aż zapiszczał. Czujesz, między palcami?

Obróciłem się na pięcie. Wołałem na to nie patrzeć. To, co komisarz nazwał palcami, przypominało raczej opancerzone robaki wijące się na szarej, miękkiej powierzchni. Przystawał co chwila, pozwalając ozorowi delektować się ich smakiem. Nie był to widok dla zdrowych na umyśle.

Widząc, że czekam, Niloch polecił mi gestem, abym wszedł do środka. Było już za późno na próbę ucieczki, posłusznie przestąpiłem więc próg i znalazłem się w mrocznym, przepastnym holu pełnym zwariowanych załomów i wnęk. Przemykały po nim jakieś stworzenia, którym wołałem się bliżej nie przyglądać.

– Dlaczego tu tak ciemno? – zagrzmiął gospodarz.

Kilkoro służących, wyglądających jak przypalone małpy, rzuciło się obracać wystającymi ze ścian pokrętłami i po chwili rozwieszono dość gęsto przezroczyste kule rozjarzyły się pomarańczowym światłem. Hol na moment eksplodował ruchem, gdy zaskoczone jasnością pomniejsze stworki zaczęły umykać do swoich dziur.

– I jak? – Niloch patrzył na mnie, stojąc z rozpostartymi ramionami, podczas gdy niewolnicy wyswabdzali go ze zbroi. Odwróciłem wzrok, wcale nie paląc się do oglądania go w luźniejszym stroju. – Moje lampy w niczym nie ustępują najlepszym w Czerwonym Mieście, chyba sam przyznasz. Zasila je gaz wydobywający się ze szczelin w skalnym podłożu. Właśnie dlatego wybrałem to miejsce na dom. Jeszcze długo po ostatniej latarni zamek goreje światłami. Widać go na całe mile!

Niewolnicy odstąpili, odsłaniając mi gospodarza. Miał na sobie bezkształtną czarną tunikę, coś w rodzaju derki pod siodło udrapowanej na jego kościstym ciele. Pokrywające ją nieregularne wielobarwne plamy mogły być efektem fantazji tkacza albo równie dobrze śladami

po ostatnim śniadaniu. Całość prezentowała się jak rosochate drzewo omotane niesioną wiatrem starą plandeką.

– A teraz pora na wieczerzę, kochany Wężowiju. Podjemy sobie i popijemy wybornie. Po statkowej strawie docenisz moją kuchnię, zapewniam cię.

Zaprowadzono mnie do niskiej i długiej sali, gdzie na środku królował wielki kamienny stół poryty dziurami, w których dopiero później rozpoznałem odpływy ściekowe. Dwójka sponiewieranych sług usadowiła mnie na krześle, a raczej granitowym słupku. Niloch miał bardziej wymyślne siedzisko: kryty skórą krzyżakowy taboret pod baldachimem rozpiętym na żelaznych rogach. Na ścianach siedziały przycupnięte rozmaite dziwadła, jak wywrócone na lewą stronę jaszczurki czy galaretowate ameby. Niektóre, jak się okazało, miały nas obsługiwać, inne należały do menu; wszystkie jednak zeskoczyły na komendę komisarza i zajęły przypisane im miejsca. Niloch z pomocą niewolników usadowił się za stołem. Był teraz dwa razy wyższy ode mnie i najwyraźniej z tego zadowolony, bo jego rozdwojona szczeka klekotała radośnie.

– Ach, nie ma to jak w domu! – Klasnął z rozmachem w dłonie. – Hej tam, nakarmcie nas! Przynieście najlepsze smakołyki! Pan wrócił i ma gościa!

Kolacji szczegółowo opisywać nie będę. Nie ma za co. Wszystko było żywe i niczego bym nie tknął nawet po ugotowaniu. Musiałem jednak robić dobrą minę do złej gry i z uśmiechem udawać, że to raj dla smakosza. Ratowało mnie tylko moje demonie ciało i żołądek znacznie lepiej przystosowany do takich delicji niż ja sam. Zdołałem jakoś przełknąć parę dań, wiedziałem jednak, że do końca mego – choć prawdopodobnie krótkiego – życia będę usiłował zapomnieć o tym posiłku.

– No, to pora na odwdziękę – oznajmił Niloch, gdy już służba sprzątnęła ostatnie talerze. – Musisz mi opowiedzieć o swoich peregrynacjach po tym porwaniu. – Polecił najbliższemu stojącemu niewolnikowi, żeby napełnił mój kielich czymś gęstym jak sos. – Na pewno widziałeś w Abadonie niejedną ciekawą rzecz. Byłeś przy słynnej fontannie ropnej? Turyści z wielu poziomów dołu i góry przyjeżdżają tam tylko po to, by ją ujrzeć na własne oczy. Podobno piękna!

Staralem się opowiadać wiarygodnie – to znaczy tak, jak według mego wyobrażenia mówiłby tutejszy szlachcic szaraczkowy, pełen urażonej godności po niechcianej podróży w głąbiny Piekła. Niloch uprzejmie i ze współczuciem dopytywał się o szczegóły, ale rychło do mnie dotarło, że chce mnie przyłapać na kłamstwie: wywlekał drobne nieścisłości i z trującą słodyczą w głosie domagał się wyjaśnień.

– Widzisz, Wężowiju... – powiedział po chwili milczenia, kiedy skończyłem długą i pokrętną odpowiedź na jedno z tych pytań. – Coś się tutaj ostatnio dzieje dziwnego. Podobno jakaś osoba *niepowołana*... – wymówił to słowo z jadowitym akcentem – ...dostała się do Piekła przez jedną ze starych, nieużywanych bram.

– Niepowołana? Tutaj? – Stwierdziłem nagle, że język mi drętwieje i z trudem wydobywam z siebie głos. – Któż by...

– Któż by śmiał, chcesz powiedzieć, wdrzeć się na nasze terytorium potajemnie, zwłaszcza posłany przez wiadomo kogo? – Zmierzył mnie nieokreślonym spojrzeniem. Gdyby w tych jego czerwonych ślepiach mogły się pojawić iskierki satysfakcji, pewnie bym je wtedy dostrzegł; oczyska były jednak niezmiennie i nieruchome jak dwie krople farby. – Ja też tego nie pojmuję... Ale ty chyba tak, drogi mój Wężowiju? – Byłem w błędzie: jego oczy mogą się zmieniać. Zmatowiały teraz i lekko pociemniały. – To jak, możesz mnie oświecić w tej materii?

– Przecież już mówiłem, panie. Niczego nie widziałem.

– O, daj spokój, mój miękki, delikatny koleżko. Już nie pora na udawanie niewiniątka. Byłem tak pewny, że masz dla mnie więcej rewelacji, iż załatwiłem ci sesję z moim nadwornym

blaznem, Zielonozębym. Już on to z ciebie wyłaskocze. Wejdz, mistrzu, wiem, że ci pilno! – zawołał. – Jesteśmy już gotowi!

Coś się wtoczyło przez jedne z drzwi. Sięgało mi zaledwie do pasa, ale było krępe i mocno umięśnione, a przy tym śliskie jak płaz. Nie widać było żadnych oczu, za to miało masę omszałych, ostrych kłów. Więcej, niż u kogokolwiek widziałem. Zielonozęby doczłapał do Nilocha, a on wyciągnął szpony i poklepał go po głowie jak ulubione zwierzątko. Kiedy stwór się poruszał, słycać było delikatny dźwięk dzwoneczków. Może i był blaznem, ale nie było mi do śmiechu.

– Widzisz, Wężowiju, obiecałem mu przywieźć trochę nowych zabawek z Bazaru Wrzeszczącego Mięsa – wyjaśnił komisarz. – Och, i przywiozłem, przywiozłem, moja ty słodka baryłeczko. Pewnie się już nie może doczekać, żeby je wypróbować, a wnosząc z twoich reakcji przy stole, raczej nie lubisz bólu. – Niloch uciszył moje rozpaczliwe protesty niecierpliwym gestem. – Nie wygłupiaj się, serdeńko. Wiem, że chciałbyś mi udowodnić, że się mylę, ale nie możemy zacząć od razu, kiedy jesteś zmęczony podróżą. To by odebrało całej zabawie sporo pikanterii, nieprawdaż? Wyczerpane ciało nie jest ani w połowie tak wrażliwe jak wypoczęte. – Uniósł rękę i natychmiast otoczyła mnie gromada przypalonych małp. Kościste palce zacisnęły się na mych ramionach i uniosły mnie z kamiennego taboretu. – Zaczniemy o pierwszej latarni albo i ciut wcześniej. Już dawno nie miałem konwersacji pod batutą mistrza Zielonozębego. To będzie wesoły dzień. – Komisarz jeszcze raz poklepał blazna, wywołując u niego tak szeroki uśmiech, że górna część łba zdawała się mu balansować na krawędzi upadku. – No to do jutra, przyjacielu. Zabierzcie go do pokoju gościnnego.

Służba powlokła mnie gdzieś w głąb zamczyska. Zostałem przykuty do ściany w wydrążonej w skale pieczarze. W świetle pochodni widziałem, że ściekają po niej strugi rozmaitych płynów, z których tylko część wyglądała jak krew. Gdzieś niedaleko, zapewne w sąsiedniej celi, rozbrzmiał ostry, chrapliwy dźwięk niepodobny do żadnego ludzkiego głosu. Domyśliłem się, że to innego gościa zmiękczają przed rozmową z Nilochem i jego kumplem Zielonozębym.

Drzwi zatrzasnęły się z głuchym łomotem. Szczęknął zamykany rygiel. Szarpnąłem się w kajdanach, ale były tak ciężkie, że ledwo mogłem nimi poruszyć, nie mówiąc już o zerwaniu. Po odejściu siepaczy pieczarę zalała ciemność niemal absolutna.

Osiemnaście

Ciemność jak śmierć



Oczywiście nie poddałem się. Jasna cholera, jak ja walczyłem! Szarpałem się w łańcuchach, aż każdy mięsień i każdy nerw zdawały się wrywać na wierzch przez skórę, ale żelazne ogniwa były zbyt grube i ciężkie nawet dla demona. Próbowałem też wysunąć ręce z kajdan, lecz choć otarłem sobie przeguby do krwi, dłonie po prostu nie mogły przejść przez zbyt wąski otwór. Gdybym mógł odgryźć sobie kciuki dla oswobodzenia się, zrobiłbym to – tak jest, byłem aż tak zdesperowany, wiedziałem bowiem, że Niloch i jego nadworny oprawca w godzinę wyciągnęliby ze mnie i prawdziwe imię, i to, że jestem aniołem, i cel mojej misji... a potem ból zacząłby się na całego. Ramiona miałem jednak rozciągnięte szeroko i nie było mowy, abym zbliżył dłonie do ust. Nogi były wprawdzie wolne, ale niewielka z tego pociecha; moja dolna połowa nie ruszyłaby się nigdzie bez górnej.

Wisiałem tak na ścianie pokonany, wyczerpany i pewnie zakrwawiony, gdy nagle usłyszałem, a może raczej poczułem czyjś szepc w ciemności.

– ...i oby wszystko, czego dokonał, w proch się obróciło, a odór hańby ciągnął się za nim, dokądkolwiek pójdzie...

– Kto tu jest? – Nie mogłem opanować żalostnego drżenia głosu. – Kto to mówi?

Po chwili ciszy usłyszałem to znowu.

– Ty... ty mnie słyszysz?

Głos był kobiecy, ale w Piekle niczego nie można być pewnym.

– Kim jesteś? – spytałem. – I... gdzie jesteś?

Czyżby głos przenikał tu z sąsiedniej celi? A może to tylko nowa tortura, subtelniejsza od wszystkiego, co Niloch mi dotychczas pokazał?

– Kim jestem? A to dobre pytanie. – Jej rozbawienie czułem fizycznie w nozdrzach jak zapach. – Kiedy w ogóle byłam, miałam na imię Corachne i byłam faworytą komisarza. – Znów zapachniało śmiechem, lecz gorzkim, z nutą szaleństwa. – Ale po mnie miał ich już kilka. Jak się rozejrzysz, zobaczysz, co z nich zostało.

– Nie zobaczę. Jest za ciemno.

– No, za wiele do oglądania to nie ma. Ot, kupki kości ogryzionych prawie do czysta. Oślizły kat Nilocha pożera resztki swoich ofiar, ale do sprzątnięcia się nie bierze.

Wolałem o tym nie myśleć.

– Ale gdzie ty jesteś?

– W jednej z takich kupek.

Zajął mi to chwilę, ale w końcu zrozumiałem.

– Jesteś... jesteś martwa, tak?

– Nikt tu nigdy nie umiera, głupcze. Gdyby kiedykolwiek zrobili tu porządek, mogłabym przynajmniej odejść i dopełnić moje cierpienie gdzie indziej, ale nikomu nie przychodzi to do głowy i tak tutaj tkwię. Dłużej, niż sięgam pamięcią.

Duch! Corachne była duchem, czy też czymś najbliższym tego pojęcia, co dotąd napotkałem w Piekle. Ciało unicestwione, a ona skazana na byt w miejscu własnej kaźni. I pomyśleć, że siostry Sollyhull narzekają na swój los, bo muszą się tułać po tanich jadłodajniach!

– Możesz mi jakoś pomóc? – spytałem. – Wtedy i ja bym pomógł tobie.

– Nie mogę nic dla ciebie zrobić. – Umilkła na długą chwilę. – Ty mnie? Jak mógłbyś mi pomóc?

– To już od ciebie zależy. Mógłbym na przykład wynieść stąd twoje kości. Czy to by coś dało?

– Możliwe. – Przez moment zdawało mi się, że słyszę w jej głosie coś nowego, ale gdy przemówiła znowu, był tak samo matowy i wyzuty z nadziei. – Ale to próżna gadanina. Przecież nie przyniosę ci klucza, nie każę straży cię uwolnić. Na słodkiego Szatana, myślisz, że bym tu siedziała, gdybym mogła w ogóle cokolwiek zrobić? – Przez celę powiało furią i nienawiścią tak intensywną, że poczułem to jak wiatr na policzkach. – Już dawno zamieniłabym się z Nilochem rolami, gdyby to było w mojej mocy! Paliłabym go dzień w dzień żywym ogniem, aż by mu te czerwone ślepią się gotowały. Związałabym go tak mocno, że aż by mu własne łuski wrzynały się w cielsko! Rwałabym na strzępy i przesypywała solą. Wyrwałabym mu...

Osunąłem się bezsilnie na łańcuchach. Podzielałem jej uczucia. W Piekle o wiele łatwiej się nienawidzi niż na Ziemi, możecie mi wierzyć. Tylko że oboje guzik z tego mieliśmy.

Corachne w końcu się zmęczyła i umilkła. Żadne z nas długo się nie odzywało. Myśli kłębiły mi się w głowie, ale jak szczur w labiryncie wciąż pakowały się w ślepe zaułki.

– Podłoga – powiedziała niespodziewanie.

– Co takiego? – Ocknąłem się z drgnięciem.

– Patrzyłam, jak prawie ci się udało wysunąć dłonie z okowów. Podłoga jest cała w śluzie, krwi i tłuszczu. Nie tylko moim. Po mnie wykończyli nas tu kilkanaścioro i nikt nigdy nie pozmywał.

– I co z tego?

– Spróbuj nałożyć tego trochę na nadgarstki. Może wtedy się wyślizniesz.

Już miałem odpowiedzieć, że przecież nie sięgnę tam ręką, gdy nagle się zorientowałem, że stoję po kostki w gęstej mazi. Uniosłem stopę najwyżej jak mogłem. Coś spłynęło mi po podszwie i dużą kroplą spadło z pluskiem na podłogę. Spróbowałem jeszcze raz. Przyciągnąłem kolano do brzucha i wyprostowałem podudzie na wysokość pasa, ale wciąż było to za daleko od kajdan. Podrzutem stopy starałem się dorzucić trochę mazi na rękę. Poczulem lepkie krople na piersi i ramieniu. Spróbowałem jeszcze raz. I jeszcze raz. I znowu.

Nie wiem, ile czasu minęło do chwili, gdy szcęknał odsuwany rygiel i otworzyły się drzwi celi, ale po tak długim pobycie w zupełnej ciemności blask pojedynczej pochodni niemal mnie oślepił. Zadzwończy dzwoneczki.

A więc to już czas. Zawitał do mnie kat... przepraszam, „błazen” Nilocha. Parchaty stwór podszedł bliżej, by mnie dokładnie obejrzeć. Niskie bydlę miało łapska jak goryl i wyglądało na to, że przewyższa mnie masą. Zacisnąłem dłonie na obręczach kajdan, zastanawiając się, kiedy Zielonozęby zauważy, że nie krępują mi już przegubów.

– To jak, gotowyś? – spytał, nieprzyjemnie bulgocząc śliną. Wciąż nie widziałem, gdzie ma oczy, czulem jednak, że mi się przygląda. Szczególnie zainteresowały go moje zakrwawione ręce; jął je obmacywać i co rusz oblizywał swoje zimne, węzlaste palce. – Próbuje się uwolnić, co? Oczywiście, oczywiście, tylko się za bardzo nie pokalecz, dobra? Zakłóciłoby to muzykę tego, co wkrótce zaczniemy robić. – Mocarny karzeł wyciągnął łapę i zaczął mnie głaskać po torsie. Pod jego oślizłym dotykiem zadrzałem i odruchowo szarpnąłem się w tył. – O, nie! Nie bój się, przyjacielu. Wspólnie popracujemy dla wyższego dobra. Razem dokonamy pięknych rzeczy, zobaczysz.

W tej chwili Zielonozęby spostrzegł, że zdołałem wysunąć dłonie z kajdan i tylko je trzymam. Najeżona kłami szczęka opadła mu w osłupieniu. Nie dałem mu czasu na ochłonięcie i zaalarmowanie straży; kopnąłem go z całej siły w miejsce, gdzie spodziewałem się zadać mu

największy ból – tam, gdzie powinien mieć podbrzusze. Trafiłem dobrze. Kat przewrócił się na wznak ze świszczącym rżeniem. Pochodnia wypadła mu z dłoni i zaskwierczała w pokrywającej podłogę mazi, lecz na szczęście nie zgasła. Puściłem łańcuchy, odbiłem się i z impetem skoczyłem mu obunóż na tułów. Skakałem po nim z całą energią, na jaką było mnie stać, nie zważając na nieprzyjemny trzask gruchotanych kości, nie wiedziałem bowiem, ile ten potwór ma sił i odporności. Pomny na Śmiszka, wołałem przesadzić niż potem żałować. Kiedy już jego sflaczałe ciało zrobiło się zbyt śliskie, bym mógł utrzymać równowagę, stanąłem na twardszym gruncie i zacząłem go kopać po głowie i piersi.

– On ci już nic nie robi – odezwała się w końcu Corachne. W jej głosie wyraźnie słychać było satysfakcję. – Nikogo nie skrzywdzi przez długi czas.

Szaleńczy gniew nie chciał mnie jednak opuścić. Kopnąłem go jeszcze z dziesięć razy, rozkoszując się fontannami ciemnej cieczy rozpryskującej się pod uderzeniami, choć już z trudem łapałem powietrze. Serce waliło mi jak kafar na szybkim biegu, a ja wciąż nie miałem dosyć i tłukłbym go jeszcze, wdeptywał w ziemię, lecz wreszcie ochłonąłem. Piekło zdecydowanie odciskało na mnie coraz wyraźniejsze znamię.

Odszukałem klucze, które miał przytroczone do pasa wraz z dzwoneczkami i ostrymi narzędziami w ilości, za którą można by zapuszkować w trybie doraźnym cały gang chuliganów. Ostrożnie otarłem pochodnię z obrzydliwego blocka, aż zapłonęła równym, jasnym płomieniem. Pod dyktando Corachne pozbierałem wszystkie jej kości z wciąż uczeponymi wstążkami wysuszonej skóry i ciała. Nie miałem w co ich włożyć, ale jakoś związałem je w tobolek za pomocą znalezionych kilku sztywnych od krwi szmat. Gdy szedłem korytarzem, grzechotały lekko – i przysiągłbym, że radośnie.

– Ech, żeby tak zrobić to samo Nilochowi... – usłyszałem jej głos gdzieś koło ucha. – Ale on jest dla ciebie za silny.

Nie ciągnęło mnie do ponownego spotkania z tak gościnnym gospodarzem.

– Powiedz mi tylko, którędy stąd wyjść.

– W dół. Jak większość takich panków w Piekło, jego ekscelencja komisarz Skrzydeł i Szponów ma wiele wyjść ze swojego gniazda. Musisz iść do lochów, gdzie są kotły. Cały czas w dół.

Ruszyłem za jej podpowiedziami przez kilka poziomów piwnicy. Nawet w środku piekielnej nocy zza mijanych drzwi dobiegały odgłosy, na których dźwięk modliłem się – tak jest, modliłem – żebym nigdy nie musiał ujrzeć, co się za nimi dzieje. To był istny labirynt i kiedy wreszcie dotarliśmy na najniższą kondygnację, byłem pewien, że do tego czasu Niloch lub jego słudzy musieli już odkryć nieobecność błazna, albo i to, co z niego zostało.

Dno zamku przypominało rzymskie katakumby: niekończące się, łukowato sklepione korytarze z grubymi rurami z wypalanej gliny, oświetlone rzędami szklanych kul jak te, które widziałem w holu na górze. Wyglądałoby to całkiem niewinnie, jak tunel serwisowy metra czy coś w tym rodzaju, gdyby nie kłątwy wypisane własną krwią na kamiennych blokach przez pokolenia niewolników lub więźniów.

– Oddech głębi – wyjaśniła Corachne, gdy ją spytałem, co płynie tymi rurami. – Dzięki temu palą się lampy i pracują maszyny Nilocha.

Musiał to być gaz wulkaniczny, którego wykorzystaniem tak się chełpił – jego niewyczerpane źródło, do którego miał dostęp, uczyniło go tak potężnym panem w tym regionie Piekła.

Gdzieś z góry dobiegały niewyraźne głosy i tupot nóg. Mój czas się kończył, zdałem się więc na Corachne i jej wskazówki. Niestety, dolnego poziomu nie znała tak dobrze jak wyższych i trochę błędziliśmy, a ja z każdym krokiem byłem coraz bardziej podenerwowany. Niloch

z pewnością kazał już przeszukać zamek; jak długo potrwa, zanim ktoś trafi na mój ślad? Odstępy między lampami rosły i gdyby nie pochodnia, nigdy byśmy nie znaleźli właściwej drogi.

– Tam! – krzyknęła Corachne, gdy wyszliśmy zza kolejnego załomu. Na końcu korytarza stara drewniana drabina prowadziła w górę pionowego szybu. – To jest wyjście do ogrodu. Stamtąd znajdziesz drogę poza posiadłość komisarza i będziesz mógł spalić moje kości, a ja odzyskam wolność i zacznę od nowa.

Podsunęło mi to pewien pomysł. Rozejrzałem się wokół i podniosłem spory kamień. Wspiąwszy się na palce, stłukłem nim najbliższą lampę, po czym pobiegłem z powrotem w głąb korytarza i zniszczyłem ich jeszcze z tuzin.

– Co ty wyprawiasz? – skarciła mnie duszyca. – Przecież lada chwila Niloch tu wpadnie ze swoimi ptaszyskami. Porwą cię na strzępy swoimi żelaznymi dziobami! Nie masz czasu do stracenia. Musisz mnie wynieść z tego ziemi, bo nigdy nie będę wolna!

Wracając pędem do drabiny, słyszałem syk ulatniającego się gazu. Zapachu nie czułem, ale wiedziałem, że w większym stężeniu na pewno jest trujący. Piąłem się w górę jak szalony. U góry drogę zagroził mi zardzewiały żeliwny właz, na szczęście nie był jednak zamknięty na kłódkę i po paru pchnięciach barkiem udało mi się go podnieść na zabezpieczonych zawiasach, choć kosztowało mnie to kilka nowych skaleczeń i otarć. Wygramoliwszy się na powierzchnię, zamknąłem klapę i usiadłem na niej zdyszany. Znalazłem się o kilkanaście metrów za murami zamczyska, skąd wyraźnie już słyhać było podniecone okrzyki i komendy. Czasu było niewiele, ale mimo pełnych złości ponagleń Corachne czekałem.

– On tu przyjdzie! Znajdzie cię! Jego psy pożrą twoje kości i moje!

Nie poruszyłem się nawet.

– Kretynie, co robisz? Czy ty w ogóle masz pojęcie...

Gdzieś z boku rozległ się zgrzyt odciąganego rygła, a potem pierwsze skrzypnięcie wrót. Niloch skończył przeszukiwać zamek albo przynajmniej uznał, że już mnie w nim nie ma, i zapewne szykował się do wyjścia za mury na czele falangi żołnierzy i żelaznodziobych ptaków.

– Zdrajco! Sam na siebie wydałeś wyrok!

Zanim podniosła głos na tyle, by mógł ją dosłyszeć komisarz, poderwałem się na nogi i otworzyłem właz. Skorodowane zawiasy nie chciały się poddać, wystarczyło mi jednak odrobinę go uchylić. Wrzuciłem do szybu pochodnię i szybko zamknąłem klapę, po czym ruszyłem biegiem przez ogród, kierując się pod osłonę kępy skamieniałych drzew.

Ziemia się zatrzęsała. Mrok nocy rozdarł błysk eksplozji, która miotnęła pokrywą włazu jak piórkiem. Omal nie trafiła mnie, spadając; wbiła się na sztorc w ziemię kilka stóp dalej. Kolejny wybuch wstrząsnął okolicą, a z połowy okien zamczyska strzeliły płomienie.

Corachne milczała oszołomiona, lecz gdy popelzłem z powrotem w stronę szybu, znów zaczęła błagać, bym nie marnował danej nam obojgu szansy. Nie wiem, czy się w ogóle domyśliła, że to ja byłem sprawcą tego kataklizmu. Ogień buchał z wylotu, jak gdyby płonęły całe katakumby. Ziemia drżała pode mną. Kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem, jak jedna ze ścian zamku wali się w lawinie gruzu. Z ruin dobiegały rozpaczliwe krzyki grzebanych i palonych żywcem. Corachne miała rację: lepiej tu długo nie zamarudzić.

Podczołgałem się do szybu i wrzuciłem tobolek z jej kośćmi w gorejącą czeluść.

– Przeklęty zdrajco! Niech cię... – wrzasnęła przeraźliwie i zamilkła raptownie, gdy zawiniątko wpadło w ogień. – Ach... – Wchłonęła powietrze jak tonący, który wreszcie wydobył głowę ponad fale.

Gdy żar obrócił resztki szkieletu w popiół, już jej przy mnie nie było.

– Umowa to umowa, moja droga – powiedziałem sam do siebie.

Kiedy szedłem na przełaj przez ogród, w przeciwną stronę zdążyły grupki gapiów – przede

wszystkim demonów – zapatrzonych ze strachem i fascynacją w słup ognia wznoszący się nad zamkiem wszechwładnego komisarza. Co ciekawe, ani jeden nie pokwapił się z pomocą; wszyscy tylko patrzyli, jak służba Nilocha walczy z żarłoczną pożogą. Jego samego nigdzie nie było widać, a ja nie zamierzałem czekać, żeby sprawdzić, czy jego ekscelencja przeżył. (Pytanie zresztą, czy ogień może zabić jednego z baronów Piekiła). Miałem pilniejsze sprawy na głowie: tłum gęstniał i w końcu ktoś mógł zwrócić na mnie uwagę i przypomnieć sobie o tym, gdy już Niloch się pozbiera i zacznie szukać zemsty.

Nie musiałem na to długo czekać. Jeden z ciekawskich, stwór z bezbarwną głową świni na tyczkowatym ciele, obejrzał się za mną, gdy go mijałem, i krzyknął:

– Hej, ty! Niewolniku! Stój, bo cię każę obedrzeć ze skóry!

Moja brudna, osmalona i naga postać najwyraźniej była wystarczającym przebraniem w tych okolicznościach. Przystanąłem posłusznie i zmierzyłem go wzrokiem. Jego długa czarna szata nasunęła mi pewną myśl.

– Co z naszym kochanym komisarzem, gadaj mi tu zaraz! Czy jest bezpieczny? Musisz mu powtórzyć, że jego lojalny dostawca, Giczoł, dopytywał się o jego zdrowie.

Pokiwałem głową energicznie i dałem mu znak, by szedł za mną. Ruszył skwapliwie, pewnie z nadzieją, że zawiodę go przed czcigodne oblicze pana i będzie miał okazję mu się przypocholebić. Kiedy zniknęliśmy z pola widzenia innych gapiów, poprowadziłem delikwenta między omotane pnączami półszkielety, z łkaniem bezskutecznie usiłujące strząsać parzące iskry, ku wciąż dyszącemu ogniem szybowi, którym uciekłem z Corachne. Dotarłszy do krawędzi, zacisnąłem zęby i nie zważając na bijący z otworu żar, nachyliłem się lekko. Płomienie cofnęły się już, ale niezbyt głęboko i gorące powietrze mogło mocno poparzyć.

– Zajrzyj tam, panie! – ponagliłem demona.

Ciekawość wzięła górę nad ostrożnością i Giczoł podszedł bliżej. Stojąc na wszelki wypadek o dobry krok od włazu, wychylił się i wyciągnął długą szyję. Wysunąłem głowę dalej, jakby temperatura nie robiła na mnie wrażenia, i wskazałem ręką w głąb.

– Popatrz, panie!

Gdy już balansował na skraju równowagi, położyłem mu dłoń na karku i pchnąłem z całej siły w dół. Zgodnie z moim zamiarem uderzył krtanią o kant włazu, a gdy walczył o oddech, chwyciłem go za głowę i kilkakrotnie uderzyłem nią o żelazo, aż przestał się ruszać. Odciągnąłem bezwładne ciało od szybu i zdarłem z niego okrycie. Może powinienem poczuć litość albo i wyrzuty sumienia – w końcu zamordowałem go z zimną krwią (a raczej brutalnie okaleczyłem, bo przecież tu się nie umiera) – ale nic z tych rzeczy. Za mało zostało we mnie dawnego „ja”. Wiedziałem jedno: muszę wydostać się z Grobogrodu i pojechać wyciągiem na górę. Teraz nie chodziło już tylko o przedarcie się do Pandemonium i załatwienie mojej sprawy bez wpadki – choć i to zadanie stało się stokroć trudniejsze, skoro Przeciwnik się zwiedziało o mojej eskapadzie i szuka intruza. Główną rolę zaczął grać czas. Było boleśnie oczywiste, że muszę odnaleźć Caz i uciec z tej krainy niekończącej się grozy, zanim do reszty oszaleję.

Dziewiętnaście W dół



Jedno w tym wszystkim było dobre: gigantyczny szyb wyciągu widziało się z każdego punktu w Grobogrodzie. Gorzej, że nawet gdy już przebrnąłem przez niekończący się ogród Nilocha i przelazłem przez zewnętrzny mur, miałem jeszcze do przebycia całe te okropne slumsy. Komisarz Skrzydeł i Szponów najwyraźniej uważał monumentalną budowlę za obelgę dla własnej wielkości i osiedlił się w najwyższym punkcie okolicy – na moje nieszczęście oddalonym o parę mil od położonej w centrum miasta windy.

Łuna pożaru dawała złudzenie dziennych latarni. W jej świetle zobaczyłem, że od miasta sunie w moją stronę cały tłum. Zanim zdążyłem znaleźć coś, czym mógłbym się posłużyć jak bronią, pierwsza fala dotarła już do mnie. Było ich coraz więcej i zgłęb podnieconych okrzyków i najrozmaitszych innych odgłosów stopniowo narastał, nikt się mną jednak nie zainteresował; wszyscy spieszyli ku gorejącemu zamczysku, a moja czarna szata i stan ogólny najwyraźniej nie były godne uwagi. Przeciskałem się między nimi jak łośoś odmieniec przez ławicę ziomeków płynących na tarło; starałem się unikać kontaktu cielesnego, ale i tak co chwila byłem potrącany albo ocierałem się o czyjeś rogi, kostne wypustki czy inne podobne ostre ozdoby. Mało kto wydawał się zaniepokojony lub wystraszony katastrofą; przeciwnie, większość okazywała emocje od niezdrowego zaciekawienia po złośliwą satysfakcję. Pan komisarz najwyraźniej nie miał tu zbyt wielu fanów.

Wydostałem się w końcu z największego ścisku i żwawszym krokiem podążyłem z boczem w dół, ku miastu. Na przedmiejskich uliczkach ruch nie zamarł – nie wszyscy mieszkańcy mogli porzucić zajęcia, by popędzić tam, gdzie wabiła niecodzienna rozrywka. Wielu z nich było ślepych lub wyposażonych w tak dziwaczne organy zmysłów, że pewnie nawet nie zdawali sobie sprawy, iż dzieje się coś niezwykłego. Niektórzy po prostu nie potrafili się dostatecznie szybko poruszać. Minąłem na przykład jakiegoś chudzielca, który skakał na jednej nodze i wymachiwał prawą ręką. Dopiero gdy się za nim obejrzałem, stwierdziłem że ma tylko prawą stronę: był przecięty od głowy do krocza niczym przekrój anatomiczny dla studentów medycyny i z trudem utrzymywał równowagę. W czerwonej poświacie błysnęły mi makabrycznym różem jego wnętrzności i przepołowiony mózg. Podobnych dziwołagów było sporo; starałem się mijać je, nie rozglądając się, lecz i tak widziałem więcej, niż da się znieść.

Grobogród leży na kilku niewielkich, lecz dość stromych wzgórzach. Wędrówka krętymi uliczkami przypominała jazdę kolejką górską w majestatycznie zwolnionym tempie. Nawet stąd dobrze było widać płonący zamek, ale nikogo to najwyraźniej nie obchodziło i życie w suburbium toczyło się swoją niczym niezakłóconą koleją. Jedyne komentarz, jaki usłyszałem, wygłosił trójoki olbrzym z prześwitującym spod niekompletnej skóry szkieletem, który przed swoim warsztatem metodycznie kruszył młotkiem golenie zakutego w łańcuchy więźnia; spojrzawszy przelotnie na lunę i rzekł do kompana wydłubującego akurat łyżką nieszczęśnikowi oko: „Nieźle się fajczy”. Zagadnięty ledwo zerknął w tamtą stronę i bez słowa wrócił do swego zajęcia.

Przechodziłem obok budynków wyglądających na manufaktury – jakieś młyny piekielne, których nie wymyśliłby chyba nawet William Blake. Z niektórych sączyły się rynsztokami krwiste ścieki, a u bram zalegały poparzone i pokiereszowane ciała potępieńców, którzy zapewne ulegli wypadkom przy pracy. Niektórzy mimo strasznych ran cisnęli się do zawartych wierzei,

pragnąc wrócić do środka. Ich jęki zagłuszał hałas maszyn i świst wypuszczanej pary. Rzuciło mi się w oczy, że technologia na tym poziomie jest bardziej rozwinięta niż w Abadonie i przywodzi na myśl czasy europejskiej rewolucji przemysłowej z XVIII wieku: z jednej strony industrializacja, z drugiej głód, choroby i krańcowa nędza.

Im bliżej byłem szybu windy, tym większe wywierał na mnie wrażenie. Wysoki jak drapacz chmur, ginął mi z oczu w mroku pod kamiennym niebem, u podstawy zaś zajmował cały kwartał ulic. Zachodziłem w głowę, jak taka masywna, ciężka budowla może w ogóle utrzymać pion bez odciągów linowych czy murowanych przypór. Był to cud inżynierii, który wbiłby w pokorę samego Cheopsa.

Wyciąg stał pośrodku wielkiego, ruchliwego placu, jakie się widuje wokół monumentalnych katedr Starego Świata. Zanim się odważyłem do niego podejść, przystanąłem na uboczu, żeby się zorientować w sytuacji. Tu nikt chyba nawet nie wiedział o tym, co się stało z zamkiem komisarza; wszyscy robili swoje, spieszyli się gdzieś, okradali nawzajem, grali w kości, uprawiali seks i oddawali się najróżniejszym zajęciom. Zauważyłem, że kilka osób weszło i wyszło z szybu przez łukowate bramy rozmieszczone na jego obwodzie. Wokoło panował spory ruch i wyglądało na to, że cokolwiek zrobię, nie zwrócę na siebie niczyjej uwagi poza zwykłą zgrają kieszonkowców, łowców okazji i typów spod ciemnej gwiazdy, jaka wszędzie obsadza okolice dworców, lotnisk czy portów – tu zaś windy łączącej wszystkie kręgi Pieła. Gdybym tam przystanął lub zwolnił, przypuszczalnie by mnie obskoczyli, choć raczej nie wyglądałem na obiekt wart zachodu.

Ruszyłem zdecydowanym krokiem ku najbliższemu z wejść. W środku zobaczyłem kilka mniejszych szybów. Zamarudziłem trochę z boku, żeby zobaczyć, jak to wszystko działa, ale wyglądało to całkiem swojsko, jak w holu dużego biurowca. Kabiny zatrzymywały się, drzwi rozsuwały i pasażerowie wsiadali i wysiadali, przy czym nie obydwało się bez przepychanek. Od razu było widać, że to lepsza sfera niż te łażęgi z placu. Większość miała na sobie eleganckie albo chociaż porządne odzienie, niektórzy zaś wyróżniali się też posturą; widziałem kilku tak dużych, że w windzie nie zmieściłaby się z nimi druga osoba, nie ryzykując przygniecenia do ściany, pokłucia kolcami lub ostrymi łuskami. To zresztą wydawało mi się logiczne: możniejsi zawsze podróżują częściej niż plebs. Od Lameh wiedziałem, że władze piekielne bardzo niechętnym okiem patrzą na obywateli zapuszczających się powyżej wyznaczonych im kręgów, a nikt przy zdrowych zmysłach nie wybiera się z własnej woli do niższych.

Odczekałem jakieś dziesięć minut i gdy najnowsza grupka nowo przybyłych rozeszła się do swoich spraw, zebrałem się na odwagę i podszedłem do najbliższego szybu. Jakiś demon przydreptał za mną ociężale – zapewne odpowiednik japońskiego biuralisty po długim dniu pracy – i do kabiny weszliśmy razem.

Poza nami nikogo w windzie nie było, ale w jej zardzewiałym metalowym pudle wałało się pełno śmieci, a na ścianach ciemniały smugi rozlanych płynów; niektóre jeszcze mokre. Mój towarzysz podróży miał głowę sępa, ale oczy jak u wielkiej muchy. Nosił lichą, lecz dość czystą szarą burkę, spod której wystawały tylko szponiaste sępie stopy. Rzucił mi chłodne spojrzenie, sztywno skinął głową, po czym uniósł dłoń (też trójpalczastą jak u ptaka), przyłożył ją do ściany i coś mruknął pod nosem. Pospiesznie zrobiłem to samo i cicho powiedziałem: „Pandemonium”. Czekałem w napięciu na jakieś pytania, ale drzwi zamknęły się z sykiem, windą szarpnęło i po długiej chwili ku mej cichej radości i uldze ruszyła w górę, z początku powoli, potem coraz szybciej.

Kabina – masywna żelazna klatka bardziej przypominająca sejf bankowy niż ziemską windę – trzęsła się tak niemiłosiernie, że przez pierwsze minuty obawiałem się jakiejś katastrofy. Nic się jednak nie działo, mknęliśmy tylko z wciąż rosnącą prędkością, aż w uszach mi strzelało od

zmiany ciśnienia. Wreszcie płaski, beznamiętny głos oznajmił: „Park Zjełczałego Mleka, przystanek Nienawistna Czaszka”, winda zwolniła bieg i zatrzymała się raptownie, jakby uderzyła o bufor. Mój muchosęp wysiadł, gdy tylko drzwi się rozsunęły, nie zaszczywiwszy mnie nawet spojrzeniem, jakby mu było spieszno pozbyć się mojego towarzystwa. Zupełnie jak na Ziemi.

Chwilę potrwało, zanim winda ruszyła dalej. Coś syczało, wibrowało, jakby mechanizm musiał podnieść ciśnienie pary czy coś w tym rodzaju, aż wreszcie drzwi zaczęły się zamykać. Trudno mi było uwierzyć, że po tylu trudach, przygodach i podróżach już tylko krótka jazda w górę dzieli mnie od celu. Gdybym był normalnym aniołem, przyjąłbym to jak potwierdzenie, że Bóg rzeczywiście czuwa nade mną i chce mnie wynagrodzić za lata przykładnego zachowania. Ponieważ nim nie byłem, a moja kartoteka do wzorowych się nie zalicza, wolałem zachować czujność.

I słusznie. Tuż przed domknięciem się drzwi wsunęło się z zewnątrz coś ciemnego i zatrzymało je. Wyglądało to mniej jak ręka, a bardziej jak coś, co można znaleźć w kociej kuwecie. Przez chwilę mechanizm zmagał się z nagłym oporem, co przejawiało się wzmocnionymi drganiem całej kabiny, a potem dał za wygraną i cofnął drzwi do pozycji otwartej.

Do windy wszedł masywnej budowy człekokształtny stwór całkowicie ulepiony z mokrego mułu i prawie pozbawiony rysów twarzy; miał tylko usta jak pęknięty pęcherzyk błota i bulwiasty nos – poznałem to po tym, że tuż nad nim jarzyły się żółte oczy podobne do wystających z dna stawu wodnych robaków. Były wstrętne, ale nie to przerażało w nim najbardziej. Niemal namacalnie czułem jego mierzoną w mileniach starość i niewysłowioną grozę. Nie wiedziałem, kim jest, ale na pewno nie zwyczajnym demonem.

Kabina zauważalnie przechyliła się pod ciężarem nowego pasażera. Bezkształtna twarz na moment obróciła się ku mnie, ale stwór nie zatrzymał na mnie spojrzenia, z wolna badając całe wnętrze, jakbym nie był godzien uwagi, a on szukał kogoś innego. Zrobiło mi się słabo. Zamknięty z nim w żelaznej klatce czułem się jak w potrzasku. To była jakaś prastara i potężna istota.

Drzwi się zawarły i demon przyłożył płaską dłoń do ściany. Kiedy wypowiadał nazwę stacji przeznaczenia, byłem tak wstrząśnięty nieludzkim brzmieniem jego głosu, że dopiero po chwili dotarło do mnie, dokąd się wybiera: do Tartaru.

Coś było bardzo nie w porządku. Geografię piekielną trochę znałem z danych od Lameh uzupełnionych o własne doświadczenia i miałem cholerną pewność, że do stacji Tartar nie jedzie się w górę, lecz w dół. Daleeeeko w dół...

Hałas i wibracje sięgnęły zenitu i winda zaczęła opadać. Patrzyłem z przerażeniem na współpasażera, który odwzajemniał spojrzenie, ale tak beznamiętnie, jakby miał przed sobą gipsowego krasnala.

– Jedziemy na dół – wydukałem w końcu. Odpowiedź uzyskałem adekwatną do wagi mojego spostrzeżenia, czyli żadną. – Ale ja jechałem do góry – dodałem, starając się ukryć rosnący strach. – To znaczy muszę tam pojechać. Do Pandemonium. To ważna sprawa. – Żółte ślepia na szypułkach zdawały się prześwieślać mnie na wskroś, jakbym był nawet nie gipsową, lecz szklaną figurką. – Ja nie żartuję! Naprawdę muszę być zaraz w stolicy!

Demon w końcu otworzył usta i słowa wypadły z nich jak kleiste grudki torfu.

– Przejeliśmy kontrolę nad wyciągiem. Dostaliśmy priorytetowe zadanie od Mastemy. Będziesz mógł wznowić podróż, gdy wysiądziemy.

Mastema! To jedno z najsprawniejszych i najstraszniejszych narzędzi Przeciwnika, coś jak SS w hitlerowskich Niemczech. Od razu wiedziałem, że ten gość to bardzo, bardzo zły traf.

W ciszy, jaka zapadła po tym oświadczeniu, na pół świadomie rejestrowałem padające

z głośnika nazwy mijanych przystanków: Grobogród... Chciwogóra... Piwnica Organów... Delta Kokytos... Brunatne Wody... Przystań Kokytos. Jeszcze parę minut, a będziemy śmigać przez Abadon, gdzie zakradłem się do Piekła. Serce tłukło mi się o żebra jak dziki kot w klatce, ale Błotniak tak dalece górował nade mną mocą i rangą, że nie śmiałem choćby pisnąć w proteście. Może gdy wysiądzie, faktycznie zdołam nakłonić windę, by znów zawiozła mnie na górę.

Czy naprawdę sądziłem, że pójdzie tak gładko? Powiedzmy, że na to liczyłem.

Winda nabierała pędu. Nazwy z głośnika padały w tempie sprawozdawcy sportowego starającego się przekazywać przebieg finiszu Wielkiej Pardubickiej. Wzgórza Abadonu... Zaułek Plagi... Równina Nekrofilów... Widły Acheronu... Dolne Widły Acheronu... Pustynia Acheron... Potem poziomy Abadonu zostały za nami, a my wciąż spadaliśmy w dół jak odrzutowy kamień. Najpierw myślałem, że to paniczny strach przyprawia mnie o gorączkę, ale wkrótce się zorientowałem, że w windzie rzeczywiście z każdą sekundą robi się goręcej. Pot odparowywał mi ze skóry szybciej, niż pory mogły go wydzielać. W uszach boleśnie czułem własny puls.

Błotniak nie zwracał uwagi na mój urywany oddech, być może pogrążony w myślach o okropnym miejscu, do którego zmierzał, i okropnych rzeczach, jakie tam będzie robił, ale za to zaczął się zmieniać na moich oczach. Skóra (jeśli ją w ogóle miał), która najpierw wyglądała jak wymazana lepka substancją w rodzaju masła orzechowego, z wolna twardniała jak wypiekana glina; nabierała przy tym gładkości i połysku glazury. W kilkanaście minut zamienił się w ceramicznego golema, w którym jedyną żywą cząstką były te żółte, palące oczy.

Głębię Piekła, w którą zstępowaliśmy z oszałamiającą prędkością, odczuwałem niemal realnie, jak nurek czuje ciśnienie hydrostatyczne wody. Zapowiedzi mijanych stacji zlewały mi się w uszach w jeden ledwo zrozumiały ciąg, z którego wychwytywałem tylko oderwane fragmenty, docierające do mnie raczej jako straszne wizje produkowane z pominięciem świadomej wyobraźni przez ogłupiały z trwogi mózg niż konkretne słowa. Zwidywały mi się przepastne sale wypełnione piskliwymi błaganiami o pomoc, której nikt z wołających nie spodziewa się uzyskać; stoły z kamienia zastawione żywymi, wijącymi się w konwulsjach daniami; pozbawione oczu zwierzęta; komnaty pełne błyskawic i rozbryzgów krwi. Były tam i odgłosy metalu bijącego o kruche ciało, i wycie wilków, a wszystko ociekało poczuciem przechodzącej wszelkie wyobrażenia beznadziejności i cierpienia, od których coś ścisnęło mi czaszkę jak potężnymi cęgami.

– Ja... już... nie mogę – wydyszałem.

Glazurowany potwór popatrzył na mnie jak na suchy liść przywiany przez wiatr. Ciśnienie i żar rosły, on jednak tylko lekko się kurczył i lśnił coraz intensywniej.

Kara... kara... kara... Każda nazwa wszeptywana mi do głowy zdawała się zawierać to słowo. Kara. Opuszczaliśmy się w krańcowe głębiny, gdzie najgorsze dzieło Piekła wykuwa się w nieskończonej nocy, z bólem dozowanym w starannie odmierzanych dawkach, tak by trwał równie długo jak sam wszechświat. Jakby tego wszystkiego było mało, czułem teraz coś jeszcze gorszego. Coś jak mocarna, lodowata pieść, co objęło i wzmocniło wszystkie dotychczasowe odczucia. Nie umiem tego dokładniej wyrazić. Pojawiło się powoli, ale gdy w końcu to wyodrębniłem spośród całej kakofonii zgrozy, okazało się najgorszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem. Mrozącą, ale nie w kategoriach śniegu i lodu – to było przenikliwie zimno zera absolutnego, w którym nic nie może żyć i nawet atomy nieruchomieją w swym wiecznym drganiu. Pustka. Nicość. Kres. Najbardziej jednak przeraziło mnie – odsuwając w niepamięć cały dotąd poznany horror Piekła – to, że ta jałowa otchłań na Dnie Wszystkiego jest żywa. Nie wiem, skąd ta pewność, ale tak było. Ona żyła i myślała, a choć była niewyobrażalnie odległa, sama jej obecność rozpedzała mi myśli we wszystkie strony niczym kury pierzchające przed lisem, który

wpadł do kurnika.

Uświadomiłem sobie w pewnej chwili, że padłem na kolana i ściskam dłońmi głowę, jakby miała za chwilę eksplodować; w konwulsyjnych spazmach zwróciłem niestrawione resztki ostatniego posiłku, a mimo to nie czułem ani odrobiny ulgi. Przeciwnie, straszna świadomość owej rozumnej, cierpliwie oczekującej pustki i ciemności rosła we mnie jak grzyb miniaturowej eksplozji jądrowej. Darłem się, majaczyłem – być może wyrzeszczałem nawet, że jestem aniołem – ale ceramiczny demon nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Zdawało mi się, że coś wypycha mi gałki oczne z czaszki, spychacze zgniatają mi z dwóch stron wnętrzości, a ostatki zdrowia psychicznego wyciekają ze mnie jak brudna woda z dziurawej beczki.

I nagle się zatrzymaliśmy.

Kiedy wstrząsy kabiny ustały, leżałem w kącie jak porcja galarety, niezdolny wstać ani nawet otworzyć ust. Coś chwyciło mnie jak metalowe szczęki w automacie do gry o fanty i uniosło wysoko, aż z jękiem i rżeniem zadyndałem w powietrzu. Jak przez mgłę widziałem taksujące mnie żółte ślepia Błotniaka, a potem drzwi się rozsunęły i wyrzucił mnie na zewnątrz jak szmatę. W następnej chwili, gdy tak leżałem na rozpalonej skale bezradny jak zmokła pszczoła, winda zamknęła się i odjechała dalej w dół – skądś to wiedziałem – ze zwykłym zgrzytem i łoskotem.

Nie wiem, jak długo trwałem w bezruchu, gotując się od środka niczym ofiara wirusa Ebola. Fizyczna konstytucja demoniego ciała najwyraźniej dostatecznie chroniła mnie przed sześnięciem w tym żarze, ale nic nie mogłoby zapobiec dezintegracji psyche, gdybym osunął się jeszcze głębiej. I tak nie wróżyłem sobie długiego i szczęśliwego życia w tym aspekcie – we łbie wciąż huczało mi tak, że żadna myśl nie mogła się przedrzeć do świadomości. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję, wiedziałem jednak, że za wszelką cenę muszę wrócić na górę. Nieważne, że w tej chwili nie mogłem ruszyć choćby palcem, nie mówiąc już o dźwignięciu się na nogi.

No, dalej, do cholery! Wpatrywałem się w dłoń, siłą woli próbując zmusić ją do wyprostowania się i odepchnięcia od podłoża, gdy wtępnym ujrzałem stopy, a właściwie kopyta pierwszego nadchodzącego stworzenia. Nie były tępe i proste jak u konia czy krowy. Wielkie pojedyncze paluchy z pazurem na końcu były odlane z szarego, matowego metalu.

Zatrzymały się tuż przy mej głowie. Nawet gdybym mógł, bałbym się podnieść wzrok, by zobaczyć, do kogo należą.

Chwilę później coś innego wylądowało w pobliżu z łopotem skrzydeł. Widziałem tylko nogi: długie i cienkie jak u flaminga, ale z niebieskimi ludzkimi dłońmi zamiast stóp. Niedługo potem dołączył trzeci stwór na grubych łapach pokrytych gęstą sierścią z połyskującymi wśród niej kolcami i zakończonych cylindrycznymi wałkami.

– O, popatrzcie! – odezwał się któryś głosem zgrzytliwym jak rozwierany zardzewiały potrząsk. Dobrze wiedziałem, na co mają popatrzeć. – Mamy śniadanko!

– Najpierw niech trochę pobiega – rzucił drugi. Mogła to być papuga-gigant z urwanym w połowie dziobem. – Lubię ich rozgrzanych, z krwią żywiej krążącą w mniem, niam, żyłach. Ciepłe i miękkie mięsko.

– Spadaj z tymi twoimi fanaberiami – zachrypiał trzeci. – Jestem głodny. Najlepiej od razu się nim podzielmy i wtedy twoja część może sobie biegać, ile zechcesz.

Dwadzieścia Blok



Jestem pewien, że w końcu dałbym radę obrócić się sam, ale ktoś mnie wyręczył, przewracając na plecy z wprawą kucharza smażącego kotlet. I możecie mi wierzyć, że stokroć wolałbym jakieś inne pierwsze skojarzenie.

Znajdowałem się w wysoko sklepionej komorze – przystanku wyciągu. W kręgach Kary nie wyglądają już one tak niewinnie jak wyżej i widać było, że raczej nie zagląдают tu przypadkowi podróżni. Sufit oblepiony był rzeczami, które z założenia powinny pozostawać wewnątrz żywych istot, a teraz zwisały z niego zasuszone w upiorne stalaktyty. Na spękany kamienny podłóżu i nawianym do środka piachu brunatniały plamy zakrzepłej krwi, układające się w długie linie – ślady po wleczonych na zewnątrz ofiarach. Kontrowersyjny gust miejscowych dekoratorów wewnątrz był jednak najmniejszym z moich problemów. Okrutne ciśnienie wciąż działało na mnie tak silnie, że minęło sporo czasu, zanim zdołałem unieść głowę i skupić wzrok na otaczających mnie stworzeniach.

To, które odezwało się ostatnie, z głosem przepitego niedźwiadka, prezentowało się bardziej jak włochata pralka automatyczna niż krewniak Misia Yogi, do tego zaopatrzona w makabrycznie wyglądającą maszynę przytwierdzoną do korpusu krwawymi nitami. Pozostałe dwa, które nazwę Ptakiem i Jeżozwierzem, były na swój sposób jednakowo nieprzyjemne dla oka. Pierwszy, skrzyżowanie bociana z afrykańską ofiarą jakiegoś strasznego ciałozernego wirusa, miał częściowo odsłoniętą czaszkę z wielkimi oczodołami, ostry, piłokształtny dziób i skrzydła nietoperza, ale opierzone. Drugi był czworonogiem z przednimi łapami zaopatrzonymi w potężne borsucze pazury i kilka sporych guzów na grzbiecie, które mogły być głowami, gdyż miały oczy.

– Jes... teem... – Usiłowałem coś wydukać, ale przez ten cholerny ból głowy nie wychodziło mi to, podobnie jak wymyślenie, co właściwie należałoby w tych okolicznościach powiedzieć. Widziałem jednak i jaśniejszą stronę: czułem się nie gorzej niż zaraz po wyrzuceniu z windy przez Błotniaka i wyglądało na to, że samo ciśnienie raczej mnie nie wykończy. To jednak była jedyna dobra wiadomość. – Jestem... kimś ważnym – zdołałem wydyszeć.

– Słuchajcie no go, zwierzaczka! – zaklekotał Ptak, wbijając we mnie łapczywe spojrzenie pustych oczodołów. – No jasne, żeś ważny, maluszku. Jesteś naszym mniem-niam!

Jeżozwierz zawarczał głośno i trącił mnie najniżej położoną głową. Mordy nie widziałem, ale nawet w ogólnie smrodliwej atmosferze czułem jego okropny chuch.

– Za dużo gadania. Zjeść go i już. Weźcie, co tam chcecie, a potem moja kolej! – Poderwał się na tylne łapy i zaryczał. Dopiero teraz zobaczyłem, że jednak ma otwór gębowy: długą szramę na brzuchu jak otwarty zamek błyskawiczny z solidnych ostrych zębów.

Przyznam, że mogłem wydać jakiś odgłos przestachu. No dobra, nie będę udawał: zakwiczałem jak zarzynane prosię.

Misior tymczasem chwycił mnie za ramię, miażdżąc mi mięśnie i gnąc kości. Zawyłem tym razem z bólu i przetoczyłem się w jego stronę, bo inaczej chyba wyrwałby mi rękę z barku.

– Stój! – wrzasnąłem rozpaczliwie. – Nie rozumiecie! Jestem tu... z ważną misją. Pracuję dla Mastemy!

Na chwilę zapadła cisza, zakłócana jedynie niskim warczeniem wydobywającym się z zębatego brzucha Jeżozwierza.

– Zeżrzyjmy go już! – rzekł gniewnie. – Kłamie, głupie bydlę.

– Nie! Ja... – Cholera, jak w tych warunkach trudno się myśli. – Zostałem... zaatakowany. Podczas misji dla Mastemy. Chyba nie chcecie im podpaść, nie? – Potoczyłem wzrokiem, usiłując zajrzeć im prosto w ślepią. Misiorowi ciekła z pełnej metalowych siekaczy gęby ślinka podobna do przepracowanego oleju silnikowego. Ptak przekrzywił łysy łeb, jakby się zastanawiał. – Jeżeli mnie wsadzicie z powrotem do wyciągu, mogę o was wspomnieć w raporcie. Dostaniecie wszyscy nagrody!

– Ha! – Jeżozwierz opadł na czworaki i znów bodnął mnie jedną z głów. – Teraz to dopiero gada bzdury! Zjedzenie tego przybłądy jest dla nas dostateczną nagrodą. No dalej!

– Chwilunia, serdeńko – powstrzymał go Ptak. – Może jednak warto by go zabrać do Bloka. Wiem, że ci kiszki marsza grają, ale z Mastemą żartów nie ma.

Jeżozwierz zawarczał wściekle, a Misior mu zawtórował.

– Misja dla Mastemy, wielkie mi co. Pieprzyć ich w poprzek! Co oni kiedykolwiek dla nas zrobili?

– Nie pytaj, co oni dla nas zrobili – zaćwierkał słodko Ptak. – Spytaj, co mogą zrobić z nami! Pamiętacie, co było we Flakach Mniejszych? Kiedy przyszli po Szłamiaka?

Misior z Jeżozwierzem aż odskoczyli na te słowa, co przyjąłem z niekłamaną ulgą.

– A nie możemy go chociaż trochę nadgryźć przed odstawieniem do Bloka? – zaskomlał czworonóg, szcękając brzuchopyskiem. – Jestem tak cholernie głodny, że okropność!

– Nie. Najpierw Blok – odparł stanowczo Ptak. – Ale nie zamartwiaj się, stary. To nie znaczy, że go nie dostaniemy. Może nawet się nim trochę pobawimy.

– No ja myślę! – fuknęła Misior.

Nogi miałem jak z waty, ale to było bez znaczenia, gdyż powlókł mnie za sobą jak zabawkę. Nie miałem pojęcia, kim jest ów Blok, ale najważniejsze, że chwilowo perspektywa szybkiego pożarcia się odsunęła. Czuję, że gdyby rzecz się działa gdzie indziej, może miałbym szansę pokonać tę trójkę albo przynajmniej im uciec – jednak w tej druzgocącej głębi ledwo mogłem się utrzymać w stanie przytomności i, powiedzmy, sprawności umysłu. I nie samo ciśnienie mnie tak osłabiało; wszystko, co odczuwałem podczas szaleńczego spadania windy – szczególnie zaś ta niesamowita, straszliwa... *obecność* – wciąż we mnie tkwiło jak śmiertelna, obezwładniająca choroba, od której wstrząsały mną dreszcze i mdłości.

Tercet demoniczny ciągnął mnie labiryntem długich korytarzy rozbrzmiewających krzykami i mniej artykułowanymi odgłosami wydobywającymi się z niezliczonych laboratoriów bólu, gdzie nieustannie trwa opracowywanie i wdrażanie nowych rodzajów tortur. Przez otwarte drzwi widziałem więźniów rozrywanych, zgniatanych, parzonych przegrzaną parą, rozgotowywanych na spaghetti ze ścięgien, żył i nerwów rozpinanych potem na gorących drutach i wibrujących wrzaskiem niczym szarpane struny. Groza prześcigała grozę, aż w końcu zacząłem tracić kontrolę nad goniącymi resztką sił zmysłami. Rozpaczliwe trzymanie się ponad powierzchnią szaleństwa zaczęło mi się wydawać bezcelowe. Po co walczyć? Jeśli nawet jakimś cudem się stąd wydostanę, to jakie mam szanse kiedykolwiek przedrzeć się przez nieskończone kręgi Piekła na samą górę, nie mówiąc już o wtargnięciu do fortecy mego arcywroga, wykradnięciu Czaj spod jego nosa, a potem wymknięciu się pościgowi i powrocie na Ziemię? Odpowiedź była jednoznaczna i do bólu klarowna: absolutnie żadnych. Już na etapie planowania tej nieszczęsnej awantury wiedziałem, że mój zamiar jest beznadziejny – ale, jak mi to często powtarzają przyjaciele, mam skłonność do kretyńskiego wręcz optymizmu.

Gdy już wreszcie nadmiar okropności do reszty stępił mą wrażliwość, stanęliśmy przed biurkiem broniącym drogi do dużych czarnych drzwi. Zasiadająca za nim osoba płci żeńskiej miała śliczną, okoloną burzą blond loków główkę choinkowego aniołka, ale ciało wielkiej

stonogi, które musiała parę razy przewlec przez poręcz fotela, żeby móc przyjąć odpowiednią pozycję. Zmierzyła moich dręczycieli podejrzliwym spojrzeniem.

– Czeo? – mruknęła głosem starego pijaka albo oszołomionego nokautem boksera. – Czeo chcecie?

– Widzieć się z Blokiem, ślicznotko – odrzekł Ptak. – Musimy mu pokazać.

– Niea mowy.

Dopiero teraz zobaczyłem, dlaczego tak niewyraźnie mówi: usta miała pełne malutkich stonózek. Kilka wypadło na biurko, ale natychmiast rzuciły się wspinać po niej z powrotem.

– Blok zawronił mu przech... przech... – Urwała, by chwycić wargami wracające stworzenia, przytrzymując przy tym zakończoną szczypcami łapą te, które w zamieszaniu próbowały się wymknąć. – Przechkadzać – dokończyła z godnością.

– Tak powiedział? – prychnął Jeżozwierz.

– Ale na pewno zechce to zobaczyć. – Ptak zamachał upierzoną nogą. – Przekonasz się.

Złotowłosa stonoga przyglądała mu się chwilę spod rzęs. Twarz miała tak niesamowicie ludzką, że nie mogłem się oprzeć ciekawości, czy tak też wyglądała za życia. Prawdziwa bogini poranka.

Sekretarka w końcu się poddała, odwinęła się z fotela i po ścianie ruszyła ku drzwiom, z widocznym wysiłkiem utrzymując zbyt ciężką głowę prosto. Uchyliła je nieco, zajrzała do środka i coś powiedziała, upuszczając kolejnych parę stonózek z ust. Musiała uzyskać odpowiedź twierdzącą, gdyż obróciła ku nam głowę i zarządziła:

– Ma wejść sam. Wy trzej tu zaczekacie.

Powrót do postawy pionowej nie był łatwy, a zrobienie pierwszego kroku jeszcze trudniejsze. Misior mi pomógł solidnym pchnięciem i zatoczywszy się naprzód, złapałem rękami za framugę, żeby nie wyłożyć się jak długi.

W woniejącym stęchlizną pokoju panowała ciemność rozjaśniana tylko przez małą lampkę oliwną na biurku. Siedząca za nim postać na pierwszy rzut oka wyglądała niemal jak człowiek, z oczami, nosem i uszami mniej więcej na właściwych miejscach. Gdy jednak mój wzrok oswoił się z półmrokiem, zobaczyłem, że ma skórę zdartą z twarzy i udrapowaną wokół szyi jak koszmarne renesansowe kryza z hardkorowego horroru kostiumowego. Obnażone mięśnie mimiczne nadawały głowie wygląd rolady z surowego boczku, ale osadzone głęboko oczy były bystre i niepokojąco inteligentne. Demon miał na sobie spłowiały i wystrzępiony uniform typu wojskowego. Powitał mnie szerokim uśmiechem albo tylko wyszczerzył zęby – czarne i o wiele za duże jak na mój gust.

– No to ktoś ty taki? – odezwał się. – Do zjedzenia czy ukarania?

– Ani jedno, ani drugie, czcigodny Bloku. – Nie miałem pojęcia, kim on jest, ale oceniłem go na drobnego biurokrata szarogęszącego się w przydzielonym zakamarku Piekła jak złoty cielec w pogańskiej gontynie. – Jestem w delegacji z górnych kręgów. Wężowij z Sekty Kłamców. – Takie miano nosi asocjacja prokuratorów piekielnych, moich przeciwników w anielskim fachu. Wiedziałem o niej to i owo jeszcze przed sesją z Lamah i dlatego wybrałem ją na swoją przykrywkę. – Wykonuję zadanie dla Mastemy, ale zostałem zaatakowany, pobity i tu porzucony.

– Przez Papugę Polinezję i jej trupę smakoszy? – Koncept naprawdę wydał mu się zabawny. Przez moment miałem zwariowaną nadzieję, że się udławi własnym rechotem, ale zaraz sobie przypomniałem, iż to jego normalna cera, nie objaw apopleksji czy czegoś podobnego. – A to dobre!

– Nie, czcigodny Bloku. Napadli mnie... najemnicy w służbie moich wrogów, których rozwścieczyło, że nie im przypadło w udziale zlecenie od Mastemy. – Może to nie była Wielka Improwizacja, ale nie zapominajmy, że się czułem jak po odwirowaniu w betoniarni na szybkich

obrotach i zwymiotowaniu połowy mózgu. – Zbiry dopadły mnie w wyciągu, ale wyrwałem się im i wyskoczyłem... akurat na tym poziomie. – Kosztowało mnie to sporo wysiłku, ale robiłem, co mogłem, żeby to brzmiało spokojnie i rzeczowo. – Moi mocodawcy wiedzą już, jak mnie potraktowano. I w windzie, i tutaj. – Odwoływanie się do jego altruizmu raczej by nie pomogło, wybrałem więc wypróbowaną metodę kija i marchewki. – Oczywiście ci, którzy weszli mi w drogę, zostaną ukarani, obiecuję jednak, że nagroda nie minie tych, którzy mi pomogą.

– Nagroda, powiadasz... Brzmi to przyjemnie. – Blok odsunął się nieco od biurka z fotelem; zobaczyłem wtedy, że jest przywiązany do niego drutem kolczastym, a poniżej żeber nie ma nic poza dyndającymi frędzlami nerwów. Do kikuta kręgosłupa przysała mu się wielka czarna pijawka; za każdym razem, gdy nabrzmiewała wchłanianym szpikiem, przez twarz Bloka przemykał spazm bólu. Miło było wiedzieć, że jemu też nie jest zbyt wesoło. – Ale widzisz... już mi się odwdzięczono za lojalną służbę. Otrzymałem dar pamięci wszystkiego, czegom dokonał za życia i potem. – Blok uśmiechnął się znowu, choć w tym samym momencie pijawka pociągnęła spory haust. – Jakiejże większej nagrody miałbym pragnąć niż sprawiedliwości Najwyższego i szansy dalszego służenia nawet i tutaj?

Bawił się mną, nie miałem co do tego wątpliwości. Co zamierza? Zwolnić mnie czy zatrzymać? Czy już podjął decyzję?

Zaryzykowałem puszczenie framugi, ale dla pewności zaraz oparłem się o nią z udawaną nonszalancją.

– Oczywiście, czcigodny Bloku, powinieneś mieć wszystko, czego pragniesz. Cóż mogłoby ci sprawić większą przyjemność niż świadomość, że masz swój udział w wielkim dziele Szatana? Tak lojalnego funkcjonariusza nie skusiłaby nawet perspektywa przeniesienia na ważne stanowisko w wyższych kręgach. – W rzeczywistości nie brzmiało to tak gładko, jak się czyta: sporo było w tej wypowiedzi stęknień i pomruków bólu. Przywykałem już do ucisku w czaszce, ale daleko mi jeszcze było do delectowania się nim.

– Mówisz jak nielicha figura. – Blok znów obdarzył mnie tym czarnym uśmiechem. – Na pewno znasz niejednego ważnego dygnitarza.

– Ano, zna się tego i owego. Na przykład komisarz Niloch z Grobogrodu to mój stary przyjaciel. Nie chcę szafować nazwiskami... ale na pewno słyszałeś o arcyksięciu Eligorze Jeźdźcu.

– Eligor? – Demon zacisnął usta. – Nie mam szczęścia znać jego wysokości osobiście, ale jeśli i on jest twoim przyjacielem...

– Ależ tak! Znamy się od dawna. Jesteśmy... o, tak blisko. – Pokazałem mu dwa palce ułożone w nożyce. – Nie dalej jak parę dni temu powiedział mi: Wężowiju, jak wrócisz z tej misji, musisz się u mnie zatrzymać na dłużej.

Właściwie nie było to kłamstwem; byłem całkiem pewien, że gdyby Eligor się dowiedział o moim pobycie w mieście, chętnie udzieliłby mi permanentnej gościny. Tylko że komnatę przydzieliliby mi nawet nie w połowie tak miłą jak gabinet mojego rozmówcy.

– Wiesz co? Przekonałeś mnie. – Twarz Bloka nagle pociemniała, jakby ktoś chwycił go za gardło i solidnie przydusił. Kiedy spazm minął, dorzucił: – Podejdz bliżej i podaj mi rękę.

Dwadzieścia lat życia na Ziemi zrobiło ze mnie idiotę. Wyciągnąłem doń prawicę, jakbym się spodziewał gratulacji i może nawet czeku na okrągłą sumkę. Bobby Dolar, pieprzony dżentelmen. Grube łapska biurokraty chwyciły mnie za nadgarstek i pociągnęły naprzód, aż straciłem równowagę i musiałem się zaprzeć drugą ręką o biurko.

– Oczywiście myto tak czy owak trzeba zapłacić – powiedział.

Zanim się pozbierałem, wpakował sobie całą moją dłoń do ust i zacisnął szczęki.

Ciało demona może znieść znacznie więcej niż ludzkie, ale powiem wam, że odgryzienie

dłoni bolało jak nieboski sukinsyn. Nie wiedziałem, kiedy i jak się znalazłem na podłodze zwinięty w kłębek, na przemian wrzeszcząc i jęcząc, podczas gdy zdrową ręką gorączkowo starałem się zatamować krew. Blok wypluł zdobycz. Leżała chwilę na biurku jak wzdęty zdechły pająk, a potem podniósł ją i z obrzydliwym trzaskiem odłamał trzy palce.

– Polly! – zawołał.

Drzwi się uchylily i do gabinetu zajrzał Ptak.

– Słucham, wielki Bloku?

Demon cisnął mu moje palce, jakby karmił gołębie w parku. Za drzwiami się zakotłowało, gdy cała dobrana trójka rzuciła się na ten przysmak, ból był jednak tak okropny, że cała scena wydawała mi się nierealna jak sen. Blok tymczasem sam się zaczął raczyć, krusząc kości mocnymi szczękami i pomrukując z apetytem. Skończywszy, otarł gębę z krwi wierzchem włochatej łapy i beknął z zadowoleniem.

– Wsadzą cię teraz do wyciągu – oznajmił. – Pamiętaj, że mogłem wziąć sobie więcej, Wężowiju z Sekty Kłamców. Powiedz swoim panom z wysokich sfer, że stary Blok mógł im odesłać samą tylko twoją głowę, a i tak dowiedzieliby się od niej wszystkiego, czego im potrzeba. – Chwył się poręczy i uniósł tak wysoko, jak mu pozwoliły kolczaste więzy. Pijawka zakołysała się jak serce kościelnego dzwonu. – Mój jest ten kawałek Piekła! – ryknął. – Ja tu rządzę! I choćby zawitał tu sam wielki Czarny Pan, z niego też uszczknąłbym sobie jakiś smaczny kąsek i użył jego ogona zamiast wykałaczki! Bo jestem Blok Kat, rozumiesz? Blok Rzeźnik, przybłęd!

Jego szalony wrzask gonił mnie jeszcze długo, kiedy Misior chwycił mnie w szpony i wywłókł na zewnątrz.

Zaciskałem kikut przedramienia z całej siły, ale szybko traciłem krew. Ból ani myślał zelżeć, czułem też, że zgruchotana kość kaleczy mi skórę zdrowej dłoni, ale poza tymi dwoma wyrazistymi odczuciami mój mózg nie rejestrował żadnych innych sygnałów ciała. Wiedziałem, co to znaczy: organizm powoli zwija interes i godzi się z klęską. Gdy zbliżyliśmy się do szybu windy, nawet groteskowe mordy Ptaka, Jeżozwierz i Misiora zaczęły się rozmywać w surrealne plamy – co zresztą przyjąłem z niejaką ulgą. Wtem poczułem nowy rodzaj bólu, jakby ktoś szlifował mi ranę papierem ściernym. Otworzyłem oczy. To Misior zlizywał z niej krew.

Przytomność opuszczała mnie i wracała, gdy czekaliśmy na wyciąg. Mogła minąć minuta, mogła i godzina, ale w końcu dobiegł mnie znany już zgrzyt i łoskot. Moi nowi znajomi uraczyli mnie na pożegnanie paroma kopniakami i bezceremonialnie wrzucili do kabiny.

Krew szybko tworzyła kałużę na obmierzłej podłodze. Wibracja windy omal nie pozbawiła mnie przytomności na dobre; zdawało mi się, że wchodzę do kompletnie ciemnego tunelu, oddalając się od ostatnich przeblysków światła i nadziei. Na oślep pacnąłem dłonią w ścianę, choć zostawiona sama sobie rana zaczęła znów intensywnie krwawić. Ostatkiem sił wykrztusiłem nazwę stacji przeznaczenia:

– Czer... wone... Miasto...

Windą zatrzęsło jeszcze mocniej, a potem czarny tunel moich myśli zawalił się, grzebiąc mnie pod rumowiskiem.

Dwadzieścia jeden

Stacja końcowa



Fistula... Złe Mięso... Złamane Serca... Przystań Flegeton... Z niebytu wyrwał mnie metaliczny głos oznajmiający mijane w błyskawicznym tempie stacje. Nie czułem już tak dużego ucisku w głowie, ale cieszyć się nie było z czego. Zanim się otrząsałem z odrętwienia i podniosłem do pozycji siedzącej, przejechaliśmy jeszcze kilka przystanków wzdłuż ognistej rzeki Flegeton. Krwi na podłodze było tyle, że gdyby ją zebrać do miednicy, miałyby chyba z całą głębokości. Czułem się jak stłuczona klepsydra.

Ku memu tępemu zaskoczeniu nie byłem już w windzie sam: gdzieś po drodze dosiadło się sporo pasażerów w bogatym asortymencie form: zwierzkształtnych, galaretowatych, a nawet humanoidalnych, w większości lepiej odzianych, niż zdążyłem przywyknąć na niższych poziomach. Nie mogłem im się lepiej przyjrzeć, gdyż miałem kłopot z ostrością widzenia, jedno za to nie ulegało wątpliwości: ci eleganccy jak jeden mąż starali się trzymać tak daleko ode mnie, jak na to pozwalała ograniczona przestrzeń kabiny. W innych okolicznościach może by mnie to i bawiło: diabły, a boją się odrobinę pobrudzić krwią? Naturalnie żaden nie zaofiarował się z pomocą ani nawet nie spojrzął na mnie z jakimkolwiek głębszym uczuciem niż zdawkowa niechęć. W Piekło nie ma mody na empatię.

Kiedy już mózg przestał mi wirować, oderwałem z brzegu szaty pas tkaniny i niezgrabnie obwiązałem sobie ranę, by wreszcie zatrzymać krwotok. Gdybym miał na sobie ziemskie ciało, nawet wzmocnione w naszych niebieskich biowarsztatach, dawno już bym nie żył – ale moja demonia powłoka okazała się znacznie wytrzymalsza, przynajmniej pod względem odporności na wykrwawianie. Przy malejącym ciśnieniu zewnętrznym mógłbym się nawet poczuć zdrowiej niż przez ostatnie kilka godzin, gdyby nie ogólne osłabienie i zawroty głowy. Naszła mnie jednak myśl, że ta ulga może być wynikiem niemal całkowitej utraty krwi. Kto wie, czy nie tak właśnie odczuwa się umieranie w Piekło: jak najmiłszą chwilę podłego dnia.

Oczywiście nie sądziłem, że pozwolono by mi spokojnie odejść w nicość. Zostałbym albo zutyliczowany na jakimś wysypisku półżywych śmieci, albo też – gdyby ktoś mnie uznał za dostatecznie ważnego demona – trafiłbym do recyklingu i otrzymał nowe ciało. Byłaby to nieporównanie gorsza alternatywa, gdyż z całą pewnością podczas obróbki włączyłby się alarm: „UWAGA! TAJNY ANIOŁ! ZLIKWIDOWAĆ!”.

Winda podskakiwała i kiwała się jak na wybojach, zatrzymywała się na stacjach i ruszała, pasażerowie wsiadali i wysiadali, a my wciąż gnaliśmy w górę: Wzgórza Flegetonu... Szczękoczulki Dolne... Kościołomy... Zgiełkopustki... i całe sekwencje innych nazw, których w moim stanie nie mogłem nawet rozróżnić. Kiedy znaleźliśmy się w kręgu Lety (pierwszy przystanek Dorzecze Dolne), mocniej zacisnąłem prowizoryczny bandaż, zbierając się w sobie do ucieczki – albo chociaż popelnienia – w jakieś bezpieczne miejsce, gdy już dotrę do celu podróży.

Coraz wyżej i wyżej, przez kolejne poziomy Lety, potem przez najniższe przedmieścia Pandemonium. Z przekazu Lameh wiedziałem, że Czerwone Miasto składa się z wielu pięter. Z niecierpliwością, ale w końcu się doczekałem zapowiedzi Delty Styksu. Piekielne drogi wodne wiją się jedna wokół drugiej jak nici nukleotydów w helisie DNA – przynajmniej tak to widzę w wyobraźni. I choć Styks przepływa przez najniższe kręgi Tartaru i Erebu – ba! kto wie, czy

jego fale nie omywają kopyt samego Lucyfera w tej ostatecznej, najczarniejszej żywej pustce – to kończy bieg w kręgach najwyższych. Innymi słowy: dojeżdżałem do diabelskiej stolicy.

Nawet we mgle gorączki i wycieńczenia uderzyła mnie dziwna myśl. Można by się spodziewać, że skoro siedziba Szatana i najważniejsze systemy Piekła mieszczą się w najgłębszej otchłani, to i wszelkiej maści politycy, karierowicze i wielmoże też powinni ją sobie wybrać na mieszkanie. Oni jednak wszyscy gnieźdździ się tutaj, najdalej od tych straszliwych głębi, jak to tylko możliwe, na antypodach – jak gdyby piekielna elita nadal żywiła jakieś resztki nadziei, że któregoś dnia znów się wzniosą ku światłości. Może Riprash rzeczywiście zrozumiał coś bardzo ważnego?

Głośnik milczał teraz przez dłuższy czas, aż wreszcie wypluł te oczekiwane słowa: „Stacja końcowa”.

Ostatni wstrząs i zgrzyt, jakby ktoś wyciągał obcęgi z gwóźdź z dębowej trumny. Winda zatrzymała się i znieruchomiła. Drzwi rozsunęły się z sykem pary. Moi współpasażerowie (teraz już ponad dwudziestu ich tłoczyło się w kabinie i tylko w moim rogu było luźniej) wysiedli i zostałem sam. Przestraszony, że winda się zamknie i znów ruszy w dół, zanim zdążę się wydostać na zewnątrz, nawet nie próbowałem wstać, tylko wygramoliłem się na czworakach, pilnując, aby niczego nie dotknąć krwawym obandażowanym kikutem. Wychodziłem już z szoku i ból był nie do wytrzymania, jakbym wbijał okaleczone przedramię w beczkę soli.

Dworzec – bo tak trzeba nazwać miejsce, w którym się znalazłem – był ogromny. W samej stacji wyciągu zmieściłyby się ze dwie nowojorskie Grand Central Stations, ale oprócz niej był tu też wielki węzeł tuneli dla pieszych, drogowy i – ku memu niezmiernemu zaskoczeniu – również kolejowy. Z peronu ruszało właśnie w różne strony kilka pociągów, a następne już czekały na bocznicach: długie i niskie wagony z czarnego metalu, z oknami tak wąskimi, że przypominały otwory strzelnicze (i pewnie nimi rzeczywiście były). Nie miałem jednak czasu się gapić i podziwiać, ponieważ każda sekunda spędzona na blakaniu się ulicami Czerwonego Miasta zwiększała prawdopodobieństwo, że albo mnie napadnie czy porwie któryś z grasujących w okolicy gangów, albo złapią mnie Oczyszczeni – elitarna straż Mastemy i jedyne w Piekło stworzenia lojalne wyłącznie wobec samego Lucyfera, z pominięciem całej feudalnej struktury władzy. Choć niekoniecznie tańczyliby, jak im zagra któryś z moich potężnych wrogów, absolutnie zgodziliby się, że Bobby Dolar jest tu persona non grata, i odprawiliby mnie na męki do kręgów Kary jeszcze szybciej, niż gdyby sam Eligor przyłapał mnie w swojej sypialni.

Patrole Oczyszczonych widziało się z daleka. Nosili się po wojskowemu, w mundurach połowych barwy pioruna z wymalowanym na bluzach emblematem w kształcie czarnej spirali na szarym tle – być może mającej przedstawiać alegoryczny wizerunek Otchłani, w której wszyscy tu tkwimy. Ten surowy znak rozjaśniały rozmaite desenie z karminowych płamek, najwyraźniej projektowane bądź rozdzielane indywidualnie poszczególnym żołnierzom. W masywnych metalowych półpancerzach i dziwacznych kaskach skrywających twarze przypominaliby astronautów z rycin w wiktoriańskich powieściach fantastycznych, gdyby nie rozmaicie zdeformowane ciała, dla których jedynym wspólnym określeniem może być „duże i silne”. Zdumiewała też różnorodność ich uzbrojenia, w tym broni palnej, której nigdzie jeszcze w Piekło nie widziałem.

Gdy brnąłem przez przydworcowe ulice zatłoczone jak rynek w Abadonie, pojawiła się skądś rozmazana myśl. Więc technika jest tu na tak wysokim poziomie rozwoju? Dlaczego? Czemu tu jest jak w nowoczesnym węzle komunikacyjnym na Ziemi, a tam, w dole, nawet ci najzamożniejsi żyją jak średniowieczni chłopi?

Takie mimochodem wpadające refleksje często zaprzatają mi głowę, teraz jednak nie mogłem sobie pozwolić na rozproszenie uwagi. Byłem ledwo przytomny, do cna wyczerpany i chory. Jeśli

szybko nie znajdę właściwej drogi, prędzej czy później zainteresują się mną Oczyszczeni, którzy ewidentnie nie mieli nic lepszego do roboty, jak tylko gapić się przez wizjery przyłbic na wszystko, co się rusza. Trafiłem pod wielkie schody; w mojej kondycji stanowiły wyzwanie na miarę Czomolungmy, ale za to wiodły do jakiejś jaśniejszej, a przynajmniej większej przestrzeni, poprawiłem więc bandaż i ruszyłem na górę.

Pokonanie setek stopni zajęło mi bitą godzinę. Cały czas potraćano mnie i popychano; korowody groteskowych przechodniów miały mną jak nurt rwącej rzeki, bezceremonialnie odtrącając na bok, gdy stawałem im na drodze, zanim wreszcie dotarłem do szczytu. Jak się okazało, schody kończyły się w kolejnej dużej hali, nie tak ogromnej jak dworzec poniżej, ale też monstrualnie wysokiej. Przez wielkie okna wpadało do środka jasnoczerwone światło, a naprzeciwko ujrzałem wyjście na zewnątrz.

Niesiony nurtem obojętnych, a czasem jawnie wrogo nastawionych stworów wynurzyłem się na olbrzymi plac. Zdałem sobie sprawę, że to Dis Pater – serce piekielnej metropolii. Pandemonium zbudowane było chyba z dwóch tylko rodzajów kamienia: ciemnego bazaltu i czegoś półprzezroczystego jak kwarc, co jarzyło się jadowitym purpurowym blaskiem. W poświacie bijącej od wielkich gmaszysk miasto zdawało się płonąć wiecznym ogniem. Gdy dodać do tego czerń otaczających je nieprzerwanym kręgiem murów obronnych, Pandemonium prezentuje się z daleka jak stos węgla żarzących się bez końca w ciemności. Czerwone Miasto. Nie różniło się specjalnie od innych grodów, które zdążyłem tu poznać – było tylko znacznie, znacznie większe. Niebo nad głową zastępowała płatanina sięgających, rzekłbyś, nieskończoności iglic wielkich budowli połączonych w jedną wielką sieć miriadami kruchych mostów. Wyglądało to tak, jak gdyby tytani powbijali chaotycznie w ziemię jeden komplet gigantycznych bierek, a drugi rozrzućili na nie z góry i gdzie się która zaczepiła, tam i została. Od samego patrzenia na tę konstrukcję kręciło mi się w głowie, nic jednak nie ujmując z pulsującego bólu w ściętym przegubie.

W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że już nie stoję, tylko leżę na kamiennym podłożu przed terminalem. Nie wiedziałem, kiedy upadłem i jak długo to już trwa. Pozbierałem się jakoś i poczłapałem przed siebie, ale czułem się do reszty wyzuty z sił. Męcząca wspinaczka wyssała ze mnie wszystko, co jeszcze się tam kołatało. Musiałem znaleźć bezpieczne schronienie – tylko gdzie? Przypominałem sobie mgliście, że Lameh mówiła coś o melinie przygotowanej dla mnie na wypadek niebezpieczeństwa, ale mój głodny tlenu mózg nie radził sobie z wydobyciem tej informacji ponad powierzchnię podświadomości. Ech, gdybyż poczcziwa staruszka tu ze mną była, siedziała w mym uchu i doradzała... ale cóż, zostawiłem ją w innym świecie i w innym cieple, razem z nadzieją i zdrowym rozsądkiem.

Dokąd iść? Jak śmiertelnie ranne zwierzę potrzebowałem kryjówki, by lizać rany i nabierać sił, ale najpierw musiałem rozwiązać niemało problemów.

Numer jeden: jestem w Piekło bez grosza przy duszy, a tu naprawdę nie ma nic za darmo. Gdybym nawet pamiętał adres, nie wiedziałbym, jak to daleko, ale śmiało mogłem przyjąć, że gdzieś poza centrum – a ja ledwo się wydostałem z dworca. Patrzyłem otepiały na śmigające obok dziwaczne pojazdy: kopące spalinami opływowe samochody bogaczy, bogato zdobione karoce zaprzężone w podrasowane nosorożce lub pozbawione dziobów strusie; ryksze napędzane przez kilku zawzięcie pedałuujących niewolników; ciężkie wozy towarowe ciągnięte przez zespoły bezgłowych, wielonogich perszeronów. Nigdzie jednak nie widziałem niczego, co by mnie dokądkolwiek zawiozło bez zapłaty, a czas naglił, bo lada chwila mogłem zemdleć. Po drugiej stronie jezdni spostrzegłem rozklekotany wóz jakiegoś ulicznego handlarza, załadowany dymiącymi kadziami. Właściciel miał łeb szakala osadzony na tułowiu anorektycznego pająka, ale miałem wrażenie, że z tych wszystkich spieszących tam i siam demonów on jeden nie

wydałby mnie w pierwszym odruchu w łapy Oczyszczonych. Teraz myślałem już tylko o jednym: zakraść się na jego platformę i usnąć z nadzieją, że nie od razu mnie zauważy. W oczach mi ciemniało, a członki spowijała jakże kusząca ociężałość: typowe objawy krańcowego wykrwawienia. Czułem się, jakbym małał i znikał wciągany w rurę kanalizacyjną. Zrobiłem krok na jezdnię (w Piekło nie znają krawężników). Chociaż chwiejnie, ale mogłem iść – to najważniejsze. Straciłem ostrość widzenia, ale rozróżniałem ciemny kształt wozu mający daleko przede mną. Jeszcze krok, po nim drugi...

I wtedy coś mnie uderzyło. Nie umiem powiedzieć co (a raczej wtedy tego nie wiedziałem); po prostu nagle wpadło na mnie coś dużego i hałaśliwego. Potem frunąłem w powietrzu, toczyłem się w poprzek najbardziej ruchliwej ulicy w Pandemonium i wszystko było czarno-białym wirem jak w starym dowcipie o spadającej ze schodów zakonnicy. Jeszcze jedno, słabsze uderzenie. Uczucie, jakby zważyło się na mnie całe kamienne niebo stołecznego grodu. Na koniec wlała się we mnie i wypełniła po brzegi głucha, czarna ciemność.

Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrowały gasnące zmysły, był zaskakująco słodki, kobiecy głos dobiegający jak przez dziecięcy sznurkowy telefon: „Och, mój ty ładniusi biedaku!”.

Potem już tylko nicość.

Interludium



Caz spała. Leżałem obok niej, zbyt zakręcony, by robić cokolwiek poza myśleniem, myśleniem, myśleniem... Bóg jeden wie, że też powinienem zasnąć jak kamień po takim dniu, a właściwie nocy: najpierw wpadłem w zasadzkę, gdy usiłowałem sprzedać na licytacji coś, czego nie posiadałem, strzelano do mnie, przez pół miasta ścigał mnie prastary niezniszczalny potwór, spędziłem kilkanaście minut zanurzony w lodowatej wodzie, oddychając przez wężyk, a potem kilka godzin uprawiałem szaleńczą miłość z demonicą. Tak jest, powinienem kimać sto lat jak Śpiąca Królowna. Tymczasem jak somnambulik leżałem w łóżku Caz z rękami pod głową, obserwując falowanie muślinowych zasłon na delikatnym zefirku z klimatyzatora. Zasłony były różnobarwne: czerwone, żółte i w paru barwach ziemi. Wydawało mi się dziwne, że wybrała tak płomienną tonację; całe mieszkanie wyglądało jak skrzyżowanie scenografii do Aidy czy Nabucco z amsterdamskim domem publicznym.

Rozmyślałem, lecz o niczym ważnym. Na roztrząsanie ważnych tematów nie było mnie teraz stać. Tyle się działo, a ja nie miałem na to żadnej rady. Mógłbym zacisnąć powieki i zmuszać się do zaśnięcia, ale to nigdy nie był dobry sposób. Leżałem więc wsłuchany w cichy oddech Caz i snułem fantastyczne wizje nierealnego dnia, kiedy będziemy mogli tak trwać obok siebie, nie zagrażając przy tym równowadze całego wszechświata. Każdy taki obrazek szybko pryskał jak bańka mydlana. Jeśli nawet nie unicestwią nas jej lub moi przełożeni, to niby gdzie mielibyśmy zamieszkać? Co byśmy wtedy robili?

Przed tą nocą w mig bym dostrzegł głupotę samego pomysłu, że anioł taki jak ja może wieść normalne, ludzkie życie. Pokręciłbym głową, zaśmiał się gorzko i poszedł z Samem na wódkę, żeby zalać popioły zgaszonego marzenia i pogrzebać je na zawsze. Teraz nie byłem już pewien, że ta wypróbowana metoda okaże się skuteczna jak zawsze. Nie wiedziałem nawet, czy tego bym chciał.

Ale jaką miałem alternatywę? Tę jedną noc, jak ona uparcie powtarzała, i potem już nigdy nic? Zostać ze wspomnieniem? Narodziłem się do anielskiego życia z wyczyszczoną pamięcią, nie umiałem więc sobie wyobrazić, jak bym się czuł ze wspomnieniem o niebo lepszym od całej pozostałej mi egzystencji. Jak można w ogóle żyć z czymś takim? Jak wtedy utrzymać wiarę, że wszechświat ma jakikolwiek sens?

Zaraz, zaraz. A kto powiedział, że ma albo mieć powinien? Jestem aniołem, pracuję dla samego Boga Najwyższego, ale tak samo nie mogę się w tym wszystkim połapać jak każdy śmiertelnik.

Czy to zatem naprawdę koniec? Czy już nigdy nie zobaczę tej cudownej kobiety, diablicy, czy kimkolwiek ona jest? Albo co gorsza, zobaczę ją, ale nie będę mógł zrobić nic innego, jak tylko minąć się z nią bez słowa, oboje po wiek wieków skazani na nasze przydziały służbowe?

Ta myśl, ta pusta wizja tak mnie zmroziła, że przez moment sądziłem, iż moja dusza umiera.

Jak gdyby wyczuła, co się ze mną dzieje, Cóż otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Nie odezwała się i tylko rozłożyła zapraszająco ramiona, jakby mnie witała po powrocie z dalekiej i niebezpiecznej podróży. Przysunąłem się blisko, aż poczułem zimny dotyk jej ciała.

Objęliśmy się i przytuliliśmy w milczeniu, bo naprawdę nie było już nic do powiedzenia.

Dwadzieścia dwa Słodka markiza



Och, mój drogi! Musisz mi powiedzieć, kto tak z tobą postąpił. Tyle tam było krwi!

Moje oczy, które jakiś czas nie wysyłały do mózgu żadnych użytecznych informacji poza nieokreślonymi konfiguracjami światła i cienia – co potrafi nawet ślimak – zaczęły się wreszcie skupiać na jakimś konkretnym, ruchomym kształcie. W świetle moich dotychczasowych przeżyć ów kształt zaskakująco przypominał najzwyczajszą pod słońcem postać ludzką... chociaż źle mówię – wcale nie najzwyczajszą, tylko bardzo atrakcyjną. Była to kobieta w kwiecie dojrzałości, brunetka o długich, kręconych włosach opadających na ramiona, z ładnie wykrojoną twarzą. Nawet w aktualnym pożałowania godnym stanie od razu rzucił mi się w oczy jej śmiały dekolt, co zresztą nie uszło jej uwagi, bo spłonęła delikatnym rumieńcem obejmującym nie tylko alabastrowe policzki, lecz i sam ten przykuwający wzrok trójkąt ponad wycięciem sukni.

– Co... Kim... – Zdołałem wykrztusić tylko te dwa z trudem wyartykułowane słowa. Przysięgam, że po mózgu chodziły mi mrówki, jakby był zdrewniałą kończyną. Miałem nadzieję, że to stan przejściowy po niedotlenieniu, choć równie dobrze mógł to być objaw trwałego uszkodzenia.

– Jesteś bezpieczny. Nazywam się Cynk. Markiza Cynk, ale możesz mi mówić Vera.

Nagle wszystko sobie przypomniałem: wykrwawienie, słabość, balansowanie na krawędzi przytomności, uderzenie, ciemność. Zerknąłem szybko na zranioną rękę; dłoń mi oczywiście nie odrosła, ale kikut był obmyty i świeżo zabandażowany. Najdziwniejsze, że znów ją czułem, jakby nadal była na swoim miejscu – złożyłem to jednak na karb znanego zjawiska bólów fantomowych. Byłem nawet przebrany w czyste ciuchy: staromodną nocną koszulę, jaką szeryf Nottingham mógłby przywdziać na pizama party.

– Skąd się tu wziąłem? – Udało mi się wypowiedzieć wszystkie cztery słowa bez jednego kaszlnięcia, choć gardło też miałem drętwe, jakbym spędził kilka lat w klasztorze z klauzurą milczenia. W głowie już mi się jednak przejaśniało.

– Wybiegłeś na jezdnię prosto pod mój samochód, mój drogi. Bałam się, że już po tobie, ale to było tylko draśnięcie. – Uśmiechnęła się przyjaźnie.

To się nie mogło dziać naprawdę. Nie w Piekło. Tu nikt nie robi nic bezinteresownie. Ale darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada, odwzajemniłem więc tylko uśmiech.

– Dzięki ci, markizo Cynk.

– Och, mów mi Vera. Jesteś w końcu moim gościem. – Roześmiała się w głos i wstała. – A to znaczy, że już pora, abym poznała twoje imię. Wyjawisz mi je?

Przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywam. Biała ściana: ani mojej przybranej tożsamości, ani ziemskiej, ani anielskiej. Zupełnie jakbym zleciał z nieba w sam środek koszmarnego snu, i to bez żadnego bagażu. Ile krwi straciłem? Jak blisko byłem śmierci? I wtedy wszystkie moje imiona wpadły mi do głowy równocześnie. Powiedziałem jej to właściwie.

– Jestem Wężowij z Sekty Kłamców, Vero. I twoim dłużnikiem.

– Nie, nie! – Zaśmiała się znowu z wyraźną przyjemnością. – To raczej ja twoją. To był paskudny poranek, a ja mam za sobą fatalny, pusty tydzień. Dostarczyłeś mi sporo rozrywki.

Od przejścia przez most Nerona ani razu nie słyszałem, żeby ktokolwiek posłużył się takim

terminem jak „tydzień”. Ciekawe, czy to takie jej dziwactwo, czy może w Pandemonium panują inne zwyczaje?

– Gdzie jestem?

– W moim domu na Drżących Wzgórzach. Odpocznij teraz. Na rozmowy będzie dużo czasu, kiedy wydobrzejesz. Gdybyś czegoś potrzebował, zadzwoń na Belkę.

Dobłą chwilę zajęło mi zorientowanie się, że chodzi o czyjeś imię. Inna rzecz, że miałem rozproszoną uwagę, bo Vera, dotąd siedząca na brzegu mojego łóżka, wstała i zobaczyłem ją w całej okazałości. A było na czym oko zatrzymać. Była krągła gdzie trzeba, ze szczupłą talią i wdzięcznie długą szyją (chciałoby się rzec: łabędzią, ale po tylu opisanych przeze mnie piekielnych dziwolągach moglibyście wziąć to zbyt dosłownie), a choć nogi skrywała długa suknia, wszystko wskazywało na to, że i one cieszyłyby męskie oko. Cóż, chłop zauważa takie rzeczy, nawet gdy jest aniołem w sponiewieranym diablím ciele i ledwo zipie... Nie miało to nic wspólnego z seksem, zwłaszcza przy takim wyczerpaniu. Tak już jesteśmy zaprogramowani i komu to nie w smak, niech ma pretensje do wielkiego boskiego planu.

Markiza wyszła, miałem więc czas rozejrzeć się po pokoju. Wyglądał jak sen hollywoodzkiego scenografa o średniowieczu: kamienne ściany, strzeliste okna bez zasłon. Ta krótka rozmowa kosztowała mnie tyle wysiłku, że nie dałbym rady choćby wstać i sprawdzić, czy nie zamknęła drzwi na klucz – to znaczy, czy nie jestem więźniem – ale i tak niewiele mnie to obchodziło. Niektóre wysoko postawione demony lubią tak się pobawić. Może to jakaś subtelna, acz okrutna gra? Bo przecież to nie mogła być rzeczywistość, nie? Na pewno nie mogę się ani przez moment czuć bezpieczny. Tak czy nie? Jakakolwiek jest prawda, po ostatnich przeżyciach było mi wszystko jedno. Opadłem z powrotem w miękką pościel i pozwoliłem, by sen objął mnie w posiadanie.

Obudziwszy się, zastałem na jawie zupełnie inną kobietę, wysoką i tęgą. Jak przez mgłę pamiętałem, że Vera wspomniała o jakiejś Belce... Belli? Izabeli? Ta miała na sobie prosty przyodziewek służącej i w przeciwieństwie do swej pani ewidentnie była demonicą o szorstkiej szarej skórze i z widocznymi pod suknią kostnymi ostrogami na barkach, łokciach i innych stawach. Nic strasznego, widywałem gorsze. Wychrypiałem prośbę o wodę; przyniosła mi pełny kubek, a gdy wypilem go duszkiem, dołała i postawiła na szafce nocnej. Wyglądała na silniejszą ode mnie, zwłaszcza w tej chwili, ale zachowywała się przyjaźnie: uśmiechała się do mnie i ucisnęła mi rękę, gdy oddawałem naczynie.

– Pan się nie martwi, milordzie, wkrótce pan dojdzie do siebie – zapewniła mnie na odchodnym.

Czułem się faktycznie coraz lepiej – jak gdybym się wreszcie dobrze wyspał po kilku zarwanych nocach. Nieznośne mrowienie w głowie już prawie ustąpiło, podobnie jak zawroty. Zastanawiałem się, jak długo byłem nieprzytomny. Nie miałem pojęcia, czy jestem w gościnie u markizy od kilku godzin czy kilku dni. Zegara w pokoju nie widziałem. Myślałby kto, że skoro czasomierze są takim przekleństwem współczesnej cywilizacji, to w Piekło powinny tykać na każdym kroku – a jest wręcz przeciwnie. Nie ma tu też kalendarzy, choć pojęcie daty, a nawet pór roku funkcjonuje. Cóż, kiedy się dostało wyrok wiecznej kary, nie bardzo chce się wiedzieć, jak wolno płynie czas. Zresztą jeśli w ogóle zachodzą tu jakieś analogie z drugą stroną wieczności, czyli Niebem, to czas tu wcale nie płynie – w każdym razie w normalny, ziemski sposób.

W miarę jak powracała mi trzeźwość myślenia, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nie mogę ufać okazywanej mi przez Verę przychylności, nawet jeśli miałyby się okazać kimś takim jak Riprash. To, że jest dla mnie dobra, nie znaczy, że żaden z jej znajomych nie pożałoby mnie z apetytem albo nie wydał Oczyszczonym. Musiałem zachować czujność.

Pokuśtykałem do okna. Na szczęście nie było zakratowane ani w jakiś inny sposób zabezpieczone; może więc faktycznie jestem tu na prawach gościa? Spodziewałem się, że widok na zewnątrz podpowie mi przynajmniej, która mniej więcej jest godzina. Wydawało mi się, że krążę po Piekło już od miesiący, i chociaż nie miałem żadnego wyznaczonego limitu, dobrze sobie zdawałem sprawę, że jeśli szybko nie odnajdę mojej hrabiny Zimnorękiej i nie uciekniemy razem, mogę tu zostać już na zawsze. Druzgocący ciężar tego miejsca, jego czysta, nieustanna groza odbierały mi siły. Trzymało mnie w ruchu jedynie wspomnienie Caz i świadomość, że bez mojej pomocy czeka ją taki sam los jak wszystkich tubylców: niekończące się cierpienie. Co więcej, przypuszczalnie spotkało ją to właśnie z mojego powodu – i bynajmniej nie dlatego, że oczarowała ją moja wspaniała osobowość. Byłem pewien, że Eligor nigdy już nie pozwoli jej wrócić do świata doczesnego, więc nawet ta drobna pociecha została jej odebrana.

Nie, teraz nie pora się tym martwić. To rzecz zbyt odległa i nieprawdopodobna. Powoli, Bobie Dolar. Nie wszystko naraz.

Żeby wyjrzeć przez okno, musiałem stanąć na ciężkim krześle zrobionym z kości jakiegoś zwierzęcia. Nic mi to jednak nie dało. Mieszkanie markizy Cynk znajdowało się na parterze jednej z tych niebotycznych wieżyc, dobre kilkadziesiąt metrów poniżej krzyżujących się w górze galerii, łączników i pomostów, a tuż obok wyrastała czarna stromizna muru miejskiego, zasłaniając cały widok – zupełnie jakby ktoś wziął bezgwiezdną noc i postawił na sztorc przed oknami budynku. Spowijająca podwórko czerwona poświata mogła pochodzić z dowolnego źródła: latarni dziennych, groźnego pożaru w sąsiedztwie albo nawet jednej z wypełnionych lawą jam, które w Pandemonium spotyka się niemal wszędzie.

Złaząc niezgrabnie z krzesła (prawa ręka wciąż pulsowała bólem), zauważyłem coś na szerokiej komodzie ustawionej w nogach łóżka. Wśród asortymentu męskich akcesoriów kosmetycznych leżało tam ciężkie ręczne lustro z polerowanego srebra. Nie widziałem swojej twarzy, odkąd się ocknąłem w ciele Wężowija. Przywykłem do widoku szaro-czarnej skóry jak u jakiegoś zwierza z afrykańskiej sawanny, a nawet ją polubiłem (zwłaszcza że była odporna i mocna jak wygarbowana), ale własne rysy pozostawały dla mnie tajemnicą. W Piekło niezwykle mało jest powierzchni lustrzanych, nie spotyka się czystej stojącej wody, a metal najczęściej jest zbyt skorodowany, żeby ukazywać odbicie. Podniosłem zwierciadło z mieszanymi uczuciami ciekawości i obawy.

To, co zobaczyłem, przyprawiło mnie o szok.

Nie chodzi o to, że na przykład cera różniła się od reszty ciała, bo owszem, doskonale z nią harmonizowała: zbliżone odcienie, czarne paski na szarym tle biegły od szczęki policzkami i nad brwiami zawijały się w spiralki niczym maoryski tatuaż. Oczy też pasowały do całości, bladopomarańczowe z cienkimi kreskami źrenic jak u kota. Szokujące było to, że pod tym wszystkim zobaczyłem w lustrze moją własną twarz. Znaczący Bobby'ego Dolara, rozpoznawalną na pierwszy rzut oka jak pospiesznie i byle jak przemalowany przez złodziei samochód. Nie żartuję. Moje demonie ciało okazało się zaledwie kamuflażem, i to bardzo lichym. Nie miałem wątpliwości, że nie oszukałby nikogo, kto znał moją ziemską postać, a takich osób mogłem tu spotkać niezłą gromadkę – w tym oczywiście arcyksięcia Eligora, którego zamierzałem ograbić z jego własności.

Ogarnęła mnie panika. Przez cały spędzony na Dole czas paradowałem praktycznie bez żadnej przykrywk. Jak mogło do tego dojść? Czy to Lameh mnie zawiodła, czy może Temuel mnie zdradził? Tylko po co miały się uciekać do tak perfidnego sposobu, skoro wystarczyłoby donieść o mojej samowolce i czekać, aż Eforat zrobi swoje? Z pewnością moja postawa w ich śledztwie w sprawie Trzeciej Drogi i anioła Samariela pozostawiała wiele do życzenia i wyrok na mnie i tak już wisiał na włosku.

Łaziłem po Piekło długie tygodnie jak z wielkim neonowym napisem na czole: „ZABIJ MNIE”, nic o tym nie wiedząc!

Usiłowałem uspokoić rozbiegane myśli. Może to jakiś skutek uboczny zmiany ciała i nie ma nic wspólnego z Temuelem? W końcu nigdy nie słyszałem, żeby jakiś anioł przebierał się za demona. Na Ziemi wszystkie moje wcielenia wyglądały dość podobnie, więc zapewne zadziałały tu te same prawa. Czy to jednak oznacza, że nasze dusze mają wbudowaną charakterystykę cielesną? To by już było czyste szaleństwo.

Pograżony w zamyśleniu nerwowo zareagowałem na odgłos otwieranych drzwi. Lusterko wypadło mi z dłoni. Usiłowałem je schwycić drugą, której już nie miałem. Nie rozbiło się tylko dzięki temu, że w porę wystawiłem stopę i zamortyzowałem upadek.

– Co też pan wyprawia, milordzie! – ofuknęła mnie Belka. – Jeszcze pan sobie coś zrobi! – Podskoczyła do mnie, podniosła ciężkie zwierciadło, jakby było wizytówką producenta, a wolną ręką lekko mnie pokierowała ku łóżu. – Za wcześnie na wstawanie! – Kręciła nade mną głową jak Mama Kangurzyca nad niesfornym Maleństwem, a przyparłszy mnie do mebla, pchnęła silniej, aż usiadłem (omal nie przekoziolkowawszy przez materac na drugą stronę). – No, kładziemy się. Pani byłaby na mnie zła, gdyby się milordowi coś stało. Chce pan, żebym straciła posadę?

Zapewniłem gorąco, że wprost przeciwnie. Z przyjemnością byłem gotów się wylegiwać, jak długo się da, tylko byłem cholernie skołowany. Dlaczego jejmość markiza traktuje mnie tak serdecznie? W najlepszym razie jestem przecież tylko szaraczkowym szlachcicem, zwykłym urzędniczyną, podczas gdy ona wiezie życie arystokratki. Czyżby czegoś ode mnie chciała?

A teraz na dobitkę miałem nowy problem: chodzę z przyklejonym na łbie żywym listem gończym. Jednakże zamartwianie się to wcale nie lekka robota, a choć duch był już we mnie silniejszy, to ciało wciąż jeszcze mdłe. Dobry sen rychło odgonił czarne myśli.

Obudził mnie delikatny dotyk. Vera ze służącą zmieniały mi opatrunek. Rana już się prawie zasklepiła; poszarpany ślad zębisk Bloka pokryła świeża różowa skóra, ku swemu zdumieniu odkryłem jednak, że z przegubu jakby zaczynały wyrastać nowe kości. Nie wiem, z czego oni robią te diabelskie ciała, ale regenerują się one znacznie szybciej niż nasze przydziałowe z Nieba – narzekać jednak nie zamierzałem. Najgorszy ból ustąpił i zostało tylko lekkie pulsowanie. W sumie był to dobrostan, jakiego nie zaznałem od samego początku mych piekielnych peregrynacji.

– Wszystko się świetnie goi – rzuciła Vera, spostrzegłszy, że się ocknąłem. Zerwała się na nogi, jakby siedzenie na łóżku obudzonego mężczyzny nie było tym samym, co w wypadku nieprzytomnego inwalidy. – Myślę, że możesz już wychodzić z domu.

Podzielałem jej zdanie i choć stoper w mym mózgu nie przestawał tykać, skinąłem głową. Szansa na bezpieczny rekonesans była nie do pogardzenia.

– Doskonale! – zakrzyknęła z dziewczęcą radością w głosie.

Kim, u diabła, jest ta kobieta? Czy w ogóle chcę to wiedzieć?

– W takim razie szykujemy się do wyjścia. Wieczorem Francis i Elizabeth wydają przyjęcie, a ty będziesz mi towarzyszył, przystojny Wężowiju!

Znosiłem zabiegi obu babek ze stoickim spokojem, aż odpicowały mnie jak wróżka Kopciuszka: długi wiktoriański surdut, koszula z żabotem, prążkowane spodnie, lakierki. Vera sama czule zawiązała mi pod szyją cienką aksamitkę. Istny był ze mnie Rett Butler z Piekła rodem, mówię wam.

– To przez ten tutejszy klimat – szepnęła mi do ucha. – Za gorąco na normalny krawat.

– A w ogóle muszę go zakładać? Nigdy nie lubiłem krawatów.

– No wiesz? – Zmierzyła mnie spojrzeniem pełnym nieskrywanej zgrozy. – Jak mogłabym

cię pokazać najbliższym przyjaciółom w niestosownym stroju?

Czekając, aż sama skończy się stroić, rozsiadłem się w wygodnym fotelu i patrzyłem, jak Bella (takie okazało się jej imię) sprząta mój pokój.

– Podoba się jej pan – powiedziała z figlarnym błyskiem w oku. Przesuwała ciężkie rzeźbione meble, jakby były z balsy, i wymiatała spod nich kurz. – Uważa milorda za przystojniaka.

Zdobyłem się na miły uśmiech w odpowiedzi, ale trochę się czułem, jakbym zdradzał Caz – nie dlatego, że cokolwiek zrobiłem czy planowałem, ale ten nagły przeskok do świata rautów i fikuśnych garniaków nie bardzo pasował do mojej misji. Niemniej była to niezaprzeczalnie miła odmiana. Muszę przecież zorientować się w terenie, tłumaczyłem sobie. Jestem wszak szpiegiem, wrogim agentem. Trudno takiego winić za to, że stara się wtopić w otoczenie.

Pojechaliśmy jej limuzyną z szoferem (Vera nazywała ją motorem), miałem więc wreszcie okazję przyjrzeć się pojazdowi, który mnie stuknął. Był to niski, długi i smukły wóz o archaicznych sportowych liniach, ale zamiast przedniego zderzaka miał ażurowy pług jak lokomotywa z westernu. Cud, że wywinałem się drobnymi stłuczeniami! Szoferem był krępy, nijaki facet o imieniu Henri. W milczeniu otworzył mi drzwi i wskazał miejsce na luksusowej tylnej kanapie. Wionęło od niego czymś ostrym i odstręczającym jak formaldehyd. Dawno już przestałem zwracać uwagę na najdziwniejsze nawet deformacje cielesne u miejscowych, ale natychmiast zauważyłem, że jego szeroko rozstawione oczy przesłania mleczna błona katarakty. Mało zachęcająca cecha u kierowcy... Prowadził jednak wóz sprawnie i bezpiecznie. Wreszcie miałem możliwość naprawdę zobaczyć Czerwone Miasto; chociaż jechaliśmy głównie przez zamożniejsze dzielnice z szerokimi ulicami i eleganckimi wieżowcami, nie brakowało tam typowej piekielnej ferajny dziwolągów i potworów snujących się tam i z powrotem. Kiedy zwalnialiśmy na skrzyżowaniach z powodu korków – w Piekło oczywiście nie ma sygnalizacji świetlnej ani znaków drogowych – niektórzy nawet przymierzali się, by podejść do samochodu, być może na żebry albo z gorszym zamiarem, lecz żaden się na to nie odważył. Parę razy zauważyłem nawet, że ktoś odciąga kompana do tyłu, jakby chciał go przestrzec, że wybiera sobie niewłaściwy obiekt zainteresowania.

– Czasem, gdy ognie goreją mocniej, na ulicy po prostu jest nie do wytrzymania – powiedziała Vera niemal rozmarzonym tonem. – Mamy szczęście, mój drogi, że pogoda nam dzisiaj sprzyja.

W przekładzie na ludzki język znaczyło to, że odór i żar da się znieść, ale tylko dlatego, że moje ciało jest stworzone na tutejsze warunki. Przesycone wszechobecną kwaśną wonią powietrze wydawało mi się tak gęste, że mógłbym je zagarniać rękami jak pływak wodę.

W domu przyjaciół Very było znacznie przyjemniej. Pokoje urządzone w stylu ultrarokoko: wszędzie złocenia i przepych, malowidła na ścianach, rzeźby w rogach i niszach – ale na wypadek gdyby ktoś zapomniał, gdzie się znajduje, wszystkie przedstawiały brutalne cierpienia, powykęcane z bólu ciała i słynne sceny grozy; widziałem na przykład cykl bardzo naturalistycznych litografii ukazujących kolejne etapy palenia Joanny d'Arc na stosie.

Mimo tak drastycznego doboru motywów artystycznych nie mogłem się dopatrzeć niczego diabolicznego w młodej Elizabeth, ładnej brunetce o smuklejszej figurze niż moja wybawczyni, z włosami upiętymi w wysoki kok. Jej mąż (lub kochanek; nie zostało to jasno powiedziane) Francis nosił wyraźniejsze oznaki przynależności do lokalnej populacji: na jego brodatej twarzy i każdym widocznym skrawku skóry ciemniały liczne guzy i czyraki. Dziewczynie to najwyraźniej nie przeszkadzało; kilkakrotnie słyszałem, jak mówi do niego per „moja wielka miłość” i „mój jedyny mężczyzna”. Obydwoje hołdowali modzie renesansowej, przy której mój wiktoriański surdut wydawał się szczytem awangardy. Reszta gości reprezentowała pod tym

względem przekrój przez co najmniej dziesięć epok, w tym parę kompletnie mi nieznaną. Aż trudno było uwierzyć, że gdzieś tam niedaleko – zwłaszcza zaś pod nami – dzieją się najprawdziwsze dantejskie sceny. Gdyby nie to, że część biesiadników miała rogi, ogony, owadzie czułki albo szczytce zamiast dłoni, można by sądzić, że się trafiło na pocziwy, niewinny bal kostiumowy. Wyglądało na to, że Piekło dla tych bogatych demonów to jedno nieustające pasmo zabaw i przyjemności, podczas gdy na to wszystko harują zniewoleni potępieńcy. Może powinno mnie to gniewać, przyznam jednak, że czułem się zbyt słabo nawet na zwykłe oburzenie, poza tym dobrze było wreszcie nie musieć bać się o życie – nawet jeśli tylko chwilowo. Co zresztą mógłby tu zdziałać jeden anioł? Tak tu jest od tysiący lat. Nie moja wina, że Bóg to tak urządził.

Jednym z najmniej przyjemnych gości był niejaki Al, z wyglądu trup ekshumowany po paru miesiącach, któremu nie chciało się przebrać z trumiennego przyodziewku. Wyraźnie odstawał od wysztafirowanej większości, ale czuł się jak u siebie w domu. W pewnej chwili nachylił się do mnie i poufałym szeptem rzucił:

– Trafiłeś, chłopie, w dziesiątkę. Nasza słodka markiza Cynk jest cudowną kobietą.

Skinąłem głową z uśmiechem, ale wolałem go nie zachęcać do dalszej konwersacji, gdyż Al pachniał adekwatnie do aparycji. Ruszyłem ku przeciwległemu kątowi sali, po drodze zaopatrując się w drinka. Napitek okazał się niewiele lepszy od serwowanego przez Riprasha samogonu, ale przynajmniej szklanka była czysta, a każdy łyk zdawał się rozchodzić po moim demonim ciele jak kojące i ożywcze lekarstwo. Goście rozmawiali na różne tematy; chodząc tak z pokoju do pokoju, łowiłem dziesiątki oderwanych wypowiedzi, ale w żadnej nie znalazłem ani słowa na temat przeszłości albo ich życia na Ziemi. Wymieniano te same komunały, jakimi się przerzucają bogacze we wszystkich – jak z tego wynika – światach: jak trudno o dobrą służbę, kto z kim w ich sferze, gdzie najlepiej wyjechać na wakacje, a wszystko podszyte niewidocznym pod maską elegancji okrucieństwem. Po jakimś czasie przestałem tego słuchać i wyłączony dryfowałem przez tokujące towarzystwo. Zaczynałem trochę lepiej oceniać szanse uniknięcia zdemaskowania, gdyż przy całej skłonności do plotkowania nikt nie wykazywał zainteresowania moją osobą; nikt nie zadał choćby jednego pytania w rodzaju „skąd się wziąłeś i co ty za jeden”. Wszystkim najwyraźniej wystarczało, że jestem „gościem Very” – a tym samym jednym z nich. Z high life’u.

Odszukałem Verę i Elizabeth w jadalni – wielkiej komnacie rozświetlonej blaskiem kandelabrow, z sufitem udekorowanym złotą pajęczyną. Wdałem się z nimi w rozmowę, lecz wkrótce przerwało ją nadejście, a właściwie prawie nadbiegnięcie młodzieńca, którego wcześniej przedstawiono mi jako Fritza: przystojnego mięśniaka w wojskowym mundurze. Gdyby nie rozsadzający mu marynarkę przesadnie muskularny tors, byłby jedną z najnormalniej wyglądających postaci w tej szacownej gromadce.

– Elizabeth! – krzyknął piskliwie. – Nie zgadniesz, kto właśnie się zjawił!

– Fritzi, kurczaczku, czy musisz się tak po plebejsku zachowywać? – skarciła go Vera. – Nie widzisz, że jesteśmy bardzo zajęte miłą konwersacją?

– W takim razie dam wam nowy temat – odparł, szczerząc filuternie zęby. – Sam pan przewodniczący raczył nas zaszczyścić.

Odwrociłem się do wejścia zaciekawiony, ale wchodzący właśnie na czele małego orszaku dygnitarz – wysoki chudzielec w czarnym fraku, z pociągłą twarzą i haczykowatym nosem – nie był mi znany. Tak w każdym razie sądziłem w pierwszej chwili. Nagle jednak do mnie dotarło, kim jest. Co gorsza, już mnie kiedyś widział, i to w moim ziemskim wcieleniu Boba Dolara, mógł mnie więc rozpoznać.

– Jego ekscelencja Caym, przewodniczący Wielkiej Rady Piekła! – zaanonsował gromko

lokaj.

Tak jest, był to ten sam sukinsyn, który prowadził konferencję na szczycie między nami a Przeciwnikiem, która odbywała się nie tak dawno w San Judas, zanim przerwał ją Eligor, usiłując mnie usmażyć razem z całym hotelem, delegatami i przypadkowymi gośćmi.

Na odwrót było już za późno. Mogłem tylko obserwować spod oka, jak ten diabelski kruk z czarnymi, połyskującymi oleście oczyma zbliża się do naszej grupki. Najgorsze jednak było to, że wpatrywał się wprost we mnie i powoli unosił kąciki warg w uśmiechu.

Nie był to miły uśmiech.

Dwadzieścia trzy Długa noc w operze



Caym szedł ku nam z zadowoloną miną kota, który właśnie zjadł kanarka – choć przy jego ptasiej urodzie należałoby odwrócić to powiedzenie. Serce biło mi mocno i gdyby stworzenia piekielne mogły się pocić, byłbym już mokry jak po prysznicu. Miałem zaledwie parę sekund na decyzję: zwać czy zostać? Gdyby imć przewodniczący i jego ludzie nie zagradzali mi drogi do wyjścia, pewnie wybrałbym pierwszą opcję; zdążyłem już jednak się zorientować, że ten dom to labirynt nie do ogarnięcia, kuchennych drzwi nie znalazłbym nawet z kompasem, pozostawało mi zatem tylko czekać w napięciu na rozwój wydarzeń.

Caym oderwał ode mnie wzrok, by zgiąć swe długie, chude ciało i złożyć dworny pocałunek na dłoni Elizabeth, a potem Very.

– Jakże nam przyjemnie, że wasza ekscelencja zechciał zaszczyścić nasz skromny dom swą obecnością! – zaszczębiotała gospodyni, co zabrzmiało nawet szczerze.

– Cała przyjemność po mojej stronie, hrabino.

Nie słyszałem dotąd, by ktokolwiek z gości tak ją tytułował. Od razu przypomniało mi to Caz – moją własną hrabinę, więzioną gdzieś w tym zwariowanym mieście.

– I markiza Cynk! – Dygnitarz zwrócił się do Very, która splonęła uroczym rumieńcem. – Jak miło znów panią zobaczyć!

– Pochlebia mi pan, wasza ekscelencjo... – Moja towarzyszka wydawała się jeszcze bardziej podekscytowana tą wizytą niż Elizabeth. – Nie spodziewałam się, że zostanę zapamiętana.

– Drogie panie, mówcie mi po imieniu, upraszam. Jestem tu prywatnie. – Caym wyprostował się i odwrócił do mnie, taksując błyszczącymi oczyma, jakbym był świeżo potrąconym przez samochód smakowitym króliczkiem. – A to musi być nowy domownik Very, zgadza się? Wężowij, jeśli się nie mylę. Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, o niczym innym nie była zdolna mówić.

– Cóż za świetna pamięć, ekscelencjo! – Kobieta odpowiedziała za mnie i dodała na mój użytek: – To było tego wieczoru, gdy znaleźliśmy cię na drodze.

– Raczej gdy go przejechałaś – poprawił ją z figlarną miną, szczególnie odrażającą na tej kościstej, przesadnie zarysowanej twarzy. – Tak mi to wtedy opowiadałaś. I raz jeszcze proszę... mów mi Caym. – Nie czekając na odpowiedź, znów stanął przodem do mnie. – Przyznam jednak, mój panie, że pańskie rysy wydają mi się znajome... Czy mogliśmy się już gdzieś spotkać?

Nerwy już trochę mi się uspokoiły; przypuszczalnie tak się na mnie gapił tylko dlatego, że był ciekaw nowego znajomego markizy. Na te słowa poczułem się jednak, jakby wsunął mi rękę między żebra i ścisnął serce.

– Och! Znaczy... och, nie... nie sędzę – wydukałem pewien, że wszyscy w promieniu dwudziestu metrów wbijają we mnie wzrok. – Tak rzadko bywam w Czerwonym Mieście. Obowiązki przeważnie trzymają mnie w... Dolinie Zatracenia, kilka poziomów niżej.

– Sympatyczna okolica – rzekł Caym od niechcienia; na pewno nigdy nawet nie słyszał tej nazwy. – Wybaczysz, hrabino, i ty, markizo, że opuszczę wasze przemile towarzystwo. Widzę tu kilka osób, z którymi chciałbym się przywitać, w tym twojego męża... zapewne właśnie knuje jakieś niecne sprawy z tym starym zbójem papieżem Sergiuszem. To mój czas wolny, ale o obowiązkach też nie mogę zapominać. – Ukłoniwszy się, ruszył w głąb sali, lecz po paru

krokach przystanął, jakby coś sobie przypomniał. – Wie pani, hrabino, że sponsoruję przedstawienie w Dionizosie, ten nasz ulubiony utwór Monteverdiego. Spektakl za dwa dni. To będzie prawdziwe wydarzenie... główną rolę zagra oczywiście On Sam.

Prawie słyszało się te wielkie litery. On Sam? Przez głowę przemknął mi obraz Lucyfera w mundurze operetkowego huzara, brawurowo wykonującego arię z *Księżniczki czardasza*. Nie wydawało się to prawdopodobne, jednakże obie damy zachichotały filuternie, jakby Caym uraczył je jakimś smakowicie pikantnym żarciem.

– Naprawdę, we własnej osobie? – zapiszczała Elizabeth. – Pyszne!

– Jak najbardziej, i będę zaszczycony, jak obie panie przyjmą moje zaproszenie. Oczywiście z waszymi dżentelmenami – dodał z lekkim ukłonem w moją stronę. – Śmiem przypuszczać, że widowisko będzie głośnie w całym Czerwonym Mieście.

W drodze do domu Vera była uszczęśliwiona jak nastolatka, która właśnie się dowiedziała, że ma wystąpić w wideoklipie aktualnie królującego w MTV boysbandu; bez końca szczebiotała, jaki to zaszczyt, że sam przewodniczący Wielkiej Rady ją zapamiętał i na dodatek zaprosił do teatru.

– Kogo on miał na myśli? – udało mi się wściubić pytanie w krótką przerwę w tym słowotoku. – W roli głównej on sam? Znaczący kto?

– Nieważne... – Przechyliła kokieteryjnie głowę. – Sam zobaczysz, to będzie uczta duchowa. Ale mówmy o tobie, mój drogi, kochany. Wywarłeś na przewodniczącym wielkie wrażenie! On naturalnie nie jest taki jak my. Większość tych starych nie ma naszych... potrzeb, ale ewidentnie mu się podobałeś. Zastanawiał się, czy mógł cię gdzieś spotkać! Ale chyba nie było takiej okazji, kochanie? Gdybyś go naprawdę znał, to chyba byś mi powiedział, prawda? Samego przewodniczącego, no no!

Gwoli wyjaśnienia: przewodniczący Wielkiej Rady Piekła to figura znacząca mniej więcej tyle, ile w Stanach Zjednoczonych prezydent – z tą różnicą, że tutaj jest ich kilku. To niby tylko tytuł, ale swoją wagę posiada, o czym może świadczyć podniecenie markizy Cynk. Ja sam słyszałem zaledwie o trzech czy czterech innych demonach – wszyscy zaliczają się do Pierwszych Upadłych – którzy mogą się nim pochwalić w swoich CV, więc można powiedzieć, że to godność znacznie bardziej ekskluzywna niż stanowisko lokatora Białego Domu.

Tak czy owak, Vera była w szampańskim nastroju. Ledwo zdążyłem się rozebrać i włożyć isticie dickensowską koszulę nocną, przyszła do mej sypialni – wciąż w kreacji wieczorowej – i uparła się raz jeszcze omówić wszystkie fascynujące wydarzenia wieczoru, opłotkować spotkanych znajomków i zrelacjonować zasłyszane zdumiewające wieści. Perłą tej rozgorączkowanej kolekcji było oczywiście zaproszenie od Cayma, zatem wymagało też szczególnie dokładnego rozważenia. Markiza przysiadła na łóżku obok mnie tak, że nasze biodra dzieliła tylko dość mocno ściśnięta kołdra. W pokoju kręciła się też Bella, czekając, by pomóc pani przygotować się do snu. Vera mówiła i mówiła, delikatnie przeczesując palcami moje włosy, a we mnie wzbierała zaskakująca czułość – ostatnie uczucie, jakim spodziewałbym się obdarzyć kogokolwiek z obywateli Piekła. Było to zarazem dziwnie seksowne: cała ta staromodna otoczka, fikuśne stroje, wyszukane maniery. Vera była urodziwa jak porcelanowa laleczka, dziewczęca w swym entuzjazmie i tak jak Caz mogłaby uchodzić za normalną, atrakcyjną ziemską kobietę. Wyglądało na to, że bardzo mnie polubiła – i to też mnie nieźle brało. Sam dotyk jej palców na mej głowie przyprawiał mnie o senność i rozmarzenie. Rzadko kiedy bywało mi tak dobrze na Ziemi, a nawet i w Niebie.

Nie było jednak w tym nic więcej, przysięgam. Tak, budziła mój podziw i wdzięczność, nie będę też ukrywał, że bardzo mi się podobała jako kobieta – ale ja już miałem jedną kochankę diablicę... i zobaczcie, dokąd mnie to doprowadziło. Poza tym od tamtej pierwszej nocy Caz

urosla we mnie tak wielka, że naprawdę nie było już miejsca dla nikogo innego.

Ale Vera jest dla mnie taka dobra! Wyciągnąłem rękę, by uścisnąć jej dłoń. Przez moment wydawało mi się, że czuję coś dziwnego pod palcami, twardego i ostrego; oboje aż podskoczyliśmy zaskoczeni, ale zaraz wybuchnęliśmy śmiechem. No tak, przecież to jej paznokcie, długie i zawsze perfekcyjnie opilowane i polakierowane.

– Och, ja tu się tak rozgadałam, a przecież ty musisz być wyczerpany, kochanie! – zaćwierkała zalotnie. – Bello, chodź tu i pomóż mi się oswobodzić z tych ubrań. Nie wezmę już dzisiaj kąpieli, za bardzo jestem zmęczona i podekscytowana. Chyba po prostu wśliznę się do łóżka nago.

Obie wyszły z sypialni, zostawiając mnie samego z myślami o tej interesującej wizji, ale nagle poczułem się tak kompletnie wyzuty z sił, że niemal natychmiast zasnąłem.

Tak płynęły nierealne dni mojego oficjalnego pobytu w Czerwonym Mieście. Wężowij mógł sobie być maluczkiem demonem z Sekty Kłamców, prowincjonalnym prawnikiem w porównaniu z tymi bystrzakami, z którymi ścierałem się jako adwokat Doloriel, ale teraz on i ja w nim zostaliśmy porwani przez towarzyski wir stołecznej socjety, diabelskiej klasy bogatych nierobów.

Niełatwo doszukać się sensu w funkcjonowaniu Piekła. Tu wszystko jest równie dziwaczne i chaotyczne, jak w Niebie uporządkowane i pozornie niezmiennie. Nie ulegało wątpliwości, że Vera nie obraca się w samym centrum spraw. Jej przyjaciele Francis i Elizabeth byli znacznie większymi szyszkami, ona jednak nadrabiała miną i zapalem, a może przede wszystkim przywiązaniem do konwenansów i przywilejów z utraconego ziemskiego żywota. Zabierała mnie na przeróżne spotkania, poznawałem masę nowych „przyjaciół”, czasem bardzo odrażających fizycznie, często jednak przy tym będących duszami towarzystwa: zabawnymi, barwnymi, a nawet do pewnego stopnia czarującymi (nigdy jednak nie na tyle, by bez strachu odwracać się do nich plecami).

Nazywano mnie na ogół „nowym facetem Very”, mimo że wciąż nie doszło między nami do żadnych romantycznych posunięć. Czasami byłem jej „odkryciem” – takim nieoszlifowanym diamentem wydłubanym z blocka niższej sfery, dowodem jeśli nie jej wyrafinowania, to przynajmniej otwartego umysłu. Paru co młodszych facetów z jej kręgu okazywało mi jawną wrogość, zapewne z tej prostej przyczyny, że woleliby siebie widzieć na moim miejscu, ale to tylko przydawało całemu układowi realności. Muszę przyznać, że zaczynałem się czuć w nim niemal komfortowo, co mnie teraz przeraża i powinno przerażać już wtedy – ale ogarniało mnie dziwne, namacalne wręcz ukontentowanie. Zdarzało się, zwłaszcza gdy Vera siadywała przy mnie na łóżku przed snem, gładząc me włosy i coś szepcząc, że opuszczała mnie pamięć o wszystkich wcześniejszych przeżyciach na Dole, nie mówiąc już o anielskim życiu na Ziemi.

Jedyną kotwicą niepozwalającą mi popłynąć z tym błogim nurtem były myśli o Caz. Ilekroć łapałem się na zbyt beztroskim relaksie w miłym otoczeniu ludzi, o których wiedziałem przecież, że muszą być najgorszego sortu mordercami i łajdakami, wywoływałem z pamięci jej błądą, cudną twarz i przeszywał mnie zimny dreszcz winy. Przynajmniej na chwilę. Eligor przebywał aktualnie w Pandemonium – nieraz w rozmowach padało jego imię, wypowiedane z nabożnie zapartym tchem, jak gdyby był zamieszkałą w sąsiedztwie gwiazdą rocka – a to znaczyło, że i ona tu jest, choć w tak wielkim mieście przypuszczalnie nie było szans na żadne przypadkowe spotkanie.

Bywały jednak i takie dni, kiedy w ogóle o niej nie myślałem i nie czułem niczego poza ciepłym zadowoleniem, że oto jestem bezpieczny, a do tego lubiany i podziwiany. Szło przecież ku lepszemu: nawet dłoń mi odrastała i nowe kości sterczały z nadgarstka jak młode pędy kukurydzy. Najczęściej jednak rozkoszowałem się poczuciem bezpieczeństwa – za długo już byłem ścigany i nękany, nie tylko zresztą w Piekło.

Nadszedł wieczór gali w operze. Wysztyftowałem się w najlepsze ciuchy à la księżę Albert i cierpliwie czekałem, aż Vera będzie gotowa – na tak wielką okazję chciała wszak wyglądać idealnie. Zdecydowała się ostatecznie na czerwoną welwetową suknię z głębokim dekoltem, doskonale podkreślającą jej wspaniałą figurę. Kiedy już w odpowiednio wyszukanych słowach skomplementowałem jej olśniewający wygląd (dostosowanie się do obowiązującego staroświeckiego stylu wypowiedzi i manier sprawiło mi jeszcze niemałą trudność), Henri podstawił limuzynę i pojechaliśmy do teatru Dionizosa.

Pandemonium jawiło mi się już inaczej niż pierwszego dnia, kiedy przyjechałem tu ranny i niemal śmiertelnie wykrwawiony. Nadal wydawało mi się mroczne i groteskowe, ale jak jedno z tych miast zagranicznych w szpiegowskich dramatach: Berlin z czasów zimnej wojny czy Casablanca Bogarta: pełne czających się straszliwych niebezpieczeństw, lecz także romantycznych przygód i szerokich możliwości. Czy to znaczy, że odsuwałem od siebie myśli o krążących ulicami potworach i okropnych cierpieniach potępionych tylko dlatego, że sam poruszałem się po nich bezpiecznie i wygodnie?

Tak, w pewnej mierze. Nie zaprzeczę, że powoli osiągałem ten stan, w którym gotów byłbym zrobić wszystko, byle uniknąć grozy odrzucenia i skazania na ponowną tułaczkę po niższych rejonach Piekła, bez sprzymierzeńców i ochrony. Wyrzekłbym się własnych zasad, gdyby było trzeba; zapomniałbym o anielskim wyszkoleniu i w ogóle o wszystkim. To tak cię nachodzi, oplata, oblepia niepostrzeżenie, aż w końcu jest za późno na odwrót. Stajesz się jednym z nich. Tubylczejesz. Nigdy jednak nie zapomniałem o Caz, cokolwiek by się ze mną i wokół mnie działo. Nie przesadzam, gdy mówię, że była jedynym moim kołem ratunkowym, chroniącym przed opadnięciem na samo dno.

Wyobrażałem sobie, że teatr Dionizosa musi być czymś w rodzaju La Scali: monumentalną klasycystyczną budowlą z kolumnami, zaprojektowaną jak dumne stwierdzenie: „Patrzcie, oto jest kultura!”, nie wziąłem jednak pod uwagę piekielnego poczucia humoru. Teatr znajdował się o parę przecznic od placu Dis Pater, na końcu szerokiej ulicy pełnej dziwacznych, niekształtnych budynków – nie wieżowców bogatej elity, lecz podobnych do uli kamienic czynszowych, w jakich tłoczą się szare masy stołecznej populacji, ze sklepikami i punktami usługowymi na parterze. Dowcip zaś zrozumiałem, gdy moim oczom ukazał się pionowy neon jaśniejący na tle permanentnego zmierzchu: Dionizos był ciemnym lustrzanym odbiciem teatru Apollo w nowojorskim Harleemie. Byłem tam nawet kiedyś w ramach podróży sentymentalnej – przedsięwzięcia najbliższego pielgrzymce religijnej, o jakie się pokusił wasz przyjaciel Bobby Dolar.

Samochody, powozy i mniej klasyczne środki transportu coraz szczelniej wypełniały przyległe ulice. Wraz ze śmietanką towarzyską na spektakl ciągnęły rzesze pośledniejszej publiczności i tłumy żebraków, w każdej chwili mogące się przeobrazić w wygłodzone wilcze stado. Teatr dysponował jednak własnym silnym oddziałem ochrony, uzbrojonym przekrojowo niczym muzeum wojny: widziało się tam wszystko, od drewnianych pałek po napędzane parą obrotowe karabiny maszynowe systemu Gatlinga. Większość najbogatszych gości też zabrała swoje drużyny, więc nawet najbardziej niebezpieczni i zdesperowani spośród gapiów woleli się trzymać na pełen respektu dystans. Wszystko to jednak składało się na dobitne przypomnienie, że jak w każdym systemie społecznym opartym na grabieży na prawdziwy spokój i bezpieczeństwo musi być człowieka stać.

Gdy czekaliśmy na naszą kolej do wejścia, jeszcze raz spytałem Verę, kim jest ta zapowiadana gwiazda wieczoru, „On Sam”. Na wielkim afiszu widniał tylko tytuł: *Koronacja Poppei*. Nie znałem takiego utworu, ale też nigdy nie byłem fanem opery, tylko jazzu i bluesa.

Chociaż na dobre już przywykałem do Piekła, wkroczywszy do foyer, doznałem tego

znajomego ucisku w trzewiach, gdy zobaczyłem wystrój w stylu paryskich katakumb wyłożonych ludzkimi kośćmi i czaszkami. Tu wyczarowano z nich dekoracje znacznie wymyślniejsze. Łukowe sklepienie zdobiły makabryczne sceny rustykalne: pasące się na łąkach owce i krowy pilnowane przez szkielety pasterzy. Może to sprawiło migotliwe światło pochodni, ale miałem wrażenie, że niektóre się ruszają. Wiecie już dużo, sami więc oceńcie, czy mogło to być złudzenie optyczne. Ogromne kandelabry, galerie, ba! same filary podtrzymujące tę wysoką konstrukcję – wszystko było zrobione z ludzkich i nieludzkich kości, często malowanych na złoto, biało lub czerwono. Całość prezentowała się jak makabryczny namiot cyrkowy.

Przewodniczący Caym pomachał nam ze swojej prywatnej łoży, wyglądając przy tym jak wielkie ptaszysko trzepoczące wąskim skrzydłem. Vera nie posiadała się ze szczęścia, że taki dygnitarz wyłowił ją w tłumie i uprzejmie pozdrowił. Ja z trudem się zdobyłem na uśmiech.

Kurtyna się podniosła i zaczęło się przedstawienie. Niewiele z niego rozumiałem, ale sądząc po scenografii, rzecz się działa w starożytnym Rzymie. Na początek zaśpiewał chór bogów i bogiń, muzyka jednak była starsza niż wszystko, czego na Ziemi zdarzyło mi się słuchać z tego gatunku: możliwe, że renesansowa. Przemknęło mi przez myśl pytanie, czy Caz – Polka z głębokiego średniowiecza – nie uznałaby jej za zbyt nowoczesną. Od razu posmutniałem. Wolałem teraz o niej nie myśleć, odsunąłem więc jej obraz od siebie jak niepotrzebną na scenie statystkę za kulisy. Zmusiłem się do skupienia na osobie odtwórcy głównej roli. Żaden z wykonawców niczym szczególnym się nie wyróżniał. Wszyscy byli utalentowani, ale dla mnie nierozpoznawalni. Wsłuchując się w libretto, stwierdziłem, że to opera o cesarzu Neronie, dzięki któremu dostałem się do Pieła. Ironia tego zestawienia mnie rozbawiła. Ciekawe, ile osób na widowni w ogóle wie o istnieniu mostu jego imienia?

Na scenę wyszedł śpiewak grający Nerona. Dopiero wtedy poczułem, że dzieje się coś dziwnego. Nie chodziło o niego samego. Nie należał do przystojnych mężczyzn; twarz miał lekko nalaną, skórę na szyi pomarszczoną i obwisłą, a nogi odrobinę za chude do togi. Nikogo mi nie przypominał, inni jednak dobrze go znali: jego pojawienie się przyjęto brawami, lecz trafiały się też gwizdy, kpiny i śmiech. Co więcej, w przeciwieństwie do reszty zespołu najwyraźniej nie czuł się pewnie na scenie – zdziwiło mnie, że kogoś takiego wybrano do głównej roli. Uznałem, że niepozorny wygląd i tremę nadrabia wspaniałym śpiewem, tym bardziej że jego koledzy i koleżanki reprezentowali naprawdę światową klasę. Gdy jednak zaczął arie, uniosłem brwi w lekkim zdziwieniu: gardło mu napęczniało jak u ropuchy, a głos okazał się szorstki i niezbyt mocny. Część widowni wybuchnęła śmiechem, co zbiło go z tropu, ale z uporem kontynuował swą partię, budząc coraz głośniejszy rechot i szyderstwa. Szyja wydymała mu się i zapadała jak miech akordeonu, a twarz wykrzywił grymas strachu.

Skończył wreszcie i pałeczkę przejął inny śpiewak, lecz uwaga publiczności była już rozproszona; śmiano się, pokrzykiwano, toczono swobodne rozmowy. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Kto, dlaczego i skąd wytrzasnął takiego nieudacznika, żeby postawić go na scenie wobec całej piekielnej ekstraklasy? Rozważania przerwało mi jednak pojawienie się spóźnionego widza z górnej łoży. Niesforna tłuszczu ucichła jak nożem uciął; wszyscy nagle stracili zainteresowanie popisem sopranistki i odwrócili się, by popatrzeć, kogo też właśnie sadzają obok przewodniczącego Cayma.

Nowo przybyły wyglądał inaczej, niż gdy go widziałem ostatnim razem, ale poznałem go na pierwszy rzut oka. Miał na sobie pięknie skrojony biały galowy uniform, jakie można zobaczyć na królewskim pogrzebie ze starej kroniki filmowej, tylko że biel łamały artystycznie ułożone szkarłatne plamki rozprysniętej krwi. Wolałem się nie zastanawiać, czy prawdziwej, czy to tylko barwnik.

Arcyksiążę Eligor przybrał mniej ludzką postać niż na Ziemi, ale też nie tak demoniczną jak

wtedy, gdy trzymał mnie w żelaznym uścisku za kark parę stóp nad podłogą swego biura w San Judas. Jasne włosy przystrzygł sobie tuż przy skórze, a rysy miał bardziej kanciaste i starsze niż we wcieleniu Kennetha Valda – nie jak kalifornijski miliarder, ale raczej faszystowski dyktator wymagowanego państwa północnoeuropejskiego. Bez wątpienia był to jednak on: Eligor Jeździec, mój najmniej ulubiony z demonów. Włosy stanęły mi dęba; cieszyłem się, że siedzę w półmroku widowni, jeden z setek żądnych kulturalnej rozrywki gości, i mój żałośnie nieadekwatny kamuflaż jest poza zasięgiem jego wzroku.

Dopiero gdy rozsiadł się na swoim miejscu, dopadło mnie pytanie, gdzie teraz może być jego niewolnica, a moja ukochana. Trwało to tylko chwilę, gdyż zaraz potem jeden ze strażników pod ścianą łoży otworzył ponownie drzwi, wpuszczając błysk czystego białego złota.

Była to oczywiście ona. Moja Caz.

Dwadzieścia cztery Niewdzięczność



Serce mi się zatrzymało – niemal dosłownie – i nie chciało znowu ruszyć. Caz siedziała sztywno, z twarzą pozbawioną wyrazu jak maska. Miała na sobie długą czerwoną suknię z deseniem w białe kropki jak negatyw munduru Eligora – co odebrałem jak jeszcze wyraźniejszy symbol zniewolenia niż obecność strażnika, który ją przyprowadził na miejsce obok pana i stanął za jej krzesłem jak dozorca więzienny.

Wszystko wróciło w jednej chwili: nasza desperacka wspólna noc, potem jeszcze jedno krótkie spotkanie i długie miesiące tęsknoty. Z najwyższym trudem powstrzymywałem się, by nie zerwać się na nogi i nie rzucić prosto do niej. Publiczność, wciąż jeszcze rozszepetana komentarzami na temat arcyksięcia, obróciła znów uwagę na scenę, gdyż cesarz znów miał zacząć arię, ja jednak nie mogłem oczu oderwać od łoży. Nawet sobie nie wyobrażam, jaką musiałem mieć minę. Do rzeczywistości przywrócił mnie ból w żebrach – to Vera gniewnie zdzieliła mnie łokciem w bok. Oszołomiony przeniosłem wzrok na śpiewaka, lecz myśli miałem bez reszty zaprzątnięte hrabiną Zimnoręką. Parę razy zerknąłem na nią ukradkiem, ona jednak nie patrzyła ani na widownię, ani nawet na aktorów: siedziała spięta jak wystraszona dziewczynka, z oczyma wbitymi w podłogę. Eligor nawet nie spojrzał w jej stronę, tylko przez złoście lognon obserwował akcję na scenie.

Na widowni znów rozległy się śmiechy i gwizdy; mimo rosnącego zgiełku cesarz pracowicie brnął przez pieśń, chociaż po twarzy i postawie widać było, że rozpaczliwie pragnie znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w tym teatrze. Kiedy usiłował wyśpiewać szczególnie wysoką partię i fatalnie sfalszował, coś pofrunęło szerokim łukiem ze środkowych rzędów i gdyby w ostatniej chwili nie zrobił uniku, oberwałby prosto w czoło. Skończyło się brzydką plamą na todze, gdy gruda błota lub ekskrementów otarła mu się o skroń i upadła za nim na deski. Na widowni pod naszą galerią wybuchło drobne zamieszanie, przez co na moment zapomniałem o Caz. Wydawało mi się, że może to ochrona próbuje schwytać i wyprowadzić sprawcę niesmacznego przejawu krytyki, ale wkrótce pojąłem, że zaczyna się ogólna rozróżba. Śpiewak drżącym głosem wykonał jeszcze parę taktów, gdy jakiś cięższy przedmiot trafił go w brzuch i powalił na kolana. Tuż potem biedak oberwał w głowę tak mocno, że krew pociekła mu po policzku i kapłała na togię. Chwilę tak klęczał, zasłaniając twarz rękami przed coraz gęstszym gradem pocisków, które musiano chyba specjalnie w tym celu przynieść. Wrzawa przybierała na sile. Orkiestra nie przerywała gry, aktor jednak milczał, opadłszy pod tą nawałą na czworaki. Tłum darł się i wył jak stado dzikich zwierząt, ale nagle wszystko przycichło i oczy widzów zwróciły się na łożę przewodniczącego Wielkiej Rady. Caym stał z malującą się na twarzy furją, zaciskając dłonie na poręczach – ale zamiast skarcić rozhułaną widownię, wychylił się i wymierzył długi pazur w nieszczęsnego śpiewaka.

– Wstawaj, ty tłusty śmieciu! – krzyknął. – Za kogo ty się masz, co? Sprowadzono cię tutaj, żebyś śpiewał, to śpiewaj, bydlaku!

Aktor podniósł głowę.

– Błagam, wasza ekscelencjo! Nie mogę... – Jęknął i omal się nie przewrócił, gdy kolejny kamień uderzył go w ramię. – To boli! Bardzo boli!

– Stul pysk, żałosna kreaturo! Sam tego chciałeś, niewdzięczniku. Marzyła ci się kariera

i laury, nie? A trudno o lepszą rolę dla ciebie niż twój własny nędzny żywot!

Słuchałem go zdziwiony, nim wreszcie w tym rozedrganiu myślowym zrozumiałem, o co tu chodzi. To był nie kto inny, jak Neron! On sam. Cesarz, który chciał oszukać Piekło, wyśpiewuje własną biografię ku ucieście diabelskiej widowni.

Jak już mówiłem, nikt tak nie potrafi pielęgnować urazy jak demony.

Spokój na sali został przywrócony, ale dla Nerona nie oznaczało to końca niedoli. Dalej było już tylko gorzej. Raz po raz zaczynał śpiewać, ale sala natychmiast kwitowała jego wysiłki nowymi salwami odpadków, błota, łąjna i kamieni (niektóre były wielkości głowy noworodka). Wyraźnie słyszałem, jak od jednego z cięższych pocisków pęka mu kość ramienia, ale Caym nie pozwalał mu zejść ze sceny, mimo że coraz trudniej było odróżnić, kiedy kończy się śpiew, a zaczyna pisk przerażenia lub wycie z bólu. Co jakiś czas pozwalałem sobie na zerknięcie w stronę Caz. Siedziała nieruchomo, nie okazując żadnych emocji, za to Eligor wyraźnie się delectował widowiskiem, śmiał się i wymieniał z Caymem komentarze. W końcu – mniej więcej w połowie spektaklu, na ile mogłem się zorientować – nieustanny grad dużych kamieni powalił Nerona na deski. Usiłował się podnieść, ale nie mógł; i wtedy publiczność wpadła w szał. Spora grupa widzów wskoczyła na scenę i jęła go kopać, bić i deptać. Nawet nie próbował się bronić – wszystko to wyglądało jak z dawna ustalony i wielokrotnie powtarzany rytuał. Orkiestra ze stoickim spokojem grała dalej, ale nawet przy fortissimo ponad muzykę przebijał się odgłos podobny do miażdżenia całej piramidy jajek.

Kiedy następnym razem obejrzałem się na łożę przewodniczącego, Caz już tam nie było, a Eligor żegnał się wylewnie z Caymem.

– To chyba jego najlepszy występ w historii – powiedział głośno jakiś mężczyzna za moimi plecami. – Skasowali go, zanim jeszcze dojrzał do tej części o Senece.

Innymi słowy, każda odbywała się w krótkich odstępach przez cały czas. Dwa tysiące lat spędził już Neron w Piekło, a oni wciąż od nowa go publicznie poniżali, męczyli i mordowali. Co by więc zrobili ze mną, gdybym wpadł? On był przecież niejako po ich stronie!

W drodze powrotnej przez skąpane w czerwieni ulice Pandemonium Vera była wyjątkowo cicha i choć gładziła mi włosy jak zwykle, nie było już w tym geście wcześniejszej delikatności. Być może widowisko wyprowadziło ją z równowagi; w każdym razie co rusz czułem na skórze ukłucia jej ostrych paznokci.

Myślałem, że długo nie otrząsnę się z podniecenia i radości pomieszanych ze strachem o Caz i o siebie, jakie wzbudził we mnie jej niespodziewany widok, ale nagle poczułem się wyczerpany. To było za dużo jak na jeden dzień. Z trudem walczyłem ze snem; migotanie świateł miejskich i głośne wycie pary uchodzącej z licznych mijanych kotłowni wciągało mnie bezlitośnie w objęcia Morfeusza. Pod opadającymi powiekami przewijała mi się wizja Boba Dolara na wielkiej scenie: zalanego krwią, bitego przez rozwścieczony motłoch i wyszydzanego przez piekielną elitę – ale nawet taki koszmar nie mógł mnie utrzymać na powierzchni świadomości.

– Ciaśniej.

Głos Very dobiegał do mnie jak przez długą rurę. Czułem, że jestem zamroczony i słaby. Dlaczego ona tu jest? Do kogo mówi? Czemu nie da mi spać?

– Nie, jeszcze ciaśniej!

– Nie mogę, milady – odezwała się Bella. – Nie da rady, chociaż dłoń mu odrasta. Pasek się ześliznie.

– No to przywiąż sznurkiem.

O co im chodzi? Aha, pewnie służąca pomaga pani się przebrać do snu – tylko dlaczego u mnie? A może to ja jestem w jej sypialni? I co to było z tą moją odrastającą dłonią? Na pewno nie leżałem też w wygodnej pozycji, bo stawy mnie bolały.

Próbowałem otworzyć oczy, ale nie było to łatwe. Czulem się, jakby ktoś położył mi na powiekach nawet nie obole, lecz dukaty. Tylko ja już tę przeprawę odbyłem. Musiałem przepłynąć Styks, bo wszak jestem w Piekło, nie? Czy można to zrobić dwa razy? Nie mogłem się w tym wszystkim połapać, a myśli zdawały się płynąć gęste jak melasa.

Z wysiłkiem zdołałem wreszcie unieść powieki. Byłem w swoim pokoju, Vera i Bella zmagaly się z paskami i sznurkami, ale nie miało to nic wspólnego z jej garderobą, gdyż jeszcze nie zdjęła kreacji wieczorowej. Ów sznurek krępował mój zraniony przegub. Ze zdrową ręką nie miały problemu – była bezpiecznie przytroczona do wezglowia łóżka.

Dopiero gdy Bella zacisnęła węzeł na moim prawym przedramieniu, tuż poniżej łokcia, dotarło do mnie, co się dzieje, choć jeszcze nie wiedziałem dlaczego. Czyżbym wypadł z łóżka? Zraniłem się? Po co mnie wiążą? Ale wnet owionął mnie zimny chuch rzeczywistości i zamroczenie częściowo ustąpiło.

– Możesz już odejść, Belka – oznajmiła Vera, gdy już obie moje ręce były wyciągnięte za głowę i unieruchomione. Kostki też miałem skrupowane. Byłem bezradny jak ofiara na ołtarzu. – Mam panu Wężowijowi parę rzeczy do powiedzenia w cztery oczy.

– Jak pani sobie życzy, milady – odrzekła posłusznie służąca. Nie bardzo miała jednak ochotę wychodzić; przystanęła w drzwiach, wypełniając swą masywną postacią niemal całą framugę, żeby chwilę popatrzeć na swoje dzieło: mnie związanego jak indyk przed wrzuceniem na ruszt.

– Niewdzięczność! – wyszczała moja ponętna gospodyni. Nie poznawałem jej głosu: uszło z niego całe życie i niedawna słodycz, a zimny ton przeraził mnie bardziej niż więzy. – Niewdzięczność i niestałość! Znowu. Wszyscyście tacy sami! Myślałam, że jesteś inny, Wężowiju. Och, jakie wiązałam z tobą nadzieje!

– Nie wiem, o czym mówisz, Vero. – Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. Czulem się jak pijany albo odurzony.

– Wszyscy mężczyźni to kłamcy. – Nienawiść tak silnie wibrowała w jej głosie, że nie mogłem uwierzyć, iż to ta sama kobieta. – Nazywacie nas dziwkami, ale to wy jesteście bezwstydnikami! Wszystko widziałam, ty draniu! Widziałam, jak się gapisz na tę blond źdźbę Eligora. Co ci się w niej tak podoba, co? – Przyskoczyła do łóżka i chwyciła mnie pełną garścią za włosy tak mocno, że część mi wyrwała, potrząsając przy tym zapalczywie mą głowę. – Dałam ci wszystko! Dom, opiekę, miłość! Dałabym ci jeszcze więcej! Uczyniłabym cię jednym z moich nieśmiertelnych! Ale teraz, powiadam ci, zgnijesz w całym gównie Gehenny. Świnia!

Z łzami gniewu na policzkach Vera wgramoliła się na łóżko. Mogłem tylko odwrócić twarz, pewny, że zacznie mnie policzkować albo drapać, ale zamiast tego zaczęła szarpać palcami sznurówki gorsu, jakby ją cisnęły i utrudniały oddychanie. Przycisnęła mi brzuch kolanem i ściągnęła w dół przód sukni, uwalniając obfity biust. Paradoksalnie nigdy jeszcze nie wydawała mi się tak piękna jak w tej chwili, gdy rozjuszona siadała na mnie okrakiem z falującymi piersiami i opadającymi na nie bliźniaczymi kaskadami czarnych pukli. Napiąłem mięśnie, spodziewając się ciosu, lecz ona nachyliła się i zaczęła gmerać palcami przy moim pasku i rozporku. Szarpnąłem się w więzach, ale nadaremnie: trzymały mocno, bez żadnego luzu. Usiłowałem ją z siebie zrzucić; równie dobrze mógłbym stanąć w szranki z niedźwiedziem grizzly. Brutalnie ściągnęła mi spodnie i usiadła wyprostowana, ściskając mi nogi udami. Powoli sięgnęła ręką w dół i złapała mnie za członek tak żelaznym chwytem, że krzyknąłem z bólu.

– Żałosne z was stworzenia. Mężczyźni!

Oczy miała przerażające. Wiedziałem, że jest w Piekło nie bez powodu – musiałem to sobie co prawda od czasu do czasu powtarzać – ale spotkanie z Caz mnie odmieniło. Jak mogłem myśleć, że markiza Cynk to tylko zagubiona duszyczka, a okazywana mi czułość jest autentyczna? Zupełnie jakbym nie był sobą.

Ale to nie miało już znaczenia. Ważne było tylko to, kim jest naprawdę – szaloną, dziką istotą. A ja jej więźniem.

Nie przestając mnie przeklinać, Vera jęła ocierać się o mnie całym ciałem. Rozerwała mi koszulę i przesuwała piersiami po torsie, ramionach, twarzy. Raz nawet wepchnęła mi nabrzmiałą brodawkę sutkową w usta niczym zrozpaczona, rozhisteryzowana matka próbująca nakarmić martwe niemowlę. Z trudem się powstrzymałem, by jej nie ugryźć; dotąd nie zrobiła mi większej krzywdy, a więzy dawały jej nade mną całkowitą władzę. Jediną moją szansą było pozwolić jej odreagować cały gniew i mieć nadzieję, że zechce mnie potem wysłuchać. Tylko co ja jej mogę powiedzieć? Nie kochałem jej przecież i nawet gdybym nie poznał jej prawdziwego oblicza, nie mógłbym jej ofiarować tego, czego chciała. Całą moją zdolnością kochania niepodzielnie władała Caz. Jej widok w łoży teatru Dionizosa rozkołysał mnie jak dzwon i jeszcze teraz, bezsilnymi podrzutami głowy broniąc się przed paznokciami Very, cały w środku wibrowałem potężnym, niesamowitym pragnieniem mojej hrabiny Zimnorkiej.

Zanosząc się szlochem, markiza zsunęła się niżej i chwyciła mnie za jądra. Struchlałem pewien, że zaraz się przekonam, co to znaczy stracić coś ważniejszego niż dłoń, ona jednak kontynuowała tę szaloną parodię namiętności. Zaczęła mnie pieścić, delikatnie ścisnąć, lizać, ocierając się policzkami o mój penis i mrucząc czułe słówka na przemian z ohydnyymi groźbami. Nazwać to sytuacją romantyczną mógłby chyba tylko ktoś dotknięty najbardziej perwersyjną odmianą masochizmu – ja zaś jeszcze na Ziemi widziałem za dużo okropności, by coś takiego mogło mnie rajcować, że już nie wspomnę o mej znanej awersji do bólu. Vera jednak była zdeterminowana. Nie ustępowała w wysiłkach, póki wreszcie wbrew własnej woli nie stwardniałem. Przesunęła się wtedy wyżej i pochyliła się nade mną, naga od talii w górę, z potarganymi włosami.

– Poczekalabym – wydyszała, nie wypuszczając z dłoni mego wzwiedzionego przyrodzenia. Jej oczy się zmieniły; teraz widziałem w nich już tylko rozpaczliwą potrzebę miłości. – Poczekalabym na właściwy moment, mój ukochany. Dawno już nikogo nie miałam, ale takie przerwy zdarzały mi się i wcześniej. Chciałam, żeby to było idealne!

– To nie musi być tak... – wykrztusiłem.

Jakby ktoś przestawił wyłącznik, jej oczy znów zmatowiały absolutną pustką.

– Mogłeś zostać jednym z moich nieśmiertelnych, Wężowiju. Moim skarbem na zawsze. Ty jednak okazałeś się tylko kolejnym... niewiernym, nędznym, kłamliwym samcem. Ale nie myśl sobie, że kiedykolwiek odejdziesz do tej swojej białowłosej dziwki. Należysz do mnie. Ja cię znalazłam i jesteś mój!

Niezdarnie zaczęła podciągać suknię. Zachrząściła krynolina, ukazały się białe warstwy halek. Czuję na brzuchu ciepło bijące spomiędzy jej ud, ale choćbym nie wiem jak się wił i bronił, nie mogłem jej z siebie strącić. Zatraciła się w szaleństwie, furii i cierpieniu, w emocjach prymitywnych, przemożnych i już mało ludzkich.

Uniosła się na kolanach i odciągnęła w górę ostatnią płachtę jedwabiu.

Między jej nogami – zgroza.

To było purpurowe, sine, czerwone. Napęczniała, drżąca meduza z wiszącymi przezroczystymi mackami sięgającymi moich ud i podbrzusza. Tam, gdzie mnie dotknęły, parzyły skórę najpierw jak pokrzywa, a zaraz potem jak żywy ogień. Wrzasnałem na całe gardło. Vera oparła mi dłonie na piersi; tuż przedtem zobaczyłem, że spod jej paznokci wyrastają długie, giętkie białe kolce i zagłębiają mi się w ciało. Zatrutowała mnie. Przez cały ten czas, za każdym razem, gdy mnie głaskała i pieściła, pompowała we mnie toksyny, jakiś eliksir szczęścia, abym tkwił w tym durnym i niechmurnym błogostanie. Tylko że wtedy był to środek łagodny, w niczym nieprzypominający tego, czym częstowała mnie teraz.

Pożar w mym kroczu nagle eksplodował niczym supernowa, wypełniając mi żyły jak płonący spirytus. Prawie zaniewidziałem z bólu, ale jej świdrujące, oszalałe oczy trzymały moje jak nabite na dwie szpady.

Potworność na jej łonie wydała mokry dźwięk, niepodobny do niczego, co w życiu słyszałem, a potem się rozwarła. Za poszarpanymi wargami błysnęły rzędy drobniutkich, ostrych jak igły ząbków. Były ich całe setki, błyszczały perłowo na wilgotnej purpurze.

Musiałem się chyba rozwrzeszczyć, choć sam siebie nie słyszałem; Vera zakryła mi prawą dłoń ustami i z wolna opuściła się na mnie.

Serce chciało mi się przecisnąć przez żebra i zwać, ale łono jakby wiedzione własnym instynktem wyszło jej na spotkanie, surfując na fali mej rozpalonej, zainfekowanej krwi.

Poczułem zimne jak lód dotknięcie tych przerażających zębów. Krzyczałem i krzyczałem pod jej dłoń bez ustanku, a ona z oczyma zasuniętymi mleczną błoną ujeżdżała mnie, kąsała, wysysała, póki nie wybuchnąłem w niej wypełniającym wszystko wytryskiem. Opadła na mnie nagle wiotka i bezsilna, a mój umysł wreszcie zdołał uciec w błogosławioną, pustą ciemność.

Dwadzieścia pięć Najsłodsze mięsko



Pani ma rację, niewdzięcznik z ciebie – powiedziała Bella i walnęła mnie znowu pięścią w zęby, które i tak już zdawały się latać mi w dziąsłach jak kamyki liczydła. Pokojówka Vera miała łapska jak drwal. – Dała ci miłość. Byłeś dla niej kimś niezwykłym.

„Bang! Łup!” – za każdym zainkasowanym ciosem wyobraźnia podsuwała mi pojawiające się przy mej głowie realistycznie wykrojone białe dymki komiksowe. Nic jej nie obchodziło, że jestem bezsilny i związany. Nie robiła tego nawet ze złością; najzwyczajniej pod czerwonymi latarniami Piekla czerpała przyjemność z łojenia mi skóry. Nie odzywałem się, zdążyłem już bowiem odkryć, że wdawanie się w dysputy ze służącą jest jeszcze mniej produktywnie niż z jej szefową. Trzymałem luz i starałem się miękko poddawać uderzeniom, ale gdzieś tam w cichym kąciku mózgu snuły mi się miłe wizje tego, co bym z nią zrobił, gdybym zdybał tę górę mięsa, będąc w lepszej formie i ze swobodą ruchów.

Od wieczoru w operze minęło kilka dni, a z każdym coraz bardziej rozwiewało się złudzenie, że jestem gościem, nie więźniem i ofiarą. Vera brała mnie co noc, a czasem i za dnia. Nigdy nie uważałem, że gwałt to coś przyjemnego, ale też nigdy dotąd nie rozumiałem jego istoty tak dobrze jak teraz. Bezsilność, furia, strach, palący wstyd – każdą z tych emocji odczuwałem teraz całym ciałem i duszą. Najgorzej było znieść poczucie, że moje życie nie należy już do mnie i nad niczym z tego, co się ze mną stanie, nie mam żadnej kontroli. Zdarzało mi się płakać, zawsze jednak czekałem z tym, póki nie znajdę się sam. Tylko tyle mi pozostało.

Bella rąbnęła mnie ostatni raz na odlew, aż głową uderzyłem o wezglowie. To już się zrobił rytuał: sprzątała pokój, choć już nie tak pieczołowicie jak przedtem, wynosiła mój nocnik, a na zakończenie robiła sobie ze mnie worek treningowy. Budowę miała jak bokser wagi ciężkiej, z tych dawniejszych czasów: długie ręce, masywny tors. Szacowałem, że za życia musiała ważyć dobrą setkę – ale tutaj, z kostnymi ostrogami wyrastającymi ze stawów, z pewnością dobijała do stu piętnastu kilogramów. Krótko mówiąc, była ode mnie większa i silniejsza.

– Po rękach powinienes ją całować i dziękować, że cię wzięła do siebie – podsumowała Belka, odwracając się w drzwiach. – Ja to bym łeb ci urwała i tak przegnała na bruk. Wiem, jak traktować takich jak ty.

– W to nie wątpię – mruknąłem. W uszach wciąż mi dzwoniło i mądrzej byłoby zmilczeć, ale już mi to wisiało. Nawet wolałbym paradować po Czerwonym Mieście bez głowy, niż tkwić tu rozpięty na łóżku. – Z taką urodą i figurą na pewno nie mogłaś się opędzić od ładnych chłopców.

– Myślisz, że nie mogłam znaleźć sobie chłopca? – Bella prychnęła pogardliwie. – Tak jest, walili do mnie drzwiami i oknami. W zębach znosili mi forszę. Miałam tylu co Vera, tylko nie byłam tak sentymentalna jak ona. Żadnych tam „nieśmiertelnych”. Nie, kochasiu, po wszystkim wsadziłabym cię do pieca i patrzyła, jak skwierczysz.

Prawdziwa z niej czarusia. Przyznam jednak, że gdybym miał wybór, wolałbym być bity i przypiekany niż regularnie gwałcony, mimo że moja oprawczyni po równo wylewała na mnie łzy i przekleństwa. To była dla mnie dobra nauczka, żeby nikomu w Piekło nie ufać. Tak, jej narkotyczne soki mnie usypiały, mózg jednak pracował nieźle, nie miałem więc wymówki. Straciłem czujność i teraz drogo za to płacę.

Gdy już zrobiła swoje, Vera przeważnie nie zaszczycała mnie choćby spojrzeniem.

W milczeniu staczała się ze mnie i doprowadzała ubranie do porządku. Tej nocy, jak na starej komedii z małżeństwem śpiącym w osobnych łóżkach, wybrała purytańsko skromną długą koszulę nocną, którą starannie na sobie wygładziła, skrywając łono rodem z diabelskiego koszmaru. Była jak skrzyżowanie wiktoriańskiej pensjonarki z Drakulą.

– Vera... Vero, porozmawiajmy – poprosiłem. Trudno mi było mówić normalnie po tym, co właśnie przeszedłem, ale walczyłem przeciw o życie. – Dlaczego to musi być tak? Bo spojrzalem na obcą kobietę w teatrze? Wydawało mi się, że ją skądś znam, i to wszystko. To nie miało nic wspólnego z tobą.

– Nic wspólnego ze mną... – Głos miała ciężki, słowa wychodziły blade i jałowe. – W tym właśnie szkopał. Chciałam, żebyś myślał tylko o mnie i mnie jedną widział.

Próbowałem ją nakłonić do rozmowy, wytłumaczyć się, za wszelką cenę utrzymać z nią łączność. Widziałem, że już traci zainteresowanie mną. Najgorszy gniew i to niemal jak z farsy poczucie zdrady zaczynały przygasać, nie łudziłem się jednak, że gdy się do cna wypalą, pozwoli mi odejść.

– Słuchaj, możemy przecież zacząć od początku!

Nie raczyła nawet odpowiedzieć, pokręciła tylko głową i ześliznąwszy się z łóżka, wyszła boso z sypialni. Bella, która teraz zawsze stała na straży podczas szaleńczych sesji swej chlebobawczynie, obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem.

– Wkrótce z tobą skończy – powiedziała. – Może wtedy odda cię mnie. Skręcę ci kark jak kurczakowi i już nikomu nie przyczynisz zmartwienia.

Milcząc, zastanawiałem się, co by dla mnie oznaczało skrócenie karku w Piekło. Z pewnością by mnie to nie uśmierciło, ale mogło uprzykrzyć życie – zwłaszcza w połączeniu z wyrzuceniem na śmietnisko albo spaleniem, czym obie mi groziły. Nie wspomnę już, co by było, gdyby moja dusza trafiła do recyklingu i miejscowe władze zorientowałyby się, że należała do faceta zazwyczaj noszącego aureolę, nie rogi. Lameh powiedziała mi wyraźnie, że zwykłe unicestwienie demoniej powłoki nie uwolni mnie od grozy Piekła, i wiedziałem jedno: jeżeli nie wydostanę się stąd na własnych nogach, drogą wskazaną przez Lameh i Temuela, przyjdzie mi spędzić tu wieczność. Gdy za Belcią zamknęły się drzwi, wróciłem do pracy nad krępującym mi lewicę paskiem. Żadna z nich nie orientowała się, że moja dłoń nie tylko odrasta, lecz odzyskuje nad nią władzę i mogę poruszać palcami. Ręce miałem zaś szponiaste, a czarne zakrzywione paznokcie lewej dłoni ostre i mocne jak dziób papugi. Na prawej daleko im jeszcze było do takiej doskonałości, lecz gdy mocno wyginałem przedramię – choć bolało wtedy tak, jakby Blok na nowo mi je odgryzł – mogłem dosięgnąć krępującego je rzemienia pazurkiem palca wskazującego.

Od czegoś trzeba było zacząć: jeśli wytrzymam ból i będę piłował odpowiednio długo, mogę go przetrzeć na tyle, bym dał radę go rozerwać szarpnięciem. Rzemień był dość gruby, a mniej więcej po godzinie pracy paznokieć stępił się zupełnie. Odkryłem jednak, że powtarzając ten sam manewr w drugą stronę, dosięgam do metalowej poręczy łóżka i mogę go sobie podszlifować znów do stanu roboczego.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że praca była znużająca i wysysała ze mnie siły nie gorzej niż terapia Very. Marne miałem szanse, że przeżyję wystarczająco długo, by dokończyć dzieła, ale lepszy plan jakoś nie przychodził mi do głowy. Markiza i jej służka są szalone. Nikt nie przyjdzie mi na ratunek, a ja słabnę z godziny na godzinę. Dostrzegałem ironię sytuacji: kobieta uratowała mi życie, gdy traciłem resztki krwi, i troskliwą opieką postawiła na nogi, a teraz odbierała mi coś co najmniej równie istotnego, choć nie bardzo wiedziałem, co to jest. Nie mogło chodzić tylko o moje cenne płyny fizjologiczne; miałem wrażenie, że za każdym razem wysysa ze mnie porcję samej esencji życia.

Pewnej nocy Bella właśnie poprawiała naciąg paska na mej zdrowej ręce – byłem już tak wycieńczony, że przestały wiązać mi stopy, a nawet mnie bić – kiedy wysapałem pytanie: Dlaczego obie tak nienawidzą mężczyzn?

Popatrzyła na mnie z autentycznym rozbawieniem.

– Nienawidzimy? To tylko świadczy, jak mało wiesz. Dla mnie żaden nigdy nie był wart nienawiści. Zwyczajne środki do osiągnięcia celu. Wszyscy moi mężowie, kochankowie, lokatorzy przynosili mi pieniądze. Nie potrzebowałam ich żywych, żeby je razem ze mną wydawali... a tym bardziej żeby się z nimi wyklócać, na co mam je wydać... więc ich zabijałam. Gdybym mogła przyciągać bogate kobiety, to robiłabym to z nimi i tyle. Kilka mi się zresztą nawinęło. Ale moja pani jest inna. Ona, widzisz, kooocha. Kocha tak bardzo, że sama jest bezsilna wobec swej miłości.

– W takim razie wybrała bardzo zabawny sposób jej okazywania – powiedziałem. Na tyle jeszcze starczyło mi poczucia humoru.

Bella nie doceniła żartu.

– Właśnie, że to doskonały sposób! Ona jest jak motyl. Żyje i umiera dla miłości.

– Na razie umiera tu kto inny.

– Nic nie rozumiesz – mruknęła i od niechcienia trzepnęła mnie w policzek, omal nie wybijając mi paru trzonowców. – Wiesz, dlaczego nazywają ją markizą Cynk?

Pokręciłem tylko głową, bo chwilowo odebrało mi mowę.

– Za życia, w Bukareszcie, była bogatą kobietą. Brała sobie wielu kochanków i nikt ich potem już nie widział. Popęłniła tylko jeden błąd, wpuszczając do łóżka jednego z miejscowych bankierów. Kiedy i on zaginął, jego żona narobiła szumu. Zjawiała się policja i gdy przeszukiwała dom, znalazła w piwnicy prawie trzy tuziny cynkowych trumien z okienkami na wysokości twarzy trupów, ustawione w krąg jak grono wielbicieli na przyjęciu. Na środku stało nawet wygodne krzesło, żeby Vera mogła sobie z nimi siedzieć, rozmawiać i na nich patrzeć. Nie mogła ścierpieć myśli, że odejdą do innych kobiet, więc gdy zaczynała zauważać u nich pierwsze oznaki znudzenia, truła ich, by umarli wraz z miłością. Kochała za mocno, rozumiesz? Za mocno. To było takie piękne... – Bella przyłożyła pokrytą odciskami dłoń do mego czoła i pchnęła tak, że rąbnąłem głową o oparcie łóżka, aż mózg zagrzechotał mi w czaszce. – I taką to miłość ci dawała, a ty naplułeś jej w twarz. Nie zostaniesz jej nieśmiertelnym jak tamci.

To rzekłszy, poszła sobie, a ja miałem o czym myśleć przez kolejną bezsenność, desperacko przepracowaną przy piłowaniu rzemienia noc. Cynkowe trumny. Ponad trzydzieści. To była miara miłości Very Cynk. Ja byłem tylko jej najświeższym obiektem – i to nie zasługującym nawet na wyróżnienie zgrabnym metalowym opakowaniem.

Straciłem rachubę nocy spędzonych nie tyle z Verą, ile pod nią. Całe szczęście, że leżałem przywiązany, bo krocze tak mnie swędziało, że rozdrapałbym je sobie chyba razem z otrzewną. Niewiele ze mnie zostało – czułem się jak suszona śliwka. Już nawet nie śniłem o Caz. Lewitowałem między dwoma rodzajami półsnu z krótkimi interludiami palącego bólu i następującej po nim zgryzoty oraz coraz dłuższymi napadami obezwładniającej słabości. Gdy tylko się dało, zawzięcie tarłem paznokciem o rzemień. Wiedziałem, że wkrótce Vera po raz ostatni mnie dosiądzie, zabierze resztkę życia i to będzie mój koniec. Bella już mi zapowiedziała, że pójdę do pieca, bo nie zamierza zostawić ze mnie choćby kosteczki, żeby jej pani nie dawać okazji do sentymentalnych wspomnień.

Sny jednak jakieś miewałem: majaki, jakie się trafiają przy wysokiej gorączce, skomplikowane, lecz pozbawione znaczenia. Dlatego któreś nocy nie od razu się zorientowałem, że nie śpię i że coś naprawdę kłęczy przy mnie na łóżku, opierając mi dłoń na piersi.

Byłem tak słaby, że długą chwilę tylko na to patrzyłem, mrużąc oczy przed światłem jedynej

świeczki palącej się w pokoju. Właściwie w ogóle nie przeprowadziłem świadomej analizy rysów stworzenia wpatzonego we mnie z chciwością równie wielką jak Vera; podświadomie jednak wiedziałem, że znam tę twarz lepiej niż własną: ten szary, martwy spłacheć wysuszonej skóry, wystającą dolną szczękę z małutkimi ząbkami wielkości ziaren żwiru i połyskujące rekinie ślepie.

Był to Śmiszek we własnej nieumarłej osobie.

– Szukało cię – powiedział szeptem szorstkim jak papier ścierny. – Szukało cię bardzo długo, Bobby Zły Aniołku. I wreszcie znalazło.

Stwór wdrapał mi się na tors i zaczął metodycznie nakłuwać mi policzki nieodłącznym czworościennym bagneciskiem. Każde ukłucie bolało jak nieudany zastrzyk. Stwierdziłem, że bydlę wygląda jakoś inaczej: skórę ma ciemniejszą, korpus jeszcze chudszy niż na Ziemi, żylastą muskulaturę bardziej wyeksponowaną.

– Czego... czego chcesz? – wyszeptalem, dyskretnie przenosząc ciężar ciała tak, by móc jak najsilniej szarpnąć nadpiłowany rzemień. Nie wierzyłem, że udało mi się go nadwątlić na tyle, by pękł, ale zbyt wielkiego wyboru taktyki nie miałem.

Ruch zirytował Śmiszka. Przyłożył ostrze do mej górnej powieki. Zmartwiałem. Kropla krwi zaplątała mi się w rzęsy i zaczynała zaciekać do oka, ale nie śmiałem mrugnąć.

– Czego chcesz? – powtórzyłem, nie kryjąc przerażenia. I tak już jechałem na ostatniej rezerwie wiary i nadziei, a sprawy właśnie przybrały znacznie gorszy obrót.

– Czego chce? – Śmiszek zaśmiał się sucho, co zabrzmiało jak dźwięk wydawany przez grzechotnika. – Jak to czego? Chce pióro. Przyszło tu po nie z bardzo daleka. Powiesz mu, gdzie ono jest, bo inaczej weźmie sobie oko złego aniołka do kieszeni, a serce złego aniołka do pudełka na lunch. – Nagle zdeformowane usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Złe aniołki mają najśłodsze mięsko. Och, jak mu smakują! Mniam!

Dwadzieścia sześć Nieśmiertelni



Nawet wolny i uzbrojony ledwo przeżyłem spotkania z tym małym krwiożerczym sukinsynem – a tym razem byłem bezbronny, związany i do tego ledwo żywy po wielodniowym wykorzystywaniu przez markizę Cynk.

– Po co ci to pióro? – spytałem, doskonale wiedząc, że szuka go na zlecenie Eligora. – Znaczy i tak go tutaj nie mam. Nie mógłbym ci go oddać, nawet gdybym chciał. Musiałbym się najpierw przedostać na Ziemię. Rozumiesz, o czym mówię? Do realnego świata.

Śmiszek tylko mocniej nacisnął bagnetem na moją powiekę. Przysiągłbym, że poczułem ukłucie w rogówkę.

– Pióro – powtórzył z uporem. – Daj mu.

– Mówię ci, że go nie mam! – Nie wiedziałem, czy jest za głupi, czy zbyt dobrze zaprogramowany, by to pojąć. Uznałem, że nie ma widoków na polubowne załatwienie sprawy, i powoli podciągnąłem nogi bliżej brzucha. – Ale mogę je dla ciebie zdobyć. Tylko musiałbyś mnie stąd wydostać...

Nachylił się jeszcze niżej. Jego oddech... Nawet nie będę próbował go bliżej opisać. Bądźcie pewni, że nie pachniało mu z ust bazylią i tymiankiem.

– Chce pióro – szepnął. – Teraz.

Szybkim ruchem oparłem mu stopy na piersi i pchnąłem z całych sił, starając się odrzucić go na stolik zastawiony szkłem i innymi łatwo tłukącymi się przedmiotami. Ważył tyle co nic, a ja wykrzesalem z siebie dość energii, by poleciał jak źle zmontowany latawiec. Trafiłem dobrze: spadł prosto na stolik i zrzucił na podłogę co najmniej połowę naczyń, co w nocnej ciszy domu zabrzmiało jak uwertura do Armagedonu. Pociągnąłem najmocniej jak mogłem za rzemień, nad którym tyle dni pracowałem. Poczułem, że się trochę rozciąga, ale wytrzymał. Przegub zabolął mnie przy tym jak cholera.

Śmiszek nie wypuścił bagnetu z dłoni. Poderwał się z podłogi jak na sprężynce. O dziwo, nie uśmiechał się tym swoim okropnym uśmiechem. Twarz miał zupełnie pozbawioną wyrazu, martwą jak mumia. Mimo ogarniającej mnie paniki nasunęła mi się refleksja, że w całej historii kina grozy jedynie Boris Karloff prawidłowo odtworzył ten wyzuty z mimiki, ponury wygląd ożywionego trupa. Napastnik przeskoczył szczyt łóżka jak pajak skakun rzucający się na ofiarę. Mogłem tylko nadstawić nogę i przyjąć pchnięcie w łydkę.

Ta trupia mina kazała mi się zastanowić, czy moje kopnięcie przypadkiem nie uszkodziło mu mózgu. Teraz nie obchodziło go już nic poza tym, żeby mnie dopaść i zakłuć. Usiłowałem odbijać ciosy nogami lub unikać ich zwodami tułowia, ale drań był po swojemu tak szybki, że czasem musiałem zaliczyć zranienie w któryś mięsień, aby osłonić bardziej newralgiczne punkty. Bagnet śmigał wokół mnie jak użądlna błyskawica, a ja wciąż byłem przytroczony do wyra. Wiedziałem, że lada chwila będzie po mnie.

– Stój! – wrzasnąłem. – Dam ci to pióro!

Śmiszek jednak jakby zapomniał o swoim głównym zadaniu. Atakował teraz mnie zapalczywie, za to z większą premedytacją. Przesunął się tak, by trudniej mi było dosięgnąć go nogami...

Oświetlenie w pokoju nagle się zmieniło; wszystkie cienie skoczyły na jedną stronę, jakby

coś je wystraszyło. W drzwiach zajaśniało kilka płomyków, a za nimi ujrzałem zaskoczoną twarz Belli.

– Co tu się dzieje?

Możecie sobie wyobrazić, jak gorączkowo w tej chwili myśli pędziły mi po głowie we wszystkie strony, ale ponad ten chaos jakoś przebiło się przekonanie, że moją jedyną szansą jest napuszczenie Belli albo jej pani na tego zбира, krzyknąłem więc na cały głos:

– To ona! Zabij ją, jak ci mówiłem! Uwolnisz mnie później!

Nie spodziewałem się, żeby którekolwiek z nich dało się nabrać na tak prymitywną zagrywkę, ale jednak podziałało.

Bella jednym susem znalazła się przy Śmiszku i grzotnęła go kandelabrem w ramię, aż upuścił bagnet, a potem pchnęła go świecami w twarz i przypaliła policzek. Stwór zasyczał z furii i rzucił się na nią. Zachwiała się pod impetem zderzenia i świecznik wypadł jej z ręki. Parę płomyków zgasło, pozostałe jednak rozgorzały jaśniej i w ich świetle na ścianach i suficie zatańczyły długie cienie dwóch walczących potworów. Mały, chudy Śmiszek uczeplił się masywnego cielska Belli, drapał i gryzł ją jak rozjuszona łasica.

Zmieniłem pozycję, tak by jak największą masą podziałać na nadwreżony ramię, i pociągnąłem z całej siły, mimo woli wrzeszcząc z bólu. Miałem wrażenie, że wrywam sobie ramię z barku. Długie godziny piłowania przyniosły jednak pożądany skutek: pieprzony rzemyk wreszcie pękł. Teraz krępował mnie już tylko pasek na zdrowej ręce. Najchętniej zwinąłbym się w kłębek i wył, ale nie miałem czasu na taki luksus. Natychmiast się wziąłem do przegryzania wyprawionej skóry swoimi demonimi zębiskami. Pomruki i okrzyki walczących stawały się coraz dziksze, ale nawet nie rzuciłem okiem w ich stronę, by sprawdzić, które wygrywa.

To była ciężka praca, ale w końcu przeżulem gruby pasek. Pierwsze sekundy pełnej swobody były cudowne, lecz opuszczenie ramion po paru tygodniach trzymania ich w jednej pozycji nad głową przyniosło nowy rodzaj bólu, jakbym dostał majchrem Śmiszka w obie pachy naraz. Z drugiej strony tak już jednak przywykłem do cierpienia, że na nic nie zważając, zsunąłem się z łóżka, w biegu chwyciłem spodnie z krzesła i rzuciłem się ku drzwiom. Z tego, że Vera się dotąd nie pojawiła, by sprawdzić, kto tak hałasuje po nocy, wywnioskowałem, że musi być w innej części domu albo nawet – przy łucie szczęścia – gdzieś wyszła. To oczywiście nie wystarczyłoby, żeby ucieczka mi się powiodła; do tego Bella i Śmiszek musieliby się nawzajem poważnie poharatać, bo nie dałbym rady w tym stanie pokonać żadnego z nich.

Diablica zorientowała się w sytuacji i usiłowała mnie zatrzymać kopnięciem, ale była pochłonięta walką z groźniejszym ode mnie przeciwnikiem, uchyliłem się więc bez trudu i po chwili byłem już na korytarzu. Sypialnia Very znajdowała się tylko o parę pomieszczeń dalej; liczyłem, że naprawdę jest pusta, bo potrzebowałem z niej paru rzeczy.

Na etapie naszego staroświeckiego flirtu moja ciemńczycielka dopilnowała, żebym miał okazję zobaczyć jej buduar: parę razy zapraszała mnie na poranną herbatę (spowita skromnie od stóp do głów w falbankową podomkę), to znów „przypadkiem” zostawiała otwarte drzwi, abym zauważył artystycznie udrapowaną na szeszlunku bieliznę. Dlatego właśnie wiedziałem, gdzie może trzymać biżuterię i pieniądze. Po drodze do podejrzanej toaletki zabrałem też ze stojaka przy kominku pogrzebacz. (Tak jest, w Piekło też kominki są w modzie. Niektóre dzielnice Pandemonium są zresztą tak gorące, że przy palenisku można szukać ochłody). Narzędzie było przyjemnie ciężkie i dobrze leżało w dłoni. Wreszcie miałem czym się bronić, zamierzałem się jednak rozejrzeć także za bardziej konwencjonalnym orężem. Wiedziałem, że w kuchni znalazłbym parę porządnych noży, nie chciałem jednak zapuszczać się na drugi koniec domostwa, skoro bliżej miałem do paru innych wyjść.

W szufladce toaletki wyszperałem kilka miedzianych garści (tak się nazywają te monety:

garście) oraz szkatułkę z precjozami. Napychając sobie kieszenie, dostrzegłem dziwny cień w rogu pokoju. Jeden z obrazów (widniało na nim drzewo owocowe, które obsiadły ptaki) wydał mi się grubszy z jednej strony. Podeszedłszy bliżej, stwierdziłem, że kryją się za nim niedomknięte drzwi.

Znieruchomiałem. Czyżby Vera tam była? Ale po co jej we własnym domu tajne przejście? Czy to droga ewakuacji, jakiś tunel prowadzący na zewnątrz? Może usłyszała odgłosy walki i uznała, że rozważa jest lepsza niż męstwo?

Ostrożnie uchyliłem drzwi. Za nimi rzeczywiście otwierało się wyłożone ceglami przejście wiodące lekko w dół i po kilkunastu metrach niknące za załomem. Oświetlała je pochodnia w ściennym uchwycie. Już miałem się cofnąć, kiedy usłyszałem, jak walcząca dwójka wytacza się z mojej sypialni na korytarz. Dobiegły mnie odgłosy uderzeń, zduszone okrzyki, sapanie, a nawet mokry świst tnącego skórę noża. Obojętnie, które z nich brało górę, najprostszą drogę ucieczki miałem odciętą. Nie było innego wyjścia: musiałem zaryzykować opcję z tunelem.

Dzierząc przed sobą pogrzebacz niczym rapier, ruszyłem naprzód. Ceglane ściany raz i drugi wyginały się łukiem w zakręt, a droga cały czas prowadziła w dół. Po kilku minutach byłem pewien, że znajduję się już co najmniej o jedno piętro poniżej parteru. Wkrótce zacząłem słyszeć szmer rozmowy – a może pojedynczy głos zwielokrotniony echem. Jeszcze kilkanaście kroków i w przedzie zrobiło się jaśniej, zacząłem się więc skradać ostrożniej, trzymając się tuż przy ścianie i przystając przed każdym załomem, by dyskretnie zbadać sytuację, aż w końcu korytarz się rozszerzył w spore pomieszczenie.

To zresztą za mało powiedziane. Tunel kończył się w prawdziwej jaskini, ze stalaktytami i stalagmitami jak się patrzy. Przesunąłem się w bardziej zacienione miejsce między dwoma kręgami światła od pochodni i wtedy wyraźnie już usłyszałem głos markizy Cynk. Słów jeszcze nie rozróżniałem – było tam coś jakby „rozczarowanie” i „sami wiecie” – na pewno jednak mówiła do kogoś. To mnie zaniepokoiło. Wolałem nie wdawać się w bójkę z nią nawet sam na sam, jeśli zaś miała przy boku sprzymierzeńców, to tym bardziej należało unikać starcia. Korciło mnie, żeby zawrócić – ale na górze walka mogła się już zakończyć i albo Bella, albo Śmiszek (stawiałem raczej na niego) w każdej chwili mogli pójść moim tropem.

Ruszyłem dalej najciszej jak umiałem. Zorientowałem się już, że jaskinia została zamieniona na magazyn lub destylarnię, a może jedno i drugie: wszędzie wokół mnie stały na sięgających stropu regałach dziesiątki naczyń z grubego szkła, przypominających słoje, w jakich restauratorzy czasem trzymają marynowane warzywa dla dekoracji sali lub witryny. Czyżby Vera pędziła bimber albo produkowała jakieś leki?

– Was oczywiście nie winię. – Słowa docierały już do mnie wyraźnie. – Ani trochę. Każdy z was zasłużył sobie na miejsce tutaj.

Przesuwając się krok po kroku przed siebie w poszukiwaniu miejsca, skąd mógłbym zobaczyć jej rozmówców, kątem oka dostrzegłem jakiś dziwny odbłask w jednym ze słoików i odruchowo zerknąłem w jego stronę.

Coś odwzajemniło mi spojrzenie. Ludzka głowa. Głowa bez ciała.

Podeszedłszy bliżej, zobaczyłem, że to pomyłka. W słoju było i ciało, bądź jego fragmenty, tylko ze sobą nie połączone. Rozejrzałem się po półkach. Wszędzie to samo: tu ręka z palcami przyciśniętymi do ścianki jak szarozielona rozgwiazda, tam stopy, ówdzie zdjęta z czaszki skóra twarzy, no i oczywiście prącia (ale nigdy więcej niż jedno w danym naczyniu). Każdy słoik bez wyjątku zawierał jednak głowę.

Walcząc z obrzydzeniem, wędrowałem wzrokiem dalej. Wiedziałem, gdzie jestem: wśród nieśmiertelnych Very, wszystkich jej dobrych kochanków, którzy traktowali ją tak, jak sobie życzyła.

Niewiele im z tego przyszło, pomyślałem.

W tej samej chwili najbliższa głowa mrugnęła do mnie i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Podczas wykonywania zadań zwiadowczych na ogół staram się nie piszczeć jak wystraszony dzieciak, lecz co się stało, to się nie odstanie. Nie tylko zaalarmowałem jejmość markizę, ale z pewnością usłyszał mnie też Śmiszek na górze. Ba! Nie zdziwiłbym się, gdyby aż gdzieś w Abadonie paru potępieńców ze zdziwieniem spojrzęło na kamienne niebo. Głowy w słojach zaczęły się budzić ze snu czy odrętwienia i przewracać oczyma w poszukiwaniu źródła tego nagłego dźwięku.

Nie było sensu dalej się kryć ani skradać, ruszyłem więc śmiało przed siebie. Vera stała pośrodku jaskini, otoczona rzędami podobnych regałów, szczelnie wypełnionych naczyniami z tą samą upiorną zawartością.

Nie doceniłem jej. Spodziewałem się, że moje pojawienie się zaskoczy ją; że przynajmniej na chwilę znieruchomieje, krzyknie czy zaszlocha, zanim rzuci się do ataku. Ona jednak błyskawicznie i bez jednego słowa skoczyła ku mnie, wystawiając do przodu ręce, jak gdyby chciała mi oczy wydrapać. Zdziwiłem się, gdyż była na to o wiele za daleko. I wtedy – jakies trzy milisekundy potem – strzeliła we mnie tymi strasznymi, włóknistymi kolcami jak drutem z policyjnego paralizatora, celując mi w twarz i tylko o włos chybiając.

A więc jej toksyczne żądła nie są przeznaczone tylko do działania z bliska.

Nietrudno zgadnąć, po czyjej stronie była przewaga: tu ja, ranny i wycieńczony, z pogrzebaczem w ręku; tam ona, demonica w pełni sił i uzbrojona w dwumetrowe macki z jadem mogącym powalić byka.

Zamachnęła się znowu. Zrobiłem unik i jedna z macek strąciła z półki słoje, który rozprysnął się na kamiennym podłożu. Odłamki szkła drasnęły mnie w rękę, a wstrętny odór formaldehydu przyprawił o mdłości. Poćwiartowane członki rozsypały się wokół; musiałem przeskoczyć nad dwiema dłońmi, które natychmiast popęzły ku Verze. Padłem na ziemię przed kolejnym strzałem, przetoczyłem się i zanim zdążyła znowu zaatakować, byłem już przy niej i z rozmachem pchnąłem ją pogrzebaczem z całej siły w brzuch. Zgięła się wpół pod uderzeniem, ale to była jedyna reakcja: wciąż gapilem się na nią, kalkulując następny ruch, gdy ona szybkim strzepnięciem obu dłoni posłała do akcji trujące białe wstęgi. Jedna z nich zacisnęła mi się wokół szyi jak sznur z płonącego napalnu. Ból narastał, w oczach mi pociemniało, zdolność myślenia ulatywała ze mnie jak woda z przedziurawionego plastikowego worka. Czulem, że umieram.

Nagle agonalne cierpienie zelżało. Jak przez mgłę ujrzałem, że Vera coś kopie prawą nogą. Jedna z dłoni z rozbitego słoja wczepiła się jej w łydkę. W końcu udało się jej pozbyć... jak to powiedzieć? Przeciwnika?... i znów obróciła całą uwagę na mnie, ja już jednak miałem gotowy plan.

Chwyliłem wolną dłonią duszącą mnie mackę. To było jak dotknięcie przewodu pod wysokim napięciem, ale jak już mówiłem, byłem wyćwiczony w znoszeniu bólu. Zaparłem się stopami i pociągnąłem mocno, choć czulem się, jakbym sam sobie odrzynał głowę piłą łańcuchową – aż wreszcie paskudztwo pękło. Vera krzyknęła z wściekłością, ale nie wyglądała na to, że zrobiłem jej wielką krzywdę. Znane mi już białe błony zakryły jej oczy, a ona z kocim syknięciem zaatakowała mnie ponownie. Uchyliłem się i jednocześnie stłukłem pogrzebaczem najbliższe naczynie. Zanim schowała macki i zamachnęła się kolejny raz, szkło posypało się z paru innych. Jak szalony rozbijałem słoje, strącałem je z półek; szkło było wszędzie, opary środka konserwującego wypełniły pomieszczenie wstrętnym kwaśnym odorem i szczypały w oczy jak gaz łzawiący.

Ale po podłodze niczym ławica powolutku płynących ryb pęzły już ku markizie szczątki jej nieśmiertelnych. Otaczały ją, wspinały się po nogach i sukni, łączyły się w mostki i party wciąż

w górę. Dłonie wspólnym wysiłkiem podawały wyżej głowy innym dłoniom. Nie ustawałem w szale zniszczenia, opróżniając półkę za półką, aby uwolnić jak najwięcej jej kochanków, aż Vera zniknęła po pas pod rosnącym jak młody wulkan wielogłowym, wielorękim stosem ociekających formaldehydem części ciał. Mimo całej wielkiej miłości, jaką ich darzyła, żaden z tak uprzywilejowanych mężczyzn nie chciał zrezygnować z udziału w tym morderczym spotkaniu.

Zapomniała o mnie całkowicie i walczyła już tylko o wyswobodzenie się spod góry żywych szczątków. Szczególnie aktywne były dłonie: krabimi ruchami wpinały się jej we włosy, chwytaly za gardło, wspierały się wzajem i oplatały ofiarę całymi łańcuchami. Na próżno krzyczała, miotała się, wymachiwała rękami – wkrótce widać było jej już tylko głowę, trupio bladą twarz i pełne przerażenia oczy. Chwiejące się głowy obsypywały ją pocałunkami, języki wciskały się, gdzie mogły, żeby ją polizać. Niektóre spadały na podłogę i natychmiast podejmowały wspinaczkę od nowa.

Mimo całej nagromadzonej we mnie nienawiści do markizy Cynk nie zostałem, by patrzeć na jej koniec. Gdy tylko wokół mnie zrobiło się puściej, ominąłem drgający stożek i pobiegłem na drugi koniec jaskini. Gorączkowo szukałem drugiego wyjścia, aż natrafiłem na schody wiodące w górę. Wydawało mi się, że biegnę po nich chyba cały dzień, długo ścigany przez krzyki i rżenie Very. W końcu wyszedłem gdzieś w sieci tuneli w pobliżu dworca i pobłądziwszy jeszcze trochę po ich labiryncie, znalazłem się wreszcie na otwartej przestrzeni pod sklepieniem kamiennym niebem Pandemonium.

Nigdy bym nie zgadł, że nadejdzie dzień, w którym zaszlocham ze szczęścia, że znów widzę ten straszny, matowy, klaustrofobiczny firmament.

Dwadzieścia siedem

Kancelaria



Jedno, co o Piekłe można powiedzieć dobrego, to że nigdy nie ma tam najmniejszego problemu ze zbyciem skradzionych fantów, niezależnie od pory dnia. W przerwach między wizytami Very i jej wampirzego łona miałem dość czasu na myślenie i opracowałem parę wersji planu dalszego działania na wypadek, gdyby w końcu nadarzyła się szansa ucieczki. Teraz wiedziałem, co robić.

Prestiżowa dzielnica markizy dotyka brzegu Siarkowej Laguny, niedaleko której mieści się Targ Nocny – rozległe miasteczko straganów, namiotów i bud wykonanych z rozmaitych paskudztw, gdzie można kupić i sprzedać praktycznie wszystko. Dotarłem tam, kulejąc i krwawiąc (szczęśliwie żadna z tych przypadłości nie wzbudza w Piekłe większego zainteresowania), i rozpytawszy się o drogę, odszukałem sklepik niejakiego Saada Babraka, przyjemniaczka z ciałem bezwłosej tarantuli od karku w dół i reputacją dyskretnego pośrednika w obrocie wszelkimi dobrami nieudokumentowanego pochodzenia – innymi słowy, pasera.

Miałem nadzieję, że biżuteria Very jest w dobrym gatunku. Dla siebie zatrzymałem tylko jedną kolię z gruzelkowatych miejscowych pereł z laguny (później wyjaśnię, w jakim celu), a całą resztę rzuciłem Saadowi na ladę i pozwoliłem się niecnie wyzyskać przy wycenie. Oczywiście trochę się potargowałem, żeby nie zapamiętał mnie ani jako wyjątkowego frajera, ani zatwardziałego dusigrosza, wolałem jednak nie spędzać u niego zbyt wiele czasu, bałem się bowiem, że Smiszek albo ktoś ze sług Very odnajdzie mój trop. Po kilkunastu minutach dogadaliśmy się co do ceny; część forsy wydałem na miejscu, między innymi na czyste ubranie (którego jednak nie włożyłem od razu) i długi, ostry, porządnie wykonany nóż z zakrzywioną w dół gardą: akurat taki, jaki chciałbym mieć w ręku, kiedy znowu przyjdzie mi walczyć o życie.

Po zakupach zostały mi w kieszeni dwie sztuki złota, trzy miedziane garście i kilka żelazniaków; w sumie z pieniędzmi zabranymi z sypialni markizy dawało to całkiem niezłą sumkę. Po dobieciu targu z Saadem ruszyłem na poszukiwanie możliwie najmniej podejrzanego wyglądającego lokum. Wybór padł na spelunkę „Czarny Struś” w smrodliwszej niż gdzie indziej okolicy, przy ujściu Styksu do Siarkowej Laguny. Zapłaciłem za pokój z góry, na wszelki wypadek pokazując oberżyscie mój majcher z rzuconym od niechcienia komentarzem, że spać nie zamierzam, więc szkoda czasu na próby uwolnienia mnie od kiesy i żywota. Po tej wymianie grzeczności poczłapałem na piętro i wziąłem się do roboty.

Wśród bazarowych sprawunków był dzban wody ognistej. To nie żartobliwe określenie rodem z westernu; oni naprawdę tak nazywają gorzałą pędzoną na wodzie z płonącej rzeki Flegeton. Smakuje podlej niż rum Riprasha i nie trzeba jej wypić przesadnie dużo, żeby nabrać ochoty dać komuś porządnie po ryju. Strzeliłem jednego głębszego – ot, tyle, by uśmierzyć najgorszy ból i przytępić wrażliwość na to, co zamierzałem z sobą zrobić.

Jedną z rzeczy nabytych w kramie Saada było nadtłuczone lustro. W Piekłe mało kto posiada taki luksus i byłem pewien, że w żadnej taniej oberży zwierciadła nie znajdę. Ustawiłem je na stoliku, wyciągnąłem nóż i zacząłem nacinać skórę na czole i policzkach, obficie zwilżając każdą ranę wodą ognistą. Co minutę czy dwie przerywałem zabieg, wciskałem krwawiącą gębę w brudny materac i darłem się jak szalony, bolało to bowiem, co tu dużo gadać, sakramencko. Kiedy już miałem gotowe nacięcia wzdłuż czoła, na policzkach, przez nos i szczękę, osuszyłem

je tamponem z jakiejś szmaty i rozciąwszy nitkę kolii, jałem upychać perły pod skórą. Widziałem kiedyś taki rytuał na kanale National Geographic w reportażu z Afryki czy Nowej Gwinei: młodzi wojownicy ozdabiali w ten sposób ciała imponującymi bliznami (tyle że zamiast pereł używali kamyków i popiołu). Mnie oczywiście nie chodziło o zadawanie szyku; musiałem po prostu zmienić wygląd. Omal nie wyrzygałem własnego serca ze strachu, kiedy przewodniczącemu Caymowi się wydawało, że mnie rozpoznaje. Liczyłem się z tym, że prędzej czy później przyjdzie mi stanąć oko w oko z Eligorem – a na tę okoliczność moja obecna fizys za bardzo przypominała Bobby'ego Dolara.

Popijałem wodę łyżkami, co pomagało znosić tę operację plastyczną, ale krwi straciłem sporo: garść szmat, które zwędziłem na targu, szybko nią przesiąkła. Nie było sensu brudzić nowych ciuchów, póki cięcia nie zakrzepną, przemyłem je więc ponownie i nagi ległem na łóżku, by przespać najgorszy ból.

Śniła mi się Caz i nasza ostatnia schadzka w hotelu Eligora, zanim wysadził go w powietrze. We śnie nie mogliśmy jednak się kochać, gdyż wciąż spadały ze mnie kawałki ciała i pełzały bezładnie po śliskiej od krwi podłodze. Obudziłem się nad ranem i zwlokłem z materaca, by znów się ochlapać czystą ognistą. Próbowiałem znowu zasnąć, ale zbyt wyraźnie odczuwałem gojenie się ran: nieprzyjemne ni to swędzenie, ni to pieczenie – jak gdyby legion mrówek ćwiczył na mnie krok defiladowy w rozpalonych do białości metalowych kamaszach. Po jakimś czasie dałem za wygraną i tylko leżałem, gapiąc się w sufit i zaciskając zęby w oczekiwaniu na błogosławione wytchnienie.

Potrwało to ładnych kilka godzin. Zaczynałem się już czuć w Piekłe swojsko – wściekły, zgnębiony, obolały i tak dalej. No i oszukany. Jak wszyscy tutaj. Za nic nie mogłem zrozumieć, co takiego zrobiłem, żeby mnie spotykały takie cierpienia.

Korzystając ze względnie bezpiecznej kryjówki, dałem sobie całą dobę na wydobrzenie. Raz tylko wyszedłem na Targ Nocny, by w pierwszym sklepiku kupić coś odrażającego do jedzenia, i natychmiast wróciłem do „Czarnego Strusia”. Kiedy ból pooperacyjny zmalął do tępego pulsowania, przejrzałem się w lusterku. Dziwnie to wyglądało: linie małych wzgórków na czole i policzkach upodobniły mnie do jakiejś pustynnej jaszczurki. Nabrałem na palec sadzy z lichtarza i poczerńiłem skórę wokół powiek, żeby oczy wydawały się głębiej osadzone. Prezentowałem się teraz naprawdę szpetnie, ale tym się nie przejmowałem. W Piekłe nie istnieją żadne kanony urody, a mnie zależało tylko na tym, żeby zminimalizować podobieństwo do mojej ziemskiej obudowy. Położyłem się znowu, by pomyśleć – a było o czym. Jak Śmiszek mnie tu znalazł? Czy Eligor ściągnął go tu z Ziemi, jak się odwołuje pracownika z placówki zagranicznej? Innego sensownego wytłumaczenia nie widziałem. Jeżeli jednak to arcyksiążę nasłał go na mnie, dlaczego nie zrobił tego wcześniej? Czemu zwyczajnie nie wysłał po mnie Sekty Zbrodniarzy? No i dlaczego nikt z moich wrogów dotąd nie znalazł mojej nowej meliny?

Komisarz Niloch i inni wspominali o polowaniu na jakiegoś intruza, a ja uznałem, że chodzi o mnie. A jeśli mieli na myśli właśnie Śmiszka? Może z własnej inicjatywy podążył za mną do Piekła i wytropił dopiero wtedy, gdy utknąłem na dłużej w niewoli u Very?

Za długo się nad tym nie zastanawiałem, bo i nie miałoby to sensu przy tak skąpych informacjach, jakie posiadałem. Liczyło się tylko jedno: przybyłem tu po Caz i w tej materii miałem wystarczająco dużo do zrobienia, w tym rzeczy przerażające na samą myśl. Zwlekając, mogłem tylko pogorszyć sprawę. Jeden Najwyższy wie, jak długo już krążę po tej okropnej krainie, wydawało mi się jednak, że co najmniej od pół roku. Niebo mogło już rozesłać za mną listy gończe. Czasu miałem coraz mniej, z której strony by na to spojrzeć.

Ministerstwo Sprawiedliwości, zwane też Kancelarią, znajduje się w centralnej, najgęściej zabudowanej części Czerwonego Miasta – zwariowanym labiryncie uliczek, splecionych wież

i strzeżonych przejść nieopodal placu Dis Pater. Modliłem się, żeby los nie kazał mi znów spotkać kanclerza Urgulapa, obrzydliwego owada wielkości żyrafy, który przesłuchiwał mnie na Ziemi po śmierci prokuratora Grasswaxa. Na szczęście w roli drobnego szlachciury Wężowija z Sekty Kłamców byłem o wiele za małym pionkiem, żeby trafić aż tak wysoko: zostałem skierowany do młodej i ostrej (dosłownie: cała składała się z noży i nożyczek) kobiety. Urgulapa zobaczyłem tylko na wiszącym za nią na ścianie portrecie; w wypolerowanym na glanc pancerzu zdawał się surowo obserwować, co się dzieje w jej małym biurze.

– Nie możemy udzielić panu tej informacji, panie Wężowiju – usłyszałem w odpowiedzi na moje pytanie. – Jego ekscelencja kanclerz nie zakończył jeszcze dochodzenia, ale wkrótce przedstawi wyniki senatowi i Wielkiej Radzie.

– Nie ma sprawy – odrzekłem przymilnie, choć w duchu się zastanawiałem, czy znajdzie się facet na tyle zdeterminowany, by pójść do łóżka z kobietą o udach jak najprawdziwsze nożyce z hartowanej stali. – Właściwie to zależy mi tylko na tym.

Próbowałem jej podać kawałek pergaminu, ale narobiłem tylko bałaganu, niezgrabnym ruchem strąciwszy z blatu kilka skoroszytów. Urzędniczka popatrzyła na mnie z lśniącem niesmakiem i schyliła się, by je pozbiierać. Gdy porządnie je znowu poukładała, przyjrzała się zapisowi na moim dokumencie.

– Co to niby jest? Jakiś dług?

– No właśnie! – przytaknąłem. – Grasswax był mi winien prawie dwie sztuki złota.

Wygrałem je od niego. – Nieboszyk prokurator rzeczywiście był nałogowym hazardzistą i jak słyszałem, przepuszczał sporo pieniędzy. Naturalnie mój kwit był fałszywy, bo nigdy z nim w nic nie grałem; nie wiedziałem nawet, jaki rodzaj hazardu preferuje. – To jak, czy mogę liczyć na wypłatę z jego... bo ja wiem... masy spadkowej? Oczywiście po zamknięciu śledztwa?

– A czy wasza sekta nie może tego ściągnąć z redentury Grasswaxa?

– Hmm... – Przybrałem zawstydzoną minę (co przyszło mi tym łatwiej, że nie miałem pojęcia, co to jest redentura). – Widzi pani, ja tam już... by tak rzec... nie pracuję. Wyrzucili mnie i zaczęli się u Złodziei.

Dziewczyna potarła jednym z górnych brzeszczotów nos, który też był ostrzem. Metaliczny zgrzyt nieprzyjemnie zawibrował mi w uszach.

– No dobrze – powiedziała po chwili. – Proszę to u mnie zostawić, zarejestruję w dzienniku i włożę do akt z krótkim wyjaśnieniem. Ale proszę sobie za wiele po tym nie obiecywać.

– Po cóż miałbym to robić? – Wzruszyłem ramionami. – W końcu to Piekło.

Na korytarzu przystanąłem w ciemniejszej niszy, by się upewnić, czy gwizdnąłem jej z biurka właściwe rzeczy, kiedy była zajęta zbieraniem zrzuconych przeze mnie papierów. Zdobyłem w ten sposób kilka arkuszy pergaminu z oficjalnym nagłówkiem Kancelarii, ale najważniejszy był drewniany stempel, jakiego mógłby używać bohater *Opowieści wigilijnej*, tylko że zamiast „Scrooge & Marley” wyryte były na nim dwa słowa: „Ministerstwo Sprawiedliwości”.

Lepiej nie trzeba.

Tej nocy kiepsko spałem – i to wcale nie z powodu dobiegających z promenady nad laguną okrzyków bólu. Nie były gorsze niż sam smród bijący od wody, a na jedno i drugie łatwiej mi było nie zwracać uwagi niż na dziwaczne odgłosy orgietki seksualnej w pokoju nade mną.

Nareszcie byłem gotowy do przeprowadzenia, a przynajmniej rozpoczęcia akcji, dla której przybyłem do Piekła. Jeśli do tej pory choć trochę mnie poznaliście, to wiecie, że nie jestem taki durny, by za każdym razem robić te same głupstwa. Zdecydowanie wolę w tej kwestii urozmaicenie. Nie myślicie chyba, że chciałem szturmować pałac Eligora. Przeprowadziłem dyskretny, acz w miarę rzetelny rekonesans (w Piekło lojalność jest cechą nader rzadką,

a korupcja – jednym z najpopularniejszych hobby), i zdawałem sobie sprawę, że nie mogę ot, tak wparować do niego jak do supermarketu, zapakować Caz do koszyka i wyjść z nią przez kasę szybkiej obsługi. Nie zabierałem się nawet do planowania, dopóki nie zdobędę więcej informacji. Dlatego też spędziłem pół nocy na preparowaniu fałszywych dokumentów i zaświadczeń z Ministerstwa Sprawiedliwości, aż wreszcie uznałem, że efekty tej mrówczej pracy zapewnią mi wejście do jaskini wroga i jej opuszczenie ze wszystkimi najważniejszymi organami na swoim miejscu.

Kiedy pierwszy raz doprowadziłem do konfrontacji z Eligorem w jego ziemskiej siedzibie przy Five Page Mill w San Judas, nie miałem pojęcia, z kim zadzieram i w jakie się pakuję tarapaty. Teraz już to wiem. Zdawałem sobie sprawę, że potrzebuję wyjątkowo solidnego lutu szczęścia, żeby zrealizować mój cel zasadniczy, i że prawdopodobnie będę miał tylko jedno podejście. Musiałem sporządzić plan doskonały – lecz do tego niezbędna była wizja lokalna w jego zamku, zwanym Koniogardem.

Już samo zbliżenie się do niego przedstawiało nielichy problem: górne kondygnacje miały liczne połączenia z sąsiednimi posesjami, lecz wszystkie były pilnie strzeżone. Podobnie jak gmach piekielnej Rady Ministrów i większość ważnych budynków w Pandemonium, u podstawy zamek był otoczony rozległym parkiem, odgrodzonym od sąsiadów wysokim murem. Park to właściwie źle powiedziane: był to raczej nieprzebyty gąszcz drzew o krwistej korze, zamieszkały przez legiony potworków wyglądających jak skorpiony albinosy z wilczymi głowami. Przeszkody te jednak nie spędzały mi snu z powiek, gdyż zamierzałem – przynajmniej podczas tej pierwszej wizyty – wejść zwyczajnie frontowymi drzwiami.

Koniogard zajmował wieloakrową powierzchnię i tak wysoko strzelał w zadymione niebo, że nawet przy pełnym oświetleniu dziennym nie mogłem dojrzeć jego szczytu. Ogromna kamienna budowla sprawiała ponure wrażenie i w żaden sposób nie kojarzyła się z końmi, ale tutejsze nazwy rzadko odzwierciedlają cokolwiek rzeczywistego. Dla mnie ważne było tylko to, że gdzieś w jego komnatach więziona jest Caz i że muszę ją odzyskać. Ta jedna myśl trzymała mnie jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Następne kilka dni spędziłem na zbieraniu informacji (sporo forsy poszło w tym celu na łapówki), planowaniu i przygotowywaniu się do zadania. U krawca na Targu Nocnym obstałowałem sobie specjalny zestaw ubrań, odwiedziłem też kram Saada i uzupełniłem ekwipunek o parę niezbędnych drobiazgów. Cięcia już mi się zablizniły i choć moją gębą nadal można by straszyć małe niegrzeczne demonki, to przynajmniej nie rzucało się w oczy, że to świeże dzieło.

Wieczorem, w przeddzień akcji, schlałem się prawie w sztok, bo inaczej nie mógłbym zasnąć, spięty do granic wytrzymałości nerwowej. W mroku piekielnego poranka strzeliłem sobie jeszcze klina, ubrałem się starannie i wyszedłem na miasto, pogwizdując melodię z *Dobrego, złego i brzydkiego*.

No dobra, ten ostatni punkt skasujcie, wcale mi nie było do chojrakowania. Owszem, chciałbym mieć Clintę Eastwooda u boku, ale tę rolę musiałem zagrać w pojedynkę.

Dwadzieścia osiem Topielica



Chcecie rady? Jeśli jesteście misjonarzami od świadków Jehowy albo domokrażcami, nie marnujcie czasu i naskórka na wizytę w Koniogardzie. Moje fałszywki przyciągnęły więcej uwagi, niżbym sobie życzył, ale w końcu dostałem się za bramę zamku i przed oblicze szefa ochrony Eligora. Jego poprzednika, a mojego starego kumpla Howlingfella pożarła (zamiast mnie) ogromna rogata bestia z głębin Czasu – i muszę powiedzieć, że bardzo mi to wtedy odpowiadało. Nowy oberpretorianin, odrażające bydlę o imieniu Złamróg, przypominał odartego ze skóry niedźwiedzia z oczyma na szypułkach jak u ślimaka. Nigdyśmy się przedtem nie widzieli, co nie znaczy, że zostałem przywitany chlebem i solą: dobry kwadrans spędził na samym tylko obwąchiwaniu mnie. Z pewnością należało to do jego obowiązków, niemniej gdzieś w siódmej minucie zacząłem się czuć nieswojo. Musiałem jednak wypaść niezłe, gdyż niczego mi nie odgryzł, za to przyłożył mi czarny zakrzywiony pazur do czoła, jakby chciał mnie naznaczyć. Dostałem w ten sposób przepustkę upoważniającą mnie do poruszania się tylko po niższych kondygnacjach zamku, i to nie swobodnie: Złamróg polecił mi się udać do konkretnej urzędniczki, którą nazwał Topielicą.

Jak na pomieszczenie w budowli wyglądającej z zewnątrz, jakby wydalila ją gigantyczna dżdżownica, od środka zaś jak narkotyczny sen o przenicowanej renesansowej wieży, biuro Topielicy okazało się całkiem zwyczajne. Rzeczona młoda dama siedziała za antycznym drewnianym biurkiem z rodzaju, jakie ongiś zwano sekretarzykami, z mnóstwem szufladek i przegródek oraz dużym lustrem pośrodku. Niewielkie okna wychodziły na zakole Flegetonu zwane zatoką Tofet. Czarna woda kipiała na całej powierzchni, parowała i strzelała bąbelkami ognia, co sprawiało wrażenie dekoracji teatralnej. Topielica wyglądała tak, jak się mogłem spodziewać: tu i ówdzie spuchnięta, choć ogólnie szczupła, co podkreślały długie, proste włosy opadające mokrymi pasmami na sinobiałe ramiona i gors przemoczonej sukni o kroju średniowiecznym. Jej wodniste oczy emanowały inteligencją. Patrzyły na mnie badawczo (i trochę niechętnie), ale od czasu do czasu uciekały pod górną powiekę, co nadawało dziewczynie realistycznie trupi wygląd.

– Jestem Marmora – przedstawiła się. Zabrzmiało to tak, jakby wciąż miała wodę w płucach.
– Jak wynika z waszych dokumentów, mam przyjemność z panem... Pseudolusem z Prespy – odczytała z podsuniętego przeze mnie pergaminu. (Uznałem, że Wężowij wkurzył już zbyt wielu ważniaków, żeby próbować się wkręcić do zamku pod tym imieniem). – Jaką macie sprawę do jego wysokości arcyksięcia Eligora?

Chcę mu urwać jego arcyksiążęce jaja, cisnęło mi się na język. Głośno zaś powiedziałem:

– Chodzi o mojego byłego kolegę, zmarłego prokuratora Grasswaxa. Przysyła mnie Sekta Kłamców. Chciałbym jego wysokości zadać kilka pytań na ten temat.

– Na to nie ma szans. – Jej uśmiech sprawiał tym upiorniejsze wrażenie, że z kącika ust wypłynęła jej strużka jakiegoś płynu. – Jego wysokość jest za bardzo zajęty, żeby przyjmować takich jak wy.

– Rozumiem... – Nie oczekiwałem, a nawet nie chciałem audiencji. Wystarczał mi sam pobyt w zamku i możliwość rozejrzenia się. – A do kogo w takim razie mogę się zgłosić?

– Do nikogo. – Odsunęła pergamin po błacie w moją stronę. Palce miała tak miękkie od

wody, że zostawiła na dokumencie parę skrawków skóry. – Grasswax nigdy nie pracował dla jego wysokości.

– Ale często u niego bywał i, jak mi mówiono, wykonywał dla arcyksięcia różne, hmm... nieoficjalne zadania.

– To bez znaczenia. Jego wysokość was nie przyjmie, a nikt inny tu wam nie udzieli żadnych informacji na temat... nieoficjalnych kontaktów naszego pana. Szukajcie szczęścia gdzie indziej.

– Wbiła we mnie wzrok na długą, dziwnie intymną chwilę, choć trudno było cokolwiek odczytać w tych chmurnych, niezdrowych oczach. – Nie chciałabym wzywać Złamroga i strażników, aby was odprowadzili, ale zrobię to, jeśli będzie trzeba.

Powiedziała to zupełnie serio, co było miłe z jej strony, lecz psuło mi szyki. Liczyłem, że uda mi się zostać dłużej i może nawet z grubsza ustalić, gdzie trzymają Caz. Stałem zakłopotany, miętosząc w rękę moje fałszywe papiery i zastanawiając się, jak zagrać dalej. Już miałem wybierać między zapytaniem o toaletę dla interesantów a symulowanym zawałem, kiedy w pokoju rozległ się metaliczny sygnał, jakby ktoś przełamał długi sopel lodu. Marmora spojrziała w swoje lustro.

– Tak, hrabino?

Nie muszę chyba mówić, że nerwy mi się w okamgnieniu napięły jak struna gitary. Cofnąłem się o parę kroków od biurka i przesunąłem w bok, jakbym chciał dać jej trochę prywatności; w rzeczywistości jednak szukałem miejsca, skąd mógłbym zobaczyć, z kim rozmawia.

W lustrze ujrzałem jej twarz. Jej oszałamiająco cudną buzię. Nie słyszałem, co mówi, choć Topielica najwyraźniej nie miała z tym problemu – ale to było nieważne. To była ona, moja Caz, po tak długim czasie wreszcie w moim zasięgu, a zarazem tak niedostępna. Dość by było odepchnąć Marmorę, przypaść do biurka i już mógłbym rozmawiać z ukochaną. Nie zamierzałem naturalnie robić nic równie głupiego, ale jakże tego pragnąłem! Miałem ją na wyciągnięcie ręki, tę samą przepiękną, przerażającą istotę, którą pierwszy raz spotkałem w miejscu śmierci Edwarda Walkera, z krwistoczerwonymi oczyma i w ogóle. Wyglądała jednak teraz na bardzo zmęczoną, blada i z zapadniętymi policzkami. Z daleka było widać, ile wysiłku kosztuje ją ta zwykła rozmowa z sekretarką. Boże, jak ja do niej tęskniłem! Przemóżna siła pchała mnie, bym wymknął się z biura i zaczął jej szukać, wiedziałem jednak, że byłoby to równoznaczne z samobójstwem najgorszego rodzaju.

– Oczywiście, hrabino, wszystko zorganizuję – mówiła Marmora. – Kiedy chciałaby pani pójść do cyrku? W pierwszą noc Wilka? Załatwione. Ile będzie osób?

Patrzyłem na poruszające się usta Caz i zastanawiałem się, gdzie może być w tej chwili. Tantalowi w najgorszych koszmarach się nie śniło o takich mękach. Czy zdołałbym ją odnaleźć i z nią uciec? Tu i teraz?

– Czy życzy pani sobie miejsca od strony placu Leopolda? – pytała dalej sekretarka. Jej głos brzmiał dziwnie, jakby na miarę swojego niskiego stanowiska dystansowała się od rozmówczyni. Czy po prostu nie lubiła hrabiny Zimnorekiej, czy może toczyła się tu jakaś bardziej skomplikowana gra? I co to zresztą mnie obchodzi? – Dobrze, w takim razie wejście od Leopolda. Postaram się to załatwić jak najszybciej, milady.

Twarz Caz zniknęła z lustra. Podziękowałem Topielicy za pomoc, co skwitowała nieufnym spojrzeniem. Przypomniało mi to, że w Piekło takie zwroty grzecznościowe nie są na porządku dziennym.

– Lepiej dalibyście sobie spokój z tą sprawą, panie Pseudolus, i wrócili na niższe poziomy – rzuciła za mną, gdy odchodziłem. – Tu jesteście tylko myszą dla kotów Pandemonium.

Myślę, że w ten sposób chciała okazać mi sympatię.

Gdy tylko usłyszałem wzmiankę o cyrku, od razu się domyśliłem, gdzie Caz się wybiera

w pierwszą noc Festynu Wilka – czyli już za parę dni. Festyn Wilka to impreza najbliższej odpowiadająca pojęciu święta w Piekło, wielka publiczna orgia krwawych rozrywek i gorszych niż na co dzień występów. Musiało chodzić o cyrk Kommodusa, czerwonomiejski odpowiednik Madison Square Garden czy londyńskiego Wembley. To mogła być dla mnie jedyna szansa porozmawiania z Caz poza murami Konioardu, a być może także jej porwania. (Tak jest, przyznaję się, że nawet na tym późnym etapie myślałem o tej eskapadzie w kategoriach romantycznych, mimo iż hrabina co najmniej dorównywała mi siłą i Piekło znała o wiele lepiej, niż ja kiedykolwiek mógłbym je poznać. Znaczący na tym akurat mi nie zależało...). Pora więc zmienić taktykę.

Plac Dis Pater to największa przestrzeń publiczna w Pandemonium, prawdziwe serce miasta. Ale tak jak centrum Paryża zaczyna się przy Notre Dame, a kończy pod Łukiem Triumfalnym, tak tutaj ciągnie się ono wzdłuż całej via Dolorosa – szerokiej, ponurej arterii, wzdłuż której zwycięscy piekielni wodzowie odbywali pochody triumfalne. Cyrk, zwany też amfiteatrem Kommodusa, znajduje się na jej przeciwnym końcu, przy placu Leopolda. Nosi imię jednego z najgorszych cesarzy rzymskich, psychopatycznego mordercy w stylu Kaliguli i Nerona, ale w przeciwieństwie do tego drugiego nigdy nie próbował oszukać Piekła – i może dlatego poświęcono mu jedną z ważniejszych budowli Pandemonium, a nie jakiś tam zapomniany most gdzieś w niższych kręgach, i zapewne nikt mu nie każe śpiewać arii pod gradem kamieni.

Przeprawa promem na drugą stronę zatoki Tofet kosztuje dwa żelaźniaki, ale trwa znacznie krócej niż marsz piechotą, a nie chciałem korzystać z zatłoczonych, rozklekotanych pociągów. Na przystani przy placu Leopolda znalazłem się jeszcze przed zapaleniem drugiej latarni, na zwiad miałem więc całe popołudnie. Amfiteatr był zamknięty, ale stróż mnie wpuścił za drobną opłatą i mogłem się spokojnie rozejrzeć. Po męczącej wspinaczce kamiennymi schodami zacząłem oględziny od górnej trybuny.

Cyrk Kommodusa jest bliźniaczo podobny do rzymskiego Koloseum, tylko z pięć razy większy. Głowy bym za to nie dał, ale mieści chyba kilkaset tysięcy widzów. Wokół całej areny biegnie tor wyścigowy, pośrodku zaś znajduje się odrębne boisko przeznaczone przypuszczalnie na walki gladiatorów. Piasek zarówno na torze, jak i na arenie był rdzawy od zakrzepłej krwi.

Część miejsc w niższych rzędach pośrodku bieżni jest osłonięta dachem z naciągniętej białej skóry, przypominającym skrzydła pterodaktyla. Ponieważ w Piekło słońca nie ma, domyśliłem się, że to łoża dla VIP-ów, a dach ma ich osłaniać przed wzrokiem ciekawskiego pospólstwa, albo raczej plwocinami i różnego rodzaju pociskami.

Kręciłem się po amfiteatrze na tyle długo, by zapamiętać jego rozkład, zwracając szczególną uwagę na wyjścia, potencjalne kryjówki oraz dobre i złe miejsca na desperacką ostatnią redutę. Do „Czarnego Strusia” dotarłem na godzinę przed ostatnią latarnią i od razu palnąłem się na łożko, by odpocząć i raz jeszcze wszystko przemyśleć. Nie było to łatwe. Za każdym razem, gdy udawało mi się skupić, przed oczyma stawała mi twarz Caz w lustrze Marmory i myśli rozsypywały mi się jak kręgle. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będę kogoś pragnął tak mocno, a to, że praktycznie nie miałem żadnych szans jej odbić, tylko podsycalo mą obsesję. W końcu usnąłem i oczywiście przyśniła mi się. We śnie wciąż powtarzała, bym o niej zapomniał i wrócił, skąd przyszedłem, ale ja za nic nie chciałem się jej wyrzec, więc podążyłem za nią w nieskończoną ciemność.

Co się dzieje w cyrku Kommodusa w pierwszą noc Festynu Wilka? Dokładnie to, czego się można spodziewać po święcie w Piekło na oczach ćwierci miliona demonów: jedna wielka okropność.

Zacząło się od rytualnego uboju i ćwiartowania dziesiątek zwierząt i potępieńców – rozrywki, jaka nie zdziwiłaby przeciętnego Rzymianina, tylko że tutaj ofiary nie znajdowały ulgi

w śmierci. Potem odbywały się wyścigi z kulminacją w postaci Biegu Likejona, który wzbudził największe ożywienie wśród bukmacherów i hazardzistów. Bieżnię wokół boiska zamieniono w tor przeszkód pełen najróżniejszych twardych, ostrych, gorących przedmiotów, a potem wypuszczono na nią około stu nagich grzeszników. Ich zadaniem było zrobić jedno pełne okrążenie (na oko nie mniej niż dwie mile), pokonując nie tylko „konwencjonalne” przeszkody, jak zasieki z drutu kolczastego, sadzawki płonącej nafty, a nawet pola minowe, lecz także zastępy uzbrojonych demonów i hordy drapieżników.

Było dla mnie oczywiste, że w tym wyścigu nikt raczej nie zwycięży. Moją uwagę przykuł jednak ogólny stan biegaczy. Wszyscy nosili ślady okaleczeń, wielu było garbatych i powykręcanych; u niektórych zauważyłem kończyny o wyraźnie różnej długości lub duże niezagojone rany, pozszywane byle jak. Przyczynę tego stanu rzeczy poznałem wkrótce po rozpoczęciu wyścigu. Kiedy pierwsi zawodnicy tracili ręce lub nogi w pułapkach lub zębiskach krwiożerczych bestii i nie mogli biec dalej, demony ściągały ich z bieżni na bok i dyżurni felczerzy przyszywali im na chybcika co popadło ze zgarniętych kończyn – rzadko kiedy ich własne – a resztę załatwiała iście diabelska zdolność regeneracji ciał.

Wyścig był tak makabryczny, jak możecie sobie wyobrazić, i widownia była zachwycona. Szczególną owacją powitano incydent, kiedy lidera nadział na kiel żywy szkielet mastodonta, podrzucił go w powietrze, zdeptał jak truskawkę i splaszczoną trupa uniósł triumfalnie trąbą i pomachał jak zdobytym porpcem.

Wykorzystałem ten tumult, by niepostrzeżenie przesunąć się z mojego taniego sektora bliżej łoża centralnej (gdzie miałem nadzieję zobaczyć Caz). U obnośnego sprzedawcy kupiłem torebkę jakiegoś paskudztwa – miał w ofercie papierowe tutki pełne wijących się solonych robaków – aby usprawiedliwić tę zmianę miejsca, po czym od niechcienia zszedłem schodami do przejścia na tyłach łoża.

Serce zabiło mi mocniej, gdy w panującym w niej cieniu dostrzegłem błysk platynowożłoty włosów. Caz siedziała obok Eligora. Aż mnie ręka śwędziała, żeby doń podbiec i zrobić mu małe „witamy w teatrze, mister Lincoln”, ale nie miałem żadnej broni, którą mógłbym zrobić mu krzywdę większą niż drobne skaleczenie, nie mówiąc już o pokonaniu jego ochrony i równie jak on potężnych piekielnych arystokratów.

Dwaj biegnący na przedzie zawodnicy zdierali sobie nawzajem pazurami skórę z twarzy, co wywołało entuzjastyczną reakcję i trącanie się kielichami wody ognistej nawet wśród personatów pod daszkiem. Ja nie mogłem oderwać oczu od Caz. W pewnej chwili nachyliła się lekko do towarzysza i coś mu powiedziała; Eligor rzucił jej pogardliwe spojrzenie, potem skinieniem głowy dał komuś jakiś znak. Dwóch masywnych, szaroskórych osiłków podniosło się z krzeseł. Poznałem ich od razu: byli to moi starzy znajomi z San Judas, Cukierek i Cynamon – wtedy ochroniarze hrabiny Zimmorękiej, dziś z pewnością tylko jej więzienni dozorczy.

Stałem wpatrzony w te kochane, posępne rysy, gdy mnie mijała zaledwie o parę metrów, z obu goryłami po bokach tak blisko, że musieli chyba dotykać jej łokci. Caz ruszyła schodami ku górnym trybunom i długo nie mogłem się zorientować, co zamierza. Jednakże gdy dotarła na wieniec amfiteatru, po prostu zatrzymała się przy balustradzie tyłem do areny i zapatrzyła gdzieś w dal ponad miastem, jak gdyby udawała, że jest gdzie indziej. Powietrze musiało tam być równie smrodliwe jak wszędzie, ale najwyraźniej lepsze niż u boku Eligora.

Cukierek i Cynamon popatrzyli na nią z irytacją, po czym odsunęli się o jakieś dziesięć metrów w bok, by mieć lepszy widok na boisko, nie zapominali jednak o swej roli i cały czas mieli ją na oku. Nie ulegało wątpliwości, że Caz jest tu więziona, i przypuszczalnie tak było przez cały ten czas, kiedy ja siedziałem na tyłku w moim bezpiecznym i wygodnym świetle na Ziemi i się zastanawiałem, czy mam jej szukać. Nie bardzo byłem z siebie dumny w tej chwili.

Przeszedłem wzdłuż trybuny do następnych schodów i też wdrapałem się na najwyższą kondygnację, ale o kilkadziesiąt metrów dalej. Między nami stały tam dziesiątki innych widzów. Kiedy jeden z zawodników wpadł w płomień, ale mimo to biegł dalej jak żywa, wrzeszcząca pochodnia – co oczywiście wprawiło publiczność w euforię – wychyliłem się na chwilę ponad balustradą, żeby sprawdzić, czy da się jakoś przemieścić po zewnętrznej stronie.

I wreszcie szczęśliwy traf: na ścianie w niewielkich odstępach zamocowane były uchwyty na flagi, transparenty albo może jakiś rodzaj wiatrochronu, a ze dwa metry poniżej krawędzi muru ciągnął się wąski gzymś, zapewne dla robotników. Oczekałem na następny wybuch radości na widowni (co nastąpiło, gdy roześmiany demon zaczął gasić ubranie na płonącym biegaczu za pomocą pałki), zwinnie prześliznąłem się za poręcz i na rękach opuściłem na ową kamienną półkę. Okazała się węższa i mniej solidna, niż to wyglądało z góry.

Krok za krokiem przesuwalem się wzdłuż ściany, wczepiony z całych sił palcami w płytkie szczeliny między ceglami, póki nie znalazłem się w pobliżu miejsca, gdzie stała Caz. Miałem nadzieję, że jej dozorczy nadal trzymają się od niej na dystans. Z trudem podciągnąłem się za najbliższy uchwyt do krawędzi i zawisłem tak ze stopami o dobre trzydzieści centymetrów nad gzymsem. Ostrożnie wyjrzałem ponad balustradę. Trafiłem w dziesiątkę: tuż obok zobaczyłem jej dłonie oparte na poręczu i czerwony odblask latarni na jej niemal białych włosach.

Zsunąłem się na półkę, niewidoczny dla niej ani dla nikogo.

– Caz! – zawołałem cicho. – Hrabino!

Żadnej odpowiedzi. Podciągnąłem się znów wyżej na drżących z wysiłku rękach.

– Caz!

Zerknęła szybko w moim kierunku i jeszcze szybciej odwróciła głowę. Kątem oka widziałem, że obaj goryle zajęci są rozmową i nawet nie patrzą w jej stronę.

– Kimkolwiek jesteś... – dobiegł mnie jej nerwowy szept – ...odejdz. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak źle trafiłeś.

– O, doskonale to wiem – wszedłem jej w słowo. Mięśnie zaczynały mnie boleć nie na żarty.

– Odczułem to na własnej skórze. Już raz nasłał na mnie tę rogatą bestię z Tartaru, pamiętasz?

Drgnęła, jakby ją coś ukłuło. Na moment zwróciła ku mnie twarz bladą jak księżyc.

– Odejdz – powtórzyła, choć może tylko mi się tak wydawało. Ledwo słyszałem jej głos w ogólnym zgiełku.

– Czy już mnie zapomniałaś, Caz? – Rozpaczliwie pragnąłem puścić uchwyt i dać rękom odpocząć, ale to była ONA! Byłem przy niej i rozmawiała ze mną! – Twój medalion mnie uratował, wiesz? Nie miałem jak ci tego powiedzieć. Żyję tylko dzięki niemu.

Znieruchomiała jak posąg. Przez długie sekundy bałem się, że coś się jej stało. Że jej dusza uciekła z ciała. Gdy się wreszcie odezwała, patrzyła w drugą stronę.

– Nie wiem, kim jesteś, ale jeśli powiesz jeszcze choć słowo, zawołam strażników, a potem arcyksiążę Eligor każe ci obdrzeć ze skóry i przerobić twoje kości na wykałaczki. Rozumiesz? Zostaw mnie w spokoju! – Odwróciła się i ruszyła ku schodom. Wyraźnie wkurzeni jej nagłym manewrem Cukierek i Cynamon pobiegli za nią i zasłonili mi widok niczym mur z szarych mięśni.

Zostałem sam, zawieszony na ścianie jak wielki, zdychający gekon.

Dwadzieścia dziewięć Powiew Nieba



Jej słowa i tak obojętne odejście odczułem, jakby tornado zatrzymało się na mej piersi, wyłamało żebra i zniszczyło we mnie wszystko, a potem spokojnie odpłynęło w swoją drogę. Słyszałem ryk publiczności uszczęśliwionej następną „komiczną” scenką na bieżni, ale był to już tylko szum bez znaczenia. Byłem tak wstrząśnięty, że ledwo mogłem myśleć.

W końcu do głosu doszedł instynkt samozachowawczy. Nie mogłem przecież do rana tak sobie wisieć na fasadzie amfiteatru. Czepiając się cegieł jak pajak, przesunąłem się do punktu wyjścia. Rozejrzałem się z ukrycia, w dogodnej chwili przepełznąłem na drugą stronę i stanąłem oparty o balustradę. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, gdyż Bieg Likejona akurat wszedł w fazę finałową: dwaj ostatni zawodnicy, każdy uzbrojony w długi nóż, klęczeli na piasku twarzami do siebie, nie mogąc dobrać do mety, jeśli się nie pozbędą rywala. Z trybun leciały na arenę kamienie, flaszki po wodzie ognistej i inne pociski; kibice starali się wesprzeć swojego faworyta przez atak na jego przeciwnika albo po prostu chcieli dowalić im obu.

Opadłem ciężko na wolne miejsce na ławie, łapczywie chłonąc przesycone znajomym odorem powietrze. Zaczynałem się czuć w Piekło jak na właściwym miejscu: jeszcze jeden użalający się nad sobą palant bez wiary i nadziei. Spieprzyłem całą sprawę i nawet nie wiedziałem, w jaki sposób. Dostałem od losu jedną jedyną szansę na spotkanie z ukochaną, a ona pokazała mi plecy. Ba, nawet zagroziła, że wyda mnie Eligorowi, jeśli nie zostawię jej w spokoju. To się nazywa zgnoić faceta!

I wtedy to do mnie dotarło: oczywista rzecz, którą przeoczyłem. Pomyślałem chwilę, wstałem i wróciłem na górę. Na bieżni jednemu z nieszczęśników udało się poderżnąć gardło drugiemu i właśnie czołgał się naprzód, zostawiwszy go w rosnącej czerwonej kałuży. Podniecenie widzów sięgnęło zenitu. Byli jak rekiny: im więcej krwi, tym silniejsze zainteresowanie.

Przysiadłem na kamiennym podłożu o metr od miejsca, gdzie przedtem stała Caz. „Odejdź”, powiedziała co najmniej dwukrotnie, ale sama nie ruszyła się w stronę swoich strażników; ledwie na nich zerknęła. Dlaczego ignorowała potencjalne zagrożenie? Czemu choćby nie podniosła głosu, żeby przyciągnąć ich uwagę? To chyba jasne: rozpoznała mnie i dobrze wiedziała, że jestem zdolny popełnić aż takie głupstwo. Może chciała mnie chronić przed moją własną lekkomyślnością? Czego ja się spodziewałem – że rzuci mi się radośnie w ramiona na oczach całego Piekła, gdy Eligor siedział zaledwie o kilka rzędów niżej? Caz jest na to za sprytna.

Udając żywe zainteresowanie finiszem ostatniego jeszcze zdolnego do pełzania uczestnika Biegu Likajona, rozejrzałem się uważnie wokoło w poszukiwaniu jakiegoś znaku, może karteczki albo klucza, który mogła niepostrzeżenie upuścić – jakiejś podpowiedzi, co mam robić dalej, ale widziałem tylko kurz i śmieci. Zaryzykowałem nawet obejście tego miejsca na czworakach i przeszukałem każde pęknięcie w starych kamieniach – i nic.

Znów ogarnęła mnie rozpacz. Przez chwilę byłem pewny, że Caz chciała mnie przestrzec, abym poczynał sobie rozważniej; że może potrzebuje więcej czasu, może spotkania w bardziej odludnym miejscu, teraz jednak uwierzyłem, że pierwsze wrażenie było prawdziwe: albo o mnie zapomniała, albo nie chciała mnie znać. Po tym wszystkim, co przeszedłem, żeby tu dotrzeć, dostałem kopa w tyłek i tyle.

I wtedy to spostrzegłem. Trudno było ją zauważyć, bo zlewała się z tłem: długa nitka o jeden odcień jaśniejsza od bazaltowej poręczy, zatknięta w szparę na wysokości pasa. Ostrożnie ująłem ją w dwa palce i uniosłem. Włókienko było bardzo delikatne; z pewnością pochodziło z tkaniny, która drogo by kosztowała nawet na Ziemi, a tym bardziej tu, na Dole. Oba końce zwisały jednakowej długości odcinkami, jak gdyby ktoś celowo tak ułożył nitkę. Jeśli zrobiła to ona, co mogłem z tego odczytać?

Oczywiście, że to Caz musiała ją tu zostawić, bo niby kto inny? Mówimy o kobiecie, która potrafiła zwędzić Eligorowi złote anielskie pióro, a potem, pod jego spiczastym nosem, podrzucić mi swój srebrny medalion. Bez wątplenia ta nitka to znak dla mnie. Chciała, żebym dzięki niej ją odnalazł. W żadne inne wytłumaczenie bym nie uwierzył.

Trybuny znów wezbrały wrzawą. Pokonany rywal z podciętym gardłem dogonił pełznącego ku mecie lidera, zatopił mu zęby w łydce i przegryzł ścięgno. Przegrał wyścig, ale nie chciał pozwolić, żeby tamten go ukończył. Swą postawą zaimponował chyba kibicom, dla których – jak dla większości mieszkańców Dołu – psucie szyków bliźnim jest solą życia; gromkim aplauzem zagrzewali do walki wykrwawionych i coraz słabszych zawodników. Obydwaj ruszali się coraz wolniej, aż wreszcie znieruchomieli na piasku kilka metrów przed linią mety. Spod łoży centralnej maszerowała już ku nim drużyna demonów z Sekty Zbrodniarzy zbrojnych w masywne widły. Nie wyglądało na to, że którykolwiek z uczestników biegu zostanie odprowadzony do zagrody.

Nie zamierzałem przyglądać się zakończeniu. Byłem już na schodach, w drodze na Targ Nocny.

Paser Saad podniósł do oka pękniętą soczewkę, którą nosił na sznurku jak naszyjnik. Obejrzał dokładnie nitkę pod światło ze wszystkich stron i położył mi ją na dłoni.

– Garściaka – ocenił.

– Ale ona nie jest na sprzedaż. Chcę się tylko dowiedzieć, co to jest... a raczej, skąd pochodzi.

– Wiem. – Saad obliznął spierzchnięte wargi czarnym węzowym językiem. – I właśnie ta informacja kosztuje u mnie garściaka. – Popatrzył na mnie z rozbawieniem. – Nie myślałeś chyba, że powiem ci za friko, co? Ha! Za darmo to ja na nikogo nawet nie nasram.

Z pieniędzy Very sporo mi jeszcze zostało, sama cena więc mnie nie odstraszała, nie chciałem jednak, żeby ktokolwiek na bazarze wiedział, że jestem stosunkowo dzianym gościem – jałem się więc targować tak zawzięcie, że doprowadziłem pasera niemal do furii. Nawymachiwał się większością odnóży, ale w końcu zgodził się wziąć tylko cztery żelaźniaki. Wierście mi, w Piekło handryczenie się o każdy grosz to tylko przejaw zdrowego rozsądku – coś jak na biwaku trzymanie żywności w hermetycznych pojemnikach, żeby niedźwiedź wam w nocy nie wlaź do namiotu. Właściwie to nawet dokładnie to samo, tylko że z misiem łatwiej się dogadać niż z kimkolwiek tutaj, kto miałby chrapkę na twój trzos.

Zainkasowawszy monety, Saad skierował mnie na drugi koniec targu, do składu jedwabiu niejakiego Hana Fei. Ów niezbyt przyjemny dżentelmen, importujący towar z kręgów Flegetonu, powiedział mi kilka ciekawych rzeczy. Materiał ten jest tak drogi, gdyż tką się go z nici produkowanych przez prawdziwe jedwabniki, w każdym razie takie, jakie da się hodować w Piekło. Później się dowiedziałem, że „jedwabnikami” nazywa się zwykłych niewolników odrodzonych pod nową postacią właśnie w tym celu, a cenny produkt jest czymś w rodzaju skutku ubocznego zadawanych im tortur.

Słuchałem wykładu Hana Fei o piekielnej gospodarce i hodowli przez cały jego obiad z dziewięciu dań. Kiedy kończył deser z glazurowanych w miodzie gałek ocznych, byłem już wyczerpany. Noc miała się ku końcowi, a choć wyszedłem od niego z listą kilku sklepów

specjalizujących się w jedwabiu, było już za późno lub raczej za wcześnie, by je odwiedzić. Począpiałem z powrotem do mojej oberży nad laguną, wyciągnąłem się na przepoconym, niewygodnym materacu i starałem się zasnąć.

Jak na ironię nie śniłem tej nocy o Caz.

Następnego ranka, w godzinę od wyjścia, wyeliminowałem połowę firm wymienionych przez Hana Fei. Wszystkie były wielkimi składami oferującymi nie tylko jedwab, lecz także egzotyczne skóry i całą gamę innych rzeczy, bez których nie może się obejść żaden szanujący się piekielny elegant. Jeżeli Caz chciała mnie skierować do jednego z nich, to dała mi za mało informacji. Jak w większości interesów w Piekło, kupcy bławatni prowadzili księgi tylko w głowie i nawet za łapówkę nikt by nie wyjawiał obcemu listy swoich klientów.

Więcej szczęścia miałem w jednym z mniejszych magazynów. Niechlujna stara kobieta o twarzy jak pęczek zszytych korzeni pietruszki i palcach przypominających suche gałązki stwierdziła, że moja próbka to rzadki okaz: takiego barwnika nie używał już nikt poza „Chateau Machecoul”, jednym z najbardziej ekskluzywnych butików w Pandemonium. Powiedziała mi to bez zapłaty, co od razu wzbudziło we mnie podejrzliwość, ale też zaraz obrzuciła krytycznym spojrzeniem moje ubranie i orzekła, że takiego wieśniaka nawet tam nie wpuszczą, więc się trochę uspokoiłem. Tak już tu jest, że jeśli ktoś cię nie przeklina, nie wyszydza lub zwyczajnie nie obsobacza, to warto sprawdzić, czy przypadkiem nie wbił ci już noża w plecy.

Na takie dictum poprosiłem ją, żeby mi doradziła parę ciuchów, które mogłyby ułatwić mi wstęp do takiej świątyni mody. Perspektywa wyłudzenia ode mnie forsy od razu nastroiła ją przychylniej i ze trzy kwadransy przebierała w konfekcji, zanim w końcu dobraliśmy odpowiedni zestaw, w którym nie wyróżniałbym się w tłumie statystów na planie *Piratów z Karaibów*. Zapewniła mnie gorąco, że się prezentuję jak największy pandemoński dandys; przejrzawszy się w metalowym zwierciadle, prawie się z nią zgodziłem. Jeszcze jeden powód, by wiać stąd jak najprędzej.

Nie byłem taki głupi, żeby od razu pomaszerować do „Machecoul”. W Piekło, podobnie jak w Bel Air czy Malibu, pałętanie się po ulicach piechotą jest równoznaczne z obwieszczeniem wszem i wobec, że z ciebie ostatni nędzarz – tyle że tutaj dodatkowo oznacza to, iż każdy wyżej postawiony może cię zatłuc lub wręcz pożreć. Wziąłem więc taksówkę (coś w rodzaju parowego kraba na wielkich, kolczastych kołach) i kazałem się zawieźć na róg ulic Torquemady i Ranavalony w dzielnicy Tumbrel, gdzie według zebranych informacji chadzają na zakupy głównie kochanki i kochankowie potężnych demonów. Byłem skłonny w to uwierzyć, ponieważ większość napotykanych osób była albo do przesady piękna, albo jakby specjalnie zdeformowana w specyficznie seksualny sposób.

Gdy tak patrzyłem na to targowisko próżności i erotyzmu, nagle nasunęło mi się pytanie, czy obłądna uroda mojej ukochanej jest jej własnym wyborem, czy może raczej Eligora? Piekielna elita wyraźnie ma hopla na punkcie jak najbardziej ludzkiego wyglądu. Widziałem to w kręgu Very, a jeszcze bardziej rzucało się to w oczy tutaj, na wypielegnowanych skwerkach, przed kuszącymi wystawami i w lokalnych odpowiednikach modnych restauracyjek. Mówię:

„odpowiednikach”, bo na Ziemi nawet konający z głodu żebrak nie wzięłby do ust takiego świństwa, jakie się tu serwuje. Obojętnie, jak byłbyś bogaty, w Piekło nie skosztujesz niczego dobrego z tej prostej przyczyny, że tu nic dobrze nie smakuje i kropka. Może to wyglądać jak najlepsze wino i *nouvelle cuisine*, a w ustach poczujesz tylko ocet i popiół. Jedyne, co tu da się zjeść bez odrazy, to wszechobecne przetwory z asfodeli, karmy żywych trupów – a i one w najlepszym razie są nijakie w smaku jak opłatek.

„Chateau Machecoul” niczym się z zewnątrz nie różnił od sąsiednich butików: salonu jubilerskiego i sklepu z odzieżą męską z gatunku ostrych i spiczastych. Starym budynkiem

z suszonej cegły dodawały szyku markizy, wykusze okienne i girlandy świateł – naturalnie elektrycznych, jako że w Pandemonium dostęp do elektryczności jest oznaką zamożności. Byłem pewien, że jej produkcja związana jest z jakąś okrutną męczarnią potępieńców.

Sklep był zamknięty. Zastukałem do drzwi i chwilę później uchyliły się zapraszająco, lecz za nimi nie zobaczyłem nikogo.

Tkaniny były za to wszędzie: zrolowane na ladach i półkach, wiszące całymi kuponami na ścianach jak zachodzące na siebie kotary, udrapowane na manekinach (w każdym razie miałem nadzieję, że to tylko manekiny). Brakowało tylko klienteli, krawców, ekspedientów.

– Jest tu kto? – zawołałem przyciszonym głosem, wchodząc do środka z dłonią odruchowo zaciśniętą na rękojeści noża w kieszeni.

Coraz bardziej pachniało to pułapką; wiecie, jak w tych filmach o mafii, kiedy konsument podnosi wzrok znad talerza *tagliatella carbonara* i stwierdza, że z restauracji zniknęli wszyscy pozostali goście. Gdy poczułem na ramieniu lekkie dotknięcie, obróciłem się jak oparzony, gotów ciąć na oślep. Tylko że ręka mi sama opadła, bo za mną stała ona.

Caz takiej pewności mieć nie mogła – przy naszym ostatnim spotkaniu w San Judas wyglądałem zdecydowanie inaczej – ale patrzyła mi prosto w oczy bez obawy.

– Bobby...?

– To ja, Caz!

– Ty cholerny idioto! – wybuchnęła.

I uderzyła mnie. Prosto w dziób i tak solidnie, że aż mi łeb odskoczył. Ile razy spotykałem tę kobietę, kończyło się na mordobiciu. Sami przyznacie, że to nie grunt dla idealnego związku.

– Auuu! Co ty robisz, do diabła! – zakląłem zgoła nie po tutejszemu, zaciskając palcami nos, by nie pokrwawić sobie nowego przyodziewku. Ale w następnej chwili przywarła do mnie ciasno i po chwili oboje byliśmy już umazani na czerwono. To było takie nierealne. Tyle czasu minęło! – Dlaczego zawsze mnie bijesz? – wymamrotałem z ustami tak mocno przyciśniętymi do jej warg, że musiało to zabrzmieć jak pomruk jaskiniowca.

– Nie powinieneś być tu przychodzić! Nie powinieneś! – Oderwała twarz ode mnie. Po policzkach ciekły jej łzy, zamarzające na lodowatej skórze w małe, lśniące cekiny. – Zabiją cię, Bobby. Nic nie możesz dla mnie zrobić, więc wracaj do domu, zanim on cię dopadnie.

Mówiła to jednak, tuląc się do mnie jak desperatka. Ja tymczasem zdążyłem już rozpiąć jej sukienkę i ściągnąłem ramiączka, odsłaniając jej różane sutki. Och, żeby tak mieć dwie głowy jak bracia Gagsnatch... chwyciłbym wtedy w usta oba naraz – a tak to musiałem działać na przemian.

– Bobby, nie... – jęknęła, ale jej ręce już wyciągały mi poły koszuli ze spodni i wczepiały się w plecy, jakby chciała wcisnąć się we mnie i przeniknąć na wskroś.

Widziałem w jej oczach gniew i strach, ale ani na moment mnie nie odepchnęła. Jej głód dorównywał mojemu. To raczej ja miałem moment zawahania, gdy ujrzawszy moje czarno-szare demonie łąpska na alabastrowej doskonałości jej ciała, poczułem się, jakbym ją brukał, bezczęścił, wręcz gwałcił i zdradzał zarazem – jej to jednak najwyraźniej nie przeszkadzało. Po paru uderzeniach serca i ja przestałem się przejmować. To w końcu była tylko powłoka, opakowanie mojej duszy, a dla niej nie liczyło się nic poza Casimirą, hrabiną Zimnoreką. To było moje *prawdziwe* ciało, tu i teraz – i gdy ów moment niepewności minął, tak je właśnie czułem i odbierałem.

Osunęliśmy się na dywan, gorączkowo zdzierając z siebie ubrania, cały czas zwarci w uścisku, żądni tylko zatracenia się w sobie wzajem. Wszystko, co mnie do tej pory spotkało, i to, co mnie jeszcze czekało – zdrady, cierpienia, śmierć – rozplynęło się w nicość. Ani przez myśl mi przeszło, że uprawianie seksu w jednym z najsłynniejszych przybytków mody w całym Piekło nie jest szczytem dyskrecji – cały wszechświat przestał wtedy istnieć i zostaliśmy tylko

my dwoje, od tak dawna rozdzieleni, lecz nigdy naprawdę nie osobno, cały czas płonący wzajemnym pożądaniem. Może to nie brzmi zbyt sensownie, ale kto choć raz coś takiego przeżył, ten wie. Z naszego potu, dotyku i zduszonych okrzyków wznosiliśmy katedrę miłości w najgorszym z możliwych miejsc i nie było w niej nikogo prócz nas.

Na którymś etapie daliśmy spokój ubraniom; zdjęliśmy ich już z siebie wystarczająco dużo, bym mógł wreszcie zanurzyć się w niej po korzenie. Moje diabelskie ciało, jak się szybko przekonywałem, reagowało dokładnie tak jak ziemskie. Jak widać, uczeni mają rację: najważniejszym organem seksualnym jest mózg.

Caz zeszytniała i jęknęła z rozkoszy, a jej paznokcie wbiły mi się w skórę jak dziesięć malutkich sztyletów; to jednak tylko mnie bardziej podnieciło, tak po zwierzęcemu, dziko, zachłannie. Tym silniej i głębiej drażyłem, ocierałem się twarzą o jej zimną skórę, chłonąc jej wonie łapczywymi westchnieniami. Napieraliśmy na siebie jak szaleni, dążąc do jakiegoś niemożliwie pełnego złączenia, objając się o meble, przewracając manekiny; przemknęło mi raz przez głowę, że musimy wyglądać jak ci dwaj zdesperowani finaliści Biegu Likejona, starający się unicestwić jeden drugiego na krwawym piasku cyrku Kommodusa.

Znieruchomiałem w końcu zdyszany, ociekający krwią i potem, wciąż zbyt rozradowany i ogłupiały, by móc szczytować. Caz pchnęła mnie na plecy i dosiadła mnie w pysznej sześćdziesiąt dziewięć, z łonem podsunętym mi pod usta, całując, pieszcząc i liżąc mą wyprężoną męskość, a potem odwróciła się do mnie przodem i wchłonęła ją w siebie, lodowata z wierzchu i gorąca w głębi. Kiedy wreszcie eksplodowałem w orgazmie, miałem wrażenie, że to zawal. Krzyknąłem jak z bólu i przyciągnąłem ją do siebie najmocniej, jak mogłem – i to przelało czarę jej rozkoszy. Ścisnęła mi udami żebra i ujeżdżała coraz szybciej, gwałtowniej, aż jej urywany oddech przeszedł w długi pomruk rozpaczliwego i tylko jakby ubocznie przyjemnego spełnienia. Zsunęła się potem ze mnie i legła obok na wznak jak nieżywa.

Nic nie mówiłem. Nie mogłem. Ledwo łapałem powietrze, ale każdy jego łyk pachniał jak Caz. Mogła sobie być potępiona od czasów prekolumbijskich, ale to dla niej przebyłem Piekło, by ją odnaleźć. Dla mnie była jak najczystszy powiew Nieba.

Jej oddech powoli się uspokajał. Trąciła mnie dłonią w bok; przez chwilę nie wiedziałem, o co jej chodzi, i nagle zdałem sobie sprawę, że chce, abyśmy się wzięli za ręce.

Leżeliśmy tak, jeszcze zmęczeni i zasapani, z dłońmi złączonymi w bolesnym aż uścisku, na stosie najprzedniejszej piekielnej *haute couture*.

– No, to było prawdziwie diabelskie pieprzenie, Dolar – powiedziała cicho. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

– O dziwo, jestem – odrzekłem, w pełni świadomy, że gdyby nas nakryto, oboje czekałyby straszliwe męki. Śmierć byłaby najfortunniejszą ewentualnością, ale żadne z nas na taki dar losu liczyć nie mogło. – Tak, kochanie, jestem bardzo, bardzo zadowolony.

Trzydzieści Inny wszechświat



Caz wstała. Bardzo mi się to nie podobało. Nie podobało mi się nic, co nie było naszym wzajemnym wtuleniem się w siebie, najlepiej na zawsze.

– Nie odchódź. – Wyciągnąłem rękę, by ją zatrzymać, ale musnąłem tylko jej udo. – Zostań ze mną.

– Nie wygłupiaj się. Muszę iść, pochodzić po sklepach i wydać trochę pieniędzy, skoro już się wybrałam na zakupy, a czasu zostało mi niewiele. Poza tym trzeba oddać Poitou jego sklep. Udostępnia mi go tylko w ramach przysługi. – Uśmiechnęła się, ale nie był to przyjemny uśmiech. – Oczywiście myślisz, że w ten sposób zarabia punkty u Eligora.

Imię arcyksięcia podziałało na mnie jak kubeł zimnej wody. Podniosłem się na łokciach.

– Słuchaj, nie wracaj tam – powiedziałem. – Przecież po to właśnie tu jestem, żeby cię stąd zabrać.

– Zostaw mnie, Bobby. Już to spotkanie było niewiarygodnym głupstwem z mojej strony. Tylko byś wszystko pogorszył.

– Pogorszył? A co mogłoby być jeszcze gorszego, Caz? Jesteśmy w Piekle, do cholery! Ty tu mieszkasz, powinnaś to wiedzieć najlepiej.

– Przestań! – Potrząsnęła gniewnie głową i zaczęła zbierać ubrania. – Moi strażnicy zaraz po mnie przyjdą.

– Strażnicy? Masz na myśli swoich byłych ochroniarzy, jak im tam, Cudaczka i Cymbałka? Dałbym im radę. Nawet obu naraz.

– Nazywają się Cukierek i Cynamon. I nie dałbyś. Nie tutaj, nie w tym ciele. – Uwiją się coraz szybciej, jakby chciała się wydostać z mojej orbity, przypuszczalnie na zawsze. – Wyrwaliby ci ręce jak skrzydełka musze. – Ruchem głowy wskazała na moją częściowo odrośniętą prawą dłoń. – Widzę, że i tak już masz kłopoty z utrzymaniem kończyn w całości.

– To ty przestań, Caz – rzuciłem zirytowany i wstałem. – Odkąd się znamy, powtarzałaś w kółko: Nie, nie, nie rób tego, zostaw mnie, nie kocham cię. Ale ja się na to nie nabiorę. Właśnie wystawiłaś się dla mnie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Sama powiedziałaś, że twoje szare goryle mogą tu wpaść lada moment...

– Nie tutaj. Nie wiedzą o tym miejscu. Korzystałam z niego już wcześniej.

– A co to za różnica! – wybuchnąłem, a jednocześnie zalała mnie fala zazdrości gorąca jak gejzer. Korzystała? Niby z kim? Na dobrą sprawę powinienem się cieszyć, że przyprawia dodatkowe rogi Eligorowi, ale w tej chwili moje uczucia były na to zbyt poplątane. – Przyszedłem tu po ciebie i sam stąd nie odejdę.

Starła się nie zwracać na mnie uwagi, ale słabo jej to wychodziło. Nie zamierzałem jej tego ułatwiać, ruszyłem więc za nią. Kiedy przysiadła na krześle, by włożyć buty, przykucnąłem tuż obok.

– Nie odejdę, Caz. Tak strasznie za tobą tęskniłem... całe tygodnie... co ja gadam? Miesiące! Nie mogę spać ani w ogóle nic robić, tylko myślę o tobie. Nie zostawię cię tutaj.

– Miesiące? – Jej śmiech zabrzmiał nieoczekiwanie ostro. – A wiesz, ile czasu minęło tu, na Dole? Całe lata. Nie mów mi o tęsknocie. Jaka ja byłam idiotką, że pozwoliłam sobie na taką słabość! I teraz za to płacę. Daj mi spokój, Bobby. Daj mi spokojnie zagoić rany.

Lata? Naprawdę czas tak się jej dłużył?

– Nie mogę, Caz. Przepraszam cię. Ja też nie powinienem był sobie na to pozwolić... ale stało się. I już się nie odstanie.

Patrzyła na mnie w milczeniu przez szpary powiek, tak że jej oczy były tylko czerwonymi kreskami.

– Jesteś głupi. I ja jestem głupia! To się bardzo źle skończy – rzekła w końcu.

– A co się kończy dobrze?

Łzy nagle napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach, najpierw szybko, im niżej, tym wolniej, aż zastygały w małe kryształki na jej zimnej skórze. Dotknąłem jednego i delikatnie strąciłem. Zawirował w powietrzu, zagubiony w żarze Piekła śniegowy płatek.

– To gdzie? – spytałem.

– Co gdzie? – zachnęła się, ale nie odsunęła, trzymała tylko przed sobą torebkę i przewieszoną przez rękę pelerynę, jakby były jej ostatnią tarczą.

– Gdzie cię znowu zobaczę? I kiedy?

Widok bladej, delikatnej szyi tak mnie nagle rozpałił, że na wszelki wypadek sam szybko się zacząłem ubierać. Nie chciałem, żeby ją przyłapano; zresztą i tak nie byłem jeszcze gotów z nią uciec. Musiałem jeszcze zrobić parę rzeczy – nigdy bym się nie spodziewał, że tak szybko ją odnajdę.

Boże, jaka ona jest cudna! Nie wytrzymałem: przysunąłem się do niej na kolanach i położyłem dłonie na wewnętrznej stronie jej ud. Wolniutko przeciągnąłem je w górę, unosząc spódnice, aż zrolowana zawinęła się na podbrzusze. Delikatnie ugryzłem ją w pachwinę. Była zarazem zimna i gorąca. Caz z irytacją odepchnęła mą głowę, ale nie bardzo silnie. Nie przestawałem skubać zębami i wargami jej jakże rozkosznie miękkiej, gładkiej skóry.

– Dosyć! Zachowujesz się jak nastoletni szczeniak! – mruknęła, choć zaraz potem westchnęła lubieżnie. Chwilę poddawała się pieszczocie, rozsądek wziął jednak górę i zdecydowanym ruchem wysunęła się poza mój zasięg. – Dzisiaj, o ostatniej latarni. Bądź na Dis Pater przed świątynią. Przyślę kogoś po ciebie.

– Świątynią?

– Znajdziesz ją bez trudu. – Pozwoliła mi się pocałować i raz jeszcze wtopiła się we mnie zachłannie, tak nagle wiotka, że się przestraszyłem, iż zemdłała. Chyba pierwszy raz widziałem ją taką bezbronną, choć ta chwila szybko uleciała: poczułem, jak znów tężeje w mych ramionach. – Muszę iść – powiedziała, oswobadzając się z objęć.

– Kochasz mnie, prawda?

– Jesteś mi drogi. Ja nikogo nie kocham. – Pokręciła poważnie głową. – To nie jest moje słowo.

– A moje tak. I znaczy to samo.

– Bobby, to dwa zupełnie inne wszechświaty! Wychodząc, zatrzaśnij za sobą drzwi.

I już jej nie było. Musiałem się z całych sił powstrzymać, by za nią nie popędzić. Odczekałem kilka minut, trochę uporządkowałem bałagan, któregośmy narobili, i wyszedłem z „Chateau Machecoul” na ruchliwe ulice Tumbrel. Wyglądały teraz jakoś inaczej, nie umiałem jednak określić, na czym polegała zmiana. Może bardziej znajomo? W bogatszych dzielnicach Czerwonego Miasta nie spotyka się aż tak okropnych twarzy i kształtów jak gdzie indziej, ale i tak była to niezła parada dziwactw. Gdyby zwykłego człowieka wrzucić na minutę między towarzystwo, zmoczyłby się ze strachu i natychmiast nawrócił na najbardziej purytańską religię, jaką udałoby mu się znaleźć. Dla mnie, wciąż na niezłym hajku po schadzce z Caz, wyglądało to całkiem znośnie, a nawet... zwyczajnie. Coraz bardziej nasiąkałem Piekłem.

To było gorsze, niż kiedy rzucałem palenie. Sama świadomość, że już wkrótce zobaczę ją

znowu, zamieniała czekanie w niewyobrażalnie bolesną frustrację. Bo przecież to nie miało być tylko zwykłe spotkanie: tym razem wreszcie mogłem ją stąd wyrwać. Ale to się musi stać jak najszybciej. Ratowanie Caz nie było moim jedynym problemem. Nie miałem zielonego pojęcia, jak długo już siedzę w Piekle według ziemskiej rachuby czasu. Co prawda nie miałem w tej materii żadnego pola manewru, ale jeżeli moja nieobecność przeciągnie się zbyt długo, mogą mnie czekać kłopoty w pracy. No, ale do końca już niedaleko, pocieszałem się. Najważniejsze mam już za sobą: udało mi się ją znaleźć. Teraz już tylko trzeba ją wykraść jednemu z największych, najgorszych sukinsynów we wszechświecie, a potem przemycić z Piekla na Ziemię. Rzecz niewykonalna, wiem – ale to krótkie spotkanie przypomniało mi z całą mocą, że innego wyjścia po prostu nie mam.

Według informacji od Lameh nasza ucieczka miałaby szanse powodzenia tylko wtedy, gdybyśmy się przedarli z powrotem do kręgów Abadonu i z powrotem do miejsca, którego się tu dostałem – czyli na most Nerona. Może to zabrzmie nieracjonalnie, nie chciałem już jednak nawet zbliżyć się do stacji wyciągu. Nie chodzi nawet o to, że podróże windą dostarczyły mi tylu okropnych doświadczeń (choć nie było to bez znaczenia). Problem w tym, że to urządzenie tak łatwo kontrolować: na każdym poziomie jest tylko jedno wyjście. Byłem pewien, że Piekło nieprzypadkowo zostało zaprojektowane jak ideał faszystowskiego państwa policyjnego.

Jeśli jednak przekreślę wyciąg, to muszę szukać innych środków transportu. Dlatego właśnie skierowałem się do stoczni i portu nad Styksem.

Statków było tam wiele. Niektóre z największych miały kominy, a zdarzały się też kosztowniejsze dzieła sztuki szkodniczej, wyglądające, jakby pod lśniącymi pokładami kryły nowocześniejsze układy napędowe. Jednak nawet tu, w Czerwonym Mieście, zdecydowana większość jednostek wyposażona była w maszty; z daleka przystań sprawiała wrażenie gąszczu czarnych, bezlistnych drzew kołyszących się jak na silnym wietrze.

Im bliżej nabrzeży, tym większy niósł się od nich hałas, aż w końcu ponad ogłuszającą kakofonią huku młotów, zgrzytu pił, wrzasków bitych potępieńców i trzaskania batów ledwo słyszałem własne myśli. Zastępy demonów i niewolników oblegały kadłuby żaglowców i żelaznych parowców, pracowicie zdrapując porastające je z każdym rejsem krwiste muszle wielkości wiadra i długie wstęgi glonów.

Gdy tak stałem, zastanawiając się, jak się zabrać do szukania statku, którym moglibyśmy popłynąć do niższych kręgów, nagle poczułem na sobie czyjś wzrok. Odwróciłem się i kilkanaście metrów dalej, po drugiej stronie ruchliwej kei, zobaczyłem gapiącego się na mnie dziwnego stwora, coś w rodzaju tłustawego Kota w Butach z półludzka twarzą. Na pierwszy rzut oka wydał mi się znajomy, choć nie mogłem go umiejscowić w pamięci.

Ruszyłem w jego stronę, spodziewając się, że ucieknie – on jednak stał spokojnie i dalej patrzył na mnie jakby w roztargnieniu. Zanim się z nim zrównałem, wiedziałem już, kim jest.

– Ja cię skądś znam – powiedział, lekko się zacinając.

– Ja ciebie też. Z targu niewolników. Pracujesz u Riprasza.

– Tak jest. Ale to nie to... – Kot w Butach skrzywił się śmiesznie i twarz mu się zmarszczyła jak podsuszone jabłko. – Musiałem cię gdzieś widzieć wcześniej...

– Zamknij dziób. Riprash tu jest? W Pandemonium?

– No jasne, że jest. – Dziwak wciąż świdrował mnie wzrokiem. – Stoimy w basenie Krakena.

Nie wierzyłem własnym uszom. Czyżby wreszcie los zdecydował się do mnie uśmiechnąć?

– Możesz mnie do niego zaprowadzić?

– Nie da rady. – Pokręcił głową, nagle wystraszony. – Już późno. Kazał mi przynieść kolację.

– Cofnął się, odwrócił i puścił niezgrabnie biegiem, jak wielki szop zmuszony do poruszania się na tylnych łapach. – Basen Krakena! – zawołał jeszcze, oglądając się przez ramię.

Chodziło o najdalej położoną część portu. Spiesznym marszem mijalem keję za keją, gdzie z wszelkiej maści jednostek pływających wyladowywano równie urozmaicony asortyment towarów na potrzeby stołecznego rynku. Widziało się tam niejeden całkiem zgrabny słup z odległych niższych kręgów, jednak zdecydowaną większość stanowiły pękate łajby na kształt chińskich dzonek – powolne, ale mocne i niezawodne, co i w moich oczach było atutem nie do przebiccia (pamiętałem wszak jeszcze widywane podczas żeglugi po Kokytos głębinowe potwory).

Czarny kadłub *Zrzędlivej Jędzy* poznałem z daleka. Stała na kotwicy, zacumowana rufą do nabrzeża, z żaglami sklarowanymi, ale w każdej chwili gotowymi do postawienia. Tak mnie uradował jej widok, że omal nie puściłem się biegiem prosto na pokład. Zbyt dobrze już jednak poznałem tutejsze układy, by zrobić takie głupstwo. Nigdy nie wiadomo, czyje oczy mogą mnie obserwować w tak ważnym węzle komunikacyjnym jak największy port Piekła. Poczłapałem więc przygarbiony jak ktoś, kto nie spodziewa się od losu niczego poza kolejną porcją niewolniczej harówki. Na trapie zaczepił mnie któryś z marynarzy taszczących worki z zaopatrzeniem, ale zanim zrobił się z tego problem, od rufy nadszedł Riprash, świecąc swą potwornie rozłupaną czachą.

– Wężowij! – wydarł się na mój widok, ale ściszył głos na ostatniej sylabie, gdy ostrzegawczo położyłem palec na ustach.

– Nazywam się Pseudolus – przedstawiłem się nowym imieniem.

Przez moment gapił się na mnie, nie rozumiejąc, ale zaraz kiwnął głową.

– Aha. Pseudolus. Okej.

Nie można przetrwać na rzece tyle stuleci co on, jeśli ktoś nie potrafi w mig się połapać w sytuacji. Riprash machnięciem ręki zaprosił mnie do kabiny. Po staremu śmierdziało w niej jak w przepoconej skarpetce olbrzyma, ale w porównaniu z paroma miejscami, w których zdażyłem pobyc od naszego rozstania, czułem się tam swojsko i bezpiecznie.

Gob siedział skulony w kącie. Gdy wszedłem, spojrzał na mnie spode łba z tą dobrze mi znaną miną zbyt często kopanego psa. Gdybym się spodziewał wylewnego powitania albo chociaż mruknięcia, byłbym rozczarowany, ale widziałem, że mnie poznaje. W Piekle nie ma zwyczaju obściskiwania się na dzień dobry, chyba że w kręgu bogaczy udających ludzi. Ucieszyłem się jednak, widząc go w dobrym zdrowiu; chłopak chyba nawet nieco przybrał na wadze.

– Zdaje się, że jestem ci coś winien – zagaiłem i kucnąwszy obok niego, wziąłem go za rękę i włożyłem mu w dłoń dwa żelaźniaki. – Tyle to miało być, nie? – A potem dorzuciłem jeszcze kilka monet, w sumie równowartość półtorej garści. – I do tego premia za to, że przez tyle czasu mi pomagałeś.

Gob popatrzył na forszę z grobową powagą malującą się na jego małpiej twarzy.

– Już kombinuje, gdzie by to schować przede mną! – Riprash parsknął śmiechem.

– A co, okradasz go? – Spojrzałem nań z ukosa.

– Chyba sobie jaja ze mnie robisz! – Demon wpadł w jeszcze większą wesołość. – Nie wziąłbym od niego ani opiłka, ale on i tak mi nie ufa. Tobie zresztą też, założę się!

Przypomniałem sobie, jak długo trwało, zanim malec pozwolił sobie zasnąć w mojej obecności.

– Pewnie masz rację.

Ku mej niezmiernej uldze Riprash oświadczył, że wypływa nazajutrz wieczorem i z radością mnie zabierze. Dla mnie znaczyło to, że jeśli tylko zdołam jakoś nakłonić Caz, by ze mną uciekła, nie będę musiał długo się z nią kryć przed Eligorem. Arcyksiążę musiał tu mieć potężne wpływy i z pewnością rzuciłby za nami w pościg wszystkie swoje siły. Na łądzie nie mielibyśmy

szans, ale rzeką łatwiej można by mu się wymknąć.

Demon wydawał się zadowolony z perspektywy mojego towarzystwa w rejsie powrotnym do Przystani Kokytos, ale na wszelki wypadek wolałem wzmocnić ten sentyment miedzianym garściakiem i zapowiedzią, że zaraz po odbiciu dorzucę jeszcze dwa. W odpowiedzi zaśmiał się tak niskim tonem, że aż mi zęby zadzwoniły.

– Rozliczymy się po dotarciu do celu. Nigdy nie wiadomo, co nas może spotkać po drodze, a ja lubię zapracować na zapłatę. – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, gdy wstałem. – A ty co, wybierasz się gdzieś?

– Nie uwierzysz, ale na randkę.

Gob chyba nawet nie widział, że wychodzę; siedział nieruchomo i tylko podejrzliwie spoglądał to na świeżo zdobytą fortunę, to na swego pana.

Nie wiem, czy mieliście okazję zauważyć, że gdy w ramach szykowania się na spotkanie z ukochaną trzeba poupychać po kieszeniach cały asortyment drobnego oręża ze sporym majchrem na czele, trochę to traci na romantyczności. Spieszę z wyjaśnieniem, że choć Caz ma niemily zwyczaj policzkowania mnie przy każdej okazji, to nie przeciwko niej się zbroiłem. W Piekło każde wyjście na miasto, nawet do narożnego sklepiku po coś na śniadanie, łatwo może skończyć się krwawą jatką. Znaleźć się na ulicy bez żadnej broni to tak jak wypchać kieszenie dolarami i wybrać się na ryby z somalijskimi piratami. Najchętniej włożyłbym pełną zbroję, tylko że nie wiedziałem, czy takie coś przystoi demonowi z „mojej” sekty: byłoby idiotyzmem narażać się na aresztowanie z powodu jakiegoś wykroczenia regulaminowego.

Powędrowałem z powrotem w stronę placu Dis Pater, gdzie według wskazówki Caz miałem odszukać jakąś nieokreśloną świątynię. Nie miałem pojęcia, o który budynek może chodzić, i przeczuwałem, że mogę mieć z tym kłopot: nasz Beeger Square w Jude jest całkiem spory, ale na Dis Pater zmieściłoby się takich z dziesięć i jeszcze zostałyby niemało miejsca. Sprawę dodatkowo utrudniał panujący tu chaos budowlany: jeżeli nawet jest gdzieś jakaś stara świątynia, to całkiem możliwe, że już dawno zasłoniła ją piramida lepianek albo dzikie targowisko. To w końcu serce metropolii; jak w wielkich miastach na Ziemi, przyciąga migrantów ze wszystkich stron, ale nie ma w nim miejsca, by wszystkich pomieścić.

Kluczyłem między budowlami, kramami, koczowiskami pełnymi szalasów z ludzkiej skóry lub pancerzy wielkich owadów. Stado demonów, które obsiadło gzymsy fasady opuszczonego pałacu, wachlowało się błoniastymi skrzydłami. Przycupnięte w ich cieniu mniejsze stworzenia zdawały się delectować podmuchami, a może i resztkami jedzenia czy nawet ich guanem.

W końcu jednak odnalazłem ową świątynię: niewielką budowlę, która ginęłaby w natłoku architektonicznego koszmaru, gdyby nie otaczająca ją aura niezmiernej starości. Kamienne bloki, z których ją zbudowano, były tak prymitywnie ciosane, że tylko czas mógł je wygładzić, ale wciąż widziało się miejsca, gdzie kiedyś oderwano je od macierzystej skały. Wspiąłem się po kilku stopniach na ganek z wrotami rozwartymi jak gęba kretyna i zajrzałem do środka. Nic nie broniło wstępu, z własnej woli nie wszedłbym tam jednak za żadne skarby. Ział stamtąd gorący, duszny mrok rozedrgany brzęczeniem milionów much. Do dzisiaj wzdrygam się na to wspomnienie, choć wiele gorszych rzeczy przeszedłem w Piekło.

Odwróciwszy się, ujrzałem u stóp schodów zakapturzoną kobietę. Przez szczęśliwy ułamek sekundy byłem pewien, że to Caz, gdy jednak kiwnęła na mnie, bym za nią poszedł, jedno spojrzenie na jej bladą, spuchniętą dłoń powiedziało mi, kim jest. Topielica Marmora wyprowadziła mnie z placu w labirynt coraz węższych uliczek. Szliśmy i szliśmy, a ona nie przestawała ociekać wodą i zostawiać mokre ślady na kamieniach. Po półgodzinie droga zaczęła wieść pod górę, pojawiły się też drzewa i krzewy. Zrobiło się ciemno; w Czerwonym Mieście paliły się jeszcze wieczorne latarnie, lecz ich blask nie docierał do tej odległej dzielnicy,

położonej wśród wzgórz Lamijskich. Wyteżalem wszystkie zmysły, czujny jak nigdy dotąd, lecz stację kolejki linowej zobaczyłem dopiero, gdy prawie na nią wpadliśmy.

Podobne urządzenia mamy w górach na północ od Jude, gdzie uprawia się winorośl: zamknięte gondole podwieszane na stalowej linie. Najfajniejsza taka kolejka, zwana u nas „napowietrzny tramwajem”, funkcjonowała kiedyś na Mount Tamalpais koło San Francisco, ale runęła podczas trzęsienia ziemi w 1998 roku. Ja sam nigdy takich atrakcji nie lubiłem, ale w porównaniu z tym, co tu zobaczyłem, ziemskie wydały mi się bezpieczne jak trójkołowy rowerek: lina ciągnęła się niemal pionowo w górę, a widoczne części mechanizmu sprawiały wrażenie niezwykle starych i zaniedbanych. Najwyraźniej jednak funkcjonowała i wagonik – rdzawe żelazne pudło z resztkami dawnych ozdób – czekał na podróżnych.

Na podejście stacji Marmora spojrzała na mnie swymi okrągłymi oczami bez wyrazu.

– Pani hrabina jest na szczycie. Oczekuje pana, milordzie – powiedziała, odwróciła się i odeszła.

Popatrzyłem niepewnie na maszynię, ale cóż było robić? Wszedłem do wagonika i znalazłem dźwignię hamulca. Pociągnąłem zgodnie z ledwo widoczną strzałką i po chwili zgrzytliwego wahania kolejka ruszyła w górę. Poczułem się jak w wyciągu – ale przynajmniej tym razem nie wykrwawiałem się na śmierć.

Jeszcze tylko ta jedna jazda, powtarzałem sobie w duchu. Cóż na mnie czeka i wszystko już będzie dobrze.

Oczywiście znów się myliłem jak cholera.

Trzydzieści jeden

Chłopcy z ferajny



Byłem mniej więcej w połowie zbocza i powoli zostawiałem za sobą największe gąszcze doliny, kiedy spostrzegłem wóz Eligora zaparkowany nieco poniżej na polanie. Wyglądał jak skrzyżowanie parowego duessenberga i wojskowego humvee, z dodatkami ozdobnych niklowanych lamp i najeżonych szpiculkami zderzaków. Bez wątplenia był solidnie opancerzony i zapewne nieźle uzbrojony. Oparte niedbale o kabinę stały dwa wielkie, szaroskóre demony z łysymi głowami na masywnych karczyskach: Cukierek i Cynamon, dawni ochroniarze hrabiny, dziś siepacze Eligora i jej strażnicy.

A więc są tutaj. Na szczęście nigdzie nie widziałem samej Caz, nie było też żadnej drogi, którą tak duży samochód mógłby podjechać wyżej na stok, musieli zatem tu na nią czekać. Cofnąłem się w głąb wagonika na wypadek, gdyby któremuś zachciało się spojrzeć w górę.

Nagła myśl, że za chwilę spotkam się z Caz i że będziemy tylko we dwoje, zaparła mi dech w piersiach. Kolejka pięła się ku szczytowi powoli jak gąsienica, nie miałem więc nic lepszego do roboty jak kontemplować krajobraz – całkiem zresztą interesujący jak na piekielne normy. Dopiero stąd było widać, że Pandemonium leży na kilku wzgórzach, całkowicie opasanych jego wielkimi czarnymi murami. Wjeżdżałem na najwyższe z nich, Mount Diabolus, strzelisty palec z czarnego obsydianu prześwitującego tu i ówdzie między porastającą zbocza bogatą w gatunki, lecz ubogą w barwy (dominowały tu czerwień, czerń i szarość) florą. Zaczynałem już rozumieć, że brak innych kolorów sam w sobie może być karą, i miałem serdecznie dosyć tych trzech wszechobecnych odcieni. Nie dziwota, że piekielna socjeta lubi się stroić w jak najbarwniejsze piórka.

Jednakże dopiero gdy wagonik wtarabanił się na najwyższą partię góry, dostrzegłem prawdziwe piękno tego miejsca (jeśli można to tak określić). W przełęczy między celem mojej napowietrznej podróży a mrocznym cieniem jego najbliższego sąsiada zagnieździło się jezioro obramowane nieprzebytą gęstwiną rosochatych drzew i wysokich czarnych traw, płaskie i lśniące jak lustro.

Kolejka zatrzymała się wśród ruin górnej stacji. Wysiadłem.

– Nie mogłam uwierzyć, że wczoraj naprawdę się zdarzyło – przywitał mnie jej głos.

Caz stała u wylotu ścieżki ginącej gdzieś w lesie. Podbiegłem do niej, lecz choć pozwoliła mi się objąć i pocałować, po chwili wyśliznęła mi się z ramion, i to nie najdelikatniej.

– Co się stało?

– Chodźmy się przejść – odrzekła matowym tonem.

Ująłem jej zimną dłoń i zagłębiliśmy się między drzewa wyglądające jak kikuty spalonych sosen – czuło się jednak, że pod zwęgloną korą i w głębi szarej gleby są jak najbardziej żywe.

Szliśmy w dół zbocza, ku połyskującemu czerwonawo zwierciadłu jeziora. Zastanawiałem się, jak ciemno tu będzie, gdy w mieście zgasną ostatnie latarnie. Caz przerwała milczenie, wskazując siedzącego na gałęzi skrzydlatego stwora z długim dziobem.

– Nazywają je dzierzdami – wyjaśniła. – Ale to nie są prawdziwe ptaki, w każdym razie nie takie pierzaste. Jak się jej bliżej przyjrzyysz, zobaczysz, że bardziej przypomina owada. Nazwa wzięła się stąd, że tak jak dzierzby nabijają upolowane ofiary na gałązki. Różnica jest taka, że ptaki robią to, aby wygodniej im było jeść, one zaś wabią w ten sposób samice.

– To znaczy, że jeśli chciałbym wyrzucić na tobie wrażenie, powinienem otoczyć się wałem z trupów?

– To nie jest śmieszne, Bobby. Chcę w ten sposób coś ci uzmysłwić. Ewolucja idzie tu innymi ścieżkami niż na Ziemi. – Skrzywiła się, widząc moje uniesione brwi. – Co, zdziwiło cię, że znam to pojęcie? Może się urodziłam w średniowieczu, ale wiele od tamtych czasów widziałam i jeszcze więcej przeczytałam. Wyobraź sobie, że raz nawet spotkałam Darwina. – Puściła mą dłoń i machnęła niecierpliwie ręką. – Zostawmy to. Może innym razem. Chcę tylko dać ci coś do zrozumienia.

– Co mianowicie?

– Że nie pasujemy do siebie, Bobby. Za bardzo się różnimy. Ja, widzisz, jestem jak jedna z tych owadzich dzierzb. Żyłam tylko przez parę lat na Ziemi i to Piekło mnie ukształtowało taką, jaką mnie dziś widzisz. Nieważne, co do ciebie czuję. Nieważne, co ty... – Urwała i pokręciła głową, nagle niezdolna wykrztusić ani słowa więcej, ale szła dalej. – Cokolwiek nas połączyło, wspólnej przyszłości zwyczajnie nie mamy.

Rozważałam jej słowa w myśli długą chwilę, zanim przedstawiłam własny punkt widzenia.

– Gówno prawda, kochanie.

– Mylisz się. Uparto zaprzeczanie niczego tu nie zmieni, więc...

– Mój komentarz nie odnosi się do wszystkiego, co powiedziałaś, tylko do twojej konkluzji. Skąd możesz to wiedzieć? Sama mówiłaś, że to miejsce się zmienia. Ewoluuje, jeśli wolisz. W przeciwieństwie do Nieba, wyobraź sobie. Tam się nigdy nic nie zmienia, przynajmniej ja tego nie zauważyłam. I wszystkim tam najwyraźniej to bardzo odpowiada. Ale tutaj? Tu nie ma chwili stagnacji! To jest jak jakiś... szalony eksperyment czy coś w tym rodzaju.

– A wiesz dlaczego? – Cz chwyciła mnie mocno za rękę. Zbliżaliśmy się już do przeciwnego skraju lasu i rubinowa połać wody zdawała się nas wabić do siebie. – Bo tak jest gorzej! Tak tu wszystko jest urządzone. To element kary, składnik cierpienia.

– I co z tego? Tyle to i ja już wiem. Co to niby ma wspólnego z nami? Nie zakochałem się w tobie dlatego, że liczyłem na wieczną zabawę i śmichy-chichy.

Na innym etapie naszej znajomości może uznałaby to za dowcipne. Teraz jednak skwitowała to smutnym westchnieniem.

– Daj spokój, Bobby. Nie pora na żarty. To nasze pożegnanie.

To była ostatnia rzecz, jaką się spodziewałem usłyszeć, zwłaszcza wypowiedzianą tak obcesowo. Zaskoczyła mnie, przyznaję. Przeszedłem w milczeniu kilka metrów i stanąłem na brzegu. Widziana z bliska, woda była czarna i lśniąca; miejscami parowała, gdzie indziej drobne falki znaczyły ślady płynących tuż pod powierzchnią ledwo widocznych stworzeń. Nie miałem pojęcia, co to takiego, ale z pewnością mogłoby pożreć plezjozaura, sądząc po rozmiarach. Na wszelki wypadek odsunąłem się o parę kroków.

– Pożegnanie? – odezwał się w końcu. – Słuchaj, dotarcie tutaj zajęło mi masę czasu. Naprawdę myślisz, że tak sobie zrobię w tył zwrot i wrócę na górę bez ciebie?

– Tak właśnie myślę. – Cz przystanęła nieco z tyłu. Szary pył wżerał się w jej białe pończochy widoczne spod rąbka staromodnej sukni. Dinozaury i tiurniury. Piekło to kompletnie zwariowany świat. – Tak, Bobby, tak musi być i dlatego tu dzisiaj jesteśmy. Kochaj mnie jeszcze ten ostatni raz... zostaw mi kolejne wspomnienie... i znikaj. Nigdy nie umiałabym być szczęśliwa w twoim świecie. W żadnym z nich.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś szczęśliwa tutaj?

– Jasne, że nie, głupolu. Próbuję tylko ocalić twą duszę, o czym ty, zdaje się, w ogóle nie myślisz. Odejdź i nie wracaj.

To już wkurzyło mnie nie na żarty. Teraz to ja ścisnąłem ją za ramiona, niezgrabnie, gdyż nie

miałem jeszcze pełnej władzy nad odrastającą dłonią – ale nie zamierzałem jej wypuścić.

– Nie, Caz! I nie chodzi tylko o to, że przeszedłem przez cały ten syf, żeby cię odnaleźć. Aż tak płytki nie jestem. Jesteśmy sobie przeznaczeni i nie dam się odpędzić tylko dlatego, że jesteś zbyt... przerażona, żeby w to uwierzyć.

– Przestań, Bobby! – Płakała cicho, a łzy zastygały na jej policzkach drobnymi śnieżynkami.
– To... okrutne, rozumiesz? – Zwiotczała mi w objęciach tak nagle, że przez moment się przestraszyłem, ale ona się tylko poddała zmęczeniu i rozpaczy. – Nie widzisz, co ta twoja tak zwana miłość ze mną robi?

– Co z tobą robi? Caz, to nie ja cię trzymam w więzieniu, tylko ten twój arcyskurwysyn był kochaś.

– Myślisz, że Eligor choć trochę mnie obchodzi? On i to, co mi robi? Przed chwilą ci tłumaczyłam, jak funkcjonuje Piekło. Czemu nie możesz tego ogarnąć? Ja się w końcu nauczyłam żyć, czy raczej wegetować z bólem, ale od chwili, gdy w cyrku usłyszałam twój głos... – Słowa uwięzły jej w gardle. – Od tego momentu naprawdę znalazłam się w Piekło. Bo nagle wszystko to przywlokłeś ze sobą. Nie tylko siebie, lecz wszystko, rozumiesz? To, cośmy tam mieli... czy udawaliśmy, że mamy... albo moglibyśmy mieć, gdyby wszechświat był inaczej urządony. Tak, o tym też myślałam. Przez sekundę czy dwie prawie nawet to czułam. Ale to od początku było kłamstwem, Bobby.

– Ja nie jestem tylko Bobby – odparłem cicho. – Jestem aniołem, Caz. Aniołem Dolorielem.

– Tak. I zawsze myślisz, że szklanka jest w połowie pełna. Tylko że jeśli nawet masz rację, to ten płyn jest trucizną. – Położyła mi dłoń na ramieniu. Drżąca dłoń. – Po prostu kochajmy się, Bobby. Wejźmy w siebie ten ostatni raz, a potem wrócisz do swoich anielskich zajęć i gier. Pozwól moim ranom się zabiżnić, bo tylko tyle z tego będę miała.

– Nie. – Od naszego rozstania w sklepie z konfekcją niczego bardziej nie pragnąłem, jak znów ją mieć, ale teraz byłem na to zbyt wzburzony i rozgniewany. – Ani mi się śni, Caz. Nie powiem ci żegnaj i ty też mi tego nie powiesz. Nie zamierzam się bawić w smutne ostatnie pieprzenie. Jutro po ciebie wracam i zabieram ze sobą. Jeśli zdołasz się wymknąć sama, przyjdź pod świątynię na Dis Pater, gdzie spotkałem się z twoją przemokniętą wysłanniczką. Jak się nie zjawisz, wedrę się do jego zamku i guzik mnie obchodzi, ilu jego ludzi przyjdzie mi porzącić w kostkę, żeby cię stamtąd wyrwać. Dotarło? Jutro, tuż po ostatniej latarni.

To rzekłszy, odwróciłem się i ruszyłem przed siebie brzegiem jeziora.

– Bobby, nie! Toż to szaleństwo!

Nie odwróciłem się ani nie zatrzymałem.

– Bobby, nie możesz tędy zejść! Zjedź kolejką!

Byłem jednak zbyt wkurzony, aby zareagować. Czułem, że jak nie wypalę jakoś tego gniewu bulgoczącego mi w żyłach jak napalm, to chyba kogoś zamorduję. Nie byłoby to nic dziwnego w Piekło, ale mogłoby niepotrzebnie ściągnąć na mnie uwagę, podpowiadała mi trzeźwa część umysłu. Ignorując wołanie Caz, dotarłem do końca jeziora i zszedłem ze ścieżki prosto między czarne drzewa. Czułem się, jakbym zamiast mózgu miał gniazdo os, które właśnie ktoś kopnął.

Przebrnąłem przez gęstwinę chyba z miłą, zanim furia zaczęła mnie z wolna opuszczać. W tchawicy czułem drażniący pył, kolczaste gałęzie cięły mi skórę. Skarciłem się nawet w duchu, że chyba zbyt porywczo (by nie powiedzieć: teatralnie) to rozegrałem. I z tą myślą nagle wychynałem na polanę i stanąłem oko w oko z dwójką goryli Caz, wciąż czekających przy samochodzie. Wlepili we mnie ślepią, zaskoczeni nie tyle moją osobą – nie mogli mnie tak od razu rozpoznać – ile samym pojawieniem się w tym odludnym miejscu, gdzie nie powinienem się znaleźć. Zorientowaliśmy się w sytuacji niemal równocześnie i kiedy jeden z nich zawołał: „Hej, ty!”, odwróciłem się na pięcie i pognałem z powrotem w las, klnąc się w żywy kamień za to tepe,

zadufane kretynstwo, które wszyscy mi przypisują. I mają rację, ale o tym na razie sza.

Teraz był to już wyścig o życie. Nie gonili mnie z takim zacięciem, jak z pewnością by było, gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia, ale mimo głupawych imion byli to jednak prawdziwi chłopcy z ferajny, żołnierze mafii, żywa broń w napakowanych demonich ciałach. Nie musieli nawet omijać drzew jak ja, tylko parli przez nie jak czołgi. Odgłos łamanych pni i eksplodujących gałęzi sunął za mną jak nawała artyleryjska.

Sądząc po hałasie, zdołałem się oderwać przynajmniej od jednego z nich, ale drugi deptał mi po piętach jak gończy pies Baskerville'ów. Staralem się uciekać wzdłuż trasy kolejki, co rusz ześlizgując się na tyłku, gdyż zdradliwa ziemia usuwała mi się spod nóg. Słodka parka nie miała z tym najwyraźniej problemu, bo gdy się obejrzałem, pierwszy z nich był zaledwie o dziesięć metrów z tyłu. W ręku trzymał coś jakby krótki bicz z żarzącego się drutu kolczastego; w mig uznałem, że wcale nie chcę się bliżej zapoznać z jego działaniem. Niestety, wyglądało na to, że nie będę miał wyboru.

Kilkanaście metrów przede mną grunt urywał się nagle i liny kolejki wybiegały nad stumetrową chyba przepaść. Musiałem się zatrzymać.

Byłem prawie pewien, że bliższy ze ścigających to Cynamon, choć niewiele się od siebie różnili – ale nawet w swym piekielnym wcieleniu zachował coś w rodzaju wąsa: zgrubienie nad skórzastą wargą. Korciło mnie, żeby wyskoczyć z jakimś żarciem na temat jego potencjalnej kariery w filmach porno – nie szczędziłem mu ich na Ziemi, ale uznałem, że skoro obaj mamy na sobie nowe ciała i on dotąd mnie nie rozpoznał, nie ma co kusić licha. Postąpiłem tylko parę kroków ku niemu i przyjąłem wyzywającą postawę zapaśnika.

– Czekaj no, ty – wydyszał, zwalnając biegu na ten pokaz siły i zdecydowania. – Co tu w ogóle robisz, co?

Gdybym był zwyczajnym zadufanym kretynem, pewnie by mnie zaskoczył, gdyż w pół tego krótkiego zdanka nagle zamachnął się i świsnął mi biczem koło ucha z ewidentnym zamiarem dekapitacji. Ja jednak od początku wiedziałem, że żaden z nas nie jest życzliwie usposobiony wobec drugiego, w porę więc się uchyliłem, nabrałem garść piachu i cisnąłem mu w oczy.

Wrzasnął rozjuszony, ale jeszcze nie tak, jak chciałem go rozwścieczyć, gdyż zamiast rzucić się na mnie na oślep, zaczął się przysuwać drobnymi kroczkami, młóćąc przed sobą powietrze batem i ustawiając się tak, abym nie mógł przemknąć z powrotem na górę, póki jest chwilowo oślepiony. Z niejednym dobrym fighterem miałem w swoim burzliwym życiu do czynienia; Cynamon zdecydowanie zaliczał się do tej grupy.

I w tym, paradoksalnie, leżała moja szansa: on nim był, a ja nie. Ja jestem tylko artystą przetrwania. Miotałem w niego czym popadło, robiąc jak najwięcej hałasu, by ściągnąć go bliżej siebie. Demon posłusznie parł powoli do przodu, trąc zażawione ślepie i starając się mieć mnie zawsze na wprost. Jeszcze kilka kroków... i udałem, że się potknąłem. Zamachałem rękoma, niby łapiąc równowagę, i zastygłem na ugiętych nogach, napięty i gotów do skoku, markując wyczerpanie (co przyszło mi bez trudu). Cynamon widział już na tyle dobrze, by uznać, że ma mnie w garści, poskoczył więc naprzód, by zakończyć sprawę.

I na ten błąd czekałem.

Tuż zanim mnie dopadł, wyskoczyłem w górę jak sprężyna. Najwyższy był ze mną (a w każdym razie akurat nie chciał mnie dobić), bo zdołałem zacisnąć palce na linie kolejki. Podciągnąłem nogi w chwili, gdy demon miał je chwycić. Gdy tylko się minęliśmy, szybkim skrzętem ciała zawiąłem się w przeciwną stronę i obunóż pchnąłem go z całych sił w łopatki. Cios był zbyt słaby, by go powalić i po paru krokach na pewno odzyskałby równowagę – tylko że właśnie tych paru kroków mu zabrakło. Zwabiłem go dostatecznie blisko krawędzi urwiska i gdy chciał postawić nogę na pewnym gruncie, stopa trafiła w próżnię. Nawet w Piekło delikwent

w takiej sytuacji nie może zawisnąć w powietrzu jak czarny charakter z kreskówki; Cynamon poleciał w dół jak worek kamieni, lecz na moje nieszczęście zdołał mnie jeszcze liznąć swoim ognistym, kolczastym biczem.

Nie była to elektryczność i nie był to ogień, ale z pewnością projektant tej broni z obu tych zjawisk wziął najmniej przyjemne elementy. Nie pamiętam nawet, jak i kiedy puściłem linę. Gdybym w tej chwili był choć odrobinę bliżej przepaści, poleciałbym prosto za demonem; opadłem jednak bezwładnie na twardą ziemię, sflaczały jak dziurawa dętka.

Leżałem tak chwilę, zastanawiając się mimochodem, jak to się dzieje, że zawsze się wpakuje w takie sytuacje, kiedy czerwone światło piekielnego popołudnia przesłonił mi czyjś wielki cień.

– Ty plamo gówna! – wycedził koleś Cynamona, Cukierek.

Nachylił się nade mną i przygniótł kolaniem do ziemi, co odczułem, jakby ktoś mi zaparkował na piersi ciężarówkę. Przed oczyma zamajaczył mi wylot lufy wielkiego pistoletu skałkowego, zastygły wagnerowska symfonia na lane żelazo, mosiądz i drewno. Nie wiedziałem, jaki poziom technologii reprezentuje, ale byłem pewien, że kula z tego przyrządu rozniosłaby mi czaszkę na strzepy. Paluch demona ledwo się mieścił w osłonie spustu i właściwie dziwne mi się wydało, że pistolet nie wystrzelił od razu przypadkowo. Cukierek dyszał jak miech kowalski, a na widocznym dla mnie fragmencie jego wstrętnej mordy malowało się uczucie dalekie od sympatii.

– Załatwiłeś mojego kumpla! – warknął. Przysięgłbym, że kolaniem dotyka gleby przez moje płuca i żebra. – Zapłacisz za to, ty gnoju. Będziesz wrzeszczał z bólu całymimi latami!

Trzydzieści dwa Oczekujący



W normalniejszych okolicznościach może starałbym się jakoś wyłgać z tej sytuacji, choć nie miałem złudzeń, że Cukierek pozwoliłby mi odejść – na to było już o wiele za późno. Na pewno próbowałbym jednak bajerować go na tyle długo, by chociaż oderwać się na dystans, a potem liczyć na dobry charakter w nogach. Z jakiegoś powodu przez ostatnią godzinę wzbierał we mnie gniew. Może miało to coś wspólnego z rzucającym przez dziewczynę. Poza tym musiałem brać pod uwagę, że Cukierek nie będzie szczególnie podatny na perswazję, skoro dopiero co wykopałem jego kumpla w przepaść. Nie tracąc zatem czasu na szukanie mniej gwałtownych sposobów radzenia sobie ze słoniowym przykłękiem na torsie i antyczną spluwą przed oczyma, gibnąłem się w bok i wyrwałem zza cholewy długi, zakrzywiony nóż z Targu Nocnego. Po drodze starałem się chlasnąć go po ścięgnię Achillesa, ale bez większego przekonania, bo przede wszystkim chodziło mi o wbicie mu klingi w podbrzusze – co też zrobiłem jakieś ćwierć sekundy później. Cukierek wrzasnął z bólu i padł na mnie w poprzek z rozłożonymi rękami, ja już jednak przetaczałem się na bok; udało mi się wywinąć spod niego, ale ubranie przesiąkło mi krwią bluzgającą z jego rany. Gdyby przygwoździł mnie całym ciężarem, pewnie tkwiłbym tam po dziś dzień.

Trzeba mu przyznać, że gdy zdał sobie sprawę, jak ciężko go zraniłem i że wydostałem się poza jego zasięg, nie marnował cennych sekund na wściekłe złorzeczenia, tylko dźwignął się na rękach i ruszył za mną, zataczając się jak okulałe słonisko. Ja tymczasem już biegłem wzdłuż urwiska, szukając jakiejś drogi na dół, żadnej jednak nie widziałem. Cukierek wciąż miał swoją giwerę i posłał mi kulę z hukiem, od którego zatrzęszczały mi bębenki w uszach. Szczęście, że nie trafił, bo pocisk swoją moc posiadał: pień drzewa o dwie stopy od mojej głowy rozsypał się w snop ognistych drzazg.

Nie wiedziałem, czy to jednostrzałowiec, czy jakaś broń powtarzalna, a sprawdzić to mogłem tylko w jeden sposób: wystawiając mu się dalej na cel. Jego szara, koścista twarz była teraz ohydną maską z wyszczerzonymi kłami. Broczył obficie krwią z rany w kroczu, ale sądząc po determinacji, z jaką parł przez wszystko, czym starałem się od niego odgrodzić, raczej nie doczekałbym się, że osłabnie, zanim zdoła mnie wypatroszyć. Musiałem przejść do ofensywy. Biegając skrajem urwiska, podniosłem kamień wielkości melona.

Gdy po raz kolejny się potknął i zwolnił na chwilę, byłem gotów. Nie brałem przesadnego zamachu, tylko mocno wparłem stopy w grunt i cisnąłem z całej siły. Rzucam nieźle; często nawet się zastanawiałem, czy w powiązaniu z moją miłością do bejsbolu nie jest to wskazówką co do mojego przeszłego życia. Teraz jednak myślałem tylko o jednym: byle go trafić w łeb.

Kamień grzmotnął Cukierka prosto w czoło z okropnym głuchym stuknięciem i tak mocno, że wyraźnie widziałem, jak kość czaszki pęka i ugina się do wewnątrz pod skórą, jakby ktoś strącił jajko na twardo na wykafelkowaną podłogę. Demon upuścił broń i osunął się na kolana, podnosząc ręce do twarzy.

Mógłbym po prostu biec dalej – gość nie byłby zdolny do pościgu dobre kilka minut, choćby rany goiły mu się w ekspresowym tempie. Miałem też lepszy wybór: zawrócić, podnieść pistolet i wypalić mu z bliska w łeb albo w serce. To by przytrzymało go na tyle długo, że resztę drogi na dół mógłbym przebyć spacerkiem, zbierając leśne kwiatki (jeśli jakiegokolwiek rosną na tej ponurej

górze). Jak już jednak powiedziałem, byłem w szalonym, wyjątkowo agresywnym nastroju, więc podbiegłem do niego i raz za razem jąłem dźgać go majchrem. W szyję, twarz, tors, gdzie popadło. Cukierek zawył – co brzmiało raczej jak charczenie – i starał się mnie chwycić, ja jednak odskakiwałem po każdym ciosie i trzymałem się poza jego zasięgiem. W końcu udało mu się mnie złapać, ale wtedy tułów miał już jak tryskające krwią sito, a ja byłem za jego plecami, więc mógł tylko przyciągnąć mnie do siebie. Wskoczyłem mu na kark, ścisnąłem szyję udami (była gruba jak moja talia) i dalejże podrzynać mu gardło. To było straszne. Szczerze mówiąc, niewiele z tego pamiętam. Wiem, że darłem się jak opętany, wrzaski demona tylko czasem przebijały się ponad moje. Kiedyś, jeszcze na Ziemi, groziłem, że odstrzelę mu wacka, a on obiecywał mnie zmiażdżyć jak owada; nic z tego do mnie nie wróciło w tamtej chwili. Piłowałem tylko jak w transie i nawet nie zauważyłem, że daje sygnał kapitulacji, zanim było za późno. On już wtedy padł na czworaki, a ziemia wokół nas zmieniała się w szkarłatne błoto.

– Stój...

To było jedyne zrozumiałe słowo – i najcichsze – jakie od niego usłyszałem. Wykrztusił je jednak dopiero, gdy ciąłem ostatnie włókna jego szyi. Szarpnięciem oderwałem mu głowę i podniosłem sobie na wysokość oczu. Była zaskakująco ciężka. Zanim oczy zaszyły mu mgłą, zdążyłem dostrzec w nich wyraz zdumienia. Usta mu się poruszyły, bezgłośnie już układając się w ostatni wyraz: „Ty?”.

Wstałem i cisnąłem krwawiący czerep jak najdalej. Słyszałem, jak parę razy odbija się od zbocza, a potem zniknął za krawędzią i nastąpiła cisza.

Cały gniew spłynął ze mnie w jednej chwili, a razem z nim siły. Padłem jak długi na bezgłowy korpus Cukierka. Kiedy mózg w końcu mi się zresetował, podniosłem się na łokciach i rozejrzałem wokoło. Oświetlenie niewiele się zmieniło, a więc ostatnie latarnie dnia jeszcze płonęły. W Piekło zawsze trudno ocenić upływ czasu, dla mnie jednak było istotne, że jestem sam i nikt inny się nie napatoczył. Byłem za to wdzięczny losowi i to nie tylko z oczywistych powodów. Straciłem panowanie nad sobą tak kompletnie, że byłoby mi naprawdę wstyd – tak jest, nawet tutaj – gdyby ktokolwiek mnie w tym stanie zobaczył, zwłaszcza Caz.

Ubranie miałem doszczętnie przesiąknięte juchą demona. Oczyszcziłem nóż i wsunąłem go z powrotem za cholewę. Wiedziałem, że samochód Caz czeka zaparkowany nie dalej niż sto czy dwieście metrów nade mną, nie chciałem jednak ryzykować kradzieży – tym bardziej że zmusiłoby to ją do pieszej wędrówki do Koniogardu, i to przez najgorsze dzielnice Pandemonium. Na takie niebezpieczeństwo wołałem jej nie narażać. To była kolejna ze Szczególnych Chwil w Życiu Bobby’ego Dolara: musiałem zostawić jej wóz, aby mogła szybciej wrócić do domu i zgłosić zaginięcie jej dwóch strażników. Bo oczywiście musi to zrobić. Nie wychodzi się z więzienia na popołudniowy spacer, żeby zgubić dobre pół tony goryli i nie zameldować o tym ich chlebobdawcy.

Pewnie powinienem był wtedy spróbować odszukać Caz i zabrać ze sobą, nie wiedziałem jednak, jak długo mógłbym ją ukrywać przed żołnierzami rozjuszonego arcyksięcia. Riprash miał odpłynąć dopiero na drugi dzień, a oni przede wszystkim wzięliby się do przeszukania dworców i portów. Jeżeli teraz wróci do siebie, Eligor się dowie o zniknięciu jej eskorty, ale miałem nadzieję, że ona sama nie będzie o nic podejrzana. Inna rzecz, że w tej sytuacji trudniej będzie jej się stawić na nasze umówione spotkanie przy świątyni. Tak, wiem, że ani słówkiem nie dała mi nadziei, że tam przyjdzie, ale musiałem w to wierzyć – inaczej nie byłbym zdolny wykonać żadnego ruchu. Moje ryzyko.

Moje osobiste położenie było deczko trudniejsze. Jeśli nawet udałoby mi się gdzieś zmyć z siebie wszystko, co na mnie wyciekło, tryskało i sączyło się ze ściętego goryla, to z pewnością sam wyszedłem z tej walki nieźle pokiereszowany. Nie uśmiechał mi się powrót do „Strusia”

w tym stanie; nie mogłem liczyć, że przemknę się niezauważony, a choć piekielnej populacji takie rzeczy nie dziwią ani specjalnie nie obchodzą, to każdy tutaj sprzedałby mnie w sekundę, gdyby tylko wydało mu się, że na tym zarobi choćby żelaźniaka. Na szczęście nie zostawiłem tam nic, czego bym naprawdę potrzebował. Byłem wyczerpany, roztrzęsiony i wyglądałem jak po wolnej amerykance ze stadem lwów. Musiałem znaleźć bezpieczne schronienie, choćby po to, by spokojnie odsapnąć – opcję zaś miałem tylko jedną.

Przed wejściem na teren portu poświęciłem kilka minut na szybką kąpiel w oleście czarnej wodzie Styksu. Pomoczyłbym się chętnie dłużej, lecz musiałem rejterować na brzeg przed flotyllą trupio białych węgorzy zwabionych zapachem krwi Cukierka.

Powierzchnowe rany i brud były jednak niczym w porównaniu z tym, jak się czułem psychicznie – czyli fatalnie. Nigdy dotąd nie doświadczyłem takiego szalu zabijania, nawet w najgorszych chwilach w Harfie, podczas najbardziej gwałtownych i przerażających zadań bojowych. Musiałem sam przed sobą przyznać, że jest coś, co od dłuższego czasu usiłowałem ignorować: już nie nasiąkałem Piekłem. Ono po prostu we mnie było. Przeniknęło mnie na wskroś.

Ta myśl zmroziła mi krew w żyłach. Gdy dowlokłem się do basenu Krakena, dygotałem jak w szczytowej fazie malarii.

Riprash nie tracił czasu na wypytywanie, co się stało. Gdy tylko zobaczył moją podartą, mokrą i zakrwawioną odzież, zwyczajnie wrzucił mnie sobie na ramię jak worek i zaniósł do swej kabiny. Razem z Gobem obmyli mi rany, zabandażowali w miarę czystym płótnem i napoiili. Zostało mi jeszcze na tyle sił, by dać się ogarnąć refleksji, jak bardzo życie na Dole przypomina zwykłą ziemską codzienność: tak samo mogłem się tu wykrwawić, stracić członki lub postradać zmysły. Mogłem też zasnąć. W następnej sekundzie zapadłem w pełną majaków ciemność.

Gdy się ocknąłem, byłem sam. Pozbierałem się jakoś na nogi, roztrzęsiony jak ćpun na głodzie, i wydostałem na pokład. Było ciemno i tylko w dali snuł się czerwony blask poświateł. Riprash właśnie zwalniał do domu ostatnią brygadę dokerów.

– Dobrze, żeś wstał – burknął. – Wychodzimy z chłopakiem na ląd i właśnie miałem cię budzić, żeby ci to powiedzieć. Nie chciałem, żeby ci jakieś głupie myśli zaczęły przychodzić do głowy, gdybyś w środku nocy stwierdził, żeśmy zniknęli.

– Na ląd? – Morderczy szal dawno mi minął, została jednak zdrowa doza nabytej paranoi. – Dokąd się wybieracie o tej porze?

Ogr rozejrzał się uważnie, po czym nachylił się do mego ucha.

– Na zebranie stowarzyszenia – powiedział cicho. – To nasza ostatnia noc w mieście, głupio by było nie pójść.

Brałem już udział w takim spotkaniu i choć było to interesujące, a nawet poruszające przeżycie, drugi raz mnie tam nie ciągnęło. Chociaż z drugiej strony... musiałbym na nich czekać w samotności, może kilka godzin, cały czas świadomy, że ludzie Eligora muszą już szukać zabójcy dwóch strażników Caz. Miałem nadzieję, że jeśli nawet zdołają przeflancować Cynamona i Cukierka w jakieś nowe ciała, zajmie to trochę czasu, byłem bowiem całkiem pewien, że oderżnięty łeb tego drugiego mnie rozpoznał na koniec. Im więcej o tym myślałem, tym mniej chciałem być sam.

– Pójdę z wami – oznajmiłem.

– O, to świetnie! – Riprasha, jak przystało na szczerego wyznawcę kultu, ta deklaracja ucieszyła. – Powiem Gobowi, będzie uradowany! Bardzo mu się podoba wśród Oczekujących, wyobrażasz sobie?

Nie może być... Dzieciaka przyciągnęła idea, że w życiu może go czekać coś innego niż wieczne cierpienie, beznadzieja i nędza? Kto by pomyślał...

Spotkanie odbywało się w jednym z wielkich magazynów nad odnogą Styksu. Parter zajmowały sterty worków i kamionkowych baryłek, ale na wyższych piętrach było luźniej, na szczytowym zaś znajdowała się osobna izba jak zaprojektowana na takie imprezy. Podłogę zaścieniała czarna słoma, a w suficie było duże okno prowadzące na dach. Pamiętajcie, dzieci, jeżeli zechcecie założyć sektę heretycką, to zawsze wybierajcie miejsca z co najmniej dwoma wyjściami.

Czekało tam na nas nie mniej niż trzydziestu kilku wiernych. Po tym, jak się ożywili na widok Riprasha, nietrudno było poznać, że jest dla nich równie ważną osobą jak dla tamtej trzódki w Przystani Kokytos.

– Pozwólcie, że wam opowiem o pewnym człowieku, o którym słyszałem – zagaił, kiedy grupa się trochę uspokoiła. – To znaczy mordy w kubeł, wy bydło! – dorzucił o parę decybeli głośniejsze, gdy szmery wciąż trwały.

Reprimenda w wykonaniu trzymetrowego potwora nieprzebiegającego w słowach okazała się skuteczną techniką krasomówczą. W nagłej ciszy do naszej sali wyraźnie dobiegały słabe pokrzykiwania pracujących nieco dalej dokerów i wrzaski biczowanych niewolników napędzających żuraw do przeładunku towarów. Nie był to podkład dźwiękowy sprzyjający medytacjom, ale kiedy ogr znowu przemówił, uwaga wszystkich skupiła się na jego słowach.

– Żył kiedyś taki jeden... Nie wiem, czy teraz jest tu z nami, czy w tym Drugim Miejsu, w każdym razie za życia miał wielką ideę. Nazywał się Orygen i mieszkał w Aleksandrii...

– Ja mieszkałem w Aleksandrii – wszedł mu w słowo jeden z większych i bardziej asertywnych słuchaczy. – Nigdy nie znałem nikogo o takim imieniu.

– Za to ciebie tu wszyscy znają, Pojlosie. – Riprash pokręcił swoim wielkim, rozplatanym łbem. – To samo mówiłeś o Aleksandrze Wielkim. Jaki on tam wielki, skoro ja nigdy o nim nie słyszałem... Może byś dla odmiany dał sobie na wstrzymanie, to się w końcu czegoś dowiesz! No to słuchajcie dalej...

Znając już opowieść o Orygenie, pozwoliłem swoim myślom podryfować w innym kierunku. Nie mogłem pojąć, jakie nici łączą tych bidaków z Temuelem. Riprash nie szykował żadnej rewolucji ani nic w tym rodzaju – raczej przeciwnie, na ile umiałem to zinterpretować. Nie wzywał do powstania i zrzucenia jarzma władzy piekielnej eks-anielskiej arystokracji, tylko kazał wierzyć, że w jakiejś niewyobrażalnie odległej przyszłości mogą nadejść lepsze dni. Jaki z tego mógł płynąć pożytek dla Nieba?

Nagle zaświtała mi pewna myśl: może właśnie nie płynie. Może to nie ma nic wspólnego z żadnym Wielkim Planem, z wojną między nami a nimi, między Najwyższym i Przeciwnikiem? Kto wie, czy to nie prywatne przekonanie Muła? Może zwyczajnie wierzył, że nikt – żaden z potępionych, ani nawet ich przeklętych dręczycieli – nie powinien być wykluczony z ostatecznego zbawienia?

Ogrom tej idei mnie oszołomił. W jednej chwili przepełniło mnie zrozumienie, jak naprawdę wielkie i tragiczne jest Piekło. Bóg, jeśli rzeczywiście to On za tym wszystkim stoi, jak twierdzą moi przełożeni, zbudował potężną maszynę do koncentracji cierpienia i instytucjonalizacji Kary, której naczelną zasadą działania było: „Jak zrobisz coś złego, choćby tylko raz i przez chwilę, będziesz za to torturowany bez końca, amen”. Żadnych apelacji, zawieszenia, żadnego zwolnienia warunkowego, żadnej ulgi. Tylko że stary Orygen Aleksandryjczyk, a może i Temuel, jakoś nie potrafił się z tym pogodzić. Czy ich postawa miałaby jakiegokolwiek znaczenie dla boskiego planu?

Mogła mieć, jeżeli ci potępińcy uwierzą w ich naukę. Dawała im coś, czego inaczej nigdy by nie mieli: nadzieję. Jaka jest więc rola mojego archanioła... czy rzeczywiście chodzi mu o niesienie pociechy najbardziej dotkniętym? Czy też, jak od początku podejrzewałem, jest to

tylko cyniczna metoda szkodenia Przeciwnikowi?

Po miesiącach spędzonych na Dole, mimo wszystkich złych przygód i nienawiści, jakiej tu zaznałem, sam miałem coraz większe wątpliwości co do samej idei Piekła. Trudno dalej myśleć o wrogu jak o wrogu, kiedy się było u niego w domu, poznało żonę i dzieci i tak dalej. Ja zaś definitywnie byłem już głęboko w fazie „i tak dalej”, skoro uważałem diabolicę za swoją dziewczynę, i to wbrew jej protestom. Czy jest jeszcze szansa, że Caz zjawi się na jutrzejsze umówione spotkanie? A jeśli tak, to jak mam ją bezpiecznie doprowadzić na *Zrzędliwą Jędzę*?

Natłok pytań bez odpowiedzi wyprowadził mnie z równowagi, wstałem więc, by się przejść. Trzeszczenie podłogi pod moimi stopami ściągnęło na mnie gniewne spojrzenia zasłuchanych adeptów, czym prędzej więc wysunąłem się na korytarz biegnący wzdłuż całego piętra. Większość pomieszczeń magazynowych była pusta i na ogół stała otworem. Wydało mi się nagle, że w jednym z nich czai się niepokojąco znajoma postać, chuda, szara i zgarbiona. Gdy otrząsnąłem się z zaskoczenia, cicho wyciągnąłem nóż z buta i ostrożnie zakradłem się pod podejrzaną drzwi. Gdy wszedłem, nikogo tam nie zastałem. Nie było nawet słomy na podłodze i tylko przeciąg poruszał okiennicą otwartego okna.

Czy to rzeczywiście mógł być Śmiszek? A jeśli tak, to dlaczego miałby uciekać? Czyżby się bał zgromadzonego tuż obok tłumu? Jakoś mi to do niego nie pasowało. Może tylko czeka na lepszą sposobność, by dorwać mnie sam na sam?

Poruszony, pospieszyłem z powrotem do sali spotkania, gdzie mogłem się czuć bezpieczniej. Ledwo jednak zdążyłem wśliznąć się do środka, gdy gdzieś z dołu dobiegł głośny trzask i chór ostrych głosów. Wszyscy poderwali się z miejsc i w następnej chwili spokojne zebranie zamieniło się w stado karaluchów zaskoczonych raptownym zapaleniem światła. Dziwaczne postacie rozbiegły się we wszystkich kierunkach, na ucieczkę było już jednak za późno. Pierwsi żołnierze z Sekty Zbrodniarzy wpadali już do pomieszczenia z pałkami, pochodniami i sieciami do krępowania jeńców.

Czy to możliwe, że Śmiszek pracuje dla władz i śledził nie mnie, lecz Oczekujących? Nie miało to najmniejszego sensu... ale też trudno mi było uwierzyć, że to tylko zbieg okoliczności.

Przeciskałem się przez chaos w poszukiwaniu Riprasha, ale on znalazł mnie pierwszy. Chwycił mnie za kark jak niesfornego szczeniaka i poniosł w stronę okna. W drugiej łapie trzymał Goba. Zanim zdążyłem przejrzeć jego plan, wychylił się do pasa na zewnątrz, tak że obaj z chłopakiem zawiśliśmy w powietrzu trzydzieści metrów nad brukowaną keją. O tym też nie miałem czasu pomyśleć, gdyż sekundę potem poczułem, że lecę w przepaść, koziółkując jak ciśnięty taboret, a świat wokół mnie wiruje w zwariowanym kalejdoskopie. Pół przeżartej paniką sekundy zajęło mi zorientowanie się, że demon nie rzucił nas w dół, lecz prosto na dach. Potem byłem zbyt zajęty szukaniem po kieszeniach broni i omijaniem wrzeszczących ze strachu Oczekujących, którzy też wydostali się na górę, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

W zamieszaniu szybko straciłem Goba z oczu. Na dach wyskoczyli też żołnierze i zaczęła się jatka. W ruch poszły nabijane metalem pały, kolczaste bicze i mocarne kułaki. Pobitych sprawnie motano w sieci i odstawiano na stronę, a Zbrodniarze nieustępliwie parli naprzód, by wyłapać ostatnich uciekinierów.

Cofałem się na skraj dachu, wymachując nożem i starając się nie dopuścić do siebie siepaczy, gdy z dołu dobiegł huk pękającej framugi i sypiących się w dół cegieł. To Riprash wybrał najprostszą drogę ewakuacji, wyskakując przez ścianę wprost na bruk. Wylądował najwyraźniej bez szwanku i stał teraz wśród rumowiska, patrząc w górę.

– Skacz! – wrzasnął, gdy mnie zobaczył, i wystawił rękę. – Złapię cię!

Zawahałem się. Nie ze strachu ani dlatego, że mu nie ufałem, tylko dlatego, że nigdzie nie widziałem Goba, a przecież nie mogłem go tak zwyczajnie porzucić. Malec nigdy by się nawet

nie znalazł w Pandemonium, gdyby nie ja.

Spostrzegłem go wreszcie, jak niczym zmokły kot wyrывał się z rąk zbrojnemu o zrogowaciałej skórze i ustach ułożonych w kościsty żółwi dziób. Walczył dzielnie, ale nie miał żadnych szans: oprawca już go prawie obezwładnił i lada chwila wrzuciłby go w sieć wraz z innymi ofiarami.

Rzuciłem się na żołnierza szczupakiem od tyłu, wbijając mu nóż tam, gdzie powinien mieć nerki. Cios osłabiła kolczuga, ale mój majcher do takich rzeczy był zaprojektowany, a ja włożyłem w atak całą inercję i trzymałem rękojeść oburącz przed sobą jak taran. Demon wydał pełen zaskoczenia charkot i puścił chłopca. Nie próbowałem nawet wyrwać ostrza z rany, tylko chwyciłem Goba wpół i zakosami podbiegłem na krawędź dachu. Na dole Riprash bił się z trzema przeciwnikami, ale wygrywał i gdy doń zawołałem, spojrział w górę i szybko zakończył sprawę, jednemu z żołnierzy dosłownie strącając głowę z karku zamaszystym sierpowym.

Rzuciłem mu Goba. Przez dwie sekundy patrzyłem, jak spada prosto w nadstawione ręce ogra – a potem dwóch żołdaków chwyciło mnie za ramiona i odciągnęło do tyłu. Szarpnąłem się zaskoczony, ale wnet dołączyło do nich jeszcze ze trzech. Znalazłem się na dachówkach, przytłoczony przez całą ich zgraję jak rugbista z piłką, i to był właściwie koniec. Pamiętam jeszcze, że ktoś z powodzeniem usiłował wytłuc mi myśli z głowy jakąś maczugą. Takiego łomotu nikt mi jeszcze nie sprawił (wierzcie mi, mam skalę porównawczą). Na szczęście nie musiałem tego znosić długo, zanim rozplynąłem się we mgle nieprzytomności.

Trzydzieści trzy Sala konferencyjna



Ocknąłem się, ale nie otwierałem oczu. Zmysły podpowiadały mi, że jestem w typowej sali konferencyjnej w sieciowym hotelu klasy Hilton czy Holiday Inn, choć przecież dobrze wiedziałem, że to cały czas Piekło. Wyraźnie jednak czułem aromat kawy, pączków i odświeżacza powietrza dostępnego w ilościach hurtowych. Zanim zdążyłem wpaść na jakieś sensowne wytłumaczenie, w uszach zadźwięczał mi znajomy głos.

– No, no, adwokacie Doloriel... Trzeba przyznać, że uparty z ciebie osiołek.

Serce we mnie nie zamarło, lecz odpełzło w najgłębszy, najciemniejszy zakamarek klatki piersiowej i odmówiło powrotu na wieki wieków. Oczy same mi się otworzyły jak na sprężynkach, czego natychmiast pożałowałem, bo nie mogłem dłużej udawać, że to miraż, wytwór mojej spalowanej wyobraźni.

Arcyksiążę Eligor Jeździec stał nade mną w pełnej piekielnej gali, wysoki na trzy metry, w lejącej się czarnej szacie wedle mody renesansowej, ze stójką podpierającą mu podbródek. Co mnie najbardziej zaskoczyło, to że wybrał na to spotkanie twarz Kennetha Valda, ziemskiego miliardera (jeśli pominąć dziki żar w oczach), zamiast któregoś z naprawdę przerażających. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie miałem pietra.

Bardzo się jednak pilnowałem, żeby tego nie okazać.

– Ładny gajer, Eligorku. To jak się umawiamy? Jakies hasło bezpieczeństwa?

Nie odpowiedział. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak pachniał. Eligor-Vald stał po drugiej stronie najzwyczajszego pod słońcem stołu konferencyjnego, jakie można znaleźć w każdym nastawionym na obsługę firm hotelu od Kalifornii po Rhode Island, w komplecie z pudłem donatów i serwisem kawowym. Do ideału brakowało tylko panoramicznego okna z żaluzjami wychodzącego na pobliską autostradę albo sąsiedni park technologiczny. Byliśmy w sali bez jakichkolwiek otworów w gładkich ścianach.

Eligor rozsiadł się z wdziękiem naprzeciwko mnie. Nie czułem żadnych więzów, ale też nie byłem gotowy, by to sprawdzić – na razie, bo niemal na pewno tego właśnie się po mnie spodziewał. Nie miałem absolutnie żadnych atutów poza tym jednym: zrobić coś nieoczekiwanego, i to zapewne tylko raz – wołałem więc z tym zaczekać, póki nie wymyślę czegoś wartego próby. A póki co, zdążyłem na tyle poznać arcyksięcia podczas naszych wcześniejszych spotkań, by wiedzieć, że nie ma nic przeciwko swobodnej pogawędce.

– A więc to wszystko było z góry ukartowane? – spytałem.

– Co, to spotkanko drobnych marzycieli? – Eligor lekko się uśmiechnął. – Naprawdę myślisz, że zadałbym sobie tyle trudu, by cię wciągnąć w pułapkę? Hrabina ma rację: rzeczywiście masz przesadne wyobrażenie o własnej ważności. Otóż nie, nikt nawet nie wiedział, że w ogóle tu jesteś, aniołku, chociaż usilnie się starałeś przyciągać uwagę. Do licha, Dolar, miałeś czelność zjawić się w moim własnym domu! Sądziłem, że w Niebie raczej nie szkolą was na samobójców.

– A ja sądziłem, że po paru milionach lat w Piekło w nikim nie zostaje nic z mięczaka, ale najwyraźniej byłem w błędzie... Chcesz powiedzieć, że mnie nie szukałeś?

Wzruszył ramionami, jakby zaczepka nie zasługiwała na odpowiedź.

– Owszem, szukaliśmy niejakiego Pseudolusa, odkąd tylko wlałeś w mury Koniogardu.

Myślałeś, że nie sprawdzimy twojej tożsamości w Sekcie Kłamców? A kiedy jeszcze ktoś wyładował zły humor na Cynamonie i Cukierku... Możesz się domyślić, że tym bardziej pobudziło to naszą ciekawość. Gdy zgarnęła cię straż miejska razem z tymi naiwnymi durniami, jeden z moich informatorów rozpoznał w tobie tego, kogo szukaliśmy. No i oto jesteś. – Eligor pokręcił głową. – Praktycznie zniszczyłeś ochroniarzy hrabiny. Czy to naprawdę było potrzebne? Najpierw zabiłeś moją sekretarkę w San Judas, a teraz pofatygowaleś się aż tutaj, żeby załatwić paru nieszkodliwych wyrobników. Doprawdy, czyżbyś miał coś przeciwko ludziom pracy?

– Dość już tych pierdół – przerwałem mu obcesowo. – Przejdźmy do rzeczy. Ty chcesz pióra. Dlatego nasłałeś na mnie Śmiszka. Niezależnie od sprawy hrabiny musiałem jakoś zareagować, bo stało się oczywiste, że nigdy nie zostawisz mnie w spokoju. I wiedziałeś od początku, że przedostałem się do Piekła, bo Śmiszek trafił tu moim tropem, nie udawaj więc zaskoczonego moim widokiem.

– Tak, Śmiszek... – Arcyksiążę popatrzył na mnie przeciągle z miną wyrażającą tyle emocji, ile można zobaczyć na wygładzonych deszczem i wiatrem posągach starożytnych władców. – Oczywiście.

– Nie pora już na gry, wielkoludzie. Masz w rękę wszystkie karty. Rób, co zaplanowałeś. Nie oddam ci pióra i nie powiem, gdzie jest. I tak mnie zabijesz, dlatego więc miałbym ci ułatwiać sprawę?

– Bardzo dobrze! – Eligor uśmiechnął się, powoli rozciągając wargi jak drapieżnik na widok związanej ofiary. Pierwszy raz dotarło do mnie, że musi być równie stary jak Ziemia, a może i starszy. – Wypowiedź godna bohatera. Chyba jednak powinieneś z nią zaczekać, aż cię trochę zmiękcze. Wtedy miałyby efektowniejszy wydźwięk.

– No to jazda! – Prychnąłem wzgardliwie. – Pokaż, na co cię stać. Jak się do tego zabierzesz w tej scenerii... – Zatoczyłem dłonią półokrąg obejmujący stół i kiepskie olejne obrazy na ścianach. – Zanudzisz mnie na śmierć prezentacją osiągnięć firmy?

– O, czyżby nie podobał ci się wystrój? – Eligor rozejrzał się po sali. – Zamówiłem taki specjalnie dla ciebie, szaraczku. Myślałem, że dzięki temu poczujesz się jak w domciu. Ale nie ma sprawy, możemy wybrać coś innego...

I nagle sala zniknęła, a ja spadałem przez świszczącą, bezdenną czerń, rozpaczliwie chwytając rękami nicość.

– A co powiesz na taki motyw?

Wokół mnie wodniste światło, brudne szkło, stoły ze stali nierdzewnej pokryte plamami zakrzepłej krwi, na podłodze równie zaniedbane, wytarte linoleum. Ja przytroczony pasami do zimnego blatu. Nade mną zestaw przyborów, które samego Torquemadę przyprawiłyby o gęsią skórkę: świdry, piły, szczypce i masa innych narzędzi, których przeznaczenia mogłem się tylko domyślać, ale których rdzawe i krwawe powierzchnie wystarczająco głośno przemawiały do wyobraźni.

– Albo wersja dla tradycjonalisty, na przykład coś w tym stylu...

Wszystko wokół pomroczało. Teraz paliła się tylko jedna pochodnia. W jej czerwonym świetle widziałem kamienną podłogę i ściany rozedrgane ruchem robactwa. Wzdrygnąłem się i szarpnąłem, nie mogłem się jednak choćby unieść na łokciach, nie mówiąc już o ucieczce.

– Też nie? No to może odrobina surrealizmu? Zdaje się, że gustujesz w sztuce dwudziestego wieku.

Ciało mi się rozciągnęło na dziesięć stron, oczy oddaliły od siebie niemożliwie, przekazując do mózgu dwa odrębne obrazy. Sufit zamienił się w gigantyczne usta, chichoczące i cmokające, szepczące jakieś niezrozumiałe słowa i kapiące mi śliną na twarz. Pająki o ptasich głowach i ptaki z głowami średniowiecznych arlekinów łaziły, podskakiwały, podfruwały wokół mnie.

Ogromne wargi wydały odgłos jak przy dławieniu się, uformowały w krągłe „o” i spomiędzy zębów zaczęło się ku mnie opuszczać coś szarego, żyłastego i wielkiego jak goryl, z licznymi oczyma pływającymi w ciełe niczym bańki powietrza.

– A może zaczynasz już doceniać pierwotną scenografię? – spytał Eligor i w ułamku sekundy zmateriałizowała się pachnąca kawą i donatami sala konferencyjna. – Bo widzisz, to całkowicie bez znaczenia. Nie jesteś w jakimś tam miejscu, Dolorielu. Jesteś u mnie. I powiesz mi wszystko o tym niefortunnym piórku. To tylko kwestia czasu, a mamy do dyspozycji całą wieczność...

Ze ścian strzeliły długie języki krematoryjnych płomieni, czerwonych, żółtych i pomarańczowych, okropnie pomarańczowych jak oczy Eligora. Jego samego już jednak nie widziałem. Wszędzie był tylko ogień.

Poczułem, jak skóra rozgrzewa mi się, wysycha, pęka, płonie. Nerwy zamieniały mi się w zwęglone druty. Tkanka mięśniowa kurczyła się i stawała w ogniu, same kości zajmowały się żywym płomieniem. Palilem się żywcem. Ból przenikał całe moje ciało do najgłębszych komórek, tak niewyobrażalnie intensywny, że żadne słowa tego nie wyrażą. I nie było od niego ucieczki: czułem go nieprzerwanie minuta po minucie, godzina po godzinie, wiek po wieku.

Nie wiem, kiedy ustał. Może to trwało chwilę, może parę dni. Byłem już wtedy gdzie indziej. Byłem kim *innym*. Osoba w ten sposób wypalona, tamten Bobby Dolar, anioł Doloriel, zniknął raz na zawsze. Już nie mógł powrócić do egzystencji. To, co ze mnie zostało, nigdy nie przestanie wrzeszczeć. Tego jednego byłem pewien. Już zawsze będę się palił.

Eligor przebierał w donatach.

– Lubię te pocukrzone, a to już ostatni – wyjaśnił tonem konwersacyjnym. – To gdzie jest to moje pióro?

Długo nie mogłem zebrać wirujących mi w głowie głosek w słowa, choć z tego, co widziałem, znów byłem cały i zdrowy, jak gdybym nie przeszedł przed chwilą przez agonie wiecznego całopalenia.

– Pie...prz się – wykrztusiłem w końcu.

– Jak sobie życzysz. – Arcyksiążę zasalutował mi kubkiem z napisem „Najlepszy szef na świecie” i Piekło rozgorzało na nowo.

Gdy znudził mu się ogień, sięgał po inne sposoby zadawania bólu, a miał ich wiele, i to bardzo pomysłowych. Czasem musiałem patrzeć, jak w pojedynkę albo ze zgrają demonów torturuje i gwałci Caz. Innym razem widziałem, jak sama z własnej woli i entuzjastycznie partycypuje w tych samych zajęciach, podczas gdy ja skręcam się w niewysłowionym cierpieniu. Eligor lubi działania wielokierunkowe.

Czy mu powiedziałem? A jak, kurwa, myślicie? Wyśpiewałem wszystko, com wiedział o złotym piórze i o wszystkim innym. Ból, jak sama nazwa wskazuje, boli. Ból w Piekło boli tysiąc kroć mocniej, a tu chodziło o osobistą zemstę. Jeden z najstarszych, najważniejszych diabłów osobiście pilnował, abym czuł wszystko maksymalnie. I mniej to miało, jak sądzę, wspólnego z Caz niż z uciążliwością, jakiej mu przysparzałem. Z samym faktem, że przeze mnie musi tracić tyle cennego czasu. Właściwie to powinien mi nawet być wdzięczny za rozrywkę, ale nie. Takiego poczucia humoru to on nie ma.

I nic go nie obchodziło, ile i jakich sekretów z siebie wypułem – po prostu nie przestawał mnie torturować. Po krematorium znalazłem się w miejscu jasnym i białym jak laboratorium, gdzie ludzie z twarzami pozbawionymi rysów walili we mnie młotami jak w kotlet, krusząc każdą kosteczkę i miażdżąc każde włókienko mięśni. Za każdym uderzeniem darłem się jak najęty, choć rozbite na płasko usta niezdolne były do formowania słów. Oni bili, ja wrzeszczałem od początku wszystko, co wiedziałem.

Potem pływam w ciemnej, oleistej cieczy. Wijące się stwory zatapiają zęby w mym ciełe,

oplatają mnie jak ogarnięte manią seksualną węgorze i wciągają w głębinę. Wrywam się, już na krawędzi utonięcia, i docieram na powierzchnię. Wyrzucam z płuc toksyczny, zużyty gaz i zachłannie wciągam niewiele od niego lepsze powietrze – i po chwili sytuacja się powtarza. I znowu. I... kapujecie już chyba, jak to wszystko działa?

Uciekam po wysypisku śmieci przed stadem niekompletnych szkieletów usiłujących pożreć mi twarz. Brzmi to lepiej, niż wyglądało.

Moja własna skóra, ożywiona jak obcy byt, sama próbuje oderwać się od ciała. Nie chciałibyście tego doświadczyć.

Jestem w basenie pełnym jadowitych mrówek i kaśliwych gzów wielkości gołębi. Nie mam rąk ani nóg.

Pomieszczenie kompletnie zaciemnione i nie dzieje się nic, tylko w samym środku mej czaszki eksploduje i rozrasta się niesamowity ból, jakby szalony jeżowiec z kolcami jak pinezki usiłował wydostać się na wolność przez obie gałki oczne naraz. W kilkanaście sekund robi się to nie do wytrzymania, aż wreszcie sam oszalały z cierpienia urywam sobie głowę, a ona mi w te pędy odrasta i wszystko zaczyna się od nowa. I co jakiś czas, tak dla przypomnienia, o co chodzi, wracałem ni stąd, ni zowąd do sali konferencyjnej. Eligor rzucał parę pytań, czasem tylko patrzył na mnie i się śmiał – a w następnej chwili wpadałem do wanny z kwasem albo zawisałem na płocie elektrycznym. Parę razy był zajęty odczytywaniem mejli w swoim smartfonie i nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Kiedyś ujrzałem przy nim Caz, milczącą i wyprostowaną, gdy on trzymał ją dłonią za kark jak kurczaka przeznaczonego na rzeź. Oczy miała wilgotne, rzęsy oszronione od zamrzniętych łez, nic jednak nie mówiła ani się nie poruszyła.

I znów wróciły te okrutne płomienie, lecz teraz prócz mnie pożerały wszystkich moich przyjaciół z „Cyrkla”: Monicę, Miłego, Waltera Sandersa i innych, którzy krzyczeli do mnie o pomoc.

Gdy kolejny raz zmaterializowałem się w sali konferencyjnej, czekała tam na mnie markiza Cynk z oczyma płonącymi szaleństwem. Eligor przyglądał się nam znad kawy, a ona gwałciła mnie jak kiedyś raz po raz, na wszelkie sposoby, o jakich wtedy nawet się jej nie śniło. Wszystko to bolało bardziej, niż możecie sobie wyobrazić. Boże miłosierny, jak bardzo!

W końcu, po paru tysiącach godzin, Vera zniknęła.

– No, miałaś ciężki dzień, co? – skomentował arcyksiążę z porozumiewawczym uśmiechem, po czym odesłał mnie do sali z ociekającą kwasem drucianą siatką zamiast podłogi. Skóra i mięśnie kawałek po kawałku topiły się na mnie i spadały gdzieś w dół, a choć z rozpaczliwą determinacją starałem się dopełznąć do drzwi, miałem do nich niezmiennie daleko.

Potem była pustynia cała z tłuczonego szkła i soli.

Mroczna dżungla rojna od drapieźnych, zębatach ptaszysk, chichoczących jak umysłowo chore dzieciaki.

Więcej ognia. Igieł. Brudu. Cierpień niewinnych. Bez końca, bez końca, bez końca...

Od czasu do czasu – chyba po to, aby ból mi nie spowszedniał – Eligor przerywał cykl tortur, aby objaśnić mi, jak wszechświat jest *naprawdę* urządzony. Wiecie, trochę jak te krótkie filmiki edukacyjne na kanale dziecięcym, między jedną serią kreskówek a drugą. Za pierwszym razem zjawił się, kiedy jeszcze wrzeszczałem bezgłośnie po ostatniej sesji tortur, i od razu zagaił:

– Wszystko jest zupełnie inne, niż dotąd myślałeś.

Nie odpowiedziałem, zajęty pluciem krwią i żółcią.

– Widzisz, Dolar, Niebo was ma za frajerów. Oni tam nie są przeciwni temu, co my tu robimy. Sami nam tak kazali. Jesteśmy oficjalną alternatywą. Taką samą częścią systemu jak klawisze w więzieniach.

Odkaslnąłem, splunąłem i wyszeptalem:

– Skocz mi.

– Prymitywna odzywka. Równie dobrze mógłbyś chować urazę za wyrok do fabryki młotków sędziowskich. My tylko wykonujemy swoją robotę, tak samo jak wy.

Po paru dniach przybył z kolejną rewelacją.

– Właściwie to nabierałem cię z tą naszą robotą dla Nieba. Bo widzisz, takie coś jak Niebo po prostu nie istnieje.

Nie odpowiadałem, gdyż kilka godzin wcześniej ktoś wyrwał mi język i póki co nie przyszył go z powrotem.

– Bo to taka historia jak z powieści fantastycznonaukowej. – Arcyksięcia nie zrażały ani moje wulgaryzmy, ani milczenie. – Piekło, Niebo... stek bzdur. Ziemię dawno temu podbili kosmici, ale ludzkość dotąd się nie połapała. Oni usunęli to z naszej podświadomości, aby trzymać nas w ryzach jak poczciwe stadko niewolników. I co ty na to? Od razu wszystko zaczyna do siebie pasować, nie?

Nieco później, kiedy już odzyskałem język, usłyszałem nowe wyjaśnienie.

– Z tymi kosmitami to też bujda. Nie było żadnego najazdu. To sprawka samych ludzi, ale tych z dalekiej przyszłości, kiedy już opanowali sztukę podróżowania w czasie. Zrozumieli wtedy, że najlepszym darem dla ich nieoświeconych przodków będzie stworzenie takiego wszechświata, w jaki wierzą. I tak właśnie się stało. Cały ten gips... ja, ty, Najwyższy i tak dalej, to wytwór potomstwa ludzkości. Coś w rodzaju protekcyjnej pobłażliwości ze strony wnuków, kapujesz? Jasne, dziadku, kochający Bóg nad tobą czuwa i karze wszystkich złych facetów, a teraz już śpij.

Eligorowi strasznie się podobało to robienie mnie w konia i regularnie podrzucał mi kolejne wersje porządku wszechświata, z których niejedna nie była mi obca, bo sam się już kiedyś nad czymś podobnym zastanawiałem. Niewykluczone, że któraś mogła nawet być tą prawdziwą. Może nawet więcej niż jedna. A może żadna. Właściwie to jestem pewien, że celowo deptał wszystko, co mogło rzucić jakieś światło na zagadkę bytu albo chociaż cokolwiek znaczyć, abym w końcu został z przekonaniem, że nic nie ma najmniejszego sensu.

Jak się zastanowić, niewiele się to różni od współczesnej propagandy politycznej.

W końcu jednak po paruset latach znudziła mu się ta zabawa, zostawił mnie więc na pastwę tortur, niekończących się nigdy, mimo – a kto wie, czy właśnie nie dlatego – że nie zostały już żadne tajemnice do wydarcia. W Piekło nie ma nic pewnego, nawet śmierci i podatków. Tu można liczyć tylko na jedno: ból przeplatany zgryzotą.

– No dobrze, Dolorielu. – Arcyksiężę odstawił kubek i wyprostował się w fotelu, jak gdyby ogień, jad i mordobicie były tylko wymianą kurtuazji na powitanie i przyszła pora na przejście do głównego tematu spotkania. – Teraz powiedz mi, gdzie masz to pióro.

Potrwało chyba godzinę, zanim znalazłem dość sił na odpowiedź.

– Już... ci... mówiłem. Powiedziałem wszystko.

– I tu jesteś w błędzie. Otóż nie powiedziałaś. Usłyszałem tylko, że było w magicznej kieszeni twojej marynarki, ukryte dzięki jakiejś anielskiej sztuczce, i że odziane jest w nią twoje ciało zamelinowane w pewnym domu w San Judas. Moi ludzie przetrząsnęli całą willę cal po calu i wyobraź sobie, że go tam nie znaleźli.

Nawet tu, na Dole, po milionie lat tortur, ta informacja mnie przeraziła. Nie dlatego, żebym w tej chwili przejmował się moją ziemską powłoką, ani nawet G-Manem i Posie; chciałem już tylko umrzeć realną, ostateczną śmiercią, a właśnie stało się jasne, że Eligor mnie nie zabije, dopóki nie odzyska swojego złotego pióra.

– Jak to, nie znaleźli? Zniknęło? – wykrztusiłem z trudem przez zaschnięte gardło.

– Ano właśnie. I wiesz co? Jak dobrze pomyśleć, to cała twoja historyjka wydaje się taka

bardzo wygodna. Nosileś pióro przy sobie cały czas, nic o tym nie wiedząc? I to twój kumpel Samariel przylapał Grasswaxa na próbie podrzucenia ci go? Fajny zbieg okoliczności, jeśli wziąć pod uwagę, że akurat się ukrywa w tej podróbce Nieba stworzonej przez Trzeciodrogowców. A jakby to było jeszcze za mało podejrzanego, obaj dobrze wiemy, dla kogo twój Sam pracuje.

Z trudem nadażalem za jego słowami, i to nie tylko z powodu bólu. Eligor się mylił: niczego nie starałem się przed nim ukryć. Wiadomość o zniknięciu mojego ciała była dla mnie takim samym zaskoczeniem jak dla kogokolwiek innego.

– Dla kogo pracuje... znaczy masz na myśli Kefasa?

– Tak jest, Kefasa, czy jak go tam chcesz nazywać. Architekta tej całej szopki.

Tajemniczy anioł z wyższych sfer zwerbował Sama do Trzeciej Drogi i wyposażył go w niezbędne narzędzia, między innymi tak zwaną „boską rękawicę”, za pomocą której Sam ukrył fant Eligora: dowód zawarcia układu z Kefasem, czyli owo osławione złote pióro z jego własnego archanielskiego skrzydła. Jak się okazało, na kryjówkę wybrał moją pocziwą kapotę, choć długo o tym nie wiedziałem. To z tego powodu w ogóle wpadłem arcyksięciu w oko. Bodajbym nigdy o nim nie usłyszał.

Łup! Eligor walnął pięścią w stół, aż mu się kawa przelała z kubka... jakby to naprawdę była kawa, prawdziwy stół i sala.

– Chcę je mieć. I ty mi je przyniesiesz.

– Taa, jasne. Jeżeli, jak mówisz, mojego ciała w mojej marynarce nie ma tam, gdzie je zostawiłem, to nie wiem, gdzie go szukać. Idź precz ode mnie, szatanku.

Właściwie to nawet nie poczułem, że mnie uderzył – stało się to tak błyskawicznie. Po prostu nagle sobie uświadomiłem, że leżę skrecony na dywanie pod przeciwległą ścianą, mam ciemno w oczach, a w głowie dzwoni mi kościelny dzwon. Eligor stał nade mną, sześć metrów od miejsca, gdzie jeszcze przed ułamkiem sekundy siedział.

– Lepiej panuj nad tą swoją niewyparzoną gębą. Nie byłbyś pierwszym aniołem, któremu załatwiłem odjazd z tego wszechświata. – Nachylił się nizej. Jego wcielenie Valda z daleka wydawało się doskonale, zwykłe ludzkie ciało i oblicze, ale z tej odległości wyraźnie widać było przez pory w skórze buszujące wewnątrz płomienie. – Na twoje szczęście jestem pragmatykiem, więc złożę ci ofertę, skrzydlaczku. Może uda ci się nawet przeżyć i dalej walczyć na chwałę tego twojego gównianego Świętego Miasta w Niebiesiech.

Nie śmiałem nie tylko się odezwać, ale i oddychać, wciąż sparaliżowany od potężnego ciosu. Nawet po wszystkim, co ostatnio przeszedłem, truchlałem na myśl, że przyłoży mi drugi raz. Czulem się, jakby wszystkie kości mi popękały, i byłem gotów dosłownie przetoczyć się na grzbiet i po psiemu pokazać mu bezbronny brzuch. Co mi strzeliło do głowy, że się porwałem na takiego arcydiabła i jeszcze myślałem, iż to przetrwam? Nikt aż tak durny nie zasługuje, by żyć.

Arcyksiążę nagle znalazł się znowu w swoim fotelu. Chwilę potem, ni w ząb nie rozumiejąc, jak to możliwe, sam siedziałem za stołem naprzeciwko niego, dygocząc jak zbite szczenię.

– No więc słuchaj – powiedział. – Chcę to pióro. Źle się stało, że wypuściłem je z rąk. To moja gwarancja, że Kefas dotrzyma umowy. Nie ufam nikomu, a już najmniej ambitnym aniołom, on zaś jest jedną wielką, fruującą ambicją. Wrócisz więc na Ziemię, odnajdziesz je i mi je tu oddasz. Jak tego nie zrobisz... – Uniósł dłoń i nagle stanęła przy nim Caz. Tym razem miała opaskę na oczach i knebel w ustach, a ręce związane na plecach. – Przepuszczę ją przez to wszystko, co niedawno przeżyłeś, i dorzucę dużo, dużo nowych pomysłów.

Nie miałem siły, przewagi, atutu, niczego. Byłem pokonany, wystrychnięty na dudka, upokorzony. Czy został mi jakiś wybór?

– Nie – odparłem. – Nic z tego.

– COO?! – Jego wściekły wrzask był tak głośny, że sama fala dźwiękowa strąciła mnie

z krzesła. – Chcesz ją zaraz zobaczyć w ogniu, tu i teraz? Jak skwierczy, skręca się, zwęglą i zamienia w kupkę popiołu? Gadaj, nędzny robaku!

– Nie rób tego, proszę. – Eligor był o tyle potężniejszy ode mnie i od wszystkiego, co znałem, że większe szanse miałyby beznogi królik w klatce pełnej głodnych lwów. Mogłem tylko bardzo, bardzo wolno manewrować z nadzieją, że nie unicestwi Caz z czystej irytacji. – To byłby błąd.

– Masz dwie sekundy na wyjaśnienie, zanim cię rozbiję na poszczególne, bardzo wrażliwe na ból atomy.

Twarz Eligora zmieniała się, jak gdybym tak go wyprowadził z równowagi, że z trudem utrzymywał formę człekokształtną. Nad czołem kielkował mu kozi róg, skóra na skroni zdawała się topnieć, ukazując połyskliwy metal czaszki, tu i ówdzie wybuchał i gasł żółty płomyk.

– Słuchaj, dam ci to pieprzone pióro. Wcale mi na nim nie zależy. Przybyłem tu w ogóle tylko dlatego, że nasłałeś na mnie Śmieszka, aby mi je odebrał. Musisz jednak puścić nas oboje. Mnie i hrabinę.

– Oboje? – Diabeł wyraźnie starał się opanować furję, ale widziałem, że przyjemnie mu nie jest. – Niby dlaczego miałbym się na to zgodzić?

– Bo inaczej dalej będę tylko mówił nie. Możesz mnie torturować całą wieczność albo zabić, jak ci się znudzi. Możesz wydać na męki albo zamordować Caz. Nie mogę cię powstrzymać, a z drugiej strony jedyną rzeczą, jakiej ode mnie potrzebujesz, jest to pióro. No więc albo nas puścisz i je odzyskasz, albo się z nim pożegnaj.

Uniósł brwi. Znowu był przystojnym, powściągliwym człowiekiem sukcesu, Kennethem Valdem.

– Jedno muszę ci przyznać, adwokacie Doloriel... masz jaja jak grejpfruty.

Poruszył palcem i Caz zniknęła tak szybko, że nie zdążyłem nawet rzucić na nią okiem na wypadek, gdybym ją widział ostatni raz. Poruszył drugim i sala konferencyjna, donaty, rozlana kawa, wszystko wokół mnie rozpląnęło się i zostałem sam ze swym bólem i grozą wspomnień, zawieszony w nieskończonej przestrzeni, pustej i szarej jak wieczorna mgła wtaczająca się w cieśninę Golden Gate hen, daleko w domu.

Pustka to tylko inna forma udręki. Samotność też, zwłaszcza gdy jedno i drugie trwa bez końca.

Trzydzieści cztery

To



Nie wiem, jak długo tak się unosiłem wisiałem pływałem w tej szarej nicości. Wybaczycie mi chyba ten czasownikowy brak precyzji; naprawdę nie wiem, co się tam ze mną działo. Byłem nadal w swoim piekielnym przebraniu, w ciele Wężowija pasiastym jak antylopa z Serengeti, nagi i bezsilny. Nikt mnie nie skrepował, ale nie sprawiało to różnicy, bo i tak mogłem poruszać tylko szyją i głową.

Jasne, że to było lepsze od bezpośrednich tortur, ale tylko przez pierwsze tysiąc godzin – potem zacząłem lekko wariować. Wiem, wiem, powiecie: „Hej, najpierw facet gada, że był na mękach sto czy ileś tam lat, a teraz znów rzuca liczby na wiatr”. I słusznie, w Piekło czas bowiem też płynie, tylko inaczej niż w realu. Subiektywnie moje przeżycia zajęłyby kilka ładnych ziemskich lat – ale kluczem jest właśnie owa subiektywność. Dopóki pozostawałem w łapach Eligora, byłem całkowicie wyrwany z normalnego czasu. Możliwe (a nawet prawdopodobne), że obiektywnie wciąż był to ten sam poranek, kiedy mnie dorwał.

A jednak po raz pierwszy, odkąd usłyszałem jego głos i dotarło do mnie, że wpadłem, poczułem cień nadziei. Niby nic wielkiego, ale to on wyszedł z propozycją ugody. Mogła to być tylko kolejna sztuczka, lecz już samo odejście od rutyny obdzierania mnie ze skóry i gotowania mi nerwów jak wermiszel świadczyło, że stracił pewność, co ze mną dalej robić. Moja groźba, że będę znosił tortury do śmierci, paradoksalnie uratowała mi życie – przynajmniej na razie.

Ja zaś bynajmniej nie blefowałem. Gdzieś pośrodku najgorszego bólu zdałem sobie sprawę z kompletnej beznadziejności mojej sytuacji. Eligor był po prostu zbyt silny. Nie mogłem ani z nim walczyć, ani przed nim uciec. Miałem tylko jedno wyjście: cierpieć. I wiedziałem też, że mogę to robić w nieskończoność, jeśli trzeba. Tak, błagałbym o miłosierdzie. Tak, powiedziałbym i wyznał wszystko. Jednakże gdybym konsekwentnie odmawiał mu tego, czego się ode mnie domagał, on też miałby tylko jedno wyjście: dręczyć mnie dalej. Mógł wprowadzić to samo Caz czy nawet ją zabić na moich oczach, ale na to i tak nie miałem wpływu, czybym zgodził się mu pomóc, czy nie. Był tylko jeden sposób, by ją ratować: nie poddawać się i zmusić go do układów.

Tak więc wisiałem pływałem leżałem sobie w nicości bez końca, usiłując odbudować siły na czas, kiedy męki zaczną się od nowa. A że ta chwila nadejdzie, byłem pewien, ponieważ Eligor musi sprawdzić mój blef, a ja muszę go zniechęcić do tortur.

No i się zaczęło. Nie będę się bawił w opisy. Po paru mileniach nawet arcyksiążę Piekle uległ nudzie i zostawił mnie ochoczej uwadze czegoś zwanego doktorem Teddym, co wyglądało jak przerośnięty pluszowy miś z niezgrabnymi paluszkami dziecka oraz oddechem i oczyma nieuleczalnego alkoholika.

Przy doktorze Teddym kat Nilocha był amatorem bez praktyki i wyobraźni. Dostałem wszystko, czego już zdążyłem zaznać wcześniej, a na deser kilka jego pomysłów autorskich – lecz i jemu w końcu skończyła się inwencja. Płaczącego, roztrzęsionego, niepewnego własnego imienia odesłał mnie z powrotem w szarą pustkę, gdzie mogłem sobie wszystko przypominać: kim jestem, co tu robię i co ze mną robią. Przez jakąś ich sztuczkę nie mogłem zasnąć ani na chwilę, a choć byłem świadom upływu czasu (na przykład dzięki stopniowemu ustępowaniu bólu), nie miałem nic, co pomogłoby znosić godziny i dni w tym okropnym, bezbarwnym

miejscu.

Kiedy sytuacja się w końcu zmieniła, najpierw zorientowałem się tylko, że w szarości nie jestem już sam i że to, co się pojawiło, nie do końca jest w tej samej przestrzeni. Najlepiej chyba to przedstawię przez porównanie ze światem podwodnym, gdzie jest więcej cienia niż światła, a odległość zniekształca formy i zwodzi zmysły. Długą chwilę widziałem jedynie pionową, nieco nachyloną postać tak fantastycznie powykręcaną, jakby z innego, niedostępnego dla mnie wymiaru. Potem stanęła nade mną bliżej: szara, trupia twarz, oczy jak łebki szpilek, dziwaczna wystająca szczeka jak u piranii, martwa szara skóra rozpięta na kościach. Śmiszek nic a nic nie wyładniał od naszego ostatniego spotkania.

Szczerze mówiąc, już mnie to ani ziębiło, ani grzało, ale odruchowo jeszcze się wzdrygnąłem na jego widok.

– Czego tu szukasz, przystojniaczku? – spytałem, odzyskawszy głos. – Niecierpliwisz się? Spokojnie, na pewno będziesz miał okazję się trochę mną pobawić, kiedy już się znudzę twojemu panu.

Śmiszek nachylił się tak nisko, że pierwszy raz wyraźnie ujrzałem linie na jego skórze i zdałem sobie sprawę, że to nie zwykłe zmarszczki ani nawet tatuaż, lecz coś o wiele bardziej misternego i wielce dziwnego. Zabójca był pokryty pismem: tysiącami filigranowych literek pracownie wyciętych w skórze jakimś niezwykle ostrym narzędziem i ułożonych w nieczytelny tekst zajmujący każdy dostępny skrawek jego ciała. Zerknąłem w dół, na szarą dłoń i wycelowany w nią twarz czterograniasty bagnet. Na palcach także widniały owe zapiski. Drugą rękę trzymał za plecami, byłem jednak pewien, że i na niej dałoby się niejedno przeczytać.

– Dlaczegoś tak zrobił? Jaka przyczyna? – Zombi po staremu cedził słowa bez oddechu, monotonna jak znudzony ksiądz recytujący znany mu na wylot katechizm. – Czemu nie uciekłeś?

– Nie rozumiem, o co pytasz. Jeżeli zamierzasz mnie dźgnąć czy coś w tym rodzaju, po prostu to zrób. Będę miał coś nowego do obracania w myślach.

– Nie. – Pochylił się jeszcze bardziej, aż niemal dotknął mnie czołem. W głosie słyszałem napięcie, a nawet desperację. – Powiedz mu. Powiedz dlaczego.

– Ale co?

Nawet w tej szarości czułem lekki odór jego rozkładającego się, ciała – ten piżmowy, przyprowadzający o mdłości zapach czegoś, co szczeło i długo leżało nieodkryte.

– Powiedz mu, czemu wróciłeś. Czemu pomogłeś temu małemu. Dlaczego nie uciekałeś, nie ratowałeś się?

Długo to do mnie nie docierało, ale wreszcie pokapowałem się, w czym rzecz. Tak to bywa, gdy człowieka tysiącami godzin torturują. Ten okropny stwór chciał wiedzieć, dlaczego zawróciłem na ratunek Gobowi. Najwyraźniej obserwował całe zajście – nie tylko spotkanie sekty Riprasha, ale i to, co wydarzyło się później.

– Dlaczego nie uciekłem? Bo to z mojej winy chłopak tam się w ogóle znalazł. – Przyszło mi nagle do głowy, że Śmiszek szuka teraz także Goba, starałem się więc umniejszyć jego znaczenie. – Zmusiłem go, by mi towarzyszył. On nie chciał opuszczać Abadonu. Próbowałem mu tylko pomóc...

– Nie! – Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju gniewu. Zazwyczaj był dziwacznie pogodny, jak jeden z tych sędziwych Chińczyków nie znających ani słowa po angielsku, jakich się widuje wpatrzonych w telewizor na zapleczu sklepików spożywczych w Chinatown. – Nie. Ty nie pomagasz. Anioł pomaga. Ty diabeł. Kefs mu powiedział. Diabeł w szacie anioła.

– Kefs? – Imię brzmiało dziwnie znajomo. Teraz też chwilę potrwało, zanim zajarzyłem.

Tajemniczy mocodawca Sama, anioł, który wszedł w układ z Eligorem i dał mu swoje pióro jako g dejt. – Czekaj... Kefas? Ty znasz Kefasa?

– Kefs... Ke...fas taki piękny. Jak chmury i srebro... – I nagle stwór się uśmiechnął, ukazując cały garnitur drobnych ząbków. – Kefas mu powiedział: jak zrobi, co mówię, też będzie anioł.

– Co będzie anioł? O kim mowa?

– O tym. – Śmiszek wskazał bagnetem na siebie. – To będzie anioł, tylko musi wszystko zrobić dobrze. Tak mówi Kefas.

O przenaświętzy Boże, on myśli, że jak mnie zabije, zostanie aniołem!

– Ja jestem aniołem – wyrecytowałem powoli i wyraźnie. – Nazywam się Doloriel, jestem adwokatem Trzeciego Domu. Chcesz powiedzieć, że Kefas nazwał mnie... diabłem? Myślałem, że napuścił cię na mnie Eligor!

Śmiszek przekrzywił głowę jak zdziwiony pies. Dopiero teraz zobaczyłem, że też jest całkiem nagi, ale wszelkie cechy zewnętrzne, jak choćby genitalia, dawno zmarniały i były tylko płatanami zniszczonej, szarej skóry.

– Kto Eligor?

– Potężny stary demon, do którego należy to miejsce. Jestem jego więźniem. To mówisz, że nie pracujesz dla niego, tylko dla anioła?

– Kocha anioły. – Trupia główka podskoczyła i opadła. – Samo będzie anioł, jak skończy.

W normalnym życiu nie znoszę tych scen nagłego oświecenia pod hasłem „Mylifeś się we wszystkim”, a tym bardziej tu, w Piekło, w antrakcie między jednym stuleciem tortur a drugim. Więc ten potwór, bełkoczący nożownik, nie jest siepaczem Eligora i zapewne nigdy nim nie był? Przypomniałem sobie dziwną – co dopiero teraz sobie uświadomiłem – reakcję arcyksięcia na wzmiankę o Śmiszku. Pełna obojętność. Ale dlaczego Kefas miałby posługiwać się kimś takim? Czyż nie dlatego ukrywał swą tożsamość przed resztą Nieba, że sprzeciwiał się zbyt okrutnemu traktowaniu potępieńców przez Najwyższego? To jak się to ma do nasyłania seryjnego mordercy na kompletnie niewinnego anioła? Kto tu jest prawdziwym czarnym charakterem, Eligor Jeździec czy raczej Kefas, nibyż to niebiański idealista? Może obydwaj? Może żaden z nich?

– Jak poznałeś Kefasa? – spytałem.

Śmiszek spojrzał na mnie badawczo, być może wyczuwając mój ukryty za słowami nastrój.

– On przyszedł. Przemówił. Pokazał mu Niebo. Pokazał światło. Powiedział mu: tata i mama źle myślą. To nie jest złe, lecz inne. Stworzone... do czegoś innego.

– Tata? Mama? – Śmiszek był kiedyś żywym człowiekiem, więc naturalnie musiał mieć rodziców, a przynajmniej matkę; nigdy dotąd jednak nie myślałem o nim inaczej niż o nadprzyrodzonym wcieleniu zła. – Mówisz o swoich rodzicach?

– To było ich krzyżem. Mama zawsze powtarzała. Urodziło się, bo tata grzeszył pychą. Chciał zrobić jej dziecko, choć miała być panną na chwałę bożą.

– Dziewicą?

– Tak. Ale tata wsadził w nią nieczyste. Zrobił jej to, a kiedy przyszło na świat, zobaczyła, jak jest paskudne. Tak powiedziała. – Śmiszek zaczynał się nakręcać. Słowa padały znów monotennie i szybko, jakby niesione nurtem uczuć zbyt bystrym i głębokim, by je dogonić albo chociaż dobrze się im przyjrzeć. – Nieczyste, nieczyste. Tata zostawił to jak śmieć na podłodze. Jak błoto na jej sukience. Nie da się z tego wybić brudu, mówiła. Nie można go zabić, bo Bóg ma wobec niego swoje zamiary. Bóg zesłał to na świat, choć jest złe i brzydkie. Złe, brzydkie, niedobre, złe...

Pożałowałem pytania. Wystarczająco nieprzyjemna była myśl, że potwór, który zabił już tylu ludzi, czyha gdzieś tam także na mnie. Świadomość, w jaki sposób on się stał tym potworem,

okazała się jeszcze gorsza. Opowiedział mi swoją historię nieskładnie, w oderwanych kawałkach, początkowo niby niepowiązanych, lecz później łączących się w większą sieć. Pod pewnym względem była to opowieść aż nadto mi znana, wspólna dla niezliczonych socjopatów, psychopatów, maniaków religijnych: dziecko traktowane gorzej niż zwierzę, dręczone z imieniem Boga na ustach, egzystencja bez bezpiecznego schronienia, dobroci, miłości. Zupełnie jakby okrutni, źli rodzice Śmiszka celowo się starali wychować go na coś jeszcze gorszego od nich – i udało im się to.

Ale za każdym razem, gdy zabijał – przynajmniej za życia – stwór był przekonany, że posyła do Nieba coś pięknego, dar dla aniołów. Nawet pseudonim, jaki sobie wybrał i pozostawiał na miejscach zbrodni, wcale nie miał się kojarzyć z cytatem z poematu Chaucera o „uśmiechniętym nożowniku”. Kiedy matka go biła, kłuła ostrymi narzędziami czy przypalała rozgrzanym żelazkiem, zawsze powtarzała: „Przestań ryczyć i się lepiej uśmiechnij. Bóg cię kocha”.

I tak właśnie myślał o sobie przez całe te krwawe, szalone lata: był uśmiechniętym żołnierzem Pana.

Historia urwała się w końcu, poplątana i niesamowita, gdyż on sam nie bardzo wiedział, co o mnie sądzić. Jego szalona tunelowa wizja świata, która popchnęła go do morderstw i kazała mu ścigać mnie nawet w Piekło, nie nadawała się do chłonięcia nowych informacji i wiadomości, że mogę nie być udającym anioła demonem, wprawiała go w pomieszanie i niepewność, jak ma postąpić.

– Musi pomyśleć. Pomodlić się – oznajmił. – Bóg mu powie, co robić.

Śmiszek wysunął do przodu rękę skrywaną dotąd za plecami. Wyglądała tak samo jak prawa, dopóki nagle nie rozjarzyły się koniuszki palców, potem palce, a w końcu cała dłoń. Białe kości przeświecały przez skórę, jakby były zrobione z płonącego fosforu. Ręka jaśniała tak ostro, że trudno było na nią patrzeć.

– Co...? – Zacisnąłem powieki. Gdybym mógł, zasłoniłbym oczy, ale wciąż byłem sparaliżowany od szyi w dół. – Co ty robisz?

– Ręka chwały. Kefas dał mu, żeby robiło dzieło Pana. – Stwór przesunął rozżarzoną kończyną przez szarość, wycinając w niej dziurę o dymiących brzegach, a potem przelazł na drugą stronę.

– Zaczekaj! – krzyknąłem. – Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie!

Bezskutecznie. Już go nie było. Połyskująca rana w przestrzeni zagoiła się w okamgnieniu i zniknęła. Szarość znów opustoszała i znalazłem się sam.

Trzydzieści pięć

Ogary



Kiedy w końcu szarość się rozplynęła, byłem znów w sali konferencyjnej. Nie pachniało już tam kawą i donatami, po których zostało tylko mocno zapleśniałe pudełko pośrodku stołu. Przewrócony dzbanek obrósł grubą warstwą kurzu i welonem pajęczyny. Kurz był zresztą wszędzie, pokrywał meble i dywan, byłem jednak pewien, że to tylko kolejna sztuczka, aby mnie zdezorientować.

Eligor zmienił styl. Zrezygnował z szaty à la kardynał Richelieu i stał przede mną jak wycięty z reklamy męskiej wody po goleniu: sprane dżinsy, nagi tors i bose stopy, a na plecach rozłożyste, bieluchne skrzydła.

– Nie zapominaj, że też byłem kiedyś aniołem – mruknął, widząc moje zdumione spojrzenie. Nadal miał twarz Valda. – I to trochę wyżej w hierarchii od ciebie.

– Zgadza się. Ale chodzą słuchy, że cię objęły grupowe zwolnienia.

Przez moment spod boleśnie urodziwego wcielenia błysnęła rozżarzona do białości furia; przemknęła pod skórą po całym ciele jak fale w stawie po wrzuceniu kamyka.

– Upadłem – wycedził przez zęby.

On cię w tej chwili nie torturuje, Bobby, napomniałem się w duchu. Może byś tak raz w życiu potrzywał japę na kłódkę i go nie wkurzał bez powodu?

Milczałem, a on wpatrywał się we mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Trwało to długo, jak gdyby od naszego ostatniego spotkania urosło mi kilka nowych, intrygujących wypustek czy rogów. W końcu machnął ręką i w następnej sekundzie stanął przy nim doktor Teddy, sięgający mu do pasa i śliczny jak wystawa antyaborcyjna.

– Mam dla ciebie propozycję, Doloriel.

– Zamieniam się w słuch.

– Mam z tobą problem, namolny aniele. – Eligor usiadł w powietrzu i założył nogę na nogę. – Niepokoisz mnie. Nie dlatego, że taki z ciebie spryciarz, jak myślisz. Raczej przeciwnie: jesteś tak bezdennie głupi, że nie mogę ci zaufać ani na jotę. – Zmarszczył czoło w zamyśleniu. Niejeden renesansowy artysta (i to niekoniecznie gej) zapłakałby ze wzruszenia na widok takiej urody. – Możesz sobie myśleć, że z powodzeniem udało ci się schować pióro przede mną i wszystkimi innymi, ale twoja koncepcja powodzenia nie jest warta funta kłaków. Świadomość, że jesteś jedyną rzeczą, jaka stoi między mną a *curia infernalis*, przyprawia mnie o... gdybym był takim delikatnym stworzonkiem jak ty, powiedziałbym, że o podenerwowanie.

Nie zadawał mi bólu, ale patrzył na mnie z tak dziwną miną, że wolałem stłumić naturalną skłonność do pyskowania w najmniej odpowiednich chwilach.

– I w związku z tym...? – Spojrzałem nań pytająco.

– W związku z tym chcę z tobą dobić targu. Pozwolę ci wrócić na Ziemię i przynieść pióro. Gdy mi je oddasz, pozostaniesz wolny. Nie będę miał powodu, by na ciebie nastawać, kiedy już je odzyskam.

Nie wierzyłem własnym uszom. Czy to się dzieje naprawdę, czy to tylko kolejny jego trik? Eligor miałby wchodzić ze mną w układy? Całą siłą woli starałem się zachować spokój.

– Nie zgadzam się – odparłem. – Chyba że zabiorę z sobą hrabinę. Kiedy oboje bezpiecznie stąd wyjdziemy, przekażę ci je.

– Oczywiście żartujesz! – Arcyksiążę się roześmiał. Zabrzmiało to niemal przyjemnie, co tylko świadczyło o jego nadzwyczajnej mocy. – Mógłbym was oboje unicestwić tu i teraz, a potem żyć spokojnie dalej z nadzieją, że fant na zawsze zostanie tam, gdzieś go ukrył.

– No to czemu tego nie zrobisz?

I znów to przeciągłe, wyrachowane spojrzenie. Dopiero kiedy dawał te drobne ludzkie sygnały, widać było, jak daleko mu do człowieczeństwa, ponieważ na tej idealnej twarzy próżno by szukać najdrobniejszego choćby przebłysku uczuć. Spróbujcie kiedyś zmusić któryś z marmurowych posągów Michała Anioła do spuszczenia oczu, a będziecie wiedzieli, o czym mówię.

– No dobrze, aniołku. Ostatnia szansa. Idziesz na Ziemię po pióro, a potem wymienię ci je na hrabinę, jeśli rzeczywiście tego akurat pragniesz najbardziej. – Uśmiechnął się chytrze. – Na twoim miejscu wybrałbym coś cenniejszego z bogactw Piekle, ale nie będziemy tego roztrząsać. Twój wybór. W zamian za pióro dostaniesz tę dziwkę i gwarancję nietykalności dla was obojga.

– Nie nazywaj jej tak.

Uśmiešek rozszerzył się w ironiczny grymas.

– Wierz mi, Dolar, w porównaniu z bardziej precyzyjnymi epitetami, którymi mógłbym ją obrzucić, dziwka to komplement, od którego najczystsza dziewica spłonęłaby rumieńcem szczęścia. Ale dajmy sobie z tym spokój. Taka jest moja oferta i innej nie otrzymasz. Na odpowiedź masz kilka sekund.

Rozpaczliwie usiłowałem przejrzeć jego grę i znaleźć haczyk, bo wiedziałem, że jakiś być w niej musi.

– Skąd mam mieć pewność, że dotrzymasz słowa?

– Robaczku, cała rzeczywistość, jak ją nazywasz, istnieje tylko dzięki obietnicom takich jak ja. Nie mogę złamać danego słowa tak samo, jak ty nie możesz zgasić Słońca ani zawrócić biegu czasu. Poza tym nie masz wyboru.

– I gdy odnajdę pióro i ci je oddam, uwolnisz Casimirę i zostawisz nas w spokoju? Nie będziesz się mścił?

– Absolutnie.

– Całym zdaniem, proszę. Chcę to od ciebie usłyszeć.

– Niech mnie, spore masz wymagania jak na faceta w twojej sytuacji. Niech ci będzie. Ja, Eligor Jeździec, pan na Koniogardzie i arcyksiążę Piekle, przysięgam, że kiedy dostarczysz mi wiadome anielskie pióro, oddam ci za nie rzeczoną diabolicę, którą zowiesz Casimirą. – Machnął od niechcenia ręką i nagle zjawiła się przy nim Caz, skuta łańcuchem i zakneblowana.

Oczy się jej zrobiły okrągłe na mój widok i gwałtownie pokręciła głową. Zrozumiałem, co chce powiedzieć: Eligorowi nie można ufać.

I co mi z tego? Dla mnie to nie nowina, ale innego wyjścia faktycznie nie miałem, choćbym zgrywał nie wiem jakiego chojraka.

– W porządku. Zrobię, jak mówisz – oznajmiłem. – I potem zostawisz nas w spokoju? Gdziekolwiek będziemy? Na zawsze?

– Gdy tylko dostanę pióro, zostawię was oboje w spokoju na zawsze, gdziekolwiek będziecie... pod warunkiem że to, co wiesz, zachowasz dla siebie. Jeżeli jednak strzeli ci do głowy, żeby mnie później sprzedać w jakikolwiek sposób, nasza umowa straci ważność, a gdy cię wtedy dorwę, będziesz z łezką w oku wspominał swoje niedawne przeżycia w tej sali. Jasne?

Wzięłem głęboki oddech i spojrzałem na Caz, która wciąż dawała mi te same znaki. Cóż było robić?

– Jasne. Zgadzam się. A teraz bądź tak dobry i zdejmij z niej te łańcuchy. Jeśli ją w jakikolwiek sposób skrzywdzisz, nigdy nie dostaniesz swojego fantu. Nigdy, rozumiesz?

Zgłoszę się wtedy do swoich i oddam im pióro.

Ledwo to powiedziałem, Caz zniknęła.

– Będzie wolna, ale pozostanie... pod moją opieką – rzekł Eligor. – Dopóty, dopóki nie zameldujesz, że je masz i jesteś gotów wypełnić swoje zobowiązanie.

Poczułem się jak Sky Masterson* stawiający całą kasę plus duszę nieśmiertelną na jeden rzut kośćmi, ale odwrotu już nie było.

– I teraz mogę odejść? – upewniłem się.

– Prawie. Na twoim miejscu wysłuchałbym jednak do końca, co mam do powiedzenia. Tak się składa, że jakimś cudem mój stary przyjaciel ksiązę Sitri dowiedział się, że jesteś moim gościem. Pamiętasz go, prawda?

– Doskonale. Czarujący z niego gość.

– Raczej zawistna, intrygancka świnią – sprostował arcyksiązę z delikatną tylko nutą wrogości. – Uprzejmie poinformował senat, że więzień, którego sobie wypożyczyłem z aresztu Sekty Zbrodniarzy, jest w rzeczywistości aniołem. Szpiegiem Nieba.

– Co?

– Jak się domyślasz, wynikła z tego drobna sprzeczka. A że zarzuca mi się też skorumpowanie ludzi z Sekty, Sitri i spółka nasłali na mnie Oczyszczonych z Mastemy. Słyszałeś pewnie o tej formacji? Podlegają bezpośrednio Lucyferowi, więc łapówką nic się u nich nie wskóra.

– Nasłali? To znaczy, że tu idą?

– Raczej, że już stoją u bramy, a moi ludzie grają na zwłokę. – Arcyksiązę wyglądał na znudzonego. – Ale długo to nie potrwa.

– A więc to ty nie miałeś wyboru. Nic dziwnego, że tak ci było pilno dobić ze mną targu! Lada chwila by mnie zabrali i tyle byś z tego miał.

– O, nie. Nigdy bym cię nie oddał senatowi żywego. Jeśli jednak wydam im twoje zwłoki, nadal będę się musiał liczyć z możliwością, że ktoś to pióro znajdzie. Nie chcę, żeby mi to wisiało nad głową. – Zatrzepotał śnieżnobiałymi skrzydłami. – I stąd nasza miła umowa.

– Ale jak ja mam się wydostać z Piekła?

– To już nie moja sprawa. Umiałeś tu wleźć, to i wyjście jakoś znajdziesz, aniołku.

– Przecież sam mówiłeś, że jak mnie złapią, bez trudu wycisną ze mnie wszystko! O piórze, o twoim układzie i tak dalej.

– No tak. – Arcyksiązę skinął głową. – Dobrze, że mi przypomniałeś. Jest jeszcze jeden drobny aneks do umowy. – Odwrócił się do Teddy'ego, na którym nagle zabielił się lekarski fartuch. – Przyniosłeś naszego małego przyjaciela, Teddy?

– Oczywiście, panie.

Futrzak wydobyl z kieszeni kulę wielkości piłki golfowej i pokazał na wyciągniętej dłoni. Kula była półprzezroczysta i wypełniała ją coś śliskiego i ruchomego.

Eligor wziął ją od niego i podsunął mi przed oczy. Stworzenie w środku miało zdecydowanie za dużo zębów i odnoży jak na mój gust; gapiło się na mnie przez błoniastą ściankę, jakby już się zastanawiało, gdzie się we mnie wkręcić i złożyć jaja czy coś w tym rodzaju.

– Poznajesz, Dolorielu? Widziałeś ich już sporo.

– O czym ty mówisz? – Wzdrygnąłem się.

– To inkub, nasza wersja anioła stróża. My też je przydzielamy każdemu narodzonemu człowiekowi, aby rejestrowały wszystko, co robi i co może go w końcu doprowadzić tu do nas. Na Ziemi inkuby są niematerialne, ale w Piekle jak najbardziej... W samej rzeczy, aby wszczepić ci ten oto egzemplarz, doktor Teddy będzie musiał dokonać drobnego zabiegu chirurgicznego.

– Zabiegu?

Eligor się uśmiechnął i strzelił palcami. Zakurzona sala konferencyjna zniknęła, w okamgnieniu zastąpiona przez izbę z zardzewiałym metalowym stołem i zestawem narzędzi. W następnej chwili, niedotknięty nawet przez nikogo, znalazłem się na owym stole, leżąc na brzuchu kompletnie unieruchomiony. Ale niepozobawiony zmysłów: dotknięcie futrzastych łap poczułem wyraźnie. Pluszowy chirurg wdrapał się na mnie, usiadł okrakiem i przesunął się w górę, aż spoczął mi na karku, z nogami opuszczonymi po obu stronach mej głowy. Co gorsza, czułem też jego włochatą erekcję.

– Musimy ci go umieścić u podstawy czaszki – wyjaśnił arcyksiążę. – W ten sposób natychmiast mi zamelduje, jeśli komukolwiek w Piekło powiesz o naszych sprawach, a gdyby cię schwytała Mastema, inkub przegryzie się na zewnątrz i już nie będziemy musieli się martwić, że im cokolwiek wyśpiewasz. Natomiast jeśli uda ci się wydostać z Piekła na Ziemię, inkub zniknie wraz z ciałem demona, które tu nosisz. Będę czekał na twój sygnał. Numer do mojego biura znasz. Zadzwoń, jak odnajdziesz pióro, i zaaranżujemy wymianę.

To rzekłszy, rozpląnął się w powietrzu. Miałem wrażenie, że zgasł płomień dotąd gorejący blisko mnie. Zostałem sam na sam z odrażającym implantem i doktorkiem-potworkiem, który nie zwlekając, zabrał się do dłubania dziury w moim karku zardzewiałym śrubokrętem. Znieczulenie? No co wy... w Piekło?

A już miałem nadzieję, że na dzisiaj dość się nakrzyczałem.

Myślałby kto, że po tych wszystkich straszliwych mękach i upokorzeniach, jakie ostatnio wycierpiałem, ten ostatni akt przemocy to tylko drobna niewygoda; niewielka cena za wyjście stąd żywym, czy chociaż za szansę ucieczki. Błąd. Okropne uczucie podczas wykuwania mi w czaszce dziupli dla inkuba było bladym i lichym niczym w porównaniu z tym, czego doznałem, kiedy Teddy wepchnął we mnie tego cholernego stwora tak, że oparł się o moje mózgowie. Wyobraźcie sobie, że krab pustelnik cały z żyłek wciska się gwałtem w muszlę o wiele dla niego za małą – a tą muszlą jest wasz czerep. Potem te niezliczone odnóża i zęby zacisnęły się na moim hipokampie, kotwicząc inkuba na dobre; ale najgorszy był ból świadomości, że bestia podłącza się do mnie w tej chwili na tysiąc przerażająco intymnych sposobów. Obcowałem w życiu z wieloma duchami, demonami, aniołami stróżami; spotykałem potwory, na których widok komandos z Zielonych Beretów by się zmoczył i nawet tego nie zauważył. Przysięgam jednak, że nigdy jeszcze nie przeżyłem niczego równie odrażającego jak moszczenie się Eligorowego szpiega w mojej głowie.

Doktor skończył operację i paroma szybkimi ruchami zaszył ranę (zdaje się, że drutem), a potem wszystko zawirowało i zniknęło, jakby pod nami otworzył się ściek, i doktor, stół i sala spłynęły gdzieś w podziemia Czerwonego Miasta.

Znalazłem się w ogrodzie Koniogardu, skryty w morzu cienia. Wielka wieża przesłaniała światło nawet z najwyższej zawieszonych latarni, przesączało się go jednak dostatecznie dużo, bym widział oddział Oczyszczonych przed bramą zamku. Każdy z olbrzymich jeźdźców z łatwością zmiażdżyłby mnie pewnie gołymi rękami, a było ich kilkudziesięciu, uzbrojonych po zęby w dziwaczne strzelby, włócznie i halabardy z wielkimi, zębatymi ostrzami. Ich wierzchowce były żywymi truchłami z żółtawymi kośćmi przebijającymi przez wysuszoną skórę. Naprawdę zaniepokoiły mnie jednak psy gończe, niecierpliwie szarpiące się na smyczach. Były tylko trochę mniejsze od koni, ale tak silne i rwące się do pościgu (za mną, gdyby ktoś zapomniał), że parę razy zbiły z nóg swoich panów i trzeba było kilku par rąk, żeby je osadzić na miejscu. Podczas jednej z takich utarczek któryś z psów uniósł pokraczny łeb i zawył. Natychmiast dołączyły do niego inne. Od tego przenikliwego dźwięku aż ziemia zawibrowała i kolana się pode mną ugięły. Słyszałem już o ogarach piekielnych, ale pierwszy raz miałem okazję je zobaczyć w naturalnym otoczeniu i nagle bardziej niż kiedykolwiek zrobiło mi się żal Roberta Johnsona. Gdy tak stałem

z bijącym sercem, ledwo się trzymając na nogach, rozbrzmiał mi w uszach posepny głos młodo zmarłego bluesmana śpiewającego specjalnie dla mnie:

I każdy martwi mnie dzień,

Bo ogar piekielny złapał mój trop.

Jak gdyby wyczuwając beznadziejność moich myśli, inkub szarpnął struny mego umysłu, jak niecierpliwy kierowca depcze pedał gazu w oczekiwaniu na zielone światło, i wszystko we mnie ścięło się lodem. Sięgnąłem do rany na karku. Szwy doktora Teddy'ego wydały mi się grube jak sznurowadła, a cięcie wciąż lekko krwawiło. Kawalek Eligora był ze mną na dobre i złe, i nic na to nie mogłem poradzić. Żle to wszystko wyglądało, ale nie pozostał mi już żaden wybór. Czas było brać nogi za pas. Stawką w tym wyścigu było nie tylko moje życie, ale i sama nieśmiertelność duszy.

* Wytrawny hazardzista z filmu *Faceci i laleczki*, rolę tę zagrał Marlon Brando.

Trzydzieści sześć Odmęty



Nadchodziła noc, co mi trochę ułatwiało sprawę. Byłem nagi i pokiereszowany, krwawiłem z paru ran, ale najstraszniejsze tortury, jakich zaznałem u Eligora, nie pozostawiły śladów na ciele. Nagość to rzecz w Pandemonium nie tak powszechna jak w innych kręgach Piekła, ale i nie jest niczym wyjątkowym.

Przemykając przez miasto najbardziej cienistymi zaułkami, zanosilem w duchu modły, aby się nie okazało, że Riprash odpłynął już do Przystani Kokytos. Nie wiedziałem, ile czasu byłem więźniem arcyksięcia; mogło to trwać miesiące, a nawet lata, choć w to wątpiłem. Jakiś czas jednak musiał upłynąć, bo odgryziona przez Bloka dłoń prawie cała mi już odrosła. Szara skóra była na niej jeszcze zbyt gładka i miejscami wyglądała jak blizny po oparzeniu, ale palce pracowały normalnie i mogłem każdym dotknąć kciuka – to zaś znaczyło, że mogę chwytać nimi przedmioty, a konkretnie broń. W ziemskich wcieleniach aniołowie są oburęczni; tu się przekonałem, że to samo dotyczy ciał demonów. Brak jednej ręki specjalnie mi nie przeszkadzał, ale gdyby miało przyjść do walki, zawsze lepiej mieć obie.

Ledwie doszedłem do dzielnicy nad Siarkową Laguną, gdzie gościła mnie markiza Cynk, powietrzem zatrzęsły syreny alarmowe i wycie ogarów (te na szczęście były jeszcze daleko). Pościg się rozpoczął. Poniekąd ułatwiało mi to zadanie, gdyż większość mieszkańców pospiesznie zamykała się w domach – nikomu nie uśmiechało się spotkanie z psiskami, którym nie zawsze robi różnicę, kogo atakują i pożerają. Zapewnienie, że „ja nic nie zrobiłem”, nie jest wystarczającą wymówką ani dla nich, ani dla ich panów. U bramy Czerwonego Miasta, gdzie w innych miejscowościach zazwyczaj widzi się tablice typu „Pikutkowo wita”, nad via Dolorosa wisi trzymetrowej wysokości napis z płonących szkarłatnych liter: „Nikt nie jest niewinny!”.

Tak mi było spieszo do Riprasha, że nie zachowałem należytej ostrożności przy wchodzeniu na teren portu i zatrzymał mnie wartownik przypominający nietoperza. Musiałem bidaka znokautować i dopiero po fackie stwierdziłem, że był to stary i słaby niewolnik. Nie miałem jednak czasu do stracenia, tym bardziej że mógł uruchomić jakiś cichy alarm, bezceremonialnie wepchnąłem go więc w ciemny kąt za zwojami lin. Nadal nie bardzo wiedziałem, co sądzić o zwykłych potępieńcach. Niektórzy z pewnością mają na sumieniu tak okropne rzeczy, że gdybym znał prawdę, pewnie skłonny byłbym spopielić ich na miejscu. Byli też jednak z pewnością i tacy, których albo pchnęły do zbrodni okoliczności (jak Caz), albo też od tamtego czasu zrobili tyle dobrego (jak Riprash), że wieczna kara wydaje się wobec nich nie w porządku. Z drugiej strony to przecież Piekło: nie ma co marnować współczucia na ogół miejscowej populacji, która w swej masie chętnie by mnie widziała znów wydanego na męki.

Do basenu Krakena dotarłem, nie napotkawszy nikogo więcej z portowego personelu. Ku mej radości *Zrzędliva Jędza* po staremu kołysała się przy kei. Trochę się pokłóciliśmy z marynarzem strzegącym trapu – pokrytym łuską stworem z błoną między palcami rąk i nóg – ale jakoś utrzymałem nerwy na wodzy, nikt nie dostał nożem, a w końcu zjawił się sam kapitan. Ujrawszy, kto jest przyczyną nagłego zamieszania, szybko zgarnął mnie do kajuty. Gob spał w kącie, zwinięty w kłębek jak psiak na stercie niewyprawionych skór.

Riprash się uparł, by opatrzyć mi rany – polegało to na zmoczeniu ich solanką i pokryciu gorącą smołą; lekarstwo gorsze od dolegliwości. Byłem jednak wdzięczny, że ktokolwiek chociaż

pomyślał o mnie z troską i chciał ulżyć w niedoli.

Gob obudził się w trakcie tych zabiegów i przyglądał się im z zainteresowaniem. Nawinał się też ten i ów z załogi, ciekawy, kim jest ten gość, jak to ujął jeden z nich, „co wparował na pokład, kwicząc jak świnia, z gardłem poderżniętym po niewłaściwej stronie”.

Ostrzegłem Riprasha, że właśnie awansowałem na wroga publicznego numer jeden, niezwłocznie polecił więc ludziom wciągnąć trap i przygotować statek do odpłynięcia.

– Przy zewnętrznym falochronie możemy się natknąć na straż portową – oznajmił mój ulubiony ogr. – Wolałbym się nie wdawać z nimi w bójkę, ale gdyby co do czego, lepiej mieć coś pod ręką. – Przyjrzał mi się krytycznie. – Nie zawadziłoby też coś na siebie wrzucić. Na Styksie zrobi się chłodno, gdy już wypłyniemy na główny nurt.

Ledwo się trzymałem na nogach, ale z determinacją czekałem, aż coś dla mnie wygrzebie w kufrach. Naturalnie żadne z jego ubrań na mnie nie pasowało – równie dobrze mógłbym się owinać w namiot czteroosobowy – znalazł jednak parę rzeczy swojego szefa Gagsnatcha. Koszula miała oczywiście podwójne otwory na głowę, demon jednym szarpnięciem rozerwał jednak szwy i połączył je w jeden szeroki kołnierz. Spodnie, choć workowate, też się nadały.

Cały czas dokuczał mi tępy ból u podstawy czaszki po brutalnym zabiegu doktora Teddy’ego, a samopoczucie nie poprawiała świadomość, że siedzi mi na mózgu jakiś krabowaty potwór. Pocieszałem się jednak myślą, że przynajmniej wydostałem się z łap Eligora; poza tym możecie wierzyć mi na słowo, że to kaszka z mleczkiem w porównaniu z całopaleniem na żywca.

– No to jeszcze jakaś broń – mruknął Riprash. – Hmm... Ciach-ciach czy bum-bum? Może jedno i drugie.

Podniósł inną, na oko znacznie cięższą skrzynkę, jakby była pudełkiem od butów, i przetrząsnąwszy jej zawartość, wyciągnął nóż, który w jego masywnych łapskach wyglądał jak damski sztylecik, ja zaś mógłbym się nim fechtować jak krótkim rzymskim mieczem. Wsunąłem go sobie za pas, czując się trochę jak pirat z Karaibów, ale Riprash jeszcze ze mną nie skończył. Na dnie skrzynki znalazł to, czego szukał: parę pistoletów owiniętych w nieprzemakalne płótno. Nie były to skałkówki, jakie kilkakrotnie widziałem u demonów, ale nowocześniejsze wyroby sztuki rusznikarskiej, technicznie zbliżone do rewolwerów Colta, które rozwiązały niejedną dysputę na Dzikim Zachodzie. Wykonano je z surowego czarnego żelaza, rękojeść zaś była wyłożona poźółkłą kością z misternymi nacięciami.

– Jeden taki zapłacił mi nimi za przewóz... mniej więcej. – Riprash zachichotał.

Po czasie tortur i kompletnej bezsilności z radością przyjąłem możliwość strzelania do stworów, które by chciały zadać mi ból. Zważyłem spluwy w dłoniach i wsunąłem je za pas na obu biodrach, kolbami do przodu, a potem przećwiczyłem ich wyciąganie: obu naraz i pojedynczo, w stylu Billy’ego Kida. Odrośnięta prawica rozboleła mnie po kilku próbach, ale przynajmniej się przekonałem, że broń jest dobrze wyważona. Obiecałem sobie je przestrzelać później na rzece i sprawdzić celność.

– Mniej więcej za przewóz czy mniej więcej zapłacił? – spytałem, mierząc lewą ręką w drzwi kajuty.

– Zablińdował się w Piwożłopach. Chciał się dostać do Pandemonium. Powiedziałem, że go dowiozę w zamian za pistolety. Odmówił i wyciągnął je na mnie... – Riprash pokręcił głową. Rana w jego czaszce wyglądała wciąż tak samo świeżo jak wtedy, gdy mu ją zadano. – Odebrałem mu broń i wyrzuciłem go za burtę w przełomie Głodnych Skał. Tyle że dla mnie są bezużyteczne, bo mi się palec nie mieści w osłonie spustu. Tobie przydadzą się bardziej.

– Pierwszemu właścicielowi to pewnie nie zrobi różnicy – mruknąłem.

– Będziemy tamtędy przepływać, to możesz go o to zapytać! – Kapitan parsknął śmiechem. – Tylko musisz głośno krzyczeć. Przytroczyłem mu kotwicę do pasa, więc pewnie wciąż tkwi na

dnie.

Kiedy Riprash wyszedł do swoich zajęć, wyciągnąłem się na podłodze. Gob przyglądał mi się w milczeniu, gdy układałem sobie pod głowę poduszkę ze zwiniętych skór. Zasnąłem chyba od razu snem prawie kamiennym; zamiast snów trafiło mnie tylko wrażenie, że dzielę czaszkę z czymś o wiele mniej przyjemnym niż mój własny mózg. Co oczywiście było prawdą.

Obudziłem się w statkowej ciszy podszytej dyskretnym poskrzypywaniem kadłuba na fali, cichym furkotem lików żagli i szumem wiatru. Przez chwilę leżałem z zamkniętymi oczyma, delektując się zapomnianym już odczuciem, że nikt mnie akurat nie torturuje. Powiniennem chyba czuć na pokładzie, wypatrując płynących pieskiem ogarów Mastemy, ale od tak dawna nie miałem okazji spokojnie pomyśleć bez przeszywającego całego ciała bólu nie do wytrzymania, że ochoczo z niej skorzystałem. A miałem o czym rozmyślać. Na pierwsze miejsce wysunęła się oszałamiająca wiadomość, jakoby Śmiszek nie pracował dla Eligora, jak od początku sądziłem, lecz dla Kefasa – było nie było anioła z wyższych sfer. To by się nawet zgadzało: w końcu ostatnią instytucją, która przejęła Śmiszka (a raczej jego popioły) po tym, jak go schwytaliśmy, a sprzątacze wykończyli, było Niebo. Tylko dlaczego ktoś taki jak Kefas miałby nasyłać psychopatyczną maszynę do zabijania na najmilszego anioła w Jude, czyli na mnie? Wiem, że niebiańska polityka jest brudniejsza, niż wygląda, ale takie posunięcie wydawało mi się nieco przesadzone.

Łamałem sobie nad tym głowę długie godziny, ale najwyraźniej brakowało mi kilku elementów tej układanki, a wśród nich i takiego: Kim, u diabła, jest Kefas? I jak próba nadziania mnie na stalowy szpikulec ma się do jego programu poprawy losu ludzkich dusz?

Zniechęcony pozbierałem się na nogi i wygramoliłem na pokład. *Jędza* sunęła szparko środkiem wielkiej rzeki, Pandemonium skurczyło się do odległej łuny za rufą. Styks wyglądał niemal pięknie: czarna powierzchnia wody lśniła delikatnie, skropiona miedzianymi refleksami od dalekich poświateł. Nurt był spokojny, od czasu do czasu przemknęła po nim drobna falka albo z głębi wychynęło cylindryczne cielsko potwornego węża. Miałem wrażenie, że płyniemy dość szybko. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów nawiedziło mnie uczucie ostrożnego optymizmu. Sprawa wydawała się prosta: teraz tylko wykaraskać się z Piekła i odszukać pióro, a wtedy Eligor odda mi za nie Caz. Nad tym, co zrobię potem – jeżeli w ogóle będzie jakies potem – na razie nie zamierzałem się zastanawiać. Związek anioła z demonicą – problem sam w sobie na skalę kosmiczną – teraz jawił mi się jako dylemat zwycięzcy. Wezmę się do niego, gdy zwyciężę.

Przez kilka dni mknęliśmy po Styksie, mijając niezliczone okropne porty. Riprash nie usiłował ukrywać mnie przed załogą, skoro nikt nie miał kontaktu z łądem, zacząłem więc spędzać coraz więcej czasu na rufie, przyglądając się mijanym brzegom i miejscowościom.

– Widzisz, tak sobie o tym wszystkim rozmyślałem... – zagaił któregoś wieczoru Riprash. – I wychodzi mi, że może już pora zacząć robić coś innego.

– Coś innego? – Trochę mnie zaskoczyło to stwierdzenie. – Znaczy co?

– Krzewić Słowo wzniesionych szerzej niż dotychczas. – Minę miał mój demon tak filozoficzną, jak to możliwe u wielkiego monstrem z łbem rozłupanym jak przejrzały arbuz. – Chodzi mi to po głowie, odkąd mi przyniosłeś tę wiadomość od wiesz kogo. Do tej pory nie bardzo wierzyłem, że Ośliryk opowiedział mi historię prawdziwą, więc się też specjalnie nie przykładałem.

Pokręciłem głową, nieco zdezorientowany. Riprash wyjaśnił mi, że dawno temu, kiedy dopiero zaczynał pracę u Gagsnatcha, pewien demon o imieniu Ośliryk został wyrzucony za burtę z innego statku, a on go uratował. Nieznajomy okazał się zaskakująco inteligentnym rozmówcą i dobrym kompanem na długi rejs. Gdy się już bliżej poznali, wyznał kapitanowi, że

przybył spoza Piekle, i przekazał mu Dobrą Nowinę Oczekujących. Riprash żył wtedy już dość długo, by – jak to określił – „na starość deczko sfilozofieć”, i słowa przybysza trąciły w nim właściwą strunę.

Ośliryk? W innych okolicznościach byłbym ubawiony. Jeżeli Temuel sam wybrał sobie takie imię na pobyt na Dole, to nadaną mu przez nasz Pokręcony Chór z „Cyrkla” ksywkę „Muł” można uznać za przebłysk niesamowitej intuicji. Tylko co mój bezpośredni przełożony w ogóle robił w Piekło? Kolejne pytanie nieprowadzące do niczego użytecznego.

– Kiedy jednak zjawiłeś się ty, pomyślałem sobie, że jest coś większego do zrobienia niż tylko marzyć o lepszym losie, ale żyć jak zawsze. Że może twoje przybycie z wieścią od Ośliryka to znak, kapujesz? Znak, że pora działać, ponieść Słowo gdzie się da, do tych, którzy nigdy go nie słyszeli.

Jeżeli Riprash naprawdę zamierzał zostać misjonarzem w tym najmniej przyjaznym dla misjonarzy środowisku, jakie można sobie wyobrazić, to pozostawało mi tylko się cieszyć, że wkrótce się rozstaniemy – najprawdopodobniej od razu po zawinięciu do Przystani Kokytyos. Czułem wyrzuty sumienia, że wpakowałem w to małego Goba, tłumaczyłem sobie jednak, że w Abadonie też nie miałby lepszego życia.

Dość regularnie natykaliśmy się na siebie z tym dziwnym pracownikiem Riprasha, którego po cichu nazywałem Szurniętym Kotem. Był czymś w rodzaju księgowego, często więc miał powód, by zajrzeć do kapitana. W zasadzie powinien już traktować mnie jak stały element gry, on jednak wciąż gapił się na mnie przy każdym spotkaniu jak za pierwszym razem, choć przyłapany na tym, peszył się i odwracał wzrok. Zaczynało mnie to irytować, a nawet, szczerze mówiąc, niepokoić. Zapytałem Riprasha, skąd go wytrzasnął.

– Pyszcza? To świeży nabytek. Nie przepracował u mnie nawet całego sezonu, zanim się zjawiłeś. Któregoś dnia zwyczajnie przypałał się do biura Gagsnatcha, bo ponoć słyszał, że szukamy kogoś, kto się zna na buchalterii. Tak było, więc został przyjęty i od tamtej pory cały czas jest z nami. Zauważyłem, że ma jakąś fiksację na twoim punkcie, ale ogólnie to cichy gość i nie sprawia najmniejszego kłopotu.

– No, nie wiem... – zacząłem.

Kapitan nawet mnie nie słuchał, tylko od razu posłał Goba po buchaltera, a gdy ten się stawił na rozkaz, zapytał go wprost:

– Pyszcze, czemu się naprzykrzasz Wężowijowi, co?

Mały stwór spojrział na niego z nieskrywanym przerażeniem. Wydał cichy pisk, ale poza tym język najwyraźniej odmówił mu posłuszeństwa. Powodowany litością przekonałem Riprasha, żeby pozwolił mi przejąć przesłuchanie.

– Nic ci nie grozi – powiedziałem najprzejazniej, jak umiałem. – Chcę tylko wiedzieć, dlaczego zawsze tak dziwnie na mnie patrzysz.

– Nie wiem – wyszeptał, na wszelki wypadek wbijając oczy w podłogę.

– No to pomyśl chwilę. Nikt tu nie chce ci zrobić krzywdy.

– Chyba żeby próbował kłamać! – wtrącił basem kapitan. – Bo wtedy od razu urwę mu łeb i pożrę!

Interwencja nie była tak pomocna, jak ogr zapewne sobie wyobrażał, bo wiele wody w Styksie upłynęło, zanim księgowy ocknął się z omdlenia, a potem też nie od razu przestał dzwonić zębami i ośmielił się otworzyć usta.

– Nnie wiem... – próbował tłumaczyć ledwo słyszalnym szeptem. – Jest w tobie coś... Twoja twarz. Nie te rzeczy. – Wskazał na guzy, które sobie dodałem po wyrwaniu się ze szponów Very Cynk, aby choć trochę zmienić wygląd. – Zauważyłem to od razu. Mam wrażenie... że skądś cię znam. Albo przynajmniej widziałem wcześniej.

Żadne pytania pomocnicze nie mogły jednak wydobyć z niego dokładniejszej informacji. Jak wielu mieszkańców Pieła, Pryszcz nie był w stanie zapamiętać wiele z tego, co się działo tydzień wcześniej, a cóż mówić o szczegółach z dawniejszych czasów. Przyglądałem mu się uważnie. Niczym szczególnym się nie wyróżniał, w każdym razie jak na warunki piekielne: coś pomiędzy kocurem skąpanym w oleju silnikowym a wyjątkowo szpetnym ogrodowym krasnałem. Teraz jednak zaczynał mi kogoś przypominać, choć za nic nie mogłem dojść kogo. Czyżbym go spotkał na samym początku moich piekielnych peregrynacji? Możliwe, bo takich do znudzenia zwyczajnych typów przewinęło się wokół mnie tysiące i na żadnym nie zatrzymałem wzroku dłużej niż moment. Gdyby moja pamięć była aż tak dobra, że mimo to bym go rozpoznał, to powinienem zbijać fortunę w teleturniejach, zamiast szwendać się po Piele.

– Dobra, Pryszcz, możesz odejść. – Riprash ulitował się w końcu nad nieszczęśnikiem. – Jak ci coś przyjdzie w tej sprawie do głowy, melduj. Tylko nie przy innych! Za dużo wszędzie uszu.

– Za dużo wszędzie uszu – powtórzył księgowy, kiwając głową.

Zdanie najwyraźniej z czymś mu się skojarzyło, bo wymruczał je pod nosem jeszcze parę razy, a potem znów się na mnie zagapił.

Obaj zrozumieliśmy chyba jednocześnie.

– Walt? – spytałem. – Walter Sanders? To ty? Skąd się tu wzięłeś?

I to był on we własnej, choć tak odmienionej osobie. Walter Sanders, mój kumpel anioła z Jude, zasztyletowany przez Śmiszka i od tamtej pory zaginiony! Halucynacje? Może za długo już jestem na Dole i tracę zmysły? Jednakże mały buchalter Riprasha patrzył na mnie z równie ogłupiałą miną jak – zapewne – moja: powolne świtanie dziwacznej myśli, która utkwiała w wąskim gardle logiki i nie może się przedrzeć na drugą stronę.

– Tak – potwierdził niemal bezgłośnie. – To ja. Walter Sanders. Nie! Nazywam się Watriel. To moje prawdziwe imię. – Rozejrzał się po kabinie, zatrzymał wzrok na Riprashu, potem na Gobie i wreszcie na mnie, mrugając przy tym jak ktoś wyrwany ze snu i osłepiony latarką. – Skąd się tu wzięłem?

Coraz lepiej. Tajemnica tajemnicę sekretem pogania.

– Nie wiesz? Nic nie pamiętasz?

W tej chwili rozległo się łomotanie w drzwi i okrzyk marynarza proszącego kapitana na pokład. Walter i ja wiedliśmy urywaną rozmowę dalej, lecz nie przybliżyliśmy się ani trochę do rozwiązania zagadki, co się z nim działo między atakiem Śmiszka a podjęciem pracy w firmie Gagsnatcha. Po kilku minutach Riprash stanął w drzwiach z nietęgą miną.

– Mamy problem – oznajmił. – Chodź, sam zobaczysz.

Nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek wyglądał na zaniepokojonego, ale teraz był wyraźnie zmartwiony: brwi zmarszczył tak mocno, że oczy prawie mu zniknęły pod wielkim nawisem czoła.

Całą trójką podążyliśmy za nim. Plamka na horyzoncie była taka mała, a niesione przez nią światła tak przyćmione, że dopiero po długiej chwili domyśliłem się, że to statek.

– Jaką ma banderę? – rzucił Riprash do Goba. – Wyteż te młode ślepie!

Chłopak wspiął się na palce, by wychylić się poza reling, i pół minuty wpatrywał się w mglisty półmrok.

– Z ptasią nogą – zameldował wkrótce.

– Tego się bałem. To znak komisarza Skrzydeł i Szponów. – Zerknął na mnie z ukosa. – A więc to statek Nilocha, *Bezglowa Wdowa*.

Wzmianka o komisarzu wprawiła mnie w dzikie przerażenie, ale za wszelką cenę starałem się tego nie okazywać.

– Ładna nazwa – mruknąłem tylko w odpowiedzi.

– Pełna brzmi: *Zgwałcona Bezgłowa Wdowa*, ale dla publiki to za długie, zresztą wszyscy wolą za wiele o niej nie gadać. Ma napęd parowy i ze dwadzieścia dział na naszych osiem... z których tylko dwa działają prawidłowo... i na mur-beton dogoni nas najpóźniej pojutrze.

Widziałem go teraz lepiej: czarny, niski cień z wybałuszonymi na nas ślepiami lamp. Miałem nadzieję, że szpetny sukinsyn spalił się na popiół, kiedy wysadziłem w powietrze jego zamek w Grobogrodzie, ale piekielnych arystokratów niezwykle trudno ubić. Nie muszę zaś chyba powtarzać, że są mistrzami pamiętliwości, jeśli chodzi o urazy... Wyglądało na to, że dobry komisarz Niloch wkłęcił się na posadkę głównodowodzącego obławą na Bobby'ego Dolara.

– Możemy z nim walczyć? – spytałem.

– Jeżeli rozumiesz przez to, że możemy dać się pociąć na kawałki, spalić i utopić, to owszem, byłaby to piękna walka. No, kij mu w oko. Zawsze wiedziałem, że kiedyś skończę na dnie Styksu.

Jak gdyby dla podkreślenia tej wesołej sentencji wiatr zmienił kierunek i żagle *Zrzędlivej Jędzy* obwisły smętnie jak mokre pranie. Z oddali nad ciemnymi odmętami rzeki jak warczenie głodnego drapieżnika niósł się głuchy łoskot maszyn *Bezgłowej Wdowy*.

Trzydzieści siedem Chodzenie po wodzie



Powiem wam coś ogólnie o bitwach morskich: najlepiej ich unikać.

Szczególnie zaś, gdy zanosi się na starcie z okrętem pełnym rozjuszonych demonów na rojącej się od potworów mitycznej rzece i nawet w razie zwycięstwa nagrodą będzie tylko szansa na dalsze przebijanie się do wyjścia z Piekla, gdzie po drugiej stronie gniewni anielscy przełożeni lub inne zainteresowane strony tylko czekają, by wydrzeć z was duszę i odesłać ciupasem z powrotem na Dół. Takich sytuacji należałoby unikać jeszcze usilniej.

Pobożne życzenia... Tymczasem stałem przy relingu *Jędzy* jak skamieniały, patrząc, jak taki właśnie piekielny okręt godzina za godziną, metr po metrze nieubłaganie nas dogania.

W normalnych warunkach nie byłoby źle, mieliśmy bowiem sprzyjający prąd i niewielką, a szybką i zwrotną jednostkę. Statki niewolnicze muszą być takie; nie dlatego, żeby niewolnictwo było w Piekle nielegalne (ha, ha!), ale z tej prostej przyczyny, że ładunek, który przewożą, jest na tyle cenny, by wielu miało na niego chrapkę. Jak jednak wyjaśnił Riprash, okręt Nilocha napędzają cztery potężne silniki parowe, gdybyśmy więc, nawet ryzykując wpadnięcie na skały, gnali całą noc i zdołali się przeprawić przez służę na Styksie przed nim, dopadłby nas tym szybciej na bardziej oleistych, stawiających większy opór wodach Flegetonu. Byłaby to jedynie kwestia czasu. Na razie pozostawało nam tylko umykać, wyciskając każdy możliwy ułamek węzła prędkości. Ja sam nie miałem nic lepszego do roboty niż pałętać się po pokładzie, pielęgnując narastające przeczucie katastrofy.

W mniej popieprzonych okolicznościach ciekawe byłoby obserwować pracę załogi *Jędzy*. Wielu marynarzy miało małą budowę jak Gob, dzięki czemu radzili sobie na masztach lepiej niż najsprawniejsi ziemscy żeglarze. Inni, mniej przystosowani do wspinaczki, wyglądali za to na przydatnych w bitce, zwłaszcza dwaj bracia o imionach Rzyg i Żaga, pokryte kolczastymi łuskami monstra z ostrymi jak brzytwa szponami na rękach i nogach. W obecnej sytuacji nawet im trudno byłoby jednak dokazać czegoś więcej niż przeżyć nas o parę chwil. *Bezgłowa Wdowa* była coraz bliżej i nawet w słabym czerwonym świetle odbitym od stropu piekielnego widać było wyraźnie, że jest od naszej *Jędzy* znacznie większa, a jej załoga o wiele liczniejsza.

A wszystko to przeze mnie. To z mojego powodu Niloch ściga statek Riprasha i w końcu go dorwie i zatopi, a ocalałych z pogromu obróci w niewolników. Skoro zaś tak, to miałem moralny obowiązek pomóc im się uratować, w przeciwnym razie cała gadanina o wzniesieniu byłaby tylko biciem cienkiej pianki.

I nagle przypomniałem sobie jego historyjkę o wyrzuceniu za burtę właściciela moich pistoletów. Podsunęło mi to pewien pomysł – wariacki i beznadziejny, ale alternatywy nie widziałem – poszedłem więc wypytać Waltera o materiały dostępne w magazynkach pokładowych. Znalazłem go przy prawoburtowym relingu zapatrzonego w powoli zbliżające się światła *Wdowy*.

– Riprash mówi, że Niloch to najgorszy typ demona – odezwał się cicho, gdy przy nim stanąłem.

– Znaczą niby są gorsze i lepsze?

– Jemu podobno bardzo zależy na reputacji, ale jest przy tym miernotą. To moje określenie, nie kapitana. On go nazwał bezużytecznym. Powiedział, że tacy jak on, ambitni durnie,

przysparzają najwięcej problemów.

– To dotyczy nie tylko demonów – odparłem, mając na myśli Kefasa. – Nadal nie możesz sobie przypomnieć, co się z tobą stało?

– Przykro mi. – Walt wzruszył ramionami. Nie patrzył mi w oczy. – Za to wiem, że znam ciebie, Bobby. Trochę mi to zajęło, ale teraz cię pamiętam. Zdaje się, że byłeś w porządku.

– Przyjaźniliśmy się – sprostowałem. – Tak to w każdym razie zawsze widziałem.

A pamiętasz inne rzeczy? Nasz bar „Pod Cyrklem”?

– Nie za bardzo... – Walter potarł pomarszczoną twarz. – Znaczący wiem, że było takie miejsce i często tam zachodziłem. Zdaje się, że bywało wesoło i... ludzie śpiewali?

– Powiedzmy, że raczej wrzucali monety do szafy grającej i darli się do wtóru. – Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. – Ale ogólnie się zgadza.

– Myślę, że... że pamiętam też Niebo. – Mówił powoli, jakby chciał mieć pewność, o co mu chodzi. – Przynajmniej to, jak tam było. Piękne, jasne światło. Ktoś do mnie przemawiał takim słodkim głosem...

– Ano, tak to właśnie wygląda. I nic innego?

– Nie! – odparł niemal płaczliwie. – Nic więcej nie mogę sobie przypomnieć, ale wiem, że to ważne. Wiem, że to ważne.

Czułem się winny jego bólu, ale chyba lepiej dla niego, żeby wiedział, iż nie w Piekło jest jego miejsce. Nie byłbym w porządku, utrzymując go w nieświadomości, prawda? Tak w każdym razie to sobie wtedy tłumaczyłem.

– Trudno. Jak ci coś przyjdzie do głowy, daj znać. Bo widzisz, coś mi tu nie gra. Zaatakował cię gość ze zleceniem na mnie, zadźgał cię, a ty przepadłeś. Wszyscyśmy się spodziewali, że cię wsadzą w nowe ciało i... – Urwałem, kątem oka dostrzegłszy jakąś zmianę na horyzoncie; *Bezgłowa Wdowa* urosła w oczach i wyglądała, jakby sam zamek w Grobogrodzie wypuścił się na rzekę. – Hej, czyżby na okręcie Nilocha wybuchł pożar? – Wyteżyłem wzrok, pewien, że mam zwidy. To byłoby zbyt piękne, żeby mogło dziać się naprawdę. – Riprash! Chodź tutaj!

Zanim ogr się zjawił, chmura dymu i ognia wokół *Wdowy* sięgała już dość szeroko poza jej obie burty. Bałem się uwierzyć, że oto los mnie w ten sposób ustrzegł od wyjątkowo nieprzyjemnego finału moich wakacji na Dole.

– To ogień, prawda? Czy oni płoną?

Kapitan nie wyglądał na rozradowanego.

– Że ogień, to fakt. Ale nie pożar. Przyjrzyj się lepiej. Cokolwiek to jest, kieruje się w naszą stronę.

– To jakaś broń? Strzelają do nas?

Odpowiedzi nie uzyskałem, w każdym razie nie od Riprasha. Czarna chmura pełna ognia rosła tak szybko, że wkrótce przesłoniła wrogą jednostkę. Chwilę później ognista smuga przeleciała tuż nad naszymi głowami i uderzywszy w pokład, odbiła się parę razy w snopach iskier i zatrzymała na przeciwległej burcie. Stojący w pobliżu marynarz natychmiast polał to wiadrem czarnej wody ze Styksu.

– Co to takiego? – spytał Walt.

Jemu nikt nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili śmignęło nad nami kilkanaście takich komet i wyraźnie zobaczyliśmy ptaki: szaropióre, tłuste i płonące. Dwa pacnęły w bezanżagiel, który natychmiast zaczął się tlić. Paru małpich majtków rzuciło się go gasić, ale już nadlatywały kolejne i trafiały w to samo i inne płótniska. Jeden frunął tuż nad wodą, wbił się lekko nad burtę i wpadł na Goba, podpalając mu czuprynę. Riprash przyskoczył do chłopca jednym susem, chwycił go za nogi w kostkach i wychyliwszy się przez reling, zanurzył go w wodzie i ugasił.

– To sprawka Nilocha! – krzyknął. – W końcu jest komisarzem Skrzydeł i Szponów!

Żar-ptaki pojawiały się jeden za drugim jak wystrzelone z dział, próbując utrzymać prosty kurs do końca, choć płomienie trawiły im skrzydła.

– Do wiader, hołoto! – ryknął kapitan. – Chcą nam spalić żagle, a jeśli się im to uda, złapia nas przed następną szklanką! Stanąc w łańcuch i podawając wodę!

Dołączyłem do szaleńczej akcji, zajmując miejsce w szeregu. Pełne wiadra przechodziły z rąk do rąk, najlepsi wspinacze rozstawili się na wantach i podawali je wyżej, by polewać każdy zagrożony bryt żagla, ale mimo naszych wysiłków bezan poszedł na straty, a i topsel palił się prawie cały. Tylko heroizm załogi zapobiegał rozprzestrzenieniu się pożogi na kolejne płótna.

Nalot w końcu stracił na intensywności, ale pozbawieni tylnych żagli nie rozwijaliśmy już takiej szybkości i dystans między obu statkami malał. Przykucnąłem pod osłoną nadburcia obok Walta, by złapać oddech przed następną falą żar-ptaków.

Tylko że nie były to żar-ptaki. Coś bladego przeleciało mi z dziwnym grzechotem koło ucha, odbiło się od kolumny grotmasztu i spadło na deski. Nie minęła minuta, a pokład zasłały latające ryby, a raczej ich szkielety, prawie pozbawione ciała – co nie przeszkadzało im kłapać zębami na wszystko w ich zasięgu, zanim opadły z sił i zdechły. Nagle spadła na nas z góry cała ławica tych potworków. Kilku marynarzy zajętych gaszeniem żagli spadło, jakby ich strąciły kule; wyraźnie słyszałem, jak pękają im kości, chwyciłem więc Waltera za ramię i pociągnąłem ku kajucie Riprasza. Gob był już wewnątrz, siedział skulony tuż za progiem, szeroko otwartymi oczyma gapiąc się na rój rybich szkieletów kłębiący się wokół masztów.

I wtedy z daleka dobiegł huk wystrzałów z armat *Bezgłowej Wdowy*: głuchy i urywany jak pocięty na równe części grzmot. Byli jeszcze za daleko, żeby pociski doniosły, ale salwa posłużyła za klarowną zapowiedź: koniec z wami, jak nie teraz, to wkrótce.

– Mam pomysł! – krzyknąłem do Goba i Waltera przez ogólny zgiełk i wrzaski marynarzy, ledwo utrzymujących się na linach pod naporem zębatach bestii. – Gob, umiesz szyć?

Popatrzył na mnie jak nastolatek z Jude zapytany, czy *Macarena* jest wciąż na liście przebojów.

– Nie? To znajdź mi kogoś, kto się na tym zna. Walt, pomóż mi wybrać kilka tych skór w odpowiednim rozmiarze.

– Co ty kombinujesz? – spytał Sanders, kiedy Gob wyprysnął z kajuty prosto w chaos na pokładzie.

– Im na was nie zależy, tylko na mnie. Dopóki jestem na statku, nie odpuszczą. Ale gdybym wysiadł, to najpewniej podążą za mną, nie za wami.

– Że co? – Walter zerknął na skóry, które odkładałem na bok. – Jak to: wysiąść? Chcesz sobie zrobić tratwę? Dopadną cię w godzinę!

– Nie, nie tratwę. Zamierzam spróbować pewnej sztuczki. Nie wiem, ile pamiętasz ze swojego dawnego życia, ale ludzi na Ziemi mocno rajcował jeden taki, który chodził sobie po wodzie.

– Chcesz chodzić po wodzie? – Sanders patrzył na mnie skołowany.

– Nawet więcej: będę to robił pod wodą.

Kilka minut później Gob wrócił z jednym z najstarszych załogantów, niejakim Jajokurczem, którego demone cielsko wyglądało jak zlepek najmniej atrakcyjnych elementów pojęć „pajak” i „suszona wołowina”. Kiedy mu wyłożyłem, w czym rzecz, popatrzył na mnie jak na wariata, ale w mig docenił zalety pracy w kabinie kapitańskiej, gdzie nie ma żarłocznych rybich ościotrupów. Bez słowa usadowił się na podłodze i wyciągnął z zanadru niezbędny żaglomistrz – zestaw kościanych igieł i szpulkę katgutu owinięte w kawałek niewyprawionej skóry. Wyjaśniłem mu, co ma robić, i zostawiłem go przy pracy pod nadzorem Goba i Sandersa, a sam wyszedłem na

nieustający deszcz upiornych rybek. Riprash był na międzypokładzie artyleryjskim, gdzie kierował przeciąganiem dwóch sprawnych armat na stanowiska ogniowe bliżej rufy.

Streściłem mu mój plan. Jako demon, kapitan nie tracił czasu na jałowe dysputy, choć dał mi jasno do zrozumienia, że według niego nie mam wielkich szans na przeżycie. Czasami to nawet przyjemne, że w Piekło tak mało jest towarzyskich konwenansów i nikt nie udaje troski o rzeczy, które go tak naprawdę nic nie obchodzą. Riprash nie miał nic przeciwko mojej osobie, ale kochał swą *Zrzedliwą Jędzę*, a poza tym pewnie myślał, że gdybym zginął, zostanę po prostu reaktywowany w nowym ciele. Nie próbowałem tłumaczyć mu, że śmierć to dla mnie najpewniejszy sposób trafienia w łapy Nilocha i spółki. Instrukcje od Lameh nie pozostawiały wątpliwości: Temuel może mnie przełożyć do ziemskiego ciała tylko wtedy, gdy mnie wydostanie z Piekła – a może to uczynić tylko w jednym miejscu, po drugiej stronie zapomnianego mostu Nerona.

– Jak się uda, Niloch zostawi cię w spokoju – dokończyłem. – Głowy za to nie dam, ale jeśli staną przed takim wyborem, będą woleli ścinać mnie.

– Nie dasz rady – orzekł demon. – W tej części rzeki roi się od szyjniaków, czarnopławów i wielkich zębatych meduz. Każda z nich połknęłaby cię jak łyżkę jajecznicy.

Nie chciałbym być połknięty nawet jako kawior czy rachatlukum.

– Możesz podplynać bliżej brzegu? – spytałem.

– Nie tutaj. Nie mogę zgubić prądu, bo od razu by nas dopadli. Ale niedługo miniemy Cypel Czaszkotłuków u zbiegu Styksu i Flegetonu, na zatoce Tofet. Woda tam płytsza, nie będzie meduz. Może się trafić parę świniornic, ale to niewielki problem. Słyszałeś chyba o nich?

Szczerze mówiąc, o żadnym z tych stworów ani nie słyszałem, ani nie chciałem słuchać. Wszystko było już tak dokumentnie pochrzanione, że każda nowa zła wiadomość nie wносиła właściwie niczego, tylko by zamieszała w całym tym bałaganie.

Wdowa zbliżała się powoli, lecz nieprzerwanie. Kiedy padła następna salwa, kule wzbily fontanny wody zaledwie paręset metrów za naszą rufą. Wracając do kajuty, przystanąłem przy dziale i wziąłem sobie jeden z pocisków, dopisując tym samym ogniomistrza okrętowego do listy mieszkańców Piekła, którzy mają mnie za idiotę.

W kabinie rzuciłem kulę w kąt i jako tako zamocowałem, by się nie przetaczała w rytm kołysania statku; była dostatecznie duża i ciężka, by zgruchotać komuś nogę. Potem sprawdziłem, jak idzie Jajokurczowi z szyciem skór.

– Tu, w rogu, zostaw otwór – zadysponowałem.

Pająkowaty pokręcił głową, słysząc tak bezsensowne polecenie, ale nieumarłe ryby latające nadal bębniły o ściany nadbudówki, a w jej wnętrzu było znacznie przytulniej, więc wstrzymał się od głośnego komentarza.

– Obaj będziecie bezpieczniejsi z Riprashem – powiedziałem Waltowi i Gobowi, nakładając prymitywnie pozszywaną przez żaglomistrza kamizelkę.

Po napompowaniu jej powietrzem wyglądałem jak logo Michelina, tylko nie tak zgrabnie. Świeży wiatr niósł nas żwawo, dzięki czemu trzymaliśmy się w przedzie przed parowcem Nilocha dostatecznie długo, by spokojnie dotrzeć na wysokość Cypla Czaszkotłuków. Byłem zdecydowany opuścić *Zrzedliwą Jędzę*, zanim komisarz ją unicestwi.

– Ale oni znają nasz statek – zauważył Walter. – Wiedzą, do kogo należy i gdzie szukać Gagsnatchów. Teraz nie możemy nawet wrócić do Przystani Kokytos!

– To bez znaczenia – burknął Riprash, pomagając mi zejść do wywieszanej już za burtę łódki. – Nie zamierzam tam wracać.

– A co zamierzasz? – spytałem, pospiesznie sprawdzając kamizelkę. Martwiłem się, że szwy nie wytrzymają ciśnienia wody; zostały wprawdzie nasmołowane, lecz nie byłem przekonany co

do jakości uszczelnienia.

– Iść za przeznaczeniem. To był wyraźny znak, mówiłem ci. Długo nad tym myślałem i teraz widzę wszystko jasno. Moją powinnością jest wykorzystać *Jędzę* do szerzenia wiary Oczekujących. Popłyniemy, gdzie nas oczy poniosą, i każdy port będzie naszym domem.

Uznałem to za piramidalnie zły pomysł.

– Riprash, to beznadziejne. Zadrzesz w ten sposób z władzami, z Eligorem, Nilochem, księciem Sitrim i całą resztą. Nie pozwolą ci na to. Zdepczą jak mrówkę.

– Nawet Mastema nie jest wszechobecna. – Demonisko było zaskakująco pewne siebie. – Będziemy się zatrzymywać, głosić Słowo i płynąć dalej. Inni podejmą nasze dzieło i tak to polecą. Nasz mały Gob zna już na pamięć modlitwę Oczekujących! Powiedz Wężowijowi, chłopcze. Niech wie!

Malec wyglądał na zawstydzonego (a może wystraszonego; zawsze trudno to było rozróżnić), ale się przemógł i z oczyma wbitymi w pokład wyrecytował cicho i bardzo poważnie:

Dostrzeż nas, któryś jest w Niebie,
Diable imię moje,
Hen królestwo Twoje,
Tu niewola moja.
Tak mi w Piekło, jaki-m był na Ziemi.
Asfodela daj nam naszego
I dopust za nasze winy
Tak nam, jak i naszym winowajcom.
I nie karz wiecznym nas cierpieniem,
Ale nas zbaw od zła naszego.

I znów tylko brak gruczołów łzowych sprawił, że nie wyszedłem na sentymentalnego głupca. Wciąż trudno mi było orzec, czy wyciągając chłopaka z Abadonu, wyświadczyłem mu dobro, czy zło – ale co się stało, to się nie odstanie. Na zmiany było już za późno.

– Uważaj na siebie, Gob – wymamrotałem tylko łamiącym się głosem. – Kapitan Riprash się tobą zaopiekuje.

Malec skinął głową. Może by mi nawet podziękował, ale jak już pewnie zauważyliście, w Piekło nie jest to w modzie, a poza tym wokół nas zaczęły już wykwiatać fontanny wody od pocisków Nilocha, atmosfera więc była raczej napięta.

– A ciebie, Walterze, jakoś stąd wydostanę – zwróciłem się do dawnego przyjaciela, od pierwszego słowa czując się jak krety.

Tak wiele obietnic, tak mało dotrzymanyh słów. Sanders był jednak zbyt uprzejmy – nawet jako demon – by zwrócić mi uwagę na nierealność tak buńczucznej zapowiedzi. Pomachał mi tylko smutno, jak dzieciak patrzący na egzekucję starszego brata.

Riprash zaczął opuszczać łódź, samopas obsługując talię żurawika.

– Włożyłem ci do kamizelki flaszkę rumu – oznajmił. – Przyda się, zobaczysz. I jak już dotrzesz wiesz gdzie, to powiedz wiesz komu, że rozgłoszę Słowo na całe Piekło!

Zastanawiałem się, czy na tym właśnie zależało Temuelowi, gdy przekazywał mi wiadomość dla niego. Uznałem jednak, że to nie moja sprawa. Nigdy nie wiadomo, do czego może doprowadzić słowo lub czyn, nie?

– Bóg was kocha! – krzyknąłem jeszcze, zanim łódka osiadła na wodzie.

To właśnie my, aniołowie, mówimy duszom świeżo zmarłych. Byłem pewien, że żaden z moich towarzyszy nie słyszał tego od tamtej pory, a tacy jak Riprash pewnie nigdy.

– Bobby! – Walter wychylił się przez reling i byłby wypadł do wody, gdyby Gob w ostatniej chwili nie chwycił go za nogi. – Właśnie coś mi się przypomniało. Głos! Pamiętam głos!

Ledwo go słyszałem w ogólnym hałasie.

– Jaki głos?

– Ten, który pytał mnie o ciebie!

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ja też nie jestem pewien, ale to chyba ważne. To był głos dziecka. Słodki, melodyjny ton!

Dno łodzi plasnęło o powierzchnię rzeki i przez chwilę skupiałem się na utrzymaniu równowagi. Wiatr wzdymał całkiem spore fale, dla statku słabo odczuwalne, ale moja jolka solidnie się rozkołysała. Przez szum wiatru i świst kul armatnich dobiegła mnie komenda Riprasha: „Odbijać!”, i kadłub *Jędzy* powoli zaczął się oddalać.

Widok opuszczanej szalupy musiał zaskoczyć Nilocha, bo działa *Bezgłowej Wdowy* umilkły, choć pościgu nie zaprzestał. Z pewnością się spodziewał, że wezmę się do wiosł, ja jednak ich nawet nie zabrałem – nie były mi do niczego potrzebne. Obejrzałem się na niknący w dali statek Riprasha i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z dojmującego poczucia samotności.

Moi prześladowcy najwyraźniej obawiali się podstępu, bo podpłynąwszy na kilkadziesiąt metrów, zatrzymali maszyny i stanęli w dryfie. Mnóstwo oczu obserwowało mnie czujnie znad burty, w tym i sam Niloch. Wyglądał jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż przy naszym pierwszym spotkaniu. Ogień strawił większość jego kościanych wypustek i dopiero teraz zobaczyłem, że ma głowę bardziej ptasią niż końską.

– Ej, ty! – wrzasnął skrzekliwie. – Wężowij, ty nędzny wypierdku! Coś się tak nadał? Żadna zbroja, którą może nosisz pod tym dziwnym odzieniem, cię przede mną nie uchroni! Zniszczyłeś mi dom!

– A, to przepraszam! – odkrzyknąłem. – Pewnie dlatego, żeś chciał mnie torturować, a potem wydać Mastemie.

– Nikomu nie wolno kpić z władzy, a już najmniej takiemu śmieciowi jak ty, bez ziemi, domu, przynależności...

– Daruj sobie, nawet cię nie słucham – przerwałem mu. – Jesteś równie nudny, jak paskudny.

– Obejrzałem się, by sprawdzić, czy Riprash płynie dalej, po czym schyliłem się i podniosłem z dna łodzi mój pocisk armatni. – Wiesz, co to jest?

– Kula.

– Mylisz się. Spróbuj jeszcze raz.

Komisarz skrzywił się z niesmakiem, co dziwacznie wyglądało na tak pociągłej, kościstej twarzy.

– To może bomba? No dalej, zdrajco. Zabij się. Nam nic nie zrobisz, okręt jest opancerzony.

– Znowu nie zgadłeś. To tylko balast.

Balansowałem chwilę ze stopą na burcie łódki, dopóki nie umieściłem bezpiecznie pocisku w specjalnie przygotowanej uprząży na brzuchu, po czym zrobiłem krok naprzód. Ciężar pociągnął mnie w głąb żrących, gęstych wód zatoki Tofet.

Trzydzieści osiem Na dnie



Gdybym zwiedzał Piekło z wycieczką, za taką atrakcję jak nurkowanie we Flegetonie musiałbym słono dopłacić – w katalogu biura podróży figurowałaby pewnie pod hasłem „Popływaj z milutkimi meduzami o ząbkach jak perełki” – ale możecie mi wierzyć na słowo, że bardziej skupiałem się na przetrwaniu niż podziwianiu egzotycznej fauny.

Podwodną wędrówkę zacząłem od wyciągnięcia kościanej zatyczki z wężyka wszytego w nadmuchałą kamizelkę i wetknięcia go sobie do ust. Musiałem oddychać płytko i oszczędnie: zapas powietrza w tym improwizowanym akwalungu miał mi wystarczyć do dotarcia na brzeg, wliczając w to uniki przed ewentualnym pościgiem z *Wdowy*. Spojrzałem w górę. Z trudem wypatrzyłem nad sobą zarys kadłuba okrętu Nilocha. Mój demoni wzrok łatwo się adaptuje do ciemnego środowiska, a Flegeton wlewa tu do smolistego nurtu Styksu dość jasności, by choć trochę rozproszyć przydenny mrok; inna rzecz, że owo światło nie bierze się z gwiazd: to rzeka ognista i jej woda mocno drażniła mi oczy i nozdrza. Ogólnie jednak mój pomysł się sprawdzał: szedłem po dnie, miałem czym oddychać, a ciężar pocisku dobrze równoważył siłę wyporu kamizelki.

W odmętach mijaly mnie żywe stworzenia, niektóre przerażająco wielkie i węzowate jak skrzyżowanie węgorza z potworem z Loch Ness, inne drobniejsze i zwinne, ciemne smugi śmigające tam i z powrotem. Na razie nie zauważyłem żadnych uzębionych jamochłonów, ale w oddali pulsowało coś w rodzaju namiotu cyrkowego, na przemian zwijającego się i rozwijającego na prądzie rzeczny. Na dnie czaiły się półtorametrowej średnicy jeżowce, spod nóg czmychały mi płaskie kraby o niepokojąco ludzkich głowach. Raz musiałem przystanąć i odczekać, aż przede mną przepłynie pokryty rogowymi łuskami stwór wielkości autobusu z paszczą zdolną pochłonąć naraz Bobby’ego Dolara i pięciu podobnych facetów. Nie miałbym szansy przed nim uciec, więc trzeba było przykucnąć z nadzieją, że mnie zignoruje. Potem wydawało mi się, że widzę wspomnianą przez Riprasha świniornicę: faktycznie przypominała nieco mojego przyjaciela Tłuściocha w jego wieprzowym wcieleniu, z tą różnicą, że z ryja wyrastały jej kilkumetrowe macki, którymi pracowicie gmerała w mule, zapewne w poszukiwaniu pożywienia. Nie traciłem czasu na rozważania natury zoologicznej; przyjąłem z góry, że toń rzeki piekielnej nie może być miejscem bezpiecznym i tyle. Jedyнным sposobem, by przetrwać ten podwodny spacer, było jak najszybsze dobrnięcie na suchy ląd.

W takim towarzystwie z najwyższym trudem powstrzymywałem się od głębokich wdechów i zmuszałem do jednostajnego, powolnego marszu, lecz mimo oszczędzania powietrza moja kamizelka coraz bardziej flaczała – a ja wciąż nie miałem pojęcia, jak jeszcze daleko mam do płytszej wody ani nawet czy będę mógł bezpiecznie się wynurzyć na powierzchnię. Zakładałem, że Niloch nadal mnie wypatruje, a może i odgadnie mój plan i będzie czekał w zasadzce na brzegu. Na to nie trzeba wielkiego stratega.

Właśnie kopnięciem odrzuciłem z drogi sporego kraba i z niepokojem macałem kamizelkę, kiedy kątem oka spostrzegłem kolejny wielki cień sunący wolno przy dnie w moim kierunku. Przekonany, że to jeszcze jeden drapieżny gigant, przyklęknąłem skulony na dnie i wstrzymałem oddech, by nie zdradzić swej obecności bąbelkami wypuszczanego powietrza. Z mroku wyłoniła się jednak nie bestia, lecz... kolumna marszowa. Człekokształtne stworzenia szły jedno za

drugim, z każdym krokiem wzbijając chmury mułu, co sprawiało wrażenie, jakby maszerowali we mgle. Dopiero z bliska zobaczyłem, że są skuci łańcuchem za nogi.

Niewolnicy. Przewożący ich statek musiał kiedyś paść ofiarą pirackiego ataku albo po prostu zatonął, a oni skończyli na dnie Flegetonu, nie mogąc wypłynąć na powierzchnię z powodu obciążenia kajdanami. Mogłem tylko zgadywać, od jak dawna tak wędrują, ale widać było, że nie od wczoraj, bo rzeka zdążyła pobrać od nich upiorne myto. Z kilkorga zostały same szkielety ze strzępami skóry i mięśni, większość zachowała jednak prawie nienaruszone ciała, tu i ówdzie nadgryzione tylko przez ryby lub inne wodne stwory. Idący na czele stracił oczy, prawą rękę i palce lewej, ale z ponurą determinacją parł z wolna przed siebie, ciągnąc za sobą pozostałych, równie ślepych jak on. Widok ich pustych oczodołów wyjaśnił mi, dlaczego idą wzdłuż nurtu, zamiast kierować się do najbliższego brzegu.

Ruszyłem im na spotkanie najszybciej jak mogłem, lecz moja kula u brzucha nie pozwalała na szybszy marsz. Starłem się zwrócić ich uwagę, wymachując rękami, ale bezskutecznie. Przewodnik kolumny mijał mnie obojętnie, a w ślad za nim cała reszta. Dobrnałem w końcu na tyle blisko, by móc chwycić jednego za ramię, ale kończyzna odpadła ze stawu i została mi w ręku, tamten zaś nawet nie zareagował.

Byli nie do uratowania. Może wędrowali tak już od lat; w każdym razie stracili za dużo na ciele i duszy, by móc przetrwać na łądzie. Najlepsze, co mogłem dla nich zrobić, to zostawić ich własnemu losowi, by maszerowali dalej, kęs po kęsie rozrywani przez potwory, aż wreszcie rozpadną się i zjednoczą z rzeką.

Jedną z najbardziej dobitnych lekcji, jakie pobrałem w Piekło, było uświadomienie sobie, jak niewiele może tu działać anioł. Dostawałem tę nauzkę wielokrotnie, ale nigdy tak przeraźliwie jasno jak teraz.

Skuci niewolnicy z wolna rozmyli się w mrocznych wodach i zniknęli mi z oczu.

Gdybym był facetem z innej gliny, mógłbym pewnie poświęcić całą karierę studiom nad formami życia (wiecie, co mam na myśli) obecnymi w rzekach Piekła. Ale jestem, jaki jestem. Chciałem się tylko wydostać z tej koszarnej toni, z tego kręgu piekielnego, i stanąć wreszcie na moście Nerona. Nie mogłem jednak nie zwrócić uwagi na szamoczące się w mule dwa szkielety, usiłujące zamordować jeden drugiego.

Tak jest: byłem świadkiem śmiertelnych zmagania dziesięć metrów pod powierzchnią zatoki. Obu przeciwnikom brakowało większości dolnej połowy ciała i zaciskali sobie nawzajem kościste dłonie na kręgach szyjnych. Byli pod wodą, więc duszenie nie miało większego sensu, oni jednak to właśnie robili. Piekło jest Piekłem.

Mógłbym wam jeszcze długo opowiadać, co widziałem na dnie, ale sam wolę o tym zapomnieć. Dotarłem na płyciznę na ostatnich haustach powietrza. Zrzuciłem kamizelkę wraz z przytroczonym do niej pociskiem, zabrałem wsuniętą mi przez Riprasha butelkę i wypłynąłem na powierzchnię. Długą chwilę leżałem na wodzie bez ruchu, udając kolejnego topielca, by się zorientować w sytuacji. Dostrzegłem *Bezglową Wdowę*; była na szczęście daleko – wciąż dryfowała w pobliżu miejsca, gdzie dałem nura. Po statku Riprasha nie było śladu. Poszło więc dobrze – teraz musiałem tylko dopłynąć do brzegu.

Wygramoliłem się w końcu na suchą ziemię w najciemniejszym, najbardziej osłoniętym miejscu, jakie udało mi się wypatrzeć, na wypadek gdyby ktoś z ludzi Nilocha miał lunetę. Pozwoliłem sobie na krótki odpoczynek dla nabrania oddechu, lecz wkrótce zaalarmowały mnie dobiegające z oddali głosy.

Wdowa opuściła posterunek na środku nurtu i podpływała do brzegu. Wiedziałem, że w załodze znajdują się oczy bystrzejsze od moich, odwinąłem więc pistolety i kordelas od Riprasha z ochronnego brezentu i wsadziłem za pas, po czym ostrożnie wspiąłem się na nadrzeczną

skarpe, by jak najszybciej oddalić się od rzeki. Okazało się jednak, że teren wznosi się dość stromo. Na zboczu byłem jeszcze bardziej odsłonięty niż na brzegu, nie było jednak wyjścia – musiałem się wspinać dalej.

Z góry widziałem *Bezgłową Wdowę* zakotwiczoną na zatoce i dobijające do brzegu łodzie – nie takie łupinki jak moja, lecz solidne kilkuwiosłowe szalupy z miejscem dla żołnierzy, wierzchowców, no i dla ogarów piekielnych komisarza. Nietrudno było się domyślić, gdzie są te bestie, gdyż wszyscy pozostali tłoczyli się na drugim końcu łodzi.

Ku memu przerażeniu oddział Nilocha nie zabrał się do rozbijania obozu, lecz od razu pociągnął z grubsza w tym samym kierunku co ja – jak gdyby już podjęli mój trop. Przyspieszyłem kroku, choć w ciemnościach wspinaczka nie była bezpieczna. Gdy zbliżałem się do szczytu wzniesienia, zapal ścigających już jednak opadł: konie, czy na czym tam jechali, nie dawały sobie rady na skalistej stromiźnie. W końcu, kiedy dotarli na stosunkowo płaski odcinek terenu, zatrzymali się i rozesłali zwiadowców na poszukiwanie łatwiejszej drogi na górę.

Wykorzystałem tę przerwę na odpoczynek. Znalazłem głąz, za którym mogłem się położyć, nie tracąc przeciwnika z pola widzenia. Niloch był wściekły; nie rozróżniałem z daleka słów, ale jego piskliwy wrzask niósł się chyba na całą dolinę rzeki. On ochrzaniał podkomendnych, ogary szarpały się na smyczach trzymanyh każda przez dwóch lub trzech żołnierzy. Patrzyłem na to przez chwilę, ale szybko odwróciłem wzrok. Psy były ogromne; długością tułowia dorównywały lwom i tygrysom, łapy zaś miały przysadziste jak u wilków ze średniowiecznych malowideł, a krótka, gęsta sierść wyglądała, jakby były natarte sadzą na gołą skórę. Później się przekonałem, że w istocie nie są wcale owłosione, tylko pokryte skórzastymi łuskami i przypominają pod tym względem warany z Komodo.

Nagle jeden z ogarów zwrócił łeb wprost ku mojej kryjówce. Jego różowy ryj, do tej pory niewidoczny, wysunął się z czarnej mordy jak psi penis z fałd skórnych, lśniący lepłą wilgocią i pozbawiony cech szczególnych, jeśli nie liczyć dwóch sporych otworów, w których domyśliłem się nozdrzy. Potem rozwarł się na końcu, ukazując pysk pełen zakrzywionych do środka kłów. Odwróciłem się i zwymiotowałem czystą żółcią – jedyną rzeczą, jaką miałem w żołądku.

Zaliczyłem już wiele paskudnych widoków, ale mało który był gorszy od tego. W przeciwieństwie do wodnych potworów te monstra polowały tylko na mnie jednego. Kiedy przestał mnie nękać odruch wymiotny, pozbierałem się na nogi i szybko dobiegłszy do szczytu, rozejrzałem się za dogodnym miejscem do schodzenia na drugą stronę. Byłem wyczerpany, ale wizja wężącego ogara dała mi solidny zastrzyk adrenaliny.

Z ulgą dostrzegłem w dole światła – pomarańczowa łuna rozświetlająca tuman nadrzecznej mgły mogła być nocną wizytówką całkiem sporego miasta. Nieco bliżej rozpościerała się siatka dróg, w tym szeroki, oświetlony rozstawionymi co kilkadziesiąt metrów pochodniami bity trakt. Obrawszy go za cel marszu, ruszyłem w dół zbocza najspieszniej, jak się dało bez groźby upadku i połamania gnatów.

Zejście na równinę zajęło mi chyba parę godzin. Parę razy słyszałem za sobą w górach mrozące krew w żyłach wycie ogarów. Ryzykowałem nad miarę, ale byłem zdecydowany trzymać się jak najdalej przed pościgiem, wiedząc, że w mieście łatwiej mi będzie ich zgubić niż na pustkowiu. Musiałem zresztą znaleźć stację wyciągu, ponieważ tylko tą drogą mogłem się dostać do Abadonu przed Nilochem i jego zgrają.

Przez cały ten czas widziałem na trakcie tylko cztery pojazdy: dwa fikuśne powozy konne, prosty wóz handlarza i duży czarny samochód, jakim w Pandemonium zwykli jeździć piekielni arystokraci. Nie uśmiechało mi się wpaść w łapy świty jakiegś szychy, ale też wolałbym nie dreptać piechotą aż do samych rogatek, od których dzieliło mnie jeszcze co najmniej parę mil. Kiedy więc dotarłem do drogi i ruszyłem w stronę światła, miałem oczy i uszy otwarte na

potencjalną okazję austostopu.

Próbowałem zatrzymać pierwszy nadarżający się pojazd – rodzaj dylizansu zaprzęzonego w czwórkę koniopodobnych zwierząt (jeśli czworonogi o ludzkich stopach można tak określić), ale woźnica tylko smagnął mnie batem i pojechał dalej. Zanim pojawił się następny, minęło jakieś pół godziny. Najpierw dobiegło mnie miarowe posapywanie maszyny parowej, a potem zza zakrętu wychyłała groteskowa konstrukcja wyglądająca pod względem technicznym jak skrzyżowanie czołgu z rowerem trójkołowym, pod estetycznym zaś jak dyniowa karoca Kopciuszka.

Pomachałem ręką i ku mej radości dziwadło zwolniło, a kierowca obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. Potem syknęły hamulce i otworzyły się drzwiczki, co zinterpretowałem jako zaproszenie i wgramoliłem się do środka... gdzie niemal się nadziałem na wymierzoną we mnie lejkowatą lufę garłacza.

Sprężyłem się w sobie, pewny, że za chwilę zostanę obrabowany, zastrzelony albo jedno i drugie. Kierowca jednak tylko obejrzał mnie, potem polecił mi położyć pistolety na podłodze. Zrobiłem to, starannie unikając gwałtownych ruchów. Usatysfakcjonowany skinął głową i po chwili toczyliśmy się już dalej traktem.

Nieznajomy był pomarszczonym człekokształtnym stworzeniem z twarzą naznaczoną bliznami jak po ospie i obwisłą bezwładnie po jednej stronie oraz wielką dziurą w torsie, w której zmieściłaby się moja pięść. Zobaczył, że się gapię na ranę, i wybuchnął śmiechem.

– Teraz widzisz, dlaczego jestem taki ostrożny! To pamiątka po poprzednim facecie, którego podwoziłem. Chciał mi zabrać moją ślicznotkę... – Poklepał z afektem kierownicę wehikułu. – Ale się naciął, sukinsyn! Odstrzeliłem mu łeb i zostawiłem na poboczu szukającego go po omacku. Nigdy go nie znajdzie, ha ha ha! Z czerepu nic nie zostało.

– A mimo to nadal zabierasz przygodnych pasażerów? – Uśmiechnąłem się uprzejmie (choć raczej blado) na znak, że w pełni aprobuję dekapitację jako karę dla wszelkiej maści rabusiów.

– Co robić, droga ze Złego Mięsa do Ściągniewa bardzo się dłuży. Dobre towarzystwo to zawsze miła odmiana. Inaczej można by zwariować z nudów!

Nie mogłem się powstrzymać od myśli, że gość, który dla towarzystwa bierze autostopowiczów po tym, jak jeden z nich chciał go wykończyć, niekoniecznie jest zdrowy na umyśle. Tym bardziej że z jego dalszej opowieści wynikało, iż przeżył już niejedną taką przygodę (oczywiście kosztem autostopowiczów).

– A teraz my jesteśmy współtowarzyszami podróży – powiedział z uśmiechem. – Nazywam się Józef, a ty?

Wymyśliłem naprędce jakieś imię, nie chcąc zostawiać za sobą za dużo śladów.

– Co to za miasto przed nami? – spytałem.

– Ślepędrakowo. Mam nadzieję, że nie liczysz tam na miłe znajomości.

– Dlaczego?

– Widać, żeś nietutejszy! – Józef się zaśmiał. – Miejscowi są raczej dziwni. Wśród podróżnych mówi się, że to miasto samolubów. – Nie wyjaśnił powodu, ale miał sto innych rzeczy do opowiedzenia, jak choćby o swym fachu ślusarza specjalizującego się w wyrobie zamków. – W Ślepędrakowie mam największe utargi. Większość moich zarobków stąd właśnie pochodzi. Gdyby nie to, nie wiem, czy związałbym koniec z końcem!

Zbliżaliśmy się do przedmieścia. Widziałem już pierwsze domy: każdy z wypielęgowanym ogródkiem jak z pocztówki. Jednakże choć w oknach pojawiały się cienie postaci, nikogo nie było widać na zewnątrz. Osądziłem, że to po prostu taka pora – według mojej rachuby musiało być już po północy – i że bliżej centrum będzie inaczej. Myliłem się jednak: napotkaliśmy wprawdzie paru przechodniów, ale wszyscy na nasz widok zmykali do bram lub zaułków, jak

gdyby się nas bali.

Kiedy zagadnąłem o to Józefa, pokręcił ze zdziwieniem głową.

– Naprawdę nie wiesz? Myślałem, że żartujesz. Jak możesz nie wiedzieć? Tutejsi nienawidzą obcych i akceptują wyłącznie własne towarzystwo.

To po cholere zbudowali wielkie miasto pełne wysokościorców, cisnęło mi się na język. Na oko musiało mieć ze ćwierć miliona mieszkańców. W miarę jak dojeżdżaliśmy do centrum, zacząłem rozumieć, co mój towarzysz ma na myśli. W żadnym mijanym domu czy sklepie nie widziałem więcej niż jednej osoby. Nawet miejsca z definicji publiczne, jak przystanki komunikacji miejskiej czy banki, były podzielone na indywidualne boksy, ilukolwiek więc w nich było klientów, nikt nie musiał patrzeć na nikogo innego. Pod wiatą przystankową czekało sześć osób, każda wtłoczona w oddzielną przegródkę niczym kury w zmechanizowanej hodowli. Wszyscy podnieśli głowy na dźwięk silnika naszego auta i odprowadzili nas nienawistnymi spojrzeniami.

W innych okolicznościach ciekawiłoby mnie to na tyle, że z pewnością zechciałbym dokładniej zbadać sprawę. No bo tylko sobie wyobraźcie: jak może funkcjonować miasto pełne ludzi, którzy nie chcą na siebie nawet popatrzeć? Miałem jednak aktualnie inne zmartwienie na głowie, a na imię mu było Józef. Im bliżej przed nami czerniała wieża wyciągu, tym bardziej wydawał się nerwowy; mamrotał coś pod nosem i zerkał na mnie z ukosa, jak gdybym to ja się dziwnie zachowywał. Próbowałem nawiązać niezobowiązującą rozmowę, lecz to tylko pogorszyło sytuację, więc zanim dojechaliśmy na parę przecznic do gmachu stacji, zamilkłem na dobre. Nie pomogło. Józef nieustannie szeptał do siebie i co chwila dotykał kolby leżącego na siedzeniu garłacza. Gdy się zorientował, że to dostrzegłem, wpadł w złość.

– Ach, tak! – wysyczał. – Myślisz, że ci się uda? Ale ja będę szybszy i bum! Po tobie, draniu! – krzyknął z pasją, choć jego niesymetryczna twarz była wyzuta z wszelkich emocji.

Zaczyznałem się go naprawdę bać.

– Najlepiej już sobie tu wysiądę – powiedziałem pojednawczo. – Tu właśnie chciałem dojechać. Dzięki za podwiezienie.

– Dzięki? – Teraz patrzył mi prosto w oczy. Kontrast między martwą i żywą połową twarzy był uderzający: z jednej strony pustka, z drugiej pulsujące furią wejrzenie. Z kącika ust ciekła mu cieniutka strużka śliny. – Masz czelność mi dziękować, gdy chcesz mnie zamordować?

Zdjął nogę z gazu i sięgnął po spluwę, na moje szczęście niezdarnie. Moja broń wciąż spoczywała na podłodze; zdawałem sobie sprawę, że nie zdążę jej pochwycić, zanim skurczybyk do mnie wypali, więc otworzyłem drzwi, kopnięciem wyrzuciłem pistolety na jezdnię i sam wyskoczyłem w biegu.

Moment później rozległ się grzmot wystrzału. Strumień gorącego gazu liznął mi czuprynę, a z rogu budynku naprzeciwko w chmurce cementowego pyłu odpadł spory kawałek tynku. Szukając na oślep pistoletów, słyszałem, jak Józef wysiada z wozu i repetuje giwerę.

– Chciałoby się mnie ukatrupić, co? Spróbować jeszcze raz, tak? Wywiercić w Józku następną dziurę? – wykrzykiwał.

Zanim jednak padł kolejny strzał, ciszę nocy rozerwał jeden z najbardziej przerażających odgłosów, jakie w życiu słyszałem: wycie, od którego skóra chciała się ze mnie zsunąć i popęznąć do jakiejś ciemnej norki. Ogary piekielne były już w mieście. Ale przecież zostawiłem je za sobą daleko na wzgórzach! Jakim sposobem mogły się tak szybko tutaj dostać?

Józef może był wariatem, ale nie na tyle głupim, by zadzierać z ogarami. Gdy namacałem broń, trzasnęły zamykane drzwi, a po chwili szybkie sapnięcia oznajmiły, że silnik parowy zapracował na wysokich obrotach.

Na chwilę zapadła cisza, a potem jedna z bestii zawyla znowu. Druga jej odpowiedziała, co

zabrzmiało, jakby była znacznie bliżej. Najwyraźniej rozdzieliły się i przeczesywały ulice, a ja wciąż byłem o dobre pół mili od stacji wyciągu – i to bez środka lokomocji.

Jest czas, gdy trzeba walczyć, ale to nie była jedna z tych okazji. Teraz był czas brać nogi za pas.

Trzydzieści dziewięć

Ulica Samotna



Jak już pewnie wiecie, instynkt samozachowawczy to w Piekło najsilniejsza motywacja, łatwo więc się domyślić, ile osób zaoferowało mi pomoc, gdy tak gnałem co tchu przez dzielnicę biznesową Ślepędrakowa.

Nawet w ferworze ucieczki mój umysł rejestrował dziwaczne widoki z miejskiej dżungli. Jezdnie i chodniki są tam szerokie jak w stolicy dyktatury faszystowskiej (zapewne po to, by obywatelom Miasta Samolubów, jak je nazwał szalony Józef, łatwiej było się wzajemnie unikać). Mówiłem już o przegrodach dzielących przestrzeń publiczną na indywidualne boksy; w biurach, sklepach i punktach usługowych wszystko było tak zorganizowane, by urzędnik czy sprzedawca nie musiał widzieć więcej niż jednego klienta naraz. Nawet tory kolejowe, wzdłuż których zdążałem ku szybowi windy, były odgródzone od siebie murem, niewątpliwie dla oszczędzenia pasażerom nieprzyjemności ujrzenia kogoś w oknie innego pociągu. Jak przystało na tej wielkości miasto, ludzi widziało się na ulicach nawet o tak późnej porze: sprzątaczy, pracowników z nocnej zmiany, kelnerki i gości kawiarnianych za szkłem niczym eksponaty w muzealnych gablotach – i nikt nie zwracał uwagi na nikogo poza sobą samym. Ślepędrakowo rozwinęło światowej klasy system separacji. Równie dobrze mógłbym teraz być na środku pustyni Gobi i liczyć na wsparcie jaszczurek. Inna rzecz, że nawet mi przez myśl nie przeszło szukać go u kogokolwiek, gdy tak biegłem po ulicy Samotnej (nie żartuję – naprawdę się tak nazywała). Mosiężne pazury ogarów dzwoniły głośno o chodnik – teraz już nie dalej niż pół przecznicy za mną. Nawet zaabsorbowani sobą miejscowi zaczęli zwracać uwagę na zgiełk wywoływany przez pościg: znikali z ulicy jak wystraszone myszy.

Skrećiwszy w szeroką aleję ochrzczoną mianem Bulwaru Izolacji, po kilkunastu krokach odważyłem się obejrzeć przez ramię. Pierwszy ogar wyłaniał się właśnie zza rogu. Bydlę prawie dorównywało mi wzrostem i sadziło potężnymi susami. To było jak ucieczka przed ghallu – innym większym i szybszym ode mnie potworem z otchłani Czasu, którego ongiś nasłał na mnie Eligor – ale tym razem nie miałem srebrnych naboju, Sama ani Chica do pomocy, żadnych trików w zanadru. Odwiodłem kurki w obu pistoletach, wtuliłem głowę w barki i starałem się znaleźć rezerwę prędkości w zmęczonych mięśniach.

U wylotu bulwaru czekała stacja wyciągu z zapraszająco otwartymi drzwiami. Para bestii była już tylko o kilka metrów za mną; osiem łap dudniło o kamienne płyty w tempie działka przeciwlotniczego, ale nie śmiałem już nawet rzucić okiem za siebie. W końcu dopadłem wejścia i omal nie rozkwaśiłem nosa na przegradzającym drogę murku. Zamiast przestronnej, wysokiej hali, jakiej można by się spodziewać w tego rodzaju budynku, wewnątrz stacji stanowiło labirynt cienkich ścianek. Nie miałem ani chwili na zorientowanie się w jego układzie, lecz na szczęście przegrody sięgały niewiele wyżej niż moja głowa i drogowskazem był mi masyw wieży szybu zajmujący oczywiście centralne miejsce. Wyglądało na to, że miasto zbudowano z myślą o bardziej konwencjonalnej populacji i dopiero później ktoś je dostosował do potrzeb obecnej.

Podobnie jak tutejsza fauna rzeczna, socjologiczne anomalie Ślepędrakowa dałyby zajęcie rzeszy naukowców na długie lata, mnie jednak zależało tylko na przeżyciu następnych paru minut. Rzuciłem się sprintem w labirynt, popełniając raz po raz lokalny grzech główny: nie tylko przeciskałem się obok zaskoczonych przechodniów, ale paru nawet bezceremonialnie

przewróciłem na beton. Ogary były tuż za mną i znieważeni w ten sposób ślepedrakowanie nie przeklinali mnie długo; hala wnet rozbrzmiała echem wrzasków przerażenia, gdy się zorientowali, w czym rzecz.

Wypadłem z ciasnego korytarzyka na coś, co niegdyś było głównym holem wokół szybu, teraz podzielonym na indywidualne poczekalnie. Pech prześladował mnie nadal: wszystkie windy były zamknięte, nie paliły się też lampki wskazujące, która może nadjechać w najbliższym czasie. Nie zdziwiłbym się, gdyby następne pięć zjawilo się po przeciwnej stronie szybu.

Na dźwięk głębokiego, wibrującego warczenia, niewiele myśląc, skoczyłem przed siebie – w samą porę, by uniknąć ogara, który wyprysnął z przejścia za moimi plecami, ściskając w szczękach wrzeszczącego potępieńca. Zwierzę zatrzymało się, potrząsnęło nim kilkakrotnie jak terier schwytanym szczurem, ale na mój widok wypuściło go i sprężyło się do skoku.

Wyciągnąłem pistolety i cofnąłem się ku wieży. Wypróbowałem je już niejednym raz i wiedziałem, że nie mogę być pewien celności strzału z dystansu większego niż dziesięć kroków, czekałem więc z naciśnięciem spustu, mierząc mu między ślepiea i skupiając się na opanowywaniu drżenia rąk. Zanim jednak ogar zdecydował się na atak, dołączyły do niego dwa następne (jeden z poszarpanymi resztkami damskiej nogi w pysku, owiniętymi w skrwawiony płat tkaniny).

Jednego może udałoby mi się załatwić paroma kulami, ale trzy naraz? Zresztą nawet gdybym popisał się sprawnością dobrego rewolwerowca i zastrzelił je wszystkie, pozostawał jeszcze problem Nilocha i jego siepaczy, którzy musieli być niedaleko za psiskami. Widziałem teraz tylko jedną szansę dla siebie; powoli cofałem się dalej, aż stanąłem pod ścianką działową.

– Aaa, tu jesteś, kochanieńki... – Z korytarza wychynał Niloch. Gwizdnął, ogary odprężyły się i przysiadły na zadach. W jednym ręku trzymał długi bicz, w drugim połyskiwało zębate ostrze wielkiego noża. Kościane czułki zwisały mu nadłamane i osmalone. – Trochę nas przegoniłeś po terenie, trzeba przyznać, Wężowiju, ale dosyć już tych figłów. Pora zająć się poważniejszymi sprawami, na przykład postarać się, żebyś pożałował, że w ogóle ujrzałeś mój piękny zamek w Grobogradzie. – Odwrócił się na odgłos kroków i kopnięć; to jego ludzie usuwali sobie z drogi trupy zagryzionych mieszkańców Ślepedrakowa. – Do mnie! Tutaj jest! – krzyknął. – Wygląda niepozornie, ale jest niebezpieczny, możecie mi wierzyć, serdeńka. Zatem czuj duch. Jeżeli spróbuje jakiejś głupoty, ukatrupić mi go bez wahania.

Kilku żołnierzy miało długie, ładnie zdobione strzelby, inni miecze i topory. Ukatrupienie zapowiadało się boleśnie.

– A gdybym tak po prostu ciebie ustrzelił, zanim ktokolwiek z nich zdążyłby mnie zatrzymać? – rzuciłem, biorąc go na muszkę. – Bardzo by mi to odpowiadało.

– Ty mnie? – Niloch się zaśmiał, co zabrzmiało jak ciche kichnięcie. – Może by ci się...

Nie czekałem, aż dokończy, gdyż nie chodziło mi o zainicjowanie konwersacji, tylko o wywołanie takiego wrażenia. Jak większość tych średniego szczebla sobiepanków piekielnych, komisarz Skrzydeł i Szponów uwielbiał dźwięk własnego głosu. Wypaliłem mu prosto w twarz.

Strzał oczywiście nie był śmiertelny ani nawet za bardzo nim nie wstrząsnął, ale też na to nie liczyłem. Ważniejszych demonów pozbyć się w ten sposób nie można nawet na Ziemi, gdzie fizyka działa na ich niekorzyść. Zależało mi zwyczajnie na odwróceniu uwagi: dzwonek oznajmił przybycie jednej z wind i mój moment nadszedł. Gdy Niloch runął na wznak między swoich podkomendnych, napałem na ścianę z całych sił.

Żaden był ze mnie siłacz jak na piekielne normy – w starciu wręcz nie miałbym szans pokonać choćby takiego Nilocha – ale wystarczyło mi krzepy, by rozkołysać lichą konstrukcję. Tym razem szczęście mi sprzyjało. Jak już mówiłem, Ślepedrakowo zostało zaprojektowane jak każde inne miasto i tylko je zaadaptowano do potrzeb separacji. Przegrody nie były solidniejsze

niż parkan ze sklejki. Zanim pierwsi żołnierze uwolnili się od wywijającego rękami dowódcy i zaczęli do mnie strzelać, cały system runął jak kostki domina. Wykorzystałem rumowisko jako osłonę i odpowiedziałem ogniem.

Oczekujący na windy pasażerowie przeżyli wstrząs, gdy ich zaciszne komórki zwały się im na głowy, a oni znaleźli się w samym środku strzelaniny, lecz to było nic w porównaniu z szokiem, w jaki wpadli, stwierdziwszy, że stoją, siedzą lub leżą nie tylko twarzą w twarz, ale czasem wręcz spleceni ze współobywatelami – najstraszniejsza rzecz, jakiej się bali i unikali w każdej minucie życia. Nie muszę chyba dodawać, że wrzeszcząc jak najęci, rzucili się na siebie z zajadłością, jaką umieją wykrzesać z siebie tylko przerażeni szaleńcy. W okamgnieniu cały terminal ogarnął jeden wielki chaos.

Poczołgałem się po posadzce ku szybowi, potem wstałem i przedzierałem się przez walczący tłum, póki nie natrafiłem na otwarte drzwi. W windzie był tylko jeden pasażer, wysoki i chudy demon z twarzą sfrustrowanego grabarza, gorączkowo wałący dłonią w ścianę kabiny w nadziei, że przyspieszy odjazd. Chwyciłem go za kłapy i bezceremonialnie wyrzuciłem na zewnątrz (również z tą myślą, że posłuży mi za tarczę przed zabłąkanymi kulami), po czym wykrzyknąłem nazwę stacji o poziom wyżej od Ślepeńdrakowa. Żeby wydostać się z Piekła, musiałem zjechać o parę kręgów w dół, nie chciałem jednak zostawiać tak oczywistego tropu. Ponieważ nie miałem pojęcia, czy mogą monitorować albo i zatrzymać wybraną kabinę i w ten sposób uwięzić mnie między przystankami, wolałem, by nie wiedzieli nawet, którą windą uciekłem.

Drzwi zaczęły się zasuwac, ale nagle zatrzymały się ze zgrzytem na przeszkodzie: umięśnionym karku jednego z ogarów. Z fałd czarnego łba wysunął mu się wilgotny różowy ryj. Z bliska zobaczyłem, że właściwie nie ma prawdziwych szczęk, lecz tylko okrągłą, zębatą gębę jak u minoga. Omal mnie nie dosięgnął, zanim wpakowałem w niego parę ostatnich kul. Zbryzgany cuchnącą posoką położyłem stopę na jego kłębie, starając się trzymać poza zasięgiem paskudnie okaleczonego, ale wciąż groźnego pyska, i pchnąłem tak silnie, że sam upadłem na tyłek. Byłoby już po mnie, ale na szczęście raniony ogar zatoczył się do tyłu i automatyczne drzwi zdążyły się za nim domknąć. Chwilę później poczułem szarpnięcie i winda ruszyła w górę ku Pandemonium.

Zziajany i krwawiący z rany postrzałowej w przedramieniu, której dotąd nawet nie zauważyłem, pacnąłem dłonią w ścianę i wypowiedziałem nazwę najbliższego przystanku, po czym szybko załadowałem bębenki obu rewolwerów nabojami z zapasu, który nosiłem w brezentowym woreczku. Gdy drzwi się otworzyły, wyszedłem jak gdyby nigdy nic, mijając się z grupą wsiadających, ewidentnie nieświadomych, co się dzieje parę poziomów niżej. Kilku zauważyło plamy krwi na podłodze i parę psich kłów w rogu, ale że rzecz się działa wiece gdzie, nie bardzo ich to poruszyło.

Nawet się nie rozejrzawszy po stacji, wsiadłem do następnej otwartej kabiny, która też jechała do góry, potem jeszcze parę razy zmieniałem szyb i kierunek jazdy, by jak najbardziej tropicielom pomieszać szyki. Gdy uznałem, że już wystarczająco zamąciłem wodę, na stacji Spocona Pacha wybrałem pustą windę i poleciłem zawieźć się daleko w dół – prosto do Abadonu.

Byłem wyczerpany, a nerwy paliły mi skórę od środka za każdym razem, gdy kabina się zatrzymywała i wsiadali nowi pasażerowie, ale po długiej jeździe bez przygód zacząłem wreszcie myśleć, że mi się uda.

I wtedy, na siódmej z kolei stacji, dosiadło się dwóch żołnierzy Nilocha.

Czterdzieści Szary Las



Na szczęście w windzie panował tłok, a oni zajęli się rozmową. Poza tym byli zwykłymi zbirami z Sekty Zbrodniarzy, a nie lepiej wyszkolonymi i bystrzejszymi Oczyszczonymi z Mastemy. Skuliłem się pod ścianą blisko drzwi, starając się wyglądać jak typowy wyrobnik piekielny, wracający do domu cały we krwi po zmudnym dniu pracy. Jednego nie wziąłem pod uwagę przy tym zwariowanym jeździe w górę i w dół: tropiciele mieli czas rozdzielić siły na różnych poziomach i teraz mogą na nich wpaść wszędzie po drodze do Abadonu.

– Jego lordowska mość okrutnie się pieni – powiedział jeden z żołnierzy, siłacz z głową niedźwiedzia, karkiem grubym jak moja talia i barami, na których można by postawić dom.

– I do tego nie wygląda najlepiej... – odrzekł jego towarzysz z rubasznym chichotem. Był równie masywnej budowy, ale niższy. Każdy z nich mógłby mi urwać głowę dwoma palcami. – Widziałeś jego mordę? Kupa drzazg!

– Gdyby nie to, że przez tego szpiega musimy się uganiać po całym Piekłe, uściśniębym mu grabę – zadeklarował Brzydał Pierwszy. – Oczywiście potem bym mu ją wyrwał z korzeniami, he he!

– Z rysopisu wynika, że ktoś cię w tym ubiegł. – Brzydał Drugi zachichotał. Jego śmiech działał mi na nerwy, ale że właśnie zaczął się rozglądać po kabinie, zgarbiłem się jeszcze bardziej i spuściłem oczy. Gość nie patrzył jednak uważnie, zajęty własnymi myślami. – Dlaczego właściwie kazali nam zjechać na Żebracze Kresy?

– Ale z ciebie durna pała. A jak myślisz? Komisarz rozstawia nas i kogo tylko zdołał ściągnąć na wszystkich poziomach, od Tofet po Dolną Letę. Ten szpieg nie może zejść poniżej najwyższego z kręgów Kary, kapujesz? Raz próbował i nie wyszło mu to na zdrowie. Podobno jechał z nim windą jakiś waśniak z Mastemy i stąd o tym wiadomo. Tak więc zaczynamy od dołu, od poziomów Lety, i będziemy posuwać się w górę. Komisarz ma też okręty na rzekach, na wypadek gdyby tamten znów próbował uciekać wodą.

Ledwo się powstrzymałem, by nie jęknąć. Jak mam się dostać na most Nerona, jeśli zbiry Nilocha szukają mnie wszędzie po drodze? Ba! Jak mam teraz w ogóle wysiąść z tej pieprzonej windy?

Ktoś kiedyś powiedział – chyba mój kumpel Sam, na krótko przedtem, jak się zapił na śmierć – że odważnym szczęście sprzyja. Lepszego planu nie miałem, nadziei też nie za wiele, więc sobie pomyślałem, że zrobię cokolwiek, byle działać. Cichaczem wyjąłem zza pasa kordelas od Riprasha i kiedy kabina stanęła z szarpnięciem na następnej stacji, wbiłem go w bok Brzydałowi Pierwszemu, wkładając w cios całą siłę rąk, nóg i tułowia. W demonim wcieleniu byłem w końcu nie ułomek, liczyłem więc na to, że brzeszczot przejdzie na wylot i przebije też jego kompana. Skończyło się na tym, że dźgnąłem tylko Numer Dwa porządnie pod zebro, góra na kilka centymetrów, ale nic mu to nie zaszkodziło; stracił jednak równowagę pod ciężarem rannego Numeru Jeden, co dało mi czas na wyciągnięcie spluwy i palnięcie mu w łeb.

Drzwi się rozsunęły. Pasażerowie patrzyli zbaraniałi na dwa trupy; ci, co czekali na windę, też nagle je zauważyli. Przez kilka sekund nikt się nie poruszył, a ciszę mącił jedynie chrobot czyichś drżących łusek o ścianę. W Piekłe gierojów nie spotyka się na każdym kroku, dzięki niech będą Najwyższemu.

– Wysiadka! – rzuciłem do najbliższego demona w kobiecym, pozbawionym oczu ciele, dla łatwiejszego zrozumienia przykładając mu lufę do czoła.

Demonica bez słowa wyskoczyła z kabiny, a w ślad za nią pozostali. Ruch pistoletem w stronę kandydatów na podróznym wystarczył, by i oni cofnęli się spod drzwi. Gdy się znów zamknęły, zostałem sam na sam z dwoma nieruchomymi żołnierzami w kałużach krwi. Wiedziałem oczywiście, że nie umarli w ziemskim znaczeniu tego słowa, choć ich obecne ciała mogły się już nie nadawać do użytku; wołałem jednak nie ryzykować, że mi się zregenerują w czasie jazdy, zatrzymałem więc wyciąg na następnym przystanku, upewniłem się, że nie ma tam nikogo w pobliżu, i wywlokłem truposzy na zewnątrz. Łatwe to nie było – potrzebowałem na to prawie trzech minut, a gdy mogłem ruszać dalej, wyglądałem, jakbym właśnie wyszedł spod krwawego prysznica. Pachniałem też pewnie nie najprzyjemniej, ale miałem teraz większe zmartwienia na głowie.

Znacie chyba ten stan, kiedy usiłujecie myśleć o czymś naprawdę ważnym, a tu pchają się do głowy wszystkie te durne błahostki i bawią się w niej w berka, skutecznie blokując funkcję zasadniczą?

Może to krab Eligora przeciągał się w mojej puszczy mózgowej, a może zwyczajnie wyczerpanie dało o sobie znać, ale nie mogłem się skupić na następnych posunięciach, bo wciąż rozpraszały mnie myślowe dygresje. Jeżeli Piekło nie jest miejscem w znaczeniu fizycznym, tak jak i Niebo, to dlaczego wszystko jest tu tak realistyczne? Czemu ludzie krwawią? Czemu jedzą? Po co komu było trudzić się stwarzaniem miejsca wiecznej kary i zaopatrywaniem go we własny ekosystem i cały ten niepotrzebny sztafaż? Szatan to wymyślił czy Bóg? I w ogóle, jaką naprawdę obaj zawarli umowę?

Potem łapałem się na tym nonsensem i brałem znowu do roboty.

Drogę ucieczki miałem w zasadzie tylko jedną. Z tego, co dwaj żołnierze mówili przed śmiercią, ludzie Nilocha szukają mnie wszędzie od Abadonu w górę, bo wiedzą od Błotniaka z Mastemy, który wtedy zarekwirował mój wyciąg, że tak źle znosiłem pobyt w kręgach Kary, iż zde gustowany musiał mnie cisnąć na pożarcie Blokowi i jego ferajnie. Niewykluczone, że sam Eligor podsunął tę informację komisarzowi, aby przysporzyć mi dodatkowych cierpień, zanim wyda inkubowi rozkaz załatwienia mnie na dobre. Zastanawianie się nad tym teraz nie miało jednak większego sensu. Potrzebna mi była nowa strategia. Nilochowi się zdawało, że mnie rozpracował, więc jedyną moją szansą było działać przez zaskoczenie. Wiedzą, że nie przetrwałbym długo w kręgach Kary? W takim razie nie ma rady – muszę jechać właśnie tam, skoro się tego nie spodziewają. Może jakoś to przeżyję. Potem mogę już tylko liczyć na to, że Eligorowi naprawdę tak zależy na tym złotym piórze, iż nie zechce pomagać tym, którzy mnie ścigają. Jego inkub może przecież informować go na bieżąco, gdzie się obracam i co robię.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie kazałem się wieźć do Dworu Szatana czy gdzieś równie nisko, tylko parę przystanków poniżej Abadonu. Potem będę mógł wrócić na poziom mostu Nerona. Zakładałem, że nie będzie problemu, skoro za pierwszym razem trafiłem znacznie głębiej i wyszedłem z tego żywy.

Nie pomyślałem jednak o czymś, a pewnie powinienem był. Wtedy nie nosiłem w czaszce niczyjego inkuba. Niespecjalnie mnie zdziwiło, że mniej więcej na wysokości stacji Swędzący Kikut – wciąż daleko od celu – zaczęła mnie boleć głowa. *Nihil novi*, w końcu to Piekło, a ja jestem z natury pesymistą. Zaskoczyła mnie tylko intensywność tego odczucia. Gdy zbliżałem się do Abadonu, gdzie przecież tak długo żyłem i czułem się normalnie, ta wredna rozpalona do czerwoności tarantula w moim mózgowiu zdawała się uprawiać gimnastykę na przyrządach, a ja podrygiwałem do taktu niczym marionetka w rękach epileptyka.

Miałem więc nowy problem. Wysiąść jeszcze nie mogłem, bo wszak kordon Nilocha

przetrzepywał wszystkie poziomy powyżej Abadonu. Z drugiej strony każda kolejna sekunda jazdy w dół przynosiła coraz większą pewność, że łeb mi lada chwila eksploduje w chmurze rozżarzonych synaps i roztopionej substancji szarej.

Mijając kolejne stacje, śpiewałem sobie melodie z filmów rysunkowych, żeby nie myśleć o bólu, ale *Spiderman* niewiele mi pomógł, przy *Jaskiniowcach* było gorzej, a kończąc *Psa Huckleberrya*, wiedziałem, że *Misia Yogi* nawet nie ma co zaczynać. Trzymałem się jednak jakoś, aż wreszcie Abadon został za mną w górze i mogłem wykrztusić nazwę następnego przystanku. Kiedy winda się zatrzymała, wytoczyłem się na pustej stacyjce Szary Las i słaniając się, wyszedłem z szybu na miasto.

Tylko że żadnego miasta nie było.

W tej chwili miałem duży kłopot ze skupieniem uwagi na czymkolwiek poza moimi sponiewieranymi neuronami, nieco później jednak zdałem sobie sprawę, że jestem w jednym z miejsc, o których kiedyś czytałem. Nie w żadnym podręczniku ze szkolenia w Obozie Syjon, ale u samego Dantego. (Tak, tak, my, aniołowie, też czytujemy *Boską Komedie*, zwłaszcza zaś *Piekieło*, żeby zebrać dodatkowe punkty – choć to głównie wytwór fantazji poety. Poczwiciwiec Dante intuicyjnie jednak utrafił z zaskakująco wieloma rzeczami, jak choćby pionowy układ Piekieła). Jeżeli znacie to dziełko, może został wam w pamięci Las Cierni, zwany też Lasem Samobójców. Tam się właśnie znalazłem.

Budynek wyciągu przypomina odległy przystanek na linii kolejki podmiejskiej, nie wiadomo dla kogo zbudowany, bo okolica wygląda tak, jakby nikt tu nigdy nie był. Stacja ziała pustką, na zewnątrz okalał ją pomost niewiele szerszy niż typowy gzyms, a dalej... nie było nic. Nie dosłownie – choć w Piekiele i takie rzeczy są możliwe – ale nic, co by choć trochę przypominało jakiegokolwiek cywilizowane strony. Jak okiem sięgnąć wszędzie rozpościerał się las, rzeczywiście w kolorze szarym; wilgotna gęstwa dębów, olch i innych europejskich drzew spowitych w grubą warstwę mchu. Nieliczne polany, które prześwitywały przez nisko zalegającą mgłę, porastała trawa w tak mrocznym odcieniu zieleni, że wydawała się niemal czarna.

Dobra wiadomość była taka, że znajdowałem się zaledwie o jeden poziom poniżej Abadonu. Była i zła: znajdowałem się zaledwie o jeden poziom poniżej Abadonu, a tam właśnie szukają mnie siepacze Nilocha i ogary piekielne i jeżeli się przyłożą, mogą zajrzeć i tutaj. I wtedy szlus, dopadną mnie jak amen w pacierzu.

Szlus rzeczywiście – naszła mnie refleksja – bo w takim razie wszczepiona mi do mózgu żywa bomba Eligora wybuchnie, a moja następna świadoma myśl będzie mniej więcej taka: „O kurde, jestem w piekielnej sali tranzytowej dla dusz i wszyscy się na mnie gapią”. A potem zacznie się *prawdziwy* ból. Arcyksiążę wstrzymał się przed ostatecznym unicestwieniem mojej skromnej osoby, bo czegoś ode mnie chciał, ale reszta jego kolesi nie będzie taka uprzejma. Cały ten tutaj interes nastawiony jest właśnie na takie rzeczy, które będą ze mną wyprawiać. I potrwa to wieczność.

Wybrałem więc jedyne możliwe w tych okolicznościach wyjście: poprawiłem portki i ruszyłem w Las Samobójców.

Byłoby to przeokropne miejsce nawet wtedy, gdyby je przenieść tuż obok ślicznego miasteczka uniwersyteckiego, pięć minut od spowitych bluszczem murów szacownych uczelni i tras wieczornych spacerów z pieskiem, ale tu nawet najlepszy pośrednik handlu nieruchomościami miałby duży kłopot z wymyśleniem jakiegokolwiek naciąganego pozytywu. Szaremu Lasowi niewiele brakowało, by go zakwalifikować do moczarów. Grunt był zdradliwie miękki, a nieprzejrzana mgła utrudniała orientację w terenie. Wiedziałem jednak, że droga na wyższy poziom musi być gdzieś daleko od wieży wyciągu, możliwe że pod samym murem zewnętrznym – i to jedno dawało mi jakkolwiek szansę jej znalezienia.

Teoretycznie wystarczyłoby trzymać się cały czas plecami do szybu i iść prosto wzdłuż promienia kręgu. Praktyka pokazała, że po pokonaniu około stu metrów straciłem budowlę z oczu. Gigantyczne gmaszysko sięga aż do kamiennego stropu tego poziomu, a mimo to szybko skryła je ta cholerna mgła. Utrzymałem kierunek, wybierając jakiś widoczny obiekt przed sobą i maszerując w jego stronę, potem następny i tak dalej, z nadzieją, że zachowuję właściwy azymut. Metoda skuteczna i zabawna, nie? Zwłaszcza gdy się maszeruje w siąpiącej szarej wacie przetykanej drzewami i skrywającej niebezpieczne ruchome piaski i bagna. Jeszcze gorzej się zrobiło, gdy zacząłem się natykać na samobójców.

W *Boskiej Komедii*, dziele napisanym w czasach, kiedy Kościół i inne instancje moralne uważały samobójstwo za próbę oszukania przeznaczenia, dusze tych, którzy w ten sposób schodzili ze świata, trafiały do Lasu Cierni, zamienione w drzewa. Powiecie, że to nic tak znowu straszego, nie? Dante umieścił tam jeszcze harpie – stwory przypominające pulchne sowy z kobiecymi piersiami (co brzmi nie tyle przerażająco, ile dziwnie), które polatywały sobie tu i tam, odrywając im gałęzie; doświadczenie miało być dostatecznie bolesne, by biedne drzewa płakały żywymi łzami. W sumie układ raczej nieprzyjemny. *Chapeau bas*, panie Alighieri! Jestem jednak przekonany, że gdyby duszom skazanym na prawdziwy Las dać wybór, jak jeden mąż optowałyby za wersją Dantego. W porównaniu z rzeczywistością byłby to dla nich piknik w parku.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Zaczęło to do mnie docierać, gdy tylko spotkałem pierwszego z samobójców.

Z początku myślałem, że to wiecheć mchu zwisa z konaru prastarego, powykęcane go dębu, lecz gdy podszedłem bliżej, zacząłem rozróżniać szczegóły – wraz z bladymi stopami i dłońmi. Na tle moich dotychczasowych doświadczeń nie było to nic szczególnego; dopiero z bliska ujrzałem, że wisielec żyje, a raczej walczy o życie.

Właściwie powinienem był się tego od razu domyślić. Las Samobójców, kapujecie? Jeżeli odebranie sobie życia jest zbrodnią – czy raczej było wtedy, gdy tych ludzi osądzano – to niby dlaczego miano by im w Piekło pozwolić tak po prostu spokojnie wisieć martwym bykiem?

Zwłoki dygotały jak w gorączce, a ręce daremnie usiłowały rozluźnić zaciśniętą na szyi pętlę. Tak, wiem, że powiedziałem „zwłoki” – bo tak właśnie to wyglądało, z wszelkimi oznakami zgonu, takimi jak plamy opadowe, zapadnięte oczy, język czarny i wywalony na wierzch (a co, też się naoglądałem seriali policyjnych). Ale umarły czy nie, facet wyraźnie się męczył. Wyciągnąłem kordelas i wspiałem się po płataninie korzeni naziemnych, by klingą dosięgnąć sznura. Pierwszą rzeczą, jaką uczynił samobójca, gdy zleciał na ziemię, było poluzowanie pętli na gardle.

– Ty gnoju! – wycharczał, gdy już złapał oddech. Stał na czworakach i musiał mocno wykręcić głowę, by mnie spiorunować wzrokiem. – Coś ty zrobił? Po coś się wtrącił? Nawet cię nie znam!

Wtrącił? Cofnąłem się o krok, bo odór rozkładu, jaki roztaczał, był zbyt silny nawet dla powonienia demona.

Wisielec ledwo pozbierał się na nogi i ku mojemu bezgranicznemu zdumieniu wziął się do zarzucania znacznie teraz krótszego sznura przez gałąź, żeby się znowu powiesić. Nabrałem powietrza, wstrzymałem oddech i podszedłem, by go chwycić za ramię, moje palce zamknęły się jednak tylko na jego zbutwiałej koszuli i materiał został mi w ręku. Sznur, pierwotnie uwiązany do konaru jednym końcem, po moim cięciu był dwa razy krótszy; gość próbował na różne sposoby, ale nijak nie mógł go zamocować z powrotem. Kiedy odwrócił się do mnie, ujrzałem, że szlocha. Łzy gęste jak śluz jasnymi kreskami znaczyły mu sine policzki.

– Jak mogłeś! – na pół krzyknął, na pół wydyszał, a w następnej chwili niezgrabnie

zamachnął się na mnie pięścią.

Miałem tylko chwilę na zorientowanie się w sytuacji i uzmysłowienie sobie prostego faktu, że moje zapędy altruistyczne nigdy nie przynosiły nic dobrego nawet *poza* Piekłem, a cóż dopiero tutaj, kiedy coś nagle wypadło z otaczającej nas mgły i przyczepiło się do żywego trupa jak krwiożerczy nietoperz z horroru. Wisielec płakał i darł się z bólu. Wiedziałem, że tego pożałuję, ale musiałem ruszyć mu z odsieczą.

Pamiętacie te harpie u Dantego, stwory patrolujące jego Las Cierni? Te prawdziwe okazały się znacznie gorsze od cycatych sów. Z wyglądu przypominały grudy flegmy wielkości misia koala z owadzimi skrzydłami i pyskami składającymi się głównie z płaskich, kwadratowych zębów. Do pierwszej szybko dołączały następne i wkrótce fruwał wokół nas cały ich rój. Ich zadaniem najwyraźniej nie było tylko karanie niesfornych samobójców, gdyż jedna od razu wylądowała mi na karku i usiłowała wgryźć się w skórę. Zanim zdołałem nadziać ją na kordelas, obsiadły mnie trzy inne – a z mgły nieustannie dobiegał furkot skrzydeł kolejnych nadlatujących potworków. Opędzałem się jak mogłem, dręczony świadomością, że gdy ja tu walczę z krwiopicjami, ludzie Nilocho są coraz bliżej.

Czterdzieści jeden Inkub



Pochłonięty obroną przed harpiami znalazłem jednak ułamek sekundy na przewrotną myśl: „Ciekawe, czy spotka mnie dziś coś jeszcze gorszego?” – i jak na zamówienie usłyszałem odległe wycie ogarów piekielnych. Odczułem to, jakby ktoś wbił mi w plecy sopel lodu.

W tej chwili i tak nic z tym nie mogłem zrobić, gdyż utrapione zębate glutu wciąż kłębiły się wokół mnie, eksperymentując z najróżniejszymi metodami zajścia mi pod skórę. Potępieniec, któremu chciałem pomóc, zdołał na chwilę odpędzić najzjadlejsze atakujące stwory, co dało mu czas, by zawiązać skrócony sznur na jednej z niższych gałęzi. Sprawdził, czy węzeł dobrze trzyma, po czym założył sobie pętlę na szyję i zeskoczywszy z korzenia, zawisł bezwładnie, ale że stopami dotykał ziemi, musiał ugiąć nogi w kolanach. Gdy zaczął się dusić i charczeć, harpie uniosły się z niego jak muchy strzepnięte przez bawołu ogonem i rzuciły się na mnie. Przyjemne to nie było, ale nie zamierzałem się wieszać dla świętego spokoju; wyciąć czy wystrzelać ich wszystkich też nie mogłem, zwłaszcza że z mgły wylatywały wciąż nowe. Wybrałem więc drugie wyjście: wiać gdzie pieprz rośnie.

Pierwszy raz od długiego czasu podjąłem słuszną decyzję. Im bardziej się oddalałem od wisielca, tym więcej ich rezygnowało z pościgu. Najwyraźniej były stworzeniami albo terytorialnymi, albo z natury leniwymi.

Im dalej biegłem w las, tym więcej widziałem samobójców. Trudno to zresztą nazwać biegiem; poruszanie się po tym podmokłym, podszytym ciernistym gąszczem terenie prędzej można by porównać do brnięcia przez gulasz z makaronem z drutu kolczastego.

Spotykałem ich w różnym stanie. Niektórzy topili się w strumieniach i stawach, czasem nie głębszych niż pół metra; inni pakowali sobie kulę w głowę lub podcinali żyły; nie brakowało i takich, którzy skakali z drzew na kamienie i leżeli, jęcząc cicho, a ich mózgi i inne rzeczy zazwyczaj niewidoczne na zewnątrz wyciekały z nich na ziemię. Nie było wątpliwości, że wszyscy cierpią okropnie – ja już jednak odebrałem swoją lekcję i nie zwracałem na nich uwagi. Wyobrażacie sobie? Tysiące przeszywanych bólem dusz, a anioł mija je, nie zaszczycając nawet drugim zerknięciem.

Wycie ogarów zdawało się przybliżyć, a potem znów osłabło na tyle, że poczułem przebłysk nadziei. Może zgubiły trop? Las mroczniał, mgła gęsta choć oko wykol, musiałem więc zwolnić tempo do powolnego spaceru. Od dłuższego czasu nie napotkałem żadnego samobójcy, co, jak miałem nadzieję, oznaczało, że zbliżam się do krańca tego kręgu.

Niedaleko w przedzie z mgły wyłonił się ciemny kształt skalnej iglicy rozmiarów niewielkiej wieży. Nie dostrzegłem pod nią żadnych zwłok, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że jestem już daleko na peryferiach Szarego Lasu. Choć ledwo się trzymałem na nogach ze zmęczenia, wspiąłem się na jej szczyt i wreszcie mogłem się trochę rozejrzeć po okolicy.

Dobrych wieści nie było: puszcza zdawała się ciągnąć w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Nie zobaczyłem nic prócz zamglonego morza zielonych wierzchołków, z którego tylko gdzieś tam sterczała samotna skalna iglica. Widok odebrał mi nadzieję; przez moment zapragnąłem usiąść na kamieniu i odpoczywając, czekać na pojawienie się prześladowców, a potem jak najdrożej sprzedać własną skórę. Zaraz pomyślałem jednak o Caz, o jej twarzy, gdy siedziała u boku Eligora w tym rozkrzyczanym amfiteatrze – i wiedziałem, że nie mogę jej

skazać na wieczność na łasce i niełasce tego potwora.

Zsunąłem się ze skały i powlokłem przed siebie.

Po długiej przerwie natknąłem się na kobietę leżącą twarzą do dołu w rozlewisku niewielkiego strumienia. Stojąca woda zabarwiona była na czerwono. Zatrzymałem się, wciąż posłuszny automatycznym anielskim odruchom. Gdy ją odwróciłem, okazała się młodziutką, ledwie dojrzałą dziewczyną o twarzy tak białej, jakby wyjątkowo zagorzały got ucharakteryzował ją do zdjęcia na stronę na Facebooku. Oba nadgarstki miała przecięte tak głęboko, że widać było ścięgna (cała krew dawno już z niej uszła). Pod moim dotknięciem zadrzała i jęknęła. Siłą woli powstrzymałem się, by jej nie podnieść, opatrzyć i leczyć. W ogóle nie powinienem jej ruszać – najmniej potrzebny był mi teraz atak harpii – ale z bliżej nieokreślonej przyczyny nie mogłem też przejść obok niej obojętnie, jak wobec tylu innych. Nie znałem jej, ma się rozumieć, wyglądała jednak jak ktoś, kogo mogłem kiedyś spotkać. Biedna dusza, z boskiego wyroku skazana na ustawiczne popełnianie samobójstwa po kres Czasu. Jasna cholera, nie pamiętałem już, jak to było, kiedy świat miał jakiś sens...

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytałem.

Otworzyła oczy, lecz nie skupiła wzroku na mej twarzy. Chyba byłem dla niej czymś w rodzaju zjawy sennej.

– Bo nic innego nie przychodziło mi do głowy – szepnęła. – Bo nawet śniłam tylko o tym. Bo pragnęłam spokoju.

– Ale go nie znalazłaś.

Zamknęła powieki i znów jęknęła cicho, ale o wiele za głęboko i żałośliwie jak na takie dziewczątko. W świecie realnym nie ważyłaby pewnie więcej niż ze czterdzieści kilogramów. Powinna teraz grać w klasy albo wkuwać działania na ułamkach przed klasówką z matmy.

– Bóg nienawidzi mojego grzechu.

– Nie wierzę w to! – zaprotestowałem.

I rzeczywiście nie mogłem w coś takiego uwierzyć. Nigdy nie zdarzyło mi się przegrać rozprawy tylko dlatego, że klient odebrał sobie życie. Teraz, żeby uzyskać wyrok skazujący za samobójstwo, prokuratorzy muszą podeprzeć to zarzutem co najmniej wyjątkowego egoizmu podsądnego.

– Więc jaki był twój powód? – spytałem ponownie.

– Dokądkolwiek bym poszła, wszyscy się na mnie gapili. – Pokręciła głową w desperacji i próbowała popełnić z powrotem do karminowej wody. – Nie zmuszaj mnie do mówienia. Ściągniesz tu harpie. Przylatują, gdy tylko ból łagodnieje.

A więc nie tylko samego aktu samobójstwa trzeba tu doświadczać bez przerwy. Ból jest istotną częścią kary. Jakaż w tym ironia! Iluż spośród tych biedaków w ostatnich chwilach życia musiało myśleć: „No, przynajmniej wszystko się teraz skończy” – tylko po to, by się ocknąć na tamtym świecie i stwierdzić, że wręcz przeciwnie, wszystko się dopiero zaczyna.

Mój Boże... Jak możesz pozwalać, by coś takiego się działo w Twoje imię?

Gdzieś we mgle dał się słyszeć łopot skrzydeł. Wstałem natychmiast, a nieszczęsna dziewczyna odwróciła się i zanurzyła twarzą w wodę. Odszedłem jak najspieszniej, ale tego, co zobaczyłem, nie mogłem już odwidzieć.

Jak się okazało, nie wyszedłem poza strefę samobójców, lecz tylko znalazłem się w mniej uczęszczanej części lasu. Idąc dalej, mijałem niekończącą się paradę żywych trupów; zdesperowanych ludzi, którzy zabili się ogniem, wodą, trucizną lub kulą – istne panoptikum ostatnich chwil życia, które nigdy się nie dopełnią. Nauczyłem się ich nie dotykać, a po spotkaniu z dziewczyną ze strumienia już nawet nie próbowałem ich zagadywać. Miejscami leżeli gęsto jak w Jonestown*, gdzie indziej pozostawali niemal niewidoczni, dopóki się o któregoś nie

potknąłem. A końca lasu nie było widać; nie zmieniało się w nim nic i tylko pokrzykiwania żołnierzy Nilocha i wycie ogarów znów zaczęły się przybliżać.

Głowa mi pękała z bólu od niechcianego, niemojego ruchu, jak gdyby żywy implant od Eligora podniecały odgłosy pościgu. W takich warunkach nawet moje odporne demone ciała musiałyby wkrótce stracić siły. Miałem się czym bronić, choć kordelasem niewiele bym zdziałał przeciwko ogarom, a pistolety... Strzelać umiem i amunicji starczyłoby na wykończenie ich kilku plus ostatni nabój dla mnie, ale ta wizja jakoś do mnie nie przemawiała, zwłaszcza po kilku godzinach wędrówki po tym szczególnym lesie. Co ważniejsze, gdybym się poddał, dla Caz nie byłoby ratunku. Może nie uda mi się jej uwolnić, ale dopóki sam działam na swobodzie, zawsze pozostaje nadzieja.

Ścigający byli już o paręset metrów za mną. Widziałem ich ciemne sylwetki pojawiające się i znikające we mgle. Rozważałem, czy nie zastosować taktyki partyzanckiej i zlikwidować kilku z nich dla zwiększenia szans ucieczki, podejrzewałem jednak, że próba przechytrzenia czułych różowych nosów bestii i urządzenia zasadzki to nie najlepszy pomysł. Pozostawało mi biec dalej, póki nie znajdę dobrego miejsca na ostatnią redutę, a potem wystrzelać ich i wyciąć tyłu, ilu się da, zanim mnie wykończą.

Plany mają jednak to do siebie, że zmieniają się stosownie do okoliczności. Wpadłem na małą polanę i mgła się nieco przerzedziła – zaskoczony omal nie wpadłem w rozwarty nagle pode mną głęboki jar. Przez chwilę balansowałem na krawędzi, rozpaczliwie broniąc się przed upadkiem, a potem powędrowałem brzegiem w poszukiwaniu przejścia na drugą stronę. Powietrze było tu przejrzystsze niż przez kilka ostatnich godzin; widziałem wyraźnie przeciwległe zbocze, a nawet majaczący gdzieś dalej ciemniejszy cień. Pilnowałem się, by w tej krytycznej chwili nie dać się uwieść nadziei, ale zarazem bardzo pragnąłem, aby się okazało, że to mur zewnętrzny.

Za jarem widniały ruiny starego mostu. Zwalone przesło, oparte jednym końcem o murowany przyczółek po tamtej stronie, musiało niegdyś spoczywać w tym miejscu, z którego o mały włos byłbym się stoczył w rozpadlinę. Zacząłem złazić na dół; zbocze usiane było ułomkami muru i grudami twardej ziemi, co dawało oparcie dla stóp i rąk. Ostatni odcinek zjechałem na tyłku i chwilę leżałem na mokrym gruncie jak podarta pacynka. Mogłem nawet zapaść w krótki, bezradny sen, ale szybko obudziło mnie wycie ogarów. Co gorsza, najwyraźniej usłyszał je również inkub, bo skurczybyk natychmiast podjął swój opę-taniec na moim mózgowiu i każde jego szarpnięcie przeszywało mi nerwy ostrym bólem. Właśnie próbowałem stanąć na nogi, ale przez niego mogłem tylko opaść na czworaki i bezsilnie czekać, aż się uspokoi. On jednak ani myślał przestać i wiercił się jak żaba na gorącym kamieniu.

Musiałem się w końcu jakoś pozbierać. Pościg słysząc już było z bardzo bliska, być może szli brzegiem jaru tuż nade mną. Resztki rozumu poganiały mnie, bym wstał i zwiewał. Taka już jest naczelna zasada w Piekło, pojąłem to dobrze: uciekaj, ani na moment się nie zatrzymując, albo cierp przez wieczność. Zdrowy rozsądek wymagał, żebyśmy się jej trzymał.

Nie ruszyłem się jednak z miejsca.

Czy to bydlę w mojej głowie naprawdę ma służyć tylko jako zabezpieczenie, abym nie wydał władzom sekretu Eligora, gdy zostanę schwytany? Jak i kiedy ma zdecydować, że dalsza moja ucieczka nie jest już możliwa i trzeba nacisnąć guzik destrukcji? Czym się ma kierować w ocenie sytuacji? A może... Eligor zwyczajnie mnie okłamał? Może cała ta akcja jest tylko nową metodą tortur? Niby pozwolił mi uciec, a w rzeczywistości inkub cały czas nadawał informacje dla Nilocha i jego bandy? Ogary mogą „uczciwie” podążać mym tropem, ale komisarz zaskakująco szybko odszukał mnie tu, w Szarym Lesie, a teraz na dodatek ten pieprzony wszczępieniec uniemożliwia mi sprawną ucieczkę. Czy to wszystko mogło być tylko szczególnie wredną

sztuczka Jeźdźca? Kto wie, czy już nie pogodził się z utratą złotego pióra, albo przeciwnie, zadaniem inkuba jest śledzenie moich myśli i odkrycie skrytki z fantem, skoro jego ludzie nie znaleźli go – to znaczy mojego ziemskiego ciała – w domu Walkera.

Gdy już raz podążyłem tym torem rozumowania, trudno było z niego zbroczyć – to zaś z jakiegoś powodu jeszcze bardziej drania denerwowało. Całe ciało wstrząsały mi spazmy, gdy ta nienawistna kulka wibrowała mi w głowie, i tylko iście anielskim wysiłkiem woli powstrzymałem się od wrzasku i zdradzenia swojej pozycji prześladowcom. Raz zabolęło tak mocno, że nie mogłem ustać nawet na czworakach i padłem jak długi na brzuch.

Nie, koniec z tym. Tej najważniejszej z wszystkich lekcji Piekło wyuczyło mnie już na pamięć: nie wolno ufać nikomu, a już zwłaszcza Eligorowi. Pora była na coś, co powinienem zrobić już dawno.

Miałem jeszcze ten rum od Riprasha, w manierce przytroczonej do pasa. Żłopnąłem spory haust, czując, jak wlewa mi się do przełyku rozżarzoną lawą. Ująłem kordelas lewą ręką (prawej, rozedrganej świeżo zregenerowanymi nerwami, jeszcze nie dowierzałem) i pochyliłem się nisko, dotykając czołem zimnej, wilgotnej ziemi jak muzułmanin w modlitwie. Polałem żrącym alkoholem tył głowy. Paliło, przysięgam, nie gorzej od krematoryjnych ogni Eligora; musiałem wcisnąć twarz głęboko w muł, żeby stłumić krzyk.

Potem było jeszcze gorzej. Na mojej demoniej skórze rany goiły się tak szybko, że cięcie doktora Teddy'ego zdążyło się już dobrze zabliznić, a druciane szwy skryły się pod warstwą świeżej tkanki – trzeba więc było ciąć żywe ciało, żeby się do nich dostać i je przepiłować. Majcher Riprasha też do najostrzejszych nie należał, a moje zabiegi wprawiły inkuba w stan pazurzastej i zębatej paniki. Szczegóły pozostawiam waszej, zapewne dość już mocno rozbudzonej wyobraźni.

To dla Caz, powtarzałem sobie, gdy najgorszy ból przebijał mnie milionem woltów, ale najbardziej dodawała mi ducha inna, znacznie mroczniejsza myśl: „Pieprz się, Eligor. Jedyna dobra rzecz w Piekło, to że ty będziesz w nim tkwił wiecznie”.

Cały czas polewalem ranę rumem. Z satysfakcją stwierdziłem, że mój mały ciemiecza źle to znosi, ale to tylko odbijało się tym zajadlejszą walką. Kilkakrotnie byłem bliski omdlenia, zanim wreszcie zdołałem chwycić go w palce i wyrwać – co odczułem tak, jakbym wraz z nim odłupywał sobie pół mózgu. Po wszystkim straciłem przytomność, lecz tylko na krótko.

Kiedy wróciła mi świadomość, inkub usiłował wydostać się z jaru, brnąc przez błotniste dno na swych dwunastu odnóżach, omotanych jeszcze końcówkami moich włókien nerwowych. Wytrząsałem ostatnie krople rumu do czaszki i pokręciłem głową, by rozlał się jak najszerzej, potem wydzwignąłem się do pionu, poszukałem porządnego kamienia i starannie rozgniotłem małego bydlaka na miazgę.

Jak dobrze było nie mieć wreszcie w głowie nic poza własnymi wątpliwej jakości pomysłami! Wiercie lub nie, ale nawet oblizałem klingę do czysta. To w końcu była moja własna krew, a wystarczająco dużo już jej straciłem.

Niloch i jego zgraja oczywiście nie czekali uprzejmie, aż dokończę autooperacji. Po odgłosach poznałem, że parę ogarów znalazło już drogę na dno wąwozu, czyli że są najwyżej o kilkadziesiąt metrów. Kiepską pociechą była myśl, że gdyby teraz mnie dorwali, spokojnie mógłbym wyśpiewać im wszystkie wstydlive tajemnice arcyksięcia, jakie znałem.

Widzicie? Tak głęboko już siedziało we mnie Piekło.

Zatkałem dłonią dziurę w podstawie czaszki, żeby po drodze nie zgubić resztek mózgu, i puściłem się biegiem przed siebie.

* Siedziba sekty Świątynia Ludu niejakiego Jima Jonesa w dżungli gujańskiej, gdzie w 1978 roku doszło do zbiorowego samobójstwa ponad dziewięćuset osób.

Czterdzieści dwa

Ta durna koszulka



Gdy tak kuśtykałem wzdłuż jaru, brocząc krwią, wyzuty z sił fizycznych i psychicznych, z depczącymi mi po piętach bestiami, stał się cud.

Tak mi się przynajmniej wydawało. Wy, sceptycy, nazwalibyście to pewnie ściekiem – ot, wielka rura, którą skądś z góry spływały na poziom Szarego Lasu kaskady brudnej wody.

Wiecie już, że główne rzeki piekielne przepływają przez różne kręgi. Otóż to samo dotyczy także mniejszych cieków. Modelu nie podejmuję się wykonać, bo to zjawisko nie ma nic wspólnego z normalną fizyką, niech więc wam wystarczy wiadomość, że Piekło jest dziurawe i ma różnego rodzaju połączenia wodne między poziomami. Na taki kanał, czy raczej kamienny tunel, właśnie natrafiłem. Możecie sobie wyobrazić, jak zanieczyszczona i odrażająca była spływająca nim ciecz; dla mnie jednak jawił się jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałem i wahałem, gdyż jego górny wylot znajdował się już w Abadonie – kręgu Pieła wyposażonym w moją ulubioną konstrukcję, most Nerona. Zupełnie jakbym usłyszał głos Najwyższego: „I co? Wątpiłeś we mnie, a ja ci daję drogę ratunku. Dalej masz ochotę mnie ochrzaniać?”.

Czasu na świętowanie naturalnie nie miałem. Odgłosy pogoni wciąż się zbliżały.

Na moje szczęście nie była to rura ani wydrążony mechanicznie tunel, lecz dzieło erozji – inaczej nie dałbym rady wejść na górę pod silny prąd. Surowa skała i nagromadzone osady ułatwiały jednak wspinaczkę. Jeszcze tylko łut szczęścia i wkrótce moi kumple „Pod Cyrklem” będą nosić pamiątkowe trykoty z napisem: „Kolega z pracy był w Piekło i nie przywiózł mi nic poza tą durną koszulką”.

Oczywiście na Dole nic nie dzieje się szybko (poza odczuciem bólu), a i pięcie się tunelem nie było taką kaszką z mleczkiem, jak sobie wyobrażałem. Parę razy ledwo się uratowałem przed upadkiem tylko dzięki rozpaczliwemu uczepteniu się skały paznokciami zdrowej dłoni i końcami palców jednej stopy. W końcu jednak wydrapałem się na górę i stanąłem w Abadonie, przemoczony i wyczerpany, po kolana w jednej z tutejszych bagnistych rzeczulek, kaszląc i odkrztuszając połkniętą breję. Ból głowy dawał mi się coraz bardziej we znaki, ale przynajmniej byłem wreszcie z powrotem w tym samym kręgu, w którym zacząłem podróż po Piekło – tak dawno temu, jakby to się przydarzyło zupełnie innemu Bobby’emu Dolarowi. I w pewnym sensie tak właśnie było.

Znałem już tę okolicę: labirynt ciasnych uliczek wijących się między domami z suszonej cegły, wypełniony pokracznymi postaciami wydychającymi chmury czerwonego pyłu, gdzie odgłosy przemocy i cierpienia nigdy nie cichną. Był to jednak pierwszy poziom nad kręgami Kary, a zatem ziemia wolności – przynajmniej w porównaniu ze wszystkim, co leżało poniżej. Tutejsze stworzenia cierpią, bo są w Piekło, ale przynajmniej nikt ich celowo nie torturuje. To ich piekielna elita porywa do pracy niewolniczej przy najbardziej odrażających czynnościach albo na mięso armatnie (czasem dosłownie!) do swych zastępów zbrojnych. Staliby najniżej w hierarchii całego wszechświata, gdyby nie ten jeden drobiazg: wciąż mieli chociaż namiastkę wolności i wśród całej tej grozy starali się jakoś żyć po swojemu. Niektórzy, jak choćby Riprash, karmią się nawet nadzieją, że kiedyś polepszy się ich los, i snują nierealne marzenia o kresie męki – a może i o tym, że zakosztują nawet dobra. Każdy z nich nie jest li tylko potępionym potworem,

lecz i zwykłą ludzką duszą.

Kto wie, czy nie rozkleiłbym się do reszty, gdyby nie dobiegło mnie echo rogu i dalekiego, lecz wciąż nieprzyjemnie wyraźnego poszczekiwania ogarów. Komisarz musiał wycofać ludzi, gdy ujrzał, co zrobiłem, i wszyscy pospieszyli z powrotem do wyciągu, by przejechać do Abadonu. Nie czas zatem na rozluźnienie; niedługo odnajdą mój trop, trzeba więc brać nogi za pas.

Głowę miałem jak rozkwaszony melon i, wierzcie mi, ledwo człapałem. W innych okolicznościach pewnie padłbym ze zmęczenia, tu i teraz nie było mnie jednak stać na taki luksus. Staralem się przypomnieć sobie wszystko, czego nauczył mnie Gob – każdą sztuczkę pozwalającą jak najszybciej przekraść się przez cały poziom. Parłem przed siebie wprost przez domostwa potępieńców, skakałem z dachu na dach jak pocieszny bohater komiksowy, wykorzystywałem każdy zapamiętany skrót, w tym zjazd po walącej się ruinie tuż ponad wielką, zięjącą ogniem przepaścią. Trochę fuksem, trochę dzięki paru zwariowanie ryzykanckim wyczynom udało mi się wysforować przed pościg tak daleko, że ledwo słyszałem wycie ogarów – wiedziałem jednak, że tej przewagi długo nie utrzymam.

Dotarłem wreszcie na skraj miasta, gdzie płatanina uliczek robi się rzadsza, a w końcu ustępuje ciemnym zewnętrznym ścieżkom. Nie miałem z sobą lampy, ale spędziłem na tych dolnych poziomach wystarczająco dużo czasu, by nabrać orientacji, a demonie oczy dobrze służyły mi w mroku.

Staralem się utrudnić Nilochowi pościg. Co węższe przejścia barykadowałem kamieniami i śmieciami; zapuszczałem się też w boczne tunele i znaczyłem je moczem, a potem wycofywałem się po własnych śladach w nadziei, że sprawdzając te fałszywe tropy, prześladowcy stracą dość czasu, bym znów się od nich odbił.

Jedną z naczelných zasad przetrwania w Piekło jest to, że nigdy nie wolno ci się wyluzować ani przestać myśleć, co się wokół ciebie dzieje. Przekonałem się o tym na własnej skórze u Very Cynk, gdzie pozwoliłem sobie na relaks, podczas gdy powinienem był właśnie wtedy zdwoić czujność.

Przybyłem do Piekła z własnego wyboru, ale przecież nie dla zabawy. Eliminując na chwilę Caz z równania, usiłowałem poukładać w logiczny porządek wszystko, co się zdarzyło i czego się dowiedziałem, na ten mało prawdopodobny wypadek, gdybym rzeczywiście przeżył i jakoś się stąd wykaraskał, by móc coś sensownego z tym zrobić.

Śmiszek powiedział mi, że działa z rozkazu samego Kefasa. Pytanie, czy to naprawdę możliwe. Od początku przyjąłem, że jest zbirzem nasłanym przez Eligora, żeby mnie za wszelką cenę uciszyć, ale im dłużej nad tym myślałem, dochodziłem do wniosku, że jeśli złote pióro jest symbolem tajnego układu między wysoko postawionym aniołem i arystokratą piekielnym, to gdyby wpadło w niepowołane ręce, Kefas miałby równie dużo lub i więcej do stracenia niż Jeździec. Czy jednak niebieski waźniak posunąłby się do próby zlikwidowania innego sługi Pańskiego, nawet tak niepopularnego jak ja? Z drugiej strony sam się przez lata zastanawiałem, czy Leo – mój dawny mentor i przełożony z naszych sił specjalnych – nie został usunięty właśnie na rozkaz kogoś z wyższych sfer anielskich. Tym bardziej więc powinienem brać pod uwagę ewentualność, że Śmiszkiem steruje jeden z moich szefów, dla którego stałem się niewygodny.

Ale kimże jest Kefas? Domyślałem się, że to tylko ksywka, pod którą kryje się jakaś ważna persona, tylko kto...? Co z tego, że uratuję Caz i wymkniemy się z Piekła w miarę cali i zdrowi, jeżeli po tamtej stronie stukną mnie nasi? Albo co gorsza przypiszą mi odpowiedzialność za całą tę aferę z Trzecią Drogą Sama? Moja kartoteka nie wygląda najlepiej: najlepszy przyjaciel okazał się agentem Trzeciej Drogi, a ja ułatwiłem mu ucieczkę przed aresztowaniem. Zakochałem się w diablcy, a gdy uwięził ją Eligor, poszedłem za nią nielegalnie do Piekła i jeszcze zawarłem

z nim układ. Sami osądźcie: Kefas nie musiał się specjalnie natrudzić, żeby mnie postawić w stan oskarżenia, nie?

Skoro jednak to wszystko nie było wyłącznie jakąś chytrą sztuczką Eligora (czego wykluczyć nie mogłem) i rzeczywiście to Kefas polecił Śmiszkowi mnie śledzić – nie tylko na Ziemi, ale i w Piekło – cóż mogłem na to poradzić? Dopóki się nie dowiem, kto za tym stoi, będę łatwym celem.

Gdy tak znużony parłem naprzód przez ponury labirynt na skraju Abadonu, od czasu do czasu zrywając się do biegu, gdy znajdowałem rezerwę sił, naszła mnie kolejna, przerażająca – tak jest, nawet dla kogoś, komu właśnie depczą po piętach ogary piekielne – refleksja. Tajemniczy Kefas może przecież być jednym z piątki eforów prowadzących śledztwo w sprawie Trzeciej Drogi, a przy okazji czujnie przyglądających się poczynaniom niżej podpisanego. Pewności oczywiście nie miałem; aniołów stojących wyżej ode mnie są w końcu tysiące. Gdybym jednak ja był taką archanielską szyszką i motał cichaczem coś równie wielkiego, to zrobiłbym wszystko, żeby się dostać do komisji śledczej prowadzącej tę sprawę – nie tylko po to, by cichaczem sabotować jej pracę, ale może przede wszystkim, by w porę się zorientować, że zaczynają mnie podejrzewać.

Najsurowszym i budzącym największy strach – przynajmniej we mnie – eforem jest Karael. Gość przypuszczalnie wciąż trzyma w szafie mundury czy broje splamione krwią upadłych aniołów z Wielkiej Bitwy. Za to nie wygląda mi na typa, któremu przyszłoby do głowy zakładać anielski dom dziennej opieki na zasadach socjalistycznych. O pozostałej czwórce niewiele wiedziałem, poza jedną Anaitą, z którą miałem krótkie spotkanie w Izbie Sądu, zanim pojawił się tam Karael. Żałowałem, że nie dane nam było pogadać dłużej sam na sam. A Terencja? Chociaż nadal nie wiedziałem, dlaczego przewodniczącą Eforatu mianowano właśnie ją, a nie sławnego Karaela, nie miałem też o niej żadnych informacji, które przesunęłyby ją w górę na liście podejrzanych. Chamuela i Razjel znałem jeszcze słabiej, choć ten drugi był postacią o tyle ciekawszą, że pozbawioną płci – akurat tak jak Kefas (tak przynajmniej twierdził Sam).

Naturalnie wszystko to niewiele znaczyło, bo każde z nich potrafiłoby sprokurować sobie całkowicie nierozpoznawalne przebranie, byłem więc pewien, że jeśli to Razjel jest zdrajcą, mógłby się Samowi zaprezentować w postaci równie kobiecej jak sama Wenus z Milo albo bardziej męskiej niż... no, Karael.

Od niedawna zaś miałem nową zagadkę do rozwikłania: co anioł Walter Sanders robi w Piekło? Nie mogłem uwierzyć, że tylko przypadkiem dostał sztyletem od tego samego oprycha, który polował i na mnie, a potem tak jakoś się znalazł na Dole. Śmiszek twierdził, że pracuje dla Kefasa. Czy dostał polecenie usunięcia Waltera z szachownicy przede mną? Walt bardzo chciał ze mną o czymś porozmawiać tamtej nocy „Pod Cyrklem”. Czy to miało jakiś związek z tym, co się stało potem? Jego zaaranżowana śmierć i przeflancowanie do Piekła zatarty wszelkie ślady.

Rozwiązanie wpadło mi do głowy tak niespodziewanie i z hukiem, że ledwo zauważyłem unoszącą się wokół stóp mgłę – co świadczyło, iż zbliżam się do mostu. Powiniennem skakać z radości, ale ta nowa myśl, jak świeża krosta na nosie szkolnej miss w dzień balu maturalnego, odsunęła wszystko inne na dalszy plan.

Walter w swym Pyszcowym wcieleniu coś sobie wreszcie przypomniał, kiedyśmy się już żegnali na *Zrzędlivej Jędzy*. Wsiadałem już do łódki, kiedy krzyknął za mną coś w rodzaju: „Pamiętam głos, który pytał mnie o ciebie”. Nie miałem pojęcia, o czym mówi; ale jeśli to było wspomnienie jeszcze z jego anielskiego życia, to czy nie właśnie tamta rozmowa sprawiła, że ktoś go dosłownie posłał do wszystkich diabłów?

Tak się zamyśliłem nad tymi pytaniami, że omal nie rozbiłem sobie czoła o niski pułap. Co on mi powiedział? Czemu nie słuchałem go uważniej? No tak, głowę miałem wtedy zaprzątniętą

innymi rzeczami, jak zębate meduzy i świniornice, teraz jednak byłem za to na siebie wściekły. W zasięgu ręki miałem odpowiedź – możliwe, że na wszystko, a przynajmniej na pytanie, kto nasłał na mnie Śmieszka – a pozwoliłem wyprzeć ją ze świadomości takim drobiazgom jak ogary piekielne czy własnoręczna operacja na otwartej czaszce.

Wychylnąłem z ostatniego kamiennego tunelu zaledwie o sto metrów od bramy i widniejącego za nią tego paskudnego, cudownego mostu. Przyspieszyłem kroku, cały czas wytyżając pamięć, by odtworzyć te ostatnie chwile przed opuszczeniem *Jędzy*: smrodliwe wyziewy zatoki Tofet; wielkie łapska Riprasha podające mi pocisk, którego zamierzałem użyć jako balastu podczas spaceru po dnie; zaciekawiona, sceptyczna mina Goba; i Walter w swojej potępieńczej postaci przypominającej coś, co można znaleźć tylko w koronach drzew na Madagaskarze.

Co on powiedział?

I nagle olśnienie. „To był głos dziecka!”, krzyknął, kiedy już moja łódź dotykała fal, tak pragnąc mi pomóc, choć zostawiałem go uwięzionego w Piekło. „Słodki dziecięcy głos!”

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk rogu myśliwskiego, tak zaskakująco bliski, jakby wrona zakrakała mi prosto do ucha. Odwróciłem się i ujrzałem pierwszego ogara wypadającego z tumanu mgły. Tuż za nim gnały dwa następne, a w oddali zamajaczyły cienie grupy zbrojnych demonów.

Rzuciłem się sprintem ku mostowi, klnąc w żywy kamień moje zwykłe zezowate szczęście: dać się schwytać akurat wtedy, gdy w końcu bliski byłem rozwiązania zagadki zesłania Sandersa!

Taki głos miała Anaita.

Dlaczego go nie zmieniła, rozmawiając z Walterem? Może nie zdawała sobie sprawy, że to będzie miało znaczenie w przyszłości. Może po prostu zadała mu parę pytań w swej zwykłej roli ważnego funkcjonariusza niebieskiego, nie wiedząc, że obudzą w nim czujność? Pewnie to właśnie chciał mi powiedzieć i nie zdążył, zasztyletowany przez Śmieszka. To by zaś znaczyło, że jego ciało unicestwiono z premedytacją, a duszę wtrącono do Piekła, by nie mógł mnie ostrzec, iż Anaita o mnie pytała.

A niech mnie. Wiem, że wyższe anioły są inne niż taki szarak jak ja, ale Anaita vel Kefas – efor, arystokratka i Święta Strażniczka Płodności – okazała się naprawdę bezlitosnym sukinsynem.

Nie miało to już jednak znaczenia, bo i tak nie mogłbym nic z tym zrobić. Nilotch ze swą watahą był tuż, a ja jeszcze nawet nie dopadłem mostu. Moi kumple chyba jednak nie załapią się na te durne pamiątkowe koszulki.

Czterdzieści trzy Pan Johnson i ja



Nie wiedzieć skąd przyplątał mi się na myśl ciężki blues Roberta Johnsona:

...Muszę biec dalej,

A blues we mnie bije jak grad,

Blues bije jak grad...

Bieg dni tak mnie niepokoi,

A pies piekielny idzie za mną w trop.

To jeden z jego najlepszych utworów. Nie znam żadnego miłośnika bluesa, który nie byłby zafascynowany Johnsonem, jego dziwnym, krótkim życiem i niesamowitym głosem. W tej chwili piosenka zlewała się w jedno z rzeczywistością: uszy miałem pełne zajadłego szczekania ogarów, tupotu nóg żołnierzy i piskliwych okrzyków komisarza Skrzydeł i Szponów. W zasadzie nie bluesy powinny mi być w głowie, tylko któraś z typowych wariacji na temat „O Boże, zaraz umrę, wiać, wiać, kurde, wiać!”.

Ale widzicie, nawet anioła może nachodzić poczucie niższości. Kiedy zasuwałem ile sił w demonich nogach przez pylisty, kamienisty teren ku bramie i mostowi Nerona, gdzieś w zaułku umysłu kołatała mi się pełna satysfakcji myśl, że oto wreszcie mógłbym powiedzieć Johnsonowi, że czuję bluesa jak on, i nie wyjść na białego pozera. Tak, Robert, też byłem w Piekło i wiem, o czym mówisz.

Jasne, że to głupota, zwłaszcza w takiej chwili, ale gdybym nie był głupi, tobym się w ogóle nie znalazł w takiej sytuacji, nie?

Przemknąłem przez bramę w pełnym biegu, zapomniawszy, jak blisko jest od niej do mostu. Kiedy po paru krokach wpadłem na pierwszą z tych popielistych czyścicowych kreatur usiłujących się przedostać do Piekła, omal nie zleciałem w tę niewyobrażalną otchłań. Kłębiły się tak gęsto, że musiałem brnąć przez nie jak przez metrową warstwę styropianowego złomu. Niby rozsypywały się pod lada dotknięciem, ale wynikający z tego opór był na tyle duży, że szło się z trudem, a chmury wzbijanego pyłu przesłaniały mi widok. Wyobraźcie sobie teraz, że są ich całe setki, a rzecz się dzieje na pozbawionym barier moście szerokim na metr osiemdziesiąt, pod którym przez całe kilometry nie ma nic oprócz płynących z dołu krzyków.

Wyrwałem zza pasa kordelas od Riprasza i zacząłem się przebijać przez szare stwory jak maczetą przez busz. Wiem, że jako anioł powinienem być wzorem miłosierdzia, ale spędziwszy w Piekło tak dużo czasu, nie miałem już tyle współczucia dla tych okropnych bezmózgich potworków, których jedynym pragnieniem było się tam dostać, jak za pierwszym razem. Ciąłem je jak oszalała sieczkarnia, aż strzępy leciały na boki małymi chmurkami. Z tyłu dobiegały porykiwania ścigających mnie bestii, które też już wpadły na most i natknęły się na czoło pochodu szarusów. Wydawało mi się, że słyszę w ich głosie nutę zdziwienia, jak trudno jest brnąć pod ten potępieńczy nurt.

Tłok na moście nieco zelżał i mogłem poruszać się szybciej, ale to znaczyło, że i pościg może przyspieszyć. Stukot psich pazurów o kamienne przesło stawał się coraz głośniejszy, wsunąłem więc nóż z powrotem za pas (spróbujcie kiedyś zrobić coś takiego w pełnym biegu...) i wyjąłem jeden z rewolwerów. Nabojów miałem jeszcze spory zapasik, jednak jakoś nie mogłem sobie wyobrazić sytuacji, w której miałbym czas spokojnie przeładować broń; zwolniłem tylko

odrobinę, by sprawdzić, czy magazynek jest pełny. Być może moja zła passa właśnie się kończyła, gdyż przy tej czynności potknąłem się i omal nie straciłem równowagi – i to mnie uratowało. Tuż nad ramieniem świsnął mi harpun z przywiązaną doń linką, która w przelocie smagnęła mnie w policzek, zanim zniknęła gdzieś w przepaści.

Już wcześniej mnie zastanawiało, dlaczego ludzie Nilocha nie próbują mnie ustrzelić z daleka, gdy znalazłem się w ich zasięgu na otwartym terenie, teraz jednak pojąłem, że nie chcą ryzykować, iż trafiony spadnę z mostu. Najwyraźniej szykowali mi ciekawszy los niż rozbitcie na miazgę o dno Piekła czy przetopienie na lawę – i stąd pomysł z harpunem.

Czułem, że długo nie pociągnę w takim tempie, a od drugiego końca dzieliły mnie jeszcze długie godziny. Postanowiłem więc nieco zmienić dysproporcję sił na moją korzyść. Gdy na mej drodze pojawił się następny pełzacz, przeskoczyłem przez niego i zająłem za nim pozycję strzelecką w kłku. Biedaczysko nie osłoniłby mnie przed niczym, ale liczyłem na to, że przynajmniej trochę zdezorientuję ścigających i zyskam sekundę czy dwie. Mój dawny dowódca Leo zwykł nam wbijać do głów, że w większości sytuacji lepiej oddać jeden pewny strzał niż cztery niepewne. W mojej i tak nie miałem czasu nacisnąć spustu więcej niż raz: najbliższy ogar był już tylko kilkanaście metrów za mną, a dwa inne niewiele dalej. Pierwszy z żołnierzy biegł z dziesięć metrów za nimi.

Ująłem kolbę oburącz i na wydechu wypaliłem bestii prosto w wysuwający się akurat wstrętny różowy nochal. Kula rozpryskowa zrobiła swoje: łeb potwora zamienił się w czerwoną mgiełkę. Bydlę jednak zdołało jeszcze zawyc z bólu i zrobić kilka kroków, zanim się zatoczyło i upadło. Ku memu zdumieniu nie zdechło na miejscu, lecz zaczęło chwiejnie gramolić się na nogi i wyglądało na to, że nie zamierza zrezygnować z pościgu, ale w następnej chwili zderzył się z nim drugi ogar i oba stoczyły się z mostu w otchłań. Wystrzeliłem jeszcze dwa razy w nadziei, że trafię trzecie psisko, póki się tapła w kałuży krwi pobratymca, ale spudłowałem. Siepacze zawahali się, usłyszawszy huk wystrzałów, ale szybko się otrząsnęli z zaskoczenia i znów ruszyli biegiem w moją stronę, i ja wzięłem więc nogi za pas.

Dostałem nieoczekiwane fory, gdy żołnierze usiłowali skłonić trzecie zwierzę do wznowienia pościgu. Oglądając się przez ramię, zobaczyłem, że ogar się do tego wcale nie kwapi – nie dlatego, że się mnie przestraszył (no nie rozśmieszajcie mnie...), ale że był zbyt zajęty chłeptaniem ciepłej krwi ranionego towarzysza. Kiedy jeden z poganiaczy smagnął go batem, pies rzucił się na niego z zębiskami i jednym kłapnięciem odgryzł mu spory kawałek policzka i część nosa.

Udało mi się w biegu włożyć nowe naboje do magazynka i gnałem dalej co sił, bo wiedziałem, że przerwa nie potrwa długo. Gonił mnie wrzask Nilocha rozkazującego zastrzelić ogara, jeśli natychmiast nie posłucha polecenia. Niestety, straciłem przy tym resztę amunicji: woreczek wyleciał mi z ręki, odbił się od nawierzchni i spadł w przepaść. Komisarzowi został tylko jeden ogar, ale miał też dobre pół setki wajaków przeciwko moim dwunastu kulom.

Parłem naprzód jak w transie, dobywając ostatnich rezerw siły drzemiących w moim demonim ciele, i tak już dającym z siebie więcej, niż norma przewiduje. Zamieszanie wśród ścigających pomogło mi trochę zwiększyć dzielący nas dystans, a słabnące z odległością gniewne krzyki Nilocha wydawały mi się najśłodsza muzyką.

Nie wiem, jak daleko zdążyłem odbiec, kiedy znów posłyszałem tupot pazurzastych łap ogara. Miałem wrażenie, że minęło sporo czasu, ale mój umysł popadł w jakiś stan wyłączenia, w którym już przestały pobrzmiwać nawet stare bluesy i został tylko miarowy odgłos mych własnych kroków niczym zwalniający rytm metronomu. Stukot psich pazurów zbliżał się szybko, aż nagle urwał się jak nożem ucięty. Wiedziałem, że nie oznacza to raptownego zatrzymania się, więc nie tracąc czasu na sprawdzanie, szczupakiem rzuciłem się na kamienie. Długi cień

przemknął nade mną niczym rekin nad zaskoczonym płetwonurkiem. Zwód uratował mi życie, ale nie poprawił sytuacji – bydlę wylądowało na cztery łapy i nie straciło równowagi ani nie stoczyło się z mostu, lecz błyskawicznie odwróciło się ku mnie, znów gotowe do ataku. Lada chwila nadbiegną żołnierze i koniec pieśni. Decyzję musiałem podjąć w jednej chwili; wybrałem jedyne możliwe wyjście i skoczyłem ku ogarowi.

Jeśli kiedykolwiek wezmę się do pisania poradnika dla młodych aniołów, zacznę pewnie od zasady numer jeden: nigdy, przenigdy nie zapuszczajcie się na Dół. A potem dodam zasadę numer dwa: jeżeli już z jakiegokolwiek idiotycznego powodu się tam znajdziecie, to nigdy, przenigdy nie idźcie na czołowe zderzenie z ogarem piekielnym. Ja jednak nie miałem wyboru, skoro taki zwierz był mi jedyną przeszkodą na drodze ucieczki.

Uniosłem obie spluwy i wystrzeliłem w biegu, ale on w tej samej chwili rzucił się na mnie z taką szybkością, że obie kule przeszły nad jego wyciągniętym w skoku cielskim, nawet go nie drasnawszy. Wylądował wprost na mnie i to była ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem, poza tym, że było jeszcze wiele warczenia i wrzasku (w tym drugim wypadku głównie mojego). Ośliniony minogowaty pysk śmignął ku mej twarzy i podążał za każdym moim ruchem, jakbym z góry złożył plan działania w jego centrali sterowania. Musiałem użyć obu rąk, żeby go od siebie odtrącić, a w szamotaninie jeden z pistoletów poleciał w otchłań. Drugi już prawie miałem wycelowany w jego bebechy, gdy zaatakował niczym kobra i zatopił zęby w nadgarstku uzbrojonej ręki. Odruchowo wypuściłem broń, która z metalicznym szczękiem spadła na kamienie. Został mi już tylko kordelas. Sięgnąłem po niego i gdy tylko nadarzyła się szansa, wbiłem go sztychem poprzez dolną szczękę bestii tam, gdzie powinna mieć mózg.

Nie wiem, czy ogary nie mają mózgow, czy po prostu nie są im one potrzebne do życia i funkcjonowania, bo cios nie zrobił na nim większego wrażenia – tyle że wyraźnie zepsuł mu się nastrój i jeszcze bardziej zawzięcie jał polować zębiskami na mą głowę. Utrzymywałem groźny pysk na dystans, z całych sił naciskając na kordelas i nie zważając na ból w rozrywanych pazurami udach. Nie będę psuł wam dnia opisami wrażeń organoleptycznych przy takim bliskim spotkaniu z kundlem piekielnym. Dziękować nie trzeba.

Sytuacja na razie była patowa, ale wiedziałem, że szybko przegram. Bydlę ważyło ze dwa razy więcej ode mnie, a skoro brzeszczot w mózgowicy nie odebrał mu animuszu, to należało przyjąć, że gołymi rękami też go raczej nie pokonam. Chwyciłem się więc ostatniego sposobu: podkuliłem nogi, zaparłem się stopami o płytę kostną na jego piersi i pchnąłem najsilniej, jak mogłem.

Nie wiem, na co liczyłem. Jeżeli na to, że szczęście dopisze mi po raz drugi i bestia zleci z mostu, to się rozczarowałem. Szczerze mówiąc, nie przemyślałem tego ruchu za dobrze – wiedziałem tylko, że jak czegoś natychmiast nie zrobię, to ogar odgryzie mi głowę. Owszem, psisko sturlało się ze mnie i łapy się pod nim rozjechały, ale zaraz się pozbierało i znów skoczyło na mnie.

Tylko że przez ten czas zdołałem namacać ręką rewolwer.

Leżałem na plecach i nie miałem szans starannie wycelować, wymierzyłem więc tylko z grubsza w jego kierunku i strzeliłem dwukrotnie. Pierwsza kula oderwała mu ucho wraz z kawałkiem czaszki, druga wybiła w piersi dużą, buchającą krwią dziurę. Myślicie, że miałem go z głowy? Bydlę co prawda upadło, zaskomlało i zacharczało trochę, ale zaraz stanęło na nogi i postąpiło ku mnie chwiejnym, nierównym krokiem. Klnąc, jakbym właśnie się dowiedział, że nie lubiany szwagier trafił szóstkę w lotto, wystrzeliłem kolejny raz i znów trafiłem w klatkę piersiową. To wystarczyło. Pies zatoczył się niezgrabnie w bok, zachwiaił i spadł z przesła.

W uszach rozbrzmiały mi gniewne okrzyki żołnierzy, którzy właśnie dotarli na miejsce walki, ale nawet się na nich nie obejrzałem, skoncentrowany na wstawaniu. Jeśli dobrze

policzyłem, został mi tylko jeden nabój, marne miałbym więc szanse w pojedynku rewolwerowców, ale w wyścigach już lepsze.

Spreżyłem się do startu.

Po paru krokach coś mnie uderzyło. Mocno, jak gdybym wpadł pod rozpędzoną bagażówkę. Wywinąłem kozła w powietrzu i spadłem plackiem na most kawałek dalej, niebezpiecznie blisko krawędzi. Stało się to tak nagle, że dopiero po chwili do mnie dotarło, iż z piersi sterczy mi grot harpuna. To, że do jego drugiego końca przymocowana jest lina, zrozumiałem moment później, gdy ktoś pociągnął za nią i drzewce przesunęło się do tyłu, póki zadziór na grocie nie zahaczył o mój obojczyk.

Mam nadzieję, że nie weźmiecie mnie za mięczaka, jeżeli powiem, iż mimo braku gruczołów łzowych splakałem się jak przedszkolak, któremu jeden ze starszaków zabrał ulubioną zabawkę. Znaczący w przerwach między spluwaniem krwią.

Lina naprężyła się ponownie, odciągając mnie na środek przesła. Targany okropnym bólem sięgnąłem za siebie, usiłując ją chwycić i przewrócić się na grzbiet, bo w takiej pozycji miałem chociaż minimalną możliwość obrony. Nie przychodziła mi do głowy żadna strategia; jedyne, co kotłowało mi się w myślach, to żeby do końca świata nikt już ani razu nie pociągnął za ten harpun.

Nadchodził Niloch. Minął celnego harpunnika, przysadzistego trolla z dumnym, szczerbatym uśmiechem, i szedł niespiesznie, trącając dłońią naprężoną jak struna linę. Głowa mu prawie cała odrosła.

– I cóż my tu widzimy? – mruknął na powitanie. – Czyżby to Wężowij, burzyciel mojego ślicznego zameczku? Ach tak, on ci to we własnej osobie! Muszę cię, niestety, przekazać Mastemie, ale terminu mi nie wyznaczono... znajdzie się zatem chwila, by cię rozliczyć za ten akt wandalizmu. Zresztą szanownej Radzie Inkwizycyjnej do tortur wystarczy chyba jakiś porządny kawałek ciebie, powiedzmy, głowa z przyległościami, co? Resztę, gdy już z tobą skończę, przemieli się i doda do zaprawy, bo właśnie zacząłem odbudowę, wiesz? Przyznasz, że to byłoby właściwe, mój niewdzięczny byłby gościu?

Uzmysłowienie sobie tego zajęło mi długą chwilę, bo z każdego zakamarka ciała płynęły do mózgu rozpaczliwe sygnały alarmowe, ale w końcu do mnie dotarło, że leżę na swoim pistolecie. Wsunąłem nieznacznie dłoń pod plecy, przymykając oczy, niby z rezygnacją. Jedna kula. Nie uratuje mnie – zbyt wielu ich tu jest – ale chociaż wykończę Nilocha.

Gdy uznałem, że jestem gotowy, mimo bólu wyciągnąłem spluwę, wycelowałem i nacisnąłem spust. Huk był zaskakująco donośny jak na otwartą przestrzeń bez sufitu; echo wielokrotnie powracało hen, od muru zewnętrznego. Gwałtowny ruch odbił się przenikliwym bólem w całym ciele, ale efekt byłby tego wart... gdybym nie spudłował.

Na komisarzy świst pocisku koło kościstego ucha nie zrobił wrażenia.

– Oj, nieładnie – powiedział. – Bardzo nieładnie. Najpierw przez ciebie straciłem takie dobre pieski, a teraz chcesz zrobić krzywdę mnie? Za to, że wypełniam swój obywatelski obowiązek? Wstydziliby się, Wężowiju.

Grzechotliwy odgłos, jaki wydał po tych słowach, uznałem za chichot, ale moją uwagę przykuł dziwny blask, jaki pojawił się w powietrzu tuż za jego plecami. Kilku najbliższych stojących żołnierzy także go zobaczyło i gapili się z otwartymi ustami. Z początku było to tylko migoczące, jaskrawe światelko jak choinkowy zimny ogień, potem jakby lekko dymiąca pochodnia, która błyskawicznie opadła, pozostawiając za sobą drżącą magnezjową smugę. Kiedy Niloch się zorientował, że coś się dzieje z tyłu, ze smugi wyłoniła się rozżarzona dłoń, a sekundę później na most nie wiadomo skąd wyskoczył Śmiszek i wylądował obok komisarza. Zanim ten otworzył usta, by wydać rozkaz swoim ludziom, nieumarły wskoczył mu na plecy i wbił w kark swój

czworoboczny bagnet, po czym jał przekręcać go w ranie na wszystkie strony, co nie mogło być przyjemne nawet dla arcydiabła. Niloch wrzasnął z bólu i zaskoczenia. Żołnierze stłoczyli się za nim, usiłując odciągnąć dziwnego napastnika, nie mogli go jednak dobrze uchwycić. Śmiszek śmigał po torsie komisarza jak wiewiórka wokół pnia.

Złapałem się na tym, że stoję z rozdziawioną gębą, podczas gdy powinienem wiać jak polany ukropem. Próbowałem wstać, ale ruchy utrudniała mi ciężka lina od harpuna, wciąż naprężona i w zamieszaniu przydepnięta przez któregoś z siepaczy. Co rusz ktoś w nią kopał, a drzewce w moim płucu kołysało się szarpane w nieregularnym rytmie. Nazwać to odczucie bólem byłoby niedopowiedzeniem milenium.

– Teraz to widzi! – skrzeknął Śmiszek z wiru ciała. Żołnierze desperacko walczyli, by oswobodzić wodza, lecz ograniczała ich wąskość przęsła i zdumiewająca, przerażająca szybkość zamachowca. – Teraz rozumie! Zna przyczynę. To ty jesteś przyczyną! Dlatego przybyłeś wcześniej, niż powinieneś! Teraz wie!

Demon dzierżący linę od mojego harpuna nagle jęknął, zachwiał się i jak kłoda spadł poza krawędź przęsła. Miałem tylko ułamek sekundy, by się sprężyć i nie dać pociągnąć za nim w dół, ale z ulgą stwierdziłem, że lina luźno spoczywa na kamieniach wraz z uczeptioną jej końca krwawą odciętą dłonią harpunnika.

Cudem uratowany po raz drugi w ostatniej minucie, wziąłem się wreszcie do roboty. Musiałem przerwać lub przegryźć ten cholerny sznur, bo nie dałbym rady uciekać z czymś takim wijącym się za mną po ziemi. I tak miałem wystarczająco duży problem z samym harpunem merdającym mi w płucu z każdym moim ruchem. Walcząc z opornymi włóknami, ostrożnie wycofywałem się poza krąg walczących. Odpadnięcie harpunnika z gry dało Śmiszkowi więcej miejsca do manewru, co też skwapliwie wykorzystał. Cokolwiek by o nim mówić, w walce wręcz był prawdziwym artystą.

Wyobraźcie sobie światowej klasy baletmistrza, ale dotkniętego spastycznością. Macie to? Teraz odtwórzcie ten wideoklip jeszcze raz, tylko na czterokrotnie szybszym przewijaniu, i pamiętajcie, że w rękę ma bagnet, a zadawanie nim ciosów uważa za formę modlitwy. Nigdy dotąd nie widziałem widowiska tak strasznie brutalnego, które zarazem mógłbym nazwać pięknym. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale to naprawdę było żywe dzieło sztuki, jak najdziksze improwizowane solo baletowe w wykonaniu cyrkowca. Wszystko działało się tak błyskawicznie, a przy tym bezbłędnie, że z trudem uwierzylibyście, iż nie jest to opracowana przez choreografa, dobrze wyreżyserowana i wielokrotnie, do upadłego przećwiczona przez cały zespół scena. Tylko że nikt, nawet demon, nie chce ginąć w taki sposób, nadziany na śmiercionośny rożen w rękę tej rozchichotanej, szybkiej jak myśl i elastycznej jak guma bestii.

Kolejni dwaj żołnierze, brocząc krwią, zniknęli za krawędzią mostu. Reszta otaczała mojego nieoczekiwanego wybawcę jak ławica rozjuszonych piranii. Krew tryskała w powietrze fontannami, ale byłem pewien, że nie z tętnic Śmiszka, podobnie jak to nie jego palce i uszy fruwały wokoło makabrycznym konfetti.

– Uciekaj! – krzyknął. – Uciekaj, aniele!

Jakby dla podkreślenia jego czystych intencji coś większego wyleciało z kotłowniny i pacnęło ciężko o most u mych stóp. Cieknąca z tego krew mieszała się z moją własną w sporej kałuży. Była to głowa Nilocha. Szczęki kłapały jeszcze w zwolnionym tempie jak szczypecie zdychającego kraba. Przekrwione ślepia wędrowały równie powoli po oczodołach i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Nie wiadomo jak – bez krtani i strun głosowych – z białych warg wydobył się szept:

– Ja... cię... jeszcze...

Nie czekałem na dokończenie. Uniosłem stopę i metodycznie, z całych sił, zacząłem

rozdeptywać ten wstrętny przedmiot. Trzasnęła pękająca czaszka.

– Pieprz się, dupku – powiedziałem, solidnym kopniakiem posyłając zmiążdżoną, bezkształtną grudę w otchłań.

Puściłem się biegiem dalej – jeśli tak można nazwać pokraczne kuśtykanie faceta z mózgowiem sączącym się z rany wyszarpanej wysoko na karku i harpunem w torsie; coś takiego mógłby namalować tylko William Blake, i to na megakacu. Biegłem bez tchu, póki ryki i jęki Nilochowych żołdaków nie ucichły w dali. Nie zwalniałem (tak mi się przynajmniej wydawało); krok za okrutnie bolesnym krokiem parłem naprzód w niewyobrażalnie czarnym mroku. Jak przez mgłę pamiętam, że dopadłem w końcu windy, ale chyba i wtedy nie przestałem biec, objijając się na oślep o ściany kabiny, dopóki wreszcie nie dotarło do mnie, że jestem już bezpieczny – jak dalece to możliwe w tym wcieleniu, zanim ostatecznie opuścę Piekło i będę mógł wypowiedzieć słowa, których nauczył mnie Temuel, zrzucić z siebie demonia ciała i powierzyć się błogosławionej ciemności.

Śmieszka nigdy już potem nie zobaczyłem. Nie wiem, czy przeżył bitwę na moście Nerona. Nie wiem, co o tym w ogóle sądzić, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że to on uratował mnie wtedy, gdy nie mógł tego dokonać nikt poza samym Najwyższym.

Czterdzieści cztery Ciało w bagażniku



Coś w końcu zdarło ze mnie całun ciemności, nie mogłem jednak znaleźć guzików i wyłączników, które by uruchomiły mi mięśnie, leżałem więc tylko bez ruchu, usiłując się zorientować, gdzie jestem.

Zostawiłem moje ziemskie ciało całe i zdrowe, opakowane w prześcieradło w willi nieboszczyka Edwarda Lynesa Walkera, tam też więc powinienem się teraz znajdować – jednak Eligor wyrzucił mi, że jego ludzie tam byli i go we wskazanym miejscu nie znaleźli. Mogło to oznaczać różne rzeczy, w większości nieprzyjemne. Zmusiłem się jednak do cierpliwości; pozostawałem wszak poza cielesną powłoką Bobby’ego D. tak długo, że ponowne napełnienie jej duszą musiało potrwać i przypominało jeden z tych dziwacznych snów, w których wydaje się nam, że czuwamy; docierają do nas dźwięki albo i głosy ze świata realnego, ale nic nas nie obchodzą.

Głosem, żeby nie było nieporozumień, nie słyszałem. Wiedziałem, że jestem w swoim ciele (a przynajmniej jakimś ciele): czułem bolesne ciarki w przykurczonych mięśniach i byłem owinięty w jakąś tkaninę, co by się zgadzało. Postanowiłem przyjąć wersję optymistyczną: trafiłem tam, dokąd chciałem, teraz dam sobie jeszcze parę minutek na dokończenie reintegracji, potem wyleżę spod łóżka w pokoju gościnnym na piętrze domu Walkera i co najmniej przez dziewięć godzin będę się moczył pod gorącym prysznicem. Przy łucie szczęścia Posie, wnuczka świętej pamięci gospodarza, i jej absztyfikant Garcia Windhower okażą się nieobecni i będę miał wolną chatę, ale nie to było najważniejsze. W tej chwili najbardziej pragnąłem (po kąpieli długodystansowej) iść gdzieś, gdzie jest duży wybór żarcia i wódeczności, i skosztować masę jednego i drugiego, a potem wrócić do domu i wałać się w pościel na porządne, prawdziwe spanko. Tak zwyczajnie, bez nadziei na to, że pełen żołądek, zawiany łeb i drzemka pozwolą mi zapomnieć o wszystkim, co niedawno przeszedłem. Musiałem też jak najszybciej zameldować się Niebu. Po tym, że wciąż miałem ludzkie ciało, do którego pozwolono mi wrócić, zorientowałem się, iż jeszcze nie spisano mnie na straty, zawsze jednak lepiej sprawdzić. Zresztą na pewno czeka na mnie w skrzynce tona nieprzeczytanych wiadomości...

No i oczywiście trzeba będzie zdać sprawę Mułowi – o tym jednak na razie nie chciało mi się myśleć. Będę szczery: bałem się tego spotkania jak cholera. Jasne, zrobił dla mnie dużo, ale nie wiedziałem, jaki ma stosunek do Anaity, nikt zaś – nawet Bobby Dolar, król narwańców i czarna owca adwokatury Trzeciego Domu – nie wyskakuje jak filip z konopi z oskarżeniem archanielskiej szychy, i to urzędującego efora, o zdradę Najwyższego. Tym bardziej bez jakichkolwiek dowodów.

Im dłużej o tym myślałem, tym większa ogarniała mnie pewność, że należy po prostu trzymać język za zębami, nawet wobec Temuela, skoro nie wiedziałem, jaka jest jego rola w tej grze – nie tylko w kwestii Anaity, ale i Trzeciej Drogi oraz całej reszty zwariowanego wiru, który mnie wessał. Mój archanioł tkwi po aureolę w dziwnych sekretach i wolałem nie zmuszać go do wyboru pomiędzy mną a tym, w co tam sobie pogrywa.

Takie to coraz bardziej złożone refleksje tłukły mi się po przymulonej głowie, w miarę jak wracałem do przytomności. Czułem się już na tyle pewny ciała, by pokusić się o rozwinięcie z całunu i zabawienie w Łazarza wyłączającego z grobowej pieczary (czyli w moim wypadku spod

wyrka w zapasowej sypialni Eda Walkera). Zdażyłem się też zorientować, że pod moją nieobecność całun jakby przybrał na wadze i zrobił się bardziej szorstki w dotyku, niż go zapamiętałem (a przy tym był chyba ciaśniej na mnie owinięty), ale gdy spróbowałem się przetoczyć na bok, problem okazał się bardziej skomplikowany: to nie było prześcieradło, lecz jakaś plandeka, w którą ktoś omotał mnie tak sztywno, że nie mogłem nawet ruszyć ręką. Nie była to sytuacja, w jakiej zostawiłem moją ziemską obudowę. Do tego cały czas coś mnie popychało, ciągnęło, podrzucało, a nawet od czasu do czasu przechylało, jak gdybym spoczywał na dłoni jakiegoś olbrzyma, który właśnie się zastanawia, czy ma zacząć mnie konsumować od głowy, czy od nóg. (Zdecydowanie za długo przebywałem w Piekło).

Naturalnie zachowałem zimną krew, wiedząc, że najgorszą rzeczą byłoby wpadanie w panikę, zanim poznam wszystkie fakty. Spokojnie zacząłem się drzeć raz po raz w różnych konfiguracjach paru utartych w podobnych okolicznościach zwrotów: „Co, u Boga Ojca, tu się dzieje? Na pomoc! Wypuście mnie, do diabła!“. Nie zaniedbywałem też prób uwolnienia się z brezentowego potrzasku; jałem się wiercić, nadymać pierś, rozpychać łokciami, aż w końcu udało mi się oswobodzić ręce. Podniosłem dłonie do oczu. Tak jest, w liczbie mnogiej. Miałem je obie i to była pierwsza dobra wiadomość. Cokolwiek innego się ze mną stało, znów dysponowałem pełnym zestawem narzędzi chwytnych, porządnie zamontowanych na nadgarstkach, z pięknym kompletem funkcjonalnych palców. Funkcjonalność tę sprawdziłem empirycznie, dokładnie badając opuszkami twarz, żeby się przekonać, czy jestem znów Bobbym Dolarem, czy Wężowijem. Nad brwiami i na policzkach nie stwierdziłem twardych guzów, a skóra już nie przypominała tak bardzo papieru ściernego, jak do tego przywykłem na Dole. Wszystko wskazywało na to, że transformacja przebiegła bez zarzutu i znów jestem we własnej, dobrze mi znanej osobie. Jeszcze szybkie obmacanie karku – uff, tylko gładka skóra i nieco przydługie już włosy; żadnych drutów, niezagojonych ran i rozłupanej czaszki. To mnie trochę uspokoiło.

Kiedy udało mi się poluzować plandekę jeszcze bardziej i odsunąć nieprzyjemny materiał od twarzy, dotarło do mnie wreszcie, że znajduję się w bagażniku jadącego samochodu. Niby nic takiego dla faceta, który dopiero co przetrwał wielokrotnie powtarzane sesje tortur w wykonaniu najlepszych specjalistów Przeciwnika i wymknął się pościgowi z udziałem ogarów piekielnych; zwykle ziemskie tarapaty powinny mi się wydawać dziecinną zabawą. Wystarczająco dużo razy jednak oglądałem *Ojca chrestnego* i *Chłopców z ferajny*, by wiedzieć, że los delikwenta zawiniętego w brezent i wiezionego gdzieś w cudzym bagażniku jest raczej nie do pozazdroszczenia.

Szarpałem się jeszcze, żeby bardziej poluzować materiał i do końca uwolnić ręce, ale płachta była gruba (przy tym stara i śmierdząca, skoro już o tym mowa) i ledwo zdołałem odchylić ją poniżej czoła. Dzięki temu potwierdziło się przynajmniej, że faktycznie jestem w czyimś samochodzie, no i udało mi się wysunąć dłonie na tyle, żeby spróbować otworzyć zamek. Niestety, wóz musiał być dość stary, bo nie znalazłem stosowanej w nowszych modelach dźwigienki awaryjnego otwierania. Gdybym miał się jak zaprzeć, może zdołałbym po prostu go wyważyć – w ziemskim wcieleniu też nie jestem ułomkiem – ale na to szans nie było, zostało mi więc tylko wyjście heroiczne.

Gdy tylko zacząłem bębnić w pokrywę, autem zarzuciło parę razy, ale nie zatrzymało się, musiałem więc myśleć, co dalej. Broni przy sobie raczej nie miałem – kto by chciał przeleżeć kilka dni, albo i tygodni, z dużym pistoletem pod tyłkiem, nawet w stanie nieprzytomności? W najlepszym razie obudziłbym się solidnie posiniaczony w tym miejscu (jeśli nie z raną postrzałową). Co mam więc robić, kiedy będą chcieli mnie załatwić? I w ogóle kto mógł mnie porwać w ten sposób? Jeśli wierzyć Eligorowi, jego zbiry nawet nie znalazły mojego ciała.

Czyżby to Anaita kazała komuś dokończyć robotę zleconą Śmiszkowi?

Sytuacja zbliżała się do rozwiązania: wóz zwalniał, podskoki też złagodniały. Zdwoiłem wysiłki, by się oswobodzić i choć odrobinę wyrównać szanse, bo obandażowany brezentem nie przedstawiałem większego zagrożenia niż duży naleśnik.

Zanim samochód stanął, górną połowę ciała miałem już wolną. Ktoś zachrobotał mechanizmem zamka. Zły na siebie, że jednak nie zostawiłem przy ciele jakiegokolwiek broni, napiąłem mięśnie i zaparłem się o dno bagażnika. Kiedy zapadka puściła i pokrywa odskoczyła lekko w górę, na wszelki wypadek zacisnąłem powieki, by uniknąć oślepienia przez słońce – skąd bowiem mógłbym wiedzieć, jaka tu jest akurat pora dnia? – i zamachnąłem się pięścią z całej siły. Z nieklamana satysfakcją usłyszałem czyjś zduszony okrzyk bólu, a zaraz potem odgłos upadku. Otworzyłem oczy, paroma wierzgnięciami pozbyłem się plandeki krępującej mi nogi i zacząłem się gramolić na zewnątrz, znieruchomiałem jednak, gdy zamiast Luki Brasiego czy innego z cyngli don Vita Corleonego zobaczyłem wijącego się na ziemi anioła-praktykanta Clarence'a.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – wyrwało mi się odruchowo. – Co wyprawiasz, baranie? Dlaczego mnie wsadziłeś do bagażnika?

Trochę to było nie fair wobec młodego Haraheliela, który nie miał teraz głowy, by odpowiadać na konkretne pytania.

Trzasnęły drzwi po stronie kierowcy. Chwilę później mym oczom ukazał się Garcia Windhover, znany też (chyba głównie sobie) jako „G-Man”, najmniej użyteczny człowiek wszechświata (z mojego punktu widzenia), jak zwykle kiepsko przebrany za gangsta-rapera. Tym razem uzupełnił wizerunek o czarną opaskę na oko, w której wyglądał mniej jak pirat, a bardziej jak dzieciak po usunięciu jęczmienia.

– O kurde! – skomentował inteligentnie scenę z powalonym Clarence'em. – Bobby, ziomie, czemuś to zrobił?

– Pytanie jest inne, ziomie – odparłem, z niesmakiem spoglądając na nadmiar chromu i spojlerów na jego bryce. – Czemuście mnie zapuszkowali, i to akurat w twoim gruchocie, co? Nawet martwy nie życzyłbym sobie tej wątpliwej przyjemności. No i skąd się tu wziął Clarence, co? Nie miał wiedzieć o tej sprawie.

– Potrzebowałem pomocy.

– I nadal będziesz potrzebował. Masz to u mnie jak w banku. To nie jego chciałem grzmotnąć w jaja. Bronilem się tylko przed porywaczami. Ale w twoim wypadku... – Zmierzyłem go tak groźnym spojrzeniem, że chłopak cofnął się o krok. – Ciebie zamierzam tłuc po klejnotach rodzinnych, aż się rozdrobnią na pyłek.

Wiecie, że autentycznie poczułem się po tym lepiej? Tak po staremu, jak ten dawny Bobby Dolar. Przysiadłem na chwilę na karoserii, a potem pomogłem Clarence'owi wstać. Z początku nie chciał, ale dał się przekonać i stanął przede mną zgięty wpół.

– Niech to lichu! – wyszczał. – Utrapienie z tymi ciałami! Jedno jądro mi chyba pękło.

Staliśmy na bocznej uliczce od Camino Real. Paru przechodniów musnęło nas podejrzliwymi spojrzeniami, biorąc nas pewnie za dzielących się łupem oprychów.

– Sorki, Młody – powiedziałem. – Naprawdę nie miałem pojęcia, że to ty. Wiedziałem tylko, że ktoś mnie zapakował w brezent i pewnie chce mnie utopić na bagnach albo coś w tym rodzaju.

– Wieźliśmy cię z powrotem do domu Garcii. – Clarence skrzywił się i przybrał urażoną minę.

– To znaczy do domu dziadka jego panienki? Tam, gdzie już przedtem byłem? Gdzie zostawiłem ciało na przechowanie, a on miał go pilnować, zamiast obwozić po mieście swoją okropną landarą niczym meksykańskie wyszywane koszule na pchli targ?

– Zdaje się, że Bobby się wkurzył – mruknął Garcia.

Bystry jak zawsze, nasz G-Man.

– Odrobinę – przytaknąłem. – Pewnie mi przejdzie. Teraz jednak wolałbym nie sterczeć tu na widoku, więc może byśmy tak wrócili do domku i wyjaśnili sobie pewne niejasności.

– Nie ma sprawy, ziom. Do tej pory pewnie już zwinęli namiot.

Okazało się, że willa nieboszczyka Walkera w Palo Alto, gdzie G-Man wraz z Posie koczowali od paru miesięcy, została wystawiona na sprzedaż. W ramach przygotowań pośrednik od nieruchomości poinformował dziewczynę, że budynek trzeba poddać fumigacji przeciwko termitom. Powinienem być wdzięczny niebiosom, że Garcii starczyło rozumu, by wpaść na to, iż solidna dawka pestycydu może źle wpłynąć na moje ciało, jednakże rozwiązanie znalazł adekwatne do swojej ogólnej głupoty. Kiedy stwierdził, że jestem za ciężki, by mnie targać w pojedynkę, postanowił zwerbować do pomocy Clarence'a – któremu, jak może pamiętacie, celowo nie pisałem ani słówkiem o moich planach – i razem owinęli mnie w tę plandekę, wynieśli z domu, zapakowali do gangstambilu i przetransportowali do Brittan Heights, gdzie Młody wynajmuje pokój. Minione parę dni spędziłem w szopie na narzędzia, do której gospodarze Clarence'a ponoć nigdy nie zaglądną. Najmłodszy z aniołków miał przynajmniej dość sprytu, by sprawiać wrażenie zakłopotanego.

– W szopie, powiadasz? Znaczą cisnęliście mnie pod ścianę między motyki i grabie, na pastwę pajaków i stonóg?

Zdaję sobie sprawę, że zachowywałem się nieprzyjemnie, ale na razie nic mnie to nie obchodziło. Może to skutek uboczny długiego turnusu na mękach w Piekło, *all inclusive*.

– Nie! – Clarence aż się wzdrygnął. – Położyłem cię na starym stole bilardowym, Bobby. Trochę tam rozgarnąłem stare bambetle i obłożyłem cię kartonami. Leżałeś całkiem wygodnie. I nie widziałem tam ani jednego pajaka czy stonogi.

– Dzięki. Dobrze wiedzieć, że tak o mnie zadbano.

– To niepotrzebna złośliwość, Bobby. – Młody zmarszczył czołko. – Już mi przyłożyłeś w jądra.

– Fakt. – Wyjąłem z lodówki piwo; lichy cienkusz popularny ongiś wśród braci robotniczej tylko ze względu na przystępną cenę, dziś utrzymujący się na rynku głównie dzięki wytatuowanym sentymentalistom z motocyklami ze średniej półki. Lepsze to jednak niż brak piwa, choć raptem o parę punktów. – Sorki raz jeszcze, Clarence, naprawdę szczerze. Działalem w samoobronie, zdezorientowany i półprzytomny, może nawet w szoku pourazowym. Posklejaj to sobie w jakąś wymówkę, z którą łatwiej ci będzie żyć.

W odpowiedzi obdarzył mnie tym swoim spojrzeniem ni to skrzywdzonego szczeniaczka, ni to wkurzonego starszego brata. Musiałem mu zaufać, przynajmniej do pewnego stopnia, choć wcale mi się to nie uśmiechało; trudno jednak nie lubić faceta tak podatnego na złośliwość.

– To... co właściwie robiłeś, Bobby? – spytał już łagodniejszym tonem.

– Wariackie rzeczy. Nie próbuj tego w domu – odrzekłem. – Mówię poważnie. Coś, czego nikomu nie radziłbym naśladować. Jedźmy poszukać czegoś dobrego do żarcia, to ci opowiem, ile mogę.

– Pojedziemy moim wozem? – wtrącił Garcia.

– Ciebie zaproszenie nie obejmuje – zwróciłem się do niego.

Wystarczająco trudno będzie mi gadać z Clarence'em, który przynajmniej wie, że jestem aniołem jak i on. Za żadne skarby nie włączyłbym do tej dyskusji cywila, a tym bardziej kogoś takiego jak G-Man.

Zmieniłem jednak zdanie na widok jego miny szkolnej ofermy, zmuszonej po lekcji wuefu zapłacić kolegom za przywilej gry w drużynie, do której wkręcił go nauczyciel. Żał mi się go

zrobiło.

– No dobra, Windhower, masz rację. Winien ci jestem co najmniej kolację. Wprawdzie potraktowałeś mnie jak dziczyznę ubitą na szosie, ale jakoś to zniósłem.

Kiedyś tam opracuję sobie jakąś zdezynfekowaną, strawną dla normalnych ludzi wersję moich przygód, ale do tego potrzebne będzie ładnych kilka szklaneczek mocnego trunku, zanim w ogóle sobie wyobrazę, jak miałyby wyglądać. Potem, gdy już załatwię kwestię przeprosinowyjaśnień, wezmę się do właściwej roboty: wyrwania Caza ze szponów Eligora. Nie, o tym nie zapomniałem nawet na sekundę, zwłaszcza że teraz miałem na sobie swoją marynarkę – tę ze złotym piórem w magicznej kieszeni należącej do innego continuum czasoprzestrzennego. Arcyksiażę nie kłamał, mówiąc, że nie mógł jej znaleźć, bo w przeciwnym razie nigdy by mnie nie wypuścił z Piekła.

– A następnie, mój Clarensie, możesz mnie odwieźć do mej uroczej garsoniery... jeśli mój gospodarz już jej nie wynajął jakiemuś stukniętemu damskiemu bokserowi... i po drodze pogadamy o sprawach firmy – dodałem.

– Dla mnie okej – skwapliwie zgodził się Garcia. – Ta chińska knajpka przy Whisky Gulch może być?

– Jasne. Ale jeden warunek, G-Man. Jeśli chcesz się kręcić przy mnie w miejscach publicznych, wyrzuć tę opaskę na oko.

Za bardzo mi przypominała małego Tica, pomagiera Połamańca. Dzieciak nie nosił jej dla wygłupu, tylko skrywał pod nią coś drastycznego.

– Ale to na cześć Slick Ricka!

– Który całkowicie by się ze mną zgodził. Choćby dlatego, że on naprawdę nie ma oka, a ty masz.

Garcia lekko nadąsany zgodził się wyzbyć najnowszego dodatku do garderoby. Cisnęło mi się na język, że nawet bez niej świetnie by pasował do otoczenia w Pandemonium, ale pewnie by to przyjął jak komplement.

Czterdzieści pięć Wśród swoich



Jeśli ktoś mnie zapytał, co bym przede wszystkim zrobił, gdybym trafił do Piekła i udało mi się stamtąd uciec, w życiu bym nie wpadł na to, że zacznę od kurczaka z orzechami i smażonego ryżu. Tak jednak wyszło.

Za to drugą w kolejności czynność przewidziałbym bez pudła: gdy tylko dotarłem do własnego mieszkania, które pod moją nieobecność nic a nic nie zyskało na przytulności, od razu zaaplikowałem sobie długi, długi prysznic, a potem rzuciłem się na łóżko i spałem czternaście godzin bez przerwy. Obudziwszy się, z rozkoszą stwierdziłem, że nadal znajduję się w San Judas i obleczony jestem w zwyczajne (a przynajmniej niedemonie) ciało. Dzień zacząłem od gorącej kąpieli ze śpiewem na ustach – najpierw parę standardów Dinah Washington, na finał brawurowo i pełną piersią wykonane *Don't Get Around Much Anymore* – czym skłoniłem mojego sąsiada o drewnianym uchu do walenia w ścianę. Uznałem jednak, że prawdziwy talent krytyk się nie boi, i go po prostu olałem. Jeśli kogoś z was dziwi, że wstałem taki cały w skowronkach, to mi powiem: spokojnie, noszę w psyche sporo świeżych blizn, a zaczynu na nocne koszmary starczy mi na stulecia – ale trudno się nie cieszyć, skoro wreszcie sprawy zaczynały się układać po mojej myśli. Nie jestem aż takim idiotą, by zakładać, że wymiana złotego pióra za Caz przebiegnie tak gładko, jakbym nie miał do czynienia z sadystycznym kłamcą i psychopatycznym diabłem z wyższych sfer piekielnych. Uspokajała mnie świadomość, że Eligor równie mocno pragnie czegoś, co mam w posiadaniu, jak ja więzionej przezeń mojej dziewczyny – i na początek to mi wystarczało.

Wybrałem numer centrali w Vald Credit i powoli piąłem się po drabinie firmowej hierarchii, rzucając nazwiskami i kłamstewkami, aż w końcu przełączono mnie do osobistej sekretarki Eligora. Mówiła z angielskim akcentem, co przypomniało mi Caz i stosownie przyspieszyło rytm mego serca.

- Kim pan jest? – spytała (według mnie dość obcesowo).
- Nazywam się Bobby Dolar. Pani szef mnie zna.
- Czyżby? Ja nigdy o panu nie słyszałam.

Wyglądało na to, że chce mnie wyprowadzić z równowagi. Parę tygodni temu może by się jej to udało, ale nie teraz, z Aniołem Który Przeszedł Piekło. Przyszła mi do głowy zabawna myśl: ciekawe, czy potraktowałaby mnie inaczej, gdyby wiedziała, że to ja zastrzeliłem jej poprzedniczkę, a potem pomogłem jej wyjść przez okno na czterdziestym piętrze. Może okazałaby wdzięczność za stworzenie waku?

– To bez znaczenia, kochana – powiedziałem. – Po prostu przekaz szefowi, że dzwoniłem. Wróciłem do miasta i jestem gotów na wymianę.

– Taa, wymianę... Jasne. – Udawała nieporuszoną, zdradziła ją jednak wyraźna pauza.

– Powiedz mu, że on wybiera czas, a ja miejsce. Wszystko ładnie i miłusio, bez żadnych sztuczek.

– Pysnie. Przekażę panu Valdowi – odrzekła i odłożyła słuchawkę.

Ładna mi sekretarka, która tak impertynencko traktuje znajomych bossa... Inna rzecz, że nie tak dawno ów boss zajęty był podpalaniem moich neuronów, więc niegrzeczność nie była przesadna. Kto wie zresztą, czy to nie ta sama demonica, którą ukatrupiłem po zaciętej walce,

poddana recyklingowi i aktualizacji oprogramowania?

Teraz potrzebne mi było bezpieczne miejsce wymiany. W pojedynkę nie mógłbym tego załatwić, nawet gdyby Eligor naprawdę zamierzał dotrzymać umowy – czego nie przyjmowałem za pewnik. Musiałem poszukać pomocy.

Zadzwoiłem na numer, który podał mi Sam, i nagrałem wiadomość, po czym zająłem się kolejnymi punktami programu. Wpadłem do baru „Pod Cyrklem”, by się spotkać z kumplami aniołami, i nagadałem im niestworzonych historii na temat mojej trzytygodniowej nieobecności. (Ano, okazało się, że tylko tyle to wszystko potrwało. Mówiłem już, że w Piekło czas płynie inaczej niż na Ziemi. Potrafią tam upchnąć wiek cierpienia w dwadzieścia parę dni). Ponieważ po tak długim czasie w płóciennym opakowaniu byłem blady jak personalna z młyna, zapodałem im, że wybrałem się w odwiedzin do przyjaciela w Seattle. Monica, która знаła mnie najlepiej (odkąd zabrakło Sama), przyjęła to opowiadanko z pogardą, na jaką zasługiwało, ale nie dopytywała się o szczegóły. Przypuszczalnie uznała, że musiałem się gdzieś zadekować z jakąś nową flama. Ja za to miałem do niej kilka pytań, odczekałem z tym jednak, aż zostaliśmy na kilka minut sami przy stoliku. (Młody Elvis i Ted Nebrasca zaczęli się siłować na rękę przy barze i cała wiara sobie z nich pokpiwała).

– Co z Waltem Sandersem? – spytałem cicho. – Dał jakiś znak życia?

Wiedziałem oczywiście, że nie dał, skoro służy za ochmistrza na *Zrzedliwej Jędy*, żeglujecie po rzekach Piekła i szerzy Dobrą Nowinę Oczekujących, byłem jednak ciekaw, co inni sądzą o jego zniknięciu.

– Nie, nikt nic o nim nie słyszał. – Monisia wyglądała na zaniepokojoną. – Pytałam Muła, ale zbył mnie gładkim zdankiem o transferze do innego wydziału. Cholery można dostać, zanim się wydusi z Domu jakąkolwiek informację.

– Amen – przytaknąłem.

No tak, Temuel. Będę musiał z nim wkrótce porozmawiać. Należał mu się przynajmniej jakiś oględny raport z mojego pobytu na Dole; w końcu to on najbardziej pomógł mi się tam przeszwarować (i stamtąd wydostać), a i ja potrzebowałem od niego wyjaśnień.

– A ty, mała, jak się miewasz? – Popatrzyłem na nią ciepło.

Chciałem, by to zabrzmiało po prostu przyjaźnie. Wiele razem przeszliśmy, a choć większość tego czasu strawiliśmy na unikaniu prawdziwego związku, to nie była jej wina. Jednakże gdy tylko słowa wyfrunęły mi z ust, Monica poruszyła się niespokojnie i umknęła oczyma gdzieś w bok.

– W porządku na ogół, a co? Zwykle mnie o to nie pytasz, Bobby.

– Sorki, nie zamierzałem łamać żadnych zasad...

Nie dane mi było dokończyć myśli, gdyż w tej chwili drzwi baru się otworzyły z rozmachem i ku powszechnemu zaskoczeniu do sali wkroczył nie kto inny jak mój drogi stary przyjaciel Sam Riley. Omal nie spadłem z krzesła na jego widok.

Monica zerwała się z stolika i rzuciła mu na szyję. W kilka sekund niemal wszyscy bywalcy stłoczyli się wokół niego jak rój pszczoł podekscytowanych mającym się rozpocząć lada moment tańcem miodu. Sam śmiał się, ścisnął dłoń za dłonią, z gracją nawet pozwalał się obejmować i klepać po plecach, co do niego niepodobne. W końcu krzyknął do Chica o piwo imbirowe i dał się przyprzeć do baru w krzyżowym ogniu pytań kolegów.

Barman wyglądał na równie zdumionego jak ja, ale wstrzymał się od komentarzy i pilnował, by szklanka Sama była wciąż pełna. Byłem pewien, że oprócz mnie tylko Clarence wie, iż Samariel oficjalnie jest zdrajcą Nieba. Jego efektowne wejście tak mnie zaskoczyło, że zapomniałem języka w gębie. Co on wyprawia? Czy to ma być jakaś prowokacja?

Trzymałem się na uboczu, gdy Sam nawijał jakąś legendę na użytek Całego Pokręconego

Chóru, dając do zrozumienia, że wykonuje jakąś ściśle tajną misję (co nasuwało kwestię, po kiego grzyba się w takim razie dekonspiruje, przychodząc tutaj, nikt jednak nie próbował podjąć tego wątku). Demonstrując brak zainteresowania własnym bezpieczeństwem, mój druh spędził w barze całą godzinę i odpowiadał na niezliczone pytania (kłamiąc przy tym w żywe oczy), jakby wszystko było po dawnemu. Pod koniec tego przedstawienia przysunął się wreszcie do mnie, udrapował swoje wielkie łapsko na moim ramieniu i zaproponował wspólne wyjście na późną kolację.

Klientela „Cyrkla” ustawiła się w kolejkę do pożegnania, jak gdyby mieli przed sobą archanioła na wizytacji. Wymuszali obietnice częstszych odwiedzin, przywoływali wspomnienia i namawiali do udziału w paru nadchodzących imprezach, jakich nigdyś za nic by nie pominął. Sam ze śmiechem zgadzał się na wszystko, ale tym razem chyba wszyscy wiedzieli, że to pic na wodę. Może nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistych powodów jego zniknięcia, ale jego niespodziewany powrót miał wszelkie cechy krótkiej wizyty kogoś, kto przeszedł do nowego etapu i już się w przeszłość nie ogląda.

Gdy tylko wyszliśmy, zastąpiłem mu drogę.

– Człowieku, co ty wyprawiasz? Paradujesz po „Cyrklu” jakby nigdy nic? A gdybyś tak wpadł na Clarence’a? Smarkacz znów by cię próbował aresztować!

– Wiedziałem, że go nie ma. A co się tyczy mojego paradowania, potraktuj to jako część planu dezorientowania naszych władz.

– Jakich „naszych władz”? Zapomniałeś, że wciągnęli cię na listę wrogów publicznych?

– Wiesz, stary, ja mówiłem poważnie o tej kolacji. – Sam się rozejrzył w lewo i prawo wzdłuż Main Street. – Porządnie zgłodniałem. Jak się żyje w kieszonkowym wszechświecie bez śmiertelnego ciała na sobie, to się naprawdę tęskni za zarcieciem. Czy ta koreańska knajpka na skraju dzielnicy hiszpańskiej dalej działa nocami?

– „Bee Bim Bop”? Chyba tak.

Doszliśmy tam spacerkiem. Wejście blokował tłumek hipsterów, ale mimo że to piątkowy wieczór, nie musieliśmy długo czekać na stolik. Pierwszy prawdziwy, zimny browarek po powrocie wiecie skąd smakował tak, jak sobie marzyłem przez te długie tygodnie. Piekielnym piwem możesz się ubzdryngolić o wiele szybciej niż ziemskim, ale w smaku lepsze od niego byłyby nawet mydliny, w których dopiero co wykapał się spocony grubas.

Zamówiłem danie noszące tę samą nazwę co restauracja, do tego ryż smażony z mięsem i jajkiem. Sam wziął jakąś nieokreśloną zupę i zestaw mocno pikantnych potraw. Przez dobre pół godziny jedliśmy i piliśmy w milczeniu. Dopiero po drugim piwku język mi się trochę rozwiązał i zacząłem opowiadać. Najpierw o spotkaniu z Temuelem przy Muzeum Przemysłu, potem kolejno o wszystkim – oczywiście w wersji mocno skróconej, bo inaczej utknęlibyśmy tam na kilka dni.

– Cóż, Bobby, nie chcę mówić, że cię uprzedzałem, więc powiem tylko tyle: kretyn z ciebie.

– Pokręcił głową z z troskaniem. – Ostrzegłem cię, żebyś się tam nie pakował.

– Ostrzegałeś i masz za to plus. Ale i mnie się należy uznanie, bo musiałem się cholernie napracować, żeby twoich ostrzeżeń nie posłuchać. – Odchyliłem się na oparcie i gestem zamówiłem jeszcze jedno sapporo. Wskazówki zegara ściennego zbliżały się do północy. Byliśmy już jedynymi gośćmi na sali, ale nachyliłem się do Sama i zniżyłem głos do szeptu. – Powiem ci coś, mój chłopcze. To pewnie głupie... – Piwo uderzało mi już do głowy. – Ale pieprzyć to. Nie mogę się z tym wszystkim pogodzić. Z całym tym systemem. Piekło. Niebo. To trzeba zobaczyć i przeżyć, stary. To straszne, ale oni tam są żywi, kapujesz? Robią coś, kombinują, planują, wiążą koniec z końcem. Psiakrew, pod pewnymi względami Piekło się niewiele różni od San Judas.

– Mógłbym ci to samo powiedzieć, choć nosa stąd nie wyściubiłem.

– Ja mówię poważnie.

– Wiem. – Sam się uśmiechnął. – I wiem też, że jutro rano pomyślisz, żeś mi przekazał bardzo ważną wiadomość. Ale zapamiętaj sobie i powtórz głośno, gdy będziesz sikał tym japońskim piwem: ja już wcześniej do tego doszedłem.

– Że co?

– Jak myślisz, dlaczego postanowiłem wypowiedzieć robotę naszej świetlanej korporacji? Dlaczego żyję jak banita w dziurze wydłubanej w rzeczywistości, którą i Niebo, i Piekło ochoczo by rozwały w drebiezgi, gdyby tylko ją znaleźli? Otóż dlatego, Bobby, mój chłopcze, że dłużej nie mogłem już w tym gnoju wytrzymać. Kto wie, może szefostwo ma rację? – Sam zmarszczył brwi. – Może jednak nie kłamię i naprawdę tylko złem dobro może zwyciężyć zło? Może wyłamując się z tej naszej zimnej wojny, wpakuję ciebie i innych w kłopoty, kiedy zabrzmia trąby i zmarli powstaną z grobów na chwałę Pańską? – Twarz miał czerwoną, jakby jego zielona herbata zaprawiona była spirytusem, po chwili jednak uzmysłowiłem sobie, że to innego rodzaju rumieniec: oznaka głęboko odczuwanego gniewu. – Ale wiesz co? Nie dawałem już rady. Nie mogłem dłużej sprzedawać ludziom idei, w którą sam nie wierzę. Jeżeli kiedykolwiek dojdiesz do podobnego wniosku, Bobby, to... daj mi znać.

Patrzyłem na niego szeroko rozwartymi oczyma i nie poznawałem starego przyjaciela. Wiedziałem o jego zmianie przekonań, o decyzji, by pójść za nowymi i dołączyć do Trzeciej Drogi – kurde, wytarzał mnie wręcz w swoich poglądach tamtej nocy w parku Shoreline – ale nigdy naprawdę w to nie uwierzyłem. Traktowałem to chyba jak przelotną fanaberię polityczną, coś jakby komercyjny muzyk nagle zapragnął grać tylko kawałki etniczne. Tylko że to nie była fanaberia. A im dłużej nad tym myślałem, tym większego wszystko nabierało sensu.

Nie mogłem sobie pozwolić na dłuższe rozmyślania.

– Ładnie pięknie, stary, ale na razie potrzebuję od ciebie czegoś bardziej konkretnego. – Obejrzałem rachunek i wyłożyłem na stół dwie dwudziestki i dychę. – Tak jest, ja stawiam, ale będziesz musiał to odpracować. Muszę mieć dobre miejsce na wymianę. Jakies sugestie?

– Wymianę z Eligorem? – Pokręcił głową. – Oczywiście, że z nim. Jasne. – Umilkł i zaczął palcem rysować kółka w rozlanej herbacie. – Tak od ręki powiedziałbym, że powinieneś wybrać miejsce publiczne... Ale po zastanowieniu nie jestem już taki pewny.

– Dlaczego?

– Bo ktoś mógłby cię rozpoznać. I tak już stąpasz po cienkim lodzie, jeśli chodzi o Dom. Tylko im trzeba raportu, że wchodzisz w konszachty z arcyksięciem Piekła, a Głęboki Audyt miałbyś jak w banku.

Innymi słowy, moją duszę rozłożyliby na czynniki pierwsze tak zwani majstrowie – byty anielskie wyższego rzędu, wyspecjalizowane w takich sprawach – i wszystko, co kiedykolwiek czułem, myślałem, mówiłem i robiłem, zostałyby dostarczone niczym wyciąg bankowy Eforatowi, którego co najmniej jeden członek prawdopodobnie jest moim zaprzysięgłym wrogiem. Wieść gminna niesie, że niebiańscy spece od przesłuchań są równie dociekliwi i sprawni jak ci z Piekła, tylko trochę subtelniejsi w działaniu.

– W takim razie gdzie? – spytałem.

– Nie wiem. Coś wykombinuję i zadzwonię. – Sam wstał i ruszył do wyjścia. – Mam tu parę spraw do załatwienia, ale będę myślał o tobie.

– Parę spraw?

– Jezu, Dolar, nie jesteś moim jedynym kumplem w tym mieście, nie? – Wyjął wykałaczkę z pojemniczka na ładzie. – Ale pewnie żaden inny nie pisałby się na koreańskie specjały tuż przed północą, więc dla ciebie się ekstra postaram i znajdę odpowiednią lokalizację, która

zwiększy twoje szanse przeżycia. Myślę nawet, że najlepiej będzie, jak się z tobą wybiorę na to zadanko.

Dokończyłem piwo i zrównałem się z Samem już na ulicy.

– Ostatnie parę razy, kiedy się ze mną wybrałeś na zadanka, omal nie zginęliśmy obydwaj, i to w paskudny sposób. Postarajmy się teraz lepiej, co?

– Na pohybel naszym wrogom! – Odsalutował mi wymaginowaną szklanica.

– Jasne.

Ruszyłem za nim, lecz powstrzymał mnie wymownym ruchem dłoni.

– O mnie się nie martw – powiedział. – Mówiłem ci, że mam jeszcze to i owo do załatwienia. Zadzwoń do ciebie najpóźniej jutro.

Patrzyłem, jak odchodzi z rękoma w kieszeniach, lekko zgarbiony. Zrobiło się zimno i już się zacząłem zastanawiać, czyby nie wrócić do „Cyrkla” na coś mocniejszego, kiedy tuż za plecami usłyszałem ciche chrząknięcie.

Odwróciłem się jak oparzony. W jaskrawym świetle bijącym z okien restauracji stała jakaś stara Latynoska. Wyciągnęła do mnie rękę z bukietem rachitycznych goździków związanych recepturką.

– Nie, dzięki – rzuciłem odruchowo.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie sam się wystawiłem, wyłażąc w nocy na pustą ulicę bez zachowania elementarnej czujności. Ledwo o tym pomyślałem, stwierdziłem, że gdzieś już tę kobietę widziałem – tylko że wtedy nie była kobietą. W jej twarzy było coś znajomego, ale nie bardzo wiedziałem co.

– Nie kupisz kwiatków od miłej staruszki, Bobby? – Uśmiechnęła się szeroko, ukazując autentycznie wyglądający rezultat wieloletnich starań małomiasteczkowej meksykańskiej stomatologii. – To może się chociaż przejdziemy?

Dłoń sama wsunęła mi się pod marynarkę w poszukiwaniu kolby wiernej belgijskiej efenki, zanim zrozumiałem, z kim mam do czynienia.

– Temuel? – szepnąłem. – To ty?

– Jam ci jest. – Archanioł skinął głową i poprawił wzorzystą chustę. – I naprawdę mam ochotę na spacer.

Czterdzieści sześć

Najzabawniejszy rasista, jakiego znam



Dochodziła północ, ale ruch na Camino Real był wciąż spory. Szliśmy z Mułem na południe, mijając kluby i sklepy monopolowe, jakich nie brakowało w tej eklektycznej dzielnicy między Spanishtown a bogatymi alejami Atherton. Za nami zostawały kolejne przecznice, lecz mój szef nie spieszył się z podjęciem rozmowy. Ja tymczasem się zastanawiałem, na jakim gruncie teraz obaj stoimy. Przede wszystkim musiałem mu zdać sprawę z misji, którą mi zlecił, i z jej skutków. Zamierzałem też oględnie napomknąć o innych rzeczach – na przykład o nowej posadzie Walta Sandersa na piracko-misjonarskim statku Riprasha. Były jednak tematy, których wolałbym uniknąć, jak choćby kwestie Caz albo Śmiszka – zwłaszcza zaś moje coraz bardziej ugruntowane przekonanie, że morderca działał z rozkazu Anaity, było nie było jednej z przełożonych samego Temuela.

Kiedyś chciałbym pogadać sobie z kimś, kto nie ma żadnych sekretów ani ukrytych motywów – ot tak, by się przekonać, jak to jest. Założę się, że to musi być fajne życie, a na pewno mniej wyczerpujące od wszystkiego, co mnie zwykle spotyka.

To zapewne przypadek, ale Muł zaczął mówić akurat w chwili, gdy przechodziliśmy obok kościoła episkopalnego. Wewnątrz płonęły światła, ale wydobywający się na ulicę jazgot odkurzacza i zaparkowany nieopodal furgon z logo firmy sprzątającej świadczyły, że to nie późna msza.

– Cieszę się, że wróciłeś, Bobby. Martwiłem się o ciebie.

– Dzięki. To tak jak ja.

– Udało ci się doręczyć moją wiadomość?

– Owszem. – Opowiedziałem mu całą historię mojej znajomości z Riprashem. No, prawie całą; na razie opuściłem wątek Sandersa i nie zagłębiałem się w szczegóły mojego własnego programu przed i po przekazaniu Temuelowego hasła. Bractwo Oczekujących wywarło jednak na mnie wielkie wrażenie i czułem, że archaniołowi należy się bliższa o nich relacja. – Czy bardzo bym się pomylił, zakładając, że szef też miał okazję pozwiedzać sobie Dół?

– Byłem tam, ale nie mogę o tym mówić.

Tym mnie zaskoczył: archanioł, który mówi prawdę bez owijania jej w grubą warstwę czesanej bawełny?

– Pozwól, że teraz ja zadam ci pytanie, Bobby. Te wierzenia Oczekujących... Jak myślisz, czy Riprashowi uda się je rozkrzewić?

Nie wiedziałem, czy cała ta akcja misyjna była własnym projektem Temuela, czy może częścią strategii Nieba, odpowiedziałem mu jednak tak, jak sam to widziałem:

– System jest tam tak mocno ustawiony przeciwko podobnym inicjatywom, że w tej kwestii nie mogę błysnąć optymizmem. Jeżeli jednak ktokolwiek potrafi coś zdziałać, to właśnie on. Jest silny jak tur, bystrzejszy ponad średnią piekielną, a do tego ma naprawdę dobre serce jak na demona.

Temuel skwitował to skinieniem głowy i zerknął na swoją komórkę. Uzmysłowiłem sobie nagle, że robił to już kilka razy.

– Szef czeka na telefon?

– Nie, sprawdzam tylko, czy nie ma sygnałów z naszych aparatów służbowych. – Muł

parsknął śmiechem. – I właśnie jeden się pokazał w pobliżu.

Nie znalazłem go od tej strony. Zupełnie jakby twój własny, poczciwy stary dziadek nagle przemienił się w Q z filmów o Bondzie.

– Czyżby szef się obawiał inwigilacji?

– Już raczej wpadnięcia na kogoś z twoich kolegów.

Popatrzyłem na niego, z trudem wstrzymując się od śmiechu.

– A co byłoby w tym złego? – spytałem. – Zobaczyliby mnie z jakąś meksykańską przekupką z bodegi na rogu. Jak mieliby pana rozpoznać?

Muł zmierzył mnie lekko zawiedzionym spojrzeniem, jakbym oblał egzamin.

– Ostrożność nigdy nie zawadzi, aniele Doloriel.

Przyszło mi do głowy, że poza dyskretną wycieczką do Piekła i tymi naszymi nieoficjalnymi spotkaniami „w terenie” Muł pewnie rzadko wyściubia archanielski nos poza Miasto Niebieskie.

– Jasne, szefie, pan wie najlepiej. Pora jednak, abyśmy pogadali na inne tematy.

Opowiedziałem mu o spotkaniu z Waltem Sandersem. Temuel wysłuchał wszystkiego bez komentarza i na koniec spytał tylko, co Walter zapamiętał z procesu transformacji od adwokata na Ziemi do buchaltera w Piekło.

– Praktycznie nic – odrzekłem. Ani słowem nie wspominałem, ma się rozumieć, o działaniach Śmiszka na Dole i moich podejrzeniach co do roli Anaity. Najprawdopodobniej Muł jest po mojej stronie, rozumowałem; prosty archanioł tak jak i ja nie ma prawa do samowolnych konszachtów z Przeciwnikiem. Wody niebiańskiej polityki są jednak dla mnie zbyt mętne nawet w najlepszych czasach, a ostatnie miesiące zabełtały je tym mocniej. – Cała ta afery to jedna wielka zagadka, szefie. Logika podpowiada, że wtedy koło „Cyrkla” to na mnie się czaił ten zbój z bagnetem, ale dostało się Sandersowi. I jakby tego było mało, chłop znika bez śladu, a chwilę potem odnajduje się w Piekło z ciężką amnezją.

– Watriel rozmawiał z tobą, kiedy to się stało – zauważył przytomnie Muł. – Może ktoś nie jego, tylko ciebie chciał tam posłać?

Sam byłem tego zdania, dopóki nie usłyszałem z ust Walta tego jedyne okrucieństwo informacji, jaki zapamiętał, mianowicie wspomnienie słodkiego dziecięcego głosu pytającego o Bobby’ego Dolara. W tym pierwszym ataku Śmiszka faktycznie mogło chodzić o moją sprawę, ale celem – teraz już miałem pewność – był właśnie Sanders. Tym też się nie podzieliłem z Temuelem. Cholera, mieć taką komitwę z archaniołem i nie móc tego w pełni wykorzystać! Frustrujące. Inna rzecz, że ci, co mnie trochę znają, ani chybi powiedzieliby: Wszystko dobre, co ściąga cugle Bobby’emu D. Może pora się wreszcie nauczyć trzymać dziób zamknięty, za to oczy i uszy otwarte.

– No to gdzie teraz jesteście, szefie?

Temuel podniósł wzrok znad komórki i rozejrzał się wokół.

– Zdaje się, że dochodzimy do Oakwood Road.

– Tyle to sam widzę. Chodzi o to, na czym obaj stoimy? Cała ta sprawa jest kompletnie zwariowana, a i tak wiele rzeczy przemilczamy, jak choćby źródła pana wiedzy o Dole albo to, po cholere ja się tam tak pchałem.

– Ufam ci, Bobby. I mam nadzieję, że z wzajemnością.

Miałem mu odrzec, że nie ufam już nikomu?

– Jasne, szefie. Ufam panu tak samo, jak pan mnie.

– To dobrze. – Ujął mnie pod rękę. – Myślę, że powinniśmy na razie zostawić wszystko tak, jak jest...

W tej chwili zapiszczały hamulce i tuż przy nas zatrzymał się samochód. Tym razem zdążyłem do połowy wyszarpnąć efenkę z kabury, kiedy zorientowałem się, że znam to rasowe

błękitne camaro z dwoma białymi paskami na masce; w następnej sekundzie zobaczyłem profil kierowcy zdobny w największą kretyńską ikebanę z kruczoczarnych włosów, jaką w życiu widziałem.

– Hej, Bobby! – wrzasnął Młody Elvis. – Co to za laleczkę poderwałeś?

Przegazował silnik, który odpowiedział głębokim basem, jakiego nie powstydzilaby się wyścigowa motorówka szefa dystrybucji kartelu narkotykowego w Miami. Musiałem przyznać, że to piękna maszyna. Elvis może jest cymbałem, ale to jedyny znany mi anioł, który się zna na autach.

– A ciebie jakie wiatry przywiały w te strony? – spytałem, nieznacznie odsuwając się od Temuela.

Elvis przyjrzał mu się badawczo i zrobił pocieszoną minę.

– Ty na poważnie, Dolar? Umawiasz się na randki z własną sprzątaczką czy co?

– Jesteś najzabawniejszym rasistą, jakiego znam. – Oparłem się łokciem o dach chevroleta i nachyliłem do okna. – Dostałeś klienta?

– Właśnie zakończyłem sprawę. Dobry chłop był, nie powiem. Zleciał z dachu. Pół dzielnicy się zeszło i płakało. A ty co tu porabiasz? I z kim?

– Chodzi ci o tę kobietę? To tylko biedna stara bezdomna. Zagadała do mnie, to i rozmawiamy.

– Naprawdę? – Młody wyszczerzył kły w uśmiechu. – Znaczący nie podrywasz jej? Bo z daleka wygląda to na dużą zażyłość.

Normalnie, gdy zaczyna być tak irytujący, poświęcam parę chwil na wytłumaczenie mu, dlaczego ma tak duże szanse na tytuł Anielskiego Dupka Roku czy czegoś w tym rodzaju – teraz jednak zależało mi tylko na tym, by się jak najszybciej zmył.

– Taa, jasne. Podobno przypominam jej syna. Po prostu staram się zachowywać uprzejmie. Sprawdź sobie w naszym podręczniku, ale wydaje mi się, że takie właśnie powinny być anioły.

– Może takie, które są cipami. – Elvis potrząsnął imponującą grzywą i znów parokrotnie nacisnął pedał gazu. – No dobra, nie będę ci przeszkadzał w zbożnym dziele. Powiem wszystkim w „Cyrklu”, żeby się ciebie przez jakiś czas nie spodziewali, bo jesteś zajęty pocieszaniem biednych, grubych i napalonych.

To rzekłszy, ruszył z piskiem opon, pomachał mi jeszcze na pożegnanie i zniknął w dali. Nie jest z nim tak źle, naprawdę. Na pewno nie chce być takim głupim kutasem, tylko samo mu jakoś tak wychodzi. Tak już go Bóg zaprojektował.

Wróciwszy do Temuela, od razu wyczułem, że jest podenerwowany. Powiedział, że wkrótce znowu pogadamy i że nigdy, przenigdy nie będziemy o tych rzeczach rozmawiać w Niebie, a jedynie tutaj i tylko wtedy, gdy nikt nas nie będzie mógł podsłuchać. Potem powoli się rozpląnął w powietrzu.

Dopiero po powrocie do domu zauważyłem, że przez cały ten czas miałem wyłączony telefon. Włączyłem go szybko i po chwili odebrałem pocztę głosową od Sama, w której podpowiadał miejsce spotkania z Eligorem. Ledwo ją odsłuchałem – dzwonek. Sprawdziłem numer na wyświetlaczu: zastrzeżony. Wcisnąłem klawisz odbioru i rzuciłem, nie czekając na pierwsze słowa rozmówcy:

– Tak, dostałem twoją wiadomość.

– To jestem pod wrażeniem – odezwał się arcyksiążę Eligor Jeździec. – Tym większym, że żadnej ci nie zostawiałem. Masz, czego mi potrzeba?

Zamarłem. Kiedy ostatnim razem słyszałem ten głos, jego właściciel akurat skończył mnie torturować na wszelkie możliwe i niemożliwe sposoby i rzucił mnie na pastwę Nilocha i jego ogarów piekielnych. Nie zdziwi was zatem, że serce zabiło mi szybciej, a na podniebieniu

poczułem słonawy smak krwi.

– Tak, mam to – potwierdziłem. – Już mówiłem o tym twojej sekretarce. Kiedy chcesz się spotkać?

– A którą mamy? Pierwszą nad ranem? Spotkanie za godzinę, tylko powiedz gdzie.

– Za godzinę? – Bardzo wprawdzie pragnąłem jak najszybciej wyrwać Caz z jego łapsk, nie wiedziałem jednak, czy zdążę złapać Sama na czas, a bez niego nie mogłem wydobyć pióra z magicznej kieszeni. – To będzie trudne.

– Tak? A ja myślałem, że ci pilno położyć ręce... na towarze. – Roześmiał się. Jakże chciałbym móc sięgnąć na drugą stronę telefonu i grzotnąć go z piąchy w ryj. – Okej, Dolar, ty tu rządzisz. Jeśli chcesz poczekać, to...

– Dobra, może być za godzinę – wszedłem mu w słowo. – Bądź na ostatnim piętrze parkingu naprzeciwko Czterdziestego Pirsu. To ten koło...

– Koło przystani promowej, wiem. Będę czekał. Ciao!

Nic nie mówcie. Wiem, że dałem się sprowokować, ale w zasadzie byłem gotowy, jeśli nie liczyć konieczności odszukania Sama. Uznałem, że jeśli pozwolę Eligorowi myśleć, że ma przewagę, lepiej sobie z nim poradzę.

Że co? Że on faktycznie ją miał, ja zaś okazałem się pieprzonym idiotą, dając mu się tak poganiać? Pogadamy o tym innym razem, kiedy nie będę tak zajęty puszczaniem podobnych uwag mimo uszu.

Ku mej ogromnej uldze Sam odebrał telefon, gdy doń zadzwoniłem, i nadal znajdował się po mojej stronie lustra, nie musiałem więc odwoływać spotkania. Obiecał zjawić się punktualnie.

– Jesteś pewien, że Czterdziesty to dobre miejsce na taką akcję?

– A skąd mi to wiedzieć? Sądzę jednak, że lepszego nie znajdziemy. Tylko myśl pozytywnie. Spotkamy się za dziesięć pierwsza na parking przy „Wimpy’s Steamers”.

– Dobra – odrzekłem i rozłączyłem się.

Taki byłem rozkołatany, że zachciało mi się sikać. „Jak doskonałym tworem jest człowiek”... Akurat! Mózg za wielki, pęcherz za mały i tylko najnudniejsze części ma nieśmiertelne.

Zanim poszedłem do łazienki, wypchałem jeszcze kieszenie zapasowymi magazynkami pełnymi srebrnych nabojów, na wypadek gdyby podczas wymiany coś poszło nie tak. Co prawda nic bym nimi nie wskórał przeciwko komuś takiemu jak Eligor; w razie konfrontacji jedyną skuteczną bronią byłoby tak go rozbawić, żeby pękł ze śmiechu.

Dysproporcja sił była oczywista, wciąż jednak istniała drobna, nieomal zerowa, lecz realna szansa, że wszystko skończy się dobrze i za parę godzin przywiozę Caz do mojej dziupelki.

Pamiętam nawet, jaka durna myśl przewinęła mi się przez głowę: „A ja nie zdążyłem choć trochę tu posprzątać”.

* W. Szekspir, *Hamlet*, akt II, scena 2, przekł. J. Paszkowskiego.

Czterdzieści siedem

Wymiana



Kiedy dotarłem do „Wimpy’s Steamers”, kultowej hamburgerowni w staroświeckim srebrnym wagonie restauracyjnym przy Parade Street, Sam właśnie opuszczał lokal z papierową torbą wypchaną miniaturowymi kanapkami. To mi oczywiście nie przeszkadzało – nawet anioły muszą czasem coś wrzucić na ruszt, przynajmniej tu, na Ziemi – natomiast wkurzyłem się, ujrzawszy u jego boku Clarence’a.

– Nie, no dajcie spokój! Czy już każdy z każdym mnie obgaduje za plecami?

– Można to tak ująć, Bobby. – Młodemu starczyło chociaż dobrych manier, by wyglądać na zakłopotanego.

– Może powiesz, że się czepiam, ale czy ten tutaj... – zwróciłem się do przyjaciela, kciukiem wskazując na jego towarzysza – przypadkiem nie próbował cię aresztować? I czy aby nie jest to nadal jego zadaniem?

– A czy ty musisz wszystko widzieć w czerni i bieli? – Sam wyjął z torby hamburgera wielkości pączka i wchłonął go niemal bez gryzienia. – Owszem, w pewnych innych okolicznościach nasz młody kolega mógł uważać za swój obowiązek wydanie mnie moim byłym, a swoim aktualnym szefem. – Oblizał palce i wytarł je o nogawki. Nigdy nie znosiłem tego przyzwyczajenia, przez które psy czasem za nim łążyły. – Ale jak każdy rozsądny anioł potrafi zrozumieć, że sytuacje dynamiczne wymagają dozy elastyczności.

– On chce przez to powiedzieć, że możesz na mnie liczyć, Bob – wtrącił Clarence z niewinną miną. – Nieważne, coś zmalował. Jesteś aniołem i gramy w jednej drużynie. Nie mogę pozwolić, żeby jakiś rogaty waźniak wziął cię na widły bez walki.

– No nie... – jęknąłem. – Jezu, Sam, jakbym to ciebie słyszał. Oszczędźcie mi tego. – Nie chodziło mi o potencjalne starcie; smarkacz powinien sobie dać radę, w końcu miał jakieś tam przeszkolenie i wcale nieźle strzela. Martwiło mnie, co zrobi potem, kiedy już jakimś cudem przetrwamy tę noc. – Sorki, Młody, ale nie mogę ryzykować. Nie możesz iść z nami. Za dużo byś się dowiedział o moich sprawach osobistych.

– I tak już nieźle się w nich orientuję – odparł. – Na przykład o twojej dziewczynie z Piekła rodem wiedziałem już dawno... i nikomu nie powiedziałem, więc w czym teraz widzisz problem?

– Wiedziałeś? – Otworzyłem szeroko oczy i wbiłem wzrok w Sama. Żyły na skroniach mi zapulsowały, jakby chciały się rozpuknąć. – On wie?

– Nie patrz tak na mnie. – Samariel wzruszył ramionami i wrzucił sobie w usta kolejną kanapeńkę. – Mmm, jakie to dobre... Ja mu tego nie powiedziałem.

– A czegoś się spodziewał, Bobby? – Clarence przewrócił oczyma. – Co, według ciebie, miałem o tym sądzić? Że na trzy tygodnie zostawiłeś ciało pod czymś łóżkiem, by się wyrwać na wczasy do Acapulco? Czy co ty tam za ściemę wymyśliłeś... Seattle? Jasne, ziome. Skusiło cię muzeum Hendriksa i widoki z Kosmicznej Iglicy, nie?

Gdyby spojrzenia mogły palić, z Młodego zostałaaby tylko kupka popiołu.

– Wołałem cię jako wioskowego przygłupa – wycodziłem. – No dobra, możesz zostać, co mi tam. Znaczący dzięki. Tylko żebyś nie próbował dowcipkować.

– Dobrze, Bobby. – Clarence przybrał pokorną minę. – Ty tu rządzisz.

Upredziłem kolegów, co się może dziać i czego od nich oczekuję niezależnie od rozwoju

wydarzeń. Dochodziła druga, gdy zbliżyliśmy się do Czterdziestego Pirsu. Łańcuch, który nocą zwykle zamyka wjazd na parking, leżał przecięty i odrzucony na boki w bezładnych zwojach niczym dwa pytony w silnym ataku depresji.

Noc była zimna; znad zatoki wiało chłodem, jakby to nie był lipiec, tylko luty – mnie jednak grzała nadzieja. Wdrapując się na najwyższą kondygnację, prowadziliśmy cichą rozmowę, nie staraliśmy się jednak przemykać niezauważenie. Na płycie czekały dwie postacie, a za nimi czerniała sylwetka długiej limuzyny Kennetha Valda, ani chybi profesjonalnie opancerzonej – być może w warsztacie wiekowego Węgra Orbana. W jednej z nich na pierwszy rzut oka rozpoznałem ziemskie wcielenie Eligora; towarzyszył mu jakiś wyjątkowego wzrostu goryl. Z trudem opanowałem nagły przyływ gniewu i paniki. Gdzie Caz? Trzyma ją w samochodzie? Czy w ogóle ją przywiózł?

Wielkolud u boku Valda prezentował się dziwnie: postura kulturysty, dłonie i stopy nieproporcjonalnie duże, za to głowa mała jak u dziecka. Groteskowy wygląd równoważyło jednak bystre i czujne wejrzenie, a krzepy w tych łapskach jak półmiski musiał mieć za trzech.

– Witam, panie Dolar. – Eligor miał na sobie elegancki sportowy garnitur, jakby wybierał się zażyć przejażdżki jachtem w gronie starych kumpli z ekskluzywnego liceum. Popatrzył na Sama (dostatecznie długo, by dać do zrozumienia, że go poznaje), zerknął przelotnie na Clarence'a a i przeniósł spojrzenie na mnie. – Znów się więc spotykamy. Gratuluję udanej ucieczki. Ci spośród nas, którzy nie darzą komisarza Nilocha zbytnią sympatią, chcieliby panu podziękować za strącenie jego głowy w Otchłań Zewnętrzna. Wylizanie się z powrotem na górę powinno mu zająć ładnych parę tysięcy lat.

– Gdzie hrabina? – wychrypiałem, ledwo powstrzymując się od krzyku.

– Ech, kto dziś jeszcze docenia sztukę konwersacji... – Eligor pokręcił głową z westchnieniem. – W tym cały problem z tym twoim modelem twardego faceta, Dolar. Nic, tylko ostre półsłówka i kwaśne riposty. Nie mógłbyś wybrać sobie za wzór Sherlocka Holmesa albo Herculesa Poirot, którzy przynajmniej umieli związać w zdanie więcej niż trzy słowa? – Moje wściekłe warknięcie skwitował uniesieniem brwi. – No dobrze, skoro nalegasz... – Odwrócił się do ochroniarza. – On chce zobaczyć hrabinę, Skrzypdrapku. Bądź tak uprzejmy i pokaż mu.

Goryl otworzył tylne drzwi limuzyny, nachylił się i pomógł Caz wsiąść – jeśli pomaganiem nazwać na przykład sposób, w jaki rybak wyciąga rybę z wody. Caz nie poruszała się ze zwykłą gracją, gdyż miała ręce związane za plecami i knebel w ustach. Zmusiłem się do kilku głębokich oddechów, żeby od razu nie zacząć do kogoś strzelać.

– Teraz ją wypuść, a oddam ci pióro – zażądałem.

– Tego Sam mi właściwie nie wyjaśnił do końca – szepnął mi do ucha Clarence. – Co to za pióro i do czego mu ono potrzebne?

– Zamknij się – burknąłem, głośno zaś powtórzyłem: – No dalej, puść ją. Niech tu podejdzie sama.

– Co to, to nie. – Eligor zachichotał. – Najpierw pióro, a potem ona. Masz na to moje słowo.

– Super! Tak na to liczyłem, że uda mi się wydobyć słowo honoru od jednego z największych krętaczy w Piekło... Teraz wreszcie mam pewność – wycodziłem szyderczo. Wiedziałem jednak, że mnie nie oszuka; arystokracja piekielna ma dziwnie ambiwalentny stosunek do prawdy i jeśli ma się dość oleju w głowie, można to wykorzystać. – Dobra, Sam. Wyciągaj je.

Mój przyjaciel wydobył z zanadru „boską rękawicę” – magiczny gadżet od Kefasa. Uśmiechnąłem się w duchu na ironię sytuacji: w ten sposób Anaita, która chciała mnie wykończyć rękami Śmieszka, kolejny raz bezwiednie mi pomoże. Była to jednak jedyna pogodniejsza refleksja tego wieczoru.

Sam naciągnął rękawicę i mrok parkingu rozdarło ostre białe światło. Powoli wsunął mi dłoń za pazuchę i płynnym ruchem wyciągnął pióro. Clarence'owi szczeka opadła; zawisł na nim oczyma z taką fascynacją, że mogłem się tylko cieszyć, iż niczego teraz odeń nie potrzebuję.

Caz patrzyła na mnie bezsilnie znad knebla. Staralem się zachować przytomność umysłu, ale sam jej widok na skraju mojego pola widzenia (nie spuszczałem bowiem oka z Eligora) sprawiał mi ból niemal fizyczny.

Eligor tymczasem wpatrywał się w rozjarzone palce Sama.

– No, no, ty to się umiesz zakręcić, Samarielu – powiedział. – Doloriel mi mówił, że potrafisz robić takie sztuczki, ale nie bardzo mu wierzyłem.

– O wielu jeszcze rzeczach wasza wysokość nie wie. – Sam oddał mu beznamiętne spojrzenie i zwrócił się do mnie. – Co z tym piórem, Bobby?

– Podaj je Clarence'owi.

– He? – Młody popatrzył na mnie, jakbym nagle zaczął mówić językami. – Dlaczego mnie?

– Do potrzymania. – Wyjąłem pistolet z kieszeni. – Bo za chwilę sprawy się pokomplikują. Bierz i nie gadaj.

Clarence posłuchał bez dalszych protestów i tylko gapił się to na mnie, to na tamtych dwóch. Widać było po nim, że fant niemal parzy go w dłoń. Szczerze mówiąc, każdy by się poczuł nieswojo z czymś takim w ręku. Nawet dureń w mig by pojął, że to pióro ze skrzydła potężnego anioła. To po prostu było oczywiste, inaczej wam tego nie wytłumaczę.

– Sam, podejdź teraz do Caz i sprawdź, czy wszystko z nią w porządku – zakomenderowałem.

Omówiliśmy wcześniej tę operację, co nie znaczy, że stała się przez to mniej niebezpieczna. Przełączyłem bezpiecznik efenki na pozycję strzału.

– Doprawdy, Dolar, czuję się urażony – mruknął arcyksiążę, nie przestając jednak się kpiąco uśmiechać. – To właśnie problem z wami, niebianami. Myślicie, że macie monopol na uczciwą grę.

Spojrzałem Caz w oczy, gdy Sam się do niej zbliżał. Ziało od niej dziwną pustką i beznadzieją; zdumiał mnie ten wyraz, ale powiedziałem sobie, że zaraz wszystko się wyjaśni. Sam przesunął dłonią w „boskiej rękawicy” nad jej głową i wzdłuż tułowia, zatrzymując się na dłuższą chwilę nad talią jej sukienki mini. Dziewczyna patrzyła na błyszczące zjawisko jakby z przerażeniem.

– Nie jest prawdziwa, Bobby – orzekł. – To widmo.

Uniosłem pistolet, celując Eligorowi między oczy. Dzielilo nas nie więcej niż pięć metrów i byłem pewien, że zdążę wpakować mu ze trzy srebrne kule, zanim mnie dopadnie, choćby okazał się nie wiem jak szybki. To powinno choć trochę wyrównać szanse i dać mi cenne sekundy na podjęcie decyzji co dalej. Z góry zakładałem, że będzie szachrował, odkrycie Sama nie zaskoczyło mnie więc zbyt.

– Znaczy tak chciałeś to załatwić, co? – rzuciłem z gniewnym grymasem.

– Rozluźnij się, Dolar. – Vald przewrócił oczyma. – To zwykły żarcik. U was tam w chmurach wyraźnie za mało wydzielają poczucia humoru. – Poruszył lekko dłonią i fałszywa Caz zniknęła. W otwartych drzwiach wozu nie było widać nikogo innego.

– Mówiłeś, że chcesz ją wymienić za pióro, Eligor – warknąłem. – Ja chciałem dotrzymać umowy. Więc jak, oddasz mi hrabinę, czy mam ci zrobić z bużki hamburgera? Należy ci się to ode mnie po stokroć.

Przez ułamek sekundy twarz arcydiabła zamigotała i zafalowała jak woda spływająca po kamieniu. Pod spodem zamroczało coś o wiele gorszego: maska z czarnej furii, kudłaty łeb z węzowymi puklami i parą wygiętych rogów – jeden był długi i wysmukły, drugi dziwnie

skarłały i zniekształcony, jakby nadtopił go wielki żar. Straszliwa podszewka w mig się jednak rozpułyła i znów ujrzałem szyderyczy uśmiezek Kennetha Valda.

– Naprawdę, aniołku? Ty chcesz strzelać do mnie?

Nie zauważyłem żadnego jego gestu, ale Skrzypdrapek jak na komendę wytrząsnął groźnie wyglądającego obrzyna z rękawa i wymierzył mi w głowę. Clarence aż sapnął z wrażenia. W wielkiej grabie demona broń wyglądała jak damska piątaczka.

– Rzuć to, bo rozwalę ci łeb – zabułgotał goryl.

Szczęknięty odwodzone kurki: Sam i Młody wyciągnęli swoje pukawki i wycelowali w Skrzypdrapeka.

Cztery gotowe do strzału spluły na niewielkiej przestrzeni. Wiele teraz zależało od następnego ruchu Eligora. Nie spuszczałem zeń wzroku.

– To jak będzie? – spytałem.

– Niby z czym? – Jeździec najwyraźniej świetnie się bawił. – Kogo z książkowych detektywów naśladujesz, Philipa Marlowe'a? Bo jeśli tak, to musisz dopilnować, abys wyszedł z tego mądrzejszy, ale smutniejszy niż na początku.

– Zajmijmy się wreszcie interesami, dobrze? Chcę tu widzieć Caz, jak obiecałeś w Koniogardzie. Zdrową, całą i żadnych prób zemsty po fakcie. To też przyrzekłeś i za to dostaniesz pióro. Potem możecie się z Kefasem układać po swojemu. Cały ten polityczny syf mnie nie obchodzi.

– Dobrze, dobrze. Lubisz sobie posmęcić, co? Ja chcę, ja chcę... Skąd oni ciebie wytrzasnęli? – Eligor wsadził ręce do kieszeni i udał, że się głęboko zastanawia. – No, niech stracę. Wygrałeś, aniołku. Dość już na to zmarnowałem czasu.

Wyciągnął rękę w bok i nagle w powietrzu zajaśniał Zamek Błyskawiczny w wersji piekielnej, jak rana zadana powietrzu czerwoną flarą. Sięgnął na Zewnątrz i wyciągnął inną Caz, też związaną i zakneblowaną, ale ta w przeciwieństwie do swojego biernego fantomu szarpała się w więzach i mocarnym chwycie arcyksięcia. Eligor trzymał ją za kołnierz w wyciągniętej ręce, jakby nie ważyła więcej niż koszulka polo. Jej bosc nogi wierzgały kilkanaście centymetrów nad betonem.

– Bierz sobie tę sukę – burknął pogardliwie. – I tak żadnego z niej pożytku, potrafi tylko kapryścić i narzekać.

– I tym razem to rzeczywiście ona? Przysięgniesz na Najwyższego?

– Ale z ciebie nudziarz, Dolar. Tak, po trzykroć tak. Na Dole pokazałem ci ją, a ty zgodziłeś się oddać za nią pióro, pamiętasz? Możesz mi wierzyć, że to naprawdę ona. Albo nie, lepiej już zrobię, jak chcesz. Przysięgam na Konwencję Tartareńską, na Najwyższego i na mą własną egzystencję. Na tym ci zależało, nie? Usłyszeć, jak jeden z książąt Piekiła daje ci słowo honoru? No to słuchaj. Przysięgam na to wszystko, co przed chwilą wymieniłem, że masz przed sobą tę samą kobietę, którą widziałeś w Koniogardzie.

Sam powoli przesuwając rękawicę nad jej głową i piersiami.

– Ta jest żywa, Bob – potwierdził.

Eligor postawił Caz na płycie parkingu. Zachwiała się i upadłaby, gdyby Sam nie chwycił jej pod ramię. Podbiegła i mimo krępujących ją wciąż więzów przyłgnęła do mnie z całej siły. Objąłem ją mocno, przepelniony niewysłowionym uniesieniem, czując na piersi szybkie bicie jej serca.

– Młody, oddaj mu to pióro – poleciłem, nie patrząc w jego stronę.

– Na pewno? – Sam wpatrywał się w Eligora, który stał spokojnie z założonymi rękami.

Skrzypdrapek nadal trzymał mnie na muszce, lecz nie wydawał się już taki gotowy na wszystko jak jeszcze przed chwilą.

– Tak, na pewno. Niech ma.

Samariel wziął fant od Clarence'a, ale nie byłby sobą, gdyby nie pokusił się o honorowego gola: wyciągnął dłoń z piórem ku Jeźdźcowi, lecz nie ruszył się z miejsca, zmuszając go w ten sposób, by sam się po nie pofatygował.

Arcyksiążę ujął zdobyczą w dwa palce i podniósł pod liche światło sufitowe.

– Jaka to piękna rzecz, panowie – powiedział w zamyśleniu. – A przy tym jakże znacząca, gdy pomyśleć, czego jest symbolem. Piekło i Niebo działają ramię w ramię. Szkoda wielka, że ty, Dolar i parę innych ciasnych umysłów nie jesteście zdolni wymyślić dla niej lepszego zastosowania niż szantażowanie mnie.

Nie zamierzałem zaszczyścić tych bzdur jakąkolwiek odpowiedzią. Całą siłą woli trzymałem nerwy na wodzy, starając się skupić raczej na szczupłej, drżącej kobiecie, którą trzymałem w ramionach. Podniosła głowę i spojrzała mi błagalnie w oczy. Delikatnie zdjąłem jej knebel, nachyliłem się i musnąłem ją wargami w policzek, zanim znów zwróciłem się do Eligora. Na ustach poczułem smak soli. Pewnie dlatego, że płakała.

– Och, Bobby... – wyszeptała ze smutkiem w głosie.

– Coś jeszcze? – Vald przyglądał się nam z ironicznym uśmiechem. – Jakieś ostatnie słowo, może w stylu Jamesa Bonda dla odmiany? Nie? W takim razie życzę wszystkim panom dobrej nocy.

Odwrócił się i odszedł do samochodu. Skrzypdrapek zatrzasnął za nim drzwi i zajął miejsce za kierownicą. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że przez cały ten czas silnik pracował na jałowym biegu. Dlaczego? Czyżby Eligor liczył się z koniecznością szybkiej ucieczki? Chyba nie zakładał, że dam się nabrać na to widmo?

Usłyszałem cichy dźwięk opuszczanej elektrycznie szyby, a zaraz potem głos Jeźdźcy.

– Podejrzewam, że to nie ostatnie nasze spotkanie, Dolar. Tak to już jest z irytującymi typami: co rusz człowiek się na nich natyka...

Okno się zamknęło i limuzyna potoczyła się w dół rampą zjazdową. Clarence odetchnął z nieskrywaną ulgą – co zabrzmiało, jakby ktoś nadepnął na chomika – i usiadł ciężko na zaolejonej nawierzchni parkingu. Za dużo wrażeń jak na jeden wieczór. Pode mną też nogi drżały, ale było warto, gdyż wreszcie tuliłem do siebie moją Caz.

Czekałem z prawdziwym powitalnym pocałunkiem, aż ten sukinsyn zostawi nas samych, ale zanim pochyliłem ku niej twarz, zorientowałem się, że tam, gdzie jej dotykam, mam mokre ubranie. Krew? Przemknęła mi przez głowę paniczna myśl, że na odjeźdźnym któryś z nich do niej wypalił, choć przecież nie słyszałem wystrzału. Struchlałem.

Dziewczyna łkała coraz głośniejsze i łzy płynęły jej z oczu nieprzerwanymi strumyczkami. Potem jej twarz zaczęła się rozmywać, jakbym patrzył na nią przez warstwę żwawo płynącej wody. Jeszcze chwila i wszystko, co w niej było z Caz, po prostu ociekło niczym świeża farba ze ściany pod strumieniem z myjki ciśnieniowej. Patrzyłem teraz w zamglone, wodniste oczy topielicy Marmory, sekretarki z Koniogardu.

– Tak... mi przykro... Bobby... – Głos miała swój własny, jak i ciało, wysokie, smukłe i oblepione wodorostami. U jej stóp rosła szybko kałuża. – Ona tak cię... kocha, kha, kha – zakaszłała i z ust potoczyły się jej drobne kuleczki piany. – On mnie zmusił... do tego oszustwa... – Słowa coraz bardziej ginęły w bulgocie wody. – Szkoda... Mogłabym być tu... szczęśliwa. – Głowa się jej zakołysała na wiotczej szyi; oczy chłonęły brudny beton z plamami od błota, gumy i oleju. – Tu jest tak... pięknie...

To była jej ostatnia myśl. Marmora zapadła się w sobie i spłynęła ze mnie na posadzkę kolorowymi strumykami, które rozbiegły się wokoło, póki jeden nie natrafił na pochyłość rampy i pociągnął wszystko za sobą w dół.

Czterdzieści osiem Wspólnicy po fakcie



Ktoś walił mi w drzwi z wyjątkową determinacją, nie żałując pięści. Każde łomotnięcie zdawało się rozkwaszać mi głowę jak na tych puszcanych w zwolnionym tempie wideoklipach z jabłkiem przebijanym przez pocisk. Jęknąłem głucho, ręką szukając efenki na podłodze przy łóżku. Znalazłszy, chwyciłem kurczowo kolbę i przycisnąłem do serca. Jeżeli ten idiota nie przestanie tak hałasować, użyję jej; albo wypalę do niego, albo sobie w łeb – cokolwiek uznam za gwarancję najszybszego ukrócenia bólu.

Nie myślcie, że to z powodu kaca. Jasne, że go miałem, dorodnego i krzepkiego jak buhaj, ale chłanie i jego następstwa były tylko dowodem, jak dalece i totalnie wszystko mi zwisa.

Łup, łup, łup!

– Bobby! Otwieraj, bo rozwalę drzwi!

Poznałem głos Sama.

– Oby cię chudy byk sto razy przeleciał za ten cholerny rumor! – odwrzasnąłem, ale zaraz tego pożałowałem, bo skutek był bodaj gorszy niż samo walenie. Powiadam wam, ból głowy był trudny do wytrzymania nawet dla faceta, który niedawno bez znieczulenia wydłubywał sobie z mózgu żywego diablaka. – Spadaj, bo ci wacka odstrzelę!

– Ten twój arcy, jak mu tam, miał rację... faktycznie maruda z ciebie. Wstawaj i wpuść mnie!

Powoli skonkretyzowała mi się w obolałej głowie myśl: jeśli w obecnym, rzeczywiście nie najlepszym stanie nacisnę spust, to marne szanse, że trafię choćby w drzwi, nie mówiąc o czymkolwiek wacku – za to wystrzał huknie mi tuż przy uchu, a potem Sam naprawdę wyważy je z jeszcze większym hałasem. Efekt byłby taki, jakby ktoś podpalił mi układ nerwowy i próbował go ugasić tłuczkiem do mięsa. Zwlokłem się więc z wyrka i poczołgałem do przedpokoju, ale utknąłem między ścianą a tanią sofą. Dopiero wtedy pozbierałem się na nogi i poczłapałem otworzyć temu namolnemu, hałaśliwemu sukinsynowi bez serca.

Zapomniałem, że w dłoni ściskam pistolet.

– Tak się cieszysz na mój widok? – Sam uniósł brwi.

– Zamknij się i już nigdy nic nie mów. Włóż, skoro musisz.

– Nie mogę. Czekam na Clarence'a, parkuje wóz.

– Clarence'a? – burknąłem. – Przywiozłeś go tutaj, pieprzony Brutusie? – Na samą myśl o wesołej paplaninie Młodego zachciało mi się wyrzygać wewnętrznie. – Spadajcie obaj, do cholery. – Zamknąłem oczy i zacząłem marzyć o przedwczesnej śmierci.

– Nic z tego.

Przez poalkoholową mgłę dotarł do mnie jakiś interesujący zapach. Uniosłem nieco powieki. Wredny intruz przesuwiał mi pod nosem gigantyczny kubek z kawą.

– Wypij to. Tkwisz tu zabarykadowany już od sześciu dni, Bob. Wiem, że jest źle, ale nie możesz tak po prostu się poddać.

– Nie mogę? – Zaśmiałem się, ale mnie samego zniesmaczył ten dźwięk. – To się mi przyjrzyj. Będziesz miał za friko kurs bezwarunkowej kapitulacji.

Do przedpokoju wpadł Clarence z gracją obutego w glany mastodonta.

– Ależ tu śmierdzi! – rzucił na powitanie.

– Ciebie też miło widzieć, Młody. – Skrzywiłem się i wlałem sobie na język odrobinę kawy.

Wiedziałem, że jej przełknięcie będzie równoznaczne ze zgodą na przeżycie jeszcze co najmniej paru godzin, a na razie nie byłem gotowy na taki układ. Smakowała jednak super. – Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju, co?

– Bo nie możemy ci pozwolić zapić się na śmierć, Bobby – wyjaśnił rzeczowo Clarence.

– A, toście się spóźnili, bo ja już jestem martwy, zapomnieliście? No to skoro już sobie to wyjaśniliśmy, zabierajcie stąd swoje anielskie dupska i odwiedźcie mnie jeszcze kiedyś. Najlepiej tak na początku dwudziestego drugiego wieku.

Sam stał pośrodku pokoju i rozglądał się krytycznie.

– Masz tu, mój młody przyjacielu, podręcznikowy przykład siły uczucia zwanego uzalaniem się nad sobą. Widać je, słyhać i... Bóg mi świadkiem... czuć.

– Możesz mi skoczyć, Sam.

– Bob, my naprawdę rozumiemy, jak musisz się teraz czuć... – Clarence podszedł bliżej, lawirując między pustymi flaszkami i kartonikami po żarciu na wynos niczym trałowiec przez pole minowe. Struchlałem na myśl, że zaraz usiądzie przy mnie na łóżku i będzie się starał być pomocny, na szczęście zatrzymał się o dwa kroki i nie musiałem strzelić mu w stopę czy coś w tym stylu. – Ale nie poddawaj się. Wiesz, jak to mówią... Lepiej...

– Synku, jeżeli w następnej kolejności usłyszę którekolwiek ze słów „kochać” i „utracić” – przerwałem mu dla jego dobra – to tak ci przygrzmocę w cyferblat, że cała twoja uroda ucieknie na potylicę i nigdy już nie powróci w rodzinne strony. Resztę swojego anielskiego żywota spędzisz w jednym gabinecie osobliwości z kobietą z brodą i dwugłowym cielęciem.

– O, proszę! Dowcip już ci wraca.

– Chłopaki... – Zacisnąłem mocno powieki. – Ja już raz w Piekło byłem. Dlaczego mi to robicie?

– Bo chcemy cię stąd wydostać – odrzekł Clarence. – Potrzebujesz świeżego powietrza.

– Gównu wiecie, czego potrzebuję.

– Sam, może ty się do niego jakoś przebijesz? – Młody westchnął i wznosił dłonie ku niebu.

– Coś ty, mnie on nigdy nie słuchał. – Samariel parsknął śmiechem. – Inaczej by się nie znalazł w takiej sytuacji.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – burknąłem, nie otwierając oczu. Jeszcze się nie wyzbyłem nadziei, że ci dwaj hałaśliwcy tylko mi się śnią i że to zwykły koszmar, jakich wiele. – Jesteś najgorszym doradcą od czasu, kiedy tamten facet namówił prezydenta Lincolna na pójście do teatru.

– Broda tego powiedzonka dawno już zdążyła posiwieć, ty żałosny pijaczyno – zaripostował Sam i odwrócił się do Młodego. – Po tym właśnie można poznać, że wraca do siebie: zaczyna się uważać za dowcipnego. Broń Boże nie wyprowadzaj go z błędu, bo wpadnie w histerię. Chodź, wsadzimy go pod prysznic.

Nie byłoby tak źle, gdybym pamiętał o rachunkach za media. Przynajmniej woda byłaby ciepła.

Poszliśmy oczywiście na bulwar nadmorski, do „Oyster Billa”.

Nie zamierzałem wprawdzie tak łatwo dać się przywrócić do życia, ale już parę dni temu skończyły mi się miksy do drinków, a połączenie czystej wody z zakrzepłym tłuszczem z resztek hamburgerów i chińskich makaronów nie robiło mi najlepiej na żołądek. Z domu się nie ruszałem (w tym stanie nie dałbym rady choćby tylko odszukać mojego samochodu), zacząłem więc rozcieńczać gorzałę czym popadło: najpierw była to zalewa od wisienek maraskino, potem syrop klonowy, a wreszcie śmietanka do kawy w jednorazowych kubeczkach. Po takiej diecie aż się paliłem, by uraczyć gardło wytworami profesjonalnego barmana w znajomej knajpie.

(Podejrzewam, że i on, i szef kuchni są albo krewnymi Billa, albo jego kumplami spod celi; obaj

w każdym razie znają swój fach na tyle, by nie uśmiercić żadnego klienta. W porównaniu z nimi dużym plusem lokalu jest szafa grająca z obrzydliwą mieszanką muzyki pop z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych).

Doprowadzenie się do względnego porządku i wyjście z gawry to był zdecydowany postęp; jeżeli jednak miałem żyć dalej, musiałem odzyskać przekonanie, że warto. Innymi słowy, znaleźć w sobie coś na tyle pozytywnego, żeby takiej pewności nabrać. Mój rachunek porażek przedstawiał się imponująco, po stronie sukcesów zaś nie mogłem się dopatrzeć niczego poza Gobem. Nie był to wprawdzie żaden bohaterski wyczyn na miarę wyrwania chłopaka z Piekła, ale przynajmniej pomogłem odmienić jego los z okropnego na nieco lepszy. To by się mogło jakoś liczyć. Taak... Bobby Dolar, mini-pół-prawie-heros.

Ilekczo używałem doszukiwać się w mej historii dobrych uczynków, całe moje nieudacznictwo zaczynało na mnie wyć jak stado upiórów z kiepskiej kreskówki. Najnowsza i największa kłapa to oczywiście sprawa Caz. Najmniejsze o niej wspomnienie było jak czarna radioaktywna dziura wypalona w samym środku moich myśli – nie mogłem jej ignorować, ale zarazem musiałem trzymać się jak najdalej, żeby nie zwariować. Cóż, kiedy niemyślenie o niej było tylko inną formą myślenia – i wtedy wszystko zaczynało się od nowa.

Tak, porażek mam na koncie rekordowo dużo, i to spektakularnych. Tylko pomyśleć: przeszedłem wszystko, co Piekło przeciwko mnie rzuciło, i nie zginąłem, ale straciłem akurat to, dla czego tam poszedłem i za co oddałbym wszystko. Straciłem Caz przez własną arogancję i lekkomyślność, dufny, że potrafię przewidzieć każdą sztuczkę Eligora. Orfeusz zszedł do Hadesu za swoją dziewczyną, a wrócił z niczym, bo za wcześnie na nią spojrział. Mnie spotkało to samo, gdyż nie wykazałem należytej ostrożności.

– Powinienem być wiedzieć – pomyślałem głośno po raz chyba trzechsetny od konfrontacji na parkingu. – Trzeba było nie opuszczać Piekła bez niej. Bydlak wrabiał mnie od samego początku, już gdyśmy rozmawiali u niego w Koniogardzie. Podstawił mi fałszywą Caz i przysiągł, że ją odda... i słowa dotrzymał. Nie musiał nawet mnie torturować, ale gdy nadarzyła się okazja, od razu ją wykorzystał.

Żołądek dał mi bolesny sygnał. Spojrzałem na niedopitą krwawą mary – już drugą zresztą – i zastanowiłem się, czy naprawdę potrzebuję alkoholu. Pierwsze parę dni dało się jakoś przetrwać tylko dzięki temu, że urwał mi się film, teraz jednak picie już nie pomagało. Jeśli nie mam raz na zawsze skoczyć na główkę do wódczanej studni, to muszę pomyśleć nad jakąś nową strategią. Tak jest, zrobię to, może jeszcze nie dzisiaj, ale jutro definitywnie wrócę do życia. Albo pojutrze. Nie, lepiej tego nie odkładać. Więc jutro.

Pieprzone życie.

– Wiecie, czego ciągle nie kapuję? – spytał Clarence. – Co jest grane z tym piórem. Nawet jeżeli należało do któregoś z naszych szefów, to co z tego ma Eligor? Może je do czegoś wykorzystać? I dlaczego tak bardzo mu na nim zależało, że w zamian gotów był się wyrzec tej diablicy? Znaczący w końcu tego nie zrobił, ale jednak udawał, że chce... – Zobaczył moją minę i zająknął się. – Tego... przepraszam, Bobby.

Po tyłu przejściach w Piekło może guzik powinno mnie to obchodzić, wciąż jednak wolałem pewne informacje zachować dla siebie. Nawet Sam nie wiedział wszystkiego, bo zataiłem przed nim, co sobie w ostatniej chwili przypomniał Walt Sanders. Jeżeli jego Kefasem naprawdę jest Anaita i to ona nasłała Śmieszka, żeby wydobył ode mnie sekret ukrycia pióra, to lepiej nie stawiać Sama przed wyborem, póki nie zdobędę konkretniejszych dowodów. Nie wierzyłem, że mógłby mnie sprzedać, lecz nasza przyjaźń zmieniła się w sposób jeszcze nie do końca dla mnie zrozumiały, chciałem zaś być w porządku i wobec niego, i siebie. Miałem tylko nadzieję, że ukrywając przed nim to, co wiem, nie narażam go na niebezpieczeństwo.

Clarence, naturalnie, wiedział znacznie mniej. Więcej wprawdzie, niżbym sobie życzył, ale nie miał zielonego pojęcia, o jak szalony scenariusz chodzi: istota tak potężna jak Anaita, niebiańska arystokratka, ożywia seryjnych morderców, a niewinne, lecz niewygodne anioły zsyła do Piekła. Skoro w tej kwestii pełnią zaufania nie darzyłem nawet najlepszego przyjaciela, to tym bardziej nie otworzę się przed tym młokosem.

– Najprostsza wersja jest taka – powiedziałem – że Eligor zawarł układ z jakimś ważniakiem z Domu. Chodziło o stworzenie Trzeciej Drogi, azylu w nowym wymiarze, poza Niebem, Piekłem i Ziemią. Musiał jednak jakoś się zabezpieczyć, zwłaszcza przed ewentualnością, że informacja o tym przecieknie do jego kumpli, wziął więc od nowego biznespartnera pióro jako... bo ja wiem... potencjalne narzędzie szantażu. Gdyby ów ważny anioł nie dotrzymał umowy albo zwyczajnie sprawa się ryła, arcyksiążę miałby na niego haka. Ten fant to przecież nic innego niż podpisane i przypieczętowane oświadczenie typu „robię zakazane interesy z Przeciwnikiem”. W ten sposób obie strony były zobligowane do dochowania tajemnicy przed swoimi i przed wrogiem. – Urwałem, czując nagłe ssanie w żołądku. Byłem głodny jak wilk, co mnie specjalnie nie zdziwiło. – I teraz sukinsyn ma swoje pióro z powrotem.

– A co w takim razie ma ów ważny anioł? – spytał Clarence.

– Nie wiem. Może wyrzuty sumienia. Jak my wszyscy.

Trzeba coś wrzucić na ruszt, zadecydowałem. Coś neutralnego, żeby nie drażnić wymęczonych przez gorzałę jelit.

– Zamówisz coś, Bobby? – Sam musiał czytać mi w myślach. – Dobry pomysł. Najlepiej solidną porcję starych pocziwych naleśników. Wchłoną trochę tego zajzajeru, którym raczyłeś kiszki przez tydzień. – Odchylił się na krześle i pociągnął łyk piwa imbirowego. – Ja chyba wezmę smażone kalmary. Nawet kucharz Billa nie może schrzanić czegoś takiego.

– O, nie doceniasz artysty. Zapomniałeś, jak w jego dorszu panierowanym znalazłeś baterię paluszkową? – rzuciłem, studiując kartę dań. I wtedy, jakby wolno tłący się lont dosięgnął baryłki prochu, wybuchła mi w mózgu pewna myśl. – Czekaj... coś ty powiedział?

– Że wybieram kalmary.

– Nie ty, dupku. Clarence.

Zaskoczony Młody nie od razu sobie przypomniał.

– Pytałem, co w takim razie ma ten ważny anioł.

– A co według ciebie miałby mieć?

– No, jeśli pióro było czymś w rodzaju potwierdzenia zawartej umowy, to musiało być i drugie, dla anioła właśnie. Diabeł dostał swój fant, a on? W końcu też powinien mieć jakieś zabezpieczenie na wypadek, gdyby trzeba było poszantażować arcyksięcia.

Kelnerka wreszcie nas zaszczyciła wizytą, ale byłem zbyt oszołomiony, by wykrztusić choćby słowo. Sam zlitowałem się i zamówił dla mnie naleśniki i drugą kawę, a sobie coś bogatego w cholesterol i mocno obciążającego wątrobę. Dziewczyna poszła, a ja wciąż intensywnie rozmyślałem. Musiało to wyglądać, jakbym dostał wylewu, bo Clarence z zatroskaną miną nachylił się do mnie i zapytał, czy wszystko w porządku.

– Chłopcze, gdyby nie moja wrodzona nieśmiałość plus obawa przed kpiarskim charakterem Sama, wycalowałbym cię teraz z dubeltówki.

– Że co?

– Masz cholerną, pieprzoną, niebotyczną rację! – wykrzyknąłem, kręcąc głową nad własną równie piramidalną tępotą. – Od miesiąca obsesyjnie myślę o tym piórze, a nigdy nie przyszło mi do łba pytanie, co Eligor musiał dać za nie w zamian. Bo przecież musiał, nie? To takie oczywiste! Nie ma braterstwa krwi, jeśli obie strony jej nie utoczą. I ja wiem, co to było.

– Może krótkie streszczonko, zanim podadzą moje kalmary? – zaproponował Sam.

– Nawet cały wykład. Tamtej nocy po prostu coś zauważyłem.

– Której? Jednej z tych, kiedy chlałeś, słuchałeś smętnego bluesa, szlochałeś i rzygałeś, czasem wszystko równocześnie? Czy masz na myśli tę sprzed tygodnia, na Czterdziestym Pirsie?

– Bardzo dowcipne. Eligor przez chwilę pokazał swoją prawdziwą twarz. Co nie znaczy, że w ogóle ma coś takiego – dodałem na użytek Clarence’a. – On i wszystkie upadłe anioły są, by tak rzec, starsi niż koncepcja twarzy. Na pewno jednak stracił panowanie nad sobą i pod maską Kennetha Valda zobaczyłem rysy autentycznie wkurzonego demona. A powinno mnie zastanowić, dlaczego zawsze się trzymał tego wcielenia, nawet tam, na Dole. – Serce żywiej mi zabiło. Nie powiem, żebym poczuł się lepiej, ale pierwszy raz, odkąd Marmora stopniała mi w ramionach, miałem wrażenie, że jeszcze da się coś zdziałać. – Ale na to nie wpadłem. Wtedy na parking, gdy opadła z niego zewnętrzna powłoka, jeden z jego rogów był taki zwiędnięty, przykurczony. Jakby go sobie złamał i teraz mu odrastał.

– Znaczy, że...? – zaczął Sam.

– Że gdy dobijali targu i nasz szacowny archanioł wyrwał sobie piórko ze skrzydełka, Eligor musiał się posłużyć piłą. Jego fantem był ten róg i dlatego cały czas musiał ukrywać swoją normalną postać.

– Ale ta informacja niewiele ci pomoże, nie? – zauważył Clarence. – Jeśli masz rację i róg jest w posiadaniu jednego z aniołów wysokiego szczebla, to jakim sposobem zamierzasz go zdobyć?

– Źle postawione pytanie. Powinno brzmieć: jak my zamierzamy go zdobyć – odparłem. – Bo sam nie dam już sobie rady. Próbowałem, Bóg mi świadkiem, ale nic z tego. Potrzebuję waszej pomocy.

– Ty kutasie... – Sam się zaśmiał, ale wyszło mu to raczej głucho. – Żartujesz, prawda?

– To zbyt ważna sprawa, Sam, żebym się silił na żarty. Eligor ma w rękę jedyną kobietę, na której mi w życiu zależało, a na dodatek wyłudził ode mnie mój jedyny atut. Pióro, dla którego kilka razy ryzykowałem życie. Jeśli uda mi się przejąć ten róg, wreszcie będę miał nad nim przewagę, a przynajmniej jakąś kartę przetargową.

– Nie ma mowy, Bobby. – Clarence w końcu się połapał, że mówię poważnie. – Ja już wystarczająco ryzykuję, spotykając się poza służbą z ważnymi demonami i pomagając tuszować ciemne sprawy, przez co mogę mieć poważne kłopoty...

Raczej przez co możesz trafić do Piekła, albo i gorzej, pomyślałem, starczyło mi jednak oleju w głowie, by nie powiedzieć tego na głos.

– ...ale w to już nie dam się wciągnąć. Okraść jednego z naszych przełożonych? I po co! Żebyś ty mógł odzyskać swoją piekielnicę?

Kelnerka postawiła przede mną talerz naleśników i dzbanuszek z syropem klonowym. Połałem je obficie i wziętem się do roboty. Głodny byłem jak cholera.

– Masz rację, Clarence – powiedziałem po paru kęsach. – To dla ciebie za duże ryzyko. Ale widzisz, nie podejmując go, też byś wiele ryzykował.

– Do cholery, przestań mnie wreszcie nazywać tym durnym imieniem! – wybuchnął Młody z taką pasją, że inni goście zaczęli zerkać na nas podejrzliwie. Zarumienił się (jak to jest, że moje ciało nigdy tak nie reaguje?), nachylił nad stołem i zniżył głos. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że ja się nie cofnę, choćby nie wiem co. I wprawdzie mogę ci obiecać, że dobrowolnie nigdy bym żadnego z was nie wydał, ale gdyby zdarzyło mi się wpaść na gorącym uczynku, Niebo już by ze mnie do ostatniego bitu wycisnęło wszystko na temat ostatnich paru miesięcy. Kto wie, do czego mogą się posunąć w śledztwie? A wtedy się dowiedzą także tego, że już dawno powinienes być zadenuncjować i mnie, i Sama, mój młody przyjacielu.

– Szantażujesz mnie, Bobby? – Dzieciak był wyraźnie wstrząśnięty.

– Ja? Skądże! Jestem tylko realistą. W tę grę nie da się grać na dwie strony, Clarence... o, przepraszam, Harrisonie... Naprawdę wolałbyś, żebym tak się do ciebie zwracał? To dobre dla cudownego dziecka ze szkoły muzycznej... Nie, Harrisonie, nie wyjdiesz na podwórko, dopóki nie odrzępolisz swoich dwóch godzin wprawek na skrzypcach... – Dolałem sobie trochę syropu. – Clarence brzmi o wiele bardziej cool.

Młodemu mowę odebrało, choć nie wiem, czy to był skutek moich słów, czy tego, że faktycznie pamiętałem jego oficjalne imię.

– No, nie wiem... Muszę to przemyśleć – wydukał w końcu. Chwilę potem wstał, wydlubał z kieszeni parę banknotów i rzucił je na stół. – Muszę iść, mam dyżur. Później... porozmawiamy.

– No to nie masz transportu – powiedziałem do Sama, gdy Clarence wybył z lokalu.

– No coś ty? Przecież to ja prowadziłem. Spałeś całą drogę czy co?

– To twoją bryką tu przyjechaliśmy? Skąd ją wytrzasnąłeś, skoro mieszkasz po drugiej stronie lustra?

– Pożyczyłem od Orbana. On ma powody, by sympatyzować z ludźmi zawieszonymi między obu światami.

– Ano ma. – W milczeniu dokończyłem naleśniki i jednym haustem wypilem resztę zimnej już kawy. – To co, podrzucisz mnie do domu? Muszę zacząć myśleć nad następnym ruchem.

– Nie martwi cię Młody? – Sam wstał, podzwaniając kluczykami do samochodu. – Że teraz na ciebie doniesie szefostwu?

– Clarence? Taa, jasne. To dlatego zostawił na stole pięć dolców za filiżankę kawy. To idealista, nie kapuś, a do tego tak bardzo pragnie akceptacji w drużynie, że pewnie będę musiał go przytrzymać, bo jeszcze gotów ruszyć do szturm na samo Niebo... w imię sprawiedliwości przez duże S.

– Perspektywa rzeczywiście zatrważająca – odrzekł Sam. – Ty chyba nie planujesz niczego w tym stylu, co? My z Trzeciej Drogi bynajmniej nie chcemy zniszczyć Nieba. Piekła zresztą też nie. Siedzi tam bardzo wielu groźnych sukinsynów, dla których lepszego miejsca sobie nie mogą wyobrazić.

– W tym się z tobą zgodzę – mruknąłem. – Zdaje się, że większość z nich poznałem osobiście. Ja też nie chcę niczego rozwalać. Mam tylko dosyć roli pionka, którym wszyscy po swojemu pomiatają. Chcę prawdy.

Dotarliśmy do samochodu. Sam pstryknięciem palców posłał na trawnik wykałaczkę, którą dotąd pracowicie usiłował wydlubać spomiędzy siekaczy uparty kawałek kalmara.

– Wiesz, Bobby, kiedy ludzie mówią takie rzeczy, z reguły zaraz potem zaczyna się dziać coś naprawdę paskudnego.

Znad zatoki powiało świeżym i zaskakująco chłodnym powietrzem.

– Muszę znać odpowiedzi, Sam. Nie rewolucja jest do tego potrzebna, tylko lekki wstrząs.

– Oby cię Najwyższy wysłuchał, chłopie. Mam nadzieję, że akurat nie śpi.

– Amen, staruszku. Amen.

Wierzcie lub nie, ale wróciłem potem do domu i zabrałem się do sprzątnięcia. Od czegoś trzeba zacząć, nie?

Czterdzieści dziewięć Królowa Śniegów



Chciało mi się pić. W lodówce znalazłem małą butelkę lemoniady i wróciłem z nią do sypialni. Caz drzemała, przykryta tylko do połowy ud; zatrzymałem się w drzwiach, z nagle ściśniętym gardłem. Taka piękna! Wiem, że się powtarzam, ale to dlatego, że nie umiem ładnie mówić, a już na pewno nie w tej dziedzinie. Drobna, szczupła, ale krzywizna jej talii nieodmiennie przyprawia mnie o dziwne reakcje psychofizyczne. Trudno to wyjaśnić, ale mam nadzieję, że wielu panów dobrze wie, o co mi chodzi: jest w tym cudownym łuku między biodrem a żebrami, kiedy kobieta leży na boku, coś takiego... no, jak z poezją: jeśli usiłujesz zbyt dogłębnie analizować wiersz, tracisz to, co w nim najważniejsze.

A te jej włosy, takie długie, proste, niemal białe jak ona cała! Tęskne pożądanie owładnęło mną tak silnie, że aż obudziło podejrzenie, czy aby nie zostałem jakąś diabelską sztuczką zwyczajnie usidlony. Ale nie! To, co do niej czuję, jest jak najbardziej prawdziwe. Nie raz dałem się Piekłowi zrobić w konia i potrafię to odróżnić.

Przewróciła się na brzuch i zerknęła na mnie kątem oka.

– Co się tak gapisz? Nigdy nie widziałeś kobiety upadłej?

– Żadnej, która by upadła tak nisko.

– Masz na myśli San Judas czy twoje towarzystwo?

– Jedno i drugie.

Przysiadłem na brzegu łóżka, bo chciałem się na nią napatrzyć, wiedziałem zaś, że gdy znajdę się zbyt blisko, znów dam się pochłonąć fascynującej nowości jej dotyku, zapachu i smaku.

Uśmiejecie się, ale w tej chwili przypomniałem sobie widziane kiedyś zdjęcie Jean Seberg, aktorki z lat sześćdziesiątych, w roli Joanny d'Arc. Miała krótko obcięte włosy i ciężką zbroję, ale podobieństwo do Caz było uderzające – nie w samych rysach, lecz raczej w ich delikatności, w kruchości smukłego ciała w konfrontacji z ogromnym, niebezpiecznym światem. Inna rzecz, że jak się zdaje, owej gwiazdzie nie wiodło się o wiele lepiej niż Dziewicy Orleańskiej, więc może nie było to zbyt fortunne porównanie.

– Nadal się gapisz.

– Przepraszam. – Przylapany, zaśmiałem się. – Jesteś taka... Akurat mi się pomyślało o Joannie d'Arc.

– Czyżbyś chciał mnie spalić żywcem?

– Tylko w ogniu mej miłości.

Caz się roześmiała. Położyła się na wznak i naciągnęła koldrę do pępka, co nie okazało się skutecznym remedium przeciwko gapieniu się.

– Pamiętam chwilę jej egzekucji – powiedziała.

– Kurczę! Byłaś przy tym?

– No coś ty? Jasne, że nie. Ech wy, Amerykanie... Żyłam wtedy w Polsce, co najmniej z tysiąc mil stamtąd. Wieść o tym rozeszła się jednak po całej Europie. Mój mąż, oby jego dusza nigdy nie zaznała spokoju, usłyszał tę historię w podróży i nie mógł się doczekać, żeby mnie nią uraczyć. Dla niego było to... bo ja wiem?... Fascynujące? Podniecające? – Zamilkła na długą chwilę. – Kiedy moja pora nadeszła, myślałam o niej. Znaczący o osobie, nie jej ideałach. Ja już wtedy nie miałam żadnych.

Otworzyłem usta, by zadać pytanie, ale zmilczałem, widząc jej minę.

– Myślałam o niej, bo cała groza publicznej kaźni tkwi nie w umieraniu, tylko w postawie tłumu. Tam, w Rouen, musiało przecież być wśród gapiów przynajmniej kilkoro, którzy wierzyli w jej niewinność lub chociaż uważali, że nie zasłużyła na nienawiść. Ktoś podał jej zrobiony z patyków krzyż, aby nie musiała stanąć w obliczu śmierci bez Boga. Natomiast na rynku naszego miasta nie było chyba nikogo, włącznie z moimi dziećmi, kto by nie sądził, że powinnam zginąć w męczarniach.

Wtedy właśnie pierwszy raz naprawdę poczułem, jak bardzo się różnimy, a raczej, jak odmienne są nasze wspomnienia. Wzdrygnąłem się na myśl o wykrzywionych wrogością twarzach średniowiecznej gawiedzi.

– Daj spokój, Caz – szepnąłem. – Tamto się skończyło. Jesteś tu i teraz... ze mną.

Spojrzała mi prosto w oczy. W pierwszej chwili wydawało mi się, że z gniewem. Do dzisiaj nie jestem pewien, co miał znaczyć wyraz tego spojrzenia. Powiedziała wtedy tylko tyle:

– To się nigdy nie kończy, Bobby. Piekło tak nie funkcjonuje.

Położyłem się tuż przy niej i wziąłem ją w ramiona. Odwróciła się do mnie plecami tak, że dotykałem krocem jej jędrnej pupy. Usiłowałem nie dać się ponieść tej upajającej bliskości, rozkosznej jedwabistości jej skóry i dotykowi małych piersi ocierających się o moje przedramiona przy każdym naszym oddechu.

– Nie mogę się nadziwić odcieniowi twoich włosów – rzekłem, całując jej smukłą szyję po raz setny albo tysięczny tej nocy. – Są tak zdumiewająco srebrzyste, prawie białe. Miałaś wśród przodków jakiegoś wikinga?

Mogła oczywiście je sobie farbować, choć kolor za bardzo pasował do całości. Przez lata

spędzone na Ziemi zgromadziłem jednak dość doświadczenia, by wiedzieć, że dla kobiety pytanie „Farbujesz włosy?” jest tylko ciut mniej niestosowne od „Jesteś w ciąży? A z kim?”.

– Wikinga? – Cóż wzruszyła ramionami. – Możliwe. W moim ludzie mieszało się tyle genów... słowiańskie, germańskie, gockie, nawet mongolskie. – Wtulila się we mnie mocniej; nie erotycznie, lecz jak ktoś szukający bezpieczeństwa i ukojenia. – Jest taka stara saga o pochodzeniu złotowłosej rasy. Cygańska zresztą.

– Cygańska? Tej krwi chyba nie masz w żyłach?

– Raczej nie. – Mówiła znów wolniej; może zrobiła się senna? – Zjawili się w naszym królestwie raptem parę pokoleń wcześniej. Mieliśmy jednak służącą Cyganke, kiedy byłem dzieckiem. Czasami przy pracy zabawiała mnie opowieściami.

– Między innymi tą o złotowłosych?

Potrwało dobrą chwilę, zanim znów się odezwała.

– To było tak... Dawno, dawno temu cygańskie plemię obozowało u podnóża wielkiej góry. Nigdy na nią nie wchodzili, bo spowijały ją mgły i chłód, nocami zaś wiatr niósł spod szczytu jakieś przerażające głosy. Jeden tylko śmiałek nie bał się zapuścić na te wyżyny: niejaki Korkoro Samotnik, młodzieniec bez żadnej rodziny. Jednakże nawet on nie był aż tak głupi, by się wdrapywać zbyt wysoko; bał się, że utknie tam jak w pułapce, kiedy zajdzie słońce. Pewnej nocy rozszalała się straszliwa burza, a nad ranem góra tonęła w chmurach i nie było widać szczytu. Koło obozu zjawiała się obca kobieta, piękna, lecz bardzo dziwną urodą: białowłosa, błękitnooka...

– Jak ty – wtrąciłem.

– Nie przerywaj, Skrzydlaku, opowiadam ci historię.

Sięgnęła dłonią za siebie i zaczęła mnie pieścić tak, że ledwo mogłem się skupić na jej słowach. Pomogło jednak: już więcej jej nie wchodziłem w słowo, choć z drugiej strony jakby mniej się wsłuchiwałem w cygańską legendę.

– W każdym razie pierwszym człowiekiem, którego napotkała, był właśnie Korkoro, który lubił włóczyć się daleko od obozu i polować. Przyprowadził ją do swoich. Ludzie ją nakarmili, poczęstowali winem, ale jej odmienność budziła w nich strach. Każdy z nich był smagły, o włosach i oczach barwy nocy, i jej jasna postać jawiła się im jak gość nie z tego świata. Pytali, skąd przybywa i z jakiego jest ludu, ona zaś powiedziała im, że jest Królową Śniegów i mieszka na szczycie zimnej góry w domu ojca, Króla Mgieł, lecz uciekła od niego, słyszała bowiem, że ludzie potrafią kochać, a ona najbardziej na świecie chce się tego nauczyć. Zakochała się w Korkoro, a on w niej. Z czasem Cyganie zaczęli darzyć ją zaufaniem, choć na zawsze pozostała dla nich obca. Urodziła mu dwadzieścioro dzieci i wszystkie miały włosy barwy dnia, jak matka. I stąd właśnie, jeśli wierzyć cygańskiej sadze, wzięli się na świecie blondyni.

– I to już koniec historii?

Poczułem, jak sztywnieje w mych objęciach.

– Niezupełnie. W każdym razie nie ta wersja, którą znam.

– Cóż się więc stało potem?

– Nie pamiętam. Jestem zmęczona, Bobby. Daj mi trochę pospać.

Powinienem być jej posłuchać. Za bardzo jednak pragnąłem każdej danej nam chwili, a i ciekaw byłem, dlaczego wolą opuścić zakończenie.

– Któraś z dzieci wyrosło na herosa? – wysnułem przypuszczenie.

Caz westchnęła ciężko.

– Nie. Jej ojciec okazał się zazdrosny o córkę. Nie podobało mu się, że zamieszkała między ludźmi, a już o furję przyprawiło go to, że poślubiła jednego z nich. Rozkazał jej więc wracać, grożąc, że w przeciwnym razie zgładzi to cygańskie plemię. Obóz otoczyła gęsta mgła, w której pełno było jego żołnierzy o oczach błyszczących po kociemu w ciemności. Korkoro chciał walczyć, ale Królowa Śniegów wiedziała, że ludziom nigdy nie uda się pokonać mgielnej armii, po zmroku odeszła więc z obozu i znikła w tumanie. Zostawiła jednak dzieci. Każde z nich dorosło, znalazło żonę lub męża, miało własne potomstwo i od tamtego czasu na ziemiach polskich żyli ludzie o włosach jak moje. – Zwinęła się w kłębek i ziewnęła. – A teraz już śpijmy, proszę.

– Powiedz mi jeszcze, co zrobił Korky.

– Kto?

– Korky. Korkoro, Korkorano, Koczkodano, czy jak mu tam było. Jej mąż, który ją znalazł i pokochał. Co zrobił, gdy mu tak przepadła we mgle?

– Nic nie zrobił. Cóż miał na to poradzić? Żaden żywy człowiek nie mógł się dostać na szczyt góry, gdzie panował Król Mgiew. Korkoro wychował dzieci i nigdy o niej nie zapomniał. Koniec historii.

– To głupio – orzekłem i obróciłem się na wznak.

Caz leżała chwilę nieruchomo, lecz nie wytrzymała i przetoczyła się na bok, przodem do mnie. Patrzyłem bez słowa w sufit.

– Głupio? To tylko stara legenda, Bobby.

– I co z tego? Legendy też muszą mieć jakiś sens. Ja tam nigdy bym tobie nie... znaczy na miejscu Korky'ego nigdy bym jej nie dał odejść. Poszedłbym jej szukać.

– *Ale on nie mógł.* – *Powiedziała to spokojnie, jak cierpliwy nauczyciel, który wie, że uczeń w końcu zrozumie lekcję, jeśli tylko trochę się przyłoży.* – *Nie było już nic do zrobienia. Ona odeszła, a jemu pozostało nauczyć się żyć bez niej.*

– *Akurat! Powinien wleźć na tę cholerną górę.*

– *Wtedy by zginął.* – *Pogładziła mnie po głowie jak gorączkującego malucha.* – *A jego dzieci nie miałyby ani matki, ani ojca.*

– *To nieważne. Powinien był iść za nią.*

Patrzyła na mnie intensywnie, co bardziej czułem, niż widziałem. Potem uniosła się na łokciu i złożyła głowę na mej piersi.

– *Czasem naprawdę nie da się nic zrobić, Bobby* – *szeptęła.*

– *Guzik prawda, Caz. Zawsze jest jakieś wyjście, jakaś szansa.*

– *To tylko baśń. Dlaczego tak się denerwujesz?*

Miała rację. Właściwie sam nie miałem pojęcia, skąd we mnie ten nagły gniew. Teraz już wiem, jak i wy wiecie.

– *A jednak nie powinien pozwolić jej odejść.* – *Objąłem ją znowu, tym razem znacznie mocniej, jakbym chciał ją przy sobie zakotwiczyć, kiedy mgła wtoczy się w nasz świat.* – *Nigdy.*

– *Życie bywa bardziej skomplikowane, niż się nam wydaje* – *odparła Caz.*